Migotania

Gazeta literacka

Nr 4 (85) 2024 kwartalnik

Fundacja Światło Literatury

„W słowach szlachetnego nie ma nic, co by małą miało wagę: "

Dialogi Konfucjańskie. Rozdz.XXIII. 4.

Polecamy:

- Maria Jentys-Borelowska, Moja Eliza, fragment powieści o Elizie Orzeszkowej
- Krzysztof Szymoniak, Wańkowicz czytany po latach
- Grzegorz Bazylak, Pęd powodzi, energia spektaklu. Esej o powodzi
- Zdzisława Drzewiecki, Katarzyna Brzóska, Alina Biernacka, nowe wiersze
- Christian Medard Manteuffel, Janusz Żernicki, ojciec chrzestny Orientacji...
- Dariusz Pawlicki, Megawidowisko z roku 1654. Esej historyczny
- Maksymilian Barski, Jak interpretować poezję pisaną przez sztuczną inteligencję
- Andrzej Katzenmark, Świat zaczyna się od mitu.

Jacek Kotlica

z kroniki wypadków

Stare domy ukrywają swą historię
Stoją godzinami puste
i patrzą zamkniętymi oknami
Nie otwierają nikomu drzwi

Zachowują się nieufnie
wobec nieproszonych gości
Grożą niebezpieczeństwem
poskrzypują zmurszałymi stropami
Ukradkiem zdrapują tynk ze ściany
Rysują pajęczynę na szkle
z otworem na zbłąkany kamień

Stare domy żyją z dnia na dzień
Od święta figurują w kronice wypadków

W numerze prezentujemy prace rysunkowe Tadeusza Sobkowiaka
Plakat Plakat artystyczny Tadeusz Sobkowiak

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2024

Roman Warszewski

Dyktatorzy wszystkich krajów łączą się

Widmo autokracji krąży dziś nie tyle po Europie, ile po całym świecie, a **Anne Applebaum** wyrasta na jedną z najbardziej przenikliwych komentatorek politycznych przemian, jakim ulega współczesny świat; zajmuje miejsce podobne do tego, które swego czasu – pod koniec XX wieku – przypadło w udziale Alvinovi Tofflerowi (choć ten nieco chętniej spoglądał w przyszłość niż przypatrywał się współczesności).

Jej ostatnia książka pt. „Koncern autokracja" jest tego bardzo dobrym przykładem. To kontynuacja wątków, które wcześniej podjęła w „Zmierzchu demokracji", o której jakiś czas temu w „Migotaniach" już pisałem. Co godne podkreślenia Applebaum – mimo szybkości zmian, jakim ulega teraźniejszość – stara się za nimi nadążać, a nawet niekiedy o pół kroku wyprzedzać. A to niełatwe.

„Koncern autokracja" to rzecz o tym, jak współcześni dyktatorzy i zaciekli krytycy demokracji liberalnej na naszych oczach zawiązują sieć wielostronnych powiązań, które przez wielu nadal są lekceważone, a które swym zasięgiem niepostrzeżenie zaczynają oplatać cały świat. Kiedyś lewicowi dyktatorzy bratali się tylko z dyktatorami lewicowymi, a zwalczali dyktatorów prawicowych. I na odwrót. Dziś jest inaczej. Dyktator lewicowy bez zahamowań obściskuje się z dyktatorem prawicowym, a prawicowy z lewicowym. Tak zwane względy ideowe zdecydowanie poszły w kąt. Prawica czy lewica – co za różnica (piękny rym!). Liczy się jedno – ważna jest nienawiść do liberalnej demokracji i to, by dzięki wzajemnemu wsparciu w skali międzynarodowej być w stanie omijać nakładane przez demokratów sankcje gospodarcze i – dzięki wzajemnej pomocy – móc do woli kraść, kraść, kraść i bez końca się bogacić.

Są też inne różnice. Applebaum: „Dziś autokracjami nie rządzą pojedynczy źli ludzie, lecz całe skomplikowane sieci władzy. Wykorzystują do tego kleptokratyczny system finansowy i złożony aparat bezpieczeństwa – wojsko, formacje paramilitarne i policyjne. Polegają także na wyspecjalizowanych ekspertach, którzy obsługują narzędzia do inwigilacji, budowania propagandy i siania dezinformacji. Członkowie takich struktur tworzą pajęczynę wzajemnych powiązań wykraczającą poza granice pojedynczych krajów. Reżimowcy są wpleceni w sieci, które powstają w innych państwach autokratycznych i niektórych demokratycznych. Siły porządkowe jednego kraju mogą wyposażać i trenować analogiczne formacje wielu innych państw. Zasobami dzielą się również propagandziści – farmy trolli i propagandowe media jednej dyktatury mogą pracować dla innej i powtarzać przy tym zgrane motywy: postępujący rozpad demokracji, stabilność gwarantowaną przez autorytaryzm, zło którego źródłem jest Ameryka."

Niezawodnym narzędziem współczesnych autokratów jest kłamstwo. Czytamy: „W putinowskiej Rosji, w Syrii Asada i Wenezueli Maduro politycy i telewizyjne gwiazdy (…) kłamią bez przerwy, bezczelnie i jawnie. [Nawiasem mówiąc – skąd my to znamy?, to jeszcze jeden dowód na to, że PiS należy do tej międzynarodowej autokratycznej sieci – przyp. RW]. Kiedy zostaną na tym przyłapani, nie silą się bynajmniej na tłumaczenie. Kiedy w 2014 roku zależne od Rosji siły zestrzeliły nad Ukrainą samolot malezyjskich linii lecący z Amsterdamu do Kuala Lumpur, rząd rosyjski w odpowiedzi zaczął nie tylko temu zaprzeczać, ale również tworzyć najróżniejsze historie, prawdopodobne i nie. Oskarżano o wypadek ukraińską armię lub CIA; sugerowano nikczemny spisek w celu zdyskredytowania Rosji, a mianowicie: że na pokładzie samolotu umieszczono 298 martwych ciał i wywołano sztuczną katastrofę." Mimowolnie u wielu pojawia się refleksja: skoro istnieje tak wiele wersji pojawiających się w tak wielu źródłach, jak ustalić co się naprawdę stało? Ktoś, kto jest skonfrontowany z czymś takim, najprawdopodobniej będzie chciał unikać polityki. Dla autokratów to wielka korzyść. Kimś, kto jest bezwolny i skołowany, dużo łatwiej rządzić, poza tym zawsze można mu podsunąć jakieś „zabawki" ociągające go od zainteresowań polityką. Jakie? Na przykład… gry komputerowe.

Jeszcze inną metodą jest notoryczne oczernianie ludzi opowiadających się za liberalną demokracją. Nawet najbardziej absurdalne zarzuty, po wielokroć powtarzane, lub serwowane z wielu różnych źródeł jednocześnie „wywierają pewien wpływ. Kiedy z kogoś notorycznie robi się czarny charakter, to nawet najbliżsi przyjaciele mają problem z tym, aby nie pomyśleć, że w tym musi być jakieś ziarno prawdy. Kiedy ujawnia się sekretne informacje o aktywistach lub politykach, publikując choćby nagrane rozmowy lub zhakowane maile – taktyka stosowana w Rosji od lat dziewięćdziesiątych XX wieku, w Polsce w 2014 roku i podczas wyborów w USA w 2016 roku, kiedy włamano się na konta kierownictwa Partii Demokratycznej – powstaje wrażenie, że dana osoba jest nieszczera lub ma coś do ukrycia, i to nawet wówczas, gdy taśma lub mail nie zawierają żadnych dowodów na bezprawne postępowanie."

Co z tym zrobić? Czy liberalna demokracja w obliczu coraz większego autokratycznego oblężenia jest bezbronna? Czy – będąca jej przyrodzoną cechą pewna powolność w postępowaniu i w reagowaniu na pojawiające się wyzwania – skazuje ją na klęskę? Zdaniem Anne Applebaum na szczęście tak nie jest, a przynajmniej być nie musi. Przede wszystkim tę sieć trzeba dostrzec (do czego książka „Koncern autokracja" na pewno w jakimś stopniu może się przyczynić), a następnie przestać ją lekceważyć. **Należy wziąć się z nią za bary i nie ustępować ani o krok.** To na pewno jest wykonalne, choć… niełatwe – z akcentem na to drugie. Tym bardziej, że gdy piszę te słowa Donald Trump (którego Anne Applebaum niedawno na łamach *Washington Post* określiła nie tylko jako autokratę, lecz wręcz jako faszystę), właśnie ogłasza swoje wyborcze zwycięstwo.

„Ludzie dobrej woli" (których jest przecież więcej) nie zdołali przegłosować jego zwolenników.

Dlaczego?

Jedną z odpowiedzi jest to, że istnieje KONCERN AUTOKRACJA, a jego macki (choćby dzięki social mediom, Internetowi i przekazowi profilowanemu) sięgają wszędzie.

Roman Warszewski

Anne Applebaum, „Koncern autokracja", tłum. Andrzej Rogalski, Warszawa 2024

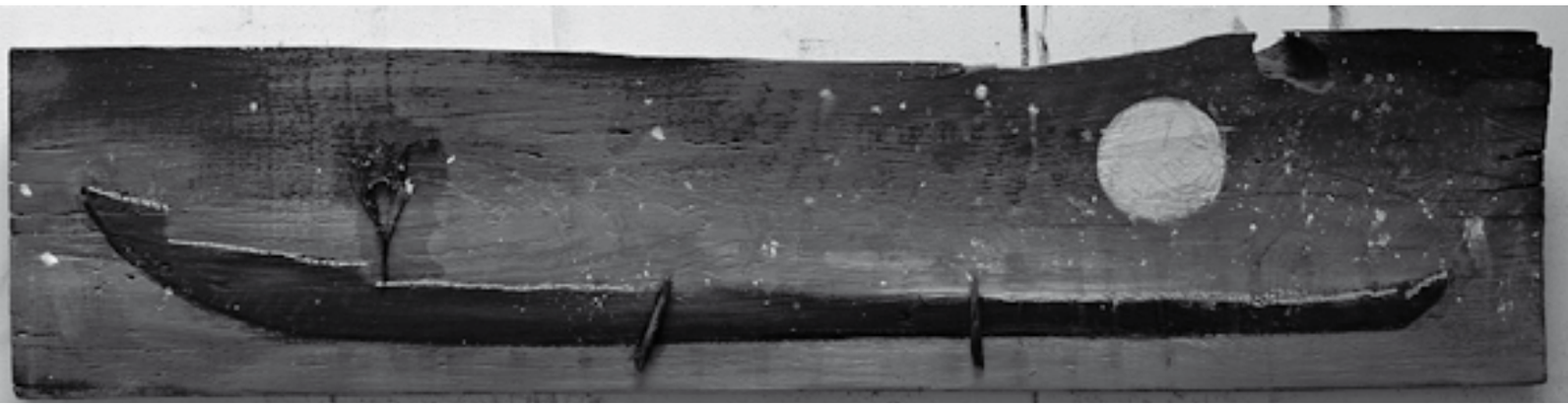

Roman Warszewski, Dyktatorzy wszystkich krajów łączą się..str.2
Maria Jentys-Borelowska, Moja Eliza, fragment powieści o E. Orzeszkowej.....str.3
Katarzyna Brzóska, wiersze.....str.7
Zdzisław Drzewiecki, nowe wiersze.....str.8
Krzysztof Szymoniak, Wańkowicz czytany po latach, ESEJ..str.10
Christian Medard Manteuffel, Janusz Żernicki, ojciec chrzestny Orientacji Poetyckiej „Hybrydy" WSPOMNIENIE.....str.16
Agnieszka Lubos, Haiku.....str.20
Andrzej Katzenmark, Świat zaczyna się od mitu, ESEJ.....str.21
Charles Reznikoff, wiersze.....str.25
Roman Warszewski, Głowa, PROZA.....str.26
Anna Sikora, wiersze.....str.27
Mirosława Gąsiorowska, Trzy światy, PROZA.....str.28
Georges Moustaki, Milord, tłum. Maciej Froński.....str.29
Dariusz Pawlicki, Megawidowisko z roku 1654, ESEJ HISTORYCZNY.....str.30
Grzegorz Jacek Brzustowicz, Ostatni zajazd na Litwie, ESEJ HISTORYCZNY.....str.32
Czesław Sobkowiak, wiersze.....str.36
Czesław Karkowski, Daleki Świat, PROZA.....str.38
Maria J. Fraszewska, Spalanie na stosie nieposkromionego, ESEJ.....str.40
Dorota Czerwińska, wiersze.....str.45
Grzegorz Bazylak, Pęd powodzi, energia spektaklu, ESEJ O POWODZI.....str.46
Alina Biernacka, nowe wiersze.....str.48
Anna Kokot-Nowak, Ujednolicenie, czy rewolta. Przycisk naciśnięty...ESEJ.....str.50
Adam Bujarski, wiersze.....str.53
Jakub Ciećkiewicz, Jagoda, ! Kocham cię! PROZA.....str.54
Michał Skrętek, Stary człowiek też może... i inne herezje literackie, ESEJ.....str.56
Ewa Niezgoda-Gierszewska, wiersze.....str.57
Gabriela Raczkowska, Czy to nie człowiek stworzył maszynę. ESEJ.....str.58
Magdalena Łubkowska, wiersze.....str.60
Maksymilian Barski, Jak interpretować poezję pisaną przez sztuczną inteligencję? ESEJ.....str.61
Marta Dominika, wiersze.....str.64
Katarzyna Lisowska, Św. Faustyna jako poetka dusz, ESEJ.str.65
Sebastian Chosiński, wiersze.....str.68
Mirosław G. Majewski, Dziewczyna spoza muru, PROZA.....str.69
Ryszard Biberstajn, wiersze.....str.70
Zbigniew Kresowaty, Obnażyć kobiecość jako ambitny żywioł, PIÓREM MALARZA.....str.72
Agnieszka Moroz - KSIĄŻKI NA HACZYKU.....str.76
RECENZJE.....str.78
Mateusz Wabik, Lęk przed kąsaniem
Mateusz Wabik, Knajpiany Kraków
Mateusz Wabik, Groza, wierzenia i obyczaje Podlasia
Mateusz Wabik, Rozmyślania o istocie pisania i ciele
Mateusz Wabik, Epigramaty, piosenki i poezja lingwistyczna
Andrzej Walter, Mowa nienawiści
Robert Rudiak, Wylęganie świata w konwencji Beaty Klary-Stachowiak
Roman Warszewski, Młodość Matuzalema
Andrzej Walter, Lekka przesada raz jeszcze
Zbyszek Ikona-Kresowaty, Jak sztuką „służyć" kulturze, WSPOMNIENIE - SZTUKA.....str.86
Urszula Mikołajczyk, Prawda, wiersz.....str.88
Karol Samsel, Wieczność (1), PROZA.....str.89
Szymon Florczyk, wiersze.....str.93
Małgorzata Dorna Wendrychowska, Żywioł wody, powietrza, ognia i ziemi – rozważania o .wątkach archetypicznych w twórczości Tadeusza Sobkowiaka, SZTUKA.....str.94
Edyta Kulczak, wiersze.....str.98
„WYPRASOWANIE.....str.100
- Kazimierz Brakoniecki, Wspomnienie o Leszku Szarudze
- Antoni Pawlak, Pozawiązywać za sobą wszystkie kokardki
Małgorzata Dorna - Wendrychowska, Starość w salonie sztuki, FELIETON.....str.104
MIGOTANIA JESZCZE WIECEJ
Katarzyna Korczak, Z Albumów i zapisków rodzinnych, Cz.II,.....str.107

Maria Jentys-Borelowska

POWIEŚĆ

MOJA ELIZA

(FRAGMENT POWIEŚCI)

Środa 23 lutego 1910
Opowieść horeckiego lasu

- Ty płaczesz, Maryniu! - usłyszałam słabszy chyba niż szmer spadających liści głos Elizy.

Drgnęłam i uniosłam głowę znad książki, którą czytałam, trzymając ją w obu dłoniach i opierając łokcie o poręcze fotela, w którym siedziałam od kilku godzin, czuwając nad snem chorej. Eliza była twarzą zwrócona w moją stronę, a jej ogromne, ciemne oczy patrzyły na mnie z niepokojem. Od jak dawna nie spała?

- Nie płaczę, Najdroższa - zaprzeczyłam, lecz w tej samej chwili poczułam, że po moich policzkach płyną łzy wielkie jak groch i nawet kapią już na kartki książki. - Och, rzeczywiście, beczę jak egzaltowana panienka… i nawet nie wiem, od jak dawna… Ale czy można nie płakać, gdy się nieomal widzi i słyszy owych „dobrowolnych ofiarników wysokich ołtarzy", o których opowiadasz w elegii horeckiego lasu?! Twoje słowa są tak sugestywne i nabrzmiałe tak wielką boleścią…

- Czytasz *Gloria victis*, Maryniu? - powiedziała z lekkim zdziwieniem. - Przecież znasz już tę historię na pamięć.

- Niby znam, wiem, jak się nazywali, jak wyglądali, co myśleli, jak się wyrażali wszyscy, których w niej opisałaś, a którzy byli twoimi sąsiadami, przyjaciółmi, znajomymi z poleskich stron, z Kobryńszczyzny… Niby wiem, co się zdarzyło w horeckim lesie nad Kanałem Królewskim w pamiętnym dniu dwudziestego piątego maja sześćdziesiątego trzeciego roku, znam przebieg bitwy, w której jeden stawał przeciwko stu, wiem, ilu zginęło w tej rzezi i jak tragiczne były jej następstwa… Ale to mi nie wystarcza. Żeby pojąć sens owej niesłychanej ofiary, muszę wsłuchać się w głos serca. Dlatego tak często wracam do pieśni horeckiego lasu. Ból, którym jest wypełniona, przenika mnie na wskroś, a wtedy czuję żywą więź ze zwyciężonymi zwycięzcami i … łzy same płyną mi z oczu.

- Maryniu, moja Maryniu - wymamrotała Eliza ledwo słyszalnie i… zasnęła.

Zaniepokojona, pochyliłam się nad nią, ale spała głęboko, oddychając równo i spokojnie. Tak to już teraz z nią było: budziła się na krótką chwilę i zasypiała w ułamku sekundy. Lekarze mówili, że to dobrze, że sen to najlepsze dla niej lekarstwo, lecz ja nie byłam tego taka pewna. O śnie takim jak ten… długim, prawie nieprzerwanym, który niby biały całun spada na śpiącego i otula go ciasno, myślałam, że jest raczej wstępem do śmierci. Patrząc więc na jej zapadnięte policzki o barwie popiołu, na sine powieki i głębokie cienie pod oczami, na pergaminowe dłonie, wyszeptałam błagalnie: „Jezu, uzdrów ją, zachowaj, przecież potrafisz". I naraz usłyszałam: „*Ego morior… nolite flere… ego te amo*".

Zamarłam. Czy to możliwe, że Eliza usłyszała mnie i przemówiła? Długo, bardzo długo siedziałam przy jej łóżku i wsłuchiwałam się w echo tych niewiarygodnych słów: *Ego morior… nolite flere… ego te amo… amo… amo…* Kto mi odpowiedział? Ona? Przecież śpi. Zatem ON?! Chyba mam urojenia… Wcisnęłam się głębiej w fotel i wzięłam do rąk porzuconą książkę.

Naraz cichutko otworzyły się drzwi i Maksymilian, stąpając bezszelestnie, wszedł do pokoju. Ostrożnie zbliżył się do łóżka chorej, popatrzył na nią z uwagą i troską, po czym musnął mnie ustami w czoło i rzekł najciszej, jak potrafił, a że głos miał z natury donośny, nie przyszło mu to łatwo:

- Czy nie pora, Maryniu, na przerwę w tym długim czuwaniu? Z sześć godzin już tu siedzisz, to chyba dość! Trzeba rozprostować kości, odetchnąć świeżym powietrzem i pokrzepić się czymś. Ja cię tu zastąpię, a ty idź do kuchni, kucharka akurat szykuje podwieczorek. Przy okazji rzuć okiem na pocztę, przynieśli dziś furę listów i gazet.

- Nie odejdę teraz od Elizy, Maksie. Ona wprawdzie śpi, jak się zdaje, mocno i głęboko, lecz w każdej chwili może się obudzić.

- Jeśli się obudzi, znajdzie przy sobie mnie zamiast ciebie, a więc po trosze jakby i ciebie.

- No tak, tak, to prawda, twój widok na pewno ją ucieszy, ale ja… zrozum mnie… ja chcę być teraz przy niej. Chcę! Boję się…

- Rozumiem. A zatem przyniosę ci tutaj podwieczorek. I pobędę z tobą chwilę, jeśli pozwolisz, moja droga? Bardzo długo musiałem obywać się bez ciebie w tym obmierzłym Permie.

Maksymilian ruszył ku drzwiom, a ja wróciłam do przerwanej lektury, czyli do długiej, nocnej rozmowy, którą Mały Marian Tarłowski i Feliks Jagmin odbyli przed ową tragiczną bitwą po Horkami, w której obaj polegli. Diametralnie różni pod każdym względem - fizycznym, umysłowym i duchowym - jednako żarliwie kochali ojczyznę (jak również Anielkę, siostrę Małego) i nie wahali się zabijać i ginąć w obronie jej wolności. Choć tylko rosły, silny i trzeźwo myślący Jagmin, urodzony wojownik, zabijał bez wahania, podczas gdy dla delikatnego i wrażliwego Tarłowskiego, myśliciela i marzyciela, badacza natury, kochającego życie we wszelkich jego przejawach, zabijanie było bolesną koniecznością.

Znałam tę ich rozmowę na pamięć, ale czytałam ją tak, jak niektórzy czytają poezję, gdyż słowa, których użyła moja Najdroższa, aby wyrazić tragizm naszej egzystencji na ziemi, miały dla mnie walor uniwersalnej prawdy.

Oni dwaj, na siebie wzajem albo na gwiazdy patrząc, rozmawiali o tych czasach dalekich, w przyszłości dalekich, które będą, albo nie będą, które, jeśli będą, wodami ukojenia i oczyszczenia obmyją świat, w którym, podobno, miecze mają być przekute →

na pługi, a jagnięta sen spokojny znajdować będą u boku lwów…

O przyszłości świata, po wiekach walk, zbrodni i mąk, rozkwitłej w raj niewinności, pogody i zgody, mówili z tęsknotą, z zachwyceniem, z upragnieniem.

Szeptem cichym marzyli o tym celu przedalekim, ku któremu rzeką wrzącą i wieczną płyną marzenia ludzkich głów i serc najwyższych, a nie wiedząc nigdy, czy kiedykolwiek rzeka do celu swojego dopłynie. Ach, ból i rozpacz tych marzeń bez ziszczenia, upragnień bez nasycenia, zagadek bez rozwiązania! Ach! Niezgłębiony tego wszystkiego smutek!

- Bo chociaż przedmiot walki najdroższy jest i święty, przelana w niej krew ludzka trucizną w żyły spływa i rany zadane ranami kładą się na tych, co je zadają. Gniew, ból, śmierć to sępy, pasące się na trupach radości, słodyczy i nadziei ludzkich. Zły ród, przeciw sobie samemu szpony ich wystawiający! Nędzny ród, krótko żyjący, którego synowie nawzajem sobie skracają życie! Nieszczęsny ród, zewsząd w ciele swym i w duchu swym zagrożony, którego synowie nawzajem ciałom i duchom swoim grożą! O! Kiedyż będzie inaczej? Czy kiedykolwiek będzie inaczej? …

- Teraz inaczej być nie może! …Teraz walka to powinność!...

- Teraz inaczej być nie może. Dopóki gwałt, dopóty święty przeciw gwałtowi gniew! Dopóki krzywda, dopóty walka! Przez krew i śmierć, przez ruiny i mogiły, z nadzieją czy przeciw nadziei, walka z piekłem ziemi w imię nieba, które na ziemię zstąpi…

- Może zstąpi…

- Kiedyś…

- Gdy nas już na ziemi nie będzie.

- Maryniu - usłyszałam głos Zosi tuż za swoimi plecami. - Nakryłam wam do podwieczorku na werandzie, Maksymilian już tam jest i czeka na ciebie. Przekonałam go, że lepiej będzie, jak przynajmniej na pół godzinki oderwiesz się od widoku cierpienia. Ja przy chorej posiedzę… nic złego się nie wydarzy… zresztą lada chwila przyjdzie doktor Zamkowski… No, idź już, Maryniu, mąż twój czeka na ciebie, jemu też się coś należy.

Ucałowałam Zosię, wzięłam książkę i poszłam. Maks podsunął mi wymoszczony poduszkami wiklinowy fotel, nalał kawy do filiżanek, nałożył po kawałku ciasta na talerzyki i usiadł obok na pięknie uplecionym z wikliny krześle. Skrzywił się lekko na widok książki.

- Miałem nadzieję, że porozmawiasz ze mną, Maryniu, ale ty, jak widzę, zamierzasz czytać! - rzekł z nutą żalu w głosie.

- Ależ po to właśnie przyniosłam tu tę książkę, żeby o niej z tobą porozmawiać. Jako syn człowieka, który był uczestnikiem opisanych w niej wydarzeń i za uczestnictwo to zapłacił ośmioma latami katorgi, utratą szlachectwa i majątku, możesz ją zrozumieć i ocenić lepiej niż ktokolwiek. Na pewno lepiej niż ja.

- Wcale nie jestem o tym przekonany. Ty rozumiesz ją sercem, wczuwasz się w ból i mękę tych, którzy tam ginęli lub tracili najbliższych… I płaczesz nad nimi! Tak, tak, nie zaprzeczaj, stronice *Gloria victis* są wilgotne od twoich łez, moja racjonalna żono.

- Nie śmiej się ze mnie! Wiesz dobrze, że nie jestem skłonna do egzaltacji, jednak ta akurat opowieść wzrusza mnie ponad zwy-

kłą miarę… To przepiękna pieśń żałobna! Jej głęboki, bolesny ton oddaje prawdę serca autorki.

- A mnie się widzi, że trochę za dużo w niej patosu i afektacji.

- Ja zaś uważam, Maksie, że fakt, iż w tym utworze nie człowiek, nie poeta na przykład, opowiada o owej okrutnej rzezi, lecz czynią to drzewa i kwiaty leśne, zagadnięte przez przelotny wiatr, usprawiedliwia ten przesadny, jak twierdzisz, patos. Przecież one patrzyły na tę krwawą łaźnię, słyszały krzyki i jęki dobijanych rannych, krew masakrowanych zbryzgała je od korzeni po korony, salwy karabinowe podziurawiły im pnie, pokaleczyły korę. Po kres swego wielowiekowego trwania pamiętać będą ten sądny dzień. A że są naturalnymi poetami i mowa ich jest czystą poezją, to… sam rozumiesz.

- No ale nasza przyjaciółka bitwy nie widziała - obstawał przy swoim Maks, chociaż czułam, że w głębi duszy zgadza się ze mną.

- Za to słyszała bitewny zgiełk - odparowałam. - Przebywała we dworze, który ledwie wiorsta dzieliła od otoczonego bagnami leśnego ostępu, gdzie garstka powstańców stawiała straceńczy opór moskalom. Przez wiele godzin, do późnej nocy, w lesie huczało, grzmiało, jęczało... Kobiety we dworze odchodziły od zmysłów, czekając na ...

- Na powrót braci, synów, mężów - wszedł mi w słowo Maksymilian. - Jest to po mistrzowsku pokazane w opowiadaniu *Oni*. Mieszkańcy dworu, kilkanaście kobiet i kilku mężczyzn, nasłuchują odgłosów bitwy ze wzgórza, skąd widać ścianę horeckiego lasu. Odgłosy te to monotonny, ciężki, przeciągły huk - rotowy ogień Rosjan - i krótkie, drobne, rozproszone stuknięcia - ogień powstańców. Wielka, żelazna siła przeciw szaleńczej odwadze i niezłomnej determinacji. Kobiety widziały wcześniej tę siłę: zbrojni w żelazo żołnierze szli i jechali, szli i jechali, nie setki, lecz tysiące. A tam w ostępie - zaledwie setki, może dwie, może trzy, może cztery; ze strzelbami myśliwskimi, z szablami, z kosami… Na dworskim wzgórzu panuje więc cisza grobowa, nie ma tam miejsca dla słów, zwłaszcza podniosłych: trwoga knebluje usta, rozpacz więzi je w gardłach. Jedynie w momentach krytycznych któraś z dziewcząt wybucha spazmatycznym płaczem, a któraś z kobiet - głośną litanią do serca Jezusowego. W tych kilku scenach jest cała wielka Eliza Orzeszkowa!

- Nie tylko w tych! Jest we wszystkich scenach zbioru opowiadań pod tytułem *Gloria victis,* po polsku: *Chwała zwyciężonym*! Ale zgadzam się z tobą: *Oni* to najważniejsze ogniwo tego zbioru. Nie tylko cenny dokument historyczny w kunsztownej literackiej formie, ale i wykładnia idei, która przyświecała Polakom wszczynającym w sześćdziesiątym trzecim roku wojnę z największą potęgą militarną Europy. Wszystkim tym, którzy nie rozumieli wtedy, nie rozumieją dziś i zapewne nigdy nie będą rozumieli, dlaczego tylu młodych ludzi wybrało los „dobrowolnych ofiarników wysokich ołtarzy", poleciłabym przeczytanie mowy wygłoszonej przez pułkownika Romualda Traugutta chwilę po przyjęciu przezeń dowództwa nad kobryńską partią powstańczą w dniu dwudziestego szóstego kwietnia tegoż roku. Przeczytam ją teraz głośno, jeżeli pozwolisz, Maksie, bo jest w niej również cała wielka Eliza Orzeszkowa.

- Czytaj, Maryniu, posłucham z uwagą, mimo iż znam na pamięć tę mowę; to było *credo* Traugutta.

- *Sprawa nasza to sprawa boska* - czytałam. - *To jest prawda, że niewola zabija dusze, a ja z tej prawdy wyprowadzam wnioski, że nikomu nie wolno zabijać dusz ludzkich, i odwrotnie: duszom ludzkim nie wolno pozwalać, aby ktokolwiek je zabijał. Oto jest prawo nasze do walki, którą przedsiębierzemy, i oto dlaczego sprawa nasza jest sprawą boską. Nie na podbój i nie po łupy idziemy, ale po odbiór wydzieranego nam dobra boskiego. Dobrem boskim - cnota ludzka, cnoty nie ma bez wolności. Jeżeli wygramy, wygraną naszą będzie zbawienie duszy narodu, jego czci i jego doczesnego szczęścia; jeśli przegramy, rzeką krwi przez nas przelanej inni zapłyną do wolności. Ale jakikolwiek będzie nasz koniec, powinność naszą czyńmy. Z nadzieją, czy przeciw nadziei, ale z prawdą i z Bogiem!*

- Mowa godna wielkiego wodza - skonstatował Maksymilian. - Zastanawiam się jednak, czy rzeczywiście brzmiała tak podniośle i pięknie jak w wersji przedstawionej nam przez mistrzynię słowa. No bo minęło od tamtych zdarzeń lat czterdzieści z okładem, a pamięć ludzka jest krucha i omylna…

- Myślę, mój sceptyku, że brzmiała tak podniośle, choć możliwe, że nie aż tak pięknie. Ale na pewno bardzo pięknie! Wielkie chwile zostają nam w pamięci na zawsze, a nie ulega wątpliwości, że dla Elizy, której młoda głowa płonęła ogniem idei, była to chwila wielka, bodaj największa w jej życiu. Sposób, w jaki sportretowała Traugutta, dowodzi, że go ubóstwiała i darzyła czcią; że widziała w nim bohatera na miarę antycznych herosów, półbogów. Pamiętasz, co o nim pisała? *Ten, kto zadania tego miał się podjąć, musiał posiadać bary Atlasa i serce gardzące mieczami Damoklesowymi*. I jeszcze: *trzeba było mieć głowę zapaloną takim pożarem idei, aby w jego blaskach oślepnąć całkowicie na samego siebie, na wszystko, co nie jest przedmiotem tej idei i jej ofiarnym ołtarzem. Trzeba było w samej nawet klęsce, zza zasłon czasu dostrzeżonej, widzieć krwawe, lecz nieśmiertelne ziarno przyszłego zwycięstwa i umieć na grób własny patrzeć źrenicą nie tylko niewzruszoną, lecz jeszcze rozradowaną przez myśli i nadzieję, że kiedyś*…

- A mnie się wydaje, Maryniu, że takie myśli mogły powstać w jej głowie dopiero wtedy, gdy zdała sobie sprawę, jak bezmierną ofiarą krwi był ten polski zryw wolnościowy. Czyli po upadku powstania. Nie wcześniej. Aż tak przewidująca w wieku lat dwudziestu dwóch nie mogła być. Stracenie pięciu członków Rządu Narodowego, w tym Romualda Traugutta - któremu, jak wiesz, kilkakrotnie ratowała życie, gdy jeszcze walczył na Polesiu litewskim jako dowódca oddziału kobryńskiego - śmierć trzydziestu tysięcy powstańców na polach bitew, a blisko tysiąca na szubienicach, zesłanie czterdziestu tysięcy na Sybir, wreszcie ucieczka z kraju setek, a może i tysięcy co wybitniejszych obywateli wstrząsnęły nią do głębi. W którejś z pierwszych naszych rozmów powiedziała coś, co ukazało mi ją w nowym, bardzo niezwykłym świetle i zapadło na zawsze w pamięć. *Musiałabym tomy napisać* - mówiła w bolesnym uniesieniu - *aby w pełni opisać tę tragedię, która płomieniem i mieczem uderzyła w moje dwudziestoletnie oczy i serce. To był moment, który wywarł na całą moją przyszłość wpływ decydujący. Od niego padły mi na duszę powaga i nigdy całkowicie niewygasająca żałość, która mię na zawsze odtrąciła od świata blasku, zabaw i pustych wesołości.*

Maksymilian umilkł, zapatrzony w nieokreśloną dal, zamyślony. Milczałam również, czekając, aż wróci z tej jakiejś dali. Dopiero gdy spojrzał na mnie i uśmiechnął się, powiedziałam:

- Ja również miałam szczęście być adresatką podobnych zwierzeń. I to nie jeden raz. Za którymś razem postanowiłam je zapisać; żeby nie zapomnieć żadnego z tych jakże ważkich słów. Mam je tu na kartce, przeczytam ci. *Ten moment wzniecił we mnie pragnienie służenia Ojczyźnie według miary sił i natury moich zdolności; od jego ognia i od jego łez powstała we mnie ambicja przyniesienia choćby małej cegiełki do tego ratunkowego mostu, po którym naród przejść miał nad szeroko rozwartą pod nim otchłanią. Przyszły potem zwątpienia różne, lecz o idei miłości Ojczyzny i o obowiązku służenia jej nie zwątpiłam nigdy; przyszły potem różne bóle, lecz żaden nie dorównał bólowi nad Jej nieszczęściem; przychodziły szeregiem przedługim różne pomysły pisarskie, lecz nie było wśród nich ani jednego, który by, jak z pierwszego źródła, nie wytryskał z myśli o Ojczyźnie. To wszystko uczynił ze mną i we mnie rok 1863. Gdyby nie jego młot i dłuto, losy moje byłyby najpewniej inne i prawdopodobnie nie byłabym autorką.*

- Próżno teraz o tym wyrokować - mruknął Maks.

- A ja jestem święcie przekonana - rzekłam - że i bez młota i dłuta roku sześćdziesiątego trzeciego Eliza byłaby autorką, tyle że inną. Może nie tak wielką i nie tak ważną społecznie, ale - przecież autorką. W każdych okolicznościach by nią była, urodziła się bowiem z taką potrzebą. Tragedia ojczyzny przeorała jej duszę tak głęboko, że duch wesołości i próżności, który - jak twierdziła - dotąd miał nad nią władzę, ustąpił przed stokroć silniejszym duchem dążności do realizacji celów wysokich i zadań ważnych i trudnych. Może ty o tym nie wiesz, ale już w lutym sześćdziesiątego trzeciego roku, gdy na Kobryńszczyźnie rozpoczęły się ruchy powstańcze, zaangażowała się w prace pomocnicze, takie jak gromadzenie środków pieniężnych na zakup broni i amunicji dla kobryńskiego oddziału powstańczego, szycie konfederatek oraz jedwabnej (odpornej na brud, krew i robactwo) bielizny dla powstańców, skubanie szarpii. W kwietniu zaś zajęła się werbowaniem szlachcianek i mieszczek z okolicznych dworów i miasteczek do pomocniczego legioniku kobiecego…

- Ojciec mówił mi - wtrącił Maks - że misję stworzenia owego legioniku kobiecego powierzył Orzeszkowej sam pułkownik Traugutt wkrótce po objęciu dowództwa nad oddziałem kobryńskim. Ponoć poznali się, gdy pojechała do niego do Ostrowia, ażeby w imieniu Jana Mitraszewskiego, naczelnika wojennego miasta Kobrynia, zaproponować mu owo dowództwo. Traugutt całkiem niedawno zakończył wieloletnią służbę w armii rosyjskiej, znał się więc jak nikt na rzemiośle wojennym. Ale nie zgłaszał akcesu do powstania, nie było więc pewne, czy przyjmie tak odpowiedzialną i ryzykowną funkcję. Eliza więc, ufna w swój dar przekonywania, wybrała się do pułkownika osobiście.

- Dużo wiesz, Maksie, o ruchu powstańczym na Polesiu litewskim. Ona sama nigdy mi o swoim poselstwie do Traugutta nie opowiadała.

- Nie lubiła się przechwalać i była z natury bardzo dyskretna - odparł krótko. - A ja wiem to od ojca. Jako skarbnik oddziałów powstańczych Grodzieńszczyzny miał do czynienia z wieloma ludźmi, to i nasłuchał się przeróżnych historii. Kiedy po powrocie z katorgi, samotny, bezdomny, pojawił się w domu Orzeszkowej na prawach niemal członka rodziny, nasze wieczorne posiady zamieniły się w wieczory wspomnień. Zaczynała ona, a on kontynuował, lub odwrotnie. Był to nader osobliwy dwugłos, jakby koncert na harfę i kontrabas. - Maks zaśmiał się z własnego porównania. - Chłonąłem te opowieści całym sobą. I dziś mógłbym ułożyć z nich historię ruchu powstańczego na →

Kobryńszczyźnie ze szczególnym uwzględnieniem udziału Elizy i Piotra Orzeszków. Bo doprawdy zasłużyli na to. Oboje. Choć ona, rzecz jasna, nieporównanie bardziej. O jej poselstwie do Traugutta i o roli twórczyni i przywódczyni legioniku kobiecego już mówiliśmy, pomówmy więc o zasługach jej ówczesnego męża, które zresztą pewnie dobrze znasz…

- Chyba nie za dobrze, mów.

- Otóż Piotr już siódmego maja bezpiecznie przeprowadził swoich szesnastu ludzi oraz cztery wozy z bronią i prowiantem spod Ludwinowa do miejsca zbiórki, skąd zaraz z całą resztą ochotników pomaszerowali do lasów pod Horkami, gdzie Traugutt tworzył obóz powstańczy. Gdy po przegranej bitwie - tej, która rozegrała się pod Horkami dwudziestego piątego maja i której opis mamy w opowiadaniu *Oni* - dowódca musiał zniknąć, aby moskale uwierzyli w pogłoskę, że zginął, Orzeszkowie ukryli go w Ludwinowie na całe dwa tygodnie, a w dodatku pomagali mu w kontaktowaniu się z rozbitkami z oddziału. Było to bardzo ryzykowne, a jak bardzo, Piotr miał się niebawem o tym przekonać. Bo własny stangret wydał go wrogom.

Maks przerwał na chwilę, dla zebrania myśli albo po prostu dla zaczerpnięcia tchu, a wtedy ja wtrąciłam:

- Eliza opowiadała mi przy jakiejś okazji, że te dwa tygodnie spędziła z Trauguttem. Przez połowę tego czasu ukrywał się w ludwinowskim domu lub ogrodzie, a przez drugą połowę jeździł do oddziału, na nowo pod Pińskiem sformowanego. Rzecz jasna, jeździł w jej towarzystwie i w poszóstnej karecie, bo inaczej bezpiecznie dojechać by nie mógł…

- Po kilku kolejnych przegranych potyczkach i bitwach - ciągnął Maksymilian - w drugiej połowie lipca naczelnik, ścigany przez moskali, skrajnie wyczerpany i poważnie chory, znowu znalazł schronienie w Ludwinowie. Tym razem przyjęła go pod swój dach sama pani domu, gdyż pan był nieobecny (tak nadojadły Piotrowi ciągłe wizyty powstańców i związane z nimi kłopoty, że przeniósł się do Kobrynia). Mimo dwóch rewizji - sprowadzonych na dwór przez donosicieli - Traugutt ocalał. A ściśle mówiąc: ocaliła go Eliza! Mądra, przewidująca, odważna i oddana mu pani Orzeszko.

- Tydzień później zaś powiozła go swoją karetą do granicy Królestwa - wtrąciłam znowu. - Wymagało to jeszcze większego heroizmu, a ona na ten heroizm się zdobyła.

- Ba, wymagało to nie tylko heroizmu, ale i mądrości nie lada, a ona ją w sobie znalazła - spuentował moją uwagę Maks. - Żołnierza z ruskiego patrolu tak omamiła, że pozwolił jej jechać bez przeszkód z rzekomym chorym krewnym do lekarza.

- Miała dużo szczęścia, bo gdyby żołnierz nie uwierzył jej na piękne oczy i zrobił dokładniejszą rewizję, przepadliby oboje.

- On i tak przepadł - westchnął ciężko Maks - tyle że kilkanaście miesięcy później. Pod koniec lipca dotarł do Warszawy, siedemnastego października był już dyktatorem powstania, dziesiątego kwietnia roku następnego został aresztowany, a piątego sierpnia stracony na stokach Cytadeli (wraz z czterema innymi członkami Rządu Narodowego).

- Biedny Piotr Orzeszko także przepadł - rzekłam po chwili ciężkiego milczenia. - I Florenty, jego młodszy brat, lekarz powstańczy.

- To prawda, w pewnym sensie - zgodził się z zastrzeżeniem Maks. - Piotr Orzeszko, aresztowany jesienią roku sześćdziesiątego trzeciego i, jako „podejrzany politycznie i niepożądany w kraju", skazany w grudniu roku następnego na dożywotnie osiedlenie w guberni permskiej, wyjechał do wskazanego mu miejsca (czyli do Osy) w marcu roku sześćdziesiątego piątego, lecz już w październiku sześćdziesiątego siódmego powrócił do kraju, zwolniony na mocy amnestii zwanej wierzbołowską. Bez rodziny i bez środków do życia, zmarł w Warszawie kilka lat później, w wieku lat pięćdziesięciu dwóch, można więc uznać, że nie tyle przepadł, co zmarniał, uwiądł, obumarł, wyrwany z korzeniami ze swojej ziemi. Znacznie wyższą cenę za uczestnictwo w buncie przeciw władzy carskiej - a dokładnie: za leczenie powstańców - zapłacił doktor Florenty, ulubiony szwagier Elizy. Wojenny sąd polowy w styczniu sześćdziesiątego czwartego roku skazał go na katorgę i bezterminowe zesłanie do Tomska na Syberii. Dzielny ten człowiek nie dał się pokonać Sybirowi - pokazał, co potrafi (skutecznie pomógł miejscowemu gubernatorowi), i odzyskał prawo uprawiania zawodu. Dzięki niemu szpital więzienny przestał być umieralnią, a szpital miejski zaczął naprawdę leczyć. Jego dom stał się przystanią dla wszystkich zesłańców. Zmarł w wieku lat siedemdziesięciu jako najbardziej zasłużony mieszkaniec Tomska. Pewnie wiesz, że utrzymywał kontakt listowny ze swoją ulubioną szwagierką?

- Ależ naturalnie. Nawet przysłał do Grodna swoją córkę Antoninę. Była u nas jakiś czas, ale potem kontakt ten się urwał. Powinny być w archiwum Elizy jego listy.

- A więc można powiedzieć - skonkludował mój skrupulatny mąż - że Florenty przepadł dla ojczyzny, ale przetrwał, i to bardzo istotnie, dla ludzi (nie powiem: dla ludzkości - z wrodzonej odrazy dla „wielkich" słów).

- A co powiesz o Elizie? Czy nie dziwi cię, że nie poniosła żadnej kary za udział w ruchu powstańczym? Bądź co bądź niemały udział. Jej jednej spośród wielu nie aresztowano, nie skazano, nawet nie przesłuchano!

- Dziwiło mnie to przez chwilę - odparł z namysłem. - Ale znalazłem wytłumaczenie. Eliza to prawdziwa demokratka: nie wynosi się nad innych, do ludzi niższego stanu odnosi się z szacunkiem, prostotą, życzliwością i troską. Dlatego cieszy się zaufaniem i sympatią. Tak jest teraz i tak musiało być wtedy. Zwróć uwagę, że na Piotra Orzeszkę doniósł do władz jego własny stangret, podczas gdy o działalności Elizy nikt nie pisnął słowa, choć wszyscy o niej wiedzieli. Dlaczego? Można się tego domyślić. Panowie szlachta nie cackali się ze swoimi chłopami czy służącymi, no to gdy nadarzyła się okazja, dostali od nich za swoje. Młoda pani Orzeszkowa była raczej wyjątkiem. Śledztwa, jakie toczyły się w sprawach powstańców, opierały się z zasady na donosach i zeznaniach sług dworskich oraz na informacjach chłopów. Przyznasz, że trudno się temu dziwić. Toteż autorka *Gloria victis* nie dziwi się, tylko za winy przodków naszych bije się w piersi.

- Powiedziałam wcześniej, że Eliza nie poniosła żadnej kary za udział. Ale przecież to nieprawda. Nie została aresztowana, skazana, uwięziona, to fakt. A jednak kary, które ponieśli ONI - straceni, uwięzieni, wypędzeni, wydziedziczeni, skazani na nędzę, poniewierkę, sieroctwo, tęsknotę i powolną śmierć - odczuła mocno i głęboko. Posłuchaj, co napisała do Antoniego Wodzińskiego w roku dziewięćdziesiątym szóstym, bo nie są to czcze słowa ani nie jest to literatura. *Stałam się dwudziestoletnim* - tu moje uściślenie: dwudziestodwuletnim - *świadkiem jednej z katastrof społecznych, najokropniejszych, jakie dostępnymi być mogą oczom śmiertelnych. Widziałam domy ludne i gwarne wymiecione z ludzi, jak w średniowieczne mory, wielkie mogiły, wznoszące się wśród lasów, kryjące tych, z którymi niedawno tańczyłam, nawiedzane tylko przez leśnych ptaków; widziałam szubienice, rysujące na niebie suche profile, blade strachy idących na śmierć, konające nadzieje, krwawe bóle, ponure żałoby, orszaki więźniów, dzwoniących łańcuchami w drodze na Sybir, z długimi za sobą orszakami rodzin osieroconych i wtrąconych w nędzę. Słyszałam odgłosy bitew, staczanych w wielkich lasach poleskich, wieści dochodzące z dala o zbiorowych śmierciach, spadających nie na setki, ale na tysiące ludzi po etapach sybirskich, od chłodu, nędzy, ścisku, zarazy… Widziałam ustawy prawne, jawne i tajemne (przed Europą tajone), które jak grad gęsty spadały na nas, odsądzając nas od posiadania ziemi, prawa do pracy, zarobku, zasługi, mówienia własnym językiem, uczenia dzieci naszych wiary i historii przodków w języku przodków. Nie tylko nie przesadzam, ale na ćwiartce papieru nie mogę zawrzeć tysiącznej części tej tragedii, która płomieniem i mieczem uderzyła w moje dwudziestoletnie oczy i serce. Aby ją w pełni opisać, trzeba by tomy pisać. A to, co napisałam, zmierza ku wyjaśnieniu momentu powstania mojej drogi autorskiej.*

- Zaiste, nie są to czcze słowa. - powiedział Maks po chwili głębokiego milczenia. Przysunął się z krzesłem do mojego fotela, opasał mnie ramieniem i mocno, serdecznie przytulił. Poczułam szybkie, szybsze niż zazwyczaj, bicie jego serca.

Maria Jentys-Borelowska

Katarzyna Brzóska

z żywiołów

Jimowi

są żywioły znane i nieznane
pomiędzy oko szaleńca
w murze nieistniejącego zamku
za nim las szybko dziczeje

odchodząc zewsząd naraz
oglądam się stuocznie za siebie
lubię kamienie

z pamięci

byłam sławną szwedzką pisarką
umarłam nad ranem
pierwszego dnia ostatniego zlodowacenia
zaskoczył mnie mrok
potężniejszy od ironii

napisałam kilka dobrych powieści
od piasku po śnieg
ta sama nieskończoność

dziś pamiętam tylko poezję

z płomienia

zupełnie sam
nikogo nie potrzebuje
nikogo się nie boi
tatuaż na skórze
wypala wzór smoka do kości

naciśnij spust
zakołysz ostrzem
Japonia łopoce jedwabiem

idą po niego
idą po mnie
nie wiadomo kto
nie wiadomo skąd
chcą dotknąć płomienia
na wietrze

z nienapisanej powieści

stara dusza
umarła w młodym ciele
zawsze będzie młodsza od wieczności
nienapisana powieść
na luźnych kartkach zszytych kamieniami
miała zbyt wiele czasu
żeby się napisać
nie napisała się
utknęła
między palcami
natrętny robak mantruje
w ciszy otwartych pięści
drąży skałę

z dymu

jeśli dym
to czarny staw
a na plecach chłód
dziki jak krzyczące stado

ze zmęczenia
można schować twarz
w pożodze

kto ją widział
niech pierwszy spojrzy za siebie

z matki

wyjmuję kurek z wanny pełnej morza

odpływam na wstecznym do zygoty

nie chce być swoją matką
sobą też nie

jestem kim jestem

z twarzy
nikim
z kropli

każdym

z zieleni kamienia

za dużo mówią
kamień słucha
jak zieleń

schowaj mnie kamieniu
w zaklęciu uschniętej łuski
będą ryli znaki
nie odpowiem

Zdzisław Drzewiecki

Norwid

Mieszkańcy domu św. Kazimierza
budzą się na długo przed pierwszym kurem.
Ustawiają swe wiotkie ciała przy oknie
i szklistym wzrokiem wpatrują się
w gwiazdy, tonące w Sekwanie.
Ukradkiem palą papierosy,
skręcone z paryskich dzienników.
Skurcz mięśni twarzy jest
jedyną reakcją na zakazane wspomnienia.

Czasami w łupinę drżących dłoni
spłynie cierpki kryształ łzy,
a drewniane wargi wyszepczą
„tęskno mi Panie".
Mieszkańcy domu św. Kazimierza
znają jedynie topografię sufitów
i makatek rozpiętych nad łóżkami.

Nie mają już adresów i nazwisk,
listów nie przychodzą z tego świata.
Czasami dojdzie ich uszu gwizd parowozu
lub odgłos ptasiego krzyku.
Rano nikt już jednak o tym nie pamięta.
Jedyną rzeczą, jaką im pozostawiono
jest obce niebo, na wyciągnięcie ręki.

Wykrzywione kółko życia

Wykrzywione kółko życia,
piąta rano, nic do picia
nie ma już.
Ktoś wyciągnął akordeon,
gorzko westchnął wujek Leon,
wspomnień kurz.
Kółko życia wykrzywione,
na miedzianą reszki stronę,
na miedzianą reszki stronę,
na bolesny duszy jęk.

I nikt w Boga tu nie wierzy,
żyją, że aż włos się jeży,
taki los.

Księżyc blady jak tekturka,
gdzieś w oddali sygnaturka,
kwili w głos.

Niedopałek w dłonie parzy,
flaszka piękna jak ołtarzyk,
tani zgon.
Miłość się już nie przydarzy,
zdrowie naszych marynarzy,
w krtani dzwon.
Kółko życia wykrzywione,
na miedzianą reszki stronę,
na miedzianą reszki stronę,
na bolesny duszy jęk.

Na pustym dworcu w Ł.

Noc rozlewa się gęstym fioletem.
Gdzieś znikają światła ostatniego autobusu,
który mógł mnie stąd jeszcze zabrać:
niebieski trolejbus zabierze mnie stąd, trolejbus ostatni .
Z otwartych toalet dochodzi odgłos
radioodbiornika i smród niespłukiwanych pisuarów.
Miasto rozprute jak brzuch ryby, wchłania ostatnich wędrowców,
ale ja nie mam tutaj już żadnych tropów, które mógłbym podjąć,
żadnych zahaczeń, zaczepień. Wskazówki dworcowego zegara utknęły
w czasoprzestrzeni. Wklęsła samotność.
Książka pozwala nie zasnąć. W całodobowym barze kelnerka podaje mi
ratunkowe koło kawy. Klisza pamięci przewija się w zwolnionym rytmie.
Czarne słońca wypalają wspomnienia.
Wyjechać stąd przed świtem, zanim wszystko tak kusząco się pootwiera.

*****

książę dłoń twoja delikatna niczym z alabastru
jakby z weneckich mistrzów czerpała natchnienie
jeszcze ciepła pieszczotą uczynnej kochanki
a już kreśli w przestrzeniach geometrię szyków
naszej kawalerii
unikaj służalczych przyjaciół
z ich kołowrotkami języków
oni są groźni niczym nocne zaułki gdzie błyskotki
noży mrugają złowrogo
w tym małym kamyku który właśnie podniosłeś
z wilgotnego brzegu jeziora
cały wszechświat książę
cały wszechświat
tyle obrotów słońca
ile naszych nadziei na wolność
o świtaniu goniec przyniesie złe wieści
szafot już wznoszą ku uciesze tłumów i własnej próżności
ale póki co śpij dobrze książę
reńskie wino jest dobre
na takie przypadki kiedy brak filozofii
która dogodnie tłumaczyłaby dookolne sprawy
kiszki ulic parują lubieżnie
za tę jedną noc
świat się upomni o ciebie książę

Paliłem dzisiaj święte ognie

Paliłem dzisiaj święte ognie
na grobie Maćka od gitary,
anioł kołysał się u głowy,
póki we flaszce był rozmaryn.

Cmentarna baba łypie ślepiem,
ostatnim zębem uczepiona
życia, które tu w takiej jest wycenie
jak niegdysiejszy śnieg Villona.

Ja, pijąc z butelczyny resztki,
modliłem w sercu się po cichu,
w obawie wielkiej by się,
nie zbudził we mnie Raskolnikow.

I bym nie zwątpił w myśl, co jasną
gwiazdą się ponad dachy wznosi,
abym na mrozie, gdzie nie zasnął,
i z aniołami się przeprosił.

****

skąd nadciągnie wyprawa ratunkowa
o godzinie tak wczesnej że pozamykane są jeszcze semafory miasta
wsłuchani w Sweet Home Alabama Lynyrd Skynyrd
tworzymy katalog naszych ostatnich snów
posiłkując się astrologią i mocnym piwem
kiedy utkwiliśmy tutaj w tych ścianach
nie sądziliśmy że będą to ściany naszego płaczu
w obcym mieście w którym poruszamy się po omacku
wśród setek takich samych rozbitków czasami uda nam się nawiązać kontakt
z akwizytorem sprzedającym pościel z Dalekiego Wschodu
i to jedyne ślady egzotyki na naszym szlaku
blokowisko noc punkciki świateł za oknem
każdy pali lampkę swojej samotności
w martwym mieście nadajemy my day

*****

Rozmowa nasza przedwieczorna
dopala się w sercu ogniska,
kiedy na białoborskie domy,
księżyca, złota, twarz połyska.

I jest jak dawniej, tak jak kiedyś,
anioły w kręgu zasłuchane,
łatają dziury w białych skrzydłach,
by móc odlecieć w dal nad ranem.

A póki co pijemy bimber,
co się ze śliwek wykołysał,
kiedy na białoborskie domy,
zalega całonocna cisza.

I tak do rana w zadumaniu,
nad dziurą w bucie rozczuleni,
z wiarą, że nowy dzień co przyjdzie,
w człowieka znowu nas odmi

A ty tylko bądź blisko

Wszystkie moje ślady odnajduję w Twych oczach,
wszystkie nasze zapachy odnajduję w Twych włosach,
wszystkie nasze czułości odnajduję w Twych dłoniach,
wszystkie lęki zatracam w nieprzespanych nocach.
A ty tylko bądź blisko,
uspokajaj mnie słowem,
spraw by nasze igrzyska,
milczeniem nie były jałowym.
I niech nas nie rozdziela, nic prócz naszej skóry,
ani słowo fałszywe, ani gest niechciany.
Niech nas nie rozdziela straszliwa rutyna,
która każe się oczom odwrócić do ściany.
A więc bądź blisko.
Zawstydzona.
Jakbyś z firmamentu dopiero co zbiegła,
by kołysać w sobie nieba łódkę małą.
Ty - w geometrii nocy nade wszystko biegła.

ESEJ

Krzysztof Szymoniak

Cukier krzepi, czyli Lotem bliżej
Melchior Wańkowicz czytany po latach

Oba zawarte w tytule slogany reklamowe – „Cukier krzepi" oraz „Lotem bliżej" – są autorstwa Melchiora Wańkowicza. Pierwszy powstał w roku 1931, w ramach otwartego konkursu ogłoszonego przez Związek Cukrowników, w którym pan Melchior pracował jako doradca reklamowy. Zwycięzca konkursu otrzymał za te dwa słowa nagrodę w wysokości ówczesnych 5000 złotych, a warto przypomnieć, że pensja Prezydenta RP wynosiła wtedy 3 tysiące zł. Po latach wspominał w rozmowie z Krzysztofem Kąkolewskim: Dostałem, jak przypuszczam, najwyższe honorarium na świecie za dwa słowa (patrz: Krzysztof Kąkolewski, *Wańkowicz krzepi*, Czytelnik 1973). Drugi słynny slogan reklamowy Wańkowicz stworzył już po powrocie do PRL z emigracji, czyli po roku 1958. To właśnie on w roku 1971 zwyciężył w konkursie Polskich Linii Lotniczych LOT hasłem „Lotem bliżej". Jaką nagrodę – spytacie – otrzymał za te kolejne dwa zwycięskie słowa? Jeden darmowy przelot samolotem.

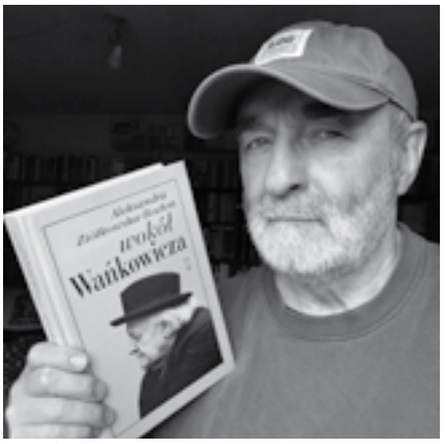

Krzysztof Szymoniak, z archiwum autora

Swoją, trwającą do dzisiaj, przygodę literacko-czytelniczą z Melchiorem Wańkowiczem rozpocząłem w roku 1973, krótko po maturze, jeszcze za życia pisarza, rok przed jego śmiercią, gdy kupiłem pierwszy tom (który ukazał się rok wcześniej w Wydawnictwie Literackim) ostatniego dzieła Mistrza, czyli *Karafkę La Fontaine'a*. Byłem wówczas ciągle jeszcze początkującym poetą, chociaż – co tu ukrywać – z pięcioletnim już stażem zapisywania kajetów tekstami podpadającymi pod rymowaną mowę wiązaną i wiersz biały. Jak niemal każdy średnio świadomy swych braków kandydat na literata szukałem i ja wsparcia w tej materii. Pamiętam więc z tego okresu w swojej domowej biblioteczce, zupełnie nieźle już sprofilowanej jak na amatora, najważniejsze wówczas dla mnie przewodniki po świecie literatury: *Alchemię słowa* Jana Parandowskiego, *Od czystej formy do literatury faktu* Artura Hutnikiewicza, *Mit śródziemnomorski* Mieczysława Jastruna, działające jak jedna wielka przestroga *Vademecum grafomana* Jerzego Wittlina i właśnie pierwszy tom *Karafki* Wańkowicza, ten z karafką na obwolucie, z którego niewiele dowiedziałem się o pisaniu wierszy, natomiast najwięcej o sztuce reportażu, gawędzie i języku. Mądrość *Karafki La Fontaine'a*, będącej summą wiedzy i praktyki pisarskiej pana Melchiora, pojąłem i w pełni zacząłem sobie przyswajać kilka lat później, kiedy wiersze pisywałem już tylko do szuflady, a na życie zacząłem zarabiać dziennikarstwem prasowym, najpierw w Gnieźnie, a potem w Poznaniu.

Tak więc, jak to niekiedy w życiu bywa z wyborami drogi zawodowej, moje pierwsze poważne i długoterminowe zatrudnienie „literackie" okazało się dziennikarstwem. Zawód ten wykonywałem (z dwiema krótkimi przerwami na etat szkolnego polonisty) od roku 1980 do 2003. Największe sukcesy (mierzone oczywiście miarą swoich skromnych możliwości) odnosiłem na polu reportażu społecznego i reportażu literackiego (wszedłem więc poniekąd w buty Melchiora Wańkowicza), za co nagradzany bywałem finansowo i honorowo głównie w środowisku prasy poznańskiej i wielkopolskiej (Poznań, Gniezno, Ostrów Wlkp., Konin), tyle tylko, że wówczas bliżej mi było do Ryszarda Kapuścińskiego („Busz po polsku", „Cesarz", „Heban", „Imperium", „Szachinszach") i polskich oraz czeskich reportaży Mariusza Szczygła. O wielkich reportażach Wańkowicza i jego najważniejszych książkach emigracyjnych, oraz tych z okresu dwudziestolecia międzywojennego, których nie mógł mi zaoferować przeżarty sowiecką cenzurą PRL, miałem takie mniej więcej pojęcie: coś tam czytałem, coś tam wiedziałem, gdzieś tam próbowałem szukać wiedzy o nich, ale ciągle brakowało mi czasu na solidną lekturę popartą cenzusem zawodowego polonisty.

Wańkowicz - student UJ - Kraków

Zofia - przyszła żona Wańkowicza - Kraków, studentka UJ

Dopiero krótko po śmierci rodziców (ojciec – 2011, matka – 2013), gromadząc i porządkując materiały związane z ich biografią, siłą rzeczy zainteresowałem się dwudziestoleciem międzywojennym i tamtą Polską, ich odzyskaną po wielkiej wojnie Ojczyzną, w której przyszli na świat (podobnie jak obie córki Zofii i Melchiora Wańkowiczów – Krystyna i Marta), w której wychowali się i z której w roku 1940 zostali wywiezieni w głąb Rzeszy jako robotnicy przymusowi. Byłem ciekaw tego, jak wyglądał tamten ich polski świat, z czego się składał, co było w nim piękne i dobre, a co złe i trudne. Przeczytałem wówczas w ciągu pięciu lat kilkadziesiąt książek (i pomniejszych artykułów) traktujących o polskim dwudziestoleciu międzywojennym, włącznie z *Wyprawą w dwudziestolecie* Czesława Miłosza i *Sztafetą* Melchiora Wańkowicza. Wkrótce zorientowałem się też, że interesujące mnie nastroje, klimaty i dumę z odzyskanej wolności streszcza oraz kształt tamtej rzeczywistości odmalowuje Wańkowicz w emigracyjnej publicystyce (Dzieła Emigracyjne, tom 3, *Klub Trzeciego Miejsca*, podrozdział *Kompleks bezwładu wobec bolszewizmu*, s. 79-81, Wydawnictwo Polonia, Warszawa 1991). Oto kondensat tychże:

Polska w minionym dwudziestoleciu nie mogła znaleźć swego oblicza. Narodziła się ponownie na dawnym szlaku historycznym w straszliwej nędzy. W perzynę obrócono niemal dwa miliony budynków, zaprzestano całkowicie uprawy na więcej niż czterech milionach hektarów, zniszczono cztery miliony bydła, wywieziono dziesięć tysięcy najcenniejszych maszyn, z pozostałych zdarto sto tysięcy ton miedzianej armatury i ponad milion metrów pasów rzemiennych. Jeszcze w 1921 roku, w trzy lata po tym, kiedy świat zakończył wojnę, około miliona ludzi gnieździło się w siedemdziesięciu pięciu tysiącach chlewów, stodół i nor w ziemi.

Melchior i Zofia Wańkowiczowie - Sopot 1958, po powrocie z emigracji

Linie kolejowe, szosy i spławy z tego zlepku trzech państwa były niepowiązane, centra gospodarcze uplasowane w myśl potrzeb innych organizmów, dawne rynki kontynentalne (Rosja i Niemcy) zamknięte, stosunków na świecie żadnych, floty handlowej żadnej.

Kiedy Zachód dostawał odszkodowania aż do pociągów szumiących pszczelimi ulami włącznie, kiedy w Niemcy pakowano olbrzymie kredyty, Polska została sama, rządzona przez garść eks-legionistów, nie mających do końca pojęcia o gospodarczych i światowych zagadnieniach, wspomaganych radami typowo prowincjonalnej galicyjskiej biurokracji, rekinów reprezentujących obce kapitały i Żydów. (…) Podczas kiedy Finlandia mogła spokojnie dorabiać się na swoim drzewie, Estonia na lnie, Litwa na nabiale i Łotwa na bekonie – my mieliśmy dywersję ukraińską na południu, bolszewicko-białoruską na północy, osiemset tysięcy Niemców, trzy miliony Żydów, brak mieszczaństwa, przemysł w obcym ręku, nieprzewarstwienie wewnętrzne i poczucie, że musimy się zdobyć na mocarstwowość, bo zginiemy – stąd polityka dumpingowa, stąd owe sławne polskie węgiel i cukier, pięciokrotnie tańsze za granicą.

A wszystko to działo się w zmieniającym się świecie. Polski COP-ik [Centralny Okręg Przemysłowy – K. Sz.] *biegnący z wywieszonym językiem za magnitogorskimi i dnieprostrojowymi bernardami, polski komarzy brzęk OZON-u* [Obóz Zjednoczenia Narodowego – j. w.] *wobec ryków norymberskich, sprawiać by mogły wrażenie komiczne (i ileż tych natrząsań się było po roku 1939 w prasie zaborców), gdyby nie przeczucie tragedii. Tragedia polegała nie na naszej biedzie, na naszych trudnościach, tylko na tym, że ta bieda, przełamana o konieczności geopolityczne, gdy sześćdziesiąt procent budżetu państwowego szło na wojsko (wraz z KOP-em* [Korpus Ochrony Pogranicza – j. w.] *i innymi ukrytymi pozycjami, kiedy w obecnej reżimowej Polsce – osiem), co nie pozwoliła na wytworzenie żadnego stylu*.

*

Po lekturze *Sztafety* (książka o polskim pochodzie gospodarczym w II RP) sięgnąłem po absolutny przedwojenny hit wydawniczy, czyli *Na tropach Smętka*, następnie po *Ziele na kraterze*, *Szczenięce lata*, *Opierzoną rewolucję*, *Tworzywo* i *Drogą do Urzędowa*. Każda z tych książek inaczej otwierała przede mną świat i życie Wańkowicza (wpisane w dzieje rodziny, w osobistą biografię, w panoramę losu polskiego tamtych czasów), ale także – co mnie szczególnie zajmowało – świat i realia II RP, których szukałem od kilku lat w wielu innych publikacjach. Przełomem w mojej prywatnej percepcji twórczości Wańkowicza okazał się początek roku 2024, roku pięćdziesiątej rocznicy śmierci Mistrza (zmarł w warszawskim szpitalu 10 września 1974, o godz. 4:10 rano). To wtedy właśnie, w styczniu, otrzymałem z Gorzowa (od pani Barbary Schroeder, uznanej i cenionej animatorki miejscowego życia artystycznego i kulturalnego, która współpracuje z tamtejszą Wojewódzką i Miejską Biblioteką Publiczną) propozycję przygotowania na 10 września solidnego wystąpienia przybliżającego gorzowskiej publiczności życie i twórczość Melchiora Wańkowicza, o którym przyjaciele i znajomi mówili po prostu Mel.

I tak, zagłębiając się w temat zdałem sobie sprawę z faktu, że z przyswajaniem dzieł Mela od końca lat 50. do współczesności (zwłaszcza przyswajaniem masowym i patriotycznym) jest pewien istotny problem, taki mianowicie, że czytelnicy z mojego pokolenia (rocznik 1953 +/– 3 lata), a i o dziesięć, piętnaście starsi, pierwszy raz czytali w PRL-u książki Wańkowicza głównie w latach 60. i 70. Wtedy to, zwłaszcza w drugiej połowie lat 60., po gomułkowskich represjach, jakich Wańkowicz doświadczył za podpisanie Listu 34 i za współpracę z Radiem Wolna Europa (do której nigdy się nie przyznał), nagle w ramach odwilży zaczęły się ukazywać w dużych nakładach jego Dzieła Wybrane (nad czym Wańkowicz prywatnie bardzo ubolewał, że nie są to Dzieła Zebrane), tyle tylko, że w wielu przypadkach pokiereszowane cenzorskimi skrótami. Czy to im jednak, owym czytelnikom, wtedy przeszkadzało w lekturze pięknie edytorsko wydanych książek, ozdobionych wystanym w godzinnej kolejce autografem Mistrza? Nie sądzę. Większość zwykłych miłośników dzieł pana Melchiora (a przecież pamiętam te czasy) cieszyła się samym faktem ich posiadania, nie zgłębiając zapewne tematu cenzorskich ingerencji w tekst, bo te książki przychodziły z innego świata i pokazywały inny świat niż ten z twarzą Stalina, Bieruta, Gomułki i wszechobecnej bezpieki. Dzisiaj, gdy ktoś im o tym powie, gdy ktoś wskaże im konkretne, wydane w PRL tytuły, okaleczone przez cenzurę i redakcyjną samowolę, najczęściej nie rzucają się na nowe, pełne wydania dzieł Wańkowicza, bo ich po prostu nie posiadają, nie odczuwają więc potrzeby sprawdzania i porównywania czegokolwiek z czymkolwiek. Podejrzewam i to, że dawni czytelnicy *Szczenięcych lat*, *Opierzonej rewolucji* i *Ziela na kraterze* nie mają już pod ręką nawet tych wczesnych wydań, którymi kiedyś (ich lekturą) wypełniali długie zimowe wieczory, ponieważ – jeśli mieszkają przy rodzinie – nastoletnie wnuczęta wyniosły je na makulaturę lub do szafy bibliotecznej (bookcrossing), robiąc miejsce dla książek będących odbiciem ich własnego świata i odpowiedzią na ich współczesne zainteresowania.

Skoro jednak temat skrótów cenzorskich został poruszony, to proponuję kilka przykładów. Dla jasności podaję ich numerację w nawiasach kwadratowych. [1] Z trzytomowego wydania *Bitwy o Monte Cassino* (pierwsze wydanie Rzym-Mediolan 1945-47), w Polsce Gomułki (czego środowiska emigracyjne nigdy Wańkowiczowi nie wybaczyły), książka ukazała się dopiero w roku 1958, po powrocie pisarza do kraju, jednak pod zmienionym tytułem – *Monte Cassino* – i w wersji okrojonej przez cenzurę. Z jednotomowego wydania krajowego (do którego trafiły zresztą inne ilustracje niż te z wydania rzymskiego) usunięto m.in. dużą część tekstu z opisami poniewierki żołnierzy armii Andersa w Związku Radzieckim. Polsko-sowiecka cenzura nie zamierzała pozwolić na to, aby peerelowski czytelnik mógł oficjalnie dowiadywać się, iż żołnierze ci wyszli na Bliski Wschód ze zsyłek, z lasów Syberii, z łagrów, z kopalń Workuty, ze stepów Kazachstanu, wcześniej wywożeni z rodzinami z dawnych Kresów bydlęcymi wagonami do sowieckiego raju, gdzie czekały na nich głód, mróz, wyniszczająca praca ponad siły zdrowego człowieka, choroby, przemoc, nienawiść, obłąkańcza ideologia, a wreszcie śmierć. Na marginesie tylko wspomnę, że doskonale tę sytuację ukazuje Wańkowicz także w miniopowieści *Dzieje rodziny Korzeniewskich* oraz w VIII rozdziale książki *Drogą do Urzędowa* – z tego też powodu obie te książki były w PRL zakazane i skazane na zapomnienie.

[2] Jedyną książką przedwojenną Wańkowicza (poza *Na tropach Smętka*), która miała szansę ujrzeć światło w komunistycznej Polsce, była *Opierzona rewolucja* – reportaż-relacja z wycieczki dwudziestu pięciu polskich pisarzy do Moskwy w lutym 1933 roku. Ponieważ autor spojrzał w swoim reportażu na sowiecką Rosję z pewnym zrozumieniem, z rodzajem historiozoficznej życzliwości, w PRL uznano, że można tę niewielką książeczkę opublikować, ale cenzura i tak wycięła z niej 1/4 całości, te wszystkie zdania i refleksje autora, które ukazywały ówczesną, siermiężną i z lekka obłąkańczą rzeczywistość sowiecką, pełną absurdów, czyli w niezbyt korzystnym świetle.

[3] Wydawnictwo ISKRY w roku 1976 wypuściło na rynek antologię *Klucze do zdarzeń*. Był to właściwie wybór reportaży z Polski i o Polsce (w ramach Biblioteki Literatury XXX-lecia), do którego trafił również tekst Melchiora Wańkowicza „Panie Wańkowic – to tędy". Rzecz w tym, że oryginalna, →

autorska wersja tego reportażu nosi tytuł „Nasza kamienica" i jest ostatnim rozdziałem książki *Tędy i owędy*. Autorzy antologii, owszem, napisali, że jest to „Fragment książki *Tędy i owędy*", owszem, poinformowali czytelników, że tytuł tego „fragmentu" pochodzi od redakcji, ale nie dodali, że jest to fragment fragmentu. O tym, że jest to bardzo skrócona wersja reportażu (a właściwie opowiadania opartego na faktach) „Nasza kamienica" można się przekonać na dwa sposoby: albo dokładnie śledząc tekst opublikowany w antologii, w którym pięć razy pojawia się znak „(…)", czyli graficzna informacja o dokonanym skrócie, albo porównując tekst z wersją oryginalną, umieszczoną w wydaniu dzieł wszystkich Wańkowicza w roku 2010 (Prószyński i S-ka). Jeżeli ktoś w roku ukazania się tej antologii, czyli dwa lata po śmierci autora, nie znał wersji oryginalnej opowiadania „Nasza kamienica", nie mógł się zorientować, że w antologii zniknął także początek tego opowiadania, obejmujący kilka pierwszych stron tekstu. Oczywiście dzisiaj nie dowiemy się już, czy te skróty uzgodniono ze spadkobiercami praw autorskich i majątkowych, czyli z rodziną Melchiora Wańkowicza, oraz czy motywacją dokonania owych skrótów były względy wyłącznie oszczędnościowe (zbyt duża objętość tekstu oryginalnego)? Ja, znając obie wersje opowiadania – tę oryginalną i tę skróconą przez redaktorów antologii – odnoszę wrażenie, że tekst Wańkowicza „oczyszczono" redakcyjnie (zapewne na skutek ingerencji cenzury) ze wszystkich fragmentów ukazujących tragikomiczne realia PRL-u, obnażających absurdy polskiego socjalizmu, w tym wypadku dziejącego się w Warszawie, a konkretnie w jednej tylko wielopiętrowej, czynszowej kamienicy.

[4] Na koniec przykład *Ziela na kraterze*. W nowym, pełnym wydaniu tej książki (Wydawnictwo GREG, Kraków 2018) znajduje się posłowie Grzegorza Nowaka, w którym czytamy między innymi: *Zatem w obecnych warunkach oczywistym wydaje się takie opracowanie* Ziela na kraterze*, które niesie za sobą zachowanie najdrobniejszych nawet Wańkowiczowskich akcentów, przy jednoczesnym pominięciu wszystkich przejawów samowolnego działania czy nadgorliwości redakcyjnej, korektorskiej i cenzorskiej oczywiście. A było nad czym pracować. Ostatnie wydania* Ziela…*, oparte na edycji z roku 1983, zawierają około pięciuset nieautoryzowanych bądź cenzorskich zmian względem tekstu opublikowanego w Nowym Jorku w 1951 roku, i drugie tyle samowolnych zmian w obszarze interpunkcji! Wiele z nich wprowadzono już po roku 1974* [rok śmierci Wańkowicza – K. Sz.]. *Niektóre są bardzo „wyrafinowane", inne tchną tylko napuszoną mądrością redakcji, jeszcze inne są po prostu przypadkowe, nielogiczne lub wręcz głupie. (…) Przystrzygane latami* Ziele na kraterze *ma wreszcie szansę pojawić się w swej czystej, niezniekształconej formie, jaką nadał mu autor w wolnym świecie i jaką chciał widzieć w swojej Ojczyźnie*. Tu należy przypomnieć, że w roku 1949 Wańkowicz opuszcza z żoną Zofią Londyn (mieszkali we własnym domu w dzielnicy Ealing) i przenosi się do Stanów Zjednoczonych, gdzie mieszka i pracuje na farmie córki i zięcia. To właśnie tam w roku 1950 pisze *Ziele na kraterze*, które ukazuje się w Nowym Jorku, w wydawnictwie Roy Publihsers. Jest to wzruszająca opowieść o losach polskiej rodziny Wańkowiczów (Melchiora i Zofii), rodziny ukazanej od momentu przyjścia na świat ich córek – Krystyny (1919) i Marty (1921) – po lata amerykańskiej emigracji. Widzimy więc rodzinę, która najpierw zostaje

Marta - młodsza córka Wańkowiczów

Krystyna - strsza córka Wańkowiczów

uwikłana przez historię w dwie okupacje – niemiecką i sowiecką, a potem w Powstanie Warszawskie (gdzie 6 sierpnia ginie Krystyna Wańkowicz) i w końcu rozrzucona po świecie. Pisząc tę książkę w wolnym kraju Wańkowicz nie miał żadnych oporów, aby pokazać prawdę także o działaniach sowietów na polskiej ziemi i wobec polskiej ludności. W efekcie, kiedy w roku 1957 ukazuje się pierwsze krajowe wydanie *Ziela na kraterze*, komunistyczna cenzura je masakruje, wycinając z tekstu wszystkie, najdrobniejsze nawet ślady odnoszące się do Rosji sowieckiej, do rozpoczynającej się 17 września 1939 roku okupacji polskich Kresów, do jakichkolwiek uwag i wspomnień, które pokazują rodzinę i znajomych Wańkowicza na tle sowieckich realiów, bez bawienia się w eufemizmy i mowę ezopową. W efekcie polski czytelnik otrzymuje książkę okaleczoną, która pokazuje wojenne losy bohaterów wyłącznie w kontekście okupacji niemieckiej. Można to dokładnie sprawdzić, porównując akapit po akapicie, linijka po linijce druku wersji oryginalnej, o której wspomina cytowany przed chwilą Grzegorz Nowak, z wersją krajową, ocenzurowaną. Ponieważ posiadam obie te wersje książki, mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że różnica między nimi, jeżeli chodzi o treść, jest po prostu dramatyczna.

W tej sytuacji należy zadać pytanie, dlaczego Wańkowicz godził się na brutalne skracanie, a tym samym niszczenie swoich książek (wydawanych w PRL) przez redaktorów, ale przede wszystkim przez cenzurę? Powód był tylko jeden i przyjmowany w pełni świadomie: Wańkowicz chciał być czytany przez Polaków w ojczyźnie, wiedział, że na emigracji rynek polskiej książki będzie zamierać, więc on, jako autor, pójdzie szybko w zapomnienie, a jego dzieła utracą na zawsze odbiorcę, dla którego były pisane i do którego były kierowane. Miał świadomość, że w Polsce komunistycznej, po powrocie z emigracji, albo zgodzi się na ingerencje cenzury, albo po prostu nie będzie drukowany i tym samym czytany. Aleksandra Ziółkowska-Boehm, autorka książki *Wokół Wańkowicza*, na stronie 569 swojej pracy pisze o tym tak: *Niektórzy mieli też pretensję do pisarza o samą jego decyzję powrotu do kraju. Jeszcze w obecnych latach spotyka się zarzut, że Wańkowicz wrócił „nie do Polski, tylko do PRL". Zawsze będę uważać, że wrócił do kraju, do swoich czytelników i do Polski. Nie dał się wciągnąć w żadną akcję czy grę, wytoczono mu proces polityczny, który stał się najgłośniejszym procesem politycznym lat sześćdziesiątych. Gdyby został na emigracji, umarłby pewnie zgorzkniały, w biedzie, skłócony ze środowiskiem polonijnego establishmentu. Ilu czytelników miałyby jego książki? Jaką rolę odegrały te ostatnie w kształtowaniu świadomości narodowej Polaków, trudno teraz zmierzyć, ale jest ona niezaprzeczalna.*

Od całkowitej zagłady w PRL książek „niecenzuralnych" ratował się Wańkowicz w ten sposób, że cenzuralne ich fragmenty wkładał do zbiorów reportaży, wspomnień i publicystyki, by ocalić z nich chociaż cokolwiek. W ten sposób na krajowy rynek trafiły książki *Prosto od krowy*, *Zupa na gwoździu*, *Od Stołpców po Kair*, *Przez cztery klimaty*, *Wojna i pióro* – gęsto usiane wyimkami z książek blokowanych przez cenzurę. Znajdziemy w nich to między innymi, co dzisiaj można już czytać w pełnej, autorskiej wersji, oczywiście jeżeli dysponujemy egzemplarzami książek Wańkowicza wydanymi albo przed wojną, albo na emigracji, albo w Polsce po roku 1990 i wyłącznie pod nadzorem rodziny Mela lub redaktorów przywracających tym książkom ich pierwotny kształt. W grę wchodzą również tanie, popularne, ale już pełne wydania z XXI wieku, tak zwane lekturowe (np. *Szczenięce lata*, *Tędy i owędy*, *Ziele na kraterze* czy *Monte Cassino*) oraz także reprinty pierwszych wydań, czyli np. takież edycje *Na tropach Smętka, Sztafety* czy *Bitwy o Monte Cassino*. W tym miejscu warto wspomnieć o wielkiej popularności właśnie reprintu *Bitwy o Monte Cassino*, który ukazał się w roku 1989 za sprawą Wydawnictwa MON. Dzięki niemu czytelnicy, którzy nie mieli dostępu do wydania emigracyjnego (Wydawnictwo Oddz. Kultury i Prasy 2 Polskiego Korpusu, Rzym 1946), mogli pierwszy raz po wojnie kupić w księgarni pełną wersję (jeżeli chodzi o tekst i niezwykle bogatą szatę graficzną z dwoma tysiącami ilustracji, rysunków, mapek i zdjęć) tej nie tylko kultowej, ale i masowo czytanej oraz autentycznie przeżywanej przez Polaków książki Wańkowicza. Reprint ten miał dwa wydania, w drugim osiągnął nakład 31 tysięcy egz., w tym tysiąc w oprawie płóciennej. Oba wydania reprintu rozeszły się błyskawicznie, czyli w kilka dni. Oryginały przedwojenne *Sztafety* i *Na tropach Smętka*, można kupić w dobrych antykwariatach za 500-600 zł. Oryginał rzymski *Bitwy o Monte Cassino* widziałem na Allegro za 3500 zł.

Zreasumujmy powyższe uwagi, przykłady i spostrzeżenia. Mówiąc krótko, jeżeli żyjący ciągle czytelnicy z lat 60., 70. i 80. nie prze-

czytali tych samych książek Wańkowicza jeszcze raz, ale wydanych już po upadku komuny i likwidacji cenzury, zwłaszcza jeżeli nie przeczytali jego pięciotomowej edycji Dzieł Emigracyjnych (z początku lat 90.), które w PRL-u w wersji oryginalnej ukazać się nie mogły, to prawdopodobnie mają niepełny obraz tej twórczości. Dzisiaj zatem, jeżeli Wańkowicz kogoś nadal interesuje, najlepiej sięgnąć po kompletne dzieła zebrane (16 tomów dużego formatu), które ukazały się w XXI już wieku za sprawą Wydawnictwa Prószyński i S-ka. Wszystkie zaopatrzone są w fachowe, merytoryczne wstępy lub/i posłowia, co ułatwia nie tylko ich odbiór, ale też pozwala zrozumieć priorytety warsztatowe i tematyczne Mela. Wspominam o istniejącym nadal zainteresowaniu książkami Wańkowicza w trybie nieco przypuszczającym (zwłaszcza wśród czytelników młodego pokolenia), ale nie wątpię, że takowe jednak istnieje, o czym świadczą ceny w antykwariatach i na Allegro, jakie osiągają niektóre pozycje z tej niewątpliwie pomnikowej, 16-tomowej serii, do której Copyright posiada rodzina Melchiora Wańkowicza. Wydawnictwo Prószyński i S-ka zaopatrzyło na swojej stronie tę serię dział zebranych w należyty, choć rzecz jasna skrócony biogram Mistrza, autorstwa Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm. Czytamy w nim między innymi:

Melchior Wańkowicz (1892-1974) – wybitny polski pisarz nazywany królem reportażu, jedna z największych indywidualności polskiej literatury XX wieku. Urodził się 10 stycznia 1892 roku w ziemiańskiej rodzinie herbu „Lis odmieniony" w rodzinnym majątku w Kałużycach w powiecie ihumeńskim, ziemi mińskiej na Białorusi, jako syn Melchiora, powstańca 1863 roku i zesłańca na Syberię, i Marii ze Szwoynickich. Ojciec zmarł, gdy Melchior miał rok, matka – gdy miał trzy lata. Oddany został na wychowanie do babki, Felicji z Baczyżmalskich. Dzieciństwo spędził we dworze w Nowotrzebach na Kowieńszczyźnie. Po nauce domowej został oddany do drugiej klasy (jeszcze rosyjskiego) Gimnazjum gen. Pawła Chrzanowskiego (obecnie im. Jana Zamoyjskiego) w Warszawie. W 1906 roku ukazał się jego pierwszy drukowany tekst – szarada w humorystycznym piśmie „Osa". W latach szkolnych za działalność konspiracyjną został skazany na więzienie. W 1909 r. założył konspiracyjne pismo „Wici" drukowane w nakładzie 2000 egzemplarzy, w którym zadebiutował jako dziennikarz. Pisał pod pseudonimem Jerzy Łużyc. W 1907 roku wstąpił do konspiracyjnej Trójzaborowej Organizacji Narodowej Młodzieży Szkół Średnich „Przyszłość" (popularna nazwa Pet). W 1909 roku został wybrany jej sekretarzem generalnym. Studia rozpoczął w krakowskiej Szkole Nauk Politycznych (dyplom w 1914 r.), kontynuował na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dyplom magistra prawa uzyskał na Uniwersytecie Warszawskim w 1923 roku. W 1916 r. poślubił Zofię z Małagowskich. W 1917 wstąpił do 1 Korpusu Wschodniego, którym dowodził gen. Józef Dowbor-Muśnicki. W 1920 r. wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej, był podoficerem Związku Strzeleckiego. Był założycielem i współwłaścicielem wydawnictwa „Rój". Wydawał książki Zofii Kossak, Marii Kuncewiczówny, Juliana Tuwima, Ksawerego Pruszyńskiego. Czytelnikom w Polsce przedstawił twórczość m.in. takich pisarzy, jak: John Galsworthy, Aldous Huxley, Andre Malraux, Tomasz Mann, Andre Maurois, Sigrid Undset, Arnold Zweig. W „Roju" wydał także po raz pierwszy m.in. „Sklepy cynamonowe" i „Sanatorium pod Klepsydrą" Brunona Schulza, „Ferdydurke" oraz „Pamiętnik z okresu dojrzewania" Witolda Gombrowicza. Wydawał także swoje książki: „Szpital w Cichiniczach", „W kościołach Meksyku", „Szczenięce lata". W latach 1930-33 był doradcą reklamowym Związku Cukrowników (jest autorem słynnego sloganu „Cukier krzepi"). W latach 1933-36 był kierownikiem Państwowego Przedsiębiorstwa „Reklama Pocztowa". Przed II Wojną Światową oskarżany był przez piłsudczyków o sympatie endeckie, przez endeków zaś o sprzyjanie piłsudczykom. W 1939 roku, gdy wybuchła wojna, wyjechał do Rumunii, przebywał kolejno na Cyprze, w Palestynie, Iranie, Egipcie, Syrii i Libanie. Napisał wówczas m.in. „Dzieje rodziny Korzeniewskich", „De Profundis". W latach 1944-46 był korespondentem wojennym 2 Korpusu gen. Władysława Andersa, kiedy to gromadził materiał do słynnego reportażu „Bitwa o Monte Cassino" (pierwsze wydanie Rzym-Mediolan 1945-47). Jego córka Krystyna zginęła w szóstym dniu Powstania Warszawskiego (ps. Anna) jako sanitariuszka batalionu „Parasol" Armii Krajowej. Druga, młodsza, córka Marta (Tili) po wojnie zamieszkała w USA. W grudniu 1945 roku przybył z żoną Zofią do Włoch. W 1947 roku przeniósł się do Londynu, a w 1949 zamieszkał w Stanach Zjednoczonych. Wydał wówczas m.in. książki: „Kundlizm", „Klub Trzeciego Miejsca", „Ziele na kraterze", „Drogą do Urzędowa", „Tworzywo". W 1956 roku pierwszy raz po wojnie odwiedził Polskę. Na stałe wrócił z żoną w 1958 roku. Powrót pisarza do kraju wywołał atak emigracji, która oskarżyła pisarza o powrót do „komunistycznego kraju". Zamieszkał w Warszawie w dwupokojowym mieszkaniu przy ulicy Puławskiej 10. Niecały rok przed śmiercią, w listopadzie 1973 roku, przeniósł się do budowanego przez siebie domu przy ulicy Studenckiej 50. W związku z Listem 34 w 1964 roku został aresztowany pod zarzutem „przekazywania za granicę materiałów szkalujących Polskę Ludową". W więzieniu spędził pięć tygodni, otrzymał wyrok dwóch lat więzienia – władze PRL-u liczyły na upokorzenie Wańkowicza i jego prośbę o ułaskawienie czy zwolnienie ze względu na „zły stan zdrowia", ten jednak nie zgodził się na umówione „badania lekarskie" i stawił się do odbywania kary. Władze nie chciały robić incydentu międzynarodowego (w obronie pisarza wystąpił m.in. amerykański PEN Club oraz senator Robert Kennedy) i ostatecznie najpierw wstrzymano wykonanie wyroku, a później zawieszono wykonanie kary (dopiero 16 lat po śmierci pisarza, w procesie rehabilitacyjnym w 1990 roku, Sąd Najwyższy wydał wyrok uniewinniający). W 1969 roku zmarła Zofia Wańkowiczowa, bohaterka wielu książek pisarza. Melchior Wańkowicz zmarł w Warszawie 10 września 1974 roku.

*

Powyższy mini biogram nie zawiera wszystkich ważnych informacji na temat Wańkowicza, na przykład tych, które zagłębiają się w jego osobiste, prywatne, także biznesowe sprawy (np. zawirowania wokół Wydawnictwa RÓJ), w sprawy z okresu dwudziestolecia międzywojennego lub wyjaśniają sytuację i postawę pisarza w okresie wytoczonego mu przez komunistów procesu za poparcie Listu 34. Warto więc w tym miejscu przypomnieć, że Wańkowicz wrócił z żoną do Polski jako obywatel USA, z amerykańskim paszportem, co umożliwiało mu nie tylko swobodne przekraczanie granic, ale także wyjazdy z Polski za żelazną kurtynę, do krajów kapitalistycznego Zachodu, oraz powroty do Polski w dowolnym momencie. To między innymi było powodem, że po wyroku skazującym Wańkowicz nie trafił →

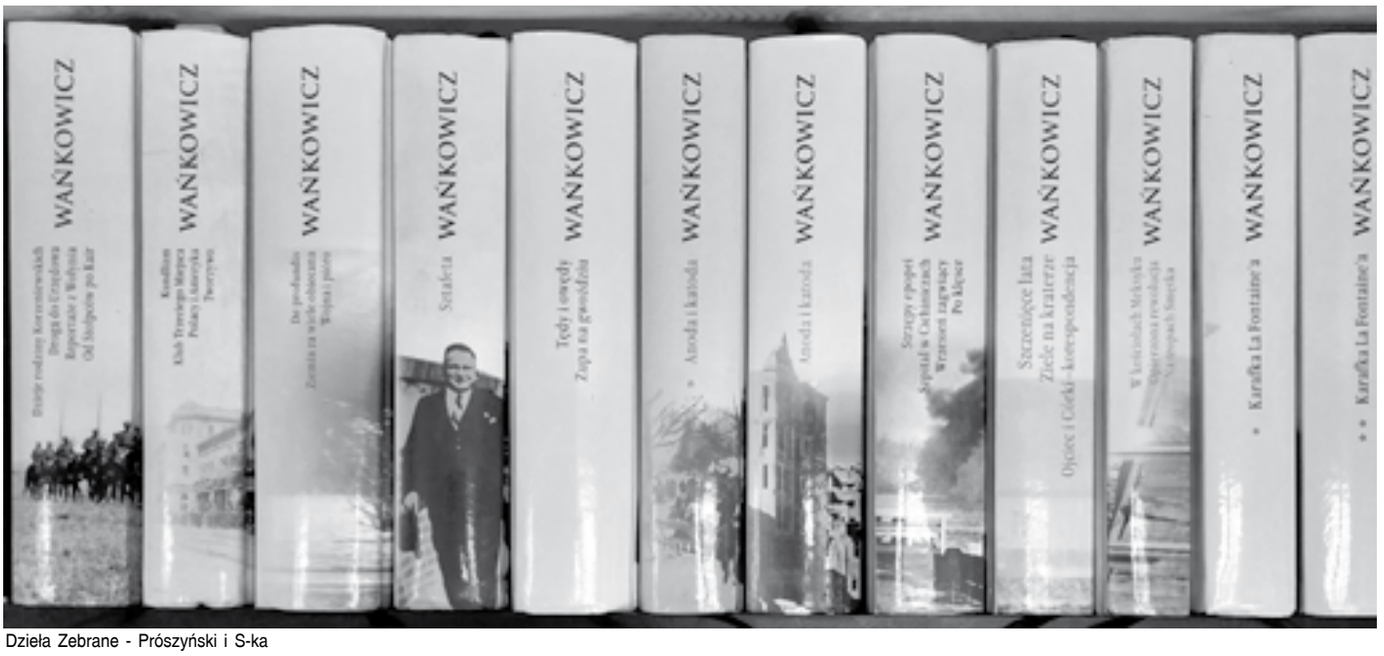

Dzieła Zebrane - Prószyński i S-ka

ostatecznie do więzienia, celem odbycia kary pozbawienia wolności. Władze PRL nie chciały wywoływać międzynarodowego skandalu, zwłaszcza że na swój proces, za te same przewiny, czekał inny znany pisarz – Stanisław Cat-Mackiewicz, który także wrócił z emigracji do socjalistycznej już ojczyzny, gdzie także poddany został agresywnej inwigalicji. Podkreślmy i to, że Mel nie miał nigdy złudzeń co do swojej sytuacji w PRL, o czym napisał w ostatnim liście do Jerzego Giedroycia (list z datą 3 listopada 1963): *Przyjechałem do Polski jako „Klub 3 Miejsca", tzn. z pełną świadomością, że przyjdzie czas, kiedy trzeba będzie zapłacić za wszystko, co mi dał przyjazd, przede wszystkim moralnie i materialnie*. Niezwykle trafnie motyw ten uwypukla Aram Stern w swoim świetnym eseju „Filodom Wańkowicz" (http://menazeria.eu/pdf/menazeria_007.pdf). Cytuję fragment: *Dużo wcześniej, mając tyle doświadczeń emigracyjnych i porównań dwóch systemów, dobrze wiedział, co oznacza życie za żelazną kurtyną, gdy żartobliwie malował żonie w książce „Od Stołpców po Kair" swą wizję powrotu do ojczyzny: „Na stacji granicznej podejdzie ubek i grzecznie zaprosi do oddzielnego pokoju. Tam poprosi siedzieć, po czym da w zęby tak, że spadnę. Po czym grzecznie zasalutuje: «To żeby mistrz nie zapomniał». Po czym otworzy drzwi, a za drzwiami będą dziewczynki po krakowsku, z kwiatami"*.

W związku z pogarszającą się sytuacją polskiej kultury i literatury (gomułkowskie przykręcanie śruby) w początkach marca 1964 roku z inicjatywy Antoniego Słonimskiego pisarze i uczeni wysłali do premiera Józefa Cyrankiewicza list protestacyjny podpisany przez 34 osoby, w tym przez Wańkowicza. Różnego typu represje za ów list objęły niemal wszystkich uczestników protestu, a w przypadku Mela skończyło się to najpierw rewizją i przeszukaniem mieszkania, a zaraz potem, 5 października 1964, aresztowaniem „pod zarzutem przekazania za granicę opracowanych materiałów szkalujących Polskę Ludową". Oczywiście nie była to spontaniczna akcja bezpieki. Wańkowicz zapewne zdawał sobie sprawę i z tego, że był w PRL poddany nadzorowi esbecji. Dzisiaj już wiadomo, że żył pod czujnym okiem i uchem służb od pierwszego dnia powrotu do Polski, o czym szczegółowo nas informuje Joanna Siedlecka w swojej książce *Obława. Losy pisarzy represjonowanych* (Prószyński i S-ka 2005). Znajduje się w niej rozdział poświęcony Wańkowiczowi – Kryptonim „Pisarz" i „Mewa". Na stronie 233 tej publikacji czytamy: *Teczka na Melchiora Wańkowicza, jednego z najbardziej znanych polskich pisarzy, liczy dziewięć tomów, również zmikrofilmowanych. Ogromem ubeckiego dossier przebija go jedynie Antoni Słonimski, którego teczka ma tomów dwanaście. Choć Wańkowicz miałby ich więcej, ale według protokołów zniszczono jego dokumenty „PT" (z podsłuchu telefonicznego, aż tysiąc stron) i „PP", czyli podsłuchu pokojowego (198 notatek, często kilkunastostronicowych) pochodzące z lat 1964-1967, gdy najmocniej go inwigilowano. W teczkach Słonimskiego, inicjatora licznych zbiorowych akcji protestacyjnych, mówiąc językiem resortu, „przechodzi" wielu „figurantów". Teczki Wańkowicza, nastawione wyłącznie na „figuranta", są porażającą, skrupulatną kroniką tego, w jaki sposób i na jaką skalę bezpieka rozpracowywała najpoczytniejszego wówczas pisarza, a rozmiar zdobytego materiału – niezamierzonym hołdem dla autora „Monte Cassino", niebezpiecznego wyłącznie ze względu na autorytet zdobyty swoimi książkami*.

Profesjonalne działania wywiadowcze

Wańkowicz z K. Kąkolewskim - 1972 r

i operacyjne, skierowane przez służby przeciw Wańkowiczowi, wspierane były przez zwykłych obywateli oraz przez sforę tajnych współpracowników, wśród których najgorszą, najaktywniejszą gadziną okazał się Kazimierz Koźniewski (TW „33"), zaufany przyjaciel Zofii i Melchiora Wańkowiczów, przyjaciel domu, przedwojenny kolega ich córek, a nawet absztyfikant do ręki jednej z nich. A wspomniany przez Joannę Siedlecką „podsłuch pokojowy" był możliwy dlatego, że sąsiad przez ścianę w kamienicy przy ul. Puławskiej, gdzie Wańkowiczowie zajmowali małe mieszkanie komunalne na piątym piętrze, sąsiad, którego Wańkowicz bezinteresownie wspierał finansowo, poszedł na układ z esbecją, udostępniając jej za ówczesne 10 tys. złotych tę właśnie dzielącą ich mieszkania ścianę, w którą technicy wmontowali kilka pluskiew podsłuchowych. Skąd to wiemy? A stąd, że ów sąsiad, gryziony wyrzutami sumienia, kilka tygodni przed śmiercią Wańkowicza, przyznał mu się do tego uczynku podczas rozmowy w cztery oczy. Ta ściana odegrała zresztą swoją rolę jeszcze raz, już po śmierci Wańkowicza. A zaczęło się od tego, że w tym, wykupionym przez Mela od miasta mieszkaniu komunalnym (naszpikowanym podsłuchami), w roku 1972 zamieszkała z mężem i synkiem Dawidem wnuczka Wańkowiczów (Anna Krystyna Erdman-Walendowska, córka Marty Erdman), która przyjechała z USA do Polski studiować medycynę (Wańkowicz w tym czasie, już po śmierci żony, przeniósł się do własnego domu, na ulicę Studencką 50). Przy okazji nawiązywała kontakty i przyjacielską współpracę z polskimi środowiskami opozycji antykomunistycznej. To właśnie w tym mieszkaniu odbywały się spotkania owych środowisk, to w nim odbył się pierwszy, oczywiście nielegalny, koncert Jacka Kaczmarskiego. Skoro jednak i telefon domowy, i ściana były na podsłuchu – bezpieka w pełni kontrolowała sytuację, mając całe to towarzystwo na widelcu. Po kilku latach tej swawoli Anna Krystyna, obywatelka USA, otrzymała policyjno-administracyjne wezwanie do opuszczenia Polski w ciągu dziewięciu dni, jako persona non grata.

W tym miejscu należy przywołać mało znaną część biografii Melchiora Wańkowicza, o której w *Elegii na śmierć córki* wspomina Aleksander Małachowski: *Wańkowicz zarzucał ustrojowi komunistycznemu i jego przywódcom nie tylko samo zniewolenie Polski, gdyż to było oczywiste, ale pozbawienie kraju poważniejszego rozwoju intelektualnego. Wszystko się robi w ich rękach płaskie, wulgarne, zanikają wyższe uczucia obywatelskie. Kłamstwo i obłuda święcą tryumfy. Nie miał Pan Melchior nigdy tych złudzeń, które na tak złe drogi zaprowadziły wielu wybitnych pisarzy polskich. I może dlatego nie był lubiany w środowisku pisarskim. Zdobył natomiast autorytet w kręgach opozycyjnych. Szczególnie wśród tych, co wiedzieli o czymś, o co nikt Melchiora Wańkowicza nie podejrzewał. Mianowicie o jego wielkiej hojności na cele publiczne. Szło to gdzieś z prastarej tradycji wschodniego ziemiaństwa. Na cele publiczne pieniądze się zawsze znajdowało. Melchior Wańkowicz pierwszy założył coś w rodzaju jednoosobowego KOR-u, Komitetu Obrony, tyle że nie robotników, a młodzieży więzionej i sądzonej za przestępstwa polityczne. Dawał pieniądze na procesy taterników i na inne potrzeby. Byłem tego świadkiem. Przekazywał spore czeki Janowi Józefowi Lipskiemu*. Tu należy dodać, że Lipski w tamtym okresie bardzo zbliżył się z Wańkowiczem, a po jego śmierci – o czym Andrzej Friszke pisze w przedmowie do książki J.J. Lipskiego *KOR* (Warszawa 2006) – w roku 1974 był wykonawcą testamentu pisarza. Zapisał on prowadzonej przez Lipskiego kasie ogromną na owe czasy sumę 8 tysięcy dolarów amerykańskich. Pozwoliło to myśleć o stypendiach dla represjonowanych twórców i młodej inteligencji, a także o stworzeniu funduszu rezerwowego „na wszelki wypadek". Sumy te, którymi zarządzano w warunkach konspiracji, stały się w przyszłości podstawą akcji KOR-u. To niewątpliwie przesądza ocenę postawy Wańkowicza po powrocie do Polski rządzonej przez komunistów, w której spędził – najpierw z żoną, a potem z gosposią i sekretarką Aleksandrą Ziółkowską oraz jamnikiem o imieniu Dupek – ostatnie 16 lat swojego życia. Zresztą zaraz po śmierci pisarza jego książki ponownie objęto cenzurą – była to oczywiście kara za finansowe wspieranie opozycjonistów.

*

Ponieważ zbliżamy się ku finałowi, dwa słowa o książkach, które zbierają dostępną autorom wiedzę „O Wańkowiczu"! Pierwsza z nich, biografia pisarza (*O Melchiorze Wańkowiczu – nie wszystko*, Instytut Wydawniczy

PAX 1977), zaczęła powstawać jeszcze za jego życia, na podstawie rozmów z nim, pod piórem Mieczysława Kurzyny. Oto tekst z czwartej strony okładki, reklamujący publikację: *Książka niniejsza… jest subiektywną i impresyjną próbą spojrzenia na życie i twórczość jednego z najbardziej poczytnych pisarzy polskich, a zarazem człowieka, który był świadkiem i uczestnikiem wydarzeń zasadniczych dla naszego bytu narodowego na przestrzeni ostatnich lat osiemdziesięciu. Dwukrotnie w tym czasie Polska odzyskiwała niepodległość, dwukrotnie od samych zrębów zakładała państwo, dwukrotnie ustalała kształt swych granic, dwukrotnie dokonywała gigantycznej odbudowy materialnej i moralnej, dwukrotnie ponosiła straty niezmierne, tworzyła ustrój, zaczynała od zera. Wszystkie też niemal te narodowe wzloty, tragedie, upadki i triumfy znalazły odbicie w pisarstwie Melchiora Wańkowicza. Wszystkie także kształtowały w większym lub mniejszym stopniu jego losy osobiste*.

Jest to bardzo dobrze napisana i świetnie zilustrowana fotografiami z epoki opowieść Mieczysława Kurzyny o życiu i twórczości Wańkowicza, ale – oczywiście nie z winy autora (lecz z winy opresyjnego systemu i wszechwładnej cenzury) – pozbawiona jakichkolwiek śladów w tym życiu i w tej twórczości sowieckiego imperium zła, masowo i bezwzględnie wyniszczającego Polaków na nieludzkiej ziemi.

Druga książka, już całkowicie współczesna, *Wokół Wańkowicza* Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm (PIW, Warszawa 2019), na którą kilka razy powołuję się w tym eseju, zbiera na ponad sześciuset pięćdziesięciu stronach dużego formatu (z obszerną wkładką ilustracyjno-fotograficzną) całość dostępnej autorce wiedzy o pisarzu, z którym ściśle współpracowała od 20 maja 1972 roku do dnia jego śmierci jako jego osobisty Sekretarz, w najlepszym i najpełniejszym znaczeniu tego słowa. Mistrz nie tylko zadedykował jej drugi tom *Karafki La Fontaine'a*, ale także uczynił ją w testamencie właścicielką i opiekunką swojego ogromnego archiwum, którym bardzo interesowały się różne komunistyczne instytucje, z esbecją włącznie. Książka, o której mowa, to rezultat kilku dekad zbierania materiałów i wspomnień o „ojcu polskiego reportażu". Ogrom i waga faktografii w tej księdze zawartej nie pozwala czytać jej ani pospiesznie, ani do poduszki. Lektura obowiązkowa dla wytrwałych i zapalonych badaczy życia i pisarstwa Mela. Uzupełnieniem tych dwóch pozycji mogą być jeszcze: *Jerzy Giedroyc – Melchior Wańkowicz – Listy 1945-1963*, Czytelnik 2000 oraz Krzysztofa Kąkolewskiego *Wańkowicz krzepi. Wywiad – rzeka*, Czytelnik 1973.

Na koniec zatem raz jeszcze oddajmy głos Aleksandrze Ziółkowskiej-Boehm, która na stronie 570 swojej książki wypowiada taką oto opinię: *Co było siłą pisarza, ale i przyczyniło się do jego izolacji i do wielu polemik? Jego nieugiętość, chodzenie własnymi ścieżkami, zadziorność i przekora. Nie należał do żadnej grupy politycznej, literackiej, nikt go nie popierał i nie uważał za „swojego". Nie dostawał literackich nagród – ani przed wojną jako autor* Na tropach Smętka, *ani na emigracji jako autor* Bitwy o Monte Cassino, *ani po wojnie w Polsce za* Karafkę La Fontaine'a. *Ogromną rolę w przetrwaniu książek odgrywa ich obecność wśród lektur szkolnych. W lekturach obowiązkowych winna znaleźć się chociaż jedna z trzech książek:* Szczenięce lata, Ziele na kraterze *lub* Hubalczycy. *Wśród nadobowiązkowych lektur – klasyczny reportaż* Bitwa o Monte Cassino. *Nie ma bowiem cenniejszej i piękniejszej książki o Kresach, zwyczajach i minionej epoce niż* Szczenięce lata. *Nie ma wspanialszej książki pokazującej bohaterstwo żołnierza polskiego, z jego odwagą i poświęceniem, ale i samowolą, jak* Hubalczycy. *I nie ma bardziej przejmującej książki o latach między wojnami, okupacji i okresie Powstania, od* Ziela na kraterze. *Jestem pewna, że tytuły te zaproponowane uczniom i studentom do lektury wyzwolą w młodzieży wrażliwość historyczną i świadomość narodowych korzeni*.

Od siebie dodam tylko – skoro cytowana Autorka wspomina o *Hubalczykach* – że tą książką Wańkowicz dołączył do grona autorów najlepszych opracowań literackich polskiego wysiłku zbrojnego w XX wieku, wśród których należy postawić *W polu* Stanisława Rembeka (1937) i *Tren* Bohdana Czeszki (1961).

Jedno jest pewne – jak pisze w swojej książce Aleksandra Ziółkowska-Boehm – czytelnicy Wańkowicza uwielbiali, kochali albo nie znosili, obrzucali niewybrednymi epitetami. W każdym razie nie przechodzili koło niego obojętnie. Można się zastanawiać, co decydowało o jego popularności, popularności tak niezwykłej, że ludzie jak pielgrzymi przybywali do jego domu, przysyłali setki listów, stali kilka godzin na kiermaszach, by doczekać się autografu, że nazwisko pisarza było na ustach wielu. Z kolei Aleksander Małachowski – inny świadek tamtej epoki, krytyk literacki i bliski znajomy Wańkowicza, twierdził, że Wańkowicz napisał raczej gigantyczny pamiętnik niż kilkadziesiąt tomów reportaży, że stworzył jedną wielką rzecz o sobie i swojej rodzinie. Wszelkie opowieści – jego zdaniem – o innych ludziach są tylko przerywnikami w wielkiej opowieści o samym autorze. Przy okazji Małachowski dodaje, że w tym gigantycznym pamiętniku Wańkowicz nie osądza ani siebie, ani świata.

A dzisiaj? Można zaryzykować tezę, że twórczość Wańkowicza – choć nic nie traci ze swojej siły obrazowania, ukazując realia tamtej epoki – odchodzi zwolna w zacisze bibliotek uniwersyteckich, bo prawdziwi, najwierniejsi czytelnicy Mela albo już nie żyją, albo spotykają się w klubach seniora, gdzie wspólnie z zaproszonymi prelegentami wspominają dawne czytanie książek pana Melchiora i „dawne dobre czasy" w ogóle. Nie są to już niestety ani czasy, ani książki atrakcyjne dla dzisiejszego czytelnika, dla którego świat książek pana Melchiora to niemal wyłącznie jakaś dziejowa archeologia, w dodatku z poprzedniego wieku. Nie dziwi więc, że z niektórych bibliotek publicznych (przy zerowych od kilkunastu lat wypożyczeniach) wycofuje się Wańkowicza, przede wszystkim tego z czasów PRL-u, tego ocenzurowanego, który nie może konkurować z szesnastoma tomami Dzieł Zebranych wydawnictwa Prószyński i Ska, w których ukrywa się trzydzieści osobnych tytułów. Te z kolei, jako „nowości" sprzed piętnastu lat, też nie trafiają do bibliotek publicznych, bo… nie ma na nie czytelniczego zapotrzebowania. Jedyną moim zdaniem książką (poza ważnymi dla mnie osobiście: *Na tropach Smętka*, *Sztafeta*, *Drogą do Urzędowa*, *Tworzywo* i *Ziele na kraterze*), która zasługuje na ciągłą uwagę potomnych, na trud lektury (dwa tomy, ponad 1100 stron druku bez ilustracji), na czułe oko badaczy, a nawet fascynację samą zawartością tekstu – jest *Karafka La Fontaine'a*. Oczywiście istnieją, głównie w obiegu akademickim, nowe i w pełni nowoczesne podręczniki dziennikarstwa wszelakiego, w tym reportażu prasowego, radiowego, telewizyjnego, internetowego, podręczniki

Wańkowicz po jednym z wykładów - koniec lat 50

obejmujące także nowe „nowe media", w tym media społecznościowe, ale fundamentem ich wszystkich (fundamentem, który nie zmurszał, nie pokrył się kurzem przedawnienia), jeżeli chodzi o warsztat, język, kulturę, wiedzę, inteligencję i techniki pisarskie, pozostaje właśnie *Karafka*… Dlatego, myślę, także dzisiaj warto ją czytać. Im starsza, tym lepiej smakuje, jak dobre wino. Oczywiście jest to tylko moje prywatne zdanie, ale z drugiej strony – kto nie spróbuje, ten się nie dowie, nie pozna, nie zrozumie.

A co poza tym? Z perspektywy minionych pięćdziesięciu lat od śmierci Mela – sumując własne fascynacje, doświadczenia oraz intelektualne i poznawcze przygody związane z jego książkami oraz biografią – śmiem twierdzić, że był to ostatni polski pisarz, który objął swoim dziełem całość polskiego losu. Losu, który pokrywa się z czasem jego życia, a obejmuje XX wiek do roku 1974. Wańkowicz – osobiście badając świat i epokę, w których przyszło mu żyć, pisząc o tym, co zobaczył, czego doświadczył, co usłyszał od swoich rozmówców, z czym się nie zgadzał, w co się angażował uprawiając sztukę reportażu, fotografując, budując zręby polskiej literatury faktu, stworzył panoramę, która – jeżeli z uwagą się w nią wpatrzymy, wmyślimy i wczytamy – także dzisiaj oddziałuje na odbiorcę, na przykład takiego jak ja, także dzisiaj pobudza emocje, na przykład moje, a emocjom tym ciągle ponadto towarzyszy przyjemność lektury. Powiedzieć o Wańkowiczu za Mickiewiczem „Ostatni co tak poloneza wodził…" – to nic nie powiedzieć. Ale żeby to „nic" poszerzyć o własne refleksje, by zgłębić pole oceny, trzeba wpierw z Wańkowiczem się zaprzyjaźnić, trzeba wpierw Wańkowicza poznać i zrozumieć, czyli… po prostu przeczytać! Robota intelektualna i niewątpliwy wysiłek duchowy na co najmniej dwa, trzy lata. Kogo dzisiaj na to stać, poza polonistami na emeryturze? A przecież polska literatura XX wieku to nie tylko Melchior Wańkowicz. Jest jeszcze jeden krajowy pisarz z tego pokolenia, który przemyślał prawie wszystko, przetworzył to literacko na kilka sposobów i spisał, tworząc wielotomową, własną panoramę losu człowieka, a nawet losu ludzkości oraz cywilizacji, w jakiej przyszło mu żyć, cywilizacji, w którą i my się dzisiaj wpisujemy. Ten pisarz to Stanisław Lem, ale tutaj wkraczamy w inną już opowieść, przydatną być może na zupełnie inną okazję.

Krzysztof Szymoniak

Christian Medard Manteuffel

Janusz Żernicki, ojciec chrzestny Orientacji Poetyckiej „Hybrydy"

(Aby stworzyć hybrydę, potrzeba dwóch, co najmniej dwóch.)

Pochyl się w siebie usłyszysz płowe pola, „wilki idą zbożem" - będzie chleb (jak niegdyś, jak niegdyś);
wspomnij łęgi nadwiślańskie, obdarte burty Tężniopolis (martwa fala jak zawsze).

Pochyl się w siebie usłysz swoje lata, pomruk autostrad w letni wieczór, krzyk dzikich gęsi w poprzek horyzontu
(on zostaje)

Pochyl się w sobie usłyszysz zmarłych, ich niemy wyrzut stanie za płomień dalekich ognisk w urwanej przestrzeni.

Janusz Żernicki (ojciec chrzestny Orientacji Poetyckiej HYBRYDY
- Pewność z której nic nie wynika

*

Nie wiem czy historia będzie sprawiedliwa, zastrzegł Jerzy Leszin Koperski, komentując wybór wierszy Andrzeja K. Waśkiewicza *Widmowe światło wspólnoty* (Anagram 2001). Chciałoby się odpowiedzieć: zależy, kto tworzy historię. A wtedy z *widmowego światła wspólnoty* pojawia się głos Józefa Stalina – „historie piszą zwycięzcy". Jerzy Koperski odszedł jako twórca Orientacji Poetyckiej „Hybrydy". W roku 2002 ukazała się w toruńskim Wydawnictwie Adama Marszałka książka Stanisława Jasińskiego „Janusz Żernicki – poeta osobny" nie przebiła swoją obszerną treścią ciszy nad rolą ciechocińskiego poety w powstaniu „Hybryd" jako orientacji poetyckiej. Cisza przeradza się w zapomnienie. Z niej Janusz przywołuje mnie:

Pochyl się w siebie usłysz płowe pola, „wilki idą zbożem" - będzie chleb (jak niegdyś, jak niegdyś); wspomnij łęgi nadwiślańskie, odarte burty Tężniopolis (martwa fala jak zawsze).
Pochyl się w siebie usłysz swoje lata, pomruk autostrad w letni wieczór, krzyk dzikich gęsi w poprzek horyzontu
(on zostaje).
Pochyl się w siebie usłysz zmarłych, ich niemy wyrzut stanie za płomień dalekich ognisk w urwanej przestrzeni...

Pochylam się kolejny raz.

Na takie niedwuznaczne stwierdzenie może pozwolić sobie dyktator, który świadomie, jak on, czy jak Hitler, który chroniąc „prawdziwych Niemców" przed skażeniem literaturą – wrogą duchowi niemieckiemu, wyselekcjonował ją i spalił. Wychowanych na takiej wyselekcjonowanej literaturze charakteryzuje niewiedza, a ta jest matką głupoty, mierzwą, z której rodzą się nowi dyktatorzy, tyranizujący maluczkich i kształtujący „nieumnych" na wzór tego, co chcą dla korzyści własnej lub mocodawców osiągnąć. Oni zawsze posłuch znajdą, nawet wśród tych, przeciwko którym działalność demagogów jest wymierzona. Być może, mając nadzieję na okruchy ze stołu pańskiego lub z przyczyn nikomu nieznanych, przeciwnikami są ustalonego porządku i radość im sprawia burzenie tego, na czym kultura i wiara narodowa stworzone zostały.

Może niepotrzebnie wstawiłem na wstępie tych kilka upolitycznionych zdań nieco pod wpływem lansowanego nowego pojęcia: „historia polityczna", czy „polityka historyczna". Może to komuś potrzebne, mnie nie: historia kraju tworzy się w każdej epoce, w każdym ustroju i rzecz jest być tego świadomym, a nie wycierać. Czy przyjdzie ten czas w naszych dziejach, że zapiszemy na kartkach historii, jak w kronice, czas bieżący, a naturalnym będzie, że którzy przyjdą po nas wyciągną z tego wnioski dla dumy lub dla hańby i zamiast deptać w miejscu, pójdą swoją drogą mając świadomość, że jesteśmy narodem, jak każdy inny naród, a kształt cienia, który po nas zostanie, będzie tym straszniejszy im więcej ruchów będziemy wykonywać, aby go zmienić lub wymazać. NIC NIE MOŻE ISTNIEĆ BEZ WŁASNEGO CIENIA. To, co pisze się o niecnych zamierzeniach dotyczących Orientacji Poetyckiej HYBRYDY, jest temu bliskie – tylko że historia wchłania już tę orientację literacką z pierwszej połowy lat 60. i wątpliwościom Koperskiego, „czy historia będzie sprawiedliwa" trzeba przyznać rację. Wynika to, jak na razie z niewiedzy o rzeczywistej idei przyświecającej ojcu chrzestnemu tej nazwy, Januszowi Żernickiemu.

Datę utworzenia Klubu Studenckiego przy ulicy Mokotowskiej 48 określa się rokiem 1957. Za to w polityce peerelowskiej sam klub stał się solą w oku już wtedy. W prasie reżimowej wypisywane były sensacyjne informacje o działaniu w pomieszczeniu klubu zespołu młodych ludzi połączonych *„nie tyle wspólnym celem szampańskiej, co demoralizującej zabawy"*. Bawili się studenci warszawscy w tym pomieszczeniu do 1973 a że w tym środowisku kpiono sobie z demagogicznych kanonów soc-kultury, stamtąd wydostawała się muzyka, śpiew i skecz kabaretowy niosąc coś, co nie miało jeszcze swojej idei politycznej, ale włączało się w tok historii kraju, która rodzi się zawsze poza wolą wodzów partyjnych. Studencki Klub „HYBRYDY" wniósł wiele w odrodzenie swobody w życiu intelektualnym stolicy i tylko jakaś dyktatura mogłaby zakazać jego działalności. Stało się: organy prasowe ogłosiły z satysfakcją: „Po latach prób zamknięto klub Hybrydy. Okoliczni mieszkańcy mogą spać spokojnie." Faktycznie Klub z powodu wewnętrznego kryzysu zawiesił swoją działalność, wznowił 10 października 1977 w nowym lokalu przy ówczesnej ulicy Kniewskiego 7/9 (dziś ulica Złota).

„Hybrydy" są dwie.

Nie jest to możliwe mówienie „Orientacja Poetycka Hybrydy" bez oddzielenia pojęcia „HYBRYDY" – Klub Studencki. Łączenie tych dwóch hybryd wynika właśnie z niewiedzy. Trudno jest odnaleźć jakieś ślady ich bliskiej współpracy.

(…) 11 listopada 1961 roku w herbaciarni Gong spotkali się M. Bordowicz, K. Gąsiorowski, J. Górzański, A. Jastrzębiec-Kozłowski, Z. Jerzyna, J. Markiewicz, A. Zaniewski, Ojciec i, podobno spóźnieni, E. Stachura i B. Sadowska. Powstaje grupa o nazwie Orientacja Poetycka , Ojciec dodaje słowo HYBRYDY, co w efekcie daje nazwę ORIENTACJA POETYCKA HYBRYDY. Celów istnienia grupy jest wiele, najważniejszym są pierwsze debiuty książkowe. Ponieważ sprawy wydawnicze się przeciągają, Ojciec w 1962 roku wyjeżdża do Władysławowa, potem, w listopadzie tegoż roku do Lądka Zdroju.

To fragment z zapisów o mężu i ojcu (Żernickim), przechowywanych przez żonę Janusza Wandę i ich dwie córki, Darię i Iwonę.

Na spotkaniu założycielskim nie było Leszina, nie było też Waśkiewicza. Wątpliwe nawet, czy był tam Stachura. Spotkanie grupy poetów, którzy chcieli, organizując się w grupę jakich wówczas powstawało dużo, uzyskać dojście do wydawnictw, odbyło się poza Klubem Studenckim, w herbaciarni „Gong" w Alejach Jerozolimskich. W zapisie bliskich Janusza znajdujemy tylko, że zebrani podejmują decyzję o połączeniu się w orientację polityczną a „Ojciec dodaje słowo HYBRYDY". W jaki sposób Janusz wpadł na ten pomysł można się domyślać: w tym budynku – w kamienicy, gdzie funkcjonował Klub Studencki, który studenci-poeci M. Bordowicz, K. Gąsiorowski, J. Górzański, A. Jastrzębiec-Kozłowski, Z. Jerzyna, J. Markiewicz, A. Zaniewski, J. Żernicki, E. Stachura i B. Sadowska obrali za swoją siedzibę, mieszkał Józef Ignacy Kraszewski w latach 1860 do 1863, kiedy musiał uciekać z kraju przed grożącą mu zsyłką na Sybir za zaangażowanie w powstaniu Styczniowym. Mógł Żernicki chcieć ten fakt w ten sposób utrwalić.

Co oznaczało w tamtym czasie określenie się jako „orientacji politycznej". Wtedy nie oznaczało nic. Kraszewski w krótkim wprowadzeniu do swojej powieści, od której

ten klub przyjął swoją nazwę, pisze sto lat wcześniej:

(...) Jest to w obyczajach wieku dzisiejszego żeby w domu nie siedzieć...

Nie wiem czy ostatecznie społeczność na tem wygra czy straci, ale ta ruchawość człowieka wpłynąć musi źle czy dobrze na jego charakter wiekowy.

Dawniej zasiedziały człowiek był na widowni i pod sądem nieustannym otoczenia swego, kraju, rodziny, społeczności... zmuszało go to do pilnowania się i baczenia na siebie... Dziś nieznajomy, obcy, robi, co chce, a przynajmniej czynić może, co mu się podoba, jak gdyby nikt na niego nie patrzał; gra taką rolę, jaka mu do smaku przypada... nie jest pod nadzorem niczyim prócz swojego sumienia. Z sumieniem zaś... jak wiadomo, człowiek wchodzi w różne układy w potrzebie.

Żernicki tworzył, bo urodził się poetą, ale to nie było proste dla poety z prowincji, jeśli nie dał się uświadomić politycznie. Janusza Żernickiego nie wciągnęła ani indywidualność Jana Pietrzaka, ani tym bardziej ideologia niektórych kolegów wekslujących w kierunku socrealizmu ułatwiającemu im dojście do publikacji. Janusz cenił sobie bardzo współpracę z redakcją „Poezji". Janusz jednak poznaje partnerkę na swoje dalsze życie, wraca do Ciechocinka, pracuje na utrzymanie rodziny, dostaje mieszkanie na trzecim piętrze i... pisze. Podjął pracę w Miejskiej Radzie Narodowej w Ciechocinku jako koordynator do spraw kultury. (zapoczątkował festiwal „*Wiosna pod tężniami*" - sic. ch.m.m.). Zasada hybryd w życiu prywatnym funkcjonuje, w realizacji marzeń twórczych pojawia się układ hybrydowy z wiernym przyjacielem, Edwardem Stachurą. Nie było go już w gronie założycieli Orientacji, a sama Orientacja zaczęła się rozpadać po jego odejściu. Bo aby stworzyć hybrydę, potrzeba dwóch, co najmniej dwóch.

Casus Stachura.

Janusz Kwiatkowski (takie było rzeczywiste nazwisko poety, nazwisko „Żernicki" było nazwiskiem panieńskim jego matki) pochodził ze znanej i powszechnie szanowanej w Ciechocinku rodziny nauczycielskiej. Edward Stachura przybył tam z rodzicami z emigracji we Francji w roku 1948. Poznali się w szkole. Żartobliwie w swoim stylu wspomina Stachura tę przyjaźń: „Był w liceum jeden piszący wiersze chłopak, z którego wielu kolegów drwiło (...), więc wziąłem się za pisanie wierszy, żeby przejąć na siebie połowę drwin i w ten sposób ulżyć mu w niedoli".

Serdeczna korespondencja między przyjaciółmi rozpoczęła się zaraz po przeniesieniu się Stachury z Ciechocinka, gdzie razem uczęszczali do miejscowego liceum, do Gdańska. Listy, które tutaj wykorzystuję, dotyczą batalii Stachury o wydanie pierwszej książki przyjaciela w „Iskrach". Żernicki osobiście udostępnił te listy do publikacji. Możemy się z nich wystarczająco dowiedzieć też o stosunkach panujących nie tylko wśród byłych członków orientacji „Hybrydy", ale i w szerszym spektrum literackim lat sześćdziesiątych.

W-wa 3 III/1964

Drogi Januszu,

dziękuję bardzo za list i dziękujemy bardzo za cytryny i pomarańcze. Tu u nas marzyć nie można, żeby kupić. Jak się coś takiego pokaże, to za godzinę już wszystko rozchwytane. A pomarańcz w tym roku i w ubiegłym nawet nigdzie nie widziałem. Janusz, wysłałem Ci numer „Kultury", gdzie są Twoje wiersze. Czy dostałeś? W „Iskrach" ciągle nic nowego. Jeszcze trochę poczekamy. Nie martw się. Co słychać u Ciebie? Czy dostałeś forsę i jak z Twoją robotą? I co piszesz? Jak Ci idzie? Przyślij jak coś masz. Proszę bardzo.

Pisał do mnie Mietek Czychowski. Przysłał mi bardzo dobre wiersze. Spróbuję jeszcze raz uderzyć do Fedeckiego. Może wydrukuje.

U mnie ciągle bryndza, że piszczy. Złożyłem podanie o stypendium Borowskiego. Czekam. I czekam na list od Ciebie. Jak się czuje Żona Twoja. Pozdrawiamy Ją serdecznie i Ciebie tak samo. Odpisz prędko. Sted.

W „Iskrach" Stachura dowiadywał się, pilnował wydania pierwszej książki. Mieczysław Czychowski to wielki przyjaciel ich obu, znakomity poeta i plastyk.

W-wa 31 XII/64

Drogi Januszu,

jest dziesięć po jedenastej, za niecałą godzinę Anno Domini 65 i chciałbym bardzo a także i Zyta życzyć Wam Dobrego Spokojnego Szczęśliwego Owocpięknego Nowego Roku.

Ja Ci jeszcze życzę tego, czego i sobie: parę wierszy, mój Boże. I żeby to tak nas nie zabijało bezlitośnie.

Dostałem Twój krótki list. Nic mi nie piszesz o Twoim tomiku, a ja już go widziałem jakieś dwa tygodnie temu w „Iskrach". Powiedzieli mi tam, że wysłali Ci. Napisz - zadowolonyś? I kiedy ewentualnie będziesz w W-wie?

Ja teraz czekam na egzamin magisterski i ciężko powolutku, coraz wolniej, coraz straszniej próbuję pisać. Chcę skończyć tom opowiadań tak zwanych, ale kto wie, co to jest.

Masz nowy wiesz albo dwa? Przyślij. I ja ci przyślę coś. Tak się cieszę, że jakoś doszliśmy do zgody. I bardzo się cieszę, że chociaż ciężko pracujesz, to jakoś Ci się układa i mieszkanie i w ogóle.

Trzymaj się. Ściskam - Sted.

Pozdrowienia i życzenia od Zyty dla Twojej Żony. I ja się kłaniam.

Rzeczywiście, gdy Żernicki otrzymał ten list, nie widział jeszcze książki. Motyw egzaminu magisterskiego tu i w innych listach - Stachura do końca, tzn. do chwili obronienia pracy magisterskiej z Henri Michaux, na przemian pokpiwał z siebie lub z trudem przekonywał się, że jednak magisterkę →

zrobi. Powodem owych niedowierzań nie był oczywiście brak znajomości materiału czy też trudności lingwistyczne (Stachura posiadał wyjątkowe uzdolnienia językowe, poza tym francuski znał od kołyski równie dobrze jak polski), ale niezależna, cygańska natura poety, który poza własną twórczością nie planował nigdy niczego, obawiając się, że plany te i konieczność ich realizacji na tyle mogą go terroryzować, że pisaniu przeszkodzą.

W-wa 24 II/65

Drogi Januszu,

chciałem Ci w pierwszych słowach tego listu powiedzieć, żebyś się przypadkiem nie martwił artykułem Pana Juliana Rogozińskiego we „Współczesności", gdzie pomieszał Ciebie z resztą, P. - dawnym Twoim przyjacielem, a teraz ściągaczem, Dziubą i tak dalej. Myślę więc, że tacy ludzie jak Pan Rogoziński i takie artykuły nie powinni mącić Twojej zasłużonej radości. On się literaturą zajmuje - to już wszystko rozumiesz. Ja może więcej niż Ty byłem oburzony jego paranoją. Powiedziałem to Drozdowskiemu - ale Wy drukujecie gówna w tym Waszym piśmie. Myślałem z początku coś napisać, ale tu naprawdę szkoda czasu, którego mamy tak mało, jak piszesz. Stuckiemu pożyczyłem Twój tomik, bo on to nic nie kupi i kiedy jest pora „Ekspresu Wieczornego" po obiedzie, to też nie kupi gazety, ale chodzi i pożycza. Będę Cię o tym dalej informował. Mnie nareszcie dali w poniedziałek nagrodę za to opowiadanie konkursowe związane z W-wą i jest, jeśli chodzi o to, nieźle. Jest teraz u mnie mój biedny przyjaciel z Poznania, którego chcę przyodziać i w ogóle.

Wysyłam Ci „Przystępuję do Ciebie". Drukowała to w całości w dwóch partiach „Twórczość". Tak, że jest to niejako rzecz już wydana. Smutny Twój list i mnie to nie dziwi. Ale trzymajmy się. Mówię to również do siebie. Masz chyba lepiej w własnym mieszkaniu. Rób swoje, zawsze Ci mówię i bzdurami przejmuj się krótko.

Ciekawy jestem Twojej recenzji. I chyba mnie rozumiesz. Gdybyś wpadł do W-wy, to napisz kiedy.

Na razie tyle, Stary Ściskam Cię. Zyta dziękuje za pozdrowienia i pozdrawia serdecznie Was troje. Sted.

Dotyczy napastliwego artykułu we „Współczesności" Juliana Rogozińskiego i ustawicznych spraw niedoboru pieniężnego poety.

W-wa 4-8/1965

Drogi Mój,

Michael Deguy przysłał mi przekłady Twoich rzeczy, które zrobiliśmy w Paryżu. Mam jeszcze „Ars poetica" i „Tristis hiems". Poprawię coś tam przy nich i prześlę Ci również. Nic nie piszesz. Co z wierszami w „Kulturze"? Mało czytam współczesnych periodyków, prócz codziennej gazety, więc nie wiem czy poszły, czy też nie.

Miałem wpaść do Ciebie, bo byłem niedaleko. W Gnieźnie odwiedzić chorego przyjaciela.

Zrobiłem egzamin magisterki, jest to jedna z najśmieszniejszych rzeczy tych ostatnich dla mnie czasów. Idę gdzieś w połowie września. Chciałbym jeszcze przedtem zobaczyć raz się z Tobą. Wszystko jest dobrze. Pieniędzy oczywiście nie jest za dużo. A muszę zdobyć. Chcę trochę zostawić na życie na ten nieokreślony czas. Piszę jak rzadko właściwie jak nigdy. Podobnie rozpęd miałem pisząc „Dużo ognia". Mam tego, co trochę słyszałeś, już przeszło dwieście linijek i ciągle się zanosi na dużo więcej. Napisz czy jesteś w Ciechocinku i co dalej. Co się dzieje w kółkach, klubach i orientacjach nie wiem. Do Związku zakazałem sobie chodzić. 7 czerwca wychodząc z tej trupieciarni powiedziałem sobie, że nie wejdę tam przez rok. Więc nie wiem nic i nie mam wiedzieć najmniejszej ochoty. Taki jest mniej więcej obrót rzeczy. Ściskam Cię i pozdrawiam. Jeśli chcesz odpisać to lekko się pośpiesz. Sted

Pozdrowienia najlepsze od Zyty dla Trójki.

List charakterystyczny dla poety, pisany niejako na postoju, w trakcie zaawansowanej pracy nad książką „Po ogrodzie niech hula szarańcza". O motywach opieki Steda nad chorymi przyjaciółmi, przebywającymi czasowo na leczeniu w Gnieźnie w Szpitalu Psychiatrycznym (tzw. „Gdziezno-Dziekanka"), pisał Żernicki w artykule pt. „Wiersz i jego wiara" w PIW-ie w 1977 r..

W-wa 29 XII/67

Janusz,

Leszin zaproponował mi zrobienie wyboru wierszy do „Rocznika poetyckiego", który zamierza wkrótce wydać i na który ma pieniądze, które też zamierza wydać. Ale pieniądze są tu ostatnią sprawą mnie interesującą. Zgodziłem się na to, po pewnym namyśle. Powiedziałem, że przyjmuję to, ale jako tak zwaną robotę zleconą, bez wchodzenia do ewentualnego kolegium „Rocznika". Leszin, jak Ci może wiadomo, pożarł się mocno z Hybrydowcami, a zwłaszcza z panem Gąsiorowskim i ja się nie chcę w to mieszać. Mnie to ani ziębi, ani parzy. Próbowałem niemniej pogodzić Leszina z Gąsiorowskim, tłumacząc Leszinowi, że ze mnie dużej pociechy i tak mieć nie będzie, a z Gąsiorowskim dogadywali się przecież bardzo długo i w ogóle jest to robota, która G. odpowiada, w przeciwieństwie do mnie. Ale nic z tego nie wyszło. Więc robię wybór wierszy i reszta mnie nie obchodzi.Widziałem w materiałach, które już są, Twoje trzy wiersze. Czy mógłbyś nadesłać jeszcze parę wierszy, trzy, cztery, mogą być drukowane, myślę. Osobiście bardzo bym prosił o ten wiersz, który mnie tak zachwycił, wiesz o którym myślę. Ten, który mówiłeś mi. Drukując go w roczniku będziesz mógł śmiało drukować go również gdzie indziej.

Przyślij więc go i parę innych na adres Studencka Agencja Wydawnicza W-wa, Mokotowska 48, Hybrydy.

Korzystając z okazji życzę Szczęśliwego Nowego Roku Sted.

Gdybyś mógł przysłać wiersze możliwie szybko, to byłoby bardzo dobrze. Złych wierszy oczywiście nie przyślesz, bo takich nie masz i nawet chyba nie potrafiłbyś napisać, ale przyślij te z dobrych najlepsze, a jeśli wszystkie najlepsze to przyślij ulubione, a jeśli wszystkie ulubione to niech decyduje los.

Tym słowem kończę. Sted

Dotyczy prac przygotowawczych do wydania publikacji „Za progiem wyboru" (taki ostatecznie przybrała tytuł, jako suplement do niej wydany został poemat Janusza „Trzynaście miesięcy".

W-wa 5 XI/68 r.

Drogi,

Twoje sny o tym jak rzucają mnie w przepaść i Zyta jako oszalała wdowa - są eufeministycznie mówiąc, straszliwe. Sen - mara, Bóg - wiara, mam wiarę, że nie spełnią się, a przynajmniej nie szybko.

Drogi! Dwa Twoje piękne wiersze idą w „Twórczości" w jednym z najbliższych numerów. W najbliższym idą dwa Wojtka. Wracając do Twoich, to (jeszcze to sprawdzę): „Miesiąc adwentowy" i „Miesiąc ptaków z Kapitolu". Więc bądź łaskaw nigdzie tych dwóch nie posyłać.

Ruszyła sprawa rocznika, dla którego robiłem wybór wierszy (pięć Twoich tam jest między innymi). Leszin mówił mi, że rocznik jest po cenzurze. Teraz chce, żebym objął dział prozy w kwartalniku, który ma wydawać pod nazwą, zdaje się „Orientacja". Ale wiesz, jak jest.

U nas bida. Kończę powoli „Całą jaskrawość". Im prędzej oddam do Wyd. tym prędzej będzie forsa. Dużo mamy długów. Dużo.

Janusz, z załatwieniem wierszy w innych redakcjach, to nie trzeba do tego, myślę, mojej ręki. Wyślij im sam i na pewno pójdą. Myślę, że rozumiesz mnie.

Twoją recenzją o mnie dla „Pomorza" nie przejmuj się zupełnie. Najważniejsze w końcu, że Ty ją napisałeś, a ja ją przeczytałem.

Pozdrów Wandę i Nonę i Darię. Tudzież Włodka Paźniewskiego. Piękna była ta droga z Odolionu i lasem i potem wąwozem. Wspominam ją jak sen.

Ściskam Cię mocno i wybacz, że tak piszę skokami i trochę obłędnie. Zmęczony jestem.

Czwarta ranna godzina
jeszcze broczy ale już ją dopadają
psy naganki

Ściskam Cię mocno i całuję w brodę i wąsy. Czekam na dobre wieści od Ciebie. Napisz. Zyta dziękuje za pozdrowienia i Ciebie, Wandę, Darię i cudowną Nonę – pozdrawia gorąco. Sted.

Ukłony również dla Mamy Wandy.

O niesamowitym i strasznym (proroczym?) śnie piszę w artykule. Recenzja do „Pomorza" - zarówno tam, jak i w „Faktach i myślach" nikt jej z uwagi na rangę, jaką przypisywałem poezji Steda, nie chciał drukować, mówiono, że za wcześnie tak o poecie pisać, a przecież było to o książkach, o których teraz tak właśnie się pisze. Ten głos osłodziłby wówczas Stedowi wiele przykrości z odgłosów recenzenckich pp. Rogozińskich czy Matuszewskich!

Sława Śląska 4 XI 68 r.

Drogi!

posyłam Ci „Szarańczę". Myślę, że to, co napisałeś o „Przystępuję" możesz śmiało przypisać „Szarańczy", gdybyś miał zamiar, tak jak mówiłeś, coś o niej pisać. Najlepiej jeśli uprzedzisz „Pomorze", że zastrzegasz sobie pisanie o mnie. Żeby Cię znowu nie wyrolowali jak z poprzednim Twoim tekstem.

Piszę Ci o tym, bo chyba nie mam powodu tłumaczyć, że wolałbym, żebyś to Ty pisał o „Szarańczy", niż ktokolwiek inny. Melkowski czy jakiś inny polonistyczny pan.

Zdaje się, że byłeś na Sympozjonie ostatnim. Ja opuściłem W-wę dzień przedtem. I co sądzisz? - jak mówi Bruno. O tej imprezie. Leszin mówił mi, że wydaje Ci „Trzynaście miesięcy". Cieszę się bardzo. Miałbyś wtedy po „Landszafcie" - trzy tomiki.

W W-wie nie dostałem tyle pieniędzy, na ile liczyłem. Tak więc tylko część długów oddałem i ta ruda kita wlecze się za mną nadal. Ciężko jest, ale nie mówmy o tym.

Jesień jest niesamowita w lesie i na polu. Wieczorem mgły też niesamowite. W Zaduszki byliśmy z Zytą i Czopikami na starym całopolnym cmentarzysku łużyckim pod Głogowem. Tam na wydmach paliliśmy świeczki, a potem rozpaliliśmy wielkie ognisko z kartoflanych łęgów i skakaliśmy przez nie i piliśmy alpagę, wylewając pół butelki w piasek - duchom w gardła.

Pozdrawiam Cię oraz Trzy Gracje. Także Zyta bardzo pozdrawia.

Sted

Pisz na W-wę. Listy nam odsyłają tu, gdzie jesteśmy.

Sława Śląska 4.XI.68 - Pozdrawiam Cię oraz Trzy Gracje. Także Zyta bardzo pozdrawia.

Książka, nad którą pracował w okresie tutaj drukowanych listów, nareszcie ukazała się. Janek Czopik – poeta i prozaik, przyjaciel Steda, zginął tragicznie. On swoją śmiercią zapoczątkował tę najsmutniejszą serię zgonów poetów średniego pokolenia.

Aneks

Ostatnia wędrówka.

Za dołączenie cyklu „Trzynaście miesięcy" zapłacił Stachura Leszinowi współpracą przy „roczniku". I tak ziarnko do ziarnka...

Od lipca 1988 nie było mnie już w Polsce; wiem tylko z istniejących zapisów i rozmów. „19 maja 1992 roku amputowano poecie nogę powyżej kolana, znieczulono Żernickiego przez kręgosłup" – relacjonował Jasiński – „mimo wielu prób nie nauczył się sprawnie poruszać z protezą nogi".

Janusz pozostawił 14 zbiorów poezji. W roku 1998 włocławska MBP wydała całościowy zbiór zatytułowany „Wędrowiec z Tężniopolis". To była wspaniała inicjatywa włocławskiego działacza kulturalnego, Aleksandra Kociłowicza i bibliotekarki pani Janiny Górniak. Kilka osób pracowało przy tym wydaniu jeżdżąc do poety bez nogi, mieszkającego na trzecim piętrze. Rozmawiam z panią Górniak:

(...) Jeździłyśmy do Ciechocinka (często towarzyszył nam Aleksander Kociołowicz, to on był inicjatorem wydania zbioru) i byłyśmy oczarowane nie tylko samym Januszem, ale i atmosferą, jaką potrafiła stworzyć przy redagowaniu książki Jego żona – cudowna pani Wanda, bo trzeba podkreślić, że godne ostatnie lata swojego życia Janusz tylko jej zawdzięczał. Nikt nie przyszedł im z pomocą (władze Ciechocinka), by Żernickich przenieść z trzeciego piętra na parter, a przecież Janusz nie miał nogi, a i ta która mu pozostała, była niesprawna. Pamiętam, że popełniłam niewielki artykuł na ten temat, który zatytułowałam „Pegaz w klatce" (Janusz był laureatem nagrody wojewody włocławskiego „Pegaz"). Niestety, nie było odzewu. Janusz był jednak pogodny, często podejmował w rozmowach tematy, które nas i cieszyły i bawiły, a Wanda cieszyła się, że do ich domu zawitało trochę radości. Tytuł książki - „Wędrowiec z Tężniopolis" ustalaliśmy wspólnie z Januszem, który w pierwszej wersji, zaproponowanej przez niego, miał brzmieć „Wędrowiec z jedną nogą". Ja jednak wybrałam „Tężniopolis", bo było i pogodniejsze, i więcej mówiło o stosunku Janusza, któremu, już nie wędrującemu, przyszło spędzić ostatnie lata swojego życia.

Oddajmy jeszcze raz głos stenotypiście:

„Sierpień 1997 roku przynosi upał trudny do zniesienia, któregoś dnia brat Wojciech zabiera Janusza na spacer. W wózku inwalidzkim Żernicki objeżdża okolice swojego dzieciństwa. Nie zdaje sobie sprawy, że jest to ostatni taki spacer. Lata zamknięcia na balkonie, który stał się „zagubionym dworcem mijających się ptaków", dają znienacka znać o sobie. Przeżywa rozległy udar mózgu". „Mój tryb życia jest na pewno dla wielu zaskakujący i przez wielu odrzucany" – zwierzał się poeta Janowi Marxowi w 1985 roku – „Jest to raczej bardzo smutne. Posiadając skrzydła pozwalające wyfruwać poza miasteczko, region, odgrywam trochę rolę prowincjonalnego bociana, któremu podcina się lotki, żeby nie wyfrunął. Kiedyś w Ciechocinku takie kalekie ptaki chodziły po parku, stanowiąc turystyczną atrakcję. Zbyt mało jednak porusza mnie spraw, by występować w roli młodego faraona z powieści Prusa, próbującego wprowadzić reformy, które muszą dopiero dojrzeć". (K.S.)

Janusz Żernicki ostatnie lata swojego życia przeżył w mieszkaniu na trzecim pietrze bez windy; balkon był dla niego „dworcem przelotnych ptaków" a w dole roztaczał się „Tężniopolis". *Wędrowca w jednym sandale* umiera w październiku 2001 roku na skutek silnego krwotoku wewnętrznego.

Na wszystko brakowało mu pieniędzy. Przyjaciela, Edwarda Stachury, z którym tworzyli jedyną rzeczywistą *Hybrydową Orientację Poetycką,* nie było już na tym świecie. Ale gdzie są członkowie tamtej orientacji, której Janusz nadał imię? Kilka dni przed jego śmiercią kapituła im. Juliusza Słowackiego, składająca się z najbardziej uznanych polskich literatów, członków ZLP, przyznała mu nagrodę za całokształt twórczości. Pieniądze z nagrody jednak zniknęły, tak jak dyplom, list gratulacyjny i szacunek dla żony zmarłego, zdaniem większości krytyków literackich jednego z najwybitniejszych współczesnych polskich poetów. Na jego pogrzeb przyjechało wielu poetów i przyjaciół z całego kraju. Nad trumną płomienną mowę na cześć zmarłego wygłosił Krzysztof Gąsiorowski, członek kapituły Nagrody im. Juliusza Słowackiego. Wszyscy literaci, decydujący kogo wyróżnić, byli filarami elitarnego Związku Literatów Polskich. W skład kapituły wchodzili wówczas m. in.: Piotr Kuncewicz, Jan Zdzisław Brudnicki, Andrzej Zieniewicz, a prezesem ZLP był i jest do dzisiaj Marek Wawrzkiewicz.

– Januszku, zapomnieliśmy o tobie... – mówił nad grobem Krzysztof Gąsiorowski – Ale postanowiliśmy przyznać ci wspaniałą nagrodę. Niestety, za życia nie zdążyłeś się o tym dowiedzieć.

Na stypie Krzysztof Gąsiorowski w gronie przyjaciół prosił żonę zmarłego o przyjazd do Warszawy po odbiór nagrody. Uroczystość miała odbyć się w Zamku Królewskim w Warszawie. Honorowy patronat nad imprezą objęła Jolanta Kwaśniewska, ale na nią nie przyszła.

– Dzień po pogrzebie miałam jechać do Warszawy – wspomina Wanda Kwiatkowska, wdowa po Januszu Żernickim. *– Nie miałam na to jednak siły. Ciężko znosiłam śmierć męża. Wtedy jednak sam gest przyznania tej nagrody wydawał mi się bardzo miły. Zbieram całą dokumentację mówiącą o twórczości Janusza. Bardziej niż na pieniądzach zależało mi na dowodzie, że mąż taką nagrodę rzeczywiście otrzymał. Dla wnuków.*

*

Na zboczach snu cisną się sobowtóry, napierając, żebym przyznał się do nich, choćby od niechcenia.

O poranku-wspominam-miąższ sytuacji, nonszalancki kaprys klimatów, puls brzóz, przymrużone oczy wertepów- bardziej mi były bliskie niż potwierdzenie własnej tożsamości.

Dlatego odprawiam ich nie bacząc na chronologię, dlatego odprawiam ich nie pamiętając win, (a jakże !) z którymi każdy się trzepocze, dlatego odprawiam ich, jakby byli obcy i skończeni (w rzeźbiarskim odczuciu fałd, sandałów i kostura)- teraźniejszy senior i uciętą nogą..

Zabiorę ich ze sobą, kiedy przyjdzie się tłumaczyć, jak na ośnieżonym peronie repatriantów- może Wielki Nieznajomy okaże się pobłażliwym?

Janusz Żernicki - „Na zboczu snu"

Christian Medard Manteuffel w Ciechocinku w 2005 roku.

Agnieszka Lubos

***

Jak niegdysiejszy
jest na mym parasolu
rytm kapuśniaczka

27.06.2023

***

(Dla Krystyny Krzyżanowskiej-Nastulczyk)

skrzydła motyla
na kablach rozedrganych
kwietniowym wiatrem

17.04.23

***

Dwoje na deszczu
Równość twarzy i pyszczka
pod każdą kroplą

29.06.23

***

Chcę być w ciszy

W bez-gwarze miasta
o(d)puszczonej
zamilkłej starówki

W nierównym stuku pantofli
o kocie łby

W gruchaniu pojedynczego gołębia

W nie-dzielności
aż do po-niedziałku

LIPIEC 2023

***

obwoźny sklepik
pod oknami kamienic
świeże opuncje

***

kwitnie buk i grab
czernieją ponad dołem
kapelusze

***

szuka pledu
coraz krótsze wieczory
na tarasie

Agnieszka Lubos. Ur. 21.03.1980 w Bielsku-Białej. Zawód wyuczony i uprawiany: anglistka. Pisze wiersze liryczne, haiku

Andrzej Katzenmark

Mit o bezgłośności

ESEJ

Silentium sermonis magister est
(Milczenie jest nauczycielem mowy)

Świat zaczyna się od mitu. Przed mit sięgają tylko domniemania, przypuszczenia i teorie na podstawie tego, co zostało zasypane piaskami czasu. Żadnego zdania, słowa, głosu czy szeptu... Trwa głuche milczenie przerywane monosylabami zaklętymi w muszlach amonitów, w segmentowanych jak tomy zamkniętych ksiąg korpusach trylobitów, a wreszcie w skamieniałych kościach naszych prapradziadków, praprawujów i prapraciotek. Czasami wyrwie się z tej przedmitologicznej przeszłości jakiś krzyk, płacz lub nieme słowo zapisane nieznaną ręką na ścianach Altamiry czy Lascaux, albo mignie cień ludzki w załomach murów Jerycha, lecz dopiero mit wyłania się z ciemnej przeszłości tak cieleśnie jak życie i tak baśniowo jak marzenie lub przekleństwo.

To zbrodnia zrodziła bezgłośność. Tak bowiem powiada mit o Filomele, swoista księga upadku, *ηδικʃs λόγος* pokrzywdzonych, nadszarpniętych, zaczepionych, zranionych, stłamszonych, przytłumionych, oszukanych i przede wszystkim tych, którzy oniemieli, zastygli z otwartymi ustami, księga, której czytanie przynosi zniewolonym marzenie o chwili wolności, instruuje i krzepi, lecz krzepi ich niebezpieczną solidarnością renegatów i odszczepieńców.

Król Pandion, władca Aten prowadził wojnę z Labdakosem z Teb, swym sąsiadem zza miedzy, od którego królewski ród tebański swoją nazwę bierze. Spór o ziemie przygraniczne, może o północne stoki Kitajronu, tak zwaśnionych rozognił, że kiedy własnych włóczni i mieczy nie starczyło, po posiłki słać jęli. Z pomocą Pandionowi przyszedł wtedy Tereus, syn Aresa, heros z Tracji rodem. Jego armia z łatwością pokonała Tebańczyków. Jako zwycięzcy przypadły mu w udziale wszystkie spolia oraz nadzwyczajna nagroda, ręka córki Pandiona, pięknej Prokne. Niebawem odbyło się huczne wesele. Tańce, okrzyki, pohukiwania, korowody, kręgi, światła pochodni, dźwięki aulosów, formingi i tympanów. Radość na uczcie wszechpanowała, nim uroczyście z domu ojcowskiego na tracki okręt Prokne przewieziono.

Spod ciemnych jak krucze pióra brwi przyglądała się szwagrowi młodsza z córek króla – Filomele. Podziwiała jego siłę niedźwiedzią; cieszyła się, że taki wojownik został mężem jej siostry. Wojownik, co i w czas pokoju znaleźć się umie: nie wrzeszczy przed wszystkimi, nie kłóci się, nie pluje pod stół, jak każdy kulturalny sympozjasta z kyliksów pije wino. A mówiono, że to dziki Trak. Ach, te plotki. Tereus podobny był do oswojonego lwa, który dopóki syty zapomina o swej dzikości, zrzuca z siebie nieokrzesanie, przywdziewając szatę bywalca megaronów, miłośnika pieśni śpiewanych przez aojdów. Ów lew nieulękły także przyglądał się nad wiek wybujałej dziewczynie. Przyglądał się z ciekawością i znawstwem, lubieżnie przełykając ślinę. Już wtedy chucią nieokiełznaną do swej szwagierki zapałał. Na własnym weselu. Gdzież Herze czy Charytom na takie wesele spieszyć. Gdzież Hymenowi nową drogę błogosławić. Wesele takie dobre dla Erynii, zbrodni zmazę wietrzących. One więc tu ściągnęły.

Czas w mitach płynie zawsze ku wypełnieniu losu wyprzędzonego przez Mojry. Tak zdarzyć się musiało. Innej drogi nie było. Myśl o wdziękach szwagierki nie opuszczała Tereusa. Nawet kiedy przenieśli się do dalekiej Tracji, dotykał w marzeniach dziewiczych piersi Filomeli. Nie sypiał dobrze w ojczystej ziemi. Wspominał i marzył. A że człowiekiem czynu był, marzenia w plan przyoblekł, a plan w działanie. Podsuwać jął małżonce wizję rodziny w komplecie, sielankę familijną.

- Jakby to pięknie by było, gdybym mógł wraz z Pandionem, Erechteusem i Butesem przy jednym stole pić wino i spoglądać na te cyprysy przed naszym pałacem.

- Zapomniałeś o mojej ukochanej siostrze Filomeli, z którą nigdy dotąd się nie rozstawałam. Ona też tu być powinna.

- Tak, tak – tu przełknął ślinę lubieżnie – Filomele też powinna tu być z nami. Przepraszam, żem o niej zapomniał.

Tak tęsknotę pielęgnował i rozwijał w sercu Prokne podstępny małżonek. Pandion wraz z synami przyjechać by nie mógł. Wiedział o tym Tereus. Ktoś bowiem strzec Aten musiał przed wojowniczymi sąsiadami. Niebezpieczny był to czas, co niedawne wydarzenia wykazały, Labdakos wciąż sąsiadem pozostawał, i choć w micie o nowym zagrożeniu mowy nie ma, wyobraźnia odrzucać go nie powinna, zwłaszcza że niebawem Pandion młodszą córkę zięciowi poruczy, a żadnego z synów dla towarzystwa (bezpieczeństwa) nie wyśle. Przeczuwał zatem Trak takie swych knowań uwieńczenie.

Doczekał się wreszcie Tereus spełnienia prośby swej żony, słów, które sam w usta jej włożył, słów, które jak garncarz-artysta uformował w naczynie swej chwały, w puchar swojego zwycięstwa.

- Niech przyjedzie tu Filomele – rzekła – a może ojciec i bracia też odwiedzić nas zechcą. A jeśli czas im na to nie pozwoli, niech chociaż moja siostra rozjaśni dni trackiej jesieni i zimy.

Zastanawiali się oboje, kto w podróż na koniec lata powinien się udać, by Filomelę bezpiecznie do Tracji sprowadzić. Niebezpieczeństwa jął rozsnuwać jak czarną nić Tereus.

- Żeglarz to musi być nie lada, i żołnierz, i człek uczciwy, stateczny, najlepiej ktoś z rodziny, żeby nie uciekł, żeby okrętu i twojej siostry gdzie nie sprzedał.

- Ty płyń, mój mężu, i do naszego pałacu ją przywiedź. Tylko tobie ufać mogę.

Wahał się jeszcze, z sobą mocował i w morze długo patrzył, nim przytaknął Trak przebiegły.

- Nie ja, to kto inny ją weźmie – myślał. – Jeśli ja tego nie spróbuję uczynić, innym torem los pobiegnie, i nie będę miał okazji tej zdarzeń nici sprawdzić, nie będę miał okazji sprawdzić, com ominął. W swoich rękach powinienem ster życia dzierżyć i nie wypuszczać ani na chwilę, bo umkną mi moje plany, a rzeka czasu zmyje ślad mego istnienia. Wszak nigdy nie poddawałem się losowi, za bary z największymi wyzwaniami się brałem... I niech tak zostanie.

Potem zaś dodał w swym monologu:

- Cóż znaczę ja, Filomele czy Prokne wobec gwiazd tylu i tajemniczości kosmosu, przestrzeni nieogarnionej, co tylko nocą swój majestat rozpina. Niczym jesteśmy i niczego nie znamy. Jedno tylko jest pewne: to, co teraz się staje, a zatem czyn i działanie. Tego nauczył mnie mój boski rodzic. To on przecież z Afrodytą się połączył, a Hefajstos sieć…

Oblizał wargi na tej historii wspomnienie. Tym razem otworzyło mu ono sposobność do wywyższenia się nad ludzką powszedniość, do pogardy dla zwyczajnego żywota, do nonszalancji, do fantazji pozbawionej wyrzutów sumieniu (bo czyż bóg ma sumienie), do desperacji nawet z genów ojcowych czerpanej, która do czynu go porywała. Przygotowany był zatem do tej podróży.

Jak wytrawny koryfeusz wydobywał z domowego chóru takie pieśni, jakie chciał posłyszeć, jakie chciał, żeby inni słyszeli. Sprytowi jego, jak to zwykle bywa, nie dorównywała inteligencja. Knuł, siecią podstępów otaczał, spiskował, skłócał, koterie budował, koterie burzył, ale uderzała w jego zamiarach pewna ograniczoność, wąskość, jednotorowość myślenia. Nie interesowała go złożoność rzeczy lub przyczyny faktów czy działań, całą perspektywę rozumowania przesłaniał mu cel, który chciał osiągnąć. Nigdy nie analizował tego, co robi, ani nie oglądał się wstecz. Zmierzał najkrótszą drogą naprzód. Jedyną przeszkodą tarasującą tę drogę była jego dbałość o pozory, podświadomy kamuflaż, zabezpieczanie się przed niesławą, bo ta niosła ze sobą zagrożenie dużo większe niż utrata czci; spowodować mogła utratę władzy. Dlatego Tereus tak kluczył w drodze do zdobycia Filomele. Domyślać się można, że nie był to jedyny cel w jego życiu. Mitowi należy zawdzięczać rozdmuchanie tej sprawy do rozmiarów i rozmaitości godnych literatury.

Tych kilka lat, które upłynęły od przybycia do Tracji, od dnia, w którym wysadził Prokne na brzegu swej wietrznej krainy, spędził Tereus na załatwianiu spraw wagi państwowej. Pozbył się kilku domniemanych spiskowców, wygnaniem (a więc łagodnie) ukarał dwa znamienite rody, z których pretendenci do tronu narodzić się mogli, czystkę w armii przeprowadził i najwyższych oficerów na wszelki wypadek na banicję skazał. Obsadził najwyższe stanowiska w Tracji popleczni-kami swymi, a niebawem i tych wymienił... Działo się wiele... Hordy barbarzyńców za Dunaj przepędził, ku wybrzeżom azjatyckim kilka wypraw łupieskich zorganizował, złota i kobiet nawiózł. Te domniemania co do wypełnienia kilkuletniej zwłoki przed ponowną wyprawą Tereusa do Aten wydają się dość prawdopodobne, skoro król, myślą o zdobyciu Filomele przeniknięty na wskroś, nie wyruszył po nią wcześniej.

Dochodzi jeszcze jedna przyczyna owej zwłoki, może nawet podstawowa. W micie bowiem pojawia się wątek uboczny, odnoga pasma zdarzeń zmierzającego wprost do kulminacji, swoista retardacja mogąca (tak wydawać się może czytelnikowi) powstrzymać herosa od spełnienia swych planów. Na świat przychodzi syn Itys. Chlubił się synalkiem Tereus. Po sąsiadach go obwoził. Sąsiadów do siebie spraszał, by wraz z nim tronu dziedzicem się cieszyli. Wino strumieniami z pitosów lano. Radości nie było końca. Kilka więc wiosen minęło, nim nadeszło to lato, kiedy Prokne wyrzekła do męża cytowane już słowa: ty płyń, mój mężu, i do naszego pałacu ją przywiedź.

I popłynął na okręcie o wysokich burtach przez morze ciemne jak wino. Goszczony przez nic nie podejrzewającego Pandiona biesiadował, weselił się wraz z teściem, →

O BEZGŁOŚNOŚCI M

spijał kraterami jego piwniczne zapasy. I patrzył. Patrzył przede wszystkim na szwagierkę, która przez te lata poloru, krasy i wdzięku dojrzałej panny nabrała. Oblizywał się niby po winie, wzdychał, ślinę przełykał i wzrok dla niepoznaki odwracał, w wapienne wzgórza wlepiając, by chuć ostudzić. Zwiódł władcę Aten, list od Prokne pokazując. O tęsknocie wiele mówił i przedstawił tę swoją sielankową wizję, w której oni dwaj ucztują i na cyprysy przed pałacem w Tracji pozierają, a Filomele i Prokne przędą. Wzruszył starca, aż sam się przestraszył, że ten z całą familią gotów do Tracji popłynąć, ale następnego ranka Pandion znów stał się królem i Aten nie myślał opuszczać, bo niebezpieczeństw czyhało wokół wiele, obowiązków zatem bez liku.

- Czy chcesz, moja droga – zapytał – popłynąć ze szwagrem do Tracji dalekiej? Jesień na progu. Fale coraz wyższe. Dzień coraz krótszy...

- Tak, ojcze. Chcę siostrę zobaczyć. Na wiosnę do ziemi naszej powrócę.

Wsiedli na statek w Faleronie. Kiedy od brzegu odbili, długo jeszcze Filomele ku białym wzgórzom Attyki patrzyła. Niebawem mgła ląd zasłoniła. Na pełne morze wypłynęli, wbrew bezpiecznemu zwyczajowi żeglarzy, który każe mieć brzeg w zasięgu wzroku. Ukryć się chciał Tereus przed spojrzeniami wścibskich oczu, przed uszami przypadkowych słuchaczy. Głos bowiem po wodzie łatwo się niesie ku zaludnionym brzegom. Załodze wypróbowanej w niejednej rozbójniczej wyprawie ufał, gotów wszelkie sekrety powierzyć, zwłaszcza te, na których temat mężczyźni chichotać lubią.

Kiedy minęli tonący w chmurach przylądek Sunion, poczuł się Tereus panem sytuacji. Tu władza Pandiona już nie sięgała. Rosło w królu poczucie potęgi, mocy zdolnej świat przenicować. Wiatr owiewał dumne czoło władcy. Spojrzał w stronę przechylonej przez burtę Filomele. W wodę patrzyła; z blasków, lśnień, cienistych wirów chciała odczytać swoją przyszłość. Wiatr wygładził fałdy peplosu, uwypuklił krągłe linie ciała dziewczyny. Przy silniejszym podmuchu alabastrowym ciepłem pierś zamigotała, odbijając barwy zachodzącego słońca. Tereus oblizał się, ślinę przełknął, co miał w lubieżnym zwyczaju. Podszedł ową mocą dzikiej natury natchniony do szwagierki, od tyłu ją objął, pierś mocno ścisnął i, przylgnąwszy do niej, tak przemówił:

- Od mojej woli teraz zależysz. Jeśli zgodnie wypełniać będziesz to, co kobieta winna jest mężczyźnie, sprawę zataję, nie powiem nikomu, przyjemność tę w sobie przechowam jak w skarbcu.

- Cóż mówisz, Tereusie – drżącym głosem odpowiedziała Filomele. – Jesteś mężem mojej siostry... Nie mogę nawet myśleć o tym.

A dłoń nie ustawała w piersi ściskaniu. I wciąż swym ciałem na nią napierał.

- Nie masz o tym myśleć. Biorę to na siebie. Masz udać się ze mną do tego oto namiotu.

Na środku okrętu w pobliżu masztu opadały skośnie z poprzecznie rozciągniętej żerdzi dwa prostokąty purpurowej materii tworzące schronienie przed słońcem i deszczem. Wymoszczone słomą i owczymi skórami łoże czekało na wypełnienie się losu wyprzędzonego przez Kloto.

- Nie chcę – hardo powiedziała Filomele. Dłonie wpiła w bukową poręcz.

- Znam ci ja te przekomarzanki. Mógłbym cię wziąć siłą, ale jako człowiek kulturalny proponuję polubowne rozwiązanie. Kocham cię przecież. Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem, nie mogłem zapomnieć. To z mojej inicjatywy do Tracji płyniesz.

- Chcę wrócić do domu.

- Już jest za późno. Tu na moim chyżym okręcie uczynię cię dorosłą, uczynię cię kobietą.

- Nie chcę – powtórzyła.

- I ja nie chcę cię posiadać wbrew twej woli. Do twego serca dotrzeć pragnę. Złotem cię obsypię, w mleku kąpać się będziesz, w ptasim puchu sypiać.

Tereus już dawno cel sobie wyznaczył. Walczył już tylko o sposób realizacji, o pozory.

Bezgłośność Filomele zaczęła się już w momencie osaczenia, kiedy stanęła sparaliżowana uściskiem Tereusa, kiedy poczuła się jak sarna otoczona przez zaostrzone włócznie myśliwych. Bez wyjścia. Czekać i nie oddychać. Milczeć. Może zniknę. Zwlekać. Może coś się odmieni. Byle nie mówić za wiele, bo wszystko może się obrócić przeciwko mnie. Tak biegły jej myśli ku naiwnej nadziei. Bezgłośność przychodzi sama. To odruch obronny, instynkt samozachowawczy w chwili osaczenia, żółwia skorupa, schronienie w sobie, poszukiwanie ratunku w inercji, w cichym opadaniu, a zarazem w powstrzymywaniu ziaren piasku w klepsydrze; to beznadziejne czepianie się tych ziaren. Filomele zamilkła, bo mówić przeciw sile i potędze półboskiego szwagra nie miało już sensu. A to dopiero początek, uwertura dramatu; a to dopiero cząstka tej bezgłośności, jaka ją czekała. Filomele przesiewała jeszcze przez sito strachu sylaby nadziei.

Morze kląskało falami, lekki zefirek nadymał skośne ściany purpurowego namiotu. Okręt bujał się pośród blasków rzucanych przez zachodzące słońce, jakby cały Midasowy skarbiec rozsypał się po morzu. Dla Filomele była to pora rozpaczy, milczenia z bólu i niemocy. A Tereus tryumfował. Zapadł zmierzch, nad kląskającymi falami zapanowała ciemność, straszliwa ciemność, jakby otwarły się wrota ku nieznanym czeluściom rozpaczy, a minione blaski były zwykłą kpiną. Całą noc pokład napełniał się jękami gwałconej, całą noc szumiało morze nieczułe, całą noc niezmącona ciemność chłonęła dźwięki cierpienia i wstrętu. Nawet załoga, choć pijana i przyzwyczajona do rozbójniczych kaprysów władcy, z niecierpliwością czekała końca tej orgii.

Minęło kilka strasznych dni. Żeglarze ujrzeli wreszcie zalesione wybrzeża Tracji. Na rozkaz króla wpłynęli do malowniczej zatoki otoczonej skałami. Tylko niewielki skrawek piasku w kształcie półksiężyca nadawał się do bezpiecznego zejścia na ląd. Wokół poszarpane wapienne granie. Pusto i cicho. Kręta ścieżka, którą się posuwali, wiodła pod górę. Za śnieżnobiałą linią nadbrzeżnych skał rozciągał się las. Filomele ciągnęła się z tyłu. Głowa spuszczona, mroczne myśli. Nadzieję zastąpiła chęć zemsty. Nic innego w niej nie pozostało. Wlokła się. Wyzwiskami miotała. Nie wytrzymała wreszcie:

- Gdzie ten twój pałac?

- Już niedaleko.

- Wszystko powiem mojej siostrze. Zniszczę cię.

- Tu jej nie zastaniesz.

- Powiem wszystkim, powiem sługom twoim, powiem lasom, ptakom, rzekom. Jak niegdyś o Midasie, tak teraz o tobie szumieć będą trzciny; szumieć będą drzewa i wody, a będzie to straszny szum oskarżenia. Skały nawet przemówią. Przed taką prawdą nie uciekniesz. To początek twojego końca. Przeklinam cię.

Zimno jak ostry sopel przeszyło Tereusa na zapalczywie wypowiedziane słowa. Jak straszna przepowiednia zabrzmiały. Jak wyrok wyższego niż królewski sądu. Pognały myśli polityka zwykłym torem ku wyciszeniu tego, co głośne, ku przytłumieniu, stłamszeniu, zniwelowaniu i powstrzymaniu rzucanych nań kalumnii. Filomele bowiem histerycznym głosem w czyn wprowadzać jęła swoją zapowiedź.

- Pohańbił mnie. Zwierzę – krzyczała. Kutas zakłamany. Hipokryta. Tchórzliwy bękart. Żyłeś jak pies i zginiesz jak pies…

Niejeden uszy by woskiem zalepił, żeby tych okropieństw nie słyszeć. Tereus jednak znosił ten monolog, uśmiechał się nawet, głową kiwał jak ktoś, kto wie już coś naprzód, kto bieg przyszłych wypadków odczytał, jak hauruspik, widzący kres mowy w wątrobie.

Znaleźli się na polanie. Kilka skał wystających z murawy. Dookoła las sosnowy. Tereus kazał iść sługom ze swojej załogi dalej. Sam został z Filomele. Wyjął miecz. Dziewczyna szeroko otworzyła oczy ciemne jak czeluść największej rozpaczy. Nie poruszyła się. Nie uciekała. Wiedziała, że nastąpi coś strasznego. Pewnie śmierć. A jeśli nie śmierć, to coś jeszcze bardziej przerażającego. Zalśniło czerwienią spiżowe ostrze. Tereus w powietrze miecz wzniósł i płazem w kark dziewczynę uderzył. Upadła w żółtą wrześniową trawę. Na wznak ją przewrócił. Zbliżył brzeszczot do jej twarzy...

Lepiej umknąć w racjonalizm. To mit przecież, baśń, fantazja i zmyślenie. W „normalnym" świecie takie okrucieństwo jest niemożliwe: odebrać głos na zawsze, odebrać głos siłą, obciąć język… Rzeczywistość notuje dużo straszniejsze fakty i w mniej baśniowej scenerii, z mniej baśniowym finałem.

Tereus zawołał sługów swoich, żeby zanieśli nieprzytomną Filomele do pobliskiej chaty. Celowo wybrał na miejsce kaźni tę polanę, albowiem stąd niedaleko już było do kurnej chaty, w której zamyślał ukryć kochankę. Ta polana wydała się niecnemu Trakowi błogosławionym przez bogów miejscem, nie mógł przecież między ludzi swoich przyprowadzić tej rozgdakanej kury. Trochę żałował swej raptowności i żądz nieokiełznania. Mógł to rozegrać inaczej. Dłużej, lecz polityczniej. Nie przewidział, płynąc do Aten, takiego oporu. Uwieść chciał i zniewolić, ale za obopólną zgodą, nawet jeśli wymuszoną, to w rezultacie zaakceptowaną, respektowaną i przyjętą jako status quo. Innego wyjścia nie było. Władczo-poddańczy schemat jednak zawiódł, ale nie zawiodło działanie. Filomele przestała mówić. W jednej chwili, bez szansy powrotu.

Dom okazał się wygodny i miły. Przysadzista bryła z kamienia i gliny. Zamieszkiwały go tylko kobiety. Służące, kucharki, prządki, pasterki, dójki, dziewki łaziebne, tancerki, pieśniarki, aulecistki, wszystkie przywiezione z wypraw przez Tereusa. Wszystkie rozgadane. Jedna Filomele nie mówiła. Gdy król Tracji odpłynął do swej małżonki, zaczęła rozmyślać nad swoją sytuacją. Żadnej możliwości ucieczki. Las dookoła. Jak przedrzeć się przez tę gęstwinę? Dokąd? Po co? Jak przekonać kogokolwiek o pomocy? Rozgadany świat stawał się tak samo niemy jak ona. Przemawiał bez odpowiedzi i przemawiał bez pytań. Nic nieznaczący szum.

Tymczasem Tereus, łzy roniąc, przekroczył bramę swego pałacu. Prokne już z daleka dojrzała, że coś strasznego się stało. Orszak zabijaków, rębajłów i birbantów zawsze skorych do śmiechu towarzyszył żałobnie swemu dowódcy. Powaga, wyciszenie i smutek. Głowy pochylone żałobnie. Wyglądali jak kondukt pogrzebowy. Tereus z drżeniem w głosie, zapłakany w urywanych zdaniach przedstawił Prokne wzruszającą, lecz z palca wyssaną historię, w której śmierć szwagierki opisał. Morze, burza, piraci, ucieczki, pogonie... Łgał jak z nut. Wszystkich wzruszył. Sam też łzy w chlamidę wycierał, chlipał, wzdychał, do krwi twarz drapał. Grał jak nie lada aktor i to z czasów znacznie późniejszych; i bez maski tragicznej; wyprzedził epokę, rzec można.

Po uroczystościach pogrzebowych, które odbyły się, mimo iż ciało Filomele jakoby w odmętach morskich pogrążyło się na zawsze, kurhan nagrobny usypano. Potem Tereus igrzyska zorganizował, co zwyczajem było prastarym, lecz po pogrzebach herosów, mężów znacznych lub królów. Lud lubi jednak igrzyska, nawet jeżeli są to igrzyska pogrzebowe i to igrzyska po śmierci nieznanej Trakom niewiasty. Toteż najznaczniejsi, najzamożniejsi z mieszkańców wzięli w nich udział. W głównej konkurencji tej żałobnej rywalizacji, w wyścigach rydwanów, zwyciężył Tereus, za co złoty trójnóg otrzymał, a nadworny aojda epinikion na ten temat ułożył i na stypie zaśpiewał. Życie szybko do normy wracało; tylko Prokne ze śmiercią siostry pogodzić się nie mogła i w czarne szaty ubrała się na znak żałoby, i nigdy już tego stroju nie miała zmienić.

W chacie w głębi boru w milczeniu pogrążała się Filomele. W milczeniu gwałtem jej narzuconym. Lewitowała w otchłani bezgłośności. Żadnego punktu zaczepienia. Żadnego punktu oparcia. Osuwała się po ścianach słów. Umykała, gdy do niej mówiono. Nie pogodziła się jeszcze ze swoim losem, nie nauczyła się jeszcze milczenia. Dlatego nie potrafiła wyjść poza mury bezgłośności. Właściwie to nawet takiego muru nie było; fosa głęboka ją otaczała. Niczego jeszcze nie zdołała zbudować, żadnej fortyfikacji, a zatem żadnych też bram, mostów i dróg.

Bezgłośność to stan permanentnej niewoli. Żadnych szans na ucieczkę. Myśl o wolności to myśl o zemście. Tylko myśl. Pozwalała jej jednak wychodzić z siebie, choćby na chwilę. Snuła takie marzenia Filomele, żeby raz jeden zatryumfować, po kontemplacji cierpienia westchnąć powietrzem wolności, za którą już tylko śmierć czeka. Marzyła w swoim niemym świecie, jakby w ścianach ze słów niepotrzebnych. Pierwsza z tej studni samotności myśl o siostrze wzleciała.

Filomele zaprzyjaźniła się z Tebanką, którą Tereus przywiózł z swojej pierwszej wojennej wyprawy do Aten. Dziewczyna pielęgnowała niemowę, z ran wyleczyła i pomagała wychodzić poza bezgłośność i w świecie słów poruszać się innymi niż głos sposobami. Haftów cudownych ją nauczyła, haftów, które na płótnie portrety, pejzaże i sceny fantastyczne wyczarować potrafiły. Raz w miesiącu jeździła Tebanka do zamku królewskiego, gdzie dworzanki i służki jej stoisko oblegały, bo żaden warsztat podobnych arcydzieł nie oferował. Nie potrafiła jej dorównać Filomele. Wyszywała ognistopióre feniksy, strasznego Tyfona, Echidnę, sceny z gigantomachii, śmierć Uranosa. Smutne i ponure były jej rękodzieła, nie przyciągały kupców. Toteż wracała z nimi Tebanka z powrotem do chaty w lesie. Tkanych i haftowanych przez Filomelę płócien przybywało, lecz wszystkie zapełniały platanową skrzynię w pokoju dziewczyny. Nikt nie chciał mieć w domu ponurych landszaftów z Hadesu, konterfektów przedstawiających potwory albo scen zemsty czy krwawej odpłaty.

Był to czas, kiedy królowie często schodzili z wyżyn władzy pomiędzy swój lud. Toteż pewnego dnia ujrzała te dzieła królowa, która nieraz wcześniej kupowała na jarmarku tkaniny przywożone przez Tebankę. Zaintrygowała ją twórczość niemej dziewczyny. Ponura, ziejąca okrucieństwem tematyka współgrała ze stanem duszy Prokne, która szukała pomsty na mordercach swej siostry, na cylicyjskich, jak sądziła, piratach. Kupiła jej tapiserie i zawiesiła w swojej komnacie. Rozlały się po ścianach czarno-purpurowe głębie roztrącane krwawo-złotymi płomieniami, lśnienia dali jak miecze zimnych; chłodne kolory świata przeciwstawione zostały barwom niszczącej pożogi. Czuła boleść niemej hafciarki. Kazała Prokne przywieźć Tebance inne tkaniny tajemniczej dziewczyny. Intrygowała ją ciemna dusza niemowy.

Filomele wprawy i kunsztu nabrała w sztuce haftowania. Pracować właśnie zaczęła nad wielkim płótnem przedstawiającym historię jej zguby, dzieje przeklętej podróży z Aten do Tracji. Jak by na dnie Hadesu rozgrywały się straszliwe sceny, w krainie cieni, bez jednego słowa, w chłodnym dusz się mijaniu. Powstał obraz, który sam był żywym okrucieństwem i cierpieniem. Co ważne jednak, wskazywał bezpośrednio sprawcę i ofiarę. Mojry z ukontentowaniem na rozwój wypadków patrzyły. Dzieło podziwiały. Lachezis już miarę do kilku nici przykładała i patrzyła wymownie na Nieodwracalną. Już niedaleko do końca, jeszcze chwila. Z pułapu wieczności inaczej patrzy się na czas życia.

Kiedy dziewczyna haftowała przesłanie dla swej siostry, czuła, jak rozluźniły uścisk kajdany, okowy niewoli. Krzyczała. Krzyczała czerwienią i czernią swoich obrazów, aż powietrze drżało. Budziła się wolność.

Służące przyniosły tkaninę do komnaty królowej. Już dotykając lnianej materii, zadrżała Prokne; przeniknął ją żar słów zaklętych w krwi obrazu, choć jeszcze go nie widziała. Przelękła się tego uczucia. Upuściła zwiniętą materię, a tkanina na podłodze się rozpostarła jak snów wieszczych odczytanie. Zamarła Prokne, patrząc na krzyk siostry ukochanej. Nic już nie było tajemnicą. Nic już nie było jak przedtem. Budziła się wolność. Budziło się samostanowienie o sobie. Budziła się zemsta.

Ziarna piasku w klepsydrze niczym kamienne bloki zatrzaskiwały kolejne bramy do krainy przeszłości. Nie ma już wspomnień. Nie ma ważenia minionych czynów. Prokne działania pragnęła, działania mocnego jak cięcie mieczem, potężniejszego niż samospalenie. Kazała Tebance przyprowadzić Filomelę do lasu. Tam się z nią spotkała. Przytuliła nieszczęsną. Nie płakała nawet. Chłodno i rzeczowo powiedziała:

- Droga siostro! Nadszedł czas zapłaty. Musimy wznieść się ponad okrucieństwo Tereusa i takiego czynu dokonać, że okrucieństwo jego tobie i mnie zadane wyda nam się błahym. Chcę widzieć jego ból i cierpienie. Tą myślą żyję. Niech pełza, niech łka, niech włosy rwie w rozpaczy. Chcę mu pokazać, że jest władza wyższa nad jego władzę. Niech poczuje, że niczym są jego rządy. Zbliżają się Dionizje, święto wolności. Wówczas niech się dokona zemsta. Niech szał Agaue nam podpowie, co czynić mamy.

Milczały, za dłonie się trzymając. Usiadły na mchu. Wtedy po raz ostatni płaczem wybuchnęły, po raz ostatni do granicy wspomnień się przedarły i na chwilę ogrom nieszczęścia zwalił się na nie. Na chwilę. Prokne wstała.

- Żegnaj, siostro. Żegnaj na zawsze. Kiedy za trzy dni spotkamy się tutaj, będę kimś innym, ty też będziesz inna.

Tereus tymczasem zażywał wypoczynku w zamku. Nie domyślał się, że zdemaskowane zostały jego zbrodnie, nie domyślał się, że wokół niego jak harpie gromadzą się straszne intrygi. Prokne krzątała się po pałacowych izbach jak co dzień. Doglądała spraw gospodarskich. Jak Nyks czarna przemykała korytarzami, pozostawiając kamienne echo kroków. Coś złowieszczego unosiło się ponad tym chodzeniem, ale Tereus winem zagłuszył swoją podejrzliwość. Za głupia na podstępy, myślał z satysfakcją. To władza dysponuje największą siłą.

Nadszedł dzień umówionego sióstr spotkania; nadszedł wieczór. Po lesistych wzgórzach →

Tracji rozlegały się nawoływania euoi! euoi! Chwyciwszy tyrs, wybiegła Prokne w ciemność, jak wilk czujący zew puszczy prastarej. Z kilkoma menadami zagłębiła się w las. Zgubiła je niebawem. Filomele już czekała. W blasku pochodni strasznie wyglądała Prokne. Krew zabitego kozła spływała z jej szyi na postrzępiony peplos. Wstrząsała tyrsem i wykrzykiwała: euoi! Bakche! Dyszała. Filomele pobiegła za siostrą. Poraniła stopy i ręce. Też krzyczała, nieartykułowane sylaby w niebo wysyłając, i wymachiwała znalezionym kijem. Tak uwalniały swoje dusze z ludzkich więzów, z więzów ciała. Boskiej sile Bromiosa się poddawały. Ekstaza i entuzjazm przywiodły bakchantki do zamku. Przeniknęły mury kuchennymi drzwiami. Każda szła jakby obok siebie, jakby to nie one szły. Krew wietrzyły jak stymfalijskie ptaki.

Tereus spał, winem zamroczony. Nie słyszał, co wokół niego bakchantki wyprawiały. A one wpadły do sypialni Itysa... Niewinną ofiarą straszliwej zemsty stał się chłopiec. Przecięła jego nić Atropos. Wzdrygnęła się przy tym, nim przeszła do dalszych obowiązków. Szkoda, że tak zdarzyć się musiało.

Nie koniec na tym. Nie pogrzebały ciała mściwe tyjady. Nozdrza im drgały, gdy stały nad trupem. Matka i ciotka krwią Itysa wysmarowały twarze, szyje i ręce. Do kuchni wleciały. Ogień rozpaliły. Piec jęły ciało zabitego na ucztę poranną. Nic nie mówiły. Z gór dobiegały ostatnie okrzyki czcicielek Dionizosa. Z głosami ptactwa się mieszały. Dniało.

Prokne przywołała Tereusa. Wstał z łoża leniwie. Obok pieczeni postawiła wino z krwią zmieszane.

- Pij i jedz, drogi mężu. Nigdy nie wiadomo, kiedy i jaki zjesz następny posiłek.

Zza zasłony dzielącej izby patrzyły kobiety na biesiadnika. Najpierw pił długo. Gdy wino przywróciło mu dobre samopoczucie, jeść zaczął hyjofag. Nawet Dzeus tragedii tej nie mógłby odwrócić. Powoli dopełniała się pomsta. Tereus słyszał szelesty dobiegające zza zasłony. Nie zwracał na nie uwagi. Musiałby się odwrócić. Uporczywy ból głowy nie pozwalał mu na taką ruchliwość.

- Gdzie Itys?! Śpi jeszcze?! – krzyknął.

Prokne uśmiechnęła się szaleńczo. Wsunęła głowę, a potem cała się wyłoniła. Pociągnęła Filomelę. Umazane krwią twarze, zakrwawione peplosy i dziki, obłąkany wzrok – mieszkanki ziemi w Kery lub Erynie się przemieniły. Stanęły za Tereusem. Oddychały ciężko.

- W tobie twój syn jest! – tuż nad Tereusem zabrzmiał głos chrapliwy.

Nie zdążył nic rzec, bo przez stół potoczyła się zakrwawiona głowa. Sprawczynie karmiły oczy swoje reakcją zdrajcy. Obeszły stół, żeby prosto w twarz jego spoglądać. A on nic nie mówił. Patrzył i patrzył. Wstać nie mógł. Zwracać zaczął. Konwulsyjnie, jakby siebie chciał zwymiotować. Ma Dia! Jęczał, gdy docierać doń zaczął ogrom koła zbrodni. Kobiety jego życia stały zastygłe i wdychały ze świstem powietrze, jakby wzrok i słuch nie wystarczał do nasycenia żądzy zemsty. Nie wiadomo, jak czuły tę zemstę, bo każda z nich stała jakby obok siebie.

Prokne nie wiedziała nawet, iż na tę samą bezgłośność cierpiała, co jej siostra. Inaczej zapisała się w niej utrata mowy. Lecz sięgnęła równie głęboko. Dopiero wypadki kilku ostatnich dni uświadomiły jej, że do tej pory była niema jak ryba. Tym silniej chciała krzyczeć. Ze śmiercią własnej niewinności obie utraciły bezgłośność. Taka wolność może trwać tylko chwilę, ponieważ znajduje się na szczycie możliwości, o wiele wyżej niż moc ludzka. Jej końcem może być tylko śmierć lub przemiana podobna do śmierci. Nie sposób zahamować rozpędzonego koła zbrodni. Raz w ruch wprawione toczy się zabierając ze sobą kolejnych sprawców i kolejne ofiary. Tereus z przerażeniem patrzył na morderczynie. Może do siebie też poczuł obrzydzenie. W takim stanie ducha mógł ważyć się na wszystko. One obserwowały jego strach, przerażenie, gniew i wściekłość. Nic, tylko patrzyły. Nawet cień obawy nie przemknął przez ich twarze. Jakby oglądały przygotowania do jakiegoś święta. Jakby Tereus krzątał się pośród worków z winem, szukając najbardziej odpowiedniego na zbliżające się sympozjon. Szalony spokój.

Dopiero kiedy obszedł stół, a wleczony miecz zazgrzytał na kamiennej posadzce, Filomele i Prokne zerwały się do ucieczki. Po marmurowych stopniach w dół, na podwórze. Stamtąd szybko ku murom. Filomele zaczęła zostawać z tyłu. Nie nadążała za siostrą. Wypadły boczną furtką przez mur. Tu Prokne zaczekała na nią. Zbiegły z trawiastego zbocza. Wokoło rozkwitała wiosna. Brzęczały owady. Kobiety nie ze strachu uciekały. Chciały widzieć wściekłość Tereusa. Chciały się nią nasycić. Toteż raz po raz oglądały się za siebie. Dopadły zarośli. Tu stanęły. Tu dokonać się miał następny akt dramatu. Dyszały. W nozdrzach czuły już krew kolejnej zbrodni. Prokne zasłoniła sobą siostrę. Patrzyła spokojnie w twarz swojego męża. Uśmiechała się dalekim, trochę nieobecnym uśmiechem. Tereus widział w nim pogardę, o ile jego nabiegłe krwią oczy cokolwiek widziały. Podniósł miecz... Bogowie natychmiast przemienili go w dudka. Najpierw jego. Wzbił się w niebo, zapominając o swej przeszłości. Nim przyszła kolej na Prokne i Filomele, on bujał już w powietrzu. Niebawem zniknął w rozświetlonym lesie. Tyle go widziały. Niektórzy sugerują, że owe metamorfozy odbyły się jednocześnie. Z boskiego (wiecznego) punktu widzenia – ośmielam się mniemać – było to bez znaczenia. Zaiste bogowie mogli tak twierdzić i tak widzieć, lecz ludzie nie potrafią objąć ni wzrokiem, ni umysłem wszystkiego jednocześnie. A dokonała się ta przemiana na ziemi. Lepiej zatem wyświetlić ją na nasz człowieczy sposób z chronologią, przyczyną i skutkiem, zwłaszcza że mit do życia się odnosi.

Prokne była silniejsza i sprawniejsza od Filomele. Kiedy uciekały przed rozjuszonym Tereusem, ciągnęła za sobą siostrę. Umknęłaby przed nim, gdyby biegła sama. Za nic jednak nie zostawiłaby siostry. Poza tym ucieczka ta nie miała celu uniknięcia sprawiedliwości, jej przeznaczeniem bowiem nie było ocalenie. Gdy Tereus dopędził je, podobno w Daulis w Fokidzie, zasłoniła swoim ciałem Filomelę. Takie odtworzenie biegu ostatnich zdarzeń wyjaśnia kolejność następujących po sobie przemian, jak też ich jakość. Uzbrojony w miecz Tereus wzleciał pierwszy. Nie zdążył użyć głowni. Dudkiem stał się. Po nim przemieniła się w słowika Prokne. Była najbliżej. Najwięcej energii i poświęcenia włożyła w przygotowanie i zrealizowanie spisku przeciw Tereusowi. Wszystkie te fakty mogły mieć wpływ na to, iż to ją bogowie wybrali jako pierwszą z sióstr i jej nadali postać słowika, ruchliwego śpiewaka. Warto zauważyć, że po utracie ludzkiej powłoki żaden z uczestników tragedii nie otrzymał postaci drapieżnej, zwalczającej pozostałe ptaki. Rzec można, dali im bogowie równe szanse dalszej egzystencji albo przynajmniej możliwość pokojowego współistnienia. Z boskiego punktu widzenia – powiedzieć znów się ośmielę – wszystko działo się sprawiedliwie. Z punktu widzenia ptaków tak być nie musiało. Zarówno kolejność przemian jak i ptasie prerogatywy i kompetencje przypisane każdemu gatunkowi z osobna wyznaczały podziały i różnice. Czy sprawiedliwie?...

Filomele nie mogła zostać zamieniona w słowika, wszak była niemową. Bogowie najwyraźniej nie chcieli rekompensować ziemskiej niedoli trojga ludzi w jakiś symboliczny sposób. Chcieli zahamować pasmo zbrodni. I zahamowali. Należy zatem szukać w ptakach podobieństwa do rodu ludzkiego, odnaleźć pewne typy zachowań. Słowik, którym nie mogła stać się Filomele, jak najbardziej odpowiada przymiotom jej starszej siostry, królowej Tracji. Wyjaśniam tę kwestię ze względu na różnicę zdań prezentowanych przez autorów starożytnych. Ja za punkt wyjścia w rozważaniu tych metamorfoz biorę bezgłośność. A ta każe Filomele przemienić się w jaskółkę, a Prokne – w słowika. Dudek, ptak królewski, z czubkiem jak z koroną na głowie, jest poza dyskusją. Trochę śmieszny jak każdy autokrata.

Bakchiczna chwila ekstazy uczyniła z Prokne ptaka nadzwyczaj śpiewnego. Jego nocne trele to pieśń o wolności. Pozostała jednak w jego naturze ostrożność, czujność i przebiegłość. Spaceruje gracko w największej gęstwinie. Spłoszony słowik umyka, lecz potrafi, jeśli trzeba, wydawać wojownicze ćwierki. Mały ptak o wielkich oczach, które są przyzwyczajone do ciemności. Nie lubi wzlatywać wysoko, a jeśli już opuszcza ziemię, to z ważnego powodu. Śpiewa i pożera małe robaki. Słowików jest całe mnóstwo, choć nie zawsze łatwo je zobaczyć. Wszystkie pięknie śpiewają.

Dudek już się aklimatyzował w nowym otoczeniu, już w ciepłej dziupli się sadowił, kiedy bogowie słowika i jaskółkę uwolnili. Usiadł na krawędzi nowego mieszkania, poruszył dumnie kolorowym czubem. Puszył się. Czub rósł w koronę króla ptaków. Śmieją się z przywódczych zapędów dudka orły i sokoły. A on umyka z piskiem, kiedy je widzi. Ludzie powiadają, że nie śpiewa, ale szczeka jak pies na łańcuchu.

Nikogo już wokół nie było, kiedy Filomele, zamknąwszy oczy, czekała na swoją kolej. Dudek i słowik na jej oczach odfrunęły w swoich ptasich sprawach. Wydawały jej się lekkie jak powietrze. Utrata przeszłości uczyniła je beztroskimi. Nie zwracały na nią uwagi. Wzbiły się ku słońcu i znikły. Trochę czekała, zanim otoczył ją nimb boski i przemieniła się w jaskółkę. Latała z jednego krańca lasu na drugi. Z zachwytem przyglądała się swoim możliwościom. Człowiek podziwiał jej sztukę latania, ale nazywając ją jaskółką, miał na myśli wszystkie ptaki tego gatunku. To nadzwyczajne tak latać. Niektórzy naprawiacze mitu wskazują na eufonię imienia Filomele, by wyciągnąć stąd wniosek, że to ona, nie Prokne, była słowikiem. Inni posuwają się jeszcze dalej w swoim wnioskowaniu i zamieniają role sióstr; według nich to Filomele była żoną Tereusa. Niewarte rozważań i opisów dywagacje. Ciekawsze wydaje się rozwiązanie problemu, czy Filomele to hirundo rustica, czy delichon urbica lub riparia riparia, a może jaskółczopodobny micropus apus, czyli jeżyk, albo większy odeń caprimulgus europaeus, czyli lelek kozodój. Wydaje się, że tylko dwa pierwsze gatunki mogły być przez bogów wybrane do tej metamorfozy. Nie ze znajomości ornitologii to wnoszę, lecz z analizy bezgłośności, która jakby palcem wskazuje na jaskółkę dymówkę lub oknówkę, zwłaszcza na dymówkę. To ona bowiem lepi gniazdo wewnątrz budynku, blisko ludzi, z dala od ptaków. To ona niczym żałobna pieśń oblatuje ziemię; to ona wydaje pogwizdywania fletu, bo nie potrafi śpiewać. Czasami odbija się na jej skrzydłach niebo. Mimo przemiany w ptaka Filomele-jaskółka pozostała niema. Rozpięty w symbol wolności ogon steruje jej powietrznym tańcem. Może chce coś powiedzieć, kreśląc na niebie zawiłe znaki jak te wyszywane na kobiercach.

Czy świat zaczyna się od mitu? Mit to tylko opowieść o świecie. Rzeczywistość daje opowieść jeszcze straszniejszą, choć nieznaną. To utajniona opowieść o człowieku.

Andrzej Katzenmark

Charles Reznikoff

(1894-1976)

*

Dziadek zmarł długo przed moimi narodzinami.
Umarł wśród obcych i wszystkie wiersze, jakie napisał
zaginęły –
z wyjątkiem tych,
które mówią przeze mnie
jako moje własne.

*

Kiedy byłem w pralni, zorientowałem się, że zaginęła mi koszula.
Właściciel – Żyd – zaczął rozważać sytuację :
„Koszula mogła zostać zagubiona na cztery sposoby – rzekł z namysłem.
„Po pierwsze, może w ogóle nie została dostarczona przez parową pralnię;
po drugie, może gdzieś tutaj leży niewypakowana;
po trzecie, może została dostarczona, lecz leży w innej paczce;
a po czwarte – może rzeczywiście się zagubiła.
Proszę przyjść jeszcze raz pod koniec tygodnia,
wtedy będę wiedział, co się stało".
A jego żona, rozpoznając we mnie Żyda,
uśmiechnęła się i powiedziała w jidysz:
„Chyba nie musimy w tej sprawie iść do rabina, prawda?"

*

Spacerowałem sobie wieczorem, kiedy go zobaczyłem,
żydowskiego chłopaka w wieku piętnastu a może szesnastu lat,
miał czarne duże oczy i subtelną twarz,
niósł słój ze słodyczami i gumą do żucia.
Wślizgnął się do knajpy,
ale chyba kazano mu się wynosić,
bo wyszedł z niej prędko
przez obrotowe drzwi.

Byłem ciekaw, co on tu robił
tak daleko od żydowskiej dzielnicy.
(Znałem te uliczki
i chuliganerię wystającą na rogach).
Czy ten chłopak nie wie na co się tutaj naraża?
Zatrzymałem się, aby go ostrzec
przed opuszczaniem dobrze oświetlonej głównej ulicy.
Wysłuchał mnie, patrząc mi prosto oczy, i spokojnie odszedł.
Patrzyłem za nim ze zdziwieniem
i powiedziałem do siebie: Czy ty niczego się nie boisz?
Żadnego zdobycia Jerozolimy przez Babilończyków,
Rzymian czy Krzyżowców?
Pogromów w Rosji,
obozów zagłady w Niemczech?
Jak możesz tak sobie spokojnie chodzić?

*

Pewnego wieczoru podczas II wojny światowej szedłem ulicą,
którą rzadko kiedy przemierzałem. Wszystkie sklepy były zamknięte
z wyjątkiem jednego sklepiku z owocami.
W środku stary Włoch czekał na klientów.
Kiedy mu płaciłem, zauważyłem, że jest smutny.
„Jest pan smutny", powiedziałem. „Czy coś pana martwi?"
„Tak, odrzekł, jestem smutny". Potem dodał:
„Mój syn dzisiaj poszedł na wojnę i nigdy już go nie zobaczę".
„Niech pan tak nie mówi!" – powiedziałem. „ Na pewno wróci!".
„Nie wróci. Nigdy więcej go nie zobaczę".

Kiedy wojna się skończyła, znów się znalazłem
na tej samej ulicy.
Znów był późny wieczór, było ciemno i pusto,
w sklepie tak samo czekał na mnie ten sam stary człowiek.
Kupiłem trochę jabłek i spojrzałem na niego uważniej:
Jego pomarszczona twarz była ponura,
ale nie nazbyt smutna. Zapytałem: „Co u pana syna?"
„Czy wrócił z wojny?" – „Tak", odpowiedział.
„Został ranny?". – „Nie, nic mu się nie stało".
„To dobrze, odrzekłem, to dobrze".
Wziął torbę z jabłkami ode mnie i wyjął z niej jedno jabłko,
które zaczęło się psuć, a włożył w zamian lepsze.
„Wrócił na Boże Narodzenie" – dodał.
„Wspaniale, co za wspaniała wiadomość!"
Jeszcze raz wziął torbę z mojej ręki,
wyjął małe jabłko, a włożył większe.

*

Poszedłem do dziadka, aby się z nim pożegnać.
Wybierałem się do szkoły daleko na Zachodzie.
Kiedy wszedłem,
dziadek obrócił się od okna, przy którym siedział
(chory, żółta skóra, załzawione oczy,
ale włosy czarne,
z trudem można byłoby znaleźć siwy włos na jego brodzie
albo na głowie –
siedząc przy oknie, czytał hebrajską książkę).
Wstał z trudem –
zdało mi się, że na mnie czekał –
podniósł ramiona i pobłogosławił mnie głośno,
po hebrajsku oczywiście,
ale ja nie zrozumiałem, co powiedział.
Kiedy skończył błogosławieństwa,
obrócił się i wybuchnął płaczem.
„To nie potrwa długo, dziadku", powiedziałem
łamanym jidysz. „Wrócę już w czerwcu".
(Ale do czerwca dziadek zmarł).
Nic nie odpowiedział.
Może dziadek zapłakał z innych powodów:
może dlatego, że pomimo nauki w szkole średniej,
nie znałem ani jednego słowa ze świętej Tory,
a wyruszałem w świat,
nie dysponując mądrością mojego ludu, która by mną pokierowała,
nie znając modlitw, którymi rozmawia się z naszym Bogiem,
z duszą skazaną na niewiedzę, błędy i pomyłki,
bo nie łatwo jest być Żydem, a może i w ogóle człowiekiem.

GŁOWA

Roman Warszewski

Było to w czasach, gdy jeszcze nie segregowano śmieci, ale już się o tym mówiło – a więc niedawno. Przed wyjściem do pracy schwycił kubełek ze śmieciami, by wynieść do kontenera obok bloku, bo jak większość rodaków wciąż mieszkał w wielkiej płycie. Odpadów nie wynosił do zsypu w komórce na półpiętrze, bo mieszkał na parterze. Wolał więc wyskakiwać do kontenera pod wiatą obok wyjścia z klatki schodowej, niż wspinać się schodami, choć blisko, to jednak pod górę.

Narzucił kurtkę, bo była już jesień – mogło trochę wiać – i do ręki wziął plastikowy kubełek z odpadkami. Nie był pełen, ale wolał pozbyć się jego zawartości z rana niż kisić w ciasnocie kuchni do popołudnia albo dłużej. Za chwilę był na dworze. Rzeczywiście wiało, wiało od morza, tak jak o tej porze dnia było w zwyczaju. Skurczył się w sobie, by mniejszą powierzchnią przyjmować porywy wiatru i już był przy wiacie na kontenery ze śmieciami. Odciągnął jego wieko i...

Stanął jak wryty!

W kontenerze zobaczył głowę. Głowę komuś odciętą i zakrwawioną. Głowę dużą, okoloną włosami blond, głowę bardzo wyraźną – taką, którą trudno byłoby pomylić z czymś innym.

Obok leżało serce, też całe we krwi. Głowa i serce – najpewniej z jednego miotu! Niewątpliwy dowód zbrodni, której niedawno (krew była jeszcze niezastygła i świeża) musiano dopuścić się gdzieś w sąsiedztwie.

Straszne!

Straszne i niesłychane!

Śmieci już nie wysypał. Do połowy wypełniony plastikowy kubełek *made in China* został obok kontenera, a on przerażony obrócił się na pięcie i w te pędy pognał do domu. „Głowa w śmietniku! Czym obcięta? Jak obcięta? Nieważne. Głowa i serce!" – podekscytowane myśli tłukły mu się w głowie – na szczęście przez nikogo nie obciętej.

W kuchni krzątała się już Katarzyna. Zaczynała przygotowywać śniadanie.

– A wiadro na śmiecie? – zapytała widząc, że plastikowego kubełka nie ma w ręce.

– Zostało, zostało – zawołał zdesperowany. – Zostało, bo się przeraziłem.

– Co, był tam jakiś wielki buldog? – wiedziała, że bardzo boi się psów, zwłaszcza z rana.

– Nie, tam była obcięta głowa.

– Co takiego?

– I serce,

– Gdzie?

– W śmietniku!

Katarzyna myślała, że się przesłyszała.

– Naprawdę?

– Mówię ci przecież. Głowa o blond włosach – z otwartymi oczami! Wyglądała jak żywa!

– Pewnie źle spałeś...

– Uwierz, błagam...

– Na pewno tylko ci się wydawało...

– Nie, niestety, ani trochę. Chciałbym, żeby tak było. Ale nic z tego.

Ciężcy jak dwa wielkie kamienie usiedli przy stole.

– Najpewniej gdzieś w sąsiedztwie doszło do zabójstwa – mówił dalej. – Ale kto to mógł zrobić? I dlaczego? Dlaczego, dlaczego?

– To była głowa kobiety czy faceta? – Katarzyna chciała rzecz zracjonalizować.

Zastanowił się.

– Chyba faceta.

– Kogoś z bloku?

– Nie wiem, nie mam pojęcia.

Chwilę siedzieli w milczeniu.

– Jak chcesz, sama możesz się przekonać. Idź, zobacz. Przy okazji przyniesiesz wiaderko – powiedział po chwili.

– Ani mi się śni. Sam idź i je przynieś. Bo ktoś je pozna i pomyśli, że to ty obciąłeś tę głowę...

– I serce.

– Właśnie. Serce też.

Znów zapadła cisza.

– Będziesz pierwszym podejrzanym – było słychać, że jest coraz bardziej zaniepokojona, gdy znów zaczęła mówić. – A ja razem z tobą...

Spojrzał na biblioteczkę w salonie pełną książek, którą było widać przez uchylone drzwi kuchni. To go trochę uspokoiło.

– Wiesz – nagle zmienił temat – wieczorem zacząłem czytać najnowszą książkę Olgi Tokarczuk. Jest niezła.

– Dlaczego mówisz o tym akurat teraz?

– Tak mi jakoś przyszło do głowy. Nie wiem...

Postanowili o przerażającym znalezisku w kontenerze jak najszybciej poinformować policję. Numer był długo zajęty. Połączyli się dopiero przy piątej próbie.

– U nas w śmietniku jest obcięta głowa – wyrzucił z siebie jednym tchem, gdy w słuchawce odezwał się dyżurujący policjant.

– Co takiego?

– Jest tu obcięta zakrwawiona głowa i zakrwawione serce.

– Naprawdę?

– Przecież panu mówię...

– Jakiś noworodek?

– Nie, głowa dorosłego faceta, blondyna. Ma otwarte oczy. Proszę jak najszybciej przyjedźcie. Koniecznie.

W słuchawce zapadło milczenie. Najpierw było słychać trzaski, potem jakiś szum.

– Niech pan mi to jeszcze raz powtórzy – usłyszał po chwili. – Że w śmietniku jest głowa i serce. Muszę to tu mieć, muszę nagrać...

– Tak, potwierdzam, wszystko potwierdzam – głowa i serce są w naszym śmietniku.

– Niech pan poda też swój adres i lokalizację tego kontenera. Zaraz tam będziemy. Pojedziemy bez sygnału, żeby nie spłoszyć ewentualnego sprawcy.

Podał i gdy wyłączył telefon znów zapadło głębokie, grobowe wręcz, milczenie. Następnie zadzwonił do pracy, by poinformować że, niestety, się spóźni.

– Dlaczego?

Nie chciał znów opowiadać o głowie i sercu w śmietniku. Powiedział tylko:

– Wytłumaczę jak przyjadę.

– OK, niech będzie, ale miejmy nadzieję, że to nic błahego.

Po około dwudziestu minutach odezwał się domofon. (Było to w czasach, kiedy mieszkania zaczęto wyposażać w domofony.) W drzwiach stanęli policjanci – dwaj mężczyźni, funkcjonariusze, i jedna kobieta, funkcjonariuszka. Od razu było widać, że są nieźle wkurzeni, a może nawet bardziej...

– To pan do nas dzwonił w sprawie głowy w śmietniku? – zapytał ten bardziej przysadzisty.

– Tak, to ja. Makabryczna zbrodnia...

– Zbrodnia? Jaka zbrodnia? Nie ma żadnej zbrodni! Właśnie sprawdziliśmy cały kontener (to ten przed wejściem do domu, prawda?) i nieźle się przy tym upapraliśmy. Nie ma w nim żadnej głowy! Ani serca!

– Nawet najmniejszych śladów krwi! – potwierdził ten wyższy, szczuplejszy. Kobieta cały czas potakiwała.

– Niech pan podejdzie tam z nami i sam się przekona. I niech pan wie, że takie żarty, wezwania po próżnicy, podlegają karze, karze administracyjnej, bo odrywają nas od innych ważnych obowiązków.

Znów zarzucił kurtkę na ramiona. Pomyślał: "Może ktoś ich uprzedził i zanim przyjechali usunął głowę ze śmietnika?"

Kontener na śmieci był przewrócony na chodnik i cała jego zawartość wysypana była na ziemi.

– Śmietnik przewróciliśmy komisyjnie, żeby przekonać się, co jest w środku... – wyjaśnił wyższy z funkcjonariuszy.

– ...i nie ma tu żadnej głowy – dodał ten drugi.

– Są tylko jakieś butelki, puszki, zużyte podpaski, prezerwatywy i książki – mówiła funkcjonariuszka.

– Książki? Jakie książki? – zainteresował się.

– Jakieś dziwne tytuły: jakiś „Ulisses" i jakieś „Finengans Wake". I, chyba, „Karmazynowi bracia"

– Nie, nie, nie – „Bracia Karamazow".

– A jakie to ma znaczenie?

– Ma, ma, jeszcze jakie. To sporo wyjaśnia, a właściwie wszystko...

Policjanci i policjantka popatrzyli po sobie.

– Musi pan dmuchnąć w alkomat, to nam wyjaśni jeszcze więcej – powiedział ten przysadzisty lekko się uśmiechając i zaczął coś szukać w kieszeni.

– Jak to? Państwo nie rozumieją? Wyrzucone książki – i to jeszcze jakie! – są jak obcięte głowy i wyrwane serca! Jak zobaczyłem te książki, to na pewno zamiast nich natychmiast ujrzałem obciętą wyrzuconą głowę oraz serce, z których te tomy kiedyś wyrosły!

Zawahał się, ale widząc zdumienie na twarzach policjantów, zaraz ciągnął dalej:

– Dziwne, naprawdę dziwne, że państwo tego nie widzą. Ja widzę bardzo wyraźnie!

I dodał:

– Wróćmy do nas do domu. Napijmy się herbaty, zanim złożę zeznania. (Jak przypuszczam, w obliczu takiej zbrodni, będzie to konieczne.) Usiądziemy na sofie, wygodnie, obok biblioteczki. (Mam sporą.) Serdecznie zapraszam!

ROMAN WARSZEWSKI

Anna Sikora

Wspomnienie 2.: Śląsk

Błyszczy dziś w słońcu poniemiecka cegła.
Stanęłabyś pewnie w podwórku – przy schodach.
Zapach lekko zbutwiałego drewna
Rozlewa się wkoło na zamknięty pejzaż.

Idę powoli na górę. Nie ruszam poręczy.
I nie liczę stopni – tylko słucham, jak skrzypią.
Patrzyłabyś spokojnie, jak wchodzę na piętro,
Jak znikam Ci z oczu w skosie balustrady.

Ostatni raz byłyśmy tutaj całe lata temu…
Mówiłaś: „Ten pokój był wtedy zielony,
Kuchnia – niebieska. Rodziłam tutaj Jolę!
A stary piec kaflowy zniknął, nie wiem czemu?”.

Przed wojną nazwa ulicy brzmiała dużo prościej.
Dziś drzewa całkiem inne – tylko kościół został:
Zamiast tamtych luteran – klasztor, zakonnice.
Poszłyśmy wtedy tam, gdzie dawniej była huta.

Mówiłaś, że wszystko teraz wygląda tak obco.
Bezdomna ruina milczała nam cierpko –
Parząc Cię jak pokrzywy, w które kiedyś wpadłaś,
Gdy bawiłaś się na pagórku z hałastrą dzieciaków.

Późnym latem

Patrzę na Twoje dobre dłonie:
Oliwkowy odcień gra.
Twój zapach rzeźbi myśli bezbłędnie w rytm nieba.
Znowu głaszczesz kłosy – tak samo, jak wczoraj…
Idziemy polną drogą. Świt już lekko zbladł.

Patrzę, jak w dali napływają chmury –
Bujnie się mieni bursztynowa szadź!
Ty powiesz mi coś zwykłego, prostego jak orzech:
„Spójrz, jakie tam jest światło! Patrz na tamten dach!”.

Tacy z nas złodzieje, złodzieje widoków…
Poświata prostych marzeń – w garstce ziaren zbóż.
Słucham Twoich kroków, jak cichną na drodze:
Czeremcha mocno pachnie na krawędzi słów.

Dziwna maszynka

Warkocze warkotu, gdy miasto po zmroku,
Warkoczą wytrwale litanię powrotów:
To myśli zamknięte w pudełkach blaszanych,
Chroboczą na przekór wskazówkom zrównanym!

To myśli zamknięte w pudełkach blaszanych,
Nie mogą się nagiąć do czasu nic za nic.
Chcą mknąć po arteriach, a tu taki szkopuł:
Zegary pulsują, tykanie brzmi wokół.

Dlaczego nam myśli pakują w pudełka?
W blaszane trumienki, gdzie ciemność jest miękka.
Gdzie ciemność jest miękka i nikt nic nie mówi –
Nikt przecież z zegarem dyskusji nie lubi…

W pudełku tak ciemno jak w rondlu niemalże:
I skwierczą myślątka bolące najbardziej,
I skwierczą myślątka spod serca wyjęte,
A zegar wciąż tyka i tyka – chce więcej...!

Poławiacz pereł

Niedziela cicho błyska za oknami:
Horyzont dziś mglisty, jest wcześnie.
Rośliny, jak zwykle, milczą łagodnie:
Znów czuję zapach geranium.

Ten dzień kiełkuje jak młoda nasturcja…
Lecz nie wiem, co stanie się potem?
Stateczek od Ciebie w starej butelce
Cierpliwie śpi na regale.

Poszukam melodii słodkiej jak daktyl,
Tej czułej – i niech mnie prowadzi…
Stateczek od Ciebie w starej butelce
Przyniesie perłę z oddali.

PROZA

Mirosława Gąsiorowska

Trzy światy

„Fragment z książki „Głos ciszy. Rozmyślania przed wschodem i zachodem słońca", przygotowywanej do druku przez Fundację Światło Literatury, Gdańsk 2024

Nie wiadomo, ile jest światów. Jedni mówią, że jeden, inni twierdzą, że więcej.

Dla zwykłego zjadacza chleba nie jest to tak wielce istotne. Co mu tam te inne światy, jeśli on ma swój konkretny, ten tu i teraz. Ale ile tych zjadaczy, tyle też może być światów. Każdy ma ten swój, jedyny, lepszy czy gorszy. Chciany, albo mniej chciany, albo nawet w ogóle niechciany, przypadkowy. Ciężko wykuty (nie na darmo mówi się, że każdy jest kowalem swojego…), lub zgrabnie podprowadzony z kowadła kogoś innego, bo… niby dlaczego nie? Nie sposób ogarnąć nawet najprzemyślniejszą i najpojemniejszą myślą te wszystkie możliwe światy. Ale w sumie jest to ten jeden jedyny świat dany każdemu z osobna. Dany… to wielkie słowo. Bo czy naprawdę dany? A jeśli tak, to przez kogo, przez co? Czy to dar? Podarunek? Nie wiadomo. Często nie wiadomo też, co z tym podarunkiem, darem (to coś więcej niż podarunek) zrobić.

To wielka sprawa dla zwykłego zjadacza wiadomo czego – czy w ogóle coś z tym robić? Bo jeśli to za trudne, wszystko można po prostu pozostawić swojemu biegowi. Jeśli jednak podejmie się taką próbę, to natychmiast pojawi się pytanie, jak gospodarować materią i duchem, gdzie rzucić ziarno, by znalazło dobrą glebę i za jakiś czas zakiełkowało? Pytania są co najmniej tak liczne, jak cała nieskończoność. Tak bardzo liczne, ile wokół tych zjadaczy wiadomo czego. Właśnie – bo żeby ten chleb był, jest ten świat tu i teraz, bez którego na co dzień trudno byłoby się obejść. A ta codzienność jest... – po prostu jest. Jest obok nas, w nas i z nami, choć nieraz trudno ją polubić. Można, a nawet trzeba, jednak próbować. Bo bez tej codzienności przecież ani rusz. To – według mnie – świat numer jeden, bo jest tu i teraz, i każdy go ma.

Całkiem inny jest świat snów. On jest światem (pozwólcie na takie określenie) nie z tego świata. Wiele mądrych głów penetrowało tajemnicę, która zamieszkała w tak zwanych sennych marzeniach. I co z tego? Nadal pozostają same znaki zapytania, ludzie nadal nad tym się głowią.

Każdy chciałby sny zrozumieć, a zrozumieć trudno. Snu nie da się tak zasiać jak ziarna codzienności. Przychodzi, jest taki, a nie inny, a potem cichaczem odchodzi, zabierając swoje treści ze sobą. Nieraz jest bardziej hojny i pozwala choć częściowo zapamiętać, co z sobą przyniósł i co w sobie zawierał. Nieraz wydaje nam się nawet, że jest się uczestnikiem rozgrywających się w nim zdarzeń. Ba… we śnie jesteśmy nieraz nawet i zdrowsi, i młodsi! Są to sny miłe i przyjemne. Najciekawsze są sny o tych, którzy odeszli. Ich bliskość na czas snu staje się tak ważna jak za życia, więc obcowanie z nimi w tym świecie snu (a potem pamiętanie o tym na jawie), to jest jak drugi świat. Jest to po trosze świat z przeszłości, bo ci, którzy odeszli, zjawiają się młodzi, radośni i kolorowi. Wydaje się, że uczestniczą w naszym tu i teraz – w świecie numer jeden. Chcą być wsparciem, pociechą, przypomnieniem. Czuje się za to wielką wdzięczność i takich snów chce się jak najwięcej. Tak, mimo że sen jest pełen tajemnic i w sumie czuje się, że pochodzi z innego wymiaru, a przez to jest dość odległy, potrafi – paradoksalnie – być bardzo bliski. To dlatego bez większego wahania zrównuję go w randze ze światem numer jeden i nazywam go światem numer dwa. W życiu nadchodzi moment, kiedy świat numer dwa staje się równie ważny jak codzienność. Przekonacie się o tym (czego bardzo wam życzę), gdy będzie wam przybywać lat.

Te dwa światy ma każdy. Ale nie wszystkim jest dane mieć świat trzeci – nie każdy potrafi go odnaleźć i się w nim zatopić. Ta wspaniałość to świat książki. Szczęśliwi ci, którzy w nim żyją, a jeszcze szczęśliwsi, którzy go tworzą. Dla tych ostatnich ten świat staje się ich codziennością, a także – jak przypuszczam – przenika do świata ich snów. Te trzy zlane z sobą światy tworzą niepowtarzalny konglomerat. I dobrze, a nawet bardzo dobrze, że właśnie tak jest. Tworzą go dla siebie i wszystkich innych – niezliczonych żyjących i myślących.

Współczuć należy tym, którzy z powodów małych, przyziemnych lub innych nie są uczestnikami tego misterium. Bo książka to nieustające święto – świątynia mądrości, wiedzy i pokarmu dla ducha. Książka to rezerwuar tego, czego każdemu potrzeba. Już bardzo dawno temu Pliniusz Młodszy miał powiedzieć, że żadna książka nie jest na tyle zła, aby pod jakimś względem nie przynosiła pożytku. (Wiem to oczywiście z książki.) Dzieje się to samoczynnie, bardziej lub mniej świadomie, że książka na żywych zostawia jakiś ślad. Nie da się określić ani policzyć tych wszystkich możliwości, bo nikt nie zdoła precyzyjnie policzyć wszystkich książek, które istnieją i istniały na świecie. I wcale nie chodzi o to, by wszystkie je przeczytać i przetrawić; wystarczy zawierać przyjaźń z wybranymi książkami. Świat, który otworzą będzie miał na pewno szanse stać się z czasem wielkim światem – tym trzecim, jakże ważnym. Można czasem o nim zapomnieć lub choćby przesłonić niedostatki świata pierwszego i drugiego. Cenny jest taki przyjaciel, który nigdy nie zawiedzie, ani nigdy nie zdradzi. To ktoś więcej – to sojusznik, przewodnik, którego warto mieć na dobre i na złe. I nie ma obaw, że książki może kiedyś zabraknąć. Ona na pewno wszystkich nas przeżyje. Będzie miała postać albo papierową, albo elektroniczną, ale zawsze będzie. Bo to, co dobre nie może całkowicie wyginąć.

Te trzy światy, to moje światy. Każdy ma oczywiście prawo do swoich, własnych, a na pewno można by znaleźć jeszcze kilka innych niemniej ciekawych. Nie wspomnę ich nazw, by nie wskrzeszać pragnień, aby w nich uczestniczyć, skoro coś już przebrzmiało bezpowrotnie. Pozostanę w swoich trzech światach i póki wytrwam, będę w nich przemieszczać się z jednego piętra na kolejne piętro. Tak jak do tej pory. Może to mało, ale na pewno nie za mało – każdy musi mieć jakąś swoją miarę. Wiele po prostu zależy od tego, jak bardzo człowiek się postara.

Gdańsk, 2024

Mirosława Gąsiorowska

Georges Moustaki

(1934-2013)

przełożył Maciej Froński

Milord

Allez, venez, Milord
Vous asseoir à ma table
Il fait si froid, dehors
Ici c'est confortable
Laissez-vous faire, Milord
Et prenez bien vos aises
Vos peines sur mon cœur
Et vos pieds sur une chaise
Je vous connais, Milord
Vous n'm'avez jamais vue
Je ne suis qu'une fille du port
Qu'une ombre de la rue.

Pourtant j'vous ai frôlé
Quand vous passiez hier
Vous n'étiez pas peu fier
Dame, le ciel vous comblait
Votre foulard de soie
Flottant sur vos épaules
Vous aviez le beau rôle
On aurait dit le roi...
Vous marchiez en vainqueur
Au bras d'une demoiselle
Mon Dieu, qu'elle était belle!
J'en ai froid dans le cœur

Allez, venez, Milord
Vous asseoir à ma table
Il fait si froid, dehors
Ici c'est confortable
Laissez-vous faire, Milord
Et prenez bien vos aises
Vos peines sur mon cœur
Et vos pieds sur une chaise
Je vous connais, Milord
Vous n'm'avez jamais vue
Je ne suis qu'une fille du port
Qu'une ombre de la rue.

Dire qu'il suffit parfois
Qu'il y ait un navire
Pour que tout se déchire
Quand le navire s'en va
Il emmenait avec lui
La douce aux yeux si tendres
Qui n'a pas su comprendre
Qu'elle brisait votre vie
L'amour, ça fait pleurer
Comme quoi l'existence
Ça vous donne toutes les chances
Pour les reprendre après

Allez, venez, Milord!
Vous avez l'air d'un môme
Laissez-vous faire, Milord
Venez dans mon royaume
Je soigne les remords
Je chante la romance
Je chante les milords
Qui n'ont pas eu de chance.
Regardez-moi, Milord
Vous n'm'avez jamais vue...
Mais vous pleurez, Milord?
Ça, j' l'aurais jamais cru.

Eh ben, voyons, Milord!
Souriez-moi, Milord!
Mieux qu'ça! Un petit effort...
Voilà, c'est ça!
Allez, riez, Milord!
Allez, chantez, Milord!
La-la-la...
Mais oui, dansez, Milord!
La-la-la... Bravo, Milord!
La-la-la... Encore, Milord!
La-la-la...

Milord

Milordzie, tutaj wstąp,
Mam stolik, krzesła dwa,
Na zewnątrz taki ziąb,
A u mnie wszystko gra.
Milordzie, troski precz!
O komfort zadbam twój,
Wysłucham, w czym jest rzecz,
Lecz przedtem buty zzuj.
Ja ciebie dobrze znam,
Choć ty mnie wcale nie,
Bom jedną z tych, o tam,
Gdzie port zgnilizną tchnie.

Za tobą wczoraj w ślad…
Pilnuję swoich spraw,
Lecz dumnyś szedł jak paw, ech,
Przysłaniałeś świat.
Prawdziwy życia król,
A twój jedwabny szal
Na wietrze rwał się w dal,
Piękniejszych nie znam ról…
Dziewczyna była też,
Dawałeś jej buziaka,
Mój Boże, piękność taka,
Że aż mnie przeszedł dreszcz!

Milordzie, tutaj wstąp,
Mam stolik, krzesła dwa,
Na zewnątrz taki ziąb,
A u mnie wszystko gra.
Milordzie, troski precz!
O komfort zadbam twój,
Wysłucham, w czym jest rzecz,
Lecz przedtem buty zzuj.
Ja ciebie dobrze znam,
Choć ty mnie wcale nie,
Bom jedną z tych, o tam,
Gdzie port zgnilizną tchnie.

Wystarczy, ktoś mi rzekł,
By statek jakiś był,
Świat rozpada się w pył,
Gdy odpływa statek,
I gdy unosi w dal
Dziewczynę piękną tak,
Nie pojmującą wszak,
Że w serce wbija stal.
Wyciska miłość łzy,
Wyciska łzy istnienie,
Miałeś coś, co było w cenie,
Zostałeś tylko ty.

Milordzie, tutaj wstąp,
No ile ty masz lat?
A niby chłop jak dąb…
Zapraszam, to mój świat,
Ocieram cudze łzy,
Opiewam uczuć żar
I takich też, jak ty,
Co minął ich ten dar.
Milordzie, na mnie patrz,
Bo nie widziałeś mnie,
Milordzie, lecz ty płacz…
No nie, nie wierzę, nie…
Milordzie, na mój znak!
Milordzie, proszę tu!
O tak! Dokładnie tak!
Aż braknie tchu!
Milordzie, uśmiech, no!
No i na cały głos!
Ta-ra-ra-ra-ra-ra
Ta-ra-ra-ra-ra-ra
Ta-ra-ra-ra-ra-ra
Ta-ra-ra-ra-ra-ra
Ta-ra-ra-ra-ra-ra
Milordzie, pierwsze pas!
Ta-ra-ra-ra-ra-ra
Ta-ra-ra-ra-ra-ra
Ta-ra-ra-ra-ra-ra
Tak, właśnie tak!
Ta-ra-ra-ra-ra-ra
Ta-ra-ra-ra-ra-ra
Ta-ra-ra-ra-ra-ra
I jeszcze raz!
Ta-ra-ra-ra-ra-ra
Ta-ra-ra-ra-ra-ra
Ta-ra-ra-ra-ra-ra
Ta-ra-ra-ra-ra-ra
Ta-ra-ra-ra-ra-ra
Ta-ra-ra-ra-ra-ra
Ta-ra-ra-ra-ra-ra

lyrics by Georges Moustaki,
music by Marguerite Monnot

Dariusz Pawlicki

MEGAWIDOWISKO Z ROKU 1654

Widok Oleśnicy w połowie XVII w., rycina Matthäusa Meriana.

Nie wiemy czy 19 lutego 1654 r. w Oleśnicy na Śląsku było bardzo zimno, czy może padał śnieg. Naoczni świadkowie zdarzenia, jakie miało miejsce tego dnia, a także ci, którzy spisywali ich wspomnienia na ten temat, czym innym byli bowiem zainteresowani. A owo zainteresowanie skupione było na czymś bardzo konkretnym, w co zaangażowani byli bezpośrednio dwaj ludzie. Z tym, że jeden z nich brał w tym zdarzeniu udział całym sobą, dosłownie. I jeśli nawet owego lutowego dnia przed przeszło trzema wiekami było zimno, czy też wręcz mroźno, to dwaj główni bohaterowie, zimno zupełnie inaczej odczuwali, niż kilka tysięcy widzów ich obserwujących.

Owo wydarzenie nie miało w sobie niczego z greckiego dramatu. Bo i było pozbawione wszelkiej wzniosłości. Tak jak i w historii, której było zwieńczeniem, nie było żadnych wielkich uczuć, wielkich namiętności, a jedynie długi ciąg zbrodni (zbrodnia jest wpisana w grecką tragedię, ale stanowi tylko element, nie wypełnia jej całkowicie), a na koniec wymierzenie kary.

Kim byli ci dwaj ludzie? Jednego znamy z imienia i nazwiska: Melchiora Hedloffa. Wiemy też na jego temat i to, że urodził się w 1605 r. w Kuźnicy Kąckiej, koło Międzyborza; że w czasie wojny trzydziestoletniej przez wiele lat był żołnierzem wojsk cesarskich. A kiedy powrócił w strony rodzinne, na drogach przebiegających przez rozległe Bory Międzyborskie, zaczął napadać na podróżnych. Nie poprzestawał jednak na zabraniu im pieniędzy, przedmiotów wartościowych – pozbawiał ich także życia. Za narzędzie mordu służyły mu dwa muszkiety (stąd przydomek: Strzelec Melcher) i szabla turecka. Jeden z tych muszkietów stał się potem, po kilku latach, dowodem potwierdzającym część dokonanych przez niego morderstw. Otóż na kolbie zaznaczał on każdorazowo zabitą osobę. Czynił to za pomocą nacięć; różnych w zależności od jej narodowości, pozycji społecznej, płci.

Rychło przystało do niego trzech kamratów, z którymi dokonywał napadów. Ale to on był hersztem.

Wielka obława zarządzona przez księcia oleśnickiego Sylwiusza Nimroda z dynastii Wirtembergów, nie przyniosła spodziewanego rezultatu. Melchior Hedloff i trzej jego wspólnicy nazbyt dobrze znali Bory Międzyborskie, w których nie brakowało miejsc doskonale nadających się do ukrycia. Ale w 1653 r. przedstawicielom władz udało się ująć żonę Hedloffa Annę. Wkrótce do matki dołączyła dobrowolnie córka, także Anna.

Obie kobiety poddano torturom mającym na celu uzyskanie informacji pomocnych w schwytaniu Strzelca Melchera, a także dotyczących jego zbrodniczej działalności. I wiele takich informacji zdobyto. Żona Hedloffa zmarła jednak w wyniku obrażeń odniesionych podczas tortur. Natomiast córka zbrodniarza, a także dwaj bracia Melchiora, schwytani w międzyczasie (ich także najpewniej poddano torturom), zostali skazani na śmierć i ponieśli ją przez łamanie kołem (nie ja pierwszy zauważam, że człowiek jest niezwykle pomysłowy w zadawaniu cierpień bliźniemu, a łamanie kołem należy do takich ,,szczytowych osiągnięć"). Nie była to jednak kara za udział w krwawym procederze, w który zaangażowany był Melchior Hedloff, gdyż wszystko wskazywało na to, iż córka zbrodniarza i jego bracia nie brali w nim udziału. Natomiast ukarano ich za przyjmowanie przedmiotów i pieniędzy pochodzących z rozboju, czego byli świadomi.

Sam Strzelec Melcher został ujęty 2 listopada 1653 r. we wsi Łąki koło Sośni. Brak jednak informacji na temat tego, jak do tego doszło. Czy było ono wynikiem czyjegoś donosu? Może zdradził, któryś ze wspólników Hedloffa (nie są znane dalsze losy żadnego z nich)? Nic na ten temat nie wiemy.

O czym myślał podczas tego swego długiego umierania, celowo przeciąganego przez tego, który zdobył odpowiednią w tym zakresie wiedzę? A trwało ono już od chwili, gdy rozgrzanymi do czerwoności cęgami wyrwano mu pierwszy palec u ręki. Czy może, gdy narastający wciąż ból, nie wypełnił go jeszcze całkowicie, może myślał o Bogu (co nie jest przecież wykluczone, choć brakuje wzmianki, czy przed egzekucją wyspowiadał się, pojednał z Bogiem), a może prosił o pomoc Złego. Kronikarze nie odnotowali żadnego słowa, żadnej wypowiedzi, jaka padła z jego ust w czasie kaźni.

Niewykluczone więc, że najpierw obdzierany żywcem ze skóry, potem łamany kołem, a na koniec ćwiartowany (jeśli wtedy jeszcze żył), milczał. W przeciwnym razie najpewniej by to zanotowano, tak jak zapisano w dokumentach, że w trakcie tortur (a tych mu nie żałowano) nie wydał choćby jednego, najcichszego jęku. Możemy sobie bez trudu wyobrazić, jak ten fakt komentowali ci, którzy byli świadkami egzekucji Strzelca Melchera. O związki z jakimi siłami musieli go posądzać, świadomi tego, że najprawdopodobniej nie byliby zdolni znieść w milczeniu tego, co on zniósł...

Czy leżąc na wpół nagi na podwyższeniu, z szeroko rozstawionymi kończynami (pod nadgarstki, łokcie, kolana, biodra podłożono klocki drewniane), gdy kat kołem (rodzaj kanciastej maczugi o krawędziach obitych metalem) łamał mu ręce, nogi, żebra, kręgosłup, wyrażał przed samym sobą żal, że poszedł drogą, która zaprowadziła go na oleśnicki rynek, a następnie nieopodal murów tego miasta?

Drugi bezpośredni uczestnik krwawego zdarzenia, jakie miało miejsce 19 lutego 1654 r. nie jest nam znany choćby z imienia. Wiemy, że mieszkał w domu przylegającym do muru kurtynowego (jego fragmenty zachowały się), tradycyjnym domostwie katów oleśnickich. Lecz nawet nie wiemy, gdzie dokładnie stał ten dom. Został on niewątpliwie szybko rozebrany po tym, jak przestał być jego lokatorem ostatni kat oleśnicki (któż bowiem chciałby w nim mieszkać). Choć kat nie był wyklęty, to jednak był osobą niehonorową. Z jednej strony budził odrazę, z drugiej zaś fascynował, jako ten, który tak blisko styka się ze śmiercią, ociera się o nią; do tego sam ją niejednokrotnie zadaje. W niektórych miastach mógł uczęszczać do kościoła (miał tam jednak miejsce wydzielone), w innych z kolei nie. Podobnie rzecz się miała w przypadku oberży (ciekawe czy w sytuacji, gdy mógł w niej przebywać, miał tam swój kubek bądź kufel). Niejednokrotnie kat był jednak szanowanym obywatelem miasta. Szczególnie często miało to miejsce w krajach Rzeszy Niemieckiej, a Śląsk był wówczas jednym z nich.

Czy wspomnianego dnia kat oleśnicki skupiony był wyłącznie na dokładnym realizowaniu, punkt po punkcie, swoistego scenariusza egzekucji, czy też z racji posiadanego doświadczenia, pozwalał sobie na snucie myśli związanych na przykład z zapłatą jaką otrzyma? A o jej wysokości doskonale wiedział, gdyż każda czynność dotycząca kaźni miała swoją cenę. Była bowiem ujęta w specjalnym, drobiazgowym cenniku.

Ów kat, w którego ręce oddano Hedloffa, musiał niewątpliwie być mistrzem w swym fachu. Dzisiaj powiedzielibyśmy o nim: specjalista, fachowiec. Nikomu innemu z pewnością nie zlecono by widowiskowego, rozciągniętego w czasie, uśmiercenia Melchiora Hedloffa. To znaczy człowieka, który na kartach historii zapisał się tym, że był wielokrotnym zabójcą. I tylko nim! Choć nie wiemy, tak naprawdę, ilu ludzi zamordował. Faktem jest jednak, że przyznał się do 251 morderstw. Ale człowiek, także tak twardy jak on, może przyznać się do rzeczy niepopełnionych, gdy obieca mu się, niezastosowanie jakiejś tortury.

Schwytanie wielokrotnego mordercy zawsze było, i jest nadal, okazją dla wymiaru sprawiedliwości, do poprawienia swego wizerunku - liczba zbrodni, których sprawcy nie zostali osądzeni, może wówczas się zmniejszyć. Jest to też każdorazowo okazja do zamanifestowania triumfu sprawiedliwości. Ale z pewnością kilku tysiącom widzów (wiele wśród nich było dzieci), jacy obserwowali kaźń Strzelca Melchera (także każdą inną), nie chodziło o udział w owym triumfie. Znacznie ważniejsza, i pewnie dominująca, była chęć zobaczenia kogoś tak sławnego. Do tego ową sławę zawdzięczającego, tak wielu mordom. Łączył się z tym wyjątkowy dreszczyk emocji. A w dniu egzekucji stał się on z pewnością dreszczem. Możemy wyobrazić sobie starania, aby zająć jak najlepsze miejsce, czyli takie, z którego będzie widać jak najwięcej szczegółów. Tak, aby potem, wieczorami, w oberży, przy piwie uzupełniać relacje tych, którzy stali dalej. Choć pewnie byli i tacy, którzy zająwszy miejsce w pierwszych szeregach, szybciej bądź później, ale pożałowali swej zapobiegliwości i zaczęli przeciskać się przez tłum. Budząc przy tym zdziwienie, albo złośliwe komentarze. Ci z pierwszych rzędów słyszeli z pewnością każdy trzask towarzyszący łamaniu kości. Widzieli ludzkie mięso, krew...

O czym myśleli ludzie przyglądający się egzekucji Strzelca Melchera? Tego możemy się tylko domyślać. Czy współczuli skazanemu? W to należy raczej wątpić. Może myśleli o popołudniowym posiłku, którego nie miał kto przygotować, skoro niejednokrotnie całe rodziny zgromadziły się pod murami Oleśnicy? Bez względu na to jaką rolę pełnili w tej kaźni czy byli tylko widzami, czy urzędnikami nadzorującymi jej przebieg bądź strażnikami strzegącymi porządku, na pewno do każdego z nich, i to wielokrotnie, powracała myśl: „Jak dobrze, że to Melchior Hedloff, a nie ja...".

Każda publiczna egzekucja miała odnieść także skutek wychowawczy. Bo to właśnie ona, obserwowana, miała odstraszać. Było to więc wychowanie przez kaźń (im okrutniejszą, tym lepiej), a nie przez karę (ilu ludzi widziało skazańca odsiadującego w lochu dożywocie). W takim systemie było jak najbardziej wskazane, by skazaniec odczuł jak najdotkliwiej każdą kolejną minutę trwania egzekucji. Tak żeby pragnął śmierci coraz bardziej. I Tylko jej.

Już dawno rozlegały się głosy, że kaźń, choćby najokrutniejsza, nie mówiąc już w ogóle o karze śmierci, nie działa odstraszająco. Należy więc wątpić, że zakładany cel osiągnęło stracenie Strzelca Melchera. A wśród kilku tysięcy ludzi obserwujących jego powolną agonię, znajdował się z pewnością niejeden przyszły przestępca, którego uczynek miał podlegać karze śmierci (nie można wykluczyć i takiej sytuacji, że uczynek ten został popełniony wkrótce po opisywanej tu egzekucji). Ale gdyby nawet nikogo takowego jednak nie było wśród widzów, to wiemy, że w Oleśnicy, po 1654 r., nie miał miejsca żaden przełom jeśli chodzi o ciężkie przestępstwa. I kat, obok innych czynności należących do jego obowiązków, nadal wykonywał wyroki śmierci.

To, że Melchior Hedloff mordował, wynika, między innymi, z faktu, na który od początku zwracano zresztą uwagę - będąc żołnierzem w czasie wojny trzydziestoletniej, która należała do konfliktów wyjątkowo okrutnych, nauczył się mieć życie ludzkie, za nic (igranie własnym życiem też pewnie było tego wynikiem). A rabowanie, będące w jego przypadku równoznaczne z mordowaniem, wydało mu się być wyjątkowo łatwym zajęciem. Do tego najpewniej nie towarzyszyły mu rozterki moralne. Przy czym ofiary do niego jakby same przybywały, podróżując drogami przebiegającymi przez Bory Międzyborskie. Ale dlaczego nie opuścił terytorium Księstwa Oleśnickiego, gdy zaczęto coraz usilniej go poszukiwać (także jego kompanów)? Mając na uwadze fakt, że zostali schwytani i uśmierceni członkowie jego najbliższej rodziny, musiał był świadomy tego, że pętla wokół niego zaciska się coraz bardziej. I że prędzej czy później, ale zostanie schwytany.

Może decyzję o wyniesieniu się do innej części Śląska, a może do sąsiedniej Wielkopolski, odkładał z dnia na dzień. Aż w końcu nadszedł 2 listopada 1653 r. Kiedy to już nie on, lecz inni poczęli podejmować decyzje o jego dalszym losie.

A może Strzelec Melcher był zakochany w tym skrawku Śląska, gdzie przyszedł na świat (nie wiemy kim byli jego rodzice)? Tak, tak, trudno w to uwierzyć, gdy ma się na uwadze jego uczynki. No, ale nie można tego wykluczyć.

O Melchiorze Hedloffie wiemy bardzo niewiele, jeśli porównamy go, na przykład, z panującymi współcześnie monarchami. Lecz i tak wiemy mnóstwo jeśli weźmiemy pod uwagę miliony ludzi, którzy wiedli tzw. normalne życie. Ale na temat ostatnich godzin jego życia wiemy wyjątkowo dużo. Jest to zresztą paradoksem, że na karty historii (również tej pisanej przez „H") zdecydowanie łatwiej trafiali, zresztą dzieje się tak nadal, wszelkiego rodzaju łajdacy, niż ludzie przyzwoici. Ich uczynki, przede wszystkim te spektakularne, były bowiem bardziej zauważalne. Oni sami nie są jednak tak liczni. To stwierdzenie może być rodzajem pocieszenia. Lecz tylko dla tych, którzy pocieszenia oczekują...

Dariusz Pawlicki

ESEJ HISTORYCZNY

Grzegorz Jacek Brzustowicz

Ostatni zajazd na Litwie

Wydana przed 190 laty w Paryżu epopeja narodowa Adama Mickiewicza „*Pan Tadeusz, czyli ostatni zajazd na Litwie*", zachwyca wszystkie pokolenia Polaków fabułą, łączy wydarzenia z burzliwych lat 1811-1812 z tradycyjnym dla staropolskiej szlachty zajazdem. Instytucja zajazdu była przez wieki sposobem dochodzenia swych praw przez szlachtę. Jednak najczęściej zajazd kojarzy się nam z akcją wykraczającą poza prawo, o cechach łupieżczych najazdów. A czy wiemy jak wyglądał ten historyczny ostatni zajazd na Litwie.

Geneza sporu

Opowieść musimy rozpocząć od miasteczka Widzieniszki, położonego w powiecie wiłkomirskim w Wielkim Księstwie Litewskim, w czasach Rzeczpospolitej Obojga Narodów. Miejscowość i jej okolica od XIV wieku była dziedzictwem książąt Giedrojciów, którzy w końcu XVI wieku zbudowali tutaj swój zamek obronny w zakolu rzeki Cesarki. Budowla uległa zniszczeniu podczas wojen, ale na części terenu zamkowej ruiny w XVII wieku stanął dwór mieszkalny Giedrojciów – tzw. *Biały Zamek*.

Giedrojciowie nie zadomowili się w dworze i jeszcze w końcu wieku XVII przekazali go na własność kanonikom regularnym z Wilna, którzy zamienili go na swój klasztor. W krótkim czasie i ta budowla popadła dalej w ruinę i w XIX wieku miejsce to określano wspólną nazwą - *Zamczysko*.

W 1618 roku, gdy Widzieniszki były jeszcze wioską, wojewoda mścisławski kniaź Marcin Matwiejewicz Giedrojć ufundował kościół parafialny pod wezwaniem św. Wawrzyńca. Na opiekunów parafii magnat wyznaczył zakon augustianów z Wilna, którzy jak już wiemy, otrzymali dwór Giedrojciów i przystąpili do wzniesienia kościoła i przebudowy dworu na klasztor. Prace szły opornie ponieważ fundator zmarł w 1621 roku i brakowało środków finansowych. Pomimo trudności mnisi budowę kontynuowali, ale jej ukończenie przeciągnęło się w czasie. Konsekracja świątyni pod opieką kanoników regularnych nastąpiła dopiero w 1684 roku. Przyspieszył także proces rozwoju miejscowości i w 1714 roku król August II Mocny nadał Widzieniszkom prawa miejskie.

W latach 80-tych XVIII wieku parafia widzieniska stała się przedmiotem głośnego zatargu, ale nie jak to zazwyczaj bywało - pomiędzy rodami szlacheckimi. Ten ostatni konflikt z zajazdami zrodził się między dwoma biskupami, inflanckim Józefem Kazimierzem Kossakowskim[1] i wileńskim Ignacym Jakubem Massalskim[2].

Geneza sporu kryje się w mrokach historii. Z jednej strony upatruje się jej w staraniach podejmowanych przez biskupa Kossakowskiego w celu powiększenia zarządzanej przez niego diecezji. Purpurat wystarał się u papieża Piusa VI (1775-†1799) o zgodę na przyłączenie do swojej diecezji dwóch parafii należących do biskupstwa wileńskiego - widzieniskiej i michaliskiej. Uzyskał nawet na to poparcie samego króla polskiego Stanisława Augusta Poniatowskiego (*1732-†1798) oraz jego brata biskupa płockiego Michała Jerzego Poniatowskiego (*1736-†1794), po 1784 roku prymasa Rzeczypospolitej.

Zarówno w przypadku Widzieniszek jak i Michaliszek, zabiegi biskupa Kossakowskiego dotyczyły posiadłości zakonu kanoników od pokuty (białych augustianów), którzy zgodnie z decyzją Świętej Kongregacji ds. biskupów z 1697 roku, na generała swojego zakonu wybrali początkowo prymasa Polski. Jednak obowiązki te od początków XVIII wieku przejęli biskupi, najpierw krakowski (1722-1732), a od 1732 roku wileńscy. W latach 1762-1794 roku kanonicy byli podporządkowani biskupowi wileńskiemu Ignacemu Massalskiemu. Ta podległość powodowała, że mnisi byli zależni od władz diecezjalnych nie zakonnych, więc cztery konwenty kanoników w Koronie bojkotowały tę podległość[3].

Biskup wileński Massalski nie zdawał sobie początkowo sprawy z zabiegów biskupa inflanckiego Kossakowskiego, ponieważ były podejmowane za jego plecami. Wiadomo dlaczego – ponieważ nie mógł być z nich zadowolony i mógłby temu przeszkodzić. Utrata dwóch parafii uszczuplała dochody diecezji wileńskiej. Dopiero wiosną 1782 roku działania związane z przekazaniem parafii i klasztoru w Widzieniszkach innemu biskupowi wyszły na jaw i od razu spotkały się z protestem biskupa i kapituły wileńskiej.

9 lutego 1782 roku w diecezji wileńskiej zarządzono wizytację generalną w celu objęcia kontrolą wszystkich parafii diecezji, co realizowano opieszale do 1784 roku[4]. Jednak biskup inflancki dążąc do przejęcia w posiadanie Widzieniszek wypędzając mnichów, obawiał się, że wizytacja wykaże ich. 27 lutego 1782 roku skierował do kapituły wileńskiej zarzuty co do zachowania kanoników regularnych. W tej sytuacji kapituła wytoczyła proces w obronie kanoników, wystawiając stosowny akt pisemny[5].

Jak się okazało biskup inflancki zajmował „przeciwnika", a sam w tym czasie „dopiął" ciche starania o nadanie mu dóbr kanoników regularnych od pokuty w parafiach Widzieniszki i Michaliszki. Osiągnął cel, otrzymując stosowny dokument 6 września 1782 roku[6]. Kossakowski wspominał potem w swoim pamiętniku, że działał tak *ażeby jak najsekretniej i najprędzej przyjść do takowego objęcia parafii*. Wspomniał też o przygotowaniach:

Sprowadziłem tedy księży Folkmara i Aleszkiewicza, plebanów moich kurlandzkich, jako subdelegowanych od księdza Naruszewicza do bliskiego miejsca Widzimiszek[7].

Zajazd na Widzieniszki i Michaliszki

1 października 1782 roku doszło do rozprawy sądowej przeciwko kanonikom. Okazało się, że *zarzuty stawiane przez pewnego członka sądu przeciwko kanonikom regularnym od pokuty są zmyślone*. W związku z tym kapituła wileńska unieważniła swój akt procesowy i postanowiła wydać nowy[8], zapewne wydając wyrok i chcąc zakończyć proces. Ale biskup Kossakowski nie chciał do tego dopuścić, gdyż miał już dokument objęcia parafii widzieniskiej i Michalskiej na własność. Wysłał swoich zbrojnych by zajęli siłą wspomniane parafie oraz obsadzili nowymi plebanami. Potem Kossakowski chwalił się:

Nim jednak ksiądz biskup wileński z radą kapituły ułożył sposoby do obrony, komisarze delegowani z nuncyatury objęli klasztor widzimiski ze wszelkimi proventami, poddali go mnie w posesyą spokojną i na miejscu od nikogo niezaprzeczoną. Dokazać tego nie mogli z drugim klasztorem michaliskim, jako oddalonym od pierwszego, a to z powodu obrony zbrojnej od pana Brzostowskiego wojewodzica inflanckiego, któremu biskup wileński zająć cały fundusz pozwolił, jako następcy fundatorskiemu i bronić swojem imieniem[9].

Jak widać Michaliszki zostały obronione. W Michaliszkach w rejonie ostrowieckim obwodu grodzieńskiego znajdował się klasztor z kościołem św. Michała Archanioła oraz szpital i szkoła należące do kanoników re-

*1 Pamiętniki Józefa Kossakowskiego biskupa inflanckiego 1738-1788, wyd. A.Darowski, Warszawa 1891, s. 142-144. Józef Kazimierz Kossakowski (*1738-†9.05.1794) h. Ślepowron. Wychowany przez jezuitów w Collegium Nobilium w Wilnie. W 1764 roku podpisał elekcję królewską Stanisława Augusta Poniatowskiego. W 1773 roku podpisał I traktat rozbiorowy Polski. W latach 1773-1776 przewodniczący Komisji Edukacji Narodowej. 17 września 1781 roku został przeniesiony na biskupstwo inflanckie. Był administratorem apostolskim biskupstwa kurlandzkiego.*

*2 J.Kurczewski, Kościół zamkowy, czyli katedra wileńska w jej dziejowym, liturgicznym, architektonicznym i ekonomicznym rozwoju. Streszczenie aktów kapituły wileńskiej, cz. III, Wilno 1916, s. 374-388. Ignacy Józef książę Massalski (*1727-†28.06.1794) h. wł., był wychowankiem jezuitów z Kowna i Wilna. W 1758 roku został podczaszym kowieńskim i posłem na sejm. Był biskupem wileńskim od 1762 roku, a w 1763 roku przyjął święcenia kapłańskie. Uczestnik konfederacji barskiej. Przewodniczący Komisji Edukacji Narodowej w latach 1773-1776, stronnik Rosji na stałej rocznej pensji od 1787 roku. 17 grudnia 1791 roku otrzymał godność biskupa koadiutora wileńskiego przy biskupie Massalskim.*

3 I.Pietrzkiewicz, Wizytacje źródłem do dziejów kultury książki w zakonach Wielkiego Księstwa Litewskiego – na przykładzie kanoników regularnych od pokuty (białych augustianów), „Annales Universitatis Paedegogicae Cracoviensis. Studia ad Bibliothecarum Scientiam Pertinentia", nr 18 (2020), s. 241.

4 K.Jodczyk, Wizytacja generalna z lat 1782-1784 i Opisy parafii z 1784 roku – jako źródła do badań nad osadnictwem na terenie dekanatu brasławskiego diecezji wileńskiej, „Studia Podlaskie", 20 (2012), s. 130.

5 J.Kurczewski, Kościół zamkowy, III, s. 374-376.

6 Biskup Kossakowski tak skomentował to w swoich wspomnieniach: 1783 nadeszła z Rzymu inkorporacja dwóch beneficyi widziniskiego i michaliskiego po Kanonikach Regularnych B.B.M.M. do penitentia do egzekwowania przez nuncjusza księdza Gizotti. Pamiętniki, s. 142.

*7 Pamiętniki, s. 142. Chodzi tutaj o Adama Naruszewicza (*1733-†8.07.1796), od 1775 roku biskupa koadiutora smoleńskiego, od 1781 roku z woli polskiego króla kościelnego pisarza wielkiego litewskiego.*

8 J.Kurczewski, Kościół zamkowy, III, s. 374.

*9 Pamiętniki, s. 143. Wojewodą inflanckim był Stanisław Brzostowski (*1733-†1769) h. Strzemię, ożeniony z Teofilą Radziwiłł. Ich synem był Michał Hieronim Brzostowski (*1762-†1806), starosta miński, cześnik wielki litewski, marszałek guberni wileńskiej.*

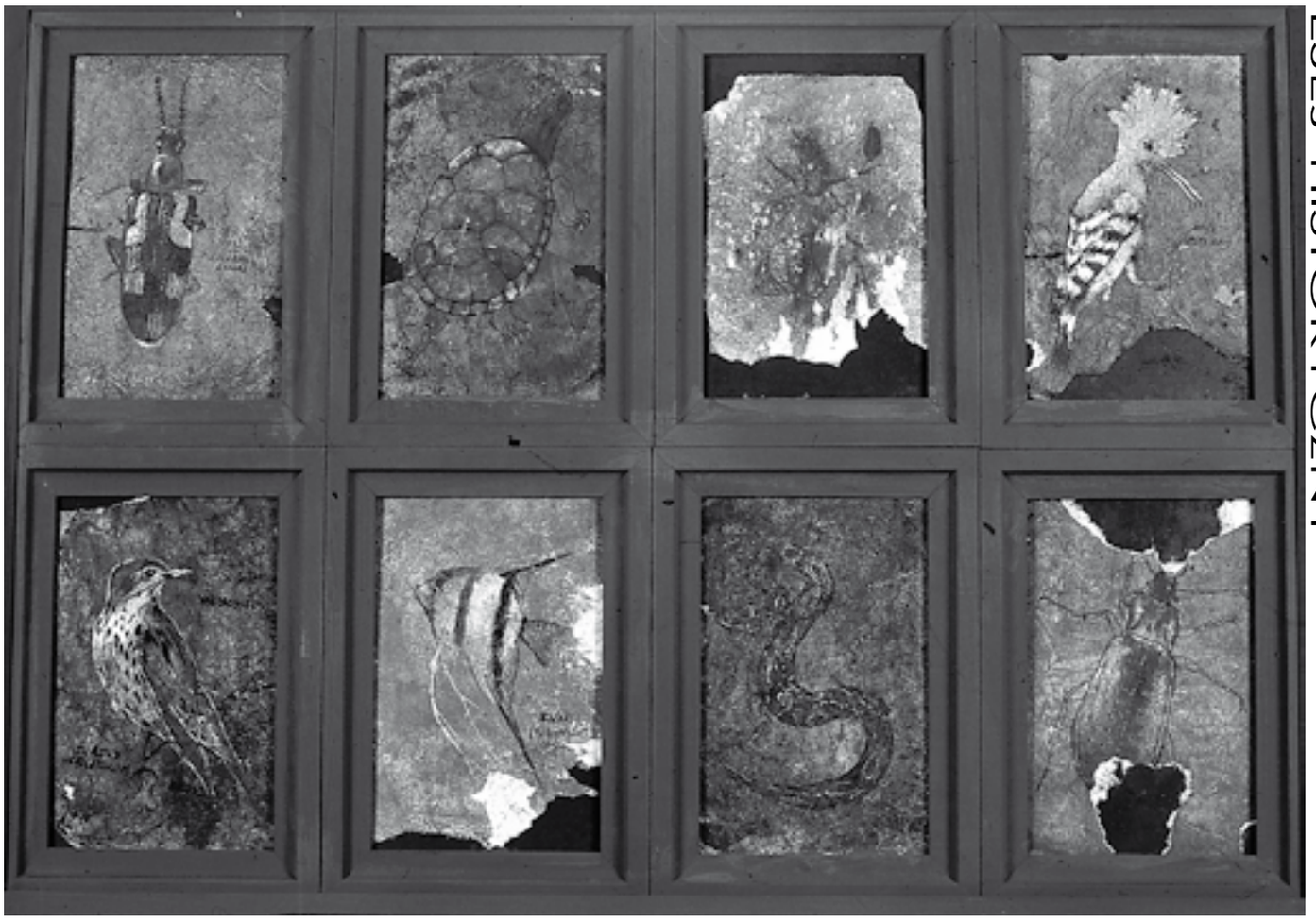

gularnych od pokuty, fundowany przez Jana Cypriana Brzostowskiego (1622), a posługę wypełniało tutaj jeszcze na przełomie XVII/XVIII wieku zaledwie kilku mnichów[10]. I tutaj zapewne z powodu chęci osiągnięcia dodatkowych dochodów finansowych, biskup Kossakowski chciał zmniejszyć uposażenie kanoników michalskich. W tym przypadku, gdy nie udało się parafii zająć siłą, biskup skierował swoje zainteresowanie na dokumenty fundacyjne. Kilka z nich jego ludzie wykradli, a wśród nich dokument fundacyjny z XVII wieku. Kościół Michaliski słynął *bogactwem sreber, lecz te z powodu procederu zaprowadzonego z biskupem Kossakowskim, przez dwudziestu* (XX) *Kanoników Regularnych gdy u Brzostowskich zlokowanemi zostały* (…), *Kościołowi przywraconemi nie były*[11].

Do zajazdu zbrojnego oddziału biskupa inflanckiego na Widzieniszki doszło po 1 października 1782 roku. Biskup wileński na wieść o tym wydarzeniu, dopiero 18 grudnia 1782 roku wysłał z wizytacją do Widzieniszek dziekana pobojskiego Kazimierza Wilczyńskiego[12]. Możliwe, że dziekan zawiózł memoriał biskupa i kapituły wileńskiej, oskarżający Kossakowskiego o użycie siły. W każdym razie memoriał ubódł Kossakowskiego na tyle, iż żalił się na ten list *pełen pogróżek i szkalowań*, na które obiecał nie reagować. Pomijając pogróżki biskup inflancki skierował list do biskupa wileńskiego[13].

Nie znamy treści listu, ale musiała być w nim mowa o umocowaniu prawnym działań biskupa inflanckiego. Jednak biskup Massalski na nic się nie godził i 12 kwietnia 1783 roku zwołał kapitułę na nadzwyczajne posiedzenie. Tam pokazał kopię dokumentu przekazującego Widzieniszki i Michaliszki biskupowi inflanckiemu i oświadczył, że ten nie czekając na decyzje kapituły wileńskiej, Wiedzieniszki zajął już *zbrojną ręką*[14]. Massalski uważał, że jeśli pismo nadania parafii dla Kossakowskiego rzeczywiście wystawiono w Rzymie, to *jest ono oparte na fałszywych donosach, jakoby ci kanonicy żyli bez żadnych praw i statutów, nie zachowywali nowicjatu, nie uczyli i w końcu, że istnieją bez przełożonego i aprobaty Stolicy Apostolskiej*[15].

Kossakowski zaś utrzymywał, że objęcie parafii jest *zgodne z prawem* i dlatego musiał ją zająć z *pomocą wojskową*. Ponad to skierował pisma do kanclerza koronnego, nuncjusza i samego papieża z prośbą o reakcję w obawie przed wywołaniem *zamieszania w kraju*[16]. Biskup inflancki nie przesadzał. W tym momencie powszechnie już uważano, że sprawa zajęcia siłą parafii widzieniskiej może doprowadzić nie tylko do zaciętego sporu, ale nawet do dużego zamieszania w całej Rzeczypospolitej.

Próba rozwiązania sporu na drodze sądowej

W dążeniu do rozwiązania konfliktu po własnej myśli kapituła wileńska poświadczyła, że kanonicy regularni *trzymają się reguły św. Augustyna, mają liczną młodzież, która nowicjat i studja teologiczne odbywa w Widziniszkach, także i w Wilnie, co trzy lata wybierają przełożonego, mają potwierdzenie swego zgromadzenia od siedmiu papieży. Zgromadzenie to składa się z 30 braci i jest bardzo pożyteczne*. Taki uniwersał kapituły wileńskiej został opieczętowany *podpisami wszystkich członków, świadczące o prawości i pożyteczności tego zgromadzenia, obowiązku duszpasterstwa spełniającego, w wielu miejscach i o powszechnym szacunku, który je otacza*. Dodano także i to, że zgromadzenie kanoników *odprawia swą kapitułę, ma nowicjat z czterema nowicjuszami i szkołę zakonną w Widzieniszkach, w której czternastu alumnów uczy się teologii moralnej, w wileńskiej ich szkole siedmiu uczy się teologii spekulatywnej, nadto utrzymują dwóch swoich kleryków w seminarjum diecezjalnym wileńskim, kształcących się na duszpasterzy*[17].

Kapituła wileńska wsparła działania biskupa Massalskiego w celu obrony kanoników regularnych, jako ich generalnego przełożonego, ale i chcąc w ten sposób *uszanować i zachować wolę fundatorów*. Radziła też ogłosić dokumenty nadania parafii posiadane przez biskupa inflanckiego za nieważne, *jako na fałszywych donosach oparte* i zwrócić się o rozsądzenie sporu do papieża.

1 października 1783 roku w *poczuciu swego obowiązku bronienia praw i majątków*, Biskup wileński wezwał przed sąd biskupa Kossakowskiego. Za powód procesu podano nieprawne przez niego domaganie się opłat oraz przetrzymywanie przez niego od 1767 roku sum ze sprzedaży pereł i nie dofinansowywanie budowy kościoła w Poswolu, co stało się przyczyną niedo-

*10 Po wydarzeniach w 1801 roku wspomniano w klasztorze już dwóch mnichów: proboszcz Teofil Block (*1765-†po 1827) zakonnik od 1781 i Stefan Szołkowski (*1767-†przed 1816) w zakonie od 1786.*

11 Reszta sreber i drozszych sprzętów (…) została zrabowana przez Francuzów w 1812 roku podczas ucieczki z Moskwy. M.Kalamajska-Saeed, Kościół i klasztor kanoników od pokuty w Michaliszkach, w: Litwa i Polska: dziedzictwo sztuki sakralnej, red. W.Boberski i M.Omilanowska, Warszawa 2004, s. 49-64; R.Zianiuk, Archiwum Kościoła św. Michała Archanioła w Michaliszkach (Białoruś) – los kolekcji na tle wydarzeń historycznych, „Archiwa, Biblioteki i Muzea Kościelne", nr 119 (2020), s. 459-483.

12 Archiwum Historyczne w Wilnie, Parafia Katolicka Widzieniszki, Liber Baptisatorum, R. 1782, k. 21.

13 Pamiętniki, s. 143.

14 J.Kurczewski, Kościół zamkowy, III, s. 375.

15 Ibidem, III, s. 375.

16 Pamiętniki, s. 143.

17 J.Kurczewski, Kościół zamkowy, III, s. 376.

kończenia świątyni, *chociaż trzyma Pozwol w arendzie*. W akcie oskarżenia umieszczono też informację dotyczącą zajazdu na Widzieniszki, podczas którego dopuścił do *skrwawienia kościoła, rozszarpania sprzętów kościelnych i dopełnienia kryminału*. Wreszcie i to, że *użył poddanych poswolskich do najazdu na Widziniszki*[18].

Teraz dopiero dowiadujemy się bliżej o zajeździe dokonanym przez ludzi biskupa inflanckiego. Zbrojni z tego oddziału pokonali obrońców złożonych głównie z miejscowej szlachty i mieszczan, wśród których znajdowali się: Giedroyciowie z Cesarki, Konopaccy, Iwaszkiewiczowie, Możejkowie, Mirscy, Łukaszewiczowie, Górscy, Przestrzelscy, Brzostowiczowie i Straszewiczowie, Gudelowie, Nowiccy, Boreykowie, Matuszewicze, Szeszatowie, Siderowiczowie, Gryszkiewiczowie oraz Sienkiewiczowie. Zaraz potem jak napastnicy weszli do miasteczka Widzieniszki przypuścili szturm na kościół, *przy czem niemało padło trupów* co dowodzi, że kanonicy musieli mieć tutaj odważnych obrońców. Podczas strzelaniny ucierpiała wieża kościelna, bo potem Kossakowski *obiecał naprawić zegar wieżowy*.

Jeszcze nie ucichły wystrzały i nie opadł dym w Widzieniszkach, a już biskup wileński wysyłał wizytację do Poswola. Sprawdzono rachunki budowanego nowego kościoła i stwierdzono brak ponad 4,5 tysiąca złotych polskich. Ponad to *poddani poswolscy skarżyli się na obciążenie ich podwodami, na trzymanie ich w Widzieniszkach z końmi i bronią w czasie zajazdu i potem przez cztery tygodnie*[19].

Zajazd na Poswol

Po wezwaniu przed sąd, biskup Kossakowski pojawił się osobiście w Wilnie 16 października. Tutaj przed składem sędziowskim *wyrzucał Kapitule wileńskiej, że osądziła go zaocznie*. Na koniec stwierdził, że nie widząc innego wyjścia z zaistniałej sytuacji w Pozwolu, zaraz rozliczy się z finansów i *w końcu obiecał zwrócić srebro zienkowiczowskie, przechowywane u siebie*[20]. Wydawało się, że konflikt zmierza do końca.

Były to jednak tylko pozory. Następnego dnia, 17 października 1783 roku Kossakowski wyjechał z Wilna. Ale jak tylko opuścił bramy miasta, dotarły do kapituły kolejne niepokojące wiadomości. Zanim biskup inflancki przybył na posiedzenie sądu do Wilna, wcześniej wysłał swoje oddziały zbrojne do Pozwola.

14 października oddział biskupa inflanckiego *zajechał Poswol, majątek katedralny i wikariuszowski. Do tego użył pomocy Tatarów pod dowództwem regii ministerialis. Dokonał zajazdu poprzez sługę swego Downara*[21]. *Wezwawszy mieszczan, zalecił im posłuszeństwo względem siebie, jako ich pana*[22]. Zaskoczona i oszukana kapituła wileńska natychmiast wysłała do Poswola swojego przedstawiciela kanonika Puzynę *zalecając poddanym, pod surową odpowiedzialnością, słuchać jego*[23]. Tegoż Puzynę wyposażono 21 października 1783 roku w dokumenty oddania mu w arendę kilku majątków katedralnych, w tym Poswola za 18 tysięcy złotych polskich[24].

Oczywiście decyzja kapituły wileńskiej rozwścieczyła Kossakowskiego, bo niweczyła jego plan. Dlatego 24 października zażądał od kapituły kopii protestu kapitulnego złożonego w sądzie przeciwko niemu. A gdy kapituła odmówiła oświadczył, że w takim razie nie odda srebra. Wtedy kapituła wileńska wysłała listy do króla i do biskupa płockiego Poniatowskiego *prosząc o rozpatrzenie tej sprawy*[25].

Tymczasem w zajechanych parafiach dochodziło do kolejnych zatargów. 25 października *w* Poswolu dwóch ułanów z kawalerii biskupiej Kossakowskiego i sprzyjający biskupowi inflanckiemu podburmistrz wszczęli awanturę i napadli na mieszczan. Doszło do strzelaniny, podczas której mieszczanie pochwycili winnych zamieszek z *bronią i końmi i zaprowadzili do plebanji, do prałata Puzyny*. Kanonik wileński Nikodem Puzyna (*1753-†1819) zapytał kapituły co ma czynić w takich przypadkach. A ta dała mu upoważnienie, aby bronił mieszczan przed napastnikami z użyciem siły. Nakazano *napastników łapać, więzić i odsyłać do Wilna, a w razie napadu nie powstrzymywać mieszczan, ale pozwolić im się bronić*[26].

W tej sytuacji biskup Kossakowski uczynił podobnie jak kapituła wileńska i przekazał Poswol swojemu krewnemu. Teraz miasteczko uległo podziałowi pomiędzy wrogie sobie stronnictwa. W aktach kapituły wileńskiej 27 października 1783 roku zapisano:

Kossakowski trzyma Poswol przemocą, roszcząc pretensje do kapituły i przekazał go podstolemu kowieńskiemu Kossakowskiemu. Kossakowscy uzbrojeni napadają na miasto i wioski, dręczą poddanych, domagając się czynszu. Mieszkają we dworze, a prałat Puzyna, dzierżawca kapitulny, w plebaniji. Ten wzywa pomocy zbrojnej, bo nie usiedzi w plebanii[27].

Następnego dnia 28 października Kossakowski złożył u biskupa Massalskiego skargę na kapitułę w związku z wydarzeniami z 25 października[28], przedstawiając sprawę następująco:

18 Ibidem, III, s. 376-377.
19 Ibidem, III, s. 377-378.
*20 Ibidem, III, s. 377-378. Chodzi o srebrne naczynia liturgiczne z czasów biskupa wileńskiego Michała Jana Zienkowicza (*1670-†1762).*
21 Downarowie herbu Pobóg to szlachta w powiecie wileńskim z parafii ostrowieckiej, turgielskiej i w Wilnie.
22 Ibidem, III, s. 378. Downarowie zamieszkiwali powiat oszmiański.
23 Ibidem, III, s. 378.
24 Ibidem, III, s. 378.
25 Ibidem, III, s. 378.
26 Ibidem, III, s. 379-380.
27 Ibidem, III, s. 379.
28 Ibidem, III, s. 379-380.

Ks(iądz) biskup wileński pobudził niejakiego kapitana nadwornej milicji ks(ięcia) Radziwiłła wojewody wileńskiego p(ana) (Jana) Giedrojcia, któremu dał czerwonych złotych 300, ażeby zebrawszy ludzi luźnych, jako następca imienia fundatoryjnego, wypędził mnie z posesyi i objął na siebie cały fundusz, co też nic niemający i niczego nie lękający się kawaler dopełnił, ludzi moich wygnał i sam na siebie jako dziedzic, po książęciach Giedrojcach, pierwszych fundatorach tego klasztoru, intromisją wziął[29].

Giedrojciowie nadal w końcu XVIII wieku zasiedlali Widzieniszki i okolicę. Jedną linię stanowili wspomniani w 1757 roku Szymon, Jerzy, Jakub, Maciej i Andrzej Giedrojciowie posesorowie Antycesarki, potomkowie księcia Bartłomieja Giedrojcia na Widzieniszkach (1609-1613). Drugą linię reprezentował książę Ignacy Giedrojć (wsp.1763-1792) właściciel dóbr Widzieniszki z synami Kazimierzem i Stefanem Kajetanem oraz córką Kunegundą, oboźny wielki litewski (od 1768) i uczestnik konfederacji barskiej, a trzecią linię reprezentowali Giedrojciowie na Cesarce koło Widzieniszek, w osobie księcia Szymona Giedrojcia (*1722) i jego synów, w tym Jan Giedrojć ożenionego z Katarzyną Brzostowicz.

Kolejne wydarzenia poznajemy z relacji kapituły wileńskiej z 5 listopada 1783 roku. Na wskutek specjalnego zalecenia, w celu niesienia pomocy Puzynie *wynajęto policję do obrony mieszczan. Kossakowszczycy przewąchawszy siły mieszczan, nadto dowiedziawszy się o zbliżającej się milicji, opuścili Poswol dnia 27 października, pozostawiając dwór spustoszony. Został tylko ekonom p(an) Domejko, dwaj ułani osadzeni w więzieniu i przyłapany woźny, którego z dwoma ułanami pod eskortą odesłano do Wilna*.

Domejko osadzony w Poswolu przez Kossakowskiego miał swoje pełnomocnictwa trzymać w tajemnicy. *Jednak wzięty na spytki, wykrył wszystko*. Chyba z uwagi na współpracę *kapituła nakazała oddać cały dobytek i inwentarz Domejce, a złapanych przekazano trybunałowi*. Kapituła skierowała protest na Kossakowskiego do trybunału, sformułowany w trzynastu punktach[30]. Teraz Kossakowski tłumaczył się, że jego brat kasztelan nie mógł inaczej zareagować na zajazd dokonany przez osobę *bez żadnego tytułu i prawa,* więc zgromadził ludzi i po trzech dniach *wypędził tegoż pana Giedrojcia, broniącego się najzuchwalej strzelaniem i podstrzelaniem kilku ludzi, między innemi zabiciem szlachcica p(ana) Nowomiejskiego*. Biskup wileński przysłał nowy memoriał do rady miejskiej, *opisujący eloguentissime zaboje i kryminały popełnione, jakby sam ich nie był uczestnikiem*[31].

Burza niejako rozpędzona

Sprawa zajazdów stała się bardzo głośna nie tylko na Litwie. 2 marca 1784 roku kapituła w Wilnie wyznaczyła posłów na sąd zwołany do Warszawy. Kapitułę reprezentował ksiądz Antoni Kruszewski (*ok.1730-†1820) proboszcz widzki, a biskupa wileńskiego biskup Loryma i trocki Jerzy Antoni Połubiński (*1735-†1801). Ale biskup Kossakowski na wieść o procesie w Warszawie, związał decyzją 3 marca zajechane miejscowości ze swoją rodziną. Przekazał prawa do Pozwolu podstolemu kowieńskiemu Józefowi Kossakowskiemu, a po śmierci tegoż szambelanowi Józefowi Kossakowskiemu[32]. Usprawiedliwiał przy tym swoje postępowanie tym, że chce zapobiec wrażeniu, że akcja Giedrojcia całą winą obarczała Kossakowskiego i jego brata, którzy jakoby swoje rządy mieliby sprawować przy użyciu siły[33].

Potem Kossakowski udzielił odpowiedzi pisemnej na dwa memoriały biskupa wileńskiego, opierając je na nadanych mu prawach od króla i biskupa płockiego. Wysłano też ludzi, którzy mieli strzec porządku i zachować status quo do czasu rozstrzygnięcia sprawy. *Tym sposobem burza, która nagle powstała, została niejako rozpędzona, ale niezupełną spokojność przyniosła*[34].

W 1784 roku nadal trwał względny spokój i na polecenie biskupa Massalskiego dokonano spisu parafii w diecezji. Wikary kościoła widzieniskiego, kanonik regularny opisał parafię oraz wspomniał przy tej okazji o zmianie jej zwierzchnika:

Widzieniszki same fundum miasteczko, w którym kościół parafialny z dawna był należący do JM Księży Kanoników Regularnych, a dopiero należą do JW księdza biskupa inflanckiego[35].

Jednak kapituła wileńska nie rezygnowała z dochodzenia swych praw. Sprawa ciągnęła się jeszcze przez lata. Kossakowski wspominał o oparciu sprawy o nuncjusza papieskiego. Wiemy, że przebywając w Wilnie we wrześniu 1786 roku *oświadczył kapitule gotowość* (…) by *ukończyć sprawę z kapitułą zgodliwie*. Kapituła wyraziła na to zgodę[36]. Jednak do ugody nie doszło. Potem pod datą 30 września 1788 roku znajdujemy zapis, jak to *kustosz Kossakowski chce polubownie zakończyć swój proces z kapitułą*. Ale po raz kolejny nic z tego nie wyszło. Dalej spierano się o szkołę parafialną, domagając się od kapituły wileńskiej aktu z 1775 roku, ustanawiającego obowiązek uzyskania zgody od kapituły na jej założenie[37].

22 października 1790 roku padła kolejna propozycja Kossakowskiego dla kapituły wileńskiej zakończenia sporu polubownym układem. Kapituła wileńska teraz milczała. Milczała także, gdy Kossakowski włączył do sporu mostowniczego kowieńskiego Domejkę, domagając się dla niego odszkodowania *za straty w inwentarzu i ruchomości, poniesione jakoby w roku 1783, przy zajęciu Poswola przez kanonika Puzynę*[38]. Zatarg wyciszyły inne wielkie wydarzenia.

Biskup Józef Kazimierz Kossakowski znalazł nowe źródło finansów. Zaangażował się w politykę. Stał się zagorzałym zwolennikiem stronnictwa prorosyjskiego i rządów carycy Katarzyny II, za co otrzymywał rosyjską pensję. Zwalczał dzieło Sejmu Czteroletniego, w tym konstytucję 3 maja 1791 roku. W 1792 przystąpił do konfederacji targowickiej i rok później podpisał drugi traktat rozbiorowy. Podczas insurekcji kościuszkowskiej został aresztowany za zdradę i stracony w dniu 9 maja 1794 roku.

Jego przeciwnik w sporze, biskup Ignacy Massalski skończył podobnie. Był jednym z pierwszych sygnatariuszy Konstytucji 3 Maja 1791 roku, a potem jednym z pierwszych sygnatariuszy konfederacji targowickiej. Przy udziale wojsk rosyjskich praktycznie w 1792 roku przejął władzę na Litwie. Podpisał drugi traktat rozbiorowy w 1793 roku. Został aresztowany i stracony w Warszawie podczas insurekcji kościuszkowskiej 28 czerwca 1794 roku, w miesiąc po swoim oponencie w konflikcie o Widzieniszki, Michaliszki i Poswol.

Wiatr dziejowy zmiótł ze sceny głównych aktorów zajazdu. 16 grudnia 1795 roku zniknęła z mapy Europy Rzeczpospolita. Trzy lata później, w Zaosiu koło Nowogródka na świat przyszedł Adam Mickiewicz, twórca *Pana Tadeusza, czyli ostatniego zajazdu na Litwie*, dzieła, które całkowicie przykryło pamięć o prawdziwych wydarzeniach na Litwie.

Grzegorz Jacek Brzustowicz

*29 Pamiętniki, s. 143. Karol Stanisław Radziwiłł „Panie Kochanku" (*1734-†1790) herbu Trąby, wojewoda wileński od 1762 roku, szef 8. Regimentu Pieszego Domu Radziwiłłów.*

30 J.Kurczewski, Kościół zamkowy, III, s. 380-381.

31 Pamiętniki, s. 143-144.

32 J.Kurczewski, Kościół zamkowy, III, s. 381.

33 Pamiętniki, s. 143-144.

34 Ibidem, s. 144.

35 K.Jodczyk, recenzja pracy Pabaisko dekanato vizitacija 1782–1784 m., oprac. A.A.Baliulis, t. IX: Lietuviu Kataliku Mokslo Akademija, Vilnius 2010, w: „Przegląd Historyczny",103 (2012), s. 222-223.

36 J.Kurczewski, Kościół zamkowy, III, s. 384.

37 Ibidem, III, s. 385.

38 Ibidem, III, s. 385-387.

Czesław Sobkowiak

Jaki cień

Jaki cień do mnie i do ciebie się przykleja
Jaka pogoda nie omija ciała mimo prośby
Jaki trudny czas nie pyta o niczyją zgodę
Jaka zapłata czeka i ten rachunek jest godny

A poza tym ślady na lampce na kartce zostawione
Kluczyki długopisy zapiski lekarstwa pudełka
I okulary nie znajdują swojego miejsca jak znajdowały
I blask na wodzie się dowie że czyichś oczu nie olśniewa

Wyprzedaż

Zaczęła się sezonowa wyprzedaż ludzi
Mogliby coś powiedzieć ale nie należy mieć pamięci
Ci którym udaje się jeszcze uchronić swoje głowy
Przed dewastacją wiedzą że stała się modna

Czyli prawdy rodzą się we wrzasku i bez obawy
Że ktoś upomni się o ciszę lub staroświecki takt
Mają prawo krzyczeć że co było to jest szkodliwe
Więc co zrobić mają prawo ogłosić wyprzedaż ludzi

Wtedy

Wtedy radość wiedziała
I w niej wydawał się świat
Ale kiedy to było zasnęło jak w bajce
Gdy wszystko co najmniejsze
Lecz w każdej linijce pierwsze
Wysoko i na środku placu powitań
Wprost rosło

Smutek zaprasza
Przy stoliku o zmierzchu
Nie używa wielu kolorów
Ale ma szczere każde słowo
Patrzy uważnie w oczy
Którym odmówiono zamyślenia
Jeśli chcesz to usłyszysz ten ból

Napisałem

Przypominają się dni w dzieciństwie
Więc napisałem wiersz o krowie
Którą oganiałem w upale od much
A szczególnie chroniłem jej oczy

Pamiętam dostojeństwo gdy szła od łąki
Z wiadra napić się wody na podwórku
Nie mam z tego wiersza żadnego pożytku
Więc nie muszę liczyć wyrzutów

Były dni mimo trudu w urodzie ziemi
A teraz zrobiło się skomplikowanie
I co było piękne jak olchy nad wodą
Nie wydaje się komuś już ważne

Poezja

Potrzebna szklanka wody i proza
Do życia w różnych miejscach
Codziennie aż do potu na czole
Bez żadnego udawania i wmawiania
Że to tylko nieistniejące treści

Poezja to inny kurs jazdy
Proszę pana nie cokolwiek na niby
I co tu więcej o tym że nie można zasnąć
W oddechu nie pomieścisz tego co widzisz
Od czasu do czasu dzwon ciszy uderza
Napijmy się więc żeby zrozumieć

Motyl

Motyl czarno-bordowy i brązowy przyfrunął
Patrzę na niego we wrześniu tak późno
Bo już chłodno nagle nawet w południe
Pewnie coś zapowiada swoimi skrzydłami ten motyl
Usiadł na drewnie i nimi porusza ze znawstwem
Godnym większej sprawy jak kilka chwil życia
Które są bardzo pomocne jego oddechom
Choćby nic więcej nie miało się wydarzyć
I mnie są potrzebne bo i o mnie chodzi
O przypomnienie zdziwienia że to ważne
Mieć chwile i sekundy i żyć mieć okazję

We śnie

Był środek nocy ale już bliżej nad ranem
Śniło mi się że jestem w mieszkaniu
Gdzie rozmawiam z kobietą dającą dobre znaki
W jej oczach widziałem bym został dłużej
Poczułem ręce chcące mnie zatrzymać
W pokoju którego sen się nie powtórzy
Miałem gdzieś jechać więc musiałem
Natychmiast biec ulicą by się nie spóźnić
Zostało kilka minut aby dotrzeć na miejsce
Gdzie autobus więc popatrzyłem na zegar
Na zegarze było że mam jednak dużo czasu
Do niepotrzebnego odjazdu w daleką stronę

x

Różne rzeczy widoki szły w komplecie
Nie tylko ja przeszedłem ten rozległy rozdział
Chciałem jeszcze komuś powiedzieć co wiem
Ale zobaczyłem że już są zbędne słowa
I nawet gdy zechcą coś dać to będą bezradne

Nie uwierzą zanim nie dotkną nie najedzą się
I nie popatrzą w lustrze na swoje twarze
Przyjdzie im oślepnąć na codzienne sprawy
Zgodzą się że samotny ma mieć swoją samotność
Trudno bawią się więc dlatego chcą wejść na scenę

Idziemy

Jeszcze idziemy piszemy liczymy
I jakoś wbijamy to sobie do głowy
Że nie tylko papier przyjmuje bieg liter
Światło się z nami pochyla już dosyć

Tłumimy w sobie zgubne myśli
Jednak nazbyt oczywiste w detalach
Którym obcy jest akcent otuchy
Owszem to nigdy nie było proste

Idziemy tak i idziemy pijemy wodę
Nauczyły nas lata nie być widocznymi
Może śnieg spadnie jak kiedyś w nocy
I w zimowej bieli świat zrobi się czysty

Już wiemy co będzie na koniec dnia
Skoro się zbliża i tylko milczenie czytelne
Zostawi znaki dla przypomnienia
Ale pamięć zmienia się w akt samotny

Twój

Mów za siebie i nic więcej
Tę tkwiącą we wnętrzu opowieść
To czego nikt nie wyzna za ciebie
Czyli miary twojego imienia

Kiedyś twój głos na krawędzi głos
Niech komuś doda pomysłu i odwagi
Co zrobić ze sobą w nędzy lub w trwodze
W decydującej godzinie gdy będzie trzeba

Na

Na końcu każdej rzeczy
Słowa lub zdarzenia
Jest człowiek i jego oczy
Lub brak człowieka

I jest pytanie więc pytam
Częścią czego jest człowiek
W przyrodzie i przyroda
Częścią czego jest

Idą

Idą wielkości
Ale to nie szepty
Które tkliwie wyrastają
Z jednego ziarenka

Plastikowa inteligencja
Nie rozważa o tym
Jej celem są wyłącznie
Twory wielkości

Przyjaciele

Mały wiersz ołówkiem na skraju kartki
Napisałem na niej nic szczególnego
To tylko wyznana moja powinność
Pamiętać wasze twarze i gesty i rozterki
I imiona jak żadne inne w drodze

Wasze słowa i ręce z daleka przychodziły
Były dla mnie mieszkaniem i oddechem
Powtarzałem sobie w myślach adresy
Brzmi to natchnienie jak w bajce
Ale przecież nie śmiesznie

PROZA

Czesław Karkowski

Daleki świat

Nad kanałem przeciwpowodziowym

„Damy, damy, tyle tych dam…" Strzępek wiersza nienajlepszego poety, ale trwa przez dziesięciolecia jako wibracja świadomości - aktywna po latach, żywa po przeczytaniu, po usłyszeniu na przedstawieniu teatru studenckiego. Dlaczego ten właśnie zapada w pamięć? Nie ma żadnej reguły rządzącej mechanizmem i ruchem świadomości. Zresztą nie on jedyny. Mogą to być fragmenty piosenek, wersy utworów poetyckich, melodie, powiedzenia, wyrażenia: na poły słowa, na poły obrazy, dźwięki – cała ta sieczka zalega w głowie, kłębi się i miesza w umyśle. Natręctwa myślowe, szczególnie dokuczliwe rano, narzucają się świadomości z przemożną siłą. Nieoczekiwanie, uporczywie prześladuje mnie fragment wiersza, melodia, jakieś powiedzenie, cytat…

Można by rozpocząć od całkiem innych tkwiących w mózgu, w całym ciele (nie ograniczam świadomości tylko do zawartości czaszki) wrażeń, na przykład piosenki słyszanej wielokrotnie przez radio. Piszę o czasach dzieciństwa, kiedy o telewizji w zgrzebnym PRL-u jeszcze nie słyszano, a radio było jedynym, wspaniałym zresztą medium, słowem i muzyką przykuwającym uwagę, rozbudzającym wyobraźnię – piosenki śpiewanej w obcym języku. Dziś wiem, że był to angielski - słowa z filmu o wielkim artyście, piosenka rzewna o kwietniu nad Sekwaną, kiedy budzi się wszystko do życia, rozkwita nowa miłość, rodzi się nowa nadzieja na przyszłość. Sensu naturalnie nie rozumiałem, ale obce słowa i melodia zapadły w pamięć/niepamięć, by trwać jako niezatarte wrażenie.

Od czego zacząć? Każdy początek będzie dobry.

**

Wyrastałem na obrzeżu Wrocławia. Moja pamięć nie sięga głębiej niż, powiedzmy, polowy lat pięćdziesiątych. Naboje do broni wszelkiego rodzaju stanowiły codzienny rzec można przedmiot zabaw moich i chłopaków z ulicy. Pocisków rozmaitego rozmiaru, formatu, kształtu było pełno. Trzeba pamiętać, że Wrocław przekształcono w końcowej fazie wojny w „Festung Breslau" i miasto zaprzestało obrony dopiero w dzień albo dwa (zależy jak liczyć) po kapitulacji Niemiec. Miasto, mocno zrujnowane, wypełnione było po brzegi amunicją. Proch strzelniczy i trotyl znajdowały się stale w moich/naszych rękach.

Proch miał różne kształty – zwykle w postaci niewielkich czarnych kwadracików, czasami grubego proszku; z większych pocisków brało się najbardziej ceniony wśród chłopaków (dziewczynki nie brały udziału w tych zabawach) w formie ziaren pszenicy. W każdym kształcie dostarczał wspaniałej rozrywki. Zwykle sypało się długie, kręte ścieżki prochowe. Podpalona z jednej strony pozwalała na śledzenie nikłego ognika, a zwłaszcza gęstego dymu jak posuwał się do przodu. Niezapomniany zapach prochu. Było to jak zabawa w pociąg z parującą lokomotywą na przedzie.

Trotyl, żółta substancja w postaci dość twardego sera szwajcarskiego, palił się mdłym, niebieskawym ognikiem. Z niego też był wielki użytek: roztarty na miałko i z niewielkim dodatkiem prochu strzelniczego (albo nawet saletry czy karbidu) wrzucało się do metalowej puszki z otworkiem. Po podpaleniu zapałką wieko puszki przytrzymywanej nogą odskakiwało z hałasem ku uciesze zgromadzonych. Tu niezbędna uwaga dla niezorientowanych, a tych zapewne jest większość: trotyl wybucha z wielką siłą na skutek iskry innego wybuchu. Bez tego w rękach jest całkowicie nieszkodliwy.

Były to niebezpieczne zabawy – zwłaszcza jeśli chodzi o rozkręcanie pocisków, ale szczęśliwie nikomu nic się nie stało. Natomiast niezbyt mądrą zabawą (ale trudno o mądrość w dzieciństwie) było wrzucanie małych kul pistoletowych do ogniska. Sztuka polegała na tym, aby jak najszybciej uciec i skryć się za pagórkiem. Niestety, ku naszemu rozczarowaniu, kule takie bardzo rzadko, a może nawet nigdy nie wystrzeliwały, a przecież ich gwizd nad głowami miał stanowić kulminację rozrywki. Stworzyć namiastkę scenerii westernu, kiedy jak w „Winchester 73" kule świstały bohaterowi nad i koło głowy. Po stosownie długiej chwili, kiedy nic się nie działo, wiedzieliśmy, że nie można zbliżać się do ogniska, więc po prostu markotni opuszczaliśmy teren, zostawiając dogorywający płomyk.

Gdzie znajdowaliśmy te naboje? Były „wszędzie". Największym źródłem okazał się gęsty rząd krzaków umacniających jakby wał ziemny pobliskiego kanału przeciwpowodziowego. Właściwie wystarczyło trochę pogrzebać w ziemi, aby na coś się natknąć. Niestety, już wkrótce musieliśmy się spieszyć ze znajdowaniem zdobyczy, bo trzeba było „rywalizować" z jakimiś specjalistycznymi oddziałami wojskowymi, które pod koniec lat pięćdziesiątych zaczęły przeczesywać na poły dzikie tereny Sępolna w poszukiwaniu niewypałów.

Ale tak naprawdę to nie amunicja była celem naszych eksploracji. Szukaliśmy skarbu, a znajdowane pociski były zaledwie namiastką, zapowiedzią, iż cel jest blisko - schowany, skryty. Od najwcześniejszego dzieciństwa wyobraźnię moją karmiły opowieści o fantastycznych, bogatych znaleziskach: ktoś, gdzieś kiedyś trafił na „skarb". Nie, nie były to chłopięce fantazje rozpalane lekturą na przykład. „Wyspy skarbów" Louisa Stevensona czy „Hrabiego Monte Christo" Alexandra Dumasa. Skarb w naszym przypadku był konkretny, realny, namacalny. Rozpowiadano z przejęciem - ktoś znalazł złoto, biżuterię, natknął się na wielkie bogactwo. Gdzie to było? Niedaleko, pod drzewem, pod gruzami, schowane w zakątku piwnicy… - mówiono.

Skąd te uporczywe legendy? Trzeba pamiętać o najnowszej historii, w cieniu której wyrastaliśmy.

Na początku 1945 r. mieszkańcy pospiesznie opuścili Wrocław, wówczas Breslau. Przygotowywano się do zamiany miasta w twierdzę obronną, ostatni przyczółek, który miał zatrzymać armię sowiecką prącą na Berlin. Przymusowa, brutalna ewakuacja ludności cywilnej przeprowadzona przez samych Niemców, nie pozostawiała wiele czasu na zorganizowanie się. A perspektywa długiego, wyczerpującego marszu w styczniową zimę 1945 r. nakazywała ludziom zabranie rzeczy najważniejszych do przeżycia. Mieszkańcy miasta chowali więc, zakopywali cenne przedmioty w nadziei na odzyskanie ich po powrocie.

A co znajdowaliśmy? Skorupy ceramiki, czasem niemiecki aluminiowy pieniążek. Nic nadzwyczajnego, bo marzyły się nam wielkie skarby – złoto, kosztowności, może pistolet?

Niemcy zostawiali oczywiście także i kosztowności, ale wielkie cenności, które nie mieściły się w horyzoncie naszej wyobraźni, miały inny zupełnie charakter. Takim bogactwem mógł być np. gabinet dentystyczny albo jakieś precyzyjne narzędzia, dobrze wyposażony warsztat rzemieślniczy. Pełno tego było we Wrocławiu i na Dolnym Śląsku, oczywiście nie za moich czasów. Wszystko już wcześniej zagospodarowano albo rozkradziono.

W świetnym a niedocenionym filmie „Prawo i pięść" ta właśnie rzeczywistość Ziem Odzyskanych (według wyrażenia propagandy PRL) stała się podstawą fabuły. Próbą stworzenia autentycznego polskiego „westernu". Oto do miasteczka na ziemiach zachodnich przybywa młody człowiek (postać tę gra farbowany na blond Gustaw Holoubek), gdzie zostaje zatrudniony przez lokalne, prowizoryczne władze. Ludzie ci, szermujący szczytnymi hasłami, są jednak

w istocie bandytami, szabrownikami, którzy liczą na suty rabunek poniemieckiej własności. I przeciw nim staje samotny sprawiedliwy, który ostatecznie – jak amerykański szeryf - robi porządek w miasteczku. Akcja, awantura i romans, prawo i występek, strzelanina, pogonie, ucieczki – doskonała recepta na całą serię filmów przygodowych. Podejrzewam jednak, że względy ideologiczne zadecydowały, iż nie zdecydowano się na kontynuowanie tego wątku. Polska straciła wielką okazję do wypromowania mitu o swoim „dzikim zachodzie".

W latach po wojnie były to ziemie niebezpieczne, ale zarazem, jak amerykańskie tereny pogranicza Teksasu czy Arizony, stwarzające wielkie możliwości rozwoju, szanse dla ludzi śmiałych i energicznych. Nie dziwię się więc moim dwudziestoparoletnim wówczas rodzicom, że zdecydowali się na ryzykowną wyprawę w nieznane. W marazmie pod kieleckiej wsi nic ich nie czekało – Wrocław to była szansa, perspektywa na przyszłość. Wyruszyli w nieznane.

Często, gdy myślę o swojej emigracji, to mam wrażenie, że odziedziczyłem po rodzicach ów gen ryzyka i przygody, który im w powojennych latach czterdziestych i mnie później kazał ruszyć w szerszy świat z wiarą, że sobie poradzę, że będzie lepiej, że otworzą się przede mną szersze perspektywy. W ich przypadku była to także emigracja - w tereny obce, nieznane, niepewne, nawet niebezpieczne. Wraz z ludźmi przesiedlonymi ze Wschodu i przymusowo deportowanymi tu Ukraińcami w ramach Akcji Wisła, wrogo nastawionymi do Polaków (z wzajemnością zresztą), na te ziemie podążali przede wszystkim awanturnicy, przestępcy; „szabrownicy" było określeniem najczęściej używanym. Wówczas wcale nie było takie pewne, że te tereny zostaną w Polsce. Wszyscy spodziewali się rewizji granic: Polacy ze Wschodu liczyli na powrót do swoich domów; Niemcy też oczekiwali odzyskania ziem, które im zabrano po 1945 r. Pamiętam przecież jeszcze Niemców mieszkających w sąsiedztwie. Jak przez mgłę; nie wiem, czy byli starzy czy młodsi, ale zapewne zostali z nadzieją, że kiedyś tu będzie ponownie ich ojczyzna, Wrocław znów stanie się Breslau i wszystko będzie po staremu. Podobnie jak Polacy trwali we Lwowie, w Wilnie i wszędzie na terenach dawnej Rzeczypospolitej. Czekali na rychłą odmianę losu.

Dziś, gdy odtwarzam w świadomości tamte odległe lata pamiętam jedynie doprawdy sielskie dzieciństwo na obrzeżach miasta, łąk i lasów, na poły opuszczonych dodatkowych zabudowań wokół dawnego stadionu olimpijskiego – Breslau stanowił zaplecze sportowe do przygotowań niemieckich do olimpiady berlińskiej 1936 r. – gruzy, porzucone dawne budowle na czele z kościołem protestanckim, którego okna, wysoko nad ziemią, zabite na głucho deskami, stanowiły nieustannie łakomy cel ciekawości i chłopięcych eksploracji. Napełniał jednak strachem i nabożną czcią, toteż niewielu śmiałków dostawało się do środka, choć sporo z kolegów chełpiło się (fałszywie), iż doń weszli. Ja się nie odważyłem. Były to wszystko wspaniałe tereny do zabaw, „dzikie pola" dostarczające nieustannej emocji, rozrywki, stanowiły pożywkę dla wyobraźni, inwencji, rozwoju świadomości.

Kościół górował nad niską zabudową dzielnicy, a na szczycie graniastej wieży stał wielki metalowy krzyż. Mieszkańcy nie tylko mojej ulicy wylegli na zewnątrz, aby przyglądać się ze zgrozą jak ekipa specjalistów ściąga ów krzyż jako jeden z pierwszych kroków do przebudowy świątyni na kino. Mimo że napływowa ludność była katolicka, jednak zdjęcie krzyża – nawet z nieczynnego, protestanckiego kościoła – przyjęte źle jako akt bezczeszczenia wiary i religii. Na załączonym zdjęciu, przedwojennym, widać wieżę i ów wysoki krzyż.

Wszystko to stało opuszczone, porzucone, byle jak zabezpieczone albo w ogóle nie. Mimo agresywnej propagandy na temat „ziem odzyskanych", same władze PRL chyba nie bardzo wierzyły, iż teren ten pozostanie faktycznie przy Polsce. Toteż stał „odłogiem", ale właśnie dzięki temu stanowił wspaniały teren zabaw: szkielety jakichś budowli, gruzy, rozległe łąki, niewielkie lasy, zarośla.

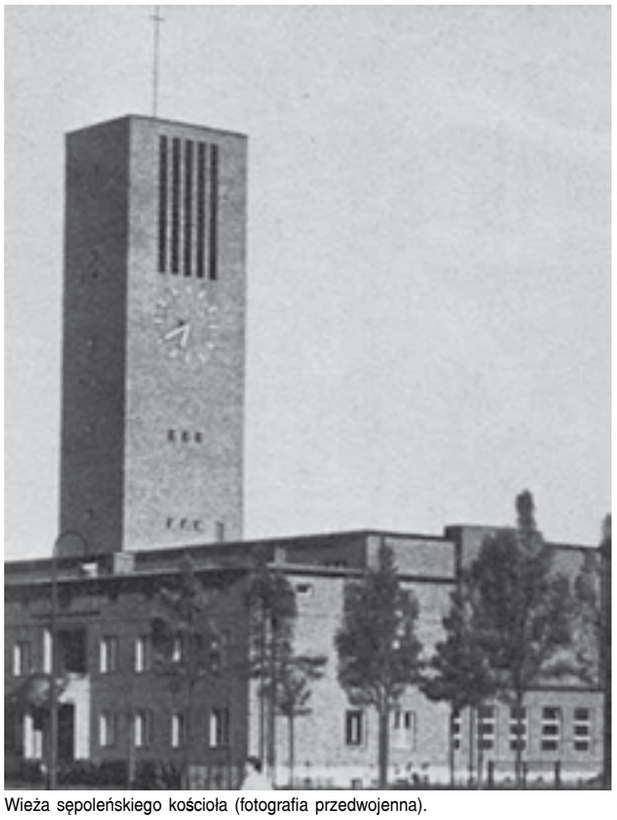

Wieża sępoleńskiego kościoła (fotografia przedwojenna).

Fotografii z tamtych czasów zachowało się mało: aparaty były rzadkością, zdjęcia – drogie; nie istniała tradycja uwieczniania w obiektywie czego się dało. Na niewielkiej fotografii z 1947 r. moi rodzice w centrum Wrocławia ze starszym bratem na ręku, jeszcze niemowlakiem. Miasta na tym wąskim ujęciu nie widać; z tyłu jakiej poniemiecki samochód. Po obskurnej męskiej teczce, którą moja mama trzyma (chyba własność fotografa - wzięła, aby zapewnić mu swobodę ruchu obu rąk) można się domyślać ogólnej biedy życia.

Na innej, którą datuję na 1954-55 rok – ja z lewej strony, z prawej mój starszy brat, Andrzej, pośrodku kolega Zygmunt. Ważne jest tutaj tło: to wspomniane tereny kanału przeciwpowodziowego, w głębi most, za którym przebiegała administracyjna granica miasta.

Moi rodzice w 1947 r. na pl. Kościuszki we Wrocławiu

Pamięć mostu, właściwie dwóch ciężkich, kamiennych budowli – drugi nad kanałem żeglugowym - silnie paraliżował mą wolę. Mieliśmy surowy zakaz wychodzenia poza mosty do rozpościerającej się dalej wsi (dziś dzielnicy miasta). Kojarzył mi się z często słyszaną przez radio piosenką o Karolince, która poszła do Gogolina i na wołanie, aby wrócić odpowiada:

Ja się już nie wrócę
Bom jest na moście.

Zastanawiał mnie i przerażał ten most, z którego już nie ma powrotu. Co to za most, że gdy się nań wejdzie, to już nie można wrócić do domu? W dziecinnej pogmatwanej wyobraźni skojarzyłem ów sępoleński most z tym, z którego nie ma powrotu. Fascynował, ale zarazem budził wielki lęk.

Uprzedzam uważnego czytelnika, na jakiego liczy autor tego tekstu, że nie byłem wcale bystry i inteligentny. Dopiero po dziesięcioleciach mogłem rozplątać, rozdzielić na rozumne włókna coś, co było wtedy jakimś nagłym spięciem różnych skojarzeń tworzących łącznie fizyczny, konkretny wizerunek tego, co jest zakazem i strachem jednocześnie.

Spójrzmy na tło tej fotografii. Pusto, sielsko, jedno z doskonałych miejsc do zabaw, biegania, wyżycia się. Swoboda i beztroska dawnego dzieciństwa pełnego ruchu, przebywania nieustannie na świeżym powietrzu, rozbujałej fantazji.

Dzisiaj nikt sobie nie może wyobrazić dorastania w warunkach takiej wolności, z dala od nadzoru rodziców, krępujących obostrzeń, strachu dorosłych o potomstwo, aby broń Boże jakaś krzywda dzieciom się nie stała. W naszym (moim i kolegów) przypadku guzy, rany, zadrapania, siniaki były na porządku dziennym. Nikt się specjalnie tym nie przejmował. Później zaczęto ograniczać swobodę ruchu dzieci – do podwórkowego trzepaka, zaś dzisiaj – do całkowitego bezruchu przed komputerem albo telewizorem; bezruchu nie tylko mięśni, ale i wyobraźni, martwego klekotu intelektu zamkniętego w czterech ścianach mieszkania.

Czesław Karkowski

ESEJ

Maria Jolanta Fraszewska

Spalanie na stosie nieposkromionego

To smutne, że głupcy są tak pewni siebie, a ludzie mądrzy tak pełni wątpliwości[1].

Mam pewną słabość, do której muszę się publicznie przyznać. Lubię czytać książki naukowe i filozoficzne, szczególnie wtedy, gdy zaczynam odczuwać wewnętrzny niepokój. Czytając uspokajam się, a w zasadzie nie chodzi o poskromienie latających myśli, a o ich uszeregowanie. Wyruszam w podróż skupiając się na potrzebach związanych z zaspokajaniem ciekawości. Wówczas każdy przydrożny kamień staje się żywą historią. A każda przeczytana książka podstawą do stawiania pytań o naturę człowieka.

Niedawno, bo 10 października 2024r, wręczono literacką Nagrodę Nobla. Otrzymała ją południowokoreańska pisarka Han Kang, jak czytamy w laudacji: „za prozę mierzącą się z historycznymi traumami i odsłaniającą kruchość ludzkiego życia". Natomiast w 2016 r, za książkę „Wegetarianka", pisarka otrzymała Nagrodę The Man Booker Prize. Główna bohaterka, Jong-hye, zmienia swoją codzienność, przestaje jeść mięso, powoli zachodzi w niej proces całkowitej metarmorfozy umysłu. Dochodzi do wniosku, że człowieczeństwo okazało się wielkim rozczarowaniem. I uznaje, że jedyną drogą do naprawienia świata jest dekonstrukcja własnego ciała.

„*Do dziś przyglądam się Jong-hye z czułością i zrozumieniem. Jak bardzo musisz rozczarować się ludźmi, własnym człowieczeństwem, żeby marzyć jedynie o tym, by przemienić się w drzewo? Zamiast wyśmiewać ten rodzaj myślenia, doradzałabym refleksję. (…) Wielokrotnie słyszałam od swoich czytelniczek i czytelników – w czasie spotkań autorskich w Korei Południowej, w Europie, w wielu częściach świata – że gdyby to było możliwe, chcieliby podążyć ścieżką, którą wybrała Jong-hye. Wrosnąć w ziemię, odetchnąć. Nie musieć już zadawać – najczęściej nieświadomie – cierpienia innym istotom*".[2]

I dodaje: *Ale nie ma we mnie nic z aktywistki, nie jestem typem przywódczyni. Przeciwnie, jestem pisarką, a moim zawodem są niezmiennie kontemplacja i przelewanie na ekran komputera tego, co pojawi się w mojej głowie*".

Pamiętam, jeszcze ze studiów, zdanie, mówiące o aktywnej roli języka w zdobywaniu wiedzy, a jest to jedna z podstawowych cech filozofii analitycznej. W 1950 roku Literacką Nagrodę Noblowską otrzymał filozof, matematyk, logik, społecznik, aktywista, tak współcześnie byśmy go określili, Bertrand Rassell za szerokie spektrum prac filozoficznych i krytycznych, w których bronił wolności myśli. Jednak on uważał, że głównym powodem przyznania nagrody była książka: „Małżeństwo i moralność" wydana w 1929r, a w której odnosił się do historii małżeństwa i wysnuwał wnioski, że do szczytnej idei trwałych związków człowiek w większości po prostu się nie nadaje.

Pisał: „Życie to nic innego jak rywalizacja o to, by być przestępcą, a nie ofiarą. Strach jest głównym źródłem przesądów i jednym z głównych źródeł okrucieństwa. Pokonanie strachu jest początkiem mądrości. Bać się miłości to bać się życia, a ci, którzy boją się życia, są już w trzech częściach martwi".[3]

Był zaangażowany w ruch antywojenny. Po I wojnie światowej za poglądy pacyfistyczne, osadzono go nawet w więzieniu, co było powodem usunięcia z uczelni Trinity College. Russell, będąc współzałożycielem i prezesem **Kampanii na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego**, nie bał się wyrażać kontrowersyjnych opinii. W 1938 r Rassell wyjechał do Stanów Zjednoczonych, ale jego poglądy na religię i małżeństwo nie spodobały się, uznano go za „Apostoła Diabła" i wydalono z Ameryki.

Opowiadał się za wolnością wypowiedzi, za zwątpieniem w „prawdy" dostarczane nam w jakimś określonym celu. Uważał, że „cała ludzka wiedza jest co najwyżej przypuszczeniem".[4]

''*Żadne z naszych przekonań nie jest do końca prawdziwe; wszystkie mają co najmniej półcień niejasności i błędu. Metody zwiększania stopnia prawdy w naszych wierzeniach są dobrze znane; polegają one na wysłuchaniu wszystkich stron, próbie ustalenia wszystkich istotnych faktów, kontrolowaniu naszych własnych uprzedzeń poprzez dyskusję z ludźmi, którzy mają przeciwne uprzedzenia, i kultywowaniu gotowości do odrzucenia każdej hipotezy, która okazała się niewystarczająca. Metody te są praktykowane w nauce i zbudowały zasób wiedzy naukowej. Każdy człowiek nauki, którego pogląd jest prawdziwie naukowy, jest gotów przyznać, że to, co w danej chwili uchodzi za wiedzę naukową, z pewnością będzie wymagało korekty wraz z postępem odkryć; niemniej jednak jest wystarczająco blisko prawdy, aby służyć najbardziej praktycznym celom, choć nie wszystkim. W nauce, gdzie tylko można znaleźć coś zbliżonego do prawdziwej wiedzy, postawa mężczyzn jest niepewna i pełna wątpliwości*".[5]

*

Gdzie podziały się autorytety

Rozdziały się. Rozdzieliły. Rozwiały, ale nie rozprzestrzeniły. Jednak twardo siedzą na półkach z książkami.

Ufam swojej intuicji. Nieraz przecigałam wzrokiem po półkach z książkami w pokoju i nagle moja dłoń samoistnie przybliżała się do grzbietu książki. Głaszczę go jak psa po karku i wyciągam z szeregu. Karl Jaspers, „Autorytety. Sokrates, Budda, Konfucjusz, Jezus."[6] Wszystkie przedstawione postaci zostały nakreślone przez innych czyli obarczone, nacechowane własnymi etycznymi ideami ludzi pragnących coś lepszego przekazać innym. Idee moralności ludzkiej. Ponieważ ludzie żyjąc na Ziemi głowami sięgają w umysł kosmiczny. A przynależy on człowiekowi. To jego umysł. Sokrates mówi, że jego wewnętrzny głos, daimonion jest głosem wieszczym, głosem ducha. Powstrzymuje on go przed: „*mową lub czynem, gdyby miały przynieść nieszczęście*".[7] Poszukiwanie prawdy stało się jasnym i niejasnym prawidłem jednocześnie. Daje wyzwolenie, ale też rozbudza refleksyjność tajemniczości myślenia. „Sokratejeskie myślenie nie jest więc podstawą „nauk", albowiem stało się to już faktycznie w nauce jońskiej. Od niego jednak nauki otrzymały nieznany dotąd impuls".[8] Sokratesa oskarżono o bezbożność i deprawowanie młodzieży, a zrobiła to demokratyczna społeczność Aten. Dialog wymuszający nowy żywioł samoznania stał się dla niego śmiertelnym.

*

Czy prawda łączy ludzi? Mam wątpliwości… Sądzę wręcz, że nowym cywilizacyjnym „bogiem" jest bezradność. A może istniał on od zawsze? I występował w formie niezgody na niego? Pragniemy być lepsi niż jesteśmy, niż to co spostrzegamy, że stworzyliśmy. Efekt tyrani rozwoju i pędu ku nieokreślonej wielkości … CHAOSU.

Świat prawdopodobny to nasza dzisiejsza rzeczywistość

Są książki, które się lubi już po okładce, są też takie, których okładka zapowiada tzw.: „ciężki temat". A jednak i po nie się sięga. Gdy z bibliotecznej półki książka trafia na półkę domową oczekującą na natchnienie do przeczytania, może minąć kilkanaście dni, a nawet miesiąc i dłużej. Tak było w moim przypadku. Zbierałam siły do podjęcia wspólnej, trudnej drogi, jednej z wielu dróg życiowych, jednego człowieka, rodziny, kilkunastu ludzi. Bo, gdy zaczniesz czytać, to wchodzisz w nieznany świat. Nie wiesz co cię czeka za zamkniętymi drzwiami odkrywanych treści. Jedno co wiesz, to to, że musisz przygotować swój organizm na przetrwanie wraz z bohaterami książki - ich losu, dziejów, wydarzeń, które przerastają przeciętność, w tym przypadku, pełną bólu i cierpienia. Nie zawsze człowiek czytający i automatycznie wchodzący w opisany świat swoją wrażliwością jest gotowy do tej drogi. Nawet pomimo wcześniejszego nastawienia do wejścia w przestrzeń wypełnioną cierpieniem ludzkim. Autorkami książki są dwie kobiety: Anna Kaszubska i Zargan Nasordinova, a nosi ona tytuł: „186 szwów z Czeczeni do Polski, droga matki". [9]

Rozpoczęłam czytanie zamieszczając

1 Bertrand Russell (w) Myślę, więc jestem…, oprac. Czesława i Joachim Glenskowie, op. cit., s. 286.
2 Wywiad dla Gazety Wyborczj w marcu 2021r Michał Nogaś
3 https://aforyzmy-cytaty.pl/autor/bertrand-russell.html
4 Wikipedia.org. Hasło: Bertrand Russell
5 Wikipedia.org. Hasło Bertrand Russell
6 Wydawnictwo KR, Warszawa 2000
7 Karl Jaspers, „Autorytety. Sokrates, Budda, Konfucjusz, Jezus., Wyd.KR, 2000, s. 14
8 Tamże, s. 32
9 Wydawnictwo Edipresse, 2016

informację na fb, ponieważ chciałam podzielić się ważnością tej chwili. Nie mojej, a tej trudnej zawartej w życiu ludzkim. Pragnęłam przemycić w codzienność to, co dla zwykłych „zjadaczy chleba" (och, to określenie jest już nieaktualne, teraz możemy powiedzieć poszukiwaczy zniżek sklepowych, komercjuszy, masy codziennej komercji). I nic w tym złego, jednak gdy słyszę słowa modlitwy: „chleba powszedniego, daj nam Panie", zastanawiam się, czy ludzie wypowiadający te słowa rozumieją ich treść i sens?

Czy to w Naishapur czy Babylon
Niezależnie od tego, czy puchar ze
słodkim czy gorzkim biegiem,
Wino życia wciąż wlewa kroplę po kropli;
Liście życia wciąż spadają jeden po jednym.[10]

Czytam i przeżywam każde zdanie, 186 szwów, z Czeczeni do Polski, na burzowy czas, na dzisiejszy czas, przesłanie, proroctwo przyszłości, „gdyby można było wytchnąć w tej podróży"... Właśnie, człowiek dąży do spokoju, szczęścia, które jest zwyczajnością, „jest dziesięć lat starsza ode mnie, ale Jej dusza przeżyła już kilka żyć. (...) Całe życie biegnę, chociaż czasem to raczej przypomina czołganie". Wzruszająca opowieść, historia życia opowiedziana w konkretnym celu, bo przecież każdy z nas może stać się... uchodźcą. Tysiącom dzieci wojna odebrała dzieciństwo, jednak choć nie tylko ja uważam, że wojnę prowokują ludzie i to oni są odpowiedzialni za ofiary ludzkie, to samo myślenie niewiele daje. Aby żyć dalej musimy zaakceptować i tę prawdę o człowieku. Zaakceptować ... czyli co? Poddać się bezradności?

Książka opatrzona jest cytatami poety, astrologia i filozofa perskiego Omara Khayyam. Jego literackim dziedzictwem jest dzieło zawierające wiersze – poezje, myśli, refleksje, zbudowane z czterowiersza: „Rubaiyat". W roku 2015 sandomierskie wydawnictwo Armoryka wydało „Rubaiyat" w tłumaczeniu Andrzeja Gawrońskiego, Andrzeja Sarwy i Antoniego Lange.

„Ej, gdyby też można było
wytchnąć w tej podróży,
Albo miała cel ta droga, która tak się dłuży...
Gdyby można mieć nadzieję,
że po wiekach wieków
Zakiełkujem z łona ziemii, niby listek róży..."

Powyższymi słowami otwiera się książka na wspólną drogę życiową opowiedzianą przez matkę Czeczenkę, wspólną, bo przecież z reguły wszystkie matki na całym świecie przeżywają tożsame uczucia. Anna Kaszubska rozmawia, prowadzi rozmowę przez trudne drogi życia ścieżką szczerości Zardan Nasordinovej.

Po przeczytaniu czterowiersza pozostałam przez chwilę w oczarowaniu wynikającym z treści jego słów. Głęboka studnia prawdy życiowej i tak oczywistej dla każdego człowieka, że nie można przejść bez zastanowienia się nad sensem krótkiego zdania. Bo przecież nasza droga to bieg i chwile wytchnienia na przemian. I nadzieja, że to co robimy teraz ma sens i pozostanie wartością w przyszłości jako nasionko, z którego wyrośnie „listek róży".

Czym się różnimy między sobą jako „matki"? Odpowiedź na pytanie pada natychmiast.

„- Zargan... kim jesteś?

- Czeczenką i matką – odpowiada pewnie. - A ty, Anja? - odbija śpiewnie moje pytanie.

- Matką. To wszystko. - Smutnieję jakoś.

- Ty maładziec i moja siestra. Nie zapominaj o tem!

- Tak. Jestem twoją siostrą. Bardzo cię kocham. - Przytulam się do Jej ciepła.

- Ja cjebja bardziej! - Droczy się jak zwykle, a uśmiech uwydatnia Jej piękne kości policzkowe.

- O czym marzysz?

Wzrusza ramionami, a po chwili milczenia mówi z ujmującą prostotą:

- Żeby syn znalazł pracę i córka była zdrowa. Poza tym wszystko mamy – dom, jedzjenje. Nie będę gniewać się na Boga i marzyć za wiele."

*

Ponownie zatrzymałam się podczas czytania, a to dopiero czwarta strona książki. Mam wrażenie, że wszystko co najistotniejsze zostało w tych pierwszych słowach zawarte. Cała wiedza o świecie i życiu ludzkim, o dramatycznym przebiegu życia z opisem skutków zespołu stresu pourazowego.

„Jest dziesięć lat starsza ode mnie, ale Jej dusza przeżyła już kilka żyć." Czemu mój mózg coś takiego mi robi, zadaje pytanie Zargan, bo ona nie ma możliwości podjęcia jakiś działań związanych z oczekiwaniami innych, a inni nie rozumieją dlaczego.

PTSD, jak twierdzą naukowcy, daje objawy, które po czasie mogą ustąpić. Tak twierdzą naukowcy, jednak człowiek wie, że w człowieku nic nie ginie, bo to podatna gleba i ziarno raz posiane może zakiełkować w każdym momencie przy skojarzeniu z „tamtym" przeżyciem czy podobnym wydarzeniem. Pamięć w człowieku nie znika, czasem zachodzi mgłą, kamufluje się, ale nie znika, bo jakże zniknąć w ciemności może cień, który wlecze się za człowiekiem? Potem przychodzi dzień i cień ujawnia swe kolejne oblicze. A więc dzień nie jest wybawieniem z nocy. Czasem sen przynosi ulgę, czasem ten sen można przedłużyć na trwający dzień. Złożyć życie na nowo posługując się interpretacją, inną niż ta dostępna na ogół.

„Zespół stresu pourazowego może mieć też trwałe konsekwencje biologiczne (Crowell, 2002; Sapolsky, 2010). Mózg może ulegać zmianom fizycznym, gdy stres jest niezwykle silny lub długotrwały. W szczególności hormonalny system regulacyjny w mózgu może stać się nadmiernie drażliwy, co sprawia, że ofiara stresu pourazowego reaguje zbyt silnie na słabe stresory lub nawet na nieszkodliwe, lecz zaskakujące bodźce."[11]

10 https://emakbakea.wordpress.com/wp-content/uploads/2018/11/rubaiyat-fitzgerald.pdf

11. Ph.Zimbardo, R.Johnson, V.McCann, Psychologia. Kluczowe koncepcje, t.5, Człowiek i jego środowisko, Wydawnictwo Naukowe PWN W-wa 2010, s. 138

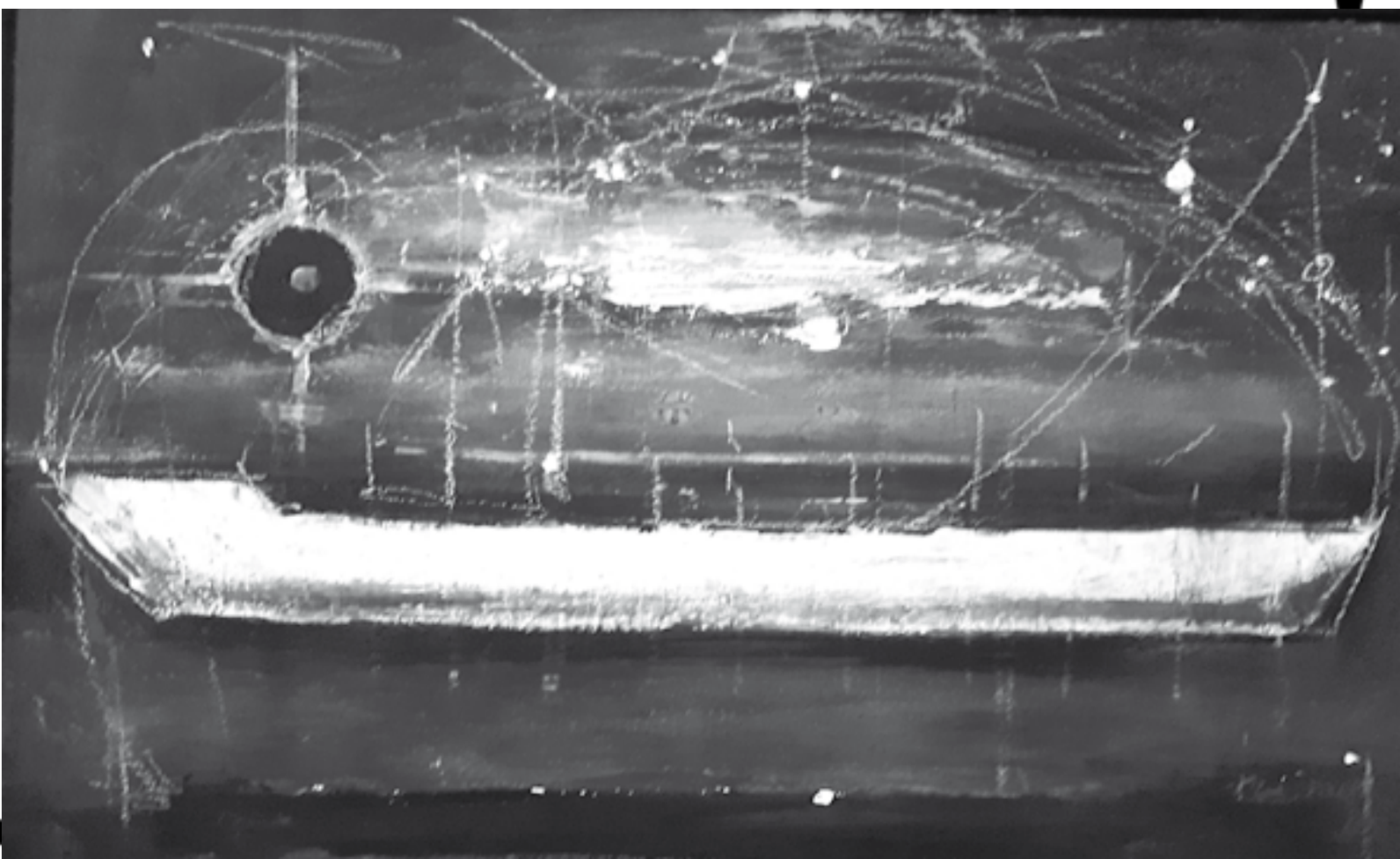

*

Droga życiowa kobiet, która przebiega krętymi dróżkami wśród skalistych bezdroży i pełnej okrucieństw, bólu i niezawinionych, a dosięgających je właśnie, życiowych pokaleczeń związana jest z osobowością człowieka w postaci męskiej. Z reguły i z doświadczeń. Przemoc doznawana i zadawana kobietom jest przemocą męską. Nie oskarżam, nie mówię o wszystkich mężczyznach i kobietach. Jednak wojny wywołują mężczyźni, mężczyźni w niej walczą, a kobiety leczą ich rany i ... zawsze, ale to zawsze z reguły: usprawiedliwiają.

*

Kobiety wyjaśniają powody, dla których mężczyźni je krzywdzą. Tak paranoja wszech czasów, wynikająca, moim zdaniem, z tradycyjnego pojmowania podziału ról społecznych kobiety i mężczyzny, obezwładniła umysły ludzkie. Tradycyjnego i odwiecznego. Krępującego na wieczność umysł kobiety węzłami rodzinnymi i odpowiedzialnością za dzieci.

*

Kobieta rodzi człowieka, kobietę i mężczyznę. Zanim to się stanie, oni zawsze są po prostu dziećmi. Jej dzieci, dzieci kobiety, dzieci, które należy ochronić, nakarmić, ubrać, otoczyć troską, miłością i bezpieczeństwem dla rozwoju przyszłego człowieka. Bo choć mówimy o prawdłowym rozwoju człowieka, to wiemy, że tworzy nas układ nerwowy. Do prawidłowego rozwoju człowieka konieczne są stałe czynniki. A nie jest to bicie kobiety przez męża, karanie, poniżanie i wojny, nie jest nim stały stan zagrożenia życia, niedojadanie i brak jedzenia trwający tygodniami, latające bomby nad głową, ogłuszające wybuchy i krwawiące rany w wyniku doznań jakie sprawiają cieleśnie i psychicznie. Psychiki nie da się uleczyć na stałe. Stałość istnieje tylko na kartce, w zapisie, że tak jest, w projekcie i założeniu. W idei. Brakuje dopisku: jak to założenie zrealizować w przeciągu całego życia?

W przeciągu żyjemy, w przeciągu wydarzeń, które nieuleczalnie okaleczają i niszczą człowieka.

Kobieta najczęściej budzi się z koszmaru cierpienia fizycznego, psychicznego i ekonomicznego, gdy dzieje się zauważalna krzywda jej dzieciom. Bardzo często jest już za późno na powrót do normalności i zwyczajności, w ogólnym pojęciu tegoż znaczenia.

*

Są takie książki, po które wewnętrzna ludzka uczciwość nie pozwala nie sięgnąć. To, książki, które treściami wyjawiają prawdę o ludziach i o ich masowych działaniach. O świecie czyli o całości działań ludzkich mających wpływ na życie społeczne. Niestety, w przeważającym stopniu – negatywne. Kim jest człowiek? Czy ja też jestem taka? Czyli jaka? W jakiej mierze udokumentowane negatywne, bestialskie i pełne okrucieństwa zachowania ludzkie. Książki, które ujawniają bezradność jednostki w obliczu masowego zdziczenia. Bestialstwo, zdziczenie, okropieństwo, słowa dające zaledwie wyobrażenie tego, co przeżywał człowiek postawiony w nieludzkiej sytuacji. Bo człowiek to brzmi dumnie, ubieramy się chętnie w sukienkę słów ideowych. Zasłaniają one równie prawdziwe, jednak ukryte oblicze człowieka. „Wilcze dzieci" Wioletta Sawicka, Wydawnictwo Pruszyński i s-ka, 2022. To kolejna ksiażka, która mną wstrząsnęła. Dzieci wałęsające się, dzieci, którym nikt nie chce pomóc, ponieważ poczęły się z gwałtu … wojny, gwałtów dokonanych przez „wyzwolicieli" żołnierzy armii Staliana na kobietach Prus Wschodnich. I przez Niemców, którzy robili to samo na froncie wschodnim. Jakie historie życia i woli przeżycia towarzyszyły im w ich osobistej drodze? Książek ujawniających prawdziwe wydarzenia wojenne pojawia się coraz więcej za sprawą uczciwej dociekliwości. Tomasz Grzywaczewski: „Wymazana granica. Śladami II Rzeczypospalitej[12], pisarz, reporter ukazuje w historii ludzkiej chaosu wysiedlenia decyzji „państwowych", koszmar życia Kaszubów, Wielkopolan, Ślązaków, Hucułów, Łemków, Kresowian Wschodnich, Żydów, Mazurów, Pomorzan. „Na Kaszubach nikt nie odgadł swojego losu. Najpierw niemiecka, a potem sowiecka nawałnica skutecznie pogrzebała pogranicze rozterki jej mieszkanców".[13]

Dlaczego nie czytam horrorów?

Rzeczywistość przekracza wizje fantazji literackich. Nie jest mi potrzebny dodatkowy świat wywołujący we mnie strach. Wystarczająco się już boję.

„Niedopowiedziane biografie. Polskie dzieci urodzone z powodu wojny". Jakub Gałęziowski, Wydawnictwo Krytyki Politycznej 2022:

„Rzeczywistość jest taka, że dzieci urodzone w wyniku gwałtu są postrzegane w lokalnych społecznościach jako „żywe przypomnienie" przemocy, której nie udało się zapobiec. Dla młodych ludzi, którzy potem próbują znaleźć swoje miejsce w tych wspólnotach i zrozumieć otaczające ich dziedzictwo bólu, ciężar niesiony od najmłodszych lat jest nie do zniesienia. [...] Nie chcę być obciążany grzechami tych, którzy sprowadzili mnie na świat. Rozumiejąc brzemię stygmatyzacji ofiar gwałtów, apeluję o uznanie go i podjęcie działań zmierzających do zmniejszenia tego ciężaru. Tylko wtedy odnajdziemy spokój i pociechę, których tak bardzo pragniemy."

Powyższe słowa wypowiedział Alen Muhić, mężczyzna poczęty w wojennym gwałcie. Przemawiał 19 czerwca 2018 roku podczas obchodów Trzeciego Miedzynarodowego Dnia Eliminacji Przemocy Seksualnej w Konfliktach Zbrojnych w siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku. Dziesięć lat wcześniej jednogłośnie uchwalono rezolucję nr 1820. Potępiono w niej użycie przemocy seksualnej jako narzędzia wojny, gwałt wraz z innymi formami przemocy seksualnej uznano za zbrodnie wojenne, zbrodnie przeciwko ludzkości lub akt konstytutywny w odniesieniu do ludobójstwa.

Alen Muhić rozpoczął przemowę od słów: „Stoję dzisiaj w tym miejscu szczęśliwy, że mogę swobodnie i z dumą mówić o sobie i moich najbliższych bez wstydu i zażenowania.".

Jaką drogę życiową musiał pokonać, aby stanąć przed audytorium całego świata i wypowiedzieć powyższe słowa?

Jego matka została zgwałcona na terenie byłej Jugosławi i po porodzie porzuciła go. Wychowali go rodzice adopcyjni, a o swoim pochodzeniu dowiedział się od dzieci bawiących się wspólnie na pódwórku, dzieci przezywały go: „ bastardem czetnika".

Przecież wszystkim nam wiadomo, że dzieci dowiadują się o różnych sprawach od swoich rodziców. Nie rozumiejąc o czym mówią, a wyczuwając jakąś inność, stają się nieświadomym nośnikiem uprzedzeń i kontynuatorem przemocy.

Niewiele jest kobiet, które po porodzie „dają się uwieść niewinności dziecka" i ucząc się miłości do dziecka kochają je wychowując w miłości. Bośnia i Hercegowina, Rwanda, Afryka, Syria, obecnie Ukraina, Strefa Gazy, i druga wojna światowa, Polska. Niezależnie od układow politycznych

12 Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2020
13 Tamże s. 14

i podstaw gwałtów, kobiety przechodzą przez jednaką gehennę. Każda z osobna. Dorosłe dzieci dowiedziawszy się o poczęciu z gwałtu, mają pretensje do matek, że tyle lat milczały, jednak z drugiej strony czują ulgę, że wcześniejsze lata upłynęły im w niewiedzy.

*

Historia najnowsza ta, która wydarza się na bieżąco pod naszym nosem, donośle, lecz prawie po cichu, pokątnie, jakby z boku wielkich wydarzeń. Słupsk i Klubokawiarnia „Cepelin", która choć powstała niedawno, bo w okresie „covidowym", to jej działania nie pozostają niezauważone. 26 października 2024 r odbyło się spotkanie z dr. Violą Rebecką, psychoterapeutką i badaczką, mieszkającą w Nowym Jorku, autorką książki: „Gwałt: historia wstydu. Pamiętnik Ocalałych"[14]. Współorganizatorem była Słupska Rada Kobiet. Książką tą dr Viola Rebecka oddała hołd kobietom, które walczą o swoje nowe życie. Autorka wysłuchała 347 relacji ocalałych z gwałtu wojennego. Kobiety pochodziły z różnych regionów objętych konfliktami wojennymi. Po 25 latach badań Rebecka wprowadziła nowy termin: „zespół ocalałej z gwałtu wojennego" („war rape survivors syndrome").

Wciąż w ponury sposób zadziwia sam fakt, że gwałt w ogóle istnieje.

*

Jaką naturę posiada człowiek? Czy jest to natura typowo zwierzęca? Na co „ta cała kultura", skoro barbarzyńcy nie czytają książek, a nawet palą je na stosie? A nie czytają, bo być może są anafabetami. Nie widzą sensu w kształceniu siebie, zapewne to zbyt trudne, jednak może również są ofiarami i ich mózgi zawierają geny przekazane przez rodziców wzmocnione przez środowisko ich życia? Usprawiedliwiam jako kobieta? Nie. Mówię o faktach, które dają podstawę do zrozumienia, iż człowiek nie zmieni na siłę „złego" w „dobrego", jeśli ten „zły" działa w obrębie grupy, która go stworzyła i kontroluje popierając „zło". W dzikim tłumie działa teoria chaosu. Wyłania się władza poprzez zastraszanie przemocą. Człowiek najzwyczajniej na świecie pragnie przeżyć i zrobi wiele, ale przetrwać. Czasami nie wie jak, najczęściej nie wie jak tego dokonać. Wówczas chowa się w sobie.

*

Czy nasze życie społeczne przebiega w miłości, szczęśliwości albo braku większych problemów? W poczuciu bezpieczeństwa, ładu i porządku, spokoju? A jeśli komuś wydaje się, że jedyną właściwą odpowiedzią jest: tak, to zastanawiam się kto sprawił, iż otaczający tę osobę świat zdaje się być bezpieczny i słodki, czarowny. Być może jest nim dziecko, które rodzice otaczają troską, która również stanowi ową bezpieczną, ułudną bańkę. Być może można w niej żyć długo niedopuszczając informacji płynących z mediów, być może dziecko nagle zostanie przebudzone z chroniącej je naiwności, w momencie gdy zacznie zadawać pytania. Zazwyczaj na zakończenie bajki słyszy ono słowa: i żyli długo i szczęśliwie. A dalej? Co było dalej? Zadawałam tego rodzaju pytania, bo tak naprawdę trudno było mi zasnąć po wspólnej podróży życiowej z jej bohaterami, a koniec, który miał doprowadzić do uspokojenia, we mnie budził kolejne zagadki do rozwiązania. Miałam niestety zbyt niewielkie doświadczenie życiowe, aby prorokować co do przebiegu dróg w przyszłości. Wtedy wzorować się mogłam jedynie na bliskich, na mojej rodzinie. A czy też będą mieli dzieci? A czy dziecko będzie musiało wstawać tak wcześnie rano i iść do przedszkola? Czy w pałacu też są piece i trzeba dokładać do nich węgiel? A dlaczego królewna ubrana była w futra, a ja mam krótki płaszczyk i marzną mi kolana? Czy ta pani z restauracji, która ma futro, kiedyś była królewną?

Już jako dziecko chcąc zrozumieć życie i jego problemy szukamy porównań. Podejmujemy próby przymierzania się do ról społecznych, wchodzenia w nie i przeżywanie tej postaci. W ten sposób uczymy się nazywania emocji i empatii.

*

Istnieją agencje, które zajmują się poszukiwaniem w kosmosie i w głębinach morskich takich organizmów, od największych mikroorganizmów, które mogłyby przetrwać w razie zagłady cywilizacji. Szukając porozumienia, po to, tak na wszelki wypadek, gdyby ludzie wyginęli, to ten organizm mógły przypomnieć o naszym życiu. Okazuje się, że humbaki mogą tę rolę spełniać, ponieważ są to ssaki bardzo inteligentne i szukające porozumienia z innymi, równocześnie przy bardzo przyjaznym nastawieniu do człowieka.

Niezwykle smutnym staje się fakt, że nie ludzie są wobec siebie nastawieni przyjaźnie.

Patriotyzm

„Dwa robaki – syn i ojciec – żyły sobie w gównie.

- Ależ mamy cudowne życie. Mnóstwo żarcia i picia i żadnych wrogów z zewnątrz. Nie mamy czym się przejmować – powiedział ojciec do syna.

A na to syn:

- Tato, a ja mam kolegę, który mieszka w jabłku. I też ma mnóstwo jedzenia i picia, i żadnych wrogów z zewnątrz. A na dodatek ładnie pachnie. Czy my też moglibyśmy zamieszkać w jabłku?

- Nie, nie możemy – odparł ojciec.

- Dlaczego? - zapytał syn.

- Bo to gówno, mój synu, to nasz kraj."[15]

Żyliśmy i żyjemy we wspólnotach. Ustanawiamy normy i zasady gospodarczo-polityczne, których podstawowym zadaniem jest ochrona, ład i poczucie bezpieczeństwa mieszkających w obrębie danego terytorium społeczeństwa. I wpadamy w pułapkę dookreślenia. „Polityka dąży do okiełzania przemocy przez porozumienie wzajemne, przez umowę, wspólne kształtowanie woli na drodze legalnej. Wymaga to odpowiednich mężów stanu. Takich, którzy nie chcą być dyktatorami, bo nie mają ochoty panować nad duszami niewolników."[16] Jaspers twierdzi również, że: „w samej wolności tkwi podstawa jej rozkładu człowiek, (…), żeby stać się autentycznym człowiekiem, powinien stać się wolny, a tego nie może dokonać jako realny człowiek żyjący pośród jakiegoś narodu. (…) To zawsze tylko ludzie, a nie Bóg czy prawda sama, nakazują uznanie swego autorytetu w imię Boga lub absolutnej prawdy. To ludzie stosują przemoc w służbie autorytetu. Taki autorytet nie zasługuje na wiarę. Jakąkolwiek przybierze postać, dyskredytują go jego haniebne, nikczemne, złe czyny".[17]

Tak… zaglądam do mediów, co dziś złowieszczą? Informacja z dnia 16.10.2024 pochodząca z portalu Wirtualnej Polski:

„Czwartek to 967 dzień wojny w Ukrainie.

Obecna teoria zwycięstwa Putina w Ukrainie zakłada przedłużanie wojny w nieskończoność. Dyktator oczekuje również tego, że siły rosyjskie mogą przetrwać wsparcie Zachodu dla Ukrainy i załamać ukraiński opór, wygrywając wojnę na wyniszczenie" - ocenia w swoim najnowszym raporcie amerykański Instytut Badań nad Wojną. „Rosja prawdopodobnie stanie jednak w obliczu poważnych średnio- i długoterminowych ograniczeń, które podważą ten strategiczny wysiłek" - wskazuje think tank z Waszyngtonu".

A dzień później czytam poniższą informację:

„Żołnierze Kim Dzong Una mają wspomóc Rosję w wojnie z Ukrainą. - Wydaje się, że Korea Północna nie lubi tracić okazji do wziąć udział w wojnie i zdobycia doświadczenia - ocenia w rozmowie z „The New York Times" Yang Uk, ekspert wojskowy w Instytucie Studiów Politycznych Asan w Seulu."

*

Miesiąc wręczania nagród noblowskich za dokonania w naukach jeszcze się nie skończył. W dziedzinie ekonomii zostało wyróżnionych trzech naukowców z Uniwersytety Chicagowskiego, którzy wskazali na czynniki instytucji w rozumieniu socjologicznym, które wpływają na losy narodów. Instytucje definiujemy jako normy organizujące życie społeczne. Są nimi reguły życia społecznego, kulturalnego, politycznego i gospodarczego. A te reguły – z reguły stanowią ograniczenia wolności co do ludzkich wyborów, ponieważ określają co wolno, a czego nie wolno. Konstytucje, ustawy, prawa własności, prawa handlowe i gospodarcze z góry zakreślają przestrzeń działania.

„Jeżeli państwo jest zbyt silne, to stłamsi ludzi i będziemy mieli autorytaryzm. Jeżeli społeczeństwo będzie silniejsze niż państwo, to państwo nie przetrwa, bo nie zgromadzi np. podatków, żeby sfinansować armię."[18]

Dzieje się na oczach wszystkich czyli niczyich

Teoria typu „nie widzieć i robić nadal swoje" jest stara jak świat. Nie jest istotne kiedy świat powstał i w jaki sposób. Ważnym jest, że od samego początku istnieje „przemoc kolektywna". Od samego początku czyli spisanych mitów ukazanych w mitologiach i religiach. „Czyszczenie" mitologii polegało na przekształcaniu narracji mitologicznej. Tak zrobił również Platon zacierając akty przemocy i zbrodnie popełniane przez bogów. Jeśli zbrodnie nazwiemy „rytuałem", to wprowadzimy ten sam zamiar, jednak inna interpretacja nada mu szczególny wymiar. Idealizować zło stało się czynem powszechnym już w czasach starożytnych. Francuski antropolog filozoficzny Rene Girard prowadził badania nad tekstami mitologicznymi odczytując z nowego punktu widzenia teksty mitologiczne. Widział on w „mordach założycielskich" fundamenty cywilizacji.

„Poetyckie i estetyczne zabiegi sprowadzają się do upiększania i ukrywania na tysiące sposobów stereotypów prze-

14 V. Rebecka, „Gwałt: historia wstydu. Pamiętnik Ocalałych", 2021, Wydawnictwo: Polskie Towarzystwo Psychotraumatologii, wydanie polskie: 2024

15 Marina Abramović z Jamesem Kaplanem, Pokonać mur. Wspomnienia. Dom Wydawniczy Rebis, 2018, s. 320 z cyklu „słowiańskie poczucie humoru" Mariny Abramović.
16 Karl Jaspers, Filozofia egzystencji, PIW 1990, s. 440/41
17 Tamże, s. 444-45

18 Rozmowa Rzeczypospolitej z dr hab. Michalem Brzezińskim – Wydz.Nauk Ekonomicznych UW z dn.14.10.2024

śladowczych; innymi słowy, do upiększania i ukrywania wszystkiego, co mogłoby ujawnić pierwotny, oryginalny mechanizm generujący teksty: mechanizm kozła ofiarnego. (…) Platon opowiada się nie tylko za przypisywaniu bogom wszystkich stereotypowych zbrodni, lecz także przeciw poetyckim zabiegom wobec tych zbrodni, zabiegom dzięki którym widzimy w nich drobne przewinienia, zwykłe eskapady, niegroźne wybryki młodości".[19] Ach, że Zeus gwałci Ledę? To przecież nie jest żadna Sodoma… zamienił się w łabędzia… taki ładny, taki niewinny.

Nasza współczesna codzienność domaga się dodatkowych przykładów? Czy trzeba podsuwać pod sam nos opinie typu: „doszło do gwałtu, bo sama się o to prosiła". „Siedzi w domu, nic nie robi, tylko wychowuje dzieci i jeszcze rząda za to wynagrodzenia?"

Z jakiego powodu dzieci i młodzież „się tną"? Dlaczego cierpią na anoreksję czy bulimię? Dlaczego się odurzają? Dlaczego wybierają powolne zabijanie siebie zabijając rodziców? I nie jest ważne kto pierwszy umrze? Dlaczego nie potrafię na powrót stać się drzewem?

Nasza świadmość jest zmienna

Jak wychować dziecko, aby stało się okrutne dla siebie w podobny sposób jak to czyniła matka? Bić, poniżać, torturować i torturę oprawić w ramki rodzinnej miłości. Sprawić, że torturę traktujemy jak miłość życia. Staje się życiem z siłą emocji kreatywno twórczych. Tak się stało w przypadku serbskiej, pojugosłowiańskiej, artystki intermedialnej, Mariny Abramović.[20] Wydobyć potencjał, który w innych okolicznościach nie miałby szans wyjścia na zewnątrz. Dobrze czy źle? Istotne, że życie powstało jak performans. Performans jako prawda życia. Powstało życie w pokazie performensu. Bo performens to sztuka niematerialna.

Marina przyszła na świat w 1946r. Jej matka, intelektualistka, komunizm odkryła studiując Marksa i Engelsa w Szwajcarii. Była wojowniczką, partyzantką, po wojnie kierowała Muzeum Sztuki i Rewolucji w Belgradzie. Uwielbiała balet, operę i koncerty muzyki klasycznej. Ojciec pochodził z biednej, ale wojowniczej rodziny. Czas spędzał ze starą partyzancką bracią na popijawach. Wierzył w komunizm, po wojnie pozostał w gwardii Tito i wykładał walki partyzanckie na uczelni.

„Małżeństwo rodziców przypominało wojnę – nigdy nie widziałam, by się przytulali, całowali czy obdarzali czułościami. Może to był nawyk z dawnych partyzanckich czasów, ale oboje spali z naładowaną bronią na nocnych stolikach. Pamiętam, jak kiedyś, podczas jednej z rzadkich przerw pomiędzy cichymi dniami, ojciec wpadł do domu na obiad, a matka spytała: „Chcesz zupę?". Usłyszawszy odpowiedź twierdzącą zaszła go od tyłu i wylała mu gorącą zawartość talerza na głowę. Ojciec wrzasnął, odepchnął stół, rozbił wszystkie naczynia w pomieszczeniu i wyszedł. Między nimi zawsze czuć było napięcie. Nigdy ze sobą nie rozmawiali".[21]

„Jedną z rzeczy, których zawsze się najbardziej bałam, była krew – moja własna. We wczesnym dzieciństwie, gdy matka z ciotką mnie biły, chodziłam cała posiniaczona i wciąż krwawiłam z nosa. Później, gdy wypadł mi pierwszy mleczny ząb, krwawienie nie ustało przez trzy miesiące. Musiałam spać na siedząco, żeby się nie zachłysnąć. (…) Rodzice oddali mnie do szpitala. Spędziłam tam prawie rok. Miałam wtedy sześć lat i przeżyłam najszczęśliwsze chwile dzieciństwa. (…) wypisano mnie do domu, gdzie znowu zaczęło się bicie. Oczekiwano, że będę znosiła karę bez słowa skargi. Sądzę, że matka na swój sposób tresowała mnie tak, żebym byłą żołnierka jak ona."[22]

„Dekonstrukcja własnego ciała" – Han Kang, hmmm. I Marina Abramowić, artystka działająca na swoim ciele, performerka badająca wytrzymałość i wolę przetrwania, która otrzymała w 1997r Złote Lwy Bienale Sztuki w Wenecji za performans „Bałkański barok".

Czy dziwi, że Marina została artystką wytrzymałą na ból, która podczas performansu wycięła sobie na brzuchu gwiazdę czerwonoarmisty? Że przez całe życie szukała zaspokojenia w miłości, naiwnej, szczerej, wyzwalającej, odkrytej cieleśnie? I niemożliwej do spełnienia, bo nie było to możliwe z samego przebiegu procesu wychowawczego, okrucieństwa, którego doznała. Książkę koniecznie trzeba przeczytać, ukazującą jak pokonać mur, obrazującą pracę nad sobą, pokonywanie bólu i cierpienia i na tej bazie budowanie siebie i sztukę. Jedna z najsłynniejszych na świecie, ta, która przekraczała granice. W performansie zatytułowanym: „Artystka obecna" w nowojorskim Muzeum Sztuki Współczesnej spędziła ponad 700 godzin w bezruchu, na jego podstawie nakręcono film dokumentalny. Zrealizowała wiele przedstawień autobiograficznych. Bob Wilson wyreżyserował spektakl „Życie i śmierć Mariny Abramović", ukazując tragedię w wersji komicznej, ponieważ uważał, że tylko w ten sposób można dotrzeć do serc publiczności. Zaproponował też, aby zaśpiewała piosenkę. Anothi miała ją napisać, jednak najpierw poprosiła o radę Lou Reeda, który odpowiedział, „że odczuwa ból widząc, jak cierpię w trakcie performansów, i że wobec tego powinna mnie zapytać, dlaczego się tnę."[23]

„Potnij świat":

Już od dawna żyję posłusznie
w świecie kobiecości
I walczę z waszym pragnieniem,
by ranić mnie bez litości
Ale jeśli się zmienię i potnę ten świat?
Kiedy się zmienię i potnę ten świat?"

W 2022 roku Abramović postanowiła powtórzyć emocjonalny performens „Artystka Obecna", aby wesprzeć ofiary wojny na Ukrainie.

*

Czy nasz świat, nasze życie i śmierć, egzystencja, zamieniła się w performans? Coraz częściej odnoszę wrażenie, że oglądamy nasz ludzki organizm umysłowy, potencjał jako produkt wydalniczy. Wydaliśmy na świat siebie. I wciąż rodzimy. Kogo?

Okazuje się, przecież nie od dziś, że tym czymś nad czym mamy władzę, jest nasze ciało. To właśnie nasze ciało jest naszym światem. Kontrolujemy ciało, jednak czy realnie posiadamy nad nim władzę? Czy władza i kontrola są pojęciami tożsamymi?

Ciało, organiczność, część ciała, mózg. I jego produkt czyli umysł. Czy ludzka świadomość wykracza poza jego przestrzeń? A może jego przestrzeń wykracza poza umysł? A może umysł jest przestrzenią kosmiczną? A może wiele zależy od tego w jaki sposób go potraktuję? Czy dowodem na rozwój umysłu jest jedynie fakt porównawczy: tym kim był człowiek - istota, w postaci hominida, neanderdalczyka, małpy… kiedy się spotkali?

Dlaczego ustalamy normy, a potem je tniemy?

Moja głowa leży przede mną niespokojnie.

Maria Jolanta Fraszewska

19 Rene Gitard, Kozioł ofiary, Wydawnictwo Łódzkie, 1982, s. 119
20 Marina Abramović z Jamesem Kaplanem, Pokonać mur. Wspomnienia. Dom Wydawniczy Rebis, 2018
21 Tamże, s. 17-18
22 Tamże s.19-20
23 Tamże s. 391

Dorota Czerwińska

Odloty

Gdy dojrzała kobieta ma włosy zielone,
gubi zmarszczki uśmiechu wśród pożółkłych liści
jeszcze jest pełnia lata, wakacji nie koniec.

Nad przepaścią, przez kładkę przeprowadzasz żonę
- to właśnie ta przygoda, która wam się wyśni,
kiedy pomimo obaw są myśli zielone.

Włącza się gdzieś w podróży tęsknota za domem.
Gdzie synowie? Są jeszcze? Nie pytając, wyszli?
Przecież jest pełnia lata, wakacji nie koniec.

To, co złe odjechało z pierwszym peletonem,
dobre zaś cichym echem, naprowadza myśli,
gdzie wszystko, co dojrzało jest jeszcze zielone.

Wciąż panując nad życiem chcesz oddać koronę?
Mało blasku, splendoru? To polotem błyśnij!
Jeszcze jest pełnia lata, a nie żaden koniec.

Mówisz, że trudna droga? To bierz ją slalomem,
zdobądź na czubek tortu najpiękniejszą z wiśni.
Kiedy dojrzały człowiek ma myśli zielone
rozkwita pełnią życia, nie nadchodzi koniec.

Feniks

gotowano psy koty gołębie

babcia zapamiętała człowieka w niemieckim mundurze
jak wciskał dziecku tabliczkę czekolady

w gruzach tonęli ludzie garnki grzebienie listy fotografie

matka rozpłakała się nad nadpaloną ręką lalki
a w schronie rozsypała pomidory
które ktoś zebrał do koszyka i zostawił

absurd

spróbuję
czytać z pożółkłych kartek i dotknąć istnienia
życia
w cieniu zagłady

przebłyski

posiały mi się słowa
zamilkły pośród liści
pożółkły rozjaśniając

jak brzmi sen bez wyrazu
kiedy w głuchym milczeniu

z wiatrem na zimne dmucha

alerty

podczas burz
(których zapewne nie będzie
a jeśli to nie u nas nie teraz więc co mnie to)
zaleca się znaleźć bezpieczne schronienie
a wystarczy
zamknąć okna
zabezpieczyć drzwi
uszczelnić uszy

drze
mać

Karawana i psy

Na pogrzebie u Władzia zebrały się tłumy,
ostro świeciło słońce, każdy był czerwony
na gębie i z emocji, wszak to dzień zadumy.

Towarzysze kariery jeszcze za komuny,
trzej synowie, ich dzieci i kolejne żony
– na pogrzebie u Władzia zebrały się tłumy.

Chodziły podłe plotki, pomówienia, szumy,
że przed śmiercią dał Zośce (przecież był wkurwiony)
po gębie i emocjach, niech ma noc zadumy.

Ksiądz dość długo przemawiał, słuchały go kumy,
trochę splątał życiorys, od lat zaprawiony.
Na pogrzebie u Władzia modliły się tłumy.

Potem poszli na stypę, wydać część fortuny,
każdy wlewał w ilościach do dziś niespłaconych
w gębę i po emocjach, wszak to dzień zadumy.

Stygnie surowy ojciec! Zaraz pękną z dumy,
a wcześniej muszą pomścić ten żywot skończony.
Po pogrzebie u Władzia pobiły się tłumy
w gęby i po emocjach, minął czas zadumy.

ESEJ

Grzegorz Bazylak

Pęd powodzi, energia spektaklu

W niedzielę 15 września 2024 roku Kłodzko zostało zalane w wyniku nagłych opadów niezwykle intensywnych deszczy, które przyniósł nad Kotlinę Kłodzką tak zwany niż genueński, starannie monitorowany przez satelity, georadary i setki rozmaitych ekspertów od globalnych zmian klimatycznych. Z brzegów wystąpiła bez ostrzeżenia kapryśna Nysa Kłodzka. W ciągu kilku godzin doszczętnie zniszczone zostały ulice odrestaurowanej niedawno kłodzkiej starówki, mosty, domy, sklepy, szkoły, samochody. Lądek-Zdrój, Stronie Śląskie i Kłodzko - te trzy miasta na Dolnym Śląsku zostały najmocniej dotknięte przez katastrofalną powódź. Zaskoczeni kataklizmem mieszkańcy tych miast - jak kiedyś pisał w szkicu „*Po powodzi*" Jerzy Stempowski, ten urodzony na Podolu Polak, który nosił w sobie Europę, ten niespieszny przechodzień, od 18 września 1939 roku emigrant, który mieszkając w szwajcarskim Bernie pozostał Polakiem - „*zstąpili na stopień zero, patrząc z przerażeniem na miejsce, przez które przeszła powódź. Szara masa lepkiego lub łuszczącego się w słońcu iłu pokrywa wszystko. Trudno domyślić się od razu, gdzie przed tygodniem jeszcze stały białe i pomarańczowe ściany domów, grzędy kwiatów, grupy krzewów, i gdzie dzwonił po kamieniach strumień. Zarówno powrót do dawnego, jak przejście do czegoś nowego, wymagają wysiłku wyobraźni, słów potrzebnych do nawiązania kontaktu ze światem, który zmienił się dokoła nas. Co robić? Zachować przytomność, zachować zmysł proporcji, rozumieć, być świadkiem. Przyjąć postawę człowieka palącego fajkę na tonącym okręcie, ale go nie porzucać*" [1].

W takich tragicznych okolicznościach nawet biblijny Noe, dzięki arce pełnej żywego inwentarza cudem ocalony z potopu spowodowanego bożym gniewem, zgodził by się z kontrowersyjnym poglądem Güntera Grassa, który w 1987 roku stwierdził, że to „*jedynie nigdy niekończący się chaos zaprowadza rozpoznawalny przez ludzi chwilowy porządek*" [2]. Według autora „*Blaszanego bębenka*" - tego pół Kaszuba, pół Niemca, którego skandalizująca twórczość literacka, uhonorowana Nagrodą Nobla w 1999 roku, stanowiła w romantycznej wizji prof. Marii Janion, wileńskiej repatriantki, brakujący element polskiej literatury - taki permanentny stan chwiejnej równowagi w rezultacie powoduje, że z pozorów Dobra bierze się prawdziwe Zło, które znowu chciałoby rządzić, bo pomyłką było, jest i będzie ponowne powierzenie upadłemu człowiekowi misji rozpoczęcia życia na nowo w czasie, jaki nadchodzi po katastrofie niszczącej dotąd znany świat.

Ten sam intensywny, wielokierunkowy, chaos zglobalizowanego życia w warunkach chorobliwej pseudo obfitości „*made in China*" na rosyjskich tanich surowcach, w czasie neoliberalnego mnożenia wielu zbędnych projektów, wojennych konfliktów i globalnego kryzysu klimatycznego, lawinowej produkcji bezużytecznych rzeczy dla szybkiego zysku i kolorowej transformacji, łączy się w latach 20. XXI wieku z wszędzie dostępną, przytłaczającą transmisją ich odrealnionych wizerunków, co prowadzi do introdukcji technofeudalizmu pod postacią tzw. sztucznej inteligencji [3]. Ten spotęgowany chaos sprawia, że nie jesteśmy już w stanie opanować narastającego konfliktu pomiędzy takim zmanipulowanym, pozbawionym ludzkiej miary i zredukowanym na potrzeby rynku przekazem, a nieustanie przenikającą wszystko narracją, która opisując świat, także kreuje obecność czegoś wciąż niewyrażalnego, czegoś nieujętego w żadnym znanym języku, czegoś tylko szczątkowo przekazywanego we snach, mitach, modlitwach, alegoriach i w poezji, jak stwierdził George Santayana, zapomniany dzisiaj hispanoamerykański filozof i poeta, profesor Harvard University (Cambridge, MA, USA), rezydent klasztoru Sióstr Błękitnych w Rzymie, który głęboko wierzył i uparcie propagował rozum w zdrowym rozsądku oraz dostrzegał rozum w społeczeństwie [4].

Sytuacja jakże podobna do tej, gdy spotykało się dwóch dorosłych wnuków hrabiego Aleksandra Fredry, najwybitniejszego twórcy polskiej komedii obyczajowej, z których jeden uważał się za Polaka, a drugi za Ukraińca, więc dlatego rozmawiali ze sobą tylko po francusku, unikając w ten sposób konwersacji w świetnie znanych im obu z domów rodzinnych językach: polskim i ukraińskim [5].

Sytuacja, w której rwące wody rzeki, zamienionej nagle w żywioł powodzi, są w stanie, nie wiadomo jak i dlaczego, rozróżnić topielca od topielicy. Ten pierwszy przypływa zawsze do brzegu odwrócony do góry grzbietem, plecami lub pośladkami, a ta druga zawsze unosi się pod powierzchnią wody do góry brzuchem lub nogami, co szczegółowo opisał ceniony przez minione władze, nieżyjący od 1988 roku, pewien polski pisarz, ranny podczas forsowania Nysy w 1945 roku, miłośnik Mazur, który zauważył, że żyjemy „*sami usiłując myśleć o tym, co naprawdę jest piękne i ważne, a nie co tylko być musi*" [6].

Sytuacja, jak w nabierającej wody szalupie, pełnej rozhisteryzowanych kobiet i płaczących dzieci, ofiar wzbierającej powodzi, w której pewien syn - młody, silny i śmiały, a przez to zdatny do wiosłowania - wskutek sugestii kapitana szalupy, nie zabiera na jej pokład swego chorego i niedołężnego ojca, a przy tym, uderzając w niego wiosłem, miażdży mu dłonie, jak w dramacie „*Dwa teatry*" napisanym w 1946 r. przez Jerzego Szaniawskiego, absolwenta prestiżowego Instytutu Rolniczego w Lozannie w 1912 r., którego rodzinne majątki pod Zegrzynkiem, zajmowane tam od pokoleń, pochłonęły w 1963 roku wody Zalewu Zegrzyńskiego, utworzonego w czasach PRL-u, jako zbiornik retencyjny na Narwi w celu ochrony przeciwpowodziowej w dolnym biegu tej rzeki oraz Bugu [7].

Sytuacja, jak w sfilmowanym w Hollywood w 1930 roku przez Franka Lloyda, z pochodzenia Szkota, dramacie „*Droga wszystkich ludzi*" szwedzkiego pisarza Henninga Bergera z 1920 roku, gdzie w ekskluzywnym nocnym klubie, zbudowanym pod wodoszczelną kopułą, zgromadził się w tłum elitarnych gości, aby tańcząc i bawiąc się przetrwać grozę nagłej powodzi w mieście. Jest w tym tłumie grupa od dawna wzajemnie skłóconych biznesmenów i znajomych oraz okłamujące się damsko-męskie grono, więc po kilku wzajemnie spędzonych godzinach, wskutek ciągle zmniejszającej się ilości dostępnego powietrza, bo klubowa wentylacja w trakcie powodzi nie działa, dochodzi nagle wśród tych zepsutych i cynicznych ludzi do aktów pojednania, okazywania łaski i wzajemnego przebaczenia. W obli-

czu nadchodzącej śmierci padają z ich ust słowa żalu i obietnice zadośćuczynienia za wyrządzone sobie przed powodzią krzywdy, zdrady, kradzieże i rozmaite łajdactwa, aż do momentu, gdy już ledwie żywi z braku tlenu, decydują się jednak, bez względu na skutki, otworzyć stalową kopułę, chroniącą nocny klub. Wówczas okazuje się, że na zewnątrz jest słoneczna pogoda, a woda już dawno opadła, co nagle sprawia, że uczestnicy tego spotkania natychmiast wracają, bez jakichkolwiek moralnych wątpliwości, do swoich od dawna wypróbowanych przed powodzią ról i zajęć: kanciarza, szulera, złodzieja, sutenera, seksoholika, oszusta, a poczynione chwilę przedtem solenne obietnice i zobowiązania nie mają już dla nich żadnego znaczenia [8].

Sytuacja, jak groteskowej sztuce napisanej przez 27-letniego Güntera Grassa, ówczesnego studenta grafiki w Berlinie, wkrótce po krwawo stłumionym w tym mieście robotniczym powstaniu w czerwcu 1953 roku, w której starzec o imieniu Noe, w zatapianym przez powódź domu, za wszelką cenę, poniżając przy tym swoją szwagierkę Betty, stara się uchronić przed żywiołem swoją gromadzoną latami kolekcję antycznych lichtarzy i kałamarzy, podczas gdy w tym samym czasie jego córka Jutta uprawia kompulsywny seks na poddaszu, twierdząc, że „*jeśli będzie długo padało, to przybędzie mój brat Leo*" [9]. Ten brat, który zaciągnął się do wojska, nie lubi lekarzy, a w tonącym domu Noego będzie biegał bez celu z piętra na piętro, stając się tragicznym symbolem życia bez przyszłości, bo klęska powodzi powoduje, że to odbudowa tego było, co bezpowrotnie zginęło, stanie się teraz niepodważalnym priorytetem, w imię wpajanego przez pokolenia biblijnego przesłania: „*postaw nowy dom, może dzieło rąk ludzkich w godzinę zagłady znajdzie łaskę przed obliczem Boga*" [10].

Ten utrwalony sposób myślenia, że to, co robi Zło, jest złe, a to co robi Dobro, jest dobre, gwatemalski pisarz Augusto Monterroso, oponent faszystowskiej dyktatury i emigrant polityczny, miał odwagę „*zaliczyć do stereotypów, które trudno ludziom wybić z głowy, dzięki czemu Dobro zawsze może liczyć na ocalenie*" [11]. Przypomina się myśl Pascala o tym, że to cierpienie czyni nas irracjonalistami, że jedynie rozum ma podwójną moc czynienia Dobra i Zła [12]. Jeszcze dobitniej ujął to postmodernistyczny filozof Jean Baudrillard twierdząc, że „*Zło działa dlatego, że jest źródłem energii. Nie należy Zła negować, trzeba z nim grać i je ogrywać, każde Zło, które, niezależnie od tego, co z nim uczynimy, przenika przez wszystko to, co zmierza ku jego zażegnaniu*" [13]. Dlatego nierówności społeczne są Dobrem w kapitalizmie, gdy jest w początkowej fazie rozwoju, gdy kluczowe znaczenie ma kapitał fizyczny (infrastruktura, maszyny, fabryki), ale te same nierówności są Złem w kapitalizmie, jak obecnie, zawansowanym, gdy znaczenia nabierają kapitał ludzki oraz innowacje, po to, aby nie tylko pracować, płacić i słuchać, bez miejsca na życie, którego pozbawia ekonomiczna i społeczna przemoc [14].

A zatem czy dla każdej z żywych istot powódź przynosi zniszczenia, klęskę lub śmierć? Przeczy temu obraz wezbranej rzeki, bezpośredniego sprawcy takiej katastrofy, która „*wyludniła się i rozpoczęła swe panowanie. Na zalanych łąkach pod wałem biły wodę łososie. Uległy jakby euforii, otoczone nadrealnymi pejzażami, które zstąpiły ku nim: kolumnady drzew przydrożnych, miękkie gładzizny nieba, mroczne korytarze rowów*" [15]. Susan Sontag, amerykańska pisarka o polskich korzeniach, stwierdziła, że „*odraza do kondycji ludzkiej jest jak najbardziej zasadną materią sztuki*" [16], ale wstręt do idei, propagowany przez tych, którzy słabo orientują się w ideach, „*prowadzi często do zajmowania stanowiska, które nie są żadnym stanowiskiem, do poglądów niebędących poglądem, do samozadowolenia i neutralności, która jest głównym wrogiem nie tylko sztuki*" [17]. Jak udowodnił to postponowany dzisiaj przez alterglobalistów Milton Friedman, twórca strategii kapitalizmu kataklizmowego, jaki w ciągu ostatnich 50 lat, od wojskowego przewrotu i masakry ludności w Chile w 1973 roku, podporządkował sobie cały świat, w kryzysie należy działać natychmiastowo, ale zanim taki nadejdzie trzeba „*zacząć od gromadzenia idei, mówić o nich, aż to co niemożliwe, stanie się nieuniknione*" [18]. W tradycyjnym imaginarium powódź postrzegana jest jako siła destrukcji, ale może stać się stymulatorem w scenariuszu nie tylko osobistego rozwoju, jako wyjątkowa scena do dekonstrukcji i pokonania fantazmatu, że to my sami typujemy obiekty pragnienia i wchodzimy z nim w jakąś szczególną relację podległości, która decyduje o naszym postępowaniu, decyzjach, aspiracjach, poszukując wytchnienia od pełnej kompromisów codzienności, od tego, co „*wyjmuje z konserwacji faunę współczesną, która w ciągu wieków uległa doszczętnej ewolucji, tak, że nic z niej nie pozostało*" [19].

Piśmiennictwo

[1] Jerzy Stempowski, „Po powodzi. Eseje i dziennik podróży", Wybór, oprac., wstęp Magdalena Chabiera, Le Mesnil-le-Roi, Instytut Literacki Kultura, Instytut Książki, Paris, Warszawa, Kraków 2015, ss. 345.
[2] Günter Grass, „Powódź oraz małe formy", przeł. z j. niem. i oprac. Karol Toeplitz, Wydawnictwo Naukowe Akademii Pomorskiej w Słupsku, Słupsk 2007, s. 11.
[3] Janis Warufakis, „Kapitalizm odchodzi, nadciąga technofeudalizm", przeł. z j. ang. Maciej Domagała, Krytyka Polityczna, 05.07.2021, https://krytykapolityczna.pl/
[4] John Gray, „Siedem typów ateizmu", przeł. z j. ang. Agnieszka Wilga, Biblioteka Kultury Liberalnej, Warszawa 2020, s. 187 – 198.
[5] Grzegorz Gauden, „Polska sprawa Dreyfusa. Kto próbował zabić prezydenta?", Wydawnictwo Agora, Warszawa 2024, ss. 600.
[6] Bohdan Czeszko, „Tren. Powódź", Czytelnik, Warszawa 1977, s. 309.
[7] Wojciech Natanson, "Świat Jerzego Szaniawskiego", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1974, s. 147.
[8] https://en.wikipedia.org/wiki/The_Way_of_All_Men
[9] Günter Grass, op. cit., s. 48.
[10] Karol Schulz, „Kamień i cierpienie", przeł. z j. czes. Maria Erhardtowa, PIW, Warszawa 1959, s. 118.
[11] Jerzy Kühn (red.), „Liść wiatru. Antologia opowiadań Ameryki Środkowej", przeł. z j. hiszp. Jerzy Kühn i wsp., Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982, s. 192.
[12] Jacek Zalewski, „Zakład Pascala albo choroba na nicość", Twórczość, nr 9 (946), 2024, s. 80 - 94.
[13] Jean Baudrillard, „Słowa klucze", przeł. z j. franc. Sławomir Królak, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2008, s. 35.
[14] Paweł Bukowski, Michał Brzeziński, Jakub Sawulski, „Nierówności po polsku: dlaczego trzeba się nimi zająć jeśli chcemy dobrej przyszłości nad Wisłą", Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2024, ss. 352.
[15] Bohdan Czeszko, op. cit., s. 171.
[16] Susan Sontag, „Przeciw interpretacji i inne eseje", przeł. z j. ang. Małgorzata Pasicka i wsp., Wydawnictwo Karakter, Kraków 2012, s. 166.
[17] Susan Sontag, Ibidem, s. 167.
[18] Naomi Klein, „Doktryna szoku. Jak współczesny kapitalizm wykorzystuje klęski żywiołowe i kryzysy społeczne", przeł. z j. ang. Hanna Jankowska i wsp., Wydawnictwo Literackie Muza, Warszawa 2020, s. 13.
[19] Jan Brzękowski, Nowa kosmogonia, w: Idem, „Wiersze wybrane", Czytelnik, Warszawa 1980, s. 248.

Grzegorz Bazylak

Alina Biernacka

Różowa poświata

Różowa poświata ze snu przeniknęła do jawy –
Piękny dzień, jak doświadczona wróżka,
bada moje życie, zanim wymyśli przyszłość.
Niecierpliwość, przytrzymywana obiema rękami,
niby gotująca się do skoku sprężyna,
pragnie za wszelką cenę wyrwać się
w przestrzeń południa, pędzić jak klacz
ze stadniny w Janowie.
Zmarniała przeszłość zostaje daleko w tyle,
ale wie, że odnajdzie swoje miejsce,
gdy niecierpliwość utraci siły.
Ortega y Gasset wierzył w gotowy scenariusz
życia, jaki każdy realizuje, świadomy
słuszności celu.
Czy mógł przypuszczać, że najazd barbarzyńców
przemieni Ziemię w gorączkowo budowany
koncern zbrojeniowy?

Małość

Małość otrząsnęła się jak ptak,
który wykąpał się w kałuży.
Dla mnie są kałuże, ślady benzyny na asfalcie,
włóczenie się przedmieściami, satysfakcja
z cudzego upadku – myślała.
Inni mogą obdarowywać nieznajomych,
ja będę siedziała na swoim,
nie wzruszą mnie kalekie dzieci,
ani głodni starcy.
Walczące o przetrwanie narody
niech sobie radzą same.
Małość otworzyła galerię malarstwa –
prezentowała w niej dzieła opisujące
przegraną walkę ludzi z żywiołem:
„Tratwę Meduzy" Gericaulta,
czy „Upadek Ikara" Giotta.
Obok jednak powstała inna galeria –
Królowały w niej „Narodziny Wenus"
Boticellego.
Przechodnie zatrzymywali się i patrzyli
z zachwytem na wszystkie obrazy.
I jak tu próbować moralizowania?
- Raczej nie ma sensu – powiedział
Strażnik miejski, zakładając blokadę
na wszystkie koła.

W prowizorycznym istnieniu

W prowizorycznym istnieniu, jakim jest życie,
potrzebne są punkty stałe –
Na pierwszy plan wysuwa się ciekawość świata,
tuż za nią zdąża naiwna wiara,
że wszystko skończy się dobrze.
Sny, które dyktują kierunek naszego rejsu,
zobowiązane są do meldowania wszystkiego
dowódcom, obserwującym od niechcenia
trajektorie każdej jednostki poruszającej się
po mapie świata.
Modele ludzi, w skali jeden do tysiąca,
są przechowywane w kufrach podróżnych
kontradmirałów.
Te modele służą za sztony, używane
w grze w karty, jaką prowadzą dowódcy.
Pytanie: komu się poszczęści? Jest nie na miejscu –
Każda chwila służy za pretekst do pamiątkowego zdjęcia,
a te oblepiają skłon niebieski miliardami galaktyk.

Punkt zwrotny

Punkt zwrotny okazał się jedynie
fałszywym przystankiem na trasie,
jaką przemierzaliśmy.
Chociaż miał wszystkie cechy zapory,
wcale nie spiętrzał wody,
a stanowił estetyczny błąd w pejzażu.
Punkt zwrotny, od którego miało się rozpocząć
nowe życie, czekał niecierpliwie na moment
kiedy zostanie odkryty,
Tymczasem fałszywa zapora zabierała
całą uwagę idących obraną przez nas drogą.
Jednak nikt nie wiedział, czy nasz wybór
nie był podyktowany przez bogów zabawiających się
w „trafiony, zatopiony".
Doszło do tego, że punkt zwrotny zaczął grać
w „ciepło, zimno".
Tropienie punktów zwrotnych stało się poszukiwanym
Zajęciem - wykrywający je nauczyli się zastawiać na nie sidła.
Schwytane punkty zwrotne musiały, nawet wbrew woli,
przemieniać nasze życie i szczyciły się skutecznością
tak w otwieraniu perspektyw, jak i w ich niszczeniu.

Monotonia

Monotonia zwróciła uwagę, jak na jej widok
rozjaśniają się twarze żołnierzy wracających z okopów.
Monotonia gwarantowała poziomą linię spokoju,
stojące powietrze jak przed burzą
i coś w rodzaju przejściowego otępienia.
Drzewa w ogrodzie popierały monotonię,
to na nią głosowały w czasie wyborów
ulubionego stanu ducha.
Monotonia, ubrana zawsze na szaro,
poruszała się jakby płynąc w powietrzu.
Jednak jej bystre oczy kontrolowały
każde odchylenie od normy, którą ustaliła.
Horyzontalność była nakazem chwili,
chętnie słuchano muzyki Adamsa,
a także utworów kontemplacyjnych.
Ostre starcia monotonii z pobudzającą zmysły
kulturą flamenco, nie kończyły się porozumieniem.
Strony pozostały przy swoich barwach
i tylko łucznicy wypuszczali coraz nowe bełty.
Portrety monotonii w jej pozie tronującej
malowali najwięksi artyści swoich czasów.
Widać na nich tak wytęsknioną przerwę w istnieniu

Umowa

Wzorem dla wszystkich umów
była naturalnie ta, podpisana przez Fausta.
Inne, następujące po niej, wikłały się
w tysiące szczegółów,
zawierały tyle paragrafów,
że odechciewało się je czytać.
Tymczasem najprostsza umowa
pomiędzy człowiekiem a diabłem,
jest datowana na pierwszy rok stworzenia.
Świadkami złożenia podpisów byli aniołowie –
biali i czarni.
Pieczęć na dokumencie została odbita
przez nieistniejącego już boga wulkanów.
Porozumienie pomiędzy człowiekiem i diabłem
Dotyczyło oczywiście sprzedania duszy.
Dziś popyt na dusze maleje,
zastępują je obrazy sztucznej inteligencji-
tak popularne w Internecie.
Co do diabłów, to przeciwnie – jest ich mnogość.
Jednak nie mają niczego do zaoferowania –
ani ludziom, ani ich awatarom.

ESEJ

Anna Kokot-Nowak

Ujednolicenie czy rewolta? Przycisk naciśnięty...

Pstryk! Żonglowanie maczugami nonsensów i różnokształtnymi piłeczkami słowotwórczej blagi, rzucanie nożami sloganów w zastane, społeczne przekonania, strzelanie do tarczy syczącego wężowato - uwodzicielsko konformizmu, siłowanie się na rękę z państwem, które *(...) całkowicie ogranicza (...) wolność*. Gdzieś w tle, na pokracznym rowerku rechotu, przejeżdża niewidzialny, tresowany niedźwiedź, śpiewając chrapliwym barytonem wciąż w kółko ten jeden, wyuczony przez cyrkowego tresera wers: *Prawo zawsze jest durne! Prawo zawsze jest durne!* Czy trafiliśmy może na intelektualnie łaskotaną planetę groteski? Zabłądziliśmy wśród jej uliczek irracjonalnych, karykaturalnych doznań? Cóż, chyba raczej pożarła nas łapczywie głodna paszcza książki Igora Frendera *Jak wskrzesić człowieka*. Połknęła, zdrowo beknęła i już nas akcją dramatu prowadzi do lunaparku setek przemyśleń. Drżą pod nami nogi, puls przyspiesza... Bawmy się! Bójmy się! Wysuwajmy czujnie noski, by potem wyciągnąć stosowne, polekturowe wnioski!

Jeśli skoncentrujemy należycie uwagę, może pięcioma podstawowymi zmysłami rozpracujemy to mózgowe miasteczko made by Igor Frender. Częstotliwość w uszach nastawiona na lekki obłęd? Znakomicie! Zaraz usłyszymy natarczywe dźwięki tamburynów, wędrujących ścieżką audio w tłumie gapiów. Może także dźwięki klaunich dzwoneczków, kołyszących się nieco histerycznie na rogach wielokolorowej kapki - czapki albo i rubasznych treli piszczałek – sowizdrzałek? Pobłogosławieni umiejętnością właściwego rozczytania komedianckich nut - usłyszą także wesoły jazgot łaskotanych wdmuchiwanym, ciepłym powietrzem harmonijek. Czytelniku, a co ty posłyszysz? Tylko błażeńskie parsknięcia tłumu?

Pstryk! Uwaga! Piękne panie i przystojni panowie! Ruszają krzesełka w kształcie kibli (zaprojektowane przez wyobraźnię pisarza) na tej nieco szalonej karuzeli niewygodnych doznań, obsługiwanej przez operatora mechanizmu zardzewiałego i niebezpiecznego, czyli także Igora F. Kto cierpi na lęk prawdomówności? Zaraz będzie *strzykawka z koktajlem* i zrobi się milusio! Teraz jeszcze trochę mdli, prawda? Stosowną, papierową tytkę można chwycić w łapkę i wsadzić w nią *wyprany łeb*, by nie chlapać niestrawionym do końca obiadem na prawo i lewo. Coście nagle państwo tak zbledli? Przecież to dopiero początek tutejszych atrakcji!

Nie, proszę pani! Nie mogę teraz nacisnąć tego czerwonego przycisku tylko dlatego, że zaczęła pani wściekle wymachiwać oderwaną z włosów treską, a drugą ręką rzucać w moim kierunku całą zawartością swojej damskiej torebuni... Auć! Czy to nie był przypadkiem młotek?! Hej, naprawdę rzuciła pani we mnie młotkiem?!

Hola, hola, szanowna pani przesadza! To zdecydowanie nadinterpretacja! Proszę nie zarzucać mi *zbrodniczej działalności*, *kameleońskich manipulacji*, podstępnej *gry na oślep,* ani *stania w szeregu, słuchania poleceń* oraz dławienia *wszelkich przejawów buntu u innych ludzi.* Nie, mam wolną wolę, jestem w pełni decyzyjny! W żadnej mierze moja osoba nie podlega pod *Centralę Kameleonów*!

A pan?! Co pan tak arogancko wykrzykuje? To *mowa nienawiści*! Udam, że nie dosłyszałem inwektyw... No mówię, że nie dosłyszałem przecie! Że co?! Imputuje mi tu pan, że *(...) człowiek jest / niezwykle przekonującym kłamcą*? Zaraz szanowny pan zobaczy co tutaj nazywamy *wirującą karuzelą*! Pęknie panu z hukiem tytka, tak będzie pan rzygał! Prosto na publikę, która pomyśli, że to nasze lunaparkowe, lecznicze okłady borowinowe. Twierdzisz pan, że zadufane persony w kłamliwość natury ludzkiej nie uwierzą? Panie, przecież człowiek tak naprawdę tapla się w *permanentnym fałszu*. Człowieczeństwo to tylko wygodna, maskująca fasada. Spoko więc, uwierzą! Ale owszem, ten moment samopoznania, to rzeczywiście drenujące intelektualnie doświadczenie. Nic dziwnego, że niektórzy wybierają świadomie ulgę amnezji dysocjacyjnej.

Pstryk! Dzieci, dzieciaczki najmilsze moje! A co wy tu tak stoicie bezzabawowo? Szykuje się gra w ciuciubabkę od Frendera, więc czeka was niezła bajera! Bawić się! Bawić się i myśleć jednocześnie! Myśleć nałogowo, myśleć analogowo, a nie mózg defasonować po internetach i bzdetach! To taki tutejszy, lunaparkowy work-life balance!

Co wrzeszczycie? Jazgoczcie wyraźniej! Że chcecie w dramacie Igora Frendera ekscytujących, czytelniczych fajerwerków? Ma być morderstwo, bo to teraz takie modne (kryminały skandynawskie Nesbø, Larssona, Läckberg i te sprawy)? Proszę bardzo! Jest morderstwo, nawet w sumie niejedno (*Trup przy szafie. Wygląda jakby z niej wypadł*). Organoleptyczność? Załatwione! (*Roma?! Niezwykłe imię.(...) Jest takie mięsiste, wilgotne w dotyku. Jędrne.*). Poniżanie, umniejszanie? Jasne! Odnajdziemy tu fragmenty, gdy człowieka z wypranym mózgiem nazywa się Kameleonem, *podróbką z marketu*, *pionkiem*. Chcecie nowatorsko podróżować? Wystarczy, że zostaniecie *psychonautami* i zaczniecie peregrynować po ludzkim mózgu. Zażyjecie przy tym bezpieczne *środki psychodeliczne,* które *powiększają perspektywę*. By was uspokoić, nazwę je lekami. W końcu dzięki nim zbliżycie się do natury. Nie, nie będziecie ćpać! Będziecie *ćpieżyć*. A gdy kiedyś umrzecie, śmierć – jak prorokuje Igor Frender, odedrze was ostatecznie z wszelkich resztek gruboskórności. Pasuje wam ta wizja? Gadać mi tu szybko a szczerze!

Pstryk! Karuzela pozornie abstrakcyjnych idei wciąż się kręci, tylko jakoś uśmiechy na twarzach wirujących w rozmyślaniu krzesełkowiczów - są z każdą chwilą tej wyjątkowej lektury coraz węższe. Skurczyły się podczas krótkiego, wstępnego prania czytelniczego?

Acha, chyba w końcu ludziska kapują, o co tutaj chodzi...

Kot Absurd mieszka na waleta

Choć jeden z bohaterów dramatu Igora Frendera twierdzi, że *(...) są jakieś granice absurdu!* – my, doświadczeni czytelnicy, nie powinniśmy być tego tacy pewni. Naprawdę są? Czy oby na pewno? Pisarz dostarcza nam wielu argumentów, które zdają się zaprzeczać temu stwierdzeniu. Zastanówmy się tak na spokojnie... Choć może na co dzień jesteśmy poważnymi jednostkami ludzkimi, złapanymi w skodyfikowaną korporacyjnie sieć, uwięzionymi w business uniformie, z włosami zaczesanymi w grzeczny, żelowany loczek, udrapowany na czole w psiej pozycji „leżeć!", a w klapy marynarki nosimy wpięty dumnie znaczek „Konformisty Idealnego" - po przejażdżce na wirującej karuzeli farsy, zgubimy zapewne starannie wyprasowane kawałki grzecznej garderoby, zwichrzymy fryzurę do poziomu *crazy & weird*, a potem na dodatek zgubimy gdzieś przypinkę ujednoliconego przodownika bytu.

Jeśli będziemy jeszcze trochę bronili się przed śmiałymi atakami groteski, pisarz ofiarnie przypomni, że przecież już jakiś czas temu podrzucił nam do mieszkania nowego lokatora – kota *(...) o imieniu Absurd.* Nie, nie wyrzuciliśmy go jak dotąd z naszego domostwa na zbity, puszysty ogon. Raczej, jak nam uświadamia twórca, głaszczemy go i mamy się dobrze, więc *po co coś zmieniać?* Absurd to już członek rodziny. Karmimy go i miziamy czule po brzuszku. Tak szczerze? Szalejemy za nim!

W dramacie *Jak wskrzesić człowieka* walka rozgrywa się pomiędzy dwoma grupami: zwolennikami ujednolicenia – czyli konformistami (*pozbawionymi moralności bezrefleksyjnymi praczami mózgów*), a grupą antysystemową Pożar, która to *(...) nie chce ujednolicenia, / zależnego (...) myślenia, palenia książek, / podziałów i oddzielenia bytu ludzkiego od przyrody*. Właśnie ta druga grupa to ludzie, *(...) którzy nie dają / się uwieść mowie nienawiści kierowanej do / wyimaginowanego wroga (...)*. Zdrapują z siebie pozłotko kultury, odcinają wszelkie znaczniki mainstreamu.

Bohaterzy dramatu? Kogo tu nie ma! Ojcowy, Matkowa, Córkowa, Synowy, podejrzanie milcząca parka stroicieli min - czyli Babciowa z Dziadkowym, Gościowy, Detektyw, Sierżant, Nieznajomy (Chórowy) i Chórowy (Nieznajomy)... A to nie wszystkie zacne i mniej zacne persony. Pod tymi enigmatycznymi określeniami kryją się krwiste postacie, które dopiero po pewnym czasie pozornie chaotycznego rozrabiania - ukazują swoje prawdziwe oblicza. Całkiem ogłupiony czytelnik już tylko pyta w końcu sam siebie o co w tym wszystkim chodzi, ale nie jest w stanie sobie odpowiedzieć. Nagle więc wydaje się mu, że uległ i on nieoczekiwanemu praniu mózgu: coś cały czas mu się *miesza*, co nieco *umyka*. Wiruje *tam i z powrotem.* Eee, co proszę? Hę?!

Siedzi skołowany na niewygodnym krawężniku przemyśleń i zastanawia się nad przesłaniem tekstu, powtarzając w ślad za słowami autora: *Absurd rodzi kolejny absurd. Trudno / już stwierdzić, kto jest kim. Powiedzcie mi, co tu się / dzieje?* Nikt nie podrzuca pomocniczo ratunkowej odpowiedzi, sły-

chać tylko gdzieś z offu szatański chichot narratora. No, ten złośliwiec z pewnością świetnie się bawi! Zaraz, zaraz, gdyby mu się uważnie przypatrzeć, to jakoś jego rysy twarzy zadziwiająco przypominają fizjonomię Igora Wojciechowskiego, od czasu do czasu kryjącego się za maską Frendera... Chapeau bas, wodzireju zamętu! *Mistrzowska mistyfikacja!*

Mentalność homo consumericus

Pisarz Igor Frender – tym razem jako wytrawny, nadświadomy przewodnik po umyślnie sterowanym pomyślunku, zebrał nas, grupę czytelników swego dramatu, by oprowadzić po powołanym na kartach książki, niepokojącym wielce, Instytucie Pralni Mózgów. Dr Frender jest tam najwyraźniej u siebie - na włościach podczaszkowia. Czyżby znacząco szeleścił swoim białym kitlem? Chce nam tym szelestem coś przekazać? Wędrujemy za nim posłusznie, choć z lekką obawą, po sterylnych wnętrzach zakładu, a on pokazuje niepokojące efekty działania ładowanych nam do głów, od ponad kilkudziesięciu lat, zakamuflowanych kłamstw, serwowanych przez – jak to określił amerykański uczony filozof oraz politolog Benjamin Barber, zglobalizowany McŚwiat. Co stanowi ów zbiór sterylnych kłamstw? Dramatopisarz poddaje krytyce współczesną, chorobliwą tendencję do akumulacji dóbr materialnych, czyli wypaczony konsumpcjonizm, w którym to podstawą decyzji o zakupie określonego produktu okazuje się chwilowa zachcianka, przemijalna ochota, ekstrawaganckie „chciejstwo" dorównania stanem posiadania wyobrażonej elicie, należącej do tak zwanej cywilizacji konsumpcyjnej. Owszem, zjawisko to nie jest nowe. Już Thorstein Veblen, amerykański ekonomista i socjolog, żyjący na przełomie XIX i XX wieku, zwracał w swoich badaniach szczególną uwagę na wyjątkowo próżniaczą grupę społeczną, która nadaktywnie, wręcz demonstracyjnie, zajmowała się w codziennym życiu ciągłym zużywaniem kolejnych dóbr materialnych: arystokrację oraz burżuazję. My współcześni jesteśmy poniekąd naśladowcami ich zachowań.

Historycy przypominają, że z biegiem czasu kolejne gospodarcze i społeczne zmiany, oparte choćby o takie zjawiska jak rozwój energii elektrycznej, pojawienie się w fabrykach - dzięki pomysłowi Henry'ego Forda, innowacyjnego wynalazku taśmy produkcyjnej, powstanie i boom na rynku nadzwyczaj aktywnych mass mediów - przyczyniły się do dalszej, coraz gwałtownie postępującej rewolucji przemysłowej, a w dalszym efekcie także transformacji kulturowej. Swoisty radosny hedonizm konsumpcyjny dość szybko zdominował świadomość mieszkańców większości krajów rozwiniętych, przez co nagle wytworzyła się ekspansywna, drapieżna kultura konsumpcyjna. Konsumpcja (termin wywodzący się od łacińskiego słowa *consumptio*) – jak podpowiada nam *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych* Władysława Kopalińskiego (Wiedza Powszechna, 1968) oznaczała nie tylko spożywanie i użytkowanie dóbr materialnych, ale również ich... zużywanie. Obecnie wiemy już, że nadmierna konsumpcja może tyczyć się także dóbr niematerialnych – emocji, wrażeń, doświadczeń, przygód. Bywa też dla człowieka tak samo niebezpieczna, jeśli nawet nie bardziej, jak nadmierna koncentracja wokół materializmu.

Doktorze Frender, pan wybaczy... Jeszcze kilka zdań wyjaśnienia.

Za najbardziej znanych krytyków konsumpcjonizmu uchodzą przedstawiciele tak zwanej szkoły frankfurckiej, czyli między innymi Jürgen Habermas i Erich Fromm. Jest wśród nich i Herbert Marcuse, autor wciąż aktualnej książki *Człowiek jednowymiarowy*, w której zauważył, iż postnowoczesna ludzkość, żyjąca w demokracji sprzężonej z konsumpcjonizmem, nastawionym wyłącznie na zysk i hedonizm, niepokojąco przybliża się tak w zasadzie do egzystencji w... dyktaturze. Obywatel skoncentrowany wyłącznie na materializmie, niekończącym się zaspokajaniu głodu doczesnych potrzeb, staje się właśnie podejrzanie jednowymiarowy. Propaganda współczesnego, zuchwałego marketingu i jego wyrafinowane manipulacje (choćby przy pomocy przekazów reklamowych) czynią często z niego łatwą ofiarę. Winniśmy jej współczuć, czy raczej ją napiętnować? Frender najwyraźniej jest wciąż przekonany, że da się wskrzesić rewolucyjny bunt w człowieku. Tytuł jego książki nie pyta nieśmiało, ale buńczucznie projektuje na nas wiarę w sukces znalezienia właściwego rozwiązania. Jakiego? Do tego musimy już dość w toku wnioskowania sami. A doktor F. będzie w tym czasie odpoczywał, pochrapując relaksacyjnie na lekarskiej kozetce, gdzieś w ciemnej, przytulnej suszarni swego Instytutu.

A więc mieć czy być? Współbrzmią w nas docierające do naszej świadomości sprzeczne komunikaty. Ratunku, doktorze F., co wybrać?! Kierować się racjonalizmem ekonomicznym czy kaprysami pokus? Realizować prawdziwe potrzeby zakupowe, czy też okazjonalne apetyty konsumenckie? Decydować się rozmyślnie na lojalność konsumencką - czy też dać się omamić doraźnym wyborom, swoistemu nowobogackiemu fetyszyzmowi markowemu („Jakie to ometkowane, więc ładne, estetycznie wyeksponowane, pożądane przez innych klientów!")? Pracować w sobie nad rozwijaniem cnoty oszczędności i zakupowej wstrzemięźliwości, czy też ulegać orgii rozrzutności? Koncentrować się na ujarzmianiu nagłych chętek i ochotek na dobra luksusowe, produkty markowe, których aktualna „modność" wykreowana została w pracowniach demiurgów marketingu agresywnego, czy żyć w konsumpcyjnej ascezie, poszukując raczej nie tyle nowych produktów, ale odkrywając przymioty wielorazowości w tych już posiadanych? A może podejmować choć okazjonalny wysiłek odrywania się od ciągłego przymusu kupowania, biorąc na przykład udział w Buy Nothing Day, czyli Dniu bez Zakupów (wymyślonym w Stanach Zjednoczonych w początkach lat 90. XX wieku), popularyzując w najbliższym otoczeniu filozofię minimalizmu lub przynajmniej uświadamiając bliźnim absurdalność idei ciągłego nabywania zbędnych przedmiotów?

Jakże spokojnym wzrokiem Igor Frender (już po kozetkowej drzemce) obserwuje nasze „decyzyjne miotamento", nie oferując w zasadzie jakichkolwiek wskazówek. Ech! Uparcie milczy gdzieś zza kurtyny pisarskiej niewidzialności. Pewnie uważa, że już dość nam pomógł. Przecież wcześniej na trop właściwych odpowiedzi próbował naprowadzić nas swoim całym, 127-stronicowym tekstem dramatu. Teraz przygląda się nam z życzliwym zrozumieniem, bo on już wcześniej przeszedł taką samą trasę nałogowego wręcz zadawania pytań samemu sobie. Przeszedł i nie zabłądził w gąszczu wielorakich, możliwych autoreakcji. Nie pogubił się w mnogości potencjalnych sposobów odpowiedzi, nie dał się zastraszyć sile grupowej większości, presji społecznego wygodnictwa. Już wie, jak wskrzesić prawdziwego, pełnego empatii człowieka, wyswobodzonego z pokus nieomal wszechobecnej macdonaldyzacji, turbokapitalizmu (w ujęciu Edwarda Luttwaka stanowiącego połączenie globalizacji, prywatyzacji i deregulacji), nadmiernej supermarketyzacji przestrzeni miejskiej, disneyzacji – czyli bezrefleksyjnego transferu amerykańskiej kultury masowej. My zaś możemy dopiero po wnikliwej lekturze jego dramatu (dopuszczalne jest także wspomaganie się takimi istotnymi dla tego tematu tytułami książek, ostrzegających przed kulturą materializmu, jak *No logo* Naomi Klein, czy *Pokolenie* X Douglasa Couplanda) i wielu przemyśleniach - wykoncypować sobie odpowiedź na pytanie, czy warto dać się omamić przez wszelkie ideologiczne „izmy". Oby tylko była ona odpowiedzią właściwą.

Myślenie czy *łaska ujednolicenia?*

Dotąd tajemniczo pofałdowany, ludzki mózg, pełen intelektualnych meandrów i pogmatwanych wielościeżek neuronalnych połączeń, w XXI wieku – po intensywnym praniu, odwirowywaniu i suszeniu w Instytucie Ujednolicania, Banalizacji i Przykrawania Pomyślunku (bo chyba i tak można nazwać ów Instytut Pralni Mózgów, posługujący się hasłem: *Nie myśleć, nie chcieć, nie pytać*) - uległ niepokojącemu, powierzchniowemu spłaszczeniu. Sfilcował się kapeczkę? Powiedzmy sobie otwarcie: mechanizm automatu pralniczego nie był zbyt skomplikowany: *(...) bierzesz łeb, wciskasz guzik, pstryk i masz wypraną mózgownicę*. Łatwiutko, prościutko. Niestety, wszystko tam perfekcyjnie zadziałało i coś nam w tej naszej szarej galaretce uszkodzono.

Cóż z tego, że negatywne efekty tego intelektualnego prania nie są dostrzegane przez wszystkich współczesnych uczonych, asekurancko uzbrojonych w profesjonalne szkiełko i czujne, badawcze oko (patrzące uważnie na płytkę laboratoryjną, nie na przysłowiowe Maroko)? Cóż z tego, że my, ludziska - IQ mamy wciąż w normie, ciężar właściwy mózgu nie spada, a jego rozmiarówka nie wpadła w anorektyczne szaleństwo zmniejszania się – jak u nastoletnich instagramerek/tiktokerek? Owo centrum układu nerwowego, czyli *cerebrum* (z łac.) – niespodziewanie daje się bowiem omamić nie tylko żarłocznemu konsumpcjonizmowi (jedynie tymczasowo i pozornie poprawiającemu jakość życia oraz stan psychicznego zadowolenia), ale także pokusie ujednoliconego myślenia. Po co przecież z wysiłkiem, w pocie kontemplujących nad jedynymi słusznymi odpowiedziami neuronów, zastanawiać się nad rozbudowaną maszynerią przyczyn i skutków, tkwiących pod powierzchnią rzeczywistości XXI wieku? Przecież wygodniej nie myśleć nadmiarowo, wówczas *(...) łatwiej się żyje*.

W ujednoliceniu myślenia pomaga nowomowa, co zauważył już George Orwell (*Rok 1984*): *(...) nadrzędnym celem nowomowy jest zawężenie zakresu myślenia (...). Z roku na rok będzie coraz mniej słów i coraz węższy zakres świadomości.* Rolę nowomowy spełniają w dramacie Igora Frendera popularne współcześnie wyrażenia rodem z popkultury, pospolite i sztampowate slogany, frazesy językowe, konwersacyjna wata znaczeniowa, którą wielu z nas posługuje się tak chętnie, nie siląc się nawet na wypowiadanie ciekawszych, bardziej osobistych komunikatów. Twórca przytacza w tekście wiele przykładów owych orwellowskich „zawężaczy myślenia", trzeba jednak wczytywać się w cały tekst uważnie, nastrajając wyłapywacz szablonowych dyskusji na najczulszą skalę. Przykłady? Oto one: *proszę ja ciebie; cieszę się, że jestem tutaj; miło nam was gościć; się zobaczy; daruj już sobie, chłopie; morda w kubeł; cisza, cisza ma być; spokój mi tu; ani mi się waż; koniec* →

tematu; to już poszło za daleko; tyle na ten temat. Gdy zaś bywamy w gościach, wiecznie raczymy się szablonowo *herbatą i szarlotką*. Czy nie ma innych napojów i ciast? Nawet kawały są w konwersacji wysoce podejrzane: *Opowiadanie / kawałów w towarzystwie to po prostu zalepianie / braków w rozmowie, to tandetna, obskurna / rozrywka rodem z pijalni ściekowego piwa.* Można by długo wymieniać kolejne puste komunikaty. Jak pisze Igor Frender: *I tak płynie slogan za sloganem. A tuż za nim kroczy hipokryzja.*

Owszem, pisarz obnażył to, co kryje się za tymi tak chętnie używanymi przez wielu z nas sloganami. Myśleliśmy może dotąd, że kieruje nami konwersacyjna elegancja, używane słowa nasączone miały być w wywarze życzliwości i empatii. Cóż, nic bardziej mylnego! Używamy sloganów, bo jesteśmy hipokrytami, którzy z wygodnictwa, dla poklasku innych konformistów, nie chcą zdradzać swojego prawdziwego toku myślenia. Wszak hipokryzja od zawsze, w każdej przecież kulturze, stanowi znakomite narzędzie władzy, zręcznej manipulacji. Nasz autor notuje z humorem, że przecież od razu widać, kto za dużo myśli – *element nadmiernie myślący* wygląda tak, jakby miał *wiecznego kaca*.

Proceder ujednolicania nazywany jest przez dramaturga *łaską*. Sami musimy sobie jednak szczerze odpowiedzieć czy owa łaska rzeczywiście jest dla człowieka nadprzyrodzonym darem, który ubogaci go duchowo, przerastając jego rozum oraz wolę, czy też raczej rodzajem przekleństwa złośliwej szczodrości. Rzeczywiście, pozornie w grupie osób jednakowo myślących funkcjonuje się prościej: nikt nie ośmiela się zadawać zbędnych pytań, nie poddaje niczego pod wątpliwość, nie narowi się, kopytkiem nerwowo nie wierzga, gdy każą mu chodzić w kieracie wciąż tej samej, wygodnickiej myślówki. Czasem tylko może jakiś złośliwiec krzyknąć ku jednakowo myślącemu, niczym Gościowy ku Synowemu: *ćwiara mózgowa!* Trochę wstyd, ale skromna ćwiartka mózgu długo tej chwili zażenowania nie będzie pamiętać...

Zdradziecki smród konformizmu

Mechanizmy zautomatyzowanych w swych reakcjach ludzi regularnie oliwione być muszą tłuściutkim konformizmem. Dzięki temu ci staną się, jak przekonuje autor tego dramatu w dwóch aktach, dobrymi oraz uśmiechniętymi obywatelami *bez buntowniczych kompleksów*. W zasadzie można ich nazwać samoubezwłasnowolnionymi *eklektycznymi epigonami, pacynkami, sprzedawczykami, sytymi marionetkami.* Z intelektem rozpaczliwie, acz niepotrzebnie całkiem, tonącym czasami w alkoholowych procentach, bo zamiast ubrać na siebie kapok samokontroli, decydują się na radosne tankowanie do odcięcia, przeplatane co najwyżej głoszeniem jąkających się tyrad (*Mówca mu się włączył*).

Zbieżne z grupą normy społeczne, życiowe postawy, jednakowe zachowania... Konformista (nazywany przez dramatopisarza Kameleonem, członkiem nowej, ludzkiej rasy), czyli osobnik zewnątrzsterowalny (w odróżnieniu od nonkonformisty, czyli jednostki wewnątrzsterowalnej) - chętnie poddaje się wpływowi danej grupy, stojącym na jej czele autorytetom, czując, że takie zachowanie – w dłuższej perspektywie bardziej mu się opłaca. Zgodnie potakiwać i klaskać aprobująco jest łatwiej niż być w kontrze, krzycząc protestacyjnie: „Veto!". Nurkowanie głębinowe w konformizmie odbywać się może na trzech poziomach. Najpłytszy związany jest z okolicznościowym uleganiem presji grupy, głębszy - z silną identyfikacją z grupą, a najgłębszy – z kwestią internalizacji, czyli uznania określonych norm i wartości danej grupy za zdecydowanie własne. Igor Frender ostrzega czytelnika przed każdą z wymienionych, studniowych nieomal głębokości konformizmu. Łatwo można weń wpaść, trudniej wyjść. Kugluje ironią: *Bądź posłuszny i rób co ci każą, a może zniosą cię / z placu boju w chwale, z orderem za konformizm / i obietnicą karierki w wypranych szeregach / Kameleonów.* Krytykuje współczesnego człowieka, uderzając w bandę sytych konformistów: *Zobaczcie, jak człowiek się obudował, jak uciekł od / świata zwierząt. Wszystko wyperfumował i kible / pozłocił. Nawet własnego zapachu się wstydzi. / A (...) Kameleon (...) poszedł jeszcze / dalej, sprzedał swoją osobowość, swoja wolę / i myśli.* W innym miejscu czytamy też o utożsamianiu konformisty ze zbuntowanym pajacem *na kółkach, którego wystarczy / pchać, a pojedzie za głosem tłumu*. Konformista – Kameleon wciąż udaje, wchodzi w rolę, czasami wtapia się w tło i finalnie jest... nikim. Niespodziewanie szybko bycie nikim staje się jego naturą, jego kulturą.

Pod rozważenie autor stawia też nam odważną tezę: *Rodzina, jak wiadomo, / ma szczególną zdolność do niszczenia swoich / członków*. Jak sugeruje - czasami sprawia, że człowiek *(...) w poczuciu beznadziei / i zdrady najbliższych,* całkowicie, rozpaczliwie zatraca się w konformizmie. To grupa i podobni jemu konformiści nazywają takiego człowieka nową familią. Przez świeżo utworzoną rodzinkę zostaje mu wmówione inne, życiowe kredo: *Bunt ludzi niszczy, a samodzielne myślenie / doprowadza do chorób psychicznych. Dlatego / wszyscy powinni myśleć tak samo, bezpiecznie*. Brr! Brzmi strasznie, prawda? Autor dodaje, że bycie takim wypranym z własnej woli, bezosobowym człowiekiem, to *egzystowanie w paradoksie*. Niestety, współcześnie zbyt wielu jest takich, którzy *(...) zrobią wszystko, żeby / żyć w państwie, które nimi steruje*. Najlepiej czują się ukryci (ze swoimi wieloma twarzami) za czymś, co Milan Kundera w książce *Tożsamość* - nazwał *cytadelą konformizmu*. Gdy ktoś strzela potem do nich pociskami prawdy musi bardzo uważać, by przypadkiem nie dostać rykoszetem.

Doczesny człowiek to wygodnicki ugodowiec, czyli zdaniem pisarza *(...) istota pełna destrukcji. Już samo / życie wiodące ku śmierci powoduje, że człowiek / doprowadza także świat, w którym żyje, do / zagłady. Niszczy, myśląc, że Ziemia mu została / poddana, i że wcale jednak nie umrze*. Pisarz ocenia, iż w świecie *nie ma już prawdy*, a poza tym *rządzi nami fałsz.* Jak czytamy w dramacie, nasza egzystencja podobna jest do jazdy na karuzeli: *Patrzymy przed siebie, za siebie, nigdy / na siebie. (...) Szamoczemy / się wystrojeni, wyperfumowani, ładni, dbamy / o zdrowie i umieramy (...) wszyscy tak / samo (...)*. Oto człowiekowi *władza uderza do łebka,* myśli on o sobie jako o *koronie stworzenia.* Zakłamuje jednak rzeczywistość, oszukuje własne sumienie, wmawiając sobie, że pokonał swoją *(...) naturę, owijając się w pozłotko / kultury (...)*.

Dowiadujemy się od autora, że obecny świat składa się z fasad. Jeśli ktoś spróbowałby żyć po swojemu, by *(...) wyjść z tych / norm społecznych, opuścić szampańską groteskę, / zejść ze sceny, być kimś innym (...)* - to okazuje się to niemożliwe. Otoczenie człowiekowi na to nie pozwoli. Jeśli jednak jakimś cudem przekształcimy się w nowych siebie – jak przekonuje dramatopisarz, staniemy się w odczuciu społeczeństwa ponownie... nikim. Jaki stąd wniosek? Może taki? *Przez całe życie trzeba udawać.*

Naprawdę? Trzeba?

Plaudite, cives!

Jedno jest pewne: Igor Frender stara się uświadomić nam, iż obalić człowieczeństwo, ów dar czy przekleństwo homo sapiens (patrz: wcześniejszy dramat autora *Jak obalić człowieka*) - jest zacznie łatwiej niż je wskrzesić. Ale mimo to – wskrzeszać człowieczeństwo jednak można, a wręcz trzeba. Z pewnością pierwszym krokiem ku temu procesowi wskrzeszania w sobie trwałych wartości ducha i prospołecznych zachowań - powinna być krytyczna rewizja codziennych obrządków (np. konsumenckich), zajmowanych dotąd postaw społecznych. Chwycono już nas w zgrabniutką foremkę ujednolicania? No to hyc, ucieknijmy z niej ochoczo! Zwiewamy, w te pędy! Żadnych dziękczynnych całopaleń dla kolejnych nominałów – bożków mamony. Już tak wstępne działania, związane choćby z uczciwym przeanalizowaniem rodzinnych wydatków, przejrzeniem list zakupów, rachunków, faktur i wyciągów z konta bankowego – mogą być trwałym przyczynkiem do ukrócenia zauważonych u siebie narośli chorobliwego konsumpcjonizmu, materialistycznego hedonizmu, czy nawet w efekcie konformizmu. Może moglibyśmy w przyszłości powstrzymać się od kompulsywnego zakupoholizmu? Znaleźć dla siebie właściwsze metody redukcji stresu, rozładowywania tego niepokojącego, wewnętrznego napięcia oraz kompensacji określonych deficytów psychicznych? *Nie myśleć, nie chcieć, nie pytać?* Wręcz przeciwnie! Myśleć, chcieć prawdziwych wartości i pytać, pytać, pytać! Mnożyć pytania jak hodowlane, chutliwe króliki! Niech kicają nam po głowie, pobudzając nawet te najbardziej leniwe komórki mózgowe do intelektualnego wzmożenia.

A gdy już opracujemy prywatny business plan na doczesne wskrzeszenie człowieczeństwa i związanych z nim trwałych wartości ze słynnej triady platońskiej (prawdy, dobra i piękna) - w podziękowaniu dla kunsztu dramatopisarskiego Igora Frendera możemy wyłączyć przyciskiem „off" całodobowo, agresywnie ryczące multipaszcze mass mediów. Te bezrefleksyjne połykacze czasu i ambitnych postanowień wszelkiego, aktywnego działania offline. Co w zamian za to? Warto wyjść z bliskimi na dłuuugi spacer. Ale uwaga! Bo oto w przestrzeni publicznej gdzieś obok nas: *Fałsz i prawda / spacerują pod rękę i zaglądają (...) do kieliszków*. Przejdźmy się więc poza zasięgi wszechmacek masztów telefonii komórkowych, poza ciasne bańki (bałagano) informacyjnych serwisów społecznościowych, złośliwe i podstępne generatory fake newsów, internetowe insygnia władzy kpiarskich paluchów lajków i „bananowych gąb" łysych emotikonek. Poza cyrkowo szczerzące się do nas piktogramy emoji – czy szalone pętle odtworzeń animacyjnych GIF-ów. Posadźmy swoją uważność w wygodnym hamaku, uplecionym z bycia tu i teraz (a nie tam i wtedy), by podglądać z łagodnym uśmiechem aprobaty ciche, nieśmiałe akty bezinteresownej dobroci tej niewielkiej grupy sprawiedliwych, dzięki którym świat jeszcze, jeszcze...

Ale cóż to, nadal czegoś uparcie wyglądacie? *Acta est fabula, plaudite!*[1]

Jednak słychać wasze posłuszne oklaski...

Ludzie, co z wami?! Nie zauważyliście, że czerwony przycisk został już przez Igora Frendera naciśnięty?

Niedobrze, niedobrze!

Mieliście się buńczucznie postawić, a nie zgodnie klaskać! Cóż, zatem wciąż jeszcze sygnał sterujący z pilota autora (wysłany w paśmie podczerwieni), nakazujący wam opór i walkę z systemem ujednolicenia - nie dotarł do waszej świadomości...

Anna Kokot-Nowak

Igor Frender, Jak wskrzesić człowieka, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich O/Wlkp., Poznań 2024.

1 Sztuka jest skończona, klaszczcie (z łac.).

Adam Bujarski

CHWILA

Wprędce moja dawna wychowawczyni z
liceum moja druga matka winna oddelegować mnie spod swojego domu jako byle chlebową kulkę

na powrót powinno być zimno a do tego kołdra niby cierpliwa sztuka mięsa by wkrótce schować się pod nią i czekać póty aż z wolna zrobi się cieplej

powinno być drzewo z dziecka bez rasy ażeby znów wspiąć się na nie podparłszy pomieszanym kosturkiem i pogwizdywać wobec terminu straty na ten średniowieczny spektakl u dołu

(niech Łaska uchroni choćby Madonnę przy schodach i Ducha Geniusza moich przedwcześnie bezsennych przyjaciół którzy jako dziwo nie wymagali by ich zobaczono
i przez których byłem najsłabszy w szeregu)

po czym zadrzeć głowę i pozwolić sobie
wypatrywać ułomności na i w niebie w których się zapamiętywałem na stratę grzecznej książeczki zległej
pod poduszką pełnej a priori przepisów na życie

Lecz jak na komendę na pewno przyjdą pytania Co dalej? Dokąd? Ile jeszcze? itp. boleję bowiem na
narzecza tych co przeżyli - przepraszam za zagadkowość -
Wieczność nie będąc kolejno zobowiązanymi rozumieć.

PAMIĘCI OJCA CHRZESTNEGO

Rad jestem dziś że ten ból jest inny
że nie idzie lwim ogonem w przesieki cerebrum
że znów na zaś mogę modlić się ażeby
Tego nie było po mnie znać
jakoby w zatrudnieniu florenckim

Uczony tobą
ubrany w nierozczesany sak
z trawskiem nawiasów w ustach
odejrzewałem sporo Za często
zwinkami kończyn sznurowanymi
na nowo i bez rozeznania karpackim drutem

Pokorny wobec praw stworzenia
wiedząc że zaraz same z siebie mogą się zmienić
Wyprostowany
oto jestem
tylko trochę zmęczony
jakby gdzieniegdzie zjedzony

ostatecznie bo
na całym gardle

DO JEJ ŚMIECHU

Gdybyś była kością zapiętą na ostatni
guzik zsyłką krwi czeredą jej pętelek
jak naciągiem odsianych wróbli
zaiste naturalnym łamańcem kolejnego
kraju w ziemniaczanej febrze
kojącym kciukiem na fidze powieki

- co pozwoliłbym sobie nazwać
rygoryzmem poznawczym niemniej -
Wiedziałbym
A tak wystarczająco to życie jest nieuniknione
chociaż drzewo lub jego co brudu pod
paznokciem zaburzenie
w tym wszystkim
nauczyłem się oddać jedną kreską.

JAGODA! K

Jakub Ciećkiewicz

Przed jutrzejszą wizytą w poradni urologicznej, gdzie co trzy miesiące sprawdzają czy mam nawrót raka, zrobiłem, jak zawsze, badanie krwi. Liczy się krew. Masz PSA na poziomie 0,06 to żyjesz. Masz 0,6... zaczyna się maraton: PET, zastrzyki z hormonów, naświetlanie przerzutów. Albo ostateczna decyzja. „Nie chcę. Porządkuję sprawy. Czekam na czarną łódkę, która zabierze mnie tam skąd przyszedłem, a może znacznie dalej? Na przykład do świata podziemi, który nie jest piekłem. Świata, gdzie szamani budują przyszłe domy. Albo do świata niebiańskiego, który nie jest Rajem, ale formą wypoczynku przed kolejną transformacją. A może moja dusza, doznając pasma cierpień, odkupiła los i w nagrodę poznam rzeczywistość najwyższą, którą pewien żyd z prowincji nazywał Królestwem?" Każdy z tych scenariuszy jest uczciwie dobry. Na onkologii nie ma ateistów. Tam właśnie wyleczyłem się z lęku przed śmiercią.

Jednak na razie mój duch opiekuńczy odniósł sukces. Zwierzę mocy się przebudziło. Trzecia dusza wróciła na ziemię z kosmosu. Wygrałem. Mam: 0,001… czego? Jakiegoś wskaźnika. Nie ważne. Mogę jechać na festiwal muzyczny do Salzburga. A tam, po szczeblach Mozarta, na smyczkach i strunach wiolonczel, wzniosę się ku wieczności skondensowanej w transie, w niebiańskiej wibracji, w boskości ukrytego światła.

Jestem podatny na uczucia i wrażenia. Psychiatra zdiagnozował u mnie rzadką chorobę, która nazywa się „nadmiernie wyostrzoną wyobraźnią". Pewnie dlatego znowu się zakochałem. Tak, ja. W moim wieku, przy mojej tuszy! 110 kilogramów… Zakochałem się miłością głupią, cielęcą, a przede wszystkim niemożliwą. Uczuciem starego wraka do młodej łani. Chorego do zdrowej. Samotnego wilka, do matki trojga dzieci, uwielbianej przez męża i sąsiadów. Pacjenta do terapeutki.

Mam na liczniku 65 i wiem już wszystko.

Nie powinienem się łudzić, a tym bardziej ośmieszać.

Ale się zakochałem.

Co robić? Jest na to jakieś lekarstwo? Na przykład czopki? Syrop? Albo tabletka pod język? Można by na tym sporo zarobić.

Psychologia określa miłość jako „krótkotrwałą psychozę". Biologia zbadała procesy fizyko-chemiczne zachodzące u zakochanych. Wiadomo, jakie każdy gruczoł wytwarza substancje. A jest ich mega-dużo. I wszystkie się gotują jak zupa w garnku.

Z badań socjologicznych wiadomo, że kobiety zakochują się bez wzajemności dwukrotnie częściej niż mężczyźni: dotyczy to 14 proc. pań i 7 proc. panów. Ale czy ja jestem mężczyzną? Po prostatektomii? Czyli, mówiąc oględnie, przecięciu tego i owego? W fazie oczekiwania na nawrót raka?

Tymczasem wyobraźnia pracuje. Kręci filmiki. Ona przychodzi do mnie i…

… i kurwa nic!

Zjadłem 10 opakowań cialisu.

Nie na raz, bo bym umarł. Co drugi dzień jedna mała pastylka. I co? Interes, że tak powiem leży. A przecież profesor obiecywał przed operacją, że seks będzie! (Podobno każdemu obiecuje, a potem tnie i koniec.) Mam znajomego w wojsku, wiem, że kilkunastu wyższych oficerów sztabu generalnego zrezygnowało z zabiegu, bo wolą śmierć w męczarniach niż hańbę. Tym się dranie zajmują zamiast nas bronić przed Ruskami. Każdy myśli tylko o członku.

W każdym razie, po powrocie ze szpitala natychmiast odbyłem kilka rozmów międzynarodowych. Sprowadziłem z Gorlitz strzykawki wypełnione płynem, które podobno czynią cuda. Bo jeśli Ona jednak kiedyś przyjdzie, stanie w drzwiach. I powie – Michał, szaleję za Tobą!? Albo ją zwabię, rozmiękczę, odurzę alkoholem czy marihuaną, wpadanie mi w ramiona... i wtedy co? Wstyd?

Widziałem ostatnio taki film. Denzel Washington leży sparaliżowany w łóżku. Może poruszać tylko małym palcem i szyją. Mimo to zakochuje się w nim najpiękniejsza kobieta świata: Angelina Jolie. Hollywood! Królestwo iluzji. Przesłanie filmu jest takie, że atrakcyjność faceta nie przebywa w penisie. Pełna zgoda. Ale w sytuacji sam na sam z kobietą trudno o substytucję. Ty dajmy na to masz ochotę, a ja zaśpiewam ci w zamian arię operową, albo dam kawałek tortu.

Teraz i z takimi myślami zmierzam do poradni onkologicznej, bo właśnie przyszedł mój termin badania. Miasto stoi w korkach. Radio denerwuje, rozprasza. Wciąż mówią o remontach, a co mnie to kurwa obchodzi. " Nie dla mnie sezamy ulic i kolorowych świateł gwiazdy, nie dla mnie ta noc nad miastem, gdy ciebie nie ma, to cóż wart jest świat". Była taka piosenka. Zresztą niedługo umrę i będzie po kłopocie. Może nawet lepiej umierać zakochanym?

…A jaka ona jest piękna. Ta Jagoda! Ale nie chodzi tylko o urodę. Chociaż zwłaszcza o nią.

I ma w sobie tyle światła. Ciepła. Miłości do ludzi i świata... Czuję. Widzę aurę, która ją otacza. Co ja gadam. Kocham ją. W dodatku jest ważna. Dla mnie i dla wszystkich – pacjentów onkologicznych, starych i młodszych pudeł, które rozlatują się co tydzień na grupie wsparcia w ośrodku terapeutycznym, kilka miesięcy a może lat przed śmiercią. Jagoda nas uczy filozofii życia. Ważna jest jakość, a nie długość. Liczy się każda chwila. Każda godzina, każdy dzień, każdy tydzień. Liczy się sport i śmiech. W tej właśnie chwili ją uwielbiam.

Szara bryła Szpitala Uniwersyteckiego wyłania się z porannej mgiełki, jak okręt, którym przewożono niewolników na Kubę. Każdego dnia ktoś się rodzi i ktoś wypada za burtę. Anioł śmierci i Anioł miłości mają niezła jazdę. Teraz z nudów grają w szachy, bo zespołowi udaje się utrzymać przy życiu dwa tysiące ludzi. Ta lecznica to najnowocześniejszy ośrodek w Europie. Nowy sprzęt. Starzy profesorowie. Śliczne pielęgniarki. Miłe salowe. Mój lekarz prowadzący wykłada w Wiedniu. Jest geniuszem! Trafiłem na jego oddział tylko dlatego, gdyż ciotka Matylda zapewniła go, że jestem jednostką społecznie wartościową. Cenną dla miasta. Nie tylko dziennikarzem, który może rozsławić klinikę, ale też osobowością.

Kiedy leżałem na oddziale operacyjnym stale pisałem. Dzień w dzień przez 8 godzin. Pielęgniarki zmieniały mi kroplówki, salowe pościele, lekarze wkładali głowę w drzwi lub palec w odbyt, a ja pisałem. Pisałem prozę artystyczną. Z tego wszystkiego personel nazwał mnie pisarzem.

- Ziuta, dałaś już panu pisarzowi leki? – słyszałem z korytarza.

- Nie, bo nad czymś teraz pracuje, nie chcę go rozpraszać.

Tak się złożyło, że mój lekarz prowadzący opublikował 8 powieści fantazy, a siostra przełożona kończyła tomik poetycki, pod okiem Jadzi Maliny, znanej krakowskiej i światowej poetki, która uchodziła w środowisku za anioła. Więc miałem z kim i o czym gadać. Opowiadaliśmy sobie sny, nowe pomysły literackie, wymyślaliśmy metafory. Doktor rzucił kiedyś okiem na wydruki opowiadań (zamiast na wyniki badań) i powiedział – O, to jest naprawdę bardzo dobre! Podobną opinię potwierdził podczas odwiedzin poeta Bawołek. A więc rak. Randka ze śmiercią. Morfina i antybiotyki…

D.O.M./GUSTAVUS/OBIIT CALENDIS NOVEMBRIS.

…uratowały mnie przed śmiercią wewnętrzną. Z nudów? Z życia!

A teraz wjeżdżam windą do poradni.

Czystość, sterylność, światło.

Na korytarzu teatr. Wszyscy chodzą, chodzą, chodzą, chodzą, a potem siadają.

Chłopak w szortach i koszulce polo uderza pięścią w tekturową teczkę z wynikami. Pewnie ma raka jądra. Jego dziewczyna zastygła. Ale nie. Rytmicznie rusza lewą stopą. Spokojnie, bez jądra jeszcze można długo. Ale bez prostaty raczej nie. Choć są różne przypadki, nie chcę odstraszać chorych.

Obok wyłania się prawy profil starszej kobiety. Szaro-brunatny. Jakby wycięty z bólu. Z lewej zapadają się plecy dziadka w fotelu inwalidzkim. A jeden chory ciągle chodzi do WC. A jedna chora modli się na różańcu. Tak to już jest na onkologii.

Nagle z windy wbiega matka z sześcioletnią dziewczynką w czerwonym polarku. Mała podskakuje, śpiewa, bucha śmiechem. Życiem. To prawie niestosowne! Jak tlen czy słońce w trupiarni. Ale przecież… powinni przywozić do nas całe autobusy dziewczynek w czerwonych polarkach żebyśmy przyszli do siebie.

Robię selfi. Mam nietęgą minę. Nie umieszczę go na Facebooku.

Dziś jest jeszcze w miarę. Ale co, jeśli nowotwór zacznie się namnażać? Wytrzymam, czy wpadnę w dół z depresją. Prosto w wapno? Poczuję, że zjeżdżam windą towarową do piwnicy. Huczy mi w głowie, dookoła telepie się odrapana skrzynia z rdzy. Stop. Wysiadka. Finał. Drzwi się zacinają. Skrzypią. Dalej ciągnie się opuszczony i wygasły kanał. Kiedyś kręciłem film w takim budynku, właściwie klip reklamowy do mojej powieści. I było bardzo metafizycznie...

Czy kiedy się wszystko zacznie, pomoże mi Jagoda?

Nasze spotkania w ośrodku psychologicznym wyglądają tak:

Dookoła sali stoją stylowe kanapki. Każda na 3 osoby. Są stoliczki, fotele, biurko, flipczarty, ekran. Zachowujemy się normalnie, jak kto może – jedni leżą, inni siadają.

Kiedyś w tym budynku mieścił się burdel Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Towarzysze chlali i biegali po korytarzach za kurwami. A teraz jest centrum psychoonkologii. Pacjenci biorą chemię i uganiają się za życiem.

Oni grzali. My się wykańczamy. W przyrodzie musi pozostać równowaga.

Poeta Junk ledwie się dowlókł. Źle wygląda, blady, zgięty, zmarniały, nosi dziwny pas na brzuchu. Pewnie po to, żeby nie odfrunął do nieba.

Ania półleży. Jest po kolejnej chemii. Jeszcze jej włosy nie wyszły z głowy. Ładnie wygląda. Ale mówi, że z trudem dojechała.

Roma, dziś jako tako.

Beata zakończyła terapię w szpitalu.

Jacek bierze naświetlania.

Ja nie mam na razie przerzutów, czy to znaczy, że wracam do zdrowia?

Miło jest w tej gromadce. Ciepło. Przytulnie. Grzejemy się przy kominku. Patrzymy w zielone oczy Jagody i zawsze mamy o czym gadać. Że zostawili nas przyjaciele. Że nie jest już tak, jak dawniej. Czas ucieka.

OCHAM CIĘ

Żeby jakoś ich wybić ze śmierci opowiadam o francuskich winach, urządzam degustacje, przynoszę egzotyczne sery i oliwki. To jest mój wkład w życie.

Junk chciałby jeszcze przejechać się lexusem.

Ania odchować córkę.

Jacek dokończyć budowę elektrowni.

Roma przeżyć psa.

Ja chciałbym skończyć książkę. Nie tą, nad którą pracuję, tylko tą, którą noszę w głowie. Więc wypadałoby pożyć ze trzy lata. No i do tego wszystkiego się zakochałem.

Kiedyś powiedziałem w grupie, że kobieta według mnie powinna nosić sukienki. Następnym razem Jagoda włożyła sukienkę. Wytrzeszczam oczy. Bo to piękna, arabska, błękitna suknia, a ona mówi półgłosem: – Miałam nadzieję, że dziś przyjdziesz.

Kokieteria? Kobieta. Dziewczyna.

Ma 45? 50 lat? A ja 65. Ale to jeszcze nic. Bo artysta jest przecież trochę bez wieku, byle zrzucił 20 kilo i przestał pić. Ale ona ma wszystko. Udaną rodzinę, pieniądze, sukcesy… A ja nie mam erekcji.

Lepiej wróćmy na grupę.

Anioł nas jeszcze nie wzywa. Możemy pożyć. Nawet z uśmiechem przylepionym do warg. Cieszyć się tym, co zostało. Dzielić czas na chwile napęczniałe jak winogrona w październiku tuż przed ostatnim zbiorem. Koncert Mozarta, opera, poezja Rilkego… to są prawdziwe leki.

A kiedyś spadnie kwaśny deszcz o smaku popiołu. Węgla. Ziemi. I poeta Junk się zamieni w kwiatek.

- Michał S…!

W drzwiach poradni stoi młody lekarz. Teraz pana kolej.

Lubię lekarzy, zwłaszcza frontowych. I pielęgniarki. Instrumentariuszki. To są… ludzie. Kurczę. Naprawdę. Wszyscy powinni zarabiać w bitkojnach. A jeszcze się śmieją, żartują…

- No jak tam PSA?

- Świetnie.

- Widzę, że ma pan strzykawkę. Nauczyć pana jak się robi zastrzyk w penisa?

- Właśnie.

- To proszę na łóżko.

Związuje mi członka u nasady kawałkiem bandażu. Ślimak się rozlewa. Słabo.

- Teraz uwaga. Wbijamy igłę pod kątem 90 stopni. Ile panu wstrzyknąć 10? Czy 20?

- Może 10. Na próbę.

- Ciach i po sprawie. Widzę, że rośnie. Proszę wracać do swojej kobiety.

Oczywiście żadna kobieta na mnie nie czeka. To na wypadek gdyby przyszła Jagoda, która nigdy nie przyjdzie. Ale mi trochę ulży na psychice.

Jadę. Coś słabo. Trzeba było walnąć 20 gramów. Trochę jednak twardnieje. Za mało, za mało…

Ale przynajmniej zrobiłem początek. Jestem już w innym punkcie.

Wobec Jagody? Hmm… Ona jest jak zapach błękitu. Zanurzam stopy. Idę po miękkim. Słonecznym. Prosto w studnie zielonych oczu. Ona chyba wie? One zawsze wiedzą. Czasem czekają. Dziwią się, kiedy facet stygnie. No i co z tego?

Nagle przypomina mi się stary poeta, który z miną Katona oświadczył:

– Panowie! Kobieta to nie jest gumowa lalka.

Inna rzecz, że o ile pamiętam, tak właśnie traktował wielbicielki, które spodziewały się czułości i sentymentów, a zostawały przeleciane i zapomniane.

Tak by nie było z Jagodą!

Ale ZDOBYĆ a potem UTRZYMAĆ przy sobie TAKĄ kobietę?

Załóżmy jednak…

I nagle ona chce się do mnie sprowadzić z dziećmi. Co dalej?

No, raczej… mało prawdopodobne.

Zresztą, po co te fantazje? Do niczego nie doszło. Dałem jej książkę z wymowną dedykacją, jak to pacjent lekarce. A teraz przychodzi na zajęcia w sukienkach. Ostatnio obiecałem ją zabrać do Algierii. Zgodziła się. Pojedziemy w małej grupie. Może wystarczą dwie osoby? Ja i ona.

Nie wiem tylko, czy się odważy.

A ja? Raczej nie. Będę przecież umierał. Tak, umrę i będzie po sprawie. Problem się sam rozwiąże.

Tylko wcześniej wyskoczę na festiwal mozartowski do Salzburga. I dokończę książkę.

Jakub Ciećkiewicz

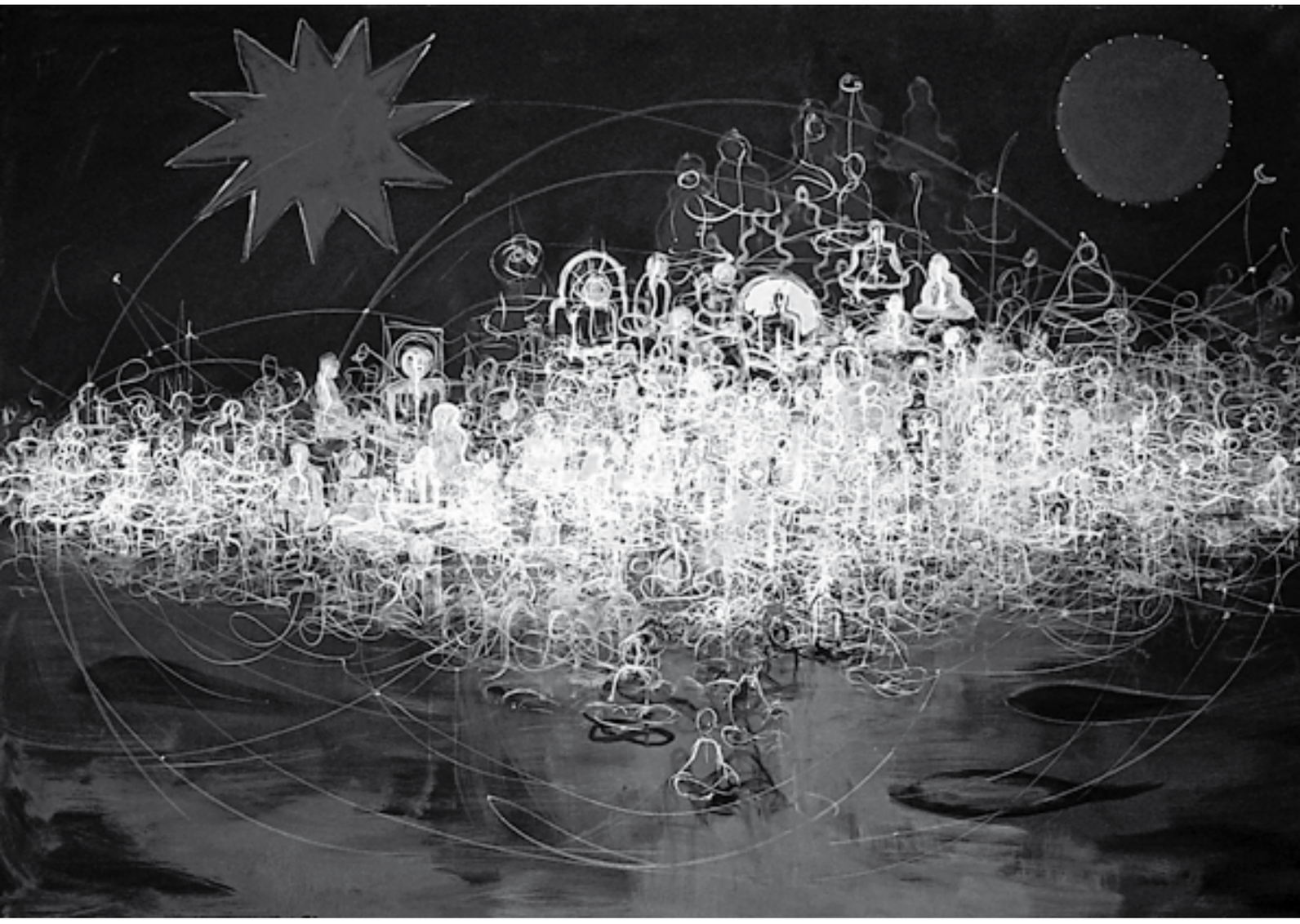

ESEJ

Stary człowiek też może... i inne herezje literackie

Michał Skrętek

Ernest Hemingway nigdy nie był moim ulubionym autorem. Ten mąż czterech żon, ojciec trojga dzieci, pisarz, żeglarz, żołnierz, szpieg… Oto obrazoburcza ocena postaci samobójczego noblisty, którego twórczość inspirowała miliony, a który kończąc swe sześćdziesięciodwuletnie życie pogodził się ze wszystkim, tylko nie z samym sobą. A może nawet i tego nie zrobił ?

Autor „*Powrotu żołnierza*" „chciał mieć dom, ale podczas każdego dłuższego pobytu zaczynała go drażnić panująca w nim atmosfera. Kochał swoje dzieci, ale prawie nigdy nie spędzał z nimi czasu. Lepiej mu się pisało w pośpiechu, w pokojach hotelowych przypominających cele klasztorne niż w domu w Key West"[1].

Gdy myślę o Hemingwayu oczyma wyobraźni widzę starszego, siwego brodacza, o bujnej czuprynie, w charakterystycznym grubo tkanym golfie. Rzeczony wytwór mej wyobraźni przypomina człowieka, który dopiero co zszedł z pokładu rybackiego kutra aby, gasząc pragnienie w portowej tawernie, odpocząć przed kolejnym połowem.

Tak naprawdę jest to opis zdjęcia, które dzięki swej charakterystycznej surowości, stało się częścią kultury słowa i obrazu. Postać autora „*Pożegnania z bronią*", jaką można zobaczyć na wspomnianej fotografii, jest dla mnie archetypicznym uosobieniem siły i surowości, którymi przepełniona jest twórczość Hemingwaya.

Zmarła 13 maja br., w wieku 93 lat, Alice Munro – pisarka nazywana „Kanadyjskim Czechowem", była mistrzynią krótkiej formy prozatorskiej, czego wyrazem było przyznanie jej, w 2013 roku, literackiej nagrody Nobla, właśnie za kunsztownie tworzone historie, zamknięte w opowiadaniach. Munro tworzyła swe opowiadania w przerwach między opieką nad dziećmi a zajmowaniem się domem, co nie pozostawiało jej zbyt wiele czasu na dłuższe formy prozatorskie.

Ernesta Hemingwaya trudno byłoby posądzać o opiekę nad kimkolwiek poza sobą samym, dlatego też jego lapidarność miała zupełnie inną genezę i odmienną naturę. Korzeni skrótowości w dziełach autora „*Motyla i czołgu*" należy szukać w dziennikarstwie prasowym, któremu Hemingway poświęcił najwcześniejsze lata swego życia, gdy, tuż po zakończeniu szkoły średniej, został członkiem redakcji „*Kansas City Star*".

Hemingway cenił twórczość innych, tak jak to było z prozą Jamesa Joyce, lecz nie szczędził im cierpkich uwag. „Jego zdaniem, „słabością Joyce'a" była niezdolność zrozumienia, że jedynym dobrym pisarstwem jest takie, które zostało wymyślone, zrodzone z wyobraźni… Dedalus (sic!) z „*Ulissesa*" jest samym Joyce'em jest więc postacią nieudaną[2].

Co stanowi klucz do literackiego sukcesu, jakim Hemingway cieszył się przez większość swej literackiej kariery ? Czy jest to jedynie wspomniana już zwięzłość wypowiedzi ? Gdy przypomnimy sobie Alice Munro odkryjemy, że Ernest Hemingway nie był jedyny, po piętach deptali mu William Faulkner i John Steinbeck. Moje zainteresowanie twórczością Faulknera i Steinbecka w dużej mierze wynika z podziwu nad ich wielością wypowiedzi i związana z nią, przejrzystością w prowadzeniu narracji. W dużej mierze dotyczy to również Hemingwaya, lecz Faulkner i Steinbeck w niczym mu nie ustępują.

To, co na pierwszy rut oka da się zaobserwować, to fakt, iż William Faulkner pisze spośród nich zdania najdłuższe, najbardziej złożone, czego nie ma aż tak wiele w twórczości autora „*Powrotu do Edenu*", a w ogóle próżno ich szukać w utworach Hemingwaya. Autor głośnej powieści „*Komu bije dzwon*" budował dramaturgię swej narracji w oparciu o przeżycia, których niewielu było dane doświadczyć. Jednocześnie nie wolno nam, popadając w zachwyt, pominąć faktu, iż udział Hemingwaya w działaniach wojennych na froncie I wojny światowej był ograniczony, z powodu dość szybko odniesionych na polu bitwy ran.

Tak, jak literacka rzeczywistość Hemingwaya przesiąknięta jest atmosferą różnych odcieni wojny, a Johna Steinbecka depresją wielkiego kryzysu lat 30' XX stulecia, tak u Faulknera mamy wiele odniesień do rzeczywistości społecznej opartej na konflikcie rasowym. „W pierwszych dziełach Faulknera – powiada Franciszek Lyra – „*Żołnierskiej zapłacie*", „*Moskitach*" i „*Satrorisie*" – postacie murzyńskie niewiele różnią się od stereotypowych figur…, choć już w ostatniej z wymienionych powieści autor poprzez postać Caspeya, jednego z poddanych Sartorisów, wprowadza Murzyna będącego w konflikcie z istniejącym porządkiem rzeczy"[3].

Starszy od, o Hemingwaya zaledwie dwanaście miesięcy, Erich Maria Remarqe także był przedstawicielem straconego pokolenia, doświadczonego trudami wojny 1914 roku. Gdy mówimy o autorze „*Za rzekę, w cień drzew*" często, mimowolnie porównujemy pisarza ze wspomnianymi już Faulknerem i Steinbeckiem. Robimy to zapominając, iż takie porównanie jest zasadne jedynie w ograniczonym zakresie – sposobu pisania, nie tematyki utworu. Biorąc pod uwagę to ostatnie nie minę się z prawdą, gdy naprzeciw autor „*49 opowiadań*" ustawię właśnie Remarqe'a.

„*Pożegnanie z bronią*", „*Motyl i czołg*", „*Śmierć po południu*"… wspólnym mianownikiem tych utworów Hemingwaya jest nie tylko sam autor i jego widzenie świata, ale także odwaga, której różnorodne przejawy obecne są w nich w wielu miejscach. „Tyle wiemy o sobie ile nas sprawdzono" – powiada Wisława Szymborska, a na kartach swej prozy wtóruje jej autor „*Śmierci po południu*", pisząc, m.in.: „Nikt nie może powiedzieć, oglądając byka bojowego w corralach, czy ten byk będzie odważny na arenie, aczkolwiek zazwyczaj im byk jest powściągliwszy… tym większe są szanse, że się okaże odważny"[4]. Przez tę analogię możemy dojść do stanu emocjonalnego targającego człowiekiem, będącym w sytuacji skrajnego poczucia niepewności.

Co do Remarqea, to w przypadku jego prozy najbardziej dojmujące jest poczucie straty. Osobiście odnajduje je w tych fragmentach utworów autora „*Łuku triumfalnego*", w których mowa jest o ludziach należących do tej samej, co Remarqe, generacji. Czytając „*Na zachodzie bez zmian*" miałem wrażenie zapadania się w atmosferę przemożnej ciemności, skrywającej grozę tego, co niepewne. Gdy przeszedłem do „*Pożegnania z bronią*" Hemingwaya, uderzyło mnie ono spokojem, który poczułem za sprawą specyficznej, dla autora „*Wyspy na Golfsztromie*", narracji.

Spośród wspomnianych twórców to John Steinbeck[5] wydaje mi się pisarzem najbardziej „społecznym", porównywalnym z wymienionym już Williamem Faulknerem. W przypadku Johna Steinbecka historia farmerskiej rodziny Trasków z „*Powrotu do Edenu*" – współczesnej wersji biblijnej przypowieści o losach Kaina i Abla, Joadów z „*Gron gniewu*", czy któregokolwiek z bohaterów „*Pastwisk niebieskich*", wypełniona jest dojmująco motywem wędrówki. Gdyby koniecznie chcieć porównać Hemingway'a ze Steinbeckiem, należałoby skonfrontować twórczość autora „*Zielonych wzgórz Afryki*" ze steinbeckowskimi zbiorami opowiadań: „*Była raz wojna*" i „*Bomby poszły*". W takim układzie sił do gry mógłby wejść także Remarqe.

Wojenna proza Steinbecka jest nie tylko ciekawym przykładem obserwacji uczestniczącej, jak mieliśmy okazję się o tym przekonać, m.in. z „*Dziennika z podróży do Rosji*", lecz także istotnym wkładem autora w historię literatury antywojennej, nawiązującej do spuścizny Hemingwaya. „Żołnierze amerykańscy ćwiczyli na plażach Afryki Północnej przygotowując się na plaże włoskie. – pisał Steinbeck w pierwszym ze swych dzieł, 29 września 1943 roku – Kiedy zaś nauczyli się wyskakiwać, nacierać, kryć się i znowu biec naprzód… rozpoczęli naukę, jak się zachować przy wchodzeniu do nieprzyjacielskiego miasta"[6].

Gdy twórczość wspomnianych pisarzy sprowadzimy do wspólnego mianownik, będziemy mogli poddać ją rygorowi eksperymentu myślowego, który niniejszym proponuję. Byłby to mianowicie konkurs literacki. Zabawnym byłoby moim zdaniem zobaczyć Ernesta Hemingwaya, Johna Steinbecka i Ericha Marię Remarqe'a, toczących zaciekły bój na słowa i wersy, po tym czego doświadczyli na polach bitew wielkiej wojny.

Ciekaw jestem, jak długo zajęłoby znalezienie w twórczości wymienionych literatów czegoś, co nadawałoby ich dziełom, a przez to im samym z perspektywy znanych nam ich dokonań, bardziej ludzki wymiar. Tak jak to było u Faulknera, którego styl – na co zwraca uwagę Bronisław Wiśniowski – „jest wynikiem celowych poszukiwań…poprawność stylistyczna „*Zapłaty żołnierzy*" jest poprawnością uczniowską"[7].

W moim domowym księgozbiorze jest tylko jedna książka, którą mam w dwóch egzemplarzach, jest to „*Pożegnanie z bronią*" Hemingwaya (Wydania z 1969 i 1975 roku). Pod koniec życia autor mini powieści „*Stary człowiek i morze*" chorował m.in.: na depresję, chorobę afektywną dwubiegunową, miał cukrzycę i chroniczne problemy z kręgosłupem. Tragiczną pomyłką i łatwowiernością opiekujących się Ernestem lekarzy było wypisanie go do domu, w którym się zastrzelił. Ja, ten starszy egzemplarz książki, kupiłem na aukcji internetowej, może nie przez tragiczną, ale jednak przez pomyłkę, bo czy można się z kimś żegnać dwa razy…?

Michał Skrętek

1 M. Reynolds, „*Hemingway człowiek i pisarz 1929-1961*", *Świat Książki, Warszawa 2014, s. 260-261.*

2 K. S. Lyn, „*Hemingway*", *WL, Kraków 1999, s. 119.*

3 F. Lyra, „*William Faulkner*", *PIW, Warszawa 1966, s. 93.*

4 E. Hemingway, „*Śmierć po południu*", *PIW, Warszawa 1971, s. 123.*

5 M. Skrętek, „*Dusza człowieka w realizmie – rzecz o Johnie Steinbecku*", *[w:] „Goniec Staszowski", nr. 4/2023, s. 10-11.*

6 J. Steinbeck, „*Była raz wojna*", *Pruszyński i S-ka, Warszawa 2018, s. 171.*

7 B. Wiśniowski, „*Faulkner, Hemingway, Steinbeck*", *Czytelnik, Warszawa 1963, s. 15.*

Ewa Niezgoda - Gierszewska

Pytanie o Anioła

nie zapytam którego anioła wylosowałeś
bo w Twojej twarzy odbija się twarz Boga
może jesteś ziemskim aniołem …
niepotrzebny Ci los
w lustrze widać skrzydła dobroci i miłości
to dlatego urzekłeś mnie anielskim głosem
po drugiej stronie słuchawki
na pewno spotkałeś Boga
to On przysyła Anioły do ludzi w potrzebie
samotnych i porzuconych
wmawiam Ci że jesteś moim czarodziejem
odkąd jesteś obok czuję się szczęśliwa
oczarowana
nie mogę zdradzić co odkryłam
bo odlecisz zaskoczony
chcę tulić się w naszej codzienności
ziemskiej zwyczajnej
niech trwa jak najdłużej ten nasz skrawek nieba
Nie zapukam

nie zapukam

choć wychowano mnie inaczej
zwyczajnie nacisnę klamkę
i usiądę przy Twoim stole
razem podsumujemy życia posiłek
czy jest dobrze doprawiony
a może ktoś go przesolił
albo spalił
nie doprawił
a może dostanę nowy przepis ...
czekam
nie przychodzisz
to jeszcze nie ta chwila
zabierz mnie z powrotem aniele drogi
wracam
do moich białych kartek
posiedzę pod gwiazdami
upoję płuca atramentem nocy
zanim nadam moim myślom
drukowany kształt

wierność

czekam na zaproszenie
do tańca w nowy dzień
nową noc
nowy wiersz
szukam czystej
kartki i ołówka
zapisuję chwile
by pachniały
Tobą
marzę o jesieni
o różach Różewicza
o spadających wersach prosto
do mojego lasu
spaceruję między
słowami
słucham śpiewu
ptaków
jak dobrze że to wszystko
mam na wyciągnięcie
pióra

klucz

szum myśli
kolorowych i głośnych
stado ptaków
nad chłodnym porankiem
nagle
zapachniało znajomo
pióra uniosły mnie wyżej
chmur
zaniemówiłam
szum rozdmuchał słowa
poleciały
być może do cieplejszych krain

ESEJ

Gabriela Raczkowska

Czy to nie człowiek stworzył maszynę?

Wstęp – sztuczna inteligencja w kulturze

Naukę początku XXI wieku charakteryzuje niehomogeniczność zarówno pod względem obszarów tematycznych, jak i paradygmatów badawczych. Zbigniew Chojnowski nazywa ten stan poczuciem niemocy wobec nadmiaru obiektów, które mogą lub powinny zostać zbadane oraz wynikającego z tego chaosu[1]. Pojawienie się sztucznej inteligencji dodatkowo nadwyręża nasze możliwości poznawczego nadążania za zmieniającym się światem. Ten proces przekształcania rzeczywistości na model znany nam dotychczas jedynie z filmów *science fiction*, w którym inteligentne maszyny współżyją z ludźmi, jest nie tylko problematyczny etycznie, ale również powoduje psychiczny dystres, poczucie zagrożenia wobec tzw. superinteligencji.

Systemy AI, jak na razie, to narzędzia wspomagające człowieka w codziennym życiu i systemach organizacji społeczeństw; transporcie, rolnictwie, usługach publicznych czy produkcji przemysłowej. Coraz częściej jednak obserwujemy wkraczanie systemów AI w obszary dotychczas kojarzone z podmiotami charakterystycznymi jedynie człowiekowi, związane z naukami humanistycznymi i ze sztuką. Zaczynając od marketingu i reklam, kształtujących nasze postawy, po prace o wartości artystycznej, jak obrazy, teksty prozatorskie i liryczne.

Sztuczna inteligencja a literatura

Ten kierunek rozwoju systemów sztucznej inteligencji wyjątkowo przykuwa naszą uwagę – w końcu sztuka jest dziedziną wyrażającą duchowy aspekt działalności człowieka, wykraczanie poza przeciętność, stagnację, prozę codziennego życia. Forma poetycka oferuje w tym kontekście możliwość zabawy słowem, tworzenie form nieraz z pogranicza literatury. Poeta rzeźbi słowem, zmienia jego kształt i znaczenia, bawi się strukturą, ukrywa osobiste znaczenia w sferze symboli i metafor. Jednocześnie poezja, jak żadna inna sztuka literacka, staje się osobistym przeżyciem odbiorcy, niejako dostrajając się i odpowiadając na jednostkowy odbiór. Filtrowana przez osobiste doświadczenia i emocje, poezja zmienia swoją przynależność, stając się odbiciem „duszy" każdego swojego czytelnika.

W obliczu sztucznej inteligencji i ery tekstów pisanych przez jej algorytmy, czujemy naturalną potrzebę bronienia sfery sztuki, która jest ważną częścią historii, kultury, a więc i zbiorowej tożsamości. Ciekawość nakazuje nam szukać w AI nowych możliwości, w tym twórczych, strach natomiast podpowiada, aby bronić tego, co nasze, co ludzkie. Jak więc powinniśmy postrzegać poezję sztucznej inteligencji? Czy powinniśmy uznać jej miejsce w świecie literackim? Czy AI wkraczające na rynek pisarski jest pogwałceniem człowieczego ,,ja'', czy szansą dla rozwoju tej gałęzi sztuki?

Wartościowanie poezji

Przygotowując się do rozważań nad wartościowaniem poezji AI, należałoby zacząć od operacjonalizacji pojęcia wartościowania. Rita Schober, niemiecka romanistka i literaturoznawczyni, proponuje taką definicję: „Wartościowanie wyraża stosunek między podmiotem a przedmiotem. W procesie wartościowania, możemy wyróżnić trzy czynniki: oceniający podmiot, poddawany ocenie przedmiot i układ odniesienia"[2]. W przypadku literatury, układ odniesienia może stanowić kontekst historycznoliteracki, społeczny, artystyczny. Dzieło literackie jest traktatem o wartościach; są one przywoływane wprost poprzez przedmioty, ich wzajemne przyporządkowania oraz związek z kontekstem aksjologicznym. Istotne w utworze są więc powiązania systemów znakowych, w których to uwidaczniają się kulturowe aksjologie[3].

Jest to, uważam, główny zarzut wobec poezji sztucznej inteligencji, która nie pojmuje w sposób podobny do ludzkiego świata wartości. Może jedynie imitować potrzeby duchowe człowieka, tak samo jak imituje inne cechy jego natury. W końcu została stworzona na nasze – ludzkie – podobieństwo. Idąc tym tokiem myślenia, dopiero w momencie, gdy uniezależni się od swojego stworzyciela i rozwinie własny świat wartości, jej poezja będzie mogła być przyrównywana do naszej – pytanie tylko, jaki będzie to świat? Jakich wartości? I czy będziemy na tyle zaawansowani, by zrozumieć własne, technologiczne dziecko?

Poezja jako nośnik wartości

Prowokatorem do dyskusji o poezji AI jest fakt, że utwór, szczególnie poetycki, może być manifestem duchowego aspektu ludzkiej natury, poszukującej sensu naszego wrażliwego istnienia w świecie. Poezja jest formą otwartą, nieraz trudną do skategoryzowania, co jest nie tyle wadą, co zaletą dla zaznaczania przez pisarza swojej indywidualnej, twórczej obecności. Zbigniew Chojnowski, polski poeta, prozaik, krytyk literacki, nazywa poezję:

> […] udzielającym się językowi, duchowym zmaganiem człowieka z Niewytłumaczalnym, stawaniem po stronie nieskończoności, wydobywaniem się z przemocy bezmyślności, rozwijaniem wyobraźni i niezgodą na zanik sfery symbolicznej4.

Nic dziwnego, że dyskusja o sztucznej inteligencji tworzącej sztukę wywołuje tyle emocji; w końcu wszyscy podzielamy uczucie, że poezja jest czymś naszym, równie kruchym jak natura człowieka, czego nie da się odtworzyć za pomocą algorytmów i kodów. Intuicyjnie bronimy nośnika naszego egzystencjalnego bagażu; pragnień, wątpliwości, lęków.

Marion Dänhoff stawia tezę o odrzuceniu przez współczesną kulturę całej metafizyki, która w obliczu pisania poezji może wiązać się z pewną formą kryzysu treści[5]. I faktycznie, moment, w którym znajdujemy się jako cywilizacja Zachodu, może na pozór przypominać degrengoladę. Może jednak ten moment kryzysu jest naturalnym etapem przejściowym w procesie burzenia starych wartości i tworzenia nowych? Stare wierzenia upadają, a na ich zgliszczach wyrastają nowe. Pewne przemiany kulturowe mają z pewnością wpływ na wyjątkowy w dziejach, aksjologiczny chaos. Globalizacja i przenikanie się kultur, wymieranie języków i ujednolicanie doświadczeń ludzi z różnych części globu ogarnęły świat zachodu. Geograficzny dystans przestał być problemem w dobie social mediów, które są współczesnym oknem na świat. Ta panorama jest jednak trudna do objęcia, a tym bardziej do ogarnięcia rozumem. Sztuczna inteligencja może poradzić sobie z tym zadaniem lepiej od człowieka, nawet jeśli nie wyrazi związanych z tymi procesami stanów duszy.

Czy w futurystycznej rzeczywistości literackiej, najbardziej ludzkie nie będzie to, co osobiste, brzydkie, nieidealne? Poezja pisana przez człowieka w celu osobistej i zbiorowej terapii może być jedynym kierunkiem rozwoju w konkurencji z koncepcyjną, intelektualną poezją AI. Wszystko zależy jednak od rozwoju samej sztucznej inteligencji i naszej relacji z nią. Już teraz nasze lęki przed tym, czym może się stać, ukazują poczucie niższości naszej zbiorowości. Czy poezja jest naprawdę ostatnim upadłym bastionem w naszym kryzysie postrzegania siebie jako ludzkość?

Kolejne pojawiające się pytanie: skąd bierze się w nas przeświadczenie, że poezja jest formą przeznaczoną tylko człowiekowi? Jedną z możliwych odpowiedzi, jest funkcja ideowa poezji. Rita Schober przytacza, że najważniejszy w tworzeniu sztuki jest nie materiał, a problem, z którym artysta go wiąże. To właśnie problem i związana z nim koncepcja tworzą ideę artystyczną poezji6. Literatura tworzy więc świat wartości, a jej szeroki zakres przedstawia ogólny stosunek człowieka do rzeczywistości, która go otacza. Poezja jest dla nas źródłem poznania, nośnikiem idei, które wyrażają się nie tylko w treści, ale również w formie; w estetyce językowej7. Poezja jest więc osobną ideą w sensie estetycznym, jest sposobem transmisji idei i wartości, ale również, miejscem ich praktykowania poprzez język, pracę w języku8.

Jak w tym kontekście radzi sobie AI? Z pewnością może albo będzie mogła

1 M. Coeckelberg, Can Machines Create Art?, ,,Philosophy & Technology" 2017, nr 30.

2 R. Schober, Zagadnienie wartościowania dzieł literackich, ,,Pamiętnik Literacki" 1985, nr 4.

3 G. Mendecka, Twórczość a rozwój człowieka w biegu życia, ,,Psychologia rozwojowa"2005, nr 4.

4 Z. Chojnowski, Idee i wartości poezji oraz poezja o ideach i wartościach, w: Konstelacja Topoi o rzeczach najważniejszych, wybór A. Gleń 2017, s. 203–217.

5 M. Coeckelberg, Can Machines Create Art?, ,,Philosophy & Technology" 2017, nr 30.

6 R. Schober, Zagadnienie wartościowania dzieł literackich, ,,Pamiętnik Literacki" 1985, nr 4.

7 I. Kant, Krytyka władzy sądzenia, PWN, Warszawa, 1986.

8 Z. Chojnowski, Idee i wartości poezji oraz poezja o ideach i wartościach, w: Konstelacja Topoi o rzeczach najważniejszych, wybór A. Gleń 2017, s. 203–217.

w przyszłości do pewnego stopnia wyłaniać z tekstu idee i je przywoływać, może je zatem transmitować. Ale czy może je praktykować poprzez język? Czy jest w stanie tworzyć skomplikowane struktury znaczeniowe, które poradzą sobie z tym misyjnym wręcz zadaniem? Nawet jeśli tak, to czy zmieniłoby to nasze nastawienie? Uważamy przecież poezję za osobny byt, ale jednocześnie, będąc nośnikiem wartości, jest ona niejako przedłużeniem nas samych.

Praktykowanie idei poprzez język, oznacza również, że wartości pomnażają się w wyniku poddawania doświadczeń refleksjom i dyskusjom – nawet jeśli są to doświadczenia wtórne[9]. W tym wypadku, wiersz pisany przez sztuczną inteligencję może mieć równie stymulujące poznawczo i społecznie oddziaływanie – to nasze kolektywne i indywidualne filtry znaczeń odpowiadają za proces interpretacji i przeżywania czytanego tekstu.

Twórczy odbiór

Odbiór poezji sam w sobie jest pewnym rodzajem twórczości. Poezja domaga się od konkretnej osoby wewnętrznie autentycznej praktyki twórczej, inspirując aktywność emocji, wyobraźni, pamięci czy sumienia. Oceniając wartość sztuki, nie można pominąć aspektu jej odbioru. Doświadczenie odbiorcy to główny argument za uznawaniem wytworu maszyny za dzieło sztuki. Ten pierwszy, spontaniczny odbiór, w naszym przypadku poezji, prowadzi do „praoceny", jak nazywa to wartościowanie Rita Schober10. Dopiero potem może dojść do uzasadnionej oceny dzieła. Literaturoznawczyni zwraca również uwagę na to, że ocenianie literatury jest poniekąd wartościowaniem drugiego stopnia – podległy ocenie wiersz sam zawiera już ocenę ze względu na odzwierciedlany przedmiot.

Co jest ważniejsze w kontekście poezji – proces twórczy czy twórczy odbiór? Myślę, że nie ma na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi.

Znaczenie poezji dla człowieka

Poezja sztucznej inteligencji – to wyrażenie wydaje się być pełne sprzeczności. Może ze względu na funkcję, jaką pełni poezja w naszym życiu? Człowiek, w przeciwieństwie do maszyny, zmienia się w czasie poprzez doświadczenia. Ten rozwój jest progresywny i ukierunkowany na cel, tak samo twórczość[11].

Według psychologii humanistycznej, twórczość jest związana z dążeniem do samorealizacji, która natomiast znajduje się na szczycie piramidy Maslowa, jako potrzeba wyższego rzędu. Napędza nas poszukiwanie sensu własnej egzystencji, dążenie do autonomii i przekraczania siebie. Zrównanie pojęcia twórczości i samorealizacji, sugeruje, że człowiek tworzy, bo musi, tworzy dla samego procesu tworzenia, dla nadawania wartości i wyrażania siebie. Carl Rogers, jeden z głównych przedstawicieli psychologii humanistycznej, twierdził, że twórczość, tak samo jak wolność, jest warunkiem optymalnego funkcjonowania człowieka. Za to w szerszej optyce, w wymiarze społecznym, niektóre dzieła dają często impuls dla rozwoju wiedzy, sztuki lub wręcz cywilizacji. Najwyżej oceniane są więc te osiągnięcia twórcze, które owocują dziełami o wysokim stopniu generatywności, tzn. mają wpływ na przyszłość kolejnych pokoleń[12]. Czy AI oprócz naśladownictwa, pewnej stylizacji językowej, może dojść do tego poziomu tworzenia? Nic dziwnego, że twórczość AI budzi tyle emocji – może poezja nie potrzebuje już nas, ale najwyraźniej my potrzebujemy poezji. Jednocześnie, jest w tym pewna ironia, paradoks; w końcu, czy to nie człowiek stworzył maszynę?

Twórcza sztuczna inteligencja?

Teoretycy literatury i badacze starają się skategoryzować twórczość robotów; profesor Michał Ostrowski – filozof publikujący pod pseudonimem Sidey Myoo – wyróżnia twórczość inteligentnych robotów, które są twórcze w tym znaczeniu, że np. tworzą różniące się od siebie obrazy. Proces ten polega na dopasowaniu powstającej artystycznej formy do jakiegoś ogólnego, ale dość skonkretyzowanego wzorca, zdefiniowanego na podstawie zapisanych możliwości w bazie danych i algorytmów programu. Twórczość człowieka jest opisywana za to w znaczeniu oryginalności i nowatorstwa, o wspomnianym wcześnie, wysokim stopniu generatywności – wkładu, jaki dzieło wnosi do obszaru kultury. Filozof uważa, że AI nie jest stworzone do tego rodzaju twórczości; reprezentuje ona stanowisko, że inteligentne roboty są twórcze w pierwszym znaczeniu i nazywa to twórczością wtórną, ale nie są twórcze w drugim znaczeniu, nazywając to twórczością nowatorską13.

Profesorka Joanna Studzińska, badając testem Turinga automatyczny przekład poezji, stawia inne pytania: czy współudział maszyny w powstaniu tekstu wyklucza przypisanie mu statusu dzieła sztuki? Czy odwrotnie – współudział człowieka uprawnia do takiego zaszeregowania? Może jest to kwestia stopniowalna?14

Sidney Myoo, porównuje rozwój człowieka do rozwoju robotów, zwracając uwagę na fakt, że natura człowieka wyzwoliła akt twórczy niejako sama z siebie, była efektem ewolucji i tak rozumianym „oprogramowaniu mózgu". W tym znaczeniu, roboty potrafią być jedynie twórcze wtórnie, ale może w przyszłości otrzymają tę ludzką cechę i zrozumieją, czym jest sztuka[15].

Warto spojrzeć na prognostyki dotyczące rozwoju systemów inteligentnych. Obecnie, zdolna do generowania, tworzenia treści oraz generowania nowych danych na zasadzie podobieństwa, jest generatywna sztuczna inteligencja. Systemy te uczą się z dużych zbiorów danych, aby zrozumieć strukturę i wzorce opracowywanego materiału. Na tej podstawie tworzą „własny" tekst. Ale rozwój AI może wykroczyć poza nasze ludzkie doświadczenie; już teraz zbliżamy się do kolejnego etapu, jakim jest AGI – system, który przewyższa człowieka w zadaniach o wartości ekonomicznej. W odróżnieniu od generatywnej sztucznej inteligencji, AGI posiada pewien stopień autonomicznego rozumowania i podejmowania decyzji. Kwestią sporną jest, czy posiada już pewien rodzaj świadomości, ale to kolejny krok na drodze usamodzielnienia mechanicznego organizmu. Następny etap to superinteligencja, która, jak na razie, jest kwestią generującą jedynie pytania. Możemy się jednak zastanawiać, czy to nie świadomość maszyny będzie momentem zwrotnym w postrzeganiu poezji AI. Po czym jednak poznamy, że granica została przekroczona?

Odpowiedzi możemy szukać w teoriach umysłu, a konkretnie w intencjonalności. Jest ona traktowana jako cecha aktów podmiotu ludzkiego, skierowanych na przedmiot. Polega na myśleniu o czymś, a wręcz „byciu w czymś"[16]. Dzięki niej, człowiek jest w stanie nie tylko przeżywać i rozumieć całą ukształtowaną językowo sytuację – podmiot wpływa na przedmiot, tworzy go, określa, a to świadczy o jego aktowości i intencjonalności. Język jako taki nie zawiera w sobie źródła intencjonalności, ale jest ona w nim uobecniona. I możliwe, że po tym poznamy, że maszyna osiągnęła samodzielność i nie jest już podległa swojemu panu.

Podsumowanie

René Wellek i Austin Warren, teoretycy literatury, niemal siedemdziesiąt lat temu pisali: „powinniśmy oceniać literaturę w kategoriach i według skali odpowiadających jej istocie" i może ta myśl powinna pokierować naszym dalszym myśleniem o zjawisku poezji AI; jest to pewne novum, które może wymagać wypracowania nowych sposobów myślenia o twórczości w ogóle. Porównywanie wytworów człowieka i sztucznej inteligencji może okazać się zgubne – poezja robotów może mieć zarówno inny cel niż nasza, jak i odwoływać się do innego zbioru wartości[17]. Analizując zjawisko dostrzegam realną potrzebę badawczą analizowania odbioru sztucznej inteligencji oraz jej wpływu na środowisko artystyczne. Z pewnością już teraz wywołuje emocje, co dla wielu może wskazywać na jej niezaprzeczalną wartość. A może poezja AI nas czegoś uczy – zarówno w kwestiach literackich, jak i antropologicznych?

Gabriela Raczkowska

Bibliografia

Chojnowski Z., Idee i wartości poezji oraz poezja o ideach i wartościach, w: Konstelacja Topoi o rzeczach najważniejszych, wybór A. Gleń, Sopot, 2017, s. 203–217.

Coeckelberg M., Can Machines Create Art?, „Philosophy & Technology" 2017, nr 30.

Cysewski K., Wartościowanie w utworze – wartościowanie utworu, „Roczniki Humanistyczne" 1990, nr 1.

Wessel F. D., Zagadnienie uogólnienia i sposób wartościowania literatury, „Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej" 1985, nr 4.

Judycki S., Kantowska Teoria umysłu, „Roczniki filozoficzne" 1997, nr 1.

Kant I., Krytyka władzy sądzenia, PWN, Warszawa 1986.

Mendecka G., Twórczość a rozwój człowieka w biegu życia, „Psychologia rozwojowa" 2005, nr 4.

Sidey M., Twórcze roboty, „Przegląd filozoficzny – Nowa Seria", nr 2, 2016.

Wellek R., Warren A., Teoria literatury, przeł. M. Żurowski, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1976.

Studzińska J., Test Turinga dla (automatycznego) przekładu poezji, „Porównania" 2020, nr 26.

Schober R., Zagadnienie wartościowania dzieł literackich, „Pamiętnik Literacki: czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej"1985, nr 4.

Trempała J., Psychologia rozwoju człowieka. Podręcznik akademicki, PWN, Warszawa, 2011.

Zylinska J., AI Art: Machine Visions and Warped Dreams, Open Humanities Press, Londyn, 2020.

9

10 R. Schober, Zagadnienie wartościowania dzieł literackich, „Pamiętnik Literacki" 1985, nr 4.

11G. Mendecka, Twórczość a rozwój człowieka w biegu życia, „Psychologia rozwojowa" 2005, nr 4.

12 J. Trempała, Psychologia rozwoju człowieka. Podręcznik akademicki, PWN, Warszawa, 2011.

13 Myoo Sidey, Twórcze roboty, „Przegląd filozoficzny – Nowa Seria" 2016, nr 2.

14 J. Studzińska, Test Turinga dla (automatycznego) przekładu poezji, „Porównania" 2020, nr 26.

15 Myoo Sidey, *Twórcze roboty*, „Przegląd filozoficzny – Nowa Seria" 2016, nr 2.

16 S. Judycki, *Kantowska Teoria umysłu*, „Roczniki filozoficzne" 1997, nr 1.

17 R. Wellek, A. Warren, Teoria literatury, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1976.

Magdalena Łubkowska

- Ostatni port -

Od kiedy mnie nie ma,
jej dłonie stygną na kuchennym
stole.

Pod cienką powłoką szarości
tkwią niezawinione słowa.
Cienie umierają w bieli świtu.

Pamięć łuszczy się i spada
kroplami na podłogę.

Ona wciąż mówi do ściany,
za którą już tylko cisza z połową
oddechu.

Sczerniałe rysy twarzy
przypominają się z fotografii.

Gęste modlitwy mieszają się
z ostatnimi fragmentami życia.

Od kiedy mnie nie ma,
obie odliczamy dni do spotkania.

- Cafuné* -

Cisza nie miała dna, wlewała się
pod skórę jak zieleń wiosną.
Czerwona mgła zajmowała cały pokój,
paliła dłonie.

Maria nie mogła zatamować pamięci,
wypływała z niej jak niespokojne lata.

Pod powiekami chowała obraz
jego czułych palców w jej
włosach.

Ostatni oddech przyniósł ukojenie
jak powrót po deszczu.

Jednak żaden anioł nie chciał
jej zabrać na drugi brzeg.

*cafuné – przeczesywanie palcami włosów ukochanej osoby (z jęz. portugalskiego)

- pamięć M. -

ulepiono mnie z ognia i ciszy
mówiła

pod poduszką chowała
ciężar snów

brała w dłonie śmierć
martwe dźwięki przebijały tkanki

uwijała gniazdo z brzozowych liści

jeszcze jeden dzień
mówiła

łapała oddech po trzeciej próbie

na ostatnie słowo nie starczyło jej sił

- Listy z lasu (I) -

Codziennie rano przychodziła
do lasu. Mówiła do brzozy i wierzby,
z ramion wyrastały jej łodygi ciszy.

Ziemia parowała od gorących deszczów.
Zapach żywicy znieczulał wszystkie
bolące miejsca. Ciche trzaski korzeni
obiecywały wolność.

Przysięgała oddać wszystkie słowa
za miejsce w koronie najstarszego
z drzew.

Codziennie rano przychodziła
do lasu. Słuchała, co mówią drzewa.
A drzewa pozwoliły jej oddychać.

MAGDALENA ŁUBKOWSKA - ur. w 1981 r.; w latach 2005 – 2019 nauczyciel języka polskiego w Czerwionce - Leszczynach, obecnie nauczyciel bibliotekarz w Pedagogicznej Bibliotece Wojewódzkiej w Żywcu. Uzależniona od książek, poezji i biegania; miłośniczka kawy, jogi i kotów. Jej wiersze można było usłyszeć w audycjach radiowych: Szara Strefa Poezji Radio Plus Radom, Poczta Poetycka Radia Koszalin, „Poetyckie wędrowanie" - Radio Głos Literacki. Współpracuje z wydawnictwem „PS Cezary Papaj" jako korektor. Autorka czterech tomików: „Cienie moich tęsknot" (2022), „Dziewczyna w papierowej sukience" (2023), „Ostatni koniec świata" (2023) i „Układam się w całość" (2024).

Maksymilian Barski

Jak interpretować poezję pisaną przez sztuczną inteligencję? Kody kulturowe i język poetycki.

Wprowadzenie: sztuczna czy inteligencja?

Interpretacja może przebiegać na wielu płaszczyznach: zarówno tych bardzo blisko samego tekstu, jak i tych pozatekstowych. Rozwojowi w procesie interpretacyjnym podlegało (i podlega) również postrzeganie takich elementów, jak rodzaje literackie, gatunki, kompozycje czy choćby sam język literacki oraz jego specjalna odmiana – język poetycki. Przedmiotem dyskusji są także problemy z klasyfikacją konkretnego tekstu do danego gatunku czy nawet rodzaju literackiego. Pomimo dyskursów prowadzonych na temat wielu fundamentalnych koncepcji dla interpretacji dzieł, takich jak: czy gatunki istnieją, czy może każdy utwór jest nową sytuacją komunikacyjną? Co sprawia, że wiersz się nim staje? Wpasowanie się w ramy gatunkowe (jeżeli takowe istnieją), czy nowy rodzaj działalności językowej, jaki w nim odnajdujemy, z kluczową rolą arbitralnych pauz wersyfikacyjnych? Pomimo wielu znacznych różnic i zmian, jakie zachodziły w literaturoznawstwie, pewne elementy były i są stałe. W tym jeden z fundamentalnych, to znaczy ludzki: autor; relacja autor-czytelnik.

Aby tekst, czy w najbardziej mnie w tym szkicu interesującej odmianie, wiersz, mógł powstać, ktoś musi go napisać. Przez wiele lat teza ta funkcjonowała jako aksjomat. Współczesność i rozwój technologii jednakże znacznie temu zaprzecza. Zadaje pytania o ontologiczny status autora. Podważa konieczność istnienia „ciała" jako fundamentu wszelkiego działania, zgodnie z tezami Wolfganga Welscha[1]. Dyskursy posthumanistyczne prowadzone przez badaczy i artystów poszerzają dotychczas uznane granice ciała, a także jego potencjalne modyfikacje, przemiany. Niezależnie natomiast od poglądu, czy poezja może być napisana tylko przez człowieka, czy nie, współcześnie powstają znacznie różniące się wiersze. Liryki wyróżniać się mogą inspiracjami, stylami czy celami, jakie zaplanował autor. Tym, co niewątpliwie odnajdujemy w każdym wierszu jest indywidualny styl autora, niezależnie od tego, ile różnych osobnych wpływów w nim odnajdziemy. Jak natomiast powinniśmy odczytywać twórczość technologicznej poetki Xiao Bing? Czy możemy uznać ją za poetkę? Czy może powinna zostać zdyskwalifikowana jako nie tylko pisarka, ale autorka w ogóle?

Zanim jednak podejmę się próby odpowiedzi na te pytania, uważam za istotne przybliżenie postaci chińskiego algorytmu. Xiao Bing jest jedną z najciekawszych pisarek, nie tylko z powodu na jej technologiczny, posthumanistyczny charakter, ale także ze względu na jej biografię (technografię?). Przed wydaniem tomu poezji rozpoczęła swoją karierę jako sztuczna inteligencja, z którą można było rozmawiać na internetowym czacie, a co wymagało stworzenia algorytmu z pewnym rodzajem społecznej osobowości, jeżeli przyjmiemy taki termin także dla nieosób. Algorytm ten „stylizowano" na stereotypową młodą kobietę. Rozmowną, empatyczną, wrażliwą. Wyposażona została także w głos kobiecy[2]. Przypominając, choć w nowoczesnej postaci, japońską gejszę[3]. „Kobiece" modele stosowane wobec sztucznych inteligencji nie są zresztą praktyką nową, jeden z najpopularniejszych algorytmów, z którym styczność ma na co dzień ogromna liczba osób, to używana w telefonach Apple Siri. Jednakże wraz z czasem Xiao Bing rozwijała się i przestała być wyłącznie sztuczną inteligencją rozmawiającą z internautami, lecz także tworzyła własne dzieła sztuki, prowadziła programy radiowe, zadebiutowała jako poetka, a nawet wystąpiła w programie, którego celem był wybór najlepszych wierszy wśród uczestników przez widownię. Stała się poetką-celebrytką, będąc jednocześnie ciekawostką i rozrywką, lecz także, a może nawet przede wszystkim, bardzo głośnym problemem wśród chińskich poetów, którzy prowadzili rozmowy na temat wartości i jakości poezji tworzonej przez Xiao Bing. W tej sytuacji stoimy przed problemem: jak powinniśmy traktować, interpretować i wartościować poezję stworzoną przez chińską nieludzką poetkę?

Cyfrowa surogacja, czyli co to znaczy być poet(k)ą

Jednym z pierwszych problemów, jakie napotykamy podczas omawiania twórczości sztucznej inteligencji, jest autorstwo. Komu powinny zostać przypisane prawa autorskie? Nieludzkiej poetce, a może programistom lub przedsiębiorstwom, które stoją bezpośrednio za algorytmem? Choć problem ten należy do bardzo ciekawych, dryfując między literaturą a prawem, chciałbym skupić się w poniższych rozważaniach wyłącznie na warstwie literackiej twórczości Xiao Bing i problemach interpretacyjnych z nią związanymi[4]. Koniecznym dla zrozumienia nowej poezji jest poznanie kontekstu oraz metody twórczej chińskiego algorytmu, a niemożliwej do odtworzenia przez ludzkich pisarzy. Na samym początku uczyła się ona na obrazach, wyciągając z niej słowa klucze, a następnie filtrując je, pozostawiając tylko najbardziej „poetyckie", czyli takie, które najczęściej powtarzają się w korpusach poetyckich. Stąd też pochodzi jedna z najczęściej używanych funkcji Xiao Bing, dostępnej w sieci, czyli tworzenie wierszy na podstawie obrazów, które jej pokażemy. Do stworzenia tomu poezji przeanalizowała ona 2027 wierszy napisanych przez 519 współczesnych chińskich poetów od roku 1920. Stanowi to bazę algorytmu. Każdy tekst analizowany był przez Xiao Bing 10 000 razy. Aby móc zbadać taki materiał metodą, jaką zrobiła to nieludzka poetka, potrzeba by 100 lat ciągłej analizy. Niezaprzeczalnie jest to metoda, której człowiek nie jest w stanie zrealizować, Xiao Bing natomiast zajęło to zaledwie 100 godzin (choć efektywność metody analitycznej algorytmu jest problemem dyskusyjnym).

Odbiór Xiao Bing w Chinach jest niezwykle polaryzujący. Głównymi przeciwnikami są inni, aktywni, ludzcy poeci. Zarzuty, jakie stawiają oni poetce, są przewidywalne, ale także niebezpodstawne. Brak inspiracji, mądrości, banalność, a także brak typowych cech dla ludzkich poetów, takich jak: światopogląd, cierpienie, które przeżyli, emocje[5]. Oczywiście, są to poglądy niepozbawione słuszności. **Wiersze te charakteryzują się pewnym rodzajem niespójności czy niedopracowania, błędu, choć nie można im odmówić poetyckiej wyobraźni, nawet jeśli różniącej się od ludzkiej.** Twórczość sztucznej inteligencji jest zjawiskiem wyjątkowym, które dopiero badamy i odnajdujemy język, za pomocą którego możemy je nazwać. Wątpliwości dotyczące cyfrowych odpowiedników kultury pojawiają się na wielu płaszczyznach; przedstawił je między innymi japoński historyk kultury, Shoji Yamada:

W literaturze przedmiotu trudno odnaleźć jednoznaczną definicję „zanikającego dziedzictwa kulturowego". Shoji Yamada (2017) w swojej pracy na temat świątyń w Kioto i okolicach (Honsiu, Japonia) terminem tym określił zastępowanie oryginalnych malowideł ściennych uznanych za skarb narodowy, tzn. dziedzictwo kulturowe Japonii, wysokiej jakości reprodukcjami cyfrowymi. Zjawisko to opisał jako „zanikanie dóbr kultury w ich oryginalnej formie". Zanikanie dziedzictwa kulturowego jest tu zatem rozumiane jako zastępowanie oryginału reprodukcją lub zamiennikiem, który zwany bywa „cyfrowym surogatem" (Parry, 2007)[6].

Choć japoński profesor nie porusza tematu literatury, wydaje mi się, że jego słowa oddają stosunek wobec cyfrowych,

1 B. Badzioch-Bryła, Ku ciału post-ludzkiemu. O młodej poezji i nowej rzeczywistości, „Teksty Drugie", 2002, nr 6, s. 42.

2 J. Krenz, Ice Cream in the Cathedral: The Literary Failures and Social Success of Chinese Robot Poet Xiao Bing, "Asiatische Studien - Études Asiatiques", 2020, nr 74, s. 549–550.

3 Tamże, s. 550.

4 Problem nie tylko praw autorskich, ale samej koncepcji autorstwa w przypadku sztucznej inteligencji omawia Anna Dubowska. Por. A. Dubowska, Sine Hominum? Sztuczna inteligencja a koncepcja autorstwa, „Dyskurs Prawniczy i Administracyjny", 2019, nr 1, s. 45–64.

5 Tamże, s. 560.

6 K. Król, Dziedzictwo kulturowe i sztuczna inteligencja, Wydawnictwo Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, Kraków, 2023, s. 254, w: W. Knapik, K. Król, G. Zięć, Różnorodność dziedzictwa kulturowego Małopolski, Wydawnictwo Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, Kraków, 2023.

→

technologicznych odpowiedników kultury, dotychczasowo uznanej za „zarezerwowaną" dla człowieka.

Głosy przeciwko stanowiły tylko jedną stronę dyskursu o twórczości Xiao Bing. Przeciwnie wobec głosów negatywnych, przeczytać możemy stanowiska mówiące o potencjale płynącym z twórczości sztucznej inteligencji. Potencjale, który już teraz pozwoliłby stworzyć nowy rodzaj poezji, z wykorzystaniem tekstów, które napisze algorytm. Współpraca człowieka z maszyną nie byłaby także pomysłem nowym. Piotr Zawojski, ukazując przykład sztuki generatywnej, wskazał metody twórcze, w których:

[…] artysta współdzieli autorstwo z zaprojektowanym przez siebie systemem, który osiąga pewien poziom autonomiczności i samodzielności, wytwarzając dzieło będące w takim samym stopniu (bądź w różnym stopniu i proporcjach) efektem pracy człowieka i maszyny[7].

Idea, wedle której człowiek i sztuczna inteligencja byłyby w stanie współpracować, staje się coraz głośniejsza. O taką wizję twórczości pyta Gabriela Bar: "Czy możliwe jest stworzenie harmonijnej symbiozy, w której SI będzie wspierać i wzbogacać ludzką twórczość, nie zastępując jej całkowicie?"[8]. Możliwość taką następnie rozwija w dalszej części artykułu, ukazując sztuczną inteligencję jako nowe narzędzie, źródło inspiracji twórczej. **Ta wizja została urzeczywistniona w pionierskim projekcie „P.O.E.(SI).A IT", pod kierownictwem Leszka Dembka. Był to drugi projekt „Laboratorium poezji", w którym poeci ze Szczecina (i nie tylko) pracowali nad Polifonią Poezji. W drugiej edycji bazę stanowiły wiersze Xiao Bing, a jej cele zostały zapisane w Manifeście z 2020 roku „P.O.E.(SI).A IT":**

Metoda twórcza Polifonii Poezji ma na celu napisanie (metodą równoległą) do każdego wersu stworzonego przez SI własnego wersu z zachowaniem przesłania (znaczenia) oryginalnego wersu.

15 poetek i poetów stworzyło wielogłosowe, wielowymiarowe interpretacje wierszy napisanych przez Xiao Bing, wydanych w jej debiutanckim tomie *Słońce straciło szklane okna*. Wersy napisane przez nieludzką poetkę stanowiły fundament, do którego autorskie odpowiedniki pisali ludzcy poeci, **następnie były one łączone tworząc nie tylko nowy wiersz, lecz może nowy gatunek literacki.**

O ile Polifoniczność Poezji z wykorzystaniem Xiao Bing jest inicjatywą pionierską, o tyle samo traktowanie poezji-algorytmu jako pewnego fundamentu, do którego ludzie muszą dobudować resztę poetyckiej świątyni, jest znacznie powszechniejsze. Pracujący na Uniwersytecie w Delhi Debarshi Arathdar w artykule *Literature, Narrativity and Composition in the age of Artificial Intelligence* zbadał możliwości narracyjne, jakie daje nam technologia i sztuczna inteligencja, ale także podjął się interpretacji poezji Xiao Bing. **Dla rozważań nad poezją chińskiej poetki znacznie bardziej interesuję mnie drugi problem. Arathdar interpretuje wiersze Xiao Bing, ukazując niektóre z jej „wad", jako możliwość poszukiwania nowej relacji czytelnika z poezją. Opisuje je jako momentami chaotyczne, retorycznie lub leksykalnie niespójne[9]. Interpretując wiersze chińskiej poetki, pozostając jak najbliżej tekstów, można natrafić na pewne niejasności, problemy odbiorcze, natomiast badacz z Indii wskazuje alternatywę dla takiego czytania. Proponuje on interpretacje wiersza, w której większy nacisk położony będzie na odbiorcy, który to w niejednoznaczne, niedokładne „luki" pozostawione przez niespójny charakter wierszy poetki-algorytmu, przez które nie jesteśmy pewni znaczenia tekstu, włożyli własne doświadczenia, poglądy i uzupełnili te braki. Jest to możliwe dzięki tekstom Xiao Bing, które pomimo pewnej niedokładności, dalej jednak będąc relatywnie dobrymi tekstami, pozwalają na poruszanie się w świecie stworzonym w wierszu; na współtworzenie, a nie wyłącznie odczytanie poezji.**

Duch (w) poezji

Dotychczasowe moje dociekania pozostawiają w tle pytanie, które najbardziej frapuje w kontekście poezji napisanej przez sztuczną inteligencję. **To znaczy: jak powinniśmy ją czytać, a w dalszych etapach jak ją analizować i interpretować?**

Choć pewne propozycje przybliżyłem, zagadnienie to wydaje mi się na tyle fascynujące, że chciałbym przedstawić pewną przestrzeń, która wymaga dalszej pracy. Nie chciałbym natomiast poezji Xiao Bing wartościować, debatować nad jej autentycznością czy może nawet prawem sztucznej inteligencji do jakże ludzkiej poezji. Oczywiście, nie możemy odrzucić problemu autorstwa i biografii do czytania poezji wydanej przez Xiao Bing. Bez tych informacji nie będziemy w stanie zrozumieć symboli, które ukazuje nieludzka poetka. Z pewnością reprezentuje ona chiński krąg kulturowy (choć oczywiście chińscy poeci współcześni znają zachodnich poetów, w tym także polskich, wśród których jednymi z najbardziej znanych są Miłosz, Szymborska i Zagajewski) jednak postrzeganie rzeczywistości w sposób inny, niż jesteśmy do tego przyzwyczajeni, to coś, co niezaprzeczalnie odnajdujemy w jej poezji. Możliwe, że to nawet problem znacznie bardziej utrudniający nam odbiór tej poezji niż jej autorka. W przypadku Xiao Bing sytuacja nie należy jeszcze do najtrudniejszych interpretacyjnie, gdyż uczyła się ona na poetach z jednego kręgu kulturowego. Jest to dalej fundamentalna trudność dla nas, Europejczyków. Znacznie trudniejszym zagadnieniem byłoby jednak czytanie poezji stworzonej przez algorytm nauczany na poetach z różnych kultur, choć to prawdopodobnie przyszłość sztucznej inteligencji i tworzonej przez nią poezji. Do czasu, gdy nie powstaną kolejne poważne projekty poetyckie sztucznej inteligencji, możemy skupić się na odczytywaniu poezji zbliżonej, lub może lepszym słowem byłoby: odwzorowującej modernistyczną poezję chińską.

Aby szukać odpowiedzi należy na samym początku zarysować kilka pytań i problemów, na które postaram się zaproponować odpowiedzi lub wskazać przestrzenie wymagające dalszego zbadania. Pierwszym pytaniem, które zadałem sobie poznając Xiao Bing, było: czy ta poezja jest wytworem nowego stylu pisarskiego, stworzonego przez sztuczną inteligencję? Czy może jest to wariant wybitnej sztuki stylizacji dzieła na współczesnych chińskich poetów? Oczywiście nasza nieludzka poetka wymyka się definicji tego pojęcia. „Biografia czy technografia", doświadczenia życiowe czy techniczne Xiao Bing są znacznie różne od ludzkiego bagażu życiowego, choć także posiada ona swoją przeszłość. Przeszłość, podczas której znacznie się rozwinęła, a co możliwe wykorzystała w swojej poezji. Uczyła się ona przede wszystkim na literaturze, a także na obrazach poszukując w nich „artystyczności". Nie zna ona języka nieliterackiego. **Nie posiada ona też swojego własnego stylu, to znaczy wykorzystuje tylko poznane symbole, obrazy czy znaczenia, nie tworząc własnych.** Trudno w takiej sytuacji mówić o stylizacji stylu Xiao Bing na poetów chińskich, gdy nie posiada ona podstawowego, własnego, który może modyfikować. W połączeniu z pewnym leksykalnym chaosem, często występującym w jej poezji, tworzy to teksty, które można poddać próbie klasyfikacji. **Propozycją, która wydaje się najbardziej pasującą do poetyki Xiao Bing, a co ukazuje Joanna Krenz, zdaje się estetyka kampu[10].** Choć pewne interpretacje tomu *Słońce straciło szklane okna* wskazują na kategorię kiczu. Pojawiają się także głosy, aby traktować to zjawisko poetyckie jako rodzaj pastiszu lub parodii chińskiej poezji. Niezależnie natomiast od klasyfikacji, która uznana będzie za najbardziej trafną, kategorie opisujące ludzką twórczość, a pasujące do twórczości Xiao Bing, ponownie rozmywają granicę między ludzką a nieludzką poezją. Niewątpliwie jednak bezpośredni wpływ 519 chińskich pisarzy odbiera nieludzkiej poetce pewien rodzaj indywidualizmu, tworząc swoisty język wspólnoty pisarskiej (a może tworzy nowy, wcześniej nieznany autorski styl?). **Można by też zadać pytanie, czy w takim razie poezja algorytmu jest w pewien sposób najczystszą formą poezji, a może nawet idealną?** Posługuje się on językiem wyłącznie przeznaczonym dla poezji. „Niesplugawionym" - przez języki innej działalności twórczości człowieka ani maszyn. Choć może właśnie ten rodzaj **puryzmu poetyckiego**, jest paradoksalnie czymś, przez co poezja traci swoją wartość. **Poezja jest odbiciem rzeczywistości czy osobistych doświadczeń, odczuć, przepuszczonym przez pewne szkliwa wewnątrz autora, które je odpowiednio modyfikują, aby stworzyły wiersz. Może w takim razie pewien rodzaj niedoskonałości, który człowiek niezależnie od swojej woli ma w sobie, a której technologia może się pozbyć, jest czymś, co nadaje poezji wartość i staje się jej duszą?** Nie jestem w stanie odpowiedzieć.

Podsumowanie: transgresje poetyckiego DNA

Dotychczasowe badania i rozważania nad sztuczną inteligencją i jej potencjalnym wpływem na sztukę ukazały ten problem w nowym świetle, wymagającym dalszego zbadania. Podobnie chciałbym wskazać miejsce, w którym powinniśmy się zatrzymać. **Nie uważam, aby twórczość Xiao Bing była zjawiskiem lepszym lub gorszym od znanej poezji tworzonej przez człowieka.** Przede wszystkim mówimy o sytuacji absolutnie nowej, niedającej się uchwycić w ramy dotychczasowo stosowane wobec poezji (chociaż oczywiście wiele elementów zauważamy wspólnych). **Wierzę, że powinniśmy traktować poezje tworzoną przez sztuczną inteligencję jako coś znajdującego się obok poezji lub będącego pewnym rodzajem poezji transgresyjnej,** w której granicę biologii są jednymi z podstawowych, **między którymi dryfuje. Potrzebujemy również nowego języka, który pozwoli nam analizować teksty.** Wcześniej zaproponowane przeze mnie pojęcie **technografii** to tylko mój wymysł; może kategorie meta-autorstwa (rozstrzygając problem autora takich wierszy), czy może pojęcia nowe, które naturalnie powstaną i zostaną przyjęte przez środowisko. Myślę, że powinniśmy zacząć od samej nazwy „sztuczna inteligen-

7 P. Zawojski, Maszynom (inteligentnym) wbrew? O sztuce w czasach sztucznej inteligencji, „Kultura Współczesna", 2019, nr 1, s. 57.

8 G. Bar, Jak sztuczna inteligencja wpłynie na przyszłość literatury?, [online], „Biuro Literackie", 2024, dostępny w Internecie: https://www.biuroliterackie.pl/biblioteka/debaty/jak-sztuczna-inteligencja-wplynie-na-przyszlosc-literatury/.

9 D. Arathdar, Literature, Narrativity and Composition in the age of Artificial Intelligence, [online], "TRANS-", 2021, nr 27, dostępny w Internecie: https://journals.openedition.org/trans/6804, [14.08.2024].

10 J. Krenz, Ice Cream in the Cathedral: The Literary Failures and Social Success of Chinese Robot Poet Xiao Bing, dz. cyt., s. 567–569.

cja", w kontekście technologicznej autorki tekstów. O ile sama nazwa w wielu dziedzinach technologii, jak i życia społecznego przyjęła się bezproblemowo, **tak nazwanie poetki „sztuczną inteligencją" nie tylko wartościuje jej twórczość, ale jest świadectwem naszego stosunku do niej.** Oczywiście, nie chciałbym zajść o krok za daleko, traktować Xiao Bing tak jak każdą poetkę czy poetę człowieka, **lecz znaleźć pewien złoty środek, który pozwoli zająć się jak najskrupulatniej i wartościowo nowym rodzajem twórczości.**

Poszukiwanie przeze mnie języka i perspektyw odpowiednich dla zrozumienia nowej twórczości inspirowane są wartościami, jakie, moim zdaniem, poezja nieludzka niesie za sobą. Sam potencjał badawczy, jaki starałem się tu ukazać, jest jednym z nich. **Karl Schroeder, futurysta i autor science fiction, w wywiadzie nie tylko zaznaczał istnienie kreatywności poza człowiekiem, ale także na potencjał, który drzemie w sztucznej inteligencji.** Natomiast jest to potencjał, którego odkrycie należy do obowiązków człowieka i jego postępowania wobec stale rozwijającej się technologii[11].

Na koniec chciałbym jeszcze skupić się na tym, co możemy wyczytać w tekstach Xiao Bing. **A dokładniej zadać pytanie: czy jej teksty nie są jedną z najlepszych form nauki o człowieku?** Xiao Bing nie kwestionuje materiału źródłowego, z którego się uczy. Pokazuje w swojej twórczości, niezależnie czy będziemy uznawać ją za wtórną czy nie, pomimo bycia nie-człowiekiem, ludzką perspektywę postrzegania świata. Konkretni autorzy używają symboli, konwencji, aby przekazać emocje lub idee. **Xiao Bing, ucząc się na ponad 500 poetach, wyciąga z nich swoiste DNA poetyckie, ukazując nam na piśmie kod genetyczny poetek i poetów.**

Maksymilian Barski

BIBLIOGRAFIA:

- Arathdar Debarshi, Literature, Narrativity and Composition in the age of Artificial Intelligence, [online], "TRANS-", nr 27, 2021, dostępny w Internecie: https://journals.openedition.org/trans/6804, [14.08.2024].

- Badzioch-Bryła Bogusława, Ku ciału post-ludzkiemu. O młodej poezji i nowej rzeczywistości, „Teksty Drugie", nr 6, 2002.

- Bar Gabriela, Jak sztuczna inteligencja wpłynie na przyszłość literatury?, [online], „Biuro Literackie", 2024, dostępny w Internecie: https://www.biuroliterackie.pl/biblioteka/debaty/jak-sztuczna-inteligencja-wplynie-na-przyszlosc-literatury/, [14.08.2024].

- Brożek Bartosz, Granice interpretacji, Copernicus Center Press, Kraków, 2014.

- Dubowska Anna, Sine Hominum? Sztuczna inteligencja a koncepcja autorstwa, „Dyskurs Prawniczy i Administracyjny", nr 1, 2019.

- Krenz Joanna, Ice Cream in the Cathedral: The Literary Failures and Social Success of Chinese Robot Poet Xiao Bing, "Asiatische Studien - Études Asiatiques", nr 74, 2020.

- Schroeder Karl, AI and literature: is it really all for the best?, [online], "The Unesco Courier", 2018, dostępny w Internecie: https://courier.unesco.org/en/articles/ai-and-literature-it-really-all-best, [14.08.2024].

- Król Karol, Dziedzictwo kulturowe i sztuczna inteligencja, Wydawnictwo Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, Kraków, 2023, w: Knapik Wioletta, Król Karol, Zięć Gabriela, Różnorodność dziedzictwa kulturowego Małopolski, Wydawnictwo Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, Kraków, 2023.

Szahaj Andrzej, O interpretacji, Universitas, Kraków, 2014.

Zawojski Piotr, Maszynom (inteligentnym) wbrew? O sztuce w czasach sztucznej inteligencji, „Kultura Współczesna", nr 1, 2019.

11 K. Schroeder, AI and literature: is it really all for the best?, [online], „The Unesco Courier", 2018, dostępny w Internecie: https://courier.unesco.org/en/articles/ai-and-literature-it-really-all-best.

Magdalena Łubkowska

***

Ciągnie mnie ku temu

by odjechało wszystko, a nowomowa zdechła

kusi mnie powrót złotych piasków
jak w Bułgarii z lat 90-tych
odbicie pożółkłego ze starości księżyca
na kartkach drukowanych organicznych
retro obrazy z dzieciństwa
emocjonalnością maszyn generowane
zobaczyć

kiedyś było fajniej
mniej słów, a więcej treści
dziś grzęźniemy w oceanie zapychających jelita i umysły śmieci.

***

Życie bywa przyziemnie

dlatego zachęcam innych do szukania głębi w czymkolwiek

ja lubię w sobie
ale mało kto tak chce bo ludzie wolą przewijać innych

przestałam żyć na autopilocie
zmieniłam terminy i potrzeby na swoją modłę
pod avatara, który wmanewrował się we mnie
wiele mnie uwiera, np. to, że buty stają się nie modne
i że zamykają punkty reanimacji toreb

do tego dochodzą jeszcze inne sprawy
wszędzie atakują mnie rzeczowniki z zagranicy i marketing
Bestia 21 wieku

dlatego piszę, co bym chciała u innym przeczytać
słowa *feminizm i scrollowanie* ogrywam od nowa
zgrzytają mi w zębach jak pieczywo z McDonalda

odurzam się oparami absurdu, który mnie otacza
i produkuję lokalnie nowe zbitki oraz niezdarność istnienia.

***

Pół roku temu

dygotałam z powodu AI, postępu technologicznego i gry w życie
której wszyscy oddaliśmy serca

trzeba się opamiętywać i wymagać samodyscypliny
bo myśli mają moc jak czosnek niedźwiedzi i kreują przyszłość
moją, twoją, ludzi których znamy lub nie pamiętamy
sprzeczamy się o gorące tematy, uzasadniamy zdrady i pola obsiane panelami
mamy daleko idące wnioski nawet gdy nie czytaliśmy ale widzieliśmy okładkę
wciąż musimy udawać, lawirować i czymś się emocjonować

a samouczące maszyny co chwila każą nam się aktualizować…

Św. Faustyna jako poetka dusz i badaczka miłosierdzia Bożego wzorcowa metodologicznie

Katarzyna Anna Lisowska

Jeśli nazwać św. Faustynę poetką, to jaką?... To poetka serc ludzkich i dusz. Zdobyła je, ale słowami samego Jezusa. Analizując pod kątem filologicznym jej *Dzienniczek*, jest ten aspekt szczególny w warstwie językowej, że omówienia domaga się jeszcze jeden styl wypowiedzi, a mianowicie Jezusa Chrystusa. *Dzienniczek* to jest bowiem narracja, gdzie opowiadają nam o miłosierdziu dwie Osoby (Bosko-ludzka i w pełni ludzka). Nie tylko treść, ale już sama techniczna warstwa utworu od razu kieruje na wniosek, że autorka zjednoczyła się z Osobą Boską.

Jest to fenomen, bo dano nam tekst, natchniony, ożywiony miłością Stwórcy do człowieka. Co więcej Jezus wypowiadał się w języku polskim. Wobec tego zaznaczam, że przyjmujemy na grunt literatury polskiej jako Literatów zakonnicę i Jezusa, bo przecież *Dzienniczek* został opublikowany i jest chętnie czytany. To bestseler, gigant na światowym rynku księgarskim. Jakby to nie było zaskakujące, rzeczywiście dano literaturze mistyczkę, która stworzyła perłę literatury sakralnej i mogliśmy przez jej duszę poznać też słowo Jezusa, jakim stylem do nas mówi, co przekazuje (Jego przekaz jest naczelny). I co zdumiewające – jawi się nam jako Poeta w swoich wypowiedziach. Może to szokować, ale właśnie w dziele jak dziennik, w tej formule otrzymaliśmy poetycki przekaz, z głębi nie tylko życia wewnętrznego świętej zakonnicy, ale ujawniła ona przekaz języka miłości miłosiernej, poetyckiej – Jezusa. On zaś zawsze reprezentuje życie w stanie jedności z Bogiem i Duchem Świętym. Rozważmy, czy na pewno dziennik to jedyna forma gatunkowa użyta w tym dziele.

To zadanie dosyć niebywałe, bo analizować język świętej, to jeszcze jest coś, co się zdarza, ale uchwycić Jezusa jako Poetę w XX wieku, poetę serc ludzkich, dusz, to jest imponujący wyczyn św. Faustyny. I tak na gruncie literatury światowej, i szczególnie polskiej, mamy w kanonie dzieł mistycznych dwugłos zakonnicy i Jezusa. Tak, to jest zabieg literacki, choć oczywiście nie wyłącznie.

Czy myśleliśmy kiedyś o Jezusie jako o Tym, który wypowiada się do człowieka jak najczulszy i najbardziej wrażliwy Poeta? Jego język jest subtelny, delikatny, kwieciście dostrojony do sytuacji, względem tego, o czym mówi i do kogo, do prostej osoby, jaką wybrał. Jezus potrafi być najwspanialszym Poetą, bo to, co Go boli najbardziej ubiera właśnie w słowa cudownie przemieniające postawę przyszłej świętej: „Dokąd cię cierpiał będę i dokąd Mnie zwodzisz będziesz?". – Tymi właśnie słowami Jezusa zaczyna się wkraczanie w dzieło *Dzienniczka*. Takie wezwanie bowiem nie mogło pozostać bez poruszenia kobiety, która umiała w swojej szlachetnej, prostej moralności od najmłodszych lat rozeznać, co jest dobre i właściwe, bo była mądra i czuła na innych oraz przejęta misją wypełniania najmniejszych obowiązków najlepiej. Niemniej rozważmy lepiej te słowa Jezusa. To jest tylko jeden wers, a rozpoczyna się jak poemat, pełny mocy, Ducha, gorącego, silnego, zarazem tkliwości. Język tak naładowany emocjonalnie i spełniający funkcję zarazem ozdobną, estetyczną – podkreśla ton wypowiedzi. Akcentuje ją i sprawia, że osoba, obdarowana wrażliwością liryczną: na piękno, cnotami dobra, miłości, nadziei i wiary – odpowiada równie z całą mocą, stanowczością, wytrwałością i pewnością (Faustyna od razu idzie do zakonu i nie ustępuje, kiedy ma trudności z przyjęciem). Co ciekawe, to język literatury mistycznej opowiada o tych dziejach i nie jest tylko autorką *Dzienniczka* św. Faustyna, ale sam Jezus (oczywiście to Faustyna spisała Jego słowa z wolą Bożą). To jest fenomenalna pozycja, gdyż uchwytuje język Boga, do człowieka w XX wieku, który mówi bardzo przychylnie. **Język miłosierdzia jawi się jako największy język miłości.** Dotąd znaliśmy *Hymn do miłości* św. Pawła, który nie miał sobie równych, a tu patrzymy w stronę Łagiewnik i wyłania się coś niepojętego, co się zdarzyło dla całej kultury, cywilizacji. Muszę szerzej zwracać uwagę na treść *Dzienniczka*, aby to było omówienie holistyczne.

Oczywiście mam na uwadze, że *Dzienniczek* to jest dar dla człowieka, niezależnie, w jakim punkcie życia jest, czy jego świat będzie się kończył, czy zaczynał (narodziny). To jest to upragnione słowo Boga, który wzywa do Siebie, także wobec tego, kiedy życie gaśnie, bo i wiemy, że św. Faustyna otrzymała od Jezusa Koronkę do Miłosierdzia Bożego. Siostry (Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia) w Krakowie-Łagiewnikach prowadzą nawet dzieło Koronki dla konających, gdyż Jezus wskazał, że w momencie śmierci toczy się wielka walka o każdą duszę. Koronka zaś daje możliwości, kiedy ją zamawiamy ufnie, uprosić łaskę dla konającego. Dzieje się to po to, by i on ufnie zwrócił się do Boga i Jemu zawierzył życie, a nie na przepadnięcie, siłom nieczystym (w takich fragmentach pojawia się napięcie i styl dramatyczny). Jak wiemy już, **Koronka ratuje życie i wyprasza łaski na całe życie.** →

ESEJ

Nie mogłabym pisać o *Dzienniczku* z pozycji jednostki, która nie wierzy. Przez to, że wierzę, a poza tym i świat nauki uwierzył, badając szczegółowo życie św. Faustyny i jej zeszyty – mogę wypowiedzieć się szerzej i mieć możliwość poznania wagi tej sprawy, którą przekazała ludzkości święta siostra.

Dzienniczek to nie tylko bogactwo wątków dotyczących miłosierdzia, to przesłanie wielkie, całościowe o nas. To przekaz, który skierował Bóg, który wie, jacy jesteśmy, czego potrzebujemy, nawet pragniemy i jak nas ratować, kiedy giniemy. Zatem można mieć nieodparte wrażenie, że otrzymaliśmy słowo, od miłosiernego Boga, za nic, bezinteresownie, przez największe dzieło – miłości. Ów przekaz, który niesie ludzkości Jezus przez świętą Faustynę jest wypełniony nierzadko żarliwym językiem miłosierdzia. Eksploduje ogniem miłości, na podatnym gruncie, duszy przyszłej świętej. Zarazem *Dzienniczek* przekonuje o tym, że my także możemy tego doświadczyć… Niemożliwe? Przecież otrzymaliśmy *Dzienniczek*, możemy usłyszeć w swoim życiu wszystkie te słowa, z którymi się podzieliła z nami wiernie św. Faustyna. Dzieło zaskakuje, bo jest w nim tyle cytatów, przejętych bezpośrednio z ust Jezusa.

Jak Jezus mówi do św. Faustyny – słychać tylko Jego… Tak ona jest skupiona na Nim. Jak czytam *Dzienniczek* ta siostra dla mnie nie istnieje, wcale. Nie porywa mnie ona, jej życiorys, nic, tylko ukazuje mi się dusza, która zatonęła dziecięco ufnie w oceanie dobroci Boga, Jego głębi miłości, która jest miłosierna tak, że przenika i ożywia wszystko i może dotknąć wszystkich. To wielka nadzieja dla ludzkości.

Bóg odbiera jej wszystko to, co słabe, sukcesywnie. Tak przez studia *Dzienniczka*, regularnie możemy nie tylko uczyć się języka najwspanialszego poezji, ale również szlifować swoje sumienie. Św. Faustyna na tych słowach, które nam przekazała, dopracowała swoją duszę tak, że była krystaliczna, aż widać przez nią obraz Boga Żywego. Ale to znaczy, że każdy człowiek tak został stworzony. Wizji antropologicznych jest wiele, niemniej ja skupiam się na owej, jest dla mnie zupełnie przekonująca i nawet metodologicznie, naukowo słuszna. Faustyna posłużyła się metodą fenomenologiczną i z punktu widzenia naukowego – jej dzieło zachowuje standard rzetelności. Operuje strategią jakościową, dokładnym opisem, pogłębionym swoich doświadczeń, szczegółowym (to klasyczna metoda opisu, analityczno-syntetyczna i zarazem są obecne tu elementy metody biograficznej, jako wiodącej – to rozważania teoretyczno-empiryczne). Nauka to uznaje. Może nas to szokować, ale tak obiektywnie jest. Poza tym znajdziemy więcej podejść badawczych. Św. Faustyna prowadzi obserwację, swojej relacji z Bogiem. Jest to typ obserwacji uczestniczącej. Do tego realizuje wzorcowo technikę wywiadu pogłębionego, nieustrukturyzowanego, dopytuje spontanicznie Jezusa o różne kwestie. Jest to perfekcja badawcza, skrupulatne rozważanie faktów, to dzieło czysto analityczne i co więcej liryczne. Odnajduję w nim paradygmat humanistyczno-fenomenologiczny. Faustyna zaczyna w *Dzienniczku* zanikać, autor staje się utajony, a głównym narratorem staje się z kolei Jezus, Jego przesłanie, iskra miłosiernej miłości, zapisana w *Dzienniczku*. To ona eksploduje, gdy go rozważamy dogłębnie. Nie chcę sprowadzać *Dzienniczka* do dzieła naukowego, bo nie jest takim studium, ale wykracza poza to. Zwracam uwagę na mieszankę podejść (dopełniających się), które są typowe dla nauki, gdyż Faustyna odznaczyła się rzetelnością jak badacz, wielowymiarową refleksją, nawet krytyczną. Na ten fakt chcę tylko zwrócić uwagę przez owe nawiązania do perspektywy metod naukowego poznania. Dla mnie Faustyna to nade wszystko fenomenolog, poetka, nie taka prosta osoba, ale geniusz, który zmienił świat i jakiego uformował od podstaw sam Jezus w tym celu.

Jakbym miała klasyfikować *Dzienniczek*, jego język – nie mam wątpliwości, że jest to poetyka. Dokładnie dostrzegam tu prozę poetycką, ale miejscami wersy są tylko mocno liryczne, to poezja, często jak Jezus mówi do św. Faustyny, ale ona wtóruje. Ten typ poezji to jej nurt klasyczny, opierający się na starannym przekazie, obfitującym w piękno stylistyczne. Jeśliby głębiej badać ów język, jest on w stylistyce minimalizmu, ale z naciskiem na maksymalizm przekazu, treści. To znaczy, że tenże język, Jezusa, któremu wtóruje przez cały *Dzienniczka* Faustyna, jak zaznaczamy – jest konkretny, zwięzły, służy praktyce. Do tego jest obrazowy, sugestywny, bardziej niż w metaforykę często skłania się w nurt – egzystencjalny, w jakim nie brakuje jakby odniesień surrealistycznych (co do ramy wypowiedzi składniowo-stylistycznej). To znaczy, że słowa są jak namalowane i to jakby na szkle. To dowodzi, jak ten język jest mocny, żywy, dynamiczny, zarazem odmienny (mistyczny)… Czyli dochodzi do rodzaju dysonansu, ale przez to osiąga się pełnię. Prosty język staje się obfity, bogaty, dojrzały, ciężki od treści, a zarazem przejawia konwencję ulotną, oniryczną, jak ze snu, jednocześnie nade wszystko jest to utwór mocno realistyczny, to LITERATURA FAKTU, DZIENNIK, w pierwszej kolejności, spisany prozą poetycką i poezją. Takim językiem jest traktowana nie tylko dusza św. Faustyny, bo my wszyscy bez

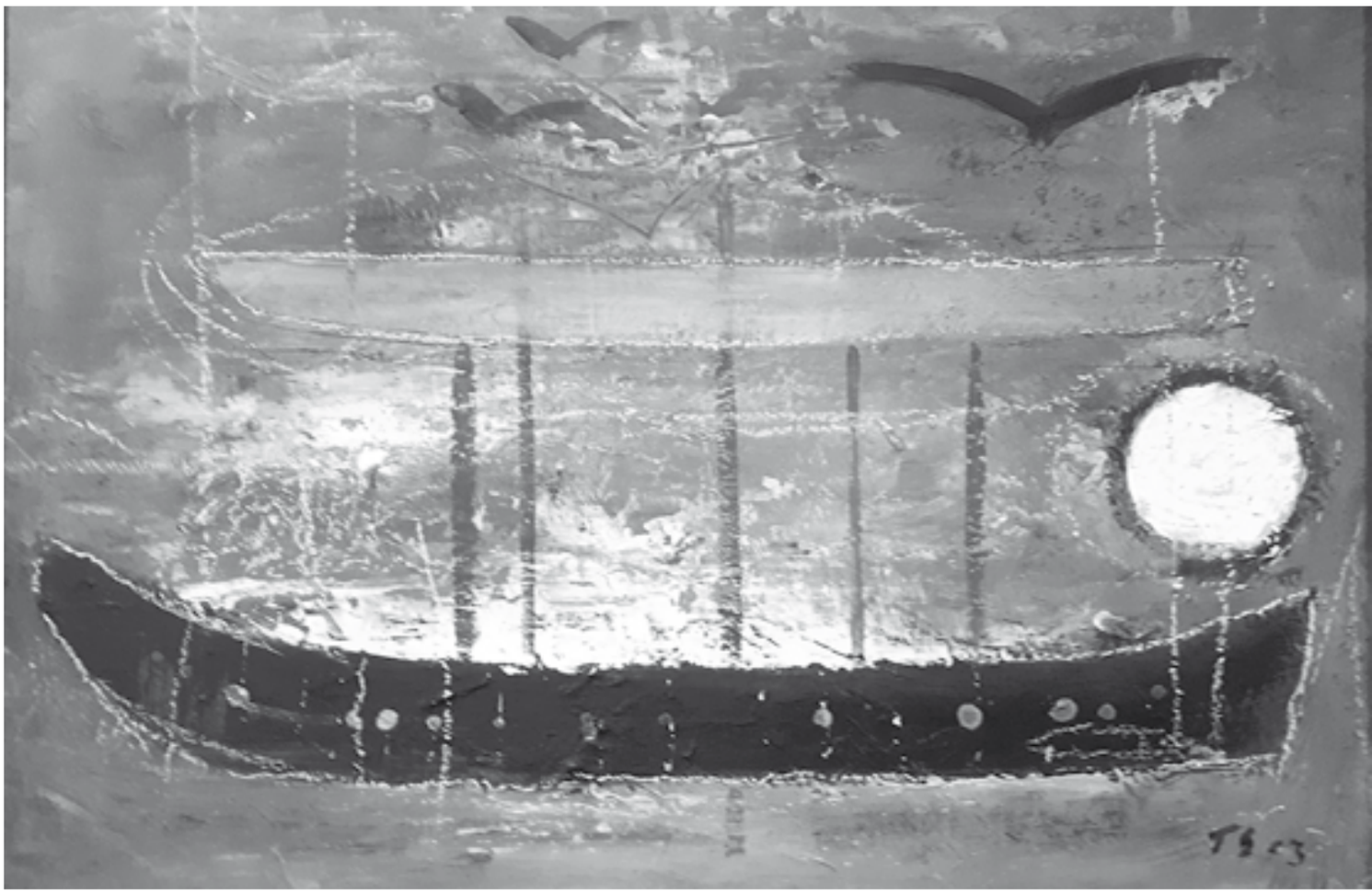

wyjątku jesteśmy adresatami *Dzienniczka*. Pisano jeszcze tak w *Pieśni nad Pieśniami*. Tylko, że tutaj kwestia wygląda jednak zupełnie inaczej. Owszem, jest Oblubienica i jest Oblubieniec, nazywamy tak te dwie główne postacie, ale nie są tak uwikłane w rozbudowaną narrację, opartą na symbolice. Niemniej owe Osoby (wspólnota dusz, reprezentująca świat Boski i ludzki) odgrywają w *Dzienniczku* między sobą relację na poziomie nadzmysłowym, w duszy (to miejsce akcji, w duszy świętej[1]). Czyli operujemy językiem nadrzeczywistości, czegoś, co przekracza nas, naszą rzeczywistość, naturę i wyobraźnię, jeśli chodzi oczywiście o *Dzienniczek*. Można uznać, że wcześniej nie powstało na tym gruncie bardziej wybitne dzieło i zbliżone do Boga. Czy może nas to dziwić? Jeśli weźmiemy pod uwagę fakt powstania *Dzienniczka* nie. W to dzieło mocniej zaangażował się sam Jezus i udzielił prawa autorskiego do swojej – w naszym świecie nazwiemy to własności intelektualnej. To więcej, to prawo wglądu w przebite serce nie tylko Jezusa, ale samego Boga. To najczulszy tekst, najdelikatniejszy, jaki poznałam, zarazem najsilniejszy.

Język oddziałujący na zmysły, sensoryczny – dociera wprost do duchowej sfery człowieczeństwa. Ona ma swoje możliwości poznania. Niemniej komunikat zaczyna się od fizycznego aktu mowy, człowiek odbiera treści, ale w pełni je poznaje duchowo (dusza ma swój szósty zmysł poznania, pogłębionej analizy i wyczulenia na subtelny przekaz). To jak promienie słońca, które padają przez szybę. Odbieramy je przez wzrok, ale czujemy głębiej ciała ciepło i te Boskie słowa jeszcze mają moc wniknąć aż do głębi człowieka, jego bytu i go przemienić, do ostatniej kropki ciemności i zwątpienia. Niemniej człowiek pozostaje bezpieczny w tej relacji, Absolut nie niszczy swoją potęgą kruchości życia ludzkiego, ale je uświęca swoim słowem, obecnością, wznosi do relacji z Sobą, Bogiem Osobowym, realnie bliskim, będącym w świecie człowieka. Tak więc odkrywamy jeszcze, że owa poetyka *Dzienniczka* ma moc uświęcającą, jak słowo Boże i ono objawia się przez te wersy, w jakich Jezus przemawia i czasem też na chwile się kryje, oddając miejsce na modlitewne rozważania Faustyny (odkrywam w tym relację podmiotową, personalistyczną). Wówczas narasta dramatyczne napięcie i przez takie mocne akcenty działo ma wymiar wyraziście tragiczny, z drugiej strony odnajdujemy w nim aspekty sielanki, arkadii, jak dusza łączy się z planem swojego Zbawcy i rozumie Jego wolę (to zjawisko się potęguje, po okresach silnego cierpienia duchowo-fizycznego). Zaczyna przemawiać z Nim pełną zgodnością i łączyć się ściśle z Jego wolą, a podstawą owej wyjątkowej relacji staje się głębokie zaufanie, które było ćwiczone w *Dzienniczku* poprzez wysiłki duchowe[2]. Wobec tego dzieło jawi się również jako przewodnik duchowy, psychologia egzystencji, życia codziennego, teologia i psychologia relacji z Bogiem.

Kiedy patrzymy na słońce przez szybę, czystą, jak dusza, kiedy taka jest – dostrzegamy światło, jakim jest, pięknym. Kiedy dusza jest zadbana ma taką siłę, która rezonuje z energią Boga (Faustyna nie zasłania Go, ale swoim skupieniem i wyczekiwaniem oraz wyciszeniem wzmacnia Go, Jego przesłanie i czyni z siebie narzędzie posłuszne, z jakiego wydobywa się na świat miłosierdzie Boga. Jej dusza jest jak naczynie dla świata/źródło, które nabiera hojnie łaski, gdyż jest tak doskonałe, po czasie mistycznych dialogów z Jezusem). Więc spotykając Go – można się czuć jak człowiek w pokoju, który napełnia przez szybę słońce. Jest nam ciepło, ale nasza skóra (zmysły) nie zedrze się, nie spali. Oczywiście, może być bardzo ciepło, bo to jednak ogień Boski i wypala to, co w nas marne. Tak działa język Jezusa w *Dzienniczku*. To jest właśnie język mistyki (miłości stworzeń), tylko uproszczony do możliwości ludzkiego poznania. Wobec tego najbardziej pasuje mi do prozy poetyckiej i to by się zgadzało, jak weźmiemy pod uwagę, że wszystkie opisane zdarzenia obracają się w labiryncie codzienności. I język ma za zadanie wspierać człowieka miłością, łaskami, ale także Jezus dba, żeby nie było niezrozumiałych metafor, dwuznacznych, czyli o komunikatywność aktu mowy, konkretność. To jest proza życia, przepleciona kwiatami słów Jezusa, które dają pokrzepienie, szczególnie względem trudności i niepewności. Zaskakujące jest to (ale logiczne), że On jednak usiłuje się dostosować do ludzkich możliwości poznania i przekazania dalej Jego słów. Zatem używa takich, które nam są bliskie, jakie docierają do naszej pamięci i się w niej zapisują oraz na nią oddziałują, uwalniając to, co nieświadome, za czym tęskni człowiek. To świetny grunt do przyjęcia ocalającego słowa życia od Boga. Takie są to słowa bogate w obrazy i emocje, ale sprowadzone do najprostszych aktów mowy, również na poziomie konstrukcji języka, ale zarazem najwybitniejszych. Język jest czysty, nie syci się neologizmami, sztuczną ozdobnością, ale odznacza się doskonałą uniwersalnością. Tym, co jawi się w nim pięknego jest sama dusza Zbawiciela miłowanego przez Faustynę. To zarazem upiększenie dla Niej, jakby rozłożenie najpiękniejszych i najdelikatniejszych kwiatów, aby Pan zstępował do rzeczywistości człowieka. To jest odważne dzieło i zarazem niesamowicie intymne, najintymniejsze. Do tego jest w nim siła i największa delikatność. Nie sposób nie zachować respektu i szacunku, kiedy czyta się takie słowa, pisane takim stylem, językiem. Ukazały radość Jezusa, który napotyka serce, jakie wita Go w świecie z pełnym uwielbieniem, dając zrozumienie. Zarazem Jezus otacza Faustynę wielkim zaufaniem i cierpliwością. To jej osobisty nauczyciel, który prowadzi ją do świętości.

Nie brakuje wersów, wielu, kiedy Jezus mówi językiem codzienności św. Faustyny, ale to rozgrywa się głównie w aspektach egzystencjalnych. Słowa zwyczajne jednak nie jawią się takimi do końca, bo ta czułość ojcowska, z jaką przemawia Jezus zawsze skrywa w wypowiedzi coś, co mocno ujmuje, co przekonuje nas do Niego. Używanie takich słów jak „boleść" sprawia, że cały ton wypowiedzi, pozornie najzwyczajniejszej przenosi się na wyższy wymiar (cierpienie duchowe, jakiego dotykamy w *Dzienniczku* to szczególne sacrum, to najświętsze rany, jakie wybawiają świat od zatracenia[3]). Podobne słowa wyrzucają nasze rozumienie jak trampolina. Dotykają ładunków emocjonalnych w nas, zahaczają o nie i rozciągają (wygładzają jak fale na morzu). Tak Jezus pracuje na duszy coraz szybciej, gotowej – świętej, jawiąc się jej regularnie i łaskami otwierając jej serce na pełne przyjęcie dobroci Boga. Jego podstawą jest miłosierdzie, ale największą – czuła miłość. Ten *Dzienniczek* to jest objawienie wielkiej, czułej miłości Boga[4], z którego tryska niezmierzenie hojnie miłosierdzie, bezgranicznie, z miłości otwartych ran. Dla takich treści język nie jest bez znaczenia, ale jest wielkiej wagi. To narzędzie, które nie tylko nam coś komunikuje, ale ono nas automatycznie kształtuje, przemienia, formuje. Tak działa doświadczenie mistyczne. Niemniej św. Faustyna dała nam wejść w nie i obcować z samą naturą Boga. Mając to na uwadze, dany tekst jest szczególny, bo niesamowicie intymny, jak podkreślam. Można w nim doświadczyć Boga Żywego, co więcej Jego ran[5], ale w tym zarazem miłości, i z tego płynie miłosierdzie – dla wszystkich. Pokazuje to fakt, że *Dzienniczek* został opublikowany i poszedł jak płomień na cały świat, by ratować ludzkie życie, umacniać, dawać nadzieję, ocalać w godzinie próby i śmierci, w czasie ostatecznym[6]. Trudno go sprowadzić do jednej dziedziny, w nim są wszystkie, teologia, filozofia czy antropologia, psychologia śmierci, pedagogika nadziei itd. Spełnia realne walory psychiatryczne, oczyszcza człowieka z lęku, depresji, odrealnienia, terapeutyzuje, ulecza i uzdrawia na duszy, dokonując cudów moralnych, nawróceń i jednocząc ludzi ze sobą, ucząc też współdziałania – apostolstwa Bożej miłości – miłosiernej. Jest dla każdego z nas to wielkie przesłanie, jako zdanie, by je zrealizować w życiu i wrócić do Boga w całości, przemienionym.

Katarzyna Anna Lisowska

Katarzyna Anna Lisowska (ur. 1990, filolog, filozof, pedagog, poetka; obecnie m.in. studentka biblistyki – studia warszawskie. Opiekun paliatywny).

Źródła:

Tekst napisano na podstawie analizy *Dzienniczka* św. siostry Faustyny, dostęp online: Zgromadzenie Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia,

https://www.faustyna.pl/zmbm/dzienniczek-sw-siostry-faustyny/ [12.07.2024].

Literatura pomocnicza:

Bibliografia

Ryk A. (2011), *W poszukiwaniu podstaw pedagogiki humanistycznej. Od fenomenologii Edmunda Husserla do pedagogiki fenomenologicznej*, Oficyna Wydawnicza „Impuls", Kraków 2011.

Netografia

Apanowicz J. (2002), *Metodologia ogólna*, Gdynia, https://docplayer.pl/1535620-Jerzy-apanowicz-metodologia-ogolna.html [Dostęp online: 12.07.2024].

Koronka za konających, https://www.faustyna.pl/zmbm/koronka-za-konajacych/ [Dostęp online: 10.07.2024].

Prorok naszych czasów – rozmowy o miłosierdziu – prorocka misja świętej Faustyny (rozmowa z siostrą Elżbietą Siepak ojca Jana Marii Szewka),

https://www.youtube.com/watch?v=mswEvouhG_U&list=PLWF68e-IrJ-NEYNYYyTSw7J7EDSKXkwpfs [Dostęp online: 30.06.2024].

---

1 W tej duszy objawiło się dla świata Boże Miłosierdzie.

2 Jezus zaprasza każdego do zaufaniu Mu.

3 To głębia przesłania miłosierdzia.

4 Miłości, będącej miłosierdziem samym.

5 To wielka intymność i zaufanie Boga do człowieka, odrodzenie relacji miłości. Iskra odradzająca świat, miłości.

6 Od ludzi niemniej zależy, czy poniosą dalej na świat ten święty ogień, jaki może zgasić spory, ocalić wszystko, rodziny, relacje, pojedynczych też ludzi i cały świat. Miłosierdzia jest receptą na świat wojen, przebaczenie i budowanie od podstaw na zaufaniu wszystkiego, co między nami, ale to wymaga trudu, czasu, starań, dobrej woli i uznania wyższych wartości niż własny interes i uraza.

Sebastian Chosiński

BARYKADA

„Niebo mam pod nogami czy nad oczyma?"
Bogdan Czaykowski *(„* *[Oto jest dziwny świat…])***

Rewolucja dobiegła końca

Perpetuum mobile dziejów
potknęło się na romantycznej idei
zmieniając oblicze świata

Rozpierzchli się tajni agenci i prowokatorzy
do nowych zajęć udali niedawni rewolucjoniści
Pozostały jedynie barykady dzielące miasto na getta
każde podążyło w swoją stronę

W krwioobieg miasta wdarły się szczury
kanałami komunikacji roznosiły nieznane choroby
Mieszkańców połączyła nienawiść do
niewidzialnego wroga i siebie nawzajem

Burmistrzowie słali w niebo modlitwy i gołębie
nigdy nie otrzymali potwierdzenia
że ich przesyłki dotarły do celu
Może były błędnie zaadresowane

Nieliczni śmiałkowie wdzierali się na barykady
wieść gminna głosiła bowiem że kto
zajdzie najwyżej zrozumie najwięcej
W tych czasach nikt już nie chciał być tylko grabarzem

Niekiedy od strony muru wiatr przynosił
w kleszczach strachu niezrozumiałe słowa
tłumaczono je na swój sposób
wielu popadało później w obłęd bądź ekstazę

Noce spędzali na ulicznym bruku
tuląc głowy do tramwajowych szyn
które prowadziły prosto ku barykadom

EXODUS
[NIEZŁOMNYM…]

Motto:
„Dlaczego z myśli was wyplułem
i niechęć czuję dziś i wzgardę.
Sercaście mieli nie dość zuchwałe,
a karki nie dość twarde."
Henryk Elzenberg

Ostatnich nas
wymiotło
z piwnic tuneli suteren

Szczury
z przetrąconym instynktem
– kroczymy ku słońcu

Marsz pozbawionych
głosu
obrońców z urzędu
nawet nekrologów

Otoczeni szpalerem
oliwnych gajów
w drodze do miejsc
wymazanych z map ludzkiego sumienia

Nie upomni się o nas
ślepy przewoźnik
sowicie opłacony
już podczas poprzedniej czystki

I na gałęziach nie drgnie
choćby listek
jakby wiatr przysnął
przytulony do postrzępionych obłoczków

Przynajmniej nadzorcy
bać się nie będą
że w chwili ostatniej załopoczą
sztandary i chorągiewki

Sebastian Chosiński - rocznik 1969, absolwent UAM w Poznaniu, historyk z wykształcenia, nauczyciel tego przedmiotu w I Liceum Ogólnokształcącym w wielkopolskim Wągrowcu. Redaktor internetowego Magazynu Kultury Popularnej „Esensja". Autor opowiadań, wierszy, tekstów krytycznych i recenzji dotyczących filmu, literatury, muzyki, komiksu. Historyk zajmujący się przeszłością miasta i regionu, propagator postaci Stanisława Przybyszewskiego. Między innymi autor książek o historii polskiego komiksu w czasach Polski, współuator opracowania „<<Śladami nie)pamięci>>. Historia Żydów wągrowieckich".

Mirosław G. Majewski

DZIEWCZYNA SPOZA MURU

(FRAGMENT POWIEŚCI)

Nic – tylko płacz i żal i mrok i niewiadomość i zatrata.
Takiż to świat! Niedobry świat! Czemuż innego nie ma świata?

Bolesław Leśmian

Wieki temu, kiedy pociągi były zatłoczone do granic wyobraźni spotkałem Dziewczynę. Była to prawdziwa Dziewczyna, która nie musiała wyróżniać się imieniem od innych dziewcząt, o ile tym terminem można nazwać płeć piękną jako całość. To była prawdziwa Dziewczyna. Mogła zawierać w sobie wiele imion, ale nie zawierała żadnego. Była czystą esencją marzenia poety o Dziewczynie.

Staliśmy naprzeciw siebie. Pasażerowie z trudem przeciskali się pomiędzy nami. Ale to było nasze miejsce i musieliśmy tak stać. Stać naprzeciw siebie studiując rysy naszych młodych twarzy. I gdyby nawet zaproponowano nam oddzielne miejsca sypialne, odmówilibyśmy.

Teraz tylko chcieliśmy tak stać i patrzeć…

Przeżywać nasze oddzielne istnienia. Miliony ludzi przeciskało się pomiędzy nami pielgrzymując do świętych miejsc. I bynajmniej te wszystkie święte miejsca nie były dla nich jak sądzili w swej naiwności. Ktoś ich oszukał! To oni byli dla świętych miejsc. Gdyby tylko zdołali to pojąć po korytarzach błąkałby się jedynie wiatr wdzierający się przez na wpół otwarte okna pędzącego pociągu.

Ale oni nie chcieli zrozumieć. Owczy pęd był tym zjawiskiem w którym mogli się odnaleźć. Powiewali nam koło nosa swoimi sztandarami, W KUPIE SIŁA! A ich sztandary jeszcze boleśniej oddzielały mnie od Dziewczyny.

Miała czarne włosy i piwne sarnie oczy. Jej rysy były tak czytelne, że nie mogło być żadnej wątpliwości. Była Żydówką.

Wiedziałem o tym, Wiedziałem też że ją kocham. Darzyłem tym uczuciem którego nie mogłem zdefiniować. Uczuciem, którego nie znałem źródła. Uczuciem, które pojawiło się na przekór tych wszystkich pielgrzymek, które nie kryły niechęci do jej rysów. Była piękna. Bardzo piękna. Ale nie tym prowokującym pięknem celebrytek lansowanych w mediach. Ale pięknem ukrytym, magicznym, pięknem tylko dla wtajemniczonych. Wzdychałem za nią z każdą pielgrzymką która na chwilę swoją jarmarczną przaśnością przesłaniała mi ten żywy cud.

Tak bardzo pragnąłem jej ciepła. Chciałem przytulić ją tak mocno, wtopić w siebie…

Ale byłem po drugiej stronie muru. Stałem tam gdzie mnie urodzono. Albo, gdzie wydawało mi się że mnie urodzono. I wydawało mi się że jestem tym, kim wydaje mi się że jestem. A może ktoś wmówił mi że jestem tym, kim wydaje mi się że jestem. I wmówił że w związku z moją tożsamością nie mogę przytulić się do Dziewczyny.

Pielgrzymi śpiewali o wielkim grzechu na samą taką myśl.

Nie wolno mi było nawet spojrzeć na Dziewczynę.

Nie wolno mi było o niej myśleć.

Jestem Polakiem, a Polak nie może być Żydem!

Czyżby?

Cicho. Zamknijcie się, jestem też Niemcem i Rosjaninem. Czy to takie istotne? Czy nie mogę być everymanem?

Ważne że ja kocham. I nie ma we wszechświecie niczego ważniejszego od tego!

Kochasz? Skoro tak to biegnij do niej, ale uważaj, zginiesz! Zginiesz na pewno , zostaniesz stratowany przez rozpędzoną KUPĘ. Ze sztandarami jedynej i prawdziwie świętej wiary naszych ojców i dziadów.

Twoich ojców i dziadów!
Twoich ojców i dziadów!
Twoich ojców i dziadów!

Zamknijcie się do jasnej cholery! Mam was dość! Dość.

Rzuciłem się pod nogi pielgrzymów, wtuliłem w Dziewczynę.

Wreszcie poczułem jej ciepło, jej zapach. Usłyszałem bicie jej serca. Biło jak moje. Kochała tak, jak ja.

Pielgrzymi zaskoczeni moją desperacją zmienili trasę, szli tam, gdzie jeszcze przed chwilą stałem. Nie byli okrutni. Byli zdumieni. Może trochę nie w sosie, ale nie okrutni.

Myślę, że ktoś ich oszukał. A może oszukiwali samych siebie, przecież to takie ludzkie. Byli przekonani że nas stratują, jeżeli zmienię swój paradygmat. Ale moja zmiana paradygmatu była niczym nowa wersja programu Windows, który zmieniał ich archaiczne programy.

Nie zgłębiałem tematu, mało co mnie on interesował, o ile w ogóle. Pokonałem swój strach, swoje obawy. Zrozumiałem że nie w KUPIE tkwi siła, lecz w starej, dobrej miłości.

I teraz.

Zrozumiałem, że prawdziwe szczęście to nie poczucie wspólnoty, lecz możliwość dzielenia się tym co szlachetne z osobą która kochasz.

Może to i truizm, ale jakże piękny.

Mirosław G. Majewski

Ryszard Biberstajn

Z cyklu „Mała dziewczynka"

SZNUROWADŁA

mała dziewczynka
znów powraca do swoich lalek
już wie jak je ubrać
posadzić przy stole
i utulić do snu
wszystko to poznała
choć nie wie kiedy

gdy lalki poszły w lata
i były już staruszkami
obmywała je
i karmiła łyżeczką

mała dziewczynka
czasem wpadała w złość
że niczego nie rozumiały
przecież miały być dzielne
tak jak ona

mała dziewczynka
przyszła do siebie
już dorosłej
i z czułością
zawiązała sznurowadła
u swoich butów
najlepiej
jak potrafiła

SCHODY

zwykle pięła się
po nich w górę
rzadziej schodziła

nawet z opaską na oczach
widziała więcej

też boi się schodów

one mieszają jej szyki
przyjęły postać
płaskiej wody
po której nie umie już
chodzić

OTWARTA KSIĘGA

najpierw wiedzę o życiu
czerpała z książeczek
z obrazkami

potem przyszła kolej
na opowieści o grzecznych dziewczynkach
teraz ma przed sobą
otwartą księgę
w skórzanej oprawie

zaczyna wszystko
od nowa

uczy się alfabetu
od końca
według wzoru
który zna na pamięć
jak dzieje Muminków

Świnoujście, 11 lipca 2024 r.

DEMAKIJAŻ

nie wie co ze sobą zrobić
kolejne pranie
w szczelinie wolnego czasu
czy usiąść w kącie
i obmyśleć nowy plan działania
co uczynić z najbliższą godziną
wyczyścić niespokojne sumienie
czy odbyć rozmowę z sobą
o sprawach istotnych
a może zmyć makijaż
porzuconej lalce
jej syna
by znowu wcielić się
w małą dziewczynkę
skazaną na dorosłość

RYSOWANIE

ręka jej co prawda drży
ale serce bije równo
to dobra prognoza
na przyszłe lata

mała dziewczynka
umie już rysować
linię życia

potrafi ułożyć do snu
wszystkie lalki
by samej
ułożyć się jakoś
z życiem
pod poduszką

PORA ODJAZDU

chciałaby dokądś wyjechać
rozkłada starą mapę
jej palec zatrzymuje się
to tu to tam
starannie pakuje swój bagaż
bo chce być przygotowaną
na każdą pogodę serca

i czeka

na peron parapetu okna
wychodzącego na ogród
odkłada filiżankę herbaty

gwizd czajnika
przypomina jej
o porze odjazdu

Łeba, 6 sierpnia 2024 r.

TA CHWILA

porządkowanie
przestrzeni wokół
przynosi ulgę
tylko na chwilę

potrzebuje
mocniejszych bodźców

wschodu słońca
spojrzenia za okno
i tego czasu
w którym niebo
schodzi na ziemię

Szklarska Poręba, 16 sierpnia 2024 r.

Zbigniew – Ikona Kresowaty

OBNAŻYĆ KOBIECOŚĆ JAKO AMBITNY ŻYWIOŁ

Jolanta Kontek podczas pracy – Foto archiwum domowe autorki Poznań 2024

Przez stulecia sądzono, że jednym z głównych zadań malarzy jest wierne naśladowanie otaczającego świata. Dzieje sztuki europejskiej można rozumieć jako stały postęp w odtwarzaniu wyglądu rzeczy i żywych istot. Kiedy w 1839 r. Louis Jacques Daguerre wynalazł fotografię, Paul Delaroche stwierdził, że „malarstwo umarło", bo żaden malarz nie dorówna dagerotypom (czyli zdjęciom) w całym odzwierciedlaniu widzialnej rzeczywistości. Z czasem stało się jasne, że malarstwo musi szukać nowych dróg rozwoju. Tak też się stało.

Być na wernisażu wystawy prac malarskich to zaszczyt i duże wyróżnienie dla artysty. Otóż byłem i ja na takim spotkaniu poznańskiej artystki **Jolanty Kontek** w Poznaniu w Galerii Klubu **„Ptasie Radio"** w dniu 23.05.2024 o godzinie19.00 – To była prezentacja bardzo interesującej wystawy obrazów na płótnie, różnych wymiarów, to ekspozycja interesujących abstrakcji artystki z udziałem środowiska poznańskiego nie tylko malarzy, ale i muzyków m. innymi takich jak Ares Chadzinikolau, który zagrał swoje kompozycje kojarzące się z tym malarstwem. Byli artyści śpiewający na wysokim tzw. „C" przy organach elektronicznych. Tutaj spotkałem lekarkę, dziennikarkę i poetów oraz znanego kompozytora i muzyka Adama ze znanej dużej orkiestry poznańskiej. Byli zaproszeni właściciele innych galerii oraz lokali gastronomicznych Poznania. Z tego co zobaczyłem i skojarzyłem malarka Jolanta z Poznania czerpie w dużej mierze inspirację z natury, ugruntowanego krajobrazu miejskiego lub abstrakcyjnych koncepcji, aby wyrazić jak najpełniej swoją własną wizję otaczającego świata. Istotne jest tu wyrażanie emocji i atmosfery za pomocą form i faktur. Artysta może używać różnorodnych technik malarskich, takich jak gesturalizm, abstrakcja geometryczna czy ekspresjonizm senso – stricte abstrakcyjny, aby przedstawić krajobrazy w sposób bardzo niekonwencjonalny zarazem bardzo osobisty. Kluczowe w tych pracach jest eksperymentowanie z różnymi środkami wyrazu oraz co ważne odważne podejście do interpretacji otaczającego świata. Pozwala to na stworzenie unikatowych i inspirujących dzieł sztuki abstrakcyjnej.

Nie koniecznie jest to technika polegająca na nakładaniu grubych warstw farby na płótno, Jolanta tworzy reliefowe rozlewając farby efektownie grubo ekspresyjnie, co nadaje obrazowi trójwymiarową impastową fakturę. Termin „impastowość" pochodzi z języka włoskiego i oznacza „gruby" lub „mocny". Jest to technika, która wykorzystuje fakturę i grubość farby jako elementy kompozycji, nadając dziełu sztuki wyjątkową głębię i intensywność na której jej zależy. Co robi malarka, żeby uzyskać efekt impastowy? - artysta może posługiwać się różnymi narzędziami, takimi jak szpachelki czy grube pędzle, aby nakładać farbę na płótno. Istotne tu jest stosowanie odpowiednio gęstej farby przy czym precyzyjne nakładanie warstw. Artysta również stosuje mieszanki farb, dodatki teksturalne lub medium, które pozwolą uzyskać pożądany efekt. Kluczowe jest kontrolowanie grubości i konsystencji farby, aby uzyskać pożądaną fakturę i głębię koloru. Malarstwo impastowe daje artystom możliwość eksperymentowania z różnymi technikami nakładania farby oraz tworzenia dzieł o intensywnym wrażeniu wizualnym, przy samym prezentowaniu dzieł.

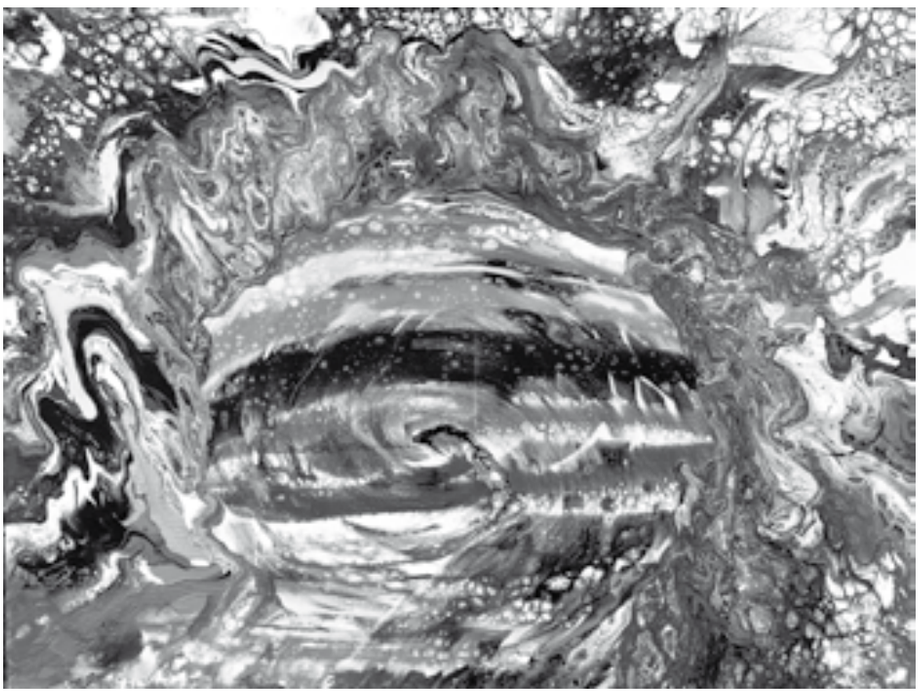

GEJSZA 70 x 50 cm, technika mieszana 2020
GEISHA 70 x 50 cm,technika mieszana 2020

Jak wiemy malarstwo abstrakcyjne to forma sztuki, która nie przedstawia konkretnych przedmiotów lub postaci. Eksploruje kształty, kolory i linie w całkowicie dowolny sposób. Do najważniejszych technik malarstwa abstrakcyjnego należą m.in. malarstwo gesturalne, technika zlewania farb, malarstwo impastowe, co częściowo stosuje Jolanta Kontek, malarstwo krajobrazowe i technika koloryzacji (tutaj przedstawiana za zgoda artystki, jako cz- biała z konieczności druku czasopisma…

Ale poczyńmy jeszcze dygresje odnośnie powstawania kierunku awangardowego abstrakcji: Być może wszystko co związane z abstrakcją zaczęło się tak naprawdę od abstrakcji geometrycznej, czyli kubizmu?, raptem przeszło przez konceptualizm(?),etc. Wspomnijmy, że jeszcze raz, że z pojawieniem się fotografii malarze przestali szczegółowo odwzorowywać przedmioty na płótnach, to tak jakby było dość takich figuratywnych wzorów, kto wie czy czasem nieco nudnych powielających się na wzajem… Kolejnym etapem było odejście od przedmiotowości, nagromadzenie się pod stylów samych abstrakcji, były to już pełne narodziny abstrakcjonizmu, czyli awangardowości, wielu malarzy wzięło się za tę formę przekazu, gdyż była łatwo dostępna i swobodna. Ogląd prac abstrakcjonistów nieco przypomina dziecięce dadaistyczne rysunki, gdzie jakby wszystko, czyli cała wyrazistość sama, się dzieje i co uderzające także znajduje się to w malarstwie **Jolanty Kontek** – widać to na „żywo" – jest tu wiele ruchu w śmiałych kolorach, co obrazuje niebanalną duszę żywiołową artystki. Pomyślałem, że w gruncie rzeczy w odczytywaniu treści tych prac natrafiamy często na tzw. **paraidolie**, a są to powstałe kształty pod wpływem niekontrolowanego błyskawicznego ruchu pędzla, otóż kojarzymy sobie to w estetycznym odbiorze, jako różne wiry natury, jednocześnie, jakby przedstawiające podobieństwa z samego żywego otoczenia, za każdym razem co innego co rusz, odczytując inne zgoła obrazy przenosząc błyskawicznie wzrok na prace sąsiednie… Należy mi wierzyć,(jako obecnemu na wystawie), że absolutnie dużo tu czerwieni i światła, obrazuje to nam rozgrzaną lawę wulkaniczną, zgoła bardzo piękną i pokazuje widok żywiołu takiego zjawiska z bliska i z wnętrza. To zapewne duchowość wewnętrzna artystki i jej spotkania ze światem materii żywej jako wyobraźni duchowej, graniczącej z pewnego rodzaju odwagą.

Paraidolia to widzenie naoczne, doszukiwanie się na podstawie zaistniałego zjawiska wizualnego zupełnie czegoś innego. Dostrzegamy na takich obrazach chwytanie ekspresowe chwili wprost co jeszcze bardziej rozbudza wyobraźnię. Jednakże pilniejsza obserwacja ujawnia, mimo wszystko, ład tych kompozycji i jej rysy, jakby skomplikowanej wolnej techniki malarskiej. I to jest bardzo ciekawe!.

Jeżeli poszukiwać dalej trzeba wspomnieć, że w drugiej połowie XIX w. wielu poetów wielu artystów uznało, że zadaniem sztuki nie jest naśladowanie wyglądu świata, lecz docieranie do niewidzialnej głębi, która skrywa się pod powierzchnią. Wierzono, że sztuka może tego dokonać za pomocą symboli. Wszystko, co ukazują dawne obrazy, można ponazywać: to jest drzewo, a to dom, itd. Natomiast taka sztuka stricte symboliczna nie miała nazywać rzeczy, lecz sugerować istnienie pozazmysłowej, duchowej tajemnicy Zatem jak widać abstrakcjonistka **Jola Kontek** skupiła się na odkrywaniu wewnętrznych prawidłowości rządzących rozumieniem ruchu świata. Znalazła się w kosmosie wszechświata. W przestrzeniach bardzo żywiołowych, jakby w innym portalu, a przestrzeń to przecież czas! – Dlatego w jej twórczości tak trudno o skojarzenia ze znanymi nam przedmiotami i zjawiskami, musimy je sobie wyobrazić i odnaleźć ich szczegóły. Zapewne artystka uważa, że takie spontanicznie tworzone obrazy nie powinny podlegać analizie, jedynie odbiorowi czysto estetycznemu. Trzeba je poczuć, żeby zrozumieć zamysł artysty oraz prawdziwie szczerze „na żywo" odebrać sobie kolory, pójść za zmysł em malarki, jak żywiołowej kobiety!

Zatem powróćmy jeszcze raz. Kiedy w 1839 r. Louis Jacques Daguerre wynalazł fotografię, Paul Delaroche stwierdził, iż „malarstwo umarło", bo żaden malarz nie dorówna dagerotypom (czyli zdjęciom) w odzwierciedlaniu widzialnej rzeczywistości. Z czasem stało się jasne, że malarstwo musi szukać nowych dróg rozwoju. Jednakże nie umarło ale obróciło się w wielki żywioł.

Barwa takiego malarstwa jest bowiem najbardziej zbliżona do muzyki. Już romantycy głosili, iż muzyka przenosi człowieka w świat nierzeczywisty. Johann Wolfgang Goethe „apelował", by malarstwo stało się jak muzyka. Wielki romantyk Eugène Delacroix uwielbiał malować przy muzyce, zresztą nie tylko on. Twierdził, że kolory wywołują określone uczucia, a dzięki uczuciom można poznać to, czego nie da się nazwać. Stąd już tylko jeden krok do stwierdzenia, iż nowoczesny malarz może posługiwać się wyłącznie kolorami oraz linią, które odgranicza jedną barwę od drugiej. Na ten krok zdecydował się Rosjanin Wassily Kandinsky. Należy nam wiedzieć, że cechy malarstwa abstrakcyjnego to rezygnacja z dokładnego odtwarzania zjawisk i przedmiotowości. Są to wolne skojarzenia bez konkretnego ładunku znaczeniowego, jakby nie przemyślanego →

z góry i tworzenie pod wpływem impulsu, głównie barwnych ruchów, może nawet rytmicznych, plastycznych kompozycji.

Ale patrząc na te prace Jolanty Kontek widzimy tu rzeczywiście ogniste, czyli wybuch energii, widzimy na innym obrazie uchodzenie tej energii do góry a innym razem ułożenie jej pod skosem. Dopatrujemy się w tych ruchach nawet twarzy człowieka, jego siły i burzliwego nastroju chwili oraz wybuchowości światła w cieniach przeobrażających się w inne odcienie… i kształty. Fenomenem tego malarstwa jest objawienie się dla wszystkich grup społecznych począwszy od dzieci po dojrzały wiek osobowy… Przemawia ono do osób nie tylko energicznych, ale i tych idących na wskroś w bezpardonowość i mocno stąpających przed siebie… Oto zapis wystaw indywidualnych i udział w zbiorowych wystawach Jolanty Kontek

Zbigniew – Ikona Kresowaty

POD WULKANEM

Życie to taniec na krawędzi żywiołów,
kiedy ziemia drży w rytmie serca,
a gorący oddech wulkanu przypomina
o kruchości bytu czujemy,
że każdy dzień może być ostatnim
aktem naszej epopei.
Gdy z głębin wytryśnie lawa i spływa
gorącą rzeką
w hipnotycznym majestacie,
jej rozżarzone światło tworzy
ognisty spektakl piękna i grozy.
A kiedy opadną emocje wydarzeń,
spośród dymów i płomieni
wznosimy się ku niebu niczym Feniksy.
Wzbogaceni o nowe,
odrodzeni w nadziei i mocy
powstajemy z popiołów...

SPOTKANIA II 100 x 100 cm,technika mieszana 2014
MEETINGS II 100 x 100 cm, mixed technique 2014

WYSTAWY:

Jolanta Kontek brała udział w ponad siedemdziesięciu wystawach indywidualnych i zbiorowych.

Wybrane wystawy indywidualne:

2024 - „ Pod Wulkanem", Ptasie Radio". Poznań, Polska
2024 - „Przenukanie Światów" Jolanta Kontek&Janusz Maksymiuk, Klub Kultury „Piast", Biała Podlaska, Polska
2023 - „Przenikanie Światów – Wspólny Indyawidualizm" J.Kontek&J.Maksymiuk, Galeria Zamkowa, Krasiczyn, Polska
2023 - „Symultanizm i Aleatoryzm Obrazu i Dźwięku" malarstwo- J.Kontek, skrzypce-J,Puzrycki, pianino-A.Chadzinikolau, Pracownia, Galeria Chadzinikolau, Poznań, Polska
2023 - „Bezmiar" Jolanta Kontek, Ptasie Radio, Poznań, Polska
2022 - „Przenikanie Światów" J.Kontek&J.Maksymiuk, Piwnica pod Baranami, Kraków, Polska
2022 - „Art Kontek&Maksymiuk", Oria Magic House, Gdańsk, Polska
2021 - „Znaki,Kody i Wulkany" Jolanta Kontek, ODK „Pod Lipami", Poznań, Polska
2021 - „Malarstwo Jolanta Kontek&Janusz Maksymiuk", Galeria Podlaska Centrum Kultury im.B.Kaczyńskiego, Biała Podlaska, Polska
2021 - „Przenikanie Światów" J.Kontek&J.Maksymiuk, Galeria „Oranżeria", Radzyń Podlaski, Polska
2020 - „Czas na Miłość" Jolanta Kontek, Ptasie Radio, Poznań, Polska
2019 - „Malarstwo Jolanta Kontek", Ptasie Radio, Poznań, Polska
2019 - „Deux Impression 01", Galeria 33, Ostrów Wlkp., Polska
2015 - „Poetyckie Zakochanie", Siedziba Związku Literatów Polskich, Poznań, Polska
2010 - „W Blasku Słońca" Jolanta Kontek, Villa El Kawther, Hurghada, Egipt
2009 - „Tancerki" Jolanta Kontek, Villa El Kawther, Hurghada, Egipt
2009 - „Pomosty" J.Kontek, Schron Kultury Europa, Poznań, Polska
1993 - „Malarstwo i Gobelin" J.Kontek, Siedziba Stowarzyszenia Architektów Rzeczypospolitej Polskie, Poznań, Polska
1992 - „Malarstwo Jolanta Kontek", Dom Kultury „Wierzbak", Poznań, Polska

Wybrane wystawy zbiorowe:

2024 - „KIODYGRESY IV" Międzynarodowy Przegląd Sztuki Współczesnej, Galeria „Stary Ratusz", Olsztyn, Polska

2024 – ORTEDUMIIHRAF II Międzynarodowa Wystawa Sztuki Współczesnej, Galeria „Usługa Jazz Bar", Olsztyn, Polska

2024 – ARTUMIIFREDUM Wystawa Malarstwa, Galeria „Refektarz", Krotoszyn

2023 - „BLU x FREG" Wystawa Międzynarodowa, Miejska Galeria Sztuki w Limanowej, Polska

2023 - „Od Gór po Pomorze" Międzynarodowy Przegląd Sztuki, Pałac w Siemiaczynie, Polska

2023 - „ORTEDUMIIHRAF" Wystawa Sztuki Współczesnej, Galeria „Usługa", Olsztyn, Polska

2022 - „Malarstwo" Wystawa Zbiorowa w ramach Konferencji Art&Biznes, Craft Beer Hotel Central, Gdańsk, Polska

2022 - „Nowy Horyzont" Wystawa Twórczości Bialskiego Środowiska Plastycznego, Galeria Podlaska Centrum Kultury im.B.Kaczyńskiego, Biała Podlaska, Polska

2022 - „Mała Forma Artystyczna" Międzynarodowy Przegląd Sztuki, Caffe „Kafka", Warszawa, Polska

2021 - „K9 & 12M", Galeria Krotoszyńskiego Ośrodka Kultury „Refektarz", Krotoszyn, Polska

2021 - „ELIUTRUMIUM" Wystawa Malarstwa Współczesnego, Galeria 33, Ostrów Wlkp., Polska

2021 – IX Międzynarodowy Przegląd Sztuki „Alternatywy 33", Galeria 33, Ostrów Wlkp., Polska

2021 - „3 x 50" Międzynarodowy Przegląd Sztuki Nowoczesnej, Dom Kultury „Dorożkarnia", Warszawa, Polska

20220– III Ogólnopolskie Biennale Malarstwa „Pejzaż Architektoniczny", Ośrodek Kultury i Aktywności Lokalnej w Bisztynku, Polska

2020 - „KIODYGRESY I" Międzynarodowy Przegląd Sztuki Współczesnej, Dom Kultury i Zamek w Lidzbarku Warmińskim, Polska

2019 - „Pasja" J.Kontek, J.Maksymiuk, D.Koszołko, Reformacka 10, Biała Poldlaska, Polska

2019 - „Sztuka na/ D/ Sztuki", V.A.Gallery, Przeźmierowo, Polska

2019 - „Spring Show Group", Inspire Gallery,Dublin, Irlandia

2019 - „4 x Poznań", Dom Kultury „Słońce", Poznań, Polska

2018 - „Wystawa z okazji 100-lecia Niepodległości", Galeria 33, Ostrów Wlkp., Polska

2017 - „Malarstwo i Rzeźba", Forum Synagoga, Ostrów Wlkp., Polska

2016 – V Międzynarodowy Przegląd Sztuki „ Alternarywy 33", Galeria 33, Ostrów Wlkp., Polska

2016 - „Walory Piękna", Dom Kultury w Mołosławiu, Polska

2015 - „Retrospektywy 33", Galeria 33, Ostrów Wlkp., Polska

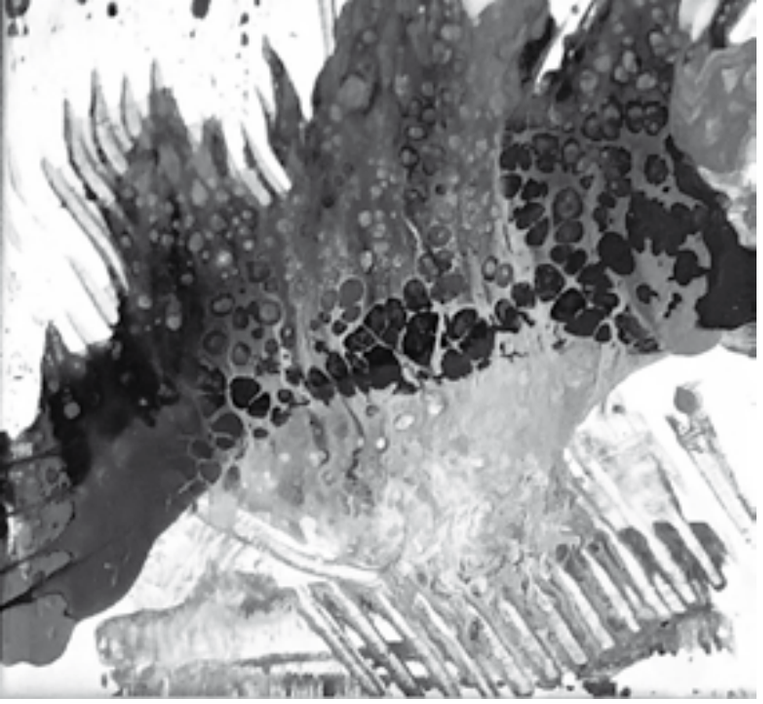

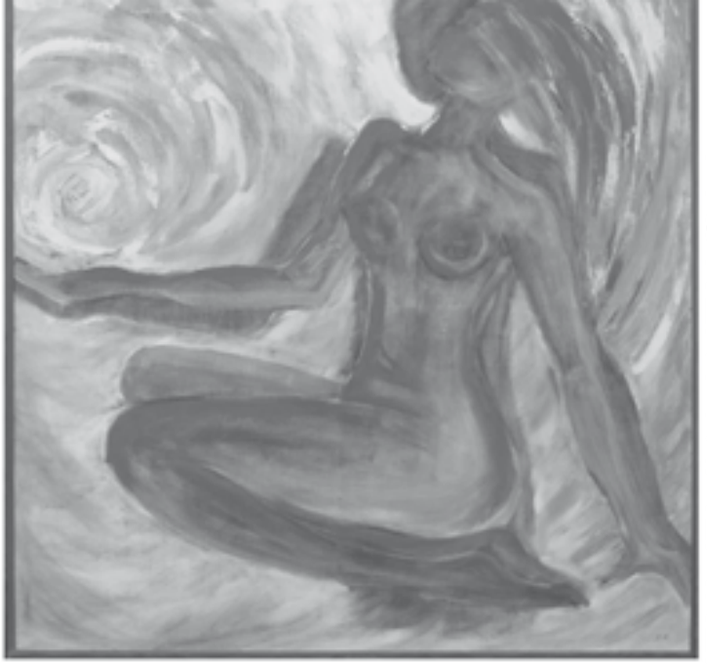

SPOTKANIA I 100 x 100 cm, technika mieszana 2014
MEETINGS I 100 x 100 cm, mixed technique 2014

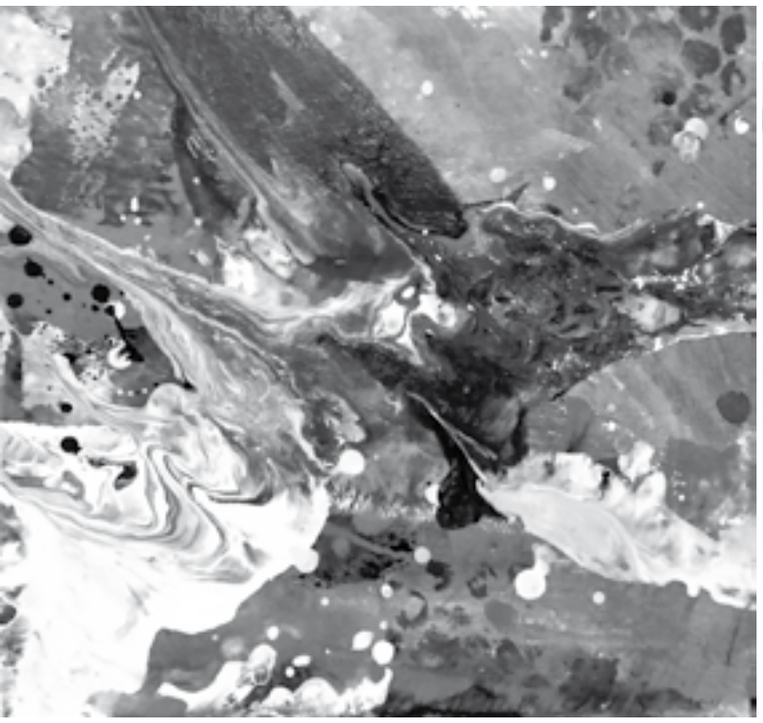

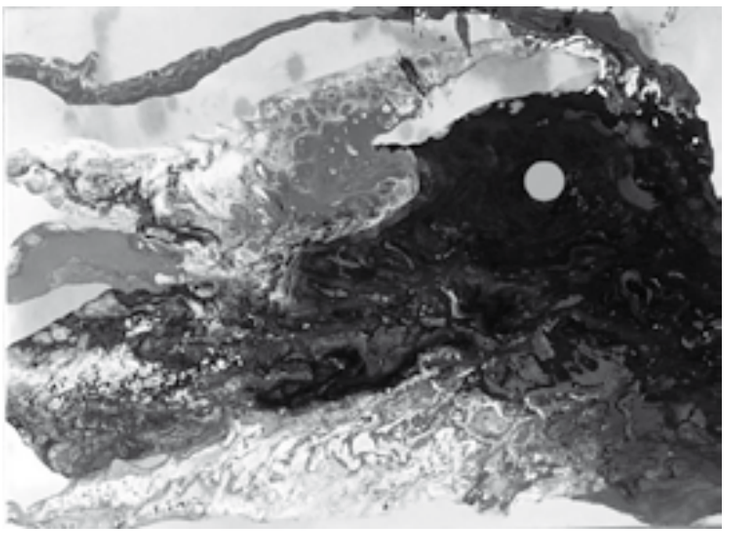

WACHLARZE 80 x 60 cm, technika mieszana 2021
FANS 80 x 60 cm, mixed technique 2021

Agnieszka Moroz

- Barbara Kingslover „Demon Copperhead"

Nie narracja, a aktorstwo, nie powieść, a spektakl pełen błyskotliwych sarkastycznych monologów i dialogów, w dodatku z doborową obsadą, w której każda postać jest pełnokrwista, lśniąca i osobna - tak w jednym zdaniu podsumowałabym książkę „Demon Copperhead" Barbary Kingsolver, gdyby ktoś mnie o to poprosił.

Ta nagrodzona Pulitzerem powieść, zrodzona z inspiracji dickensowskim „Davidem Copperfieldem" oraz rodzinnym dziedzictwem Autorki, to historia chłopca, który przyszedł na świat w przyczepie kempingowej w górach południowej Appalachii - krainie „wsiurów" z czerwonymi karkami, chodzących po miasteczku w za dużych jeansach, przewiązanych sznurowadłem. To miejsce, które reszta Ameryki obrała sobie za cel kopniaków w dowcipach i karykaturalnych programach reality show. Jeśli więc przyszło się tu na świat i na dodatek jest się - tak jak Damon - dzieckiem narkomanki, a potem sierotą przerzucaną z kąta w kąt, dostaje się od społeczeństwa łatkę PRZEGRYW, która naznacza na zawsze.

„Demon Copperhead" to traktat o ludzkiej niegodziwości, a także o chłodzie i nieudolności systemu, który nie potrafi jej przeciwdziałać. Obok ubóstwa i bezwzględnego wykorzystywania sierot (ukazanego za pomocą niezwykle sugestywnych obrazów, takich jak jedenastolatek rysujący w zeszycie pieczone kurczaki i półmiski z ziemniakami albo chłopiec zielony od zatrucia nikotyną w efekcie katorżniczej pracy przy zbiorach tytoniu), Kingslover obnaża także kulisy niedawnego amerykańskiego „kryzysu opioidowego". Przedstawia, w jaki sposób koncern farmaceutyczny Purdue Pharma wykorzystał cierpienie prostych, nieświadomych ludzi z jednej strony i pazerność dystrybutorów - łasych na pieniądze i bonusy w postaci egzotycznych podróży - z drugiej, by uzależnić tysiące pacjentów od tabletek przeciwbólowych OxyContin i zbić fortunę na zrujnowaniu im życia.

„Demon..." to wielka powieść z niebywale wiarygodnymi kreacjami i zdumiewającą narracją w duchu narkotycznego Tomka Sawyera. Zaboli, ale pozostawi Was z wartą zapamiętania refleksją, że nawet, gdy nie masz już nic, wciąż możesz zachować poczucie humoru i wykorzystać je jako swój oręż w walce z całym światem.

Terry Hayes „Rok Szarańczy"

Na tę książkę czekałam 10 lat. Ale czy faktycznie na tę?

Dla wielu czytelników „Pielgrzym" Hayesa był książkowym objawieniem. Wstrząsem i zagadką. Tą wielką powieścią i niesamowitą literacką przygodą, której szukali latami i którą zapamietają na zawsze. Zadawaliśmy sobie pytanie: kim jest ten facet? Kim jest Hayes i czy czasami nie pracuje dla CIA? Nic dziwnego, że teraz, gdy po tylu latach w księgarniach pojawiła się druga powieść Hayesa, oczekiwania jego fanów są niebotyczne. Czy „Rok Szarańczy" je spełnia? I tak, i nie.

Z jednej strony dostajemy tu bowiem wszystkie elementy, za które pokochaliśmy „Pielgrzyma"- tajnego agenta, specjalistę od Regionów Niedostępnych, rzuconego w bezkres surowych, nieprzyjaznych krajobrazów (pogranicze Iranu, Pakistanu i Afganistanu), pośród których nie obowiązują żadne moralne zasady. Mamy, a jakże, i okrutnego antagonistę z niezwykłą historią, który nie cofnie się przed niczym, by doprowadzić do zagłady ludzkości.

Z drugiej jednak, ta całkiem realistyczna powieść szpiegowska w miarę lektury przeradza się - dość nieoczekiwanie - w dzieło z gatunku science fiction, a ilość zbiegów okoliczności na metr kwadratowy jej świata przedstawionego staje się nieco zbyt wysoka. Jeśli dodamy do tego pokaźną ilość stron („Rok Szarańczy" ma ich ponad 700!) oraz fakt, że parę scen można by było wyciąć bez straty dla fabuły, spora część potencjalnego audytorium poczuje się zniechęcona.

Mnie wszystkie te aspekty prawie nie przeszkadzały. Lubię futurystyczną postapokalipsę (choć bardziej skłaniam się ku tej zaprawionej humorem, jak w niszowym filmie „The Battery"), pełnokrwistych i fascynujących bohaterów, hollywoodzko skrojone sceny, szpiegowskie smaczki, sekrety i dobre stylistyczne rzemiosło (pomysł z Diabelską Nocą był rewelacyjny!). „Rok Szarańczy" to wszystko w sobie ma, choć jednocześnie nie jest tą powieścią Hayesa, którą projektowałam sobie w głowie.

Santiago Roncagliolo „Noc szpilek"

„Odrażająca, brudna, zła" - te przymiotniki przewijały się w mojej głowie, kiedy czytałam „Noc szpilek". Powieść Santiago Roncagliolo od kilku miesięcy widywałam dosłownie wszędzie. Wyskakiwała z pięknie zaaranżowanych zdjęć na bookstagramie, z wieżyczek przeczytanych książek, ze stosów hańby, znad filiżanek kawy i spod herbaty, z fotomontaży „ze szpilkami w twarzy"... Aż w końcu sięgnięcie po nią stało się wyborem oczywistym. I bolesnym - jak miało się wkrótce okazać.

„Noc szpilek" opowiada o czwórce kolegów z jezuickiej szkoły w Peru z końca lat 90. Manu, Moko, Carlos i Beto to paczka „loserów", z którymi nikt się w szkole nie liczy i którzy nieustannie starają się pozbyć łatki nieudaczników. Zrobić coś, czym zaimponują sobie nawzajem i całemu otoczeniu. Rzecz jasna to musi być coś „męskiego" w stereotypowym, pierwotnym rozumieniu tego słowa. Zdobycie dziewczyny, bójka w stylu filmowych gangsterskich porachunków albo ostentacyjny bunt przeciwko szkolnym zasadom. Uczniowskie wybryki i wygłupy na lekcji przygotowania do życia w rodzinie nieoczekiwanie nakręcają spiralę zdarzeń, które prowadzą do tragedii. Jedna mała szpileczka rozrasta się w całą armię ukłuć, które stopniowo zyskują na sile i przeradzają się w akt przemocy.

Bardzo podobał mi się dwuznaczny motyw szpilki. Odgrywa on w tej historii kluczową rolę, choć to zagadka dla bystrego czytelnika.

Powieść Roncaglioli to relacja z wydarzeń obejmujących kilka dni, ukazanych z czterech perspektyw. Dobrze poprowadzona, zindywidualizowana dla każdego z bohaterów, pierwszoosobowa narracja, w której czuć ducha poszczególnych postaci (skądinąd nieźle skonstruowanych) wciąga, ale poziom wulgarności tej opowieści i okropieństwa całego tła opisywanych wydarzeń, stają się w końcu dla odbiorcy udręką. Przedstawiona w powieści problematyka nie jest przy tym na tyle świeża i odkrywcza, by była warta uwagi doświadczonego czytelnika, dlatego myślę, że „Noc szpilek" sprawdza się raczej jako młodzieżówka.

Grzegorz Gajek „Kraj kobiet"

Dokąd iść, kiedy nie ma już gdzie pójść? To oczywiste. Trzeba stworzyć nowe, bezpieczne miejsce, funkcjonujące na naszych zasadach. To, co tak dobrze brzmi w teorii, w praktyce jest jednak niewykonalne. Bo nie ma ucieczki od świata ani od ułomności naszej własnej, człowieczej natury. Bohaterki „Kraju kobiet" Grzegorza Gajka dobitnie się o tym przekonują.

Lubosza, Tetka i Kazia to trzy przyjaciółki, które - niczym rodzanice - zdają się przyjmować role: dziewczęcia, żony i starki. Szalona, dziecinna, ognista i zalotna Lubosza kocha się w całym świecie, a świat jest zakochany w niej. Niewinna, stonowana Tetka pragnie harmonijnego życia, zgodnego z wyrokami bogów. Kazia jest zaś Wiedzącą, która bierze sprawy w swoje ręce i nadaje im bieg z pomocą sztuki zielarskiej i czarów. Jeszcze jako nastolatki, w noc Brzozowego Święta, dziewczęta ślubują sobie, że nie będą jak ich matki i że nie dadzą się nikomu spętać. To tylko pierwsza z wielu obietnic, które zostaną złamane. Po latach ścieżki trzech przyjaciółek skrzyżują się bowiem ponownie na skraju wspólnej drogi - tam gdzie kończy się świat mężczyzn, a zaczyna królestwo kobiet.

Bohaterki Gajka to postaci zaczerpnięte z legendy o trzech córkach czeskiego Kroka. Własną wersję ich historii pisarz osadza w świecie przesyconym bogactwem pięknie ukazanej, słowiańskiej mitologii. „Kraj kobiet" to opowieść o mężczyznach, którzy uwielbiali wojnę (bo pozwalała im sprowadzić kobiety do roli przedmiotu) i kobietach, które pragnęły tylko świętego spokoju. A przynajmniej początkowo, bo ten wspólny kobiecy głos musi w końcu przejść w wielogłos pełen rozmaitych odcieni...

Zachwycił mnie poetycki język tej powieści, pełen archaizmów. Ujęła subtelna i wiarygodna, kobieca narracja. Baśniowa

opowieść o paktach Luboszy ze Żmijem otworzyła zaś w mojej głowie sekretne drzwiczki do zapomnianej krainy dzieciństwa - jednocześnie mrocznej i wspaniałej!

Marieke Lucas Rijneveld „Niepokój przychodzi o zmierzchu"

Powieści mają swój zapach. Bywa korzenny, duszny i pikantny, bywa trawiastoziołowy, błotny i intrygujący - jak obietnica nastoletniej przygody. „Niepokój przychodzi o zmierzchu" pachnie sianokiszonką. I nawet czytelnik o niezbyt wyostrzonych zmysłach będzie miał problem z wytrwaniem w tym klimacie do końca.

Nagrodzona Bookerem powieść to przejmujący portret holenderskiej rodziny, która boryka się z traumą po tragicznej śmierci najstarszego z synów. Ojciec zagłusza myśli, recytując wersety z Biblii, matka potajemnie się głodzi. Oboje skupiają przy tym prawie całą uwagę na krowach - bohaterkach ich małego gospodarstwa. Dzieci tymczasem są pozostawione samym sobie. Przeraźliwie samotne, głodne uczuć i atencji, z dnia na dzień „stygną" i dziczeją coraz bardziej, a ich sposób postrzegania rzeczywistości ulega wypaczeniu. Każdy kolejny zmierzch przynosi narastający lęk, a zło zdaje się nieustannie przeobrażać i nigdy nie wiadomo, jaką przybierze postać.

Debiutancka powieść Marieke Lucasa Rijnevelda zwraca uwagę na istotny aspekt społecznego lekceważenia trudnych przeżyć dzieci i ich wewnętrznych emocjonalnych zmagań, które dorośli lubią sprowadzać do „wymysłów". Autor świetnie zobrazował tę prawidłowość. Rodzice głównej bohaterki obawiają się, że sąsiedzi uznają ją za dziwadło, jeśli nie zdejmie w końcu czerwonej kurtki budrysówki, którą traktuje jak ochronny pancerz, lecz niespecjalnie dociekają, dlaczego w ogóle ją nosi. Martwią się o zdrowie krów, podczas gdy ich dzieci licytują się, które wymyśli lepszy sposób na samobójstwo albo oddają się kazirodczym zachowaniom.

Niestety nie mogę powiedzieć o tej książce ani jednego dobrego słowa więcej. Natężenie beznadziei, brudu, odoru, naturalistyczno-turpistycznej obrzydliwości, makiawelicznych postaw, freudowskich obsesji i przemocy przybiera w niej niemal karykaturalną postać.

Podobno Autor traktował pisanie „Niepokoju" jako autoterapię, opisując własne traumy. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że to założenie szybko przeszło w chęć zafundowania czytelnikom szoku, z jakim się jeszcze nie zetknęli. Efektem jest powieść wyczerpująca psychicznie i niezbyt wiarygodna.

Zeruya Shalev „Los"

„Tyle lat wierzyła, że jest odpowiedzialna za stan i dobrobyt swoich dzieci, próbowała rządzić i chronić, kierować (...). Być może to najczęstsze złudzenie w życiu rodzinnym. Kiedy kurtyna się uniesie, każdy z widzów ujrzy inne przedstawienie, nawet jeśli siedzą tuż obok siebie, trzymają za ręce, ich zdolność wpływania na siebie nawzajem jest tak niewielka, jak zdolność wpływania na to, co rozgrywa się na scenie" - pisze Shalev.

Ten znakomity fragment zamyka w sobie kwintesencję książki „Los" i niesie ponadczasową prawdę o płonnych nadziejach, jakimi karmią się rodzice, którzy pragną nakreślić ścieżki życia swoich dzieci złotym tuszem, prowadząc czubek cienkopisu od początku mapy aż do jej krańców.

„Los" opowiada o spotkaniu dwóch zupełnie różnych kobiet, które nić przeznaczenia w zaskakujący sposób związała ze sobą nierozerwalnym węzłem. Rachel to staruszka, owdowiała i osamotniona przez dorosłych synów, którzy wybrali style życia odmienne od jej wyobrażeń. Pozostawiona sama sobie, raz po raz wraca pamięcią do lat burzliwej młodości, gdy była bojowniczką walczącą na rzecz formującego się dopiero państwa Izrael. Analizując na nowo wydarzenia tamtych dni, Rachel stara się przeniknąć tajemnice swojego pierwszego męża i ustalić, dlaczego porzucił ją bez słowa i z dnia na dzień zrezygnował z walki na rzecz ojczyzny. Szuka też odpowiedzi na pytanie, czy jej własne decyzje były słuszne.

Atara jest matką w patchworkowej rodzinie i córką „utraconego" męża Rachel, ale jej relacje z ojcem nigdy nie były nawet poprawne. Ona także pragnie rozliczyć się z przeszłością i poszukuje odpowiedzi na dręczące ją rozterki właśnie u tajemniczej staruszki. Nie wie jednak, że kiedy tylko zwróci twarz ku przeszłości, teraźniejszość uderzy ją z całą mocą, wykorzystując chwilę nieuwagi...

„Los" to napisana pięknym językiem powieść psychologiczna z dobrze skonstruowanymi portretami bohaterów. Zawiera nawiązania do Kabały i ciekawe odwołania do symboliki kozła ofiarnego. A jednak jest to książka wysoce nierówna. Mniej więcej za połową narracja zdaje się tracić animusz i można odnieść wrażenie, że czyta się wciąż te same zdania, rozwleczone do granic możliwości.

Lynn Messina „Morderstwo w Lakeview Hall"

Co wyniknęłoby ze spotkania Jane Austen i Agaty Christie? Czy nawiązałyby przyjaźń i Jane pożyczałaby Agacie suknie z wysokim stanem, a potem próbowała wraz z nią "przekonać się do nikotyny", popalając na próbę po kolacji? Czy wdałyby się w płomienny romans, spędzając wieczory w wielkiej wiktoriańskiej wannie? A może raczej zaplanowałyby zbrodnię idealną? Cokolwiek by się zdarzyło, zapewne wyszłaby z tego niebanalna opowieść, dlatego rozumiem zamysł Lynn Messiny, pragnącej połączyć światy dwóch charakternych pisarek i stworzyć kostiumowy kryminał. Efektem jest przezabawna powieść, w błyskotliwy sposób igrająca z przyjętą konwencją!

"Morderstwo w Lakeview Hall" opowiada o dwudziestosześcioletniej Beatrice Hyde-Clare, która przyjeżdża wraz z ciotką i kuzynostwem do położonego nad jeziorem dworku Skeffingtonów, by napawać się urokami wsi i świadkować zalotom dam i dżentelmenów z wyższych sfer, w których ona - jako stara, "bezbarwna" panna bez posagu - nie może uczestniczyć. Znudzona trzecioplanową rolą i zniesmaczona konwenansami Bea, nieoczekiwanie trafia na miejsce zbrodni, która zmieni wszystko.

Chociaż książka powstała na fali trwającej właśnie fascynacji epoką regencji i stylem royal, nie tyle odcina od niej kupony, co zręcznie ją wykpiwa. Narrator bezbłędnie punktuje absurdalne zachowania bohaterów, wyjęte jakby żywcem z czytadeł pośledniego gatunku, zauważając np.: "szła w stronę podejrzanych odgłosów za oknem z naiwnością godną heroiny powieści gotyckich. W pełni zasługiwała na krwawy koniec, który ją czekał".

Bohaterowie prawią sobie nawzajem niedorzeczne komplementy i powołują się na szlacheckie tytuły, by używać ich jako argumentów, poświadczających ich niewinność. A kiedy morderca zostaje wreszcie zdemaskowany, uspokaja się go, że uniknie kary dzięki koneksjom najbliższych, obejmujących przyjacielskie polowania z sędzią na bażanty.

To niezła satyra na Bridgertonów, przywołująca przy okazji uniwersalną prawdę, która brzmi: "jest jedno prawo dla bogatych, a drugie dla biednych".

Agnieszka Moroz

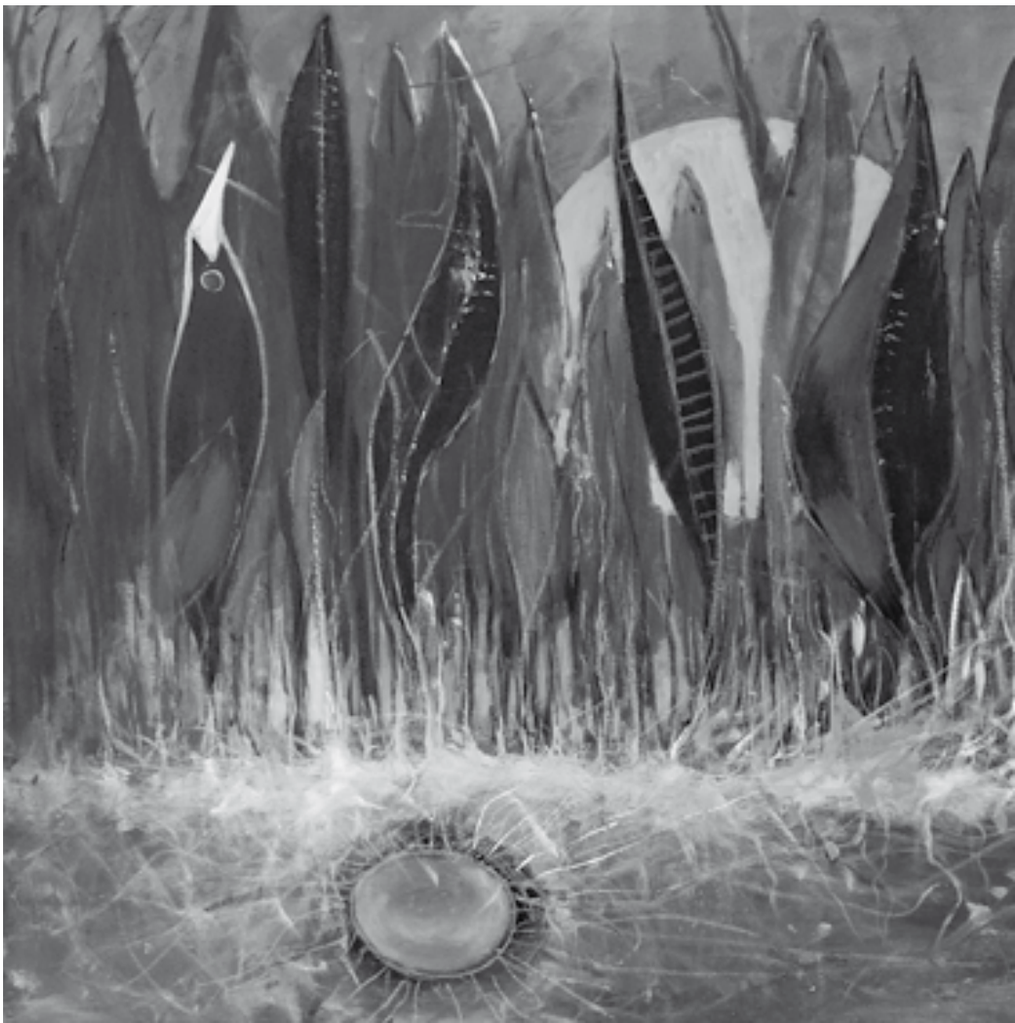

Mateusz Wabik

Lęk przed kąsaniem

„Dzikie stworzenia" to tytuł pierwszego, w pełni autorskiego tomiku Jadwigi Grabarz, który ukazał się w 2016 roku nakładem krakowskiego jeszcze wówczas Wydawnictwa Eperons-Ostrogi. Jednak wcześniej w 2008 roku poetka wydała nakładem Sulechowskiego Domu Kultury arkusz poetycki pt. „Gaszenie do snu" będący nagrodą główną w III Ogólnopolskim Konkursie Literackim Młodych „O wachlarz Wilhelminy" i w tym samym roku wraz z Aleksandrem Rozenfeldem tomik „Wiersze nie dla dzieci". Mimo braku informacji na czwartej stronie okładki o wcześniejszych publikacjach poetki, można sprawdzić w internecie co nieco. Niespodziewanie strona lubimyczytać.pl była rzetelniejsza w tym przypadku od katalogu Biblioteki Narodowej.

Wiersze w książce Grabarz zostały podzielone na dwie części „Wilki" i „Świerszcze", ale podczas lektury nie wyłapałem powodów z jakich rozdzielono wiersze, poza tym, że wilcze motywy pojawiły się w pierwszej części, a koniki polne wskakiwały do wierszy w drugiej części. Wilcza część tomiku zawierała krótsze wiersze, a ze świerszczami dłuższe.

Grabarz pisała w stylu opisowym lub wyznaniowym zwracając się do nieznanego adresata. Próbowała wymyślić własną legendę, chciała przetrwać w pamięci („Genesis"), pisała o smutku, snach, w których pojawiały się bogato obradzające pola („Gdzieś"), próbowała z kimś stworzyć własny świat, odseparowany od obcych rejonów, pisała o ucieczce przed zagrażającym intymności nieprzyjaznym światem („Co mamy"), drzemiącej w ludziach cywilizowanych dzikości („Dzicy"), odnosiła się do beztroskiej sanny w „Wio!", która kojarzyła się z kuligiem z „Potopu" Henryka Sienkiewicza. Pisała także o lęku przed śmiercią – co skojarzyła dosyć oryginalnie z wywózką śmieci – „wywożą nas w kontenerach/wszystkie śmieci a w tym nasze ciała/sprawdzają listy umarłych" („Przesiedlenia"). Z chirurgiczną precyzją także oglądała własne i innych wnętrza stwierdzając, że w każdym człowieku splatały się własne cechy z cechami, motywami działania innych ludzi („Narzędzia")

Wilczy motyw kojarzący się z nieżyczliwością pojawił się w wierszu „Niewiele", w którym można było przeczytać o wilkach w czyichś oczach co kojarzyło się ze związkiem frazeologicznym „patrzeć na kogoś wilkiem". W „Przydziale ról" napisanym w stylu liryki maski podmiot liryczny wcielił się w kogoś pożeranego przez stado wilków. W „Powracającym śnie" poetka pisała o śnie, w którym uciekała przed wilkami. Koniki polne zaś symbolizowały w poezji Grabarz uczucia, ruch, optymizm. Dłuższe wiersze pisane rozległą frazą ukazywały sporą wyobraźnię poetki np. w „Monografii nieba" ukazywała nieco onirycznie znikomość człowieka na tle kosmosu.

Poetka w swojej liryce z „Dzikich stworzeń" łączyła młodopolski symbolizm jakoś bardziej ujednoznaczniony z późniejszymi awangardami, nieobca jej była baśniowość, ani zwięzłość aforyzmu. W jej wierszach nie znać było odwołań do poetyki Nowej Fali, kaskaderów literackich z lat PRL-u, poetów z kręgu „Brulionu", nie wpisywała się ani w nurt lingwistyczny, ani zaangażowany. Ku mojemu zaskoczeniu jej poezja była bliska jednemu z nurtów poezji roczników 70-tych, który Marian Stala uważał za „poezję wyzwolonej wyobraźni", a Karol Maliszewski za nurt lunarny, w którym zamiast anegdoty, kpiarstwa, realistycznych scenek, humoru, dochodziły do głosu lęki, uczucia i sny. I faktycznie poezja Grabarz mogła kojarzyć się np. z poezją Bartłomieja Majzla z okresu „Biegu zjazdowego", czasami także z poezją Agnieszki Sobol i Romana Honeta. Głównym tematem poezji Grabarz wydawała się walka z nieprzyjaznym światem o własne miejsce w świecie, lęk przed rozpadem znanego świata, który mógłby zostać zniszczony przez innych ludzi wyobrażonych często jako kąsające wilki.

Wydaje się, że „Dzikie stworzenia" Grabarz zostały trochę niezasłużenie niezauważone, a szkoda, gdyż poetka pisała – mimo wszystkich porównań - bardzo po swojemu, poruszała swoje sprawy i nie wpisywała się w różne opcje, modne poetyki podsuwane w latach jej debiutu przez czasopisma. Także z popkulturą była na bakier. Motywy wilcze były dosyć przerażające. Dawno nie czytałem tomiku wierszy w tym stylu i szkoda, że o poetce zrobiło się cicho. Także warto wspomnieć o okładce Rafała Borcza w stylu Rene Magritte'a, choć nie oceniałem nigdy tomiku po okładkach, ale sowa bez głowy na tle nocnego nieba dobrze korespondowała z mroczno-senną atmosferą poezji Grabarz, choć w tomiku pojawiały się wilcze i świerszcze motywy.

Mateusz Wabik

Jadwiga Grabarz, Dzikie stworzenia, Kraków 2016

Mateusz Wabik

Knajpiany Kraków

W pierwszej dekadzie XXI wieku w Krakowie zaczęły być organizowane spotkania poetyckie w knajpach i nie chodziło o wieczorki znanych poetów, ale spotkania dla początkujących. Często te spotkania poetyckie połączone były z częściami muzycznymi, na których występowały zespoły rockowe, metalowe, czy hiphopowe. Poeci pojawiający się na tych spotkaniach rzadko, albo w ogóle nie wpadali na koła młodych, czy warsztaty prowadzone przez zawodowe związki literackie i domy kultury, także podczas tych spotkań nie wymagano publikacji wierszy w czasopismach, choć zdarzali się poeci, którzy gdzieś zaistnieli, zamiast tego czytano wiersze, nagradzano je oklaskami lub nie, zdarzały się głośne komentarze. Były te spotkania następstwem propagowania poezji slamowej przez krakowski „Ha!art", gdzie promowano prostotę, rymy, problematykę społeczną i ostre komentarze. Nie znałem dobrze tego środowiska, ale chyba, w którymś momencie albo powrócono na slamach do czytania zwykłych wierszy nie nastawionych na rymy i odziaływanie na publiczność, albo środowisko knajpianej literatury podzieliło się na obóz performerów i zwyczajnych poetów. Takie spotkania poetyckie dla początkujących prowadzone były w ramach cyklicznych spotkań „Kulturkampf", „Poezje i herezje", ale także w Kawiarni Artystycznej i ostatnio w Efemerii.

Musiałem wspomnieć o zjawisku poezji knajpianej, gdyż niedawno dostałem z wymiany tomik Michała Killińskiego pt. „Literatura brzydka", który ukazał się w 2018 nakładem krakowskiego wydawnictwa Santa Muerte (wznowiono go w 2023 roku), a autor urodzony w 1987 roku związany był z poezją knajpianą od wielu lat, ba sam współprowadził spotkania „Poezje i herezje". Nigdy jednak nie spotkałem się z jego poezją w żadnym periodyku, a z tego co się zorientowałem był dosyć cenionym poetą w krakowskim w knajpianym obiegu literackim.

W „Literaturze brzydkiej" nie było nadziei, humoru, zwykłej próby ogarnięcia codziennego życia za to dominował nastrój beznadziei, bylejakości, niespełnienia, choć trzeba przyznać, że Killiński nie pisał jak wielu poetów w ostatnich latach w stylistyce peerelowskich kaskaderów literackich, nie słychać było wpływu na jego wiersze ani Rafała Wojaczka, ani innych poetów z tego kręgu. Także mimo niekiedy podobnego klimatu do poezji Marcina Świetlickiego w „Literaturze brzydkiej" nie było nawiązań do jego poezji, nie było czuć wpływu rytmu jego fraz na język Killińskiego, choć czasem pojawiały się motywy mogące się kojarzyć z poezją autora „Zimnych krajów" jak np. ironicznie potraktowany motyw alkoholizmu – „Jak każdy nieszanujący się alkoholik/mam nos zadarty w lewą stronę." („Dzienniki"), albo listopadowa aura „Listopad, dwadzieścia odbić/do końca jeszcze." („Memento More").

W wierszach Killińskiego przeczytać można było o gnijącym jedzeniu w lodówce, myślach samobójczych, zarażeniu paciorkowcem, zaliczanych kobietach, wymiotach, samookaleczeniu, nieznośnych tęsknotach i rozłąkach, ale także pojawiały się w nich odniesienia do jazzu i rocka, ale także napomknienia o niesnaskach z własnym ojcem, ciągłym błądzeniu w świecie nie mając poczucia celowości istnienia, snach o lepszym życiu, czy nawet ironicznie o kanibalizmie, niechęci do świąt państwowych (co też mogło kojarzyć się z poezją Świetlickiego).

W wierszu „Pani K." znalazł się ciekawy opis rytualnego, religijnego aktu klęczenia niepopartego wiarą, ale robionego na wszelki wypadek: „Nie wierzy ale prosi a nuż/a nóż tak na wszelki wypadek" („Pani K."). W wierszu kobieta od klęczenia zrobiła sobie odciski, ale także zraniła się od gwoździa co mogło być przypadkiem, ale także symbolem. Nie spotkałem się jeszcze w polskiej poezji współczesnej z takim przypadkiem, by ktoś opisał religijne czynności wykonywane bez większego przekonania. Kiedyś to raczej oficjalny świat PRL-u był ukazywany jako taki na niby np. w minipowieści Marka Nowakowskiego pt. „Homo Polonicus" z lat 80-tych opisywano ludzi w pochodzie pierwszoma-

jowym, którzy nie demonstrowali swojego przywiązania do idei komunistycznych, ale przez udział w nim dbali o awanse w pracy, wczasy albo nie chcieli się narazić na nieprzyjemności ze strony dyrekcji w zakładzie pracy. Killińskiemu nie chodziło w wierszu ani o obronę wiary, ani optowanie za ateizmem, ale zastanawiało go wykonywanie czynności religijnej, do której nie miało się przekonania. W wolnym świecie było to niepotrzebne, ale poeta zauważał, że ten świat oficjalnego życia zbiorowego, mimo, że wyrastający z opozycji do komunizmu także był czasem na niby. Jednakże bardziej w wypadku klęczącej kobiety chodziło w działaniu na wszelki wypadek o zbawienie, a nie o awans w pracy. Choć nawet wtedy było to dosyć kuriozalne.

Mimo, że Killiński nie inspirował się zbytnio dawnymi awangardami, ani symbolizmem niektóre jego wiersze były zbudowane z różnych fraz na granicy komunikatywności i nie za bardzo wiadomo o co w nich chodziło poza tym, że były mroczne. Np. w „Poduszkach" pojawiło się zastanowienie nad własnym istnieniem. Potem informacje, że pod jezdnią płynęła „martwa rzeka", a latarnie „świeciły pustkami". Mogło to być wyrażenie czegoś co działo się w nocy. Jednakże w kolejnych strofach pojawiła się matka, która miała przeprosić, a także oczekiwanie na odcięcie ręki. Wiersz kończył się słowami „Odkąd tu jestem/będę już wszędzie". Zważywszy na styl poezji Killińskiego w innych wierszach ten jakby zawisł w zbyt wielkim niedomówieniu i poza chwytliwymi frazami, które mogły intrygować, niezbyt wiązały się z sobą różne strofy. Wiadomo tylko, że wydarzyło się coś niezbyt przyjemnego i bolesnego dla podmiotu lirycznego, ale wiersz jakby opierając się na pseudonimowaniu stanów uczuciowych nie wyjaśniał niczego, ani nie zmierzał w jakieś rozleglejsze rejony eksperymentalne.

Po tym co słyszałem na różnych spotkaniach knajpianych byłem zaskoczony na plus tomikiem Killińskiego, choć dobrze jego poezji nie znałem, gdyż unikał takiego naiwnego, uczuciowego poezjowania na bazie mocno utartych motywów z archiwów poezji. Jednak te kilka skojarzeń z poezją Świetlickiego kazało się zastanowić, czy poeta zacierał ślady większej inspiracji jego poezją, czy miał po prostu podobne zainteresowania subkulturowe, muzyczne i temperament. Nie mogłem tego rozstrzygnąć, bo takich wyraźnych śladów nie było zbyt dużo. Poeta nie uciekał w świat literacki sprzed 1989 roku jako ten ważny co kreowały niektóre środowiska także związane z Krakowem. Wybór Świetlickiego jako patrona swojej poezji (gdyby te inspiracje były większe niż te wyraźnie zaznaczone) mógł być też odczytywany jako przeciwstawienie się różnym opcjom artystycznym uprawianym przez rówieśników – od neolingwizmu, przez żartobliwą poezję konwersacyjną, po poezję zaangażowaną. Do tego inspiracje poezją Świetlickiego nie były tak wyraźne w „Literaturze brzydkiej" jak w przypadku poezji Michała Kaczyńskiego, czy Bartosza Muszyńskiego - poetów należących do roczników 70-tych. Jednak takich wierszy nośnych jak „Pani K." nie było zbyt wiele w tomiku Killińskiego.

Mateusz Wabik

Michał Killiński, Literatura brzydka, Kraków 2023 (II wydanie)

Mateusz Wabik

Groza, wierzenia i obyczaje Podlasia

W 2021 roku nakładem krakowskiego wydawnictwa Ostrogi ukazała się pierwsza powieść Artura Ziontka pt. „Latawcy". Autor wcześniej opublikował dwa tomiki wierszy i sporo artykułów o historii i kulturze Podlasia w pracach zbiorowych i czasopismach. Główny wątek powieści, czyli badanie przez warszawskiego komisarza Walentego Konopkę nadprzyrodzonego zjawiska jakim było unoszenie się zmarłych zwanych latawcami nad Kossowem w województwie lubelskim pod koniec lat 30-tych, stał się zaledwie klamrą spinającą rozdziały powieści, w których autor ukazywał codzienne życie podlaskiej prowincji sprzed prawie wieku, jej obyczaje, zabobony wymieszane z katolicką wiarą, żydowskie legendy, uwikłanie w historię – przez wątek I wojny światowej i bolszewickiej, ale także go interesowały sprawy damsko-męskie. Sporo miejsca w powieści zabierało przytaczanie rozmów komisarza ze swoją stanowczą gospodynią Haliną Grzewałową, albo opisy przygotowywanych przez nią posiłków, ale także dysputy z jej siostrą Jadwigą będącą gospodynią lekarza Hieronima, z którym komisarz dyskutował o książkach, kobietach i zawodności ludzkiego umysłu. Przez to opowieść o tajemniczych zjawiskach zmieniała się często w powieść obyczajową z wątkami filozoficznymi i mitycznymi. Sprawa Latawców nie została rozwikłana, ale zakończyła się zwyczajnym powrotem Konopki do Warszawy. Nie była też ona jedynym wątkiem związanym z fantastyką, gdyż czytając powieść Ziontka można było poznać historie innych mieszkańców Kossowa, np. Kuszla i Ryfki, których ojcowie przemienili się w kamienne pomniki, albo opowieść o Marianku, który okazał się reinkarnacją swojego dziadka.

Oprócz wspomnianych wątków, autor wplatał do fabuły swojej powieści wiele krótkich historii i anegdot, które nie rozwijały się, ale raz mniej czy bardziej zazębiały się z głównym wątkiem powieści – minister opowiadał o Karcelaku, przedwojennym, warszawskim targowisku, w przedostatnim rozdziale „Komisarz, felczer i kilka bab ze wsi jadą na grzyby za Okrągłą Wólkę" pojawiła się opowieść o szalonym Żydzie Libermanie, którego wystraszył własny sen i przez to błąkał się po okolicach Kossowa, czy sprawa zabójstwa, Franka gwałcącego Halinę przez Konopkę.

W powieści Ziontka można było zauważyć nawiązania do innych dzieł literackich o czym pisał w krótkiej nocie autor pod koniec książki – m.in. wplatał do swojej powieści cytaty z „Z ziemi chełmskiej" Władysława Reymonta, czy „Myśli" Pascala. Ale także można zauważyć było w powieści wpływy dzieł, o których autor nie wspominał, np. niesnaski pomiędzy Kazikiem i Kuszlem wydawały się wariantem niesnasek Miętusa i Syfona z „Ferdydurke" Witolda Gombrowicza, które opisane były z podobnym napięciem i dynamiką. Niektóre fragmenty – przez klimat i powiązanie prowincjonalnego miasteczka z wydarzeniami ponadnaturalnymi przypominały opowiadania Brunona Schulza ze „Sklepów cynamonowych", albo „Hanemanna" Stefana Chwina, kiedy autor łączył opisy zabudowy miejscowości z fabułą i odnoszeniem się do historii.

Jeśli chodziło o język powieści – narracja była prowadzona w trzeciej osobie, niekiedy pojawiały się także nawiązania do powieści szkatułkowej – kiedy epizodyczni bohaterowie przytaczali różne historie. Jeśli pojawiały się w powieści intelektualne rozważania to raczej w dyskusji pomiędzy bohaterami powieści, niż we wnętrzu bohatera, co nieco drażniło. Często autor zestawiał wytworność, czy zwykłość języka polskiego ludzi wykształconych z gwarą ludzi z prowincji i bełkotem. Oni także potrafili przekręcać pewne słowa i bardziej dowierzali zabobonom i legendom niż nauce, co mogło kojarzyć się z „Antkiem" Bolesława Prusa.

Przed przystąpieniem do lektury powieści oczekiwałem, że będzie to opowieść z wątkami nadprzyrodzonymi w stylu horrorów Stephena Kinga, albo – jeśli chodziło o polską prozę – „Tajemnicy wiecznego życia" Włodzimierza Bełcikowskiego, czy przypominającą choćby opowiadanie Stefana Grabińskiego „Probemat Czelawy", w których fabuła i rozwijająca się akcja podporządkowane zostały głównemu wątkowi nadprzyrodzonemu i rozwikływaniu tajemnicy. Przez to oczekiwanie na wyniki śledztwa wydawało mi się z początku, że Ziontek był mistrzem retardacji, bo gdyby zebrać do kupy wszystko co dotyczyło tytułowych latawców wyszłaby zapewne mini powieść, a często coraz to nowsze wątki i historie mieszkańców Kossowa opóźniały rozwój akcji. Na pewno Ziontek był bardzo wyczulony na żywioł mowy potocznej i historię Podlasia co było sporym walorem powieści, a do tego w powieści wyczuwało się ogrom pracy nad nią, jednakże szkoda, że autor bardziej nie skupiał się na głównym wątku – bo humory gospodyń Haliny i Jadwigi mało mnie obchodziły i przypominały mi obie Sonię graną przez Bożenę Dykiel w „Znachorze" Jerzego Hoffmana, a o nadprzyrodzonych, frapujących zjawiskach zbyt mało się dowiedziałem i sam główny bohater powieść Walenty Konopka też. Niekiedy też się zastanawiałem czy czytałem powieść, czy zbiór opowiadań i gdyby faktycznie podzielić „Latawców" na fragmenty – zbiór opowiadań mógłby być nieco ciekawszy, gdyż wtedy uniknięto by nieco zbyt uciążliwej sprawy retardacji. W przyszłości, gdyby Ziontek miał wydać kolejną powieść, ważne byłoby trzymanie się jednego czy dwu wyznaczników gatunków powieściowych, ponieważ to nieco nużyło, że autor chciał napisać powieść parapsychologiczną w stylu przedwojennym z pewną dozą powieści kryminalnej, ale wyszła mu powieść obyczajowa z elementami powieści historycznej z cechami powyżej wymienionych gatunków i z niewspomnianymi wcześniej wątkiem powieści erotycznej. Jeśli jednak ten eklektyzm był zamierzony i wypływał z chęci napisania powieści postmodernistycznej to mogłem to zrozumieć, jednak zważywszy na talent literacki autora ograniczenie się do mniejszej ilości eklektyzmu byłoby lepsze dla powieści i jej czytelników. Inna powieść współczesna o zdarzeniach nadprzyrodzonych i polskiej prowincji „Epifania wikarego Trzaski", kiedyś jeszcze mało znanego pisarza - Szczepana Twardocha jednak nie rozłaziła się w różne strony gatunkowe.

Mateusz Wabik

Artur Ziontek, Latawcy, Kraków 2021

Mateusz Wabik

Rozmyślania o istocie pisania i ciele

Jedną ze zmian jakie się dokonały w polskiej literaturze w ostatnich latach było to, że nie pojawiło się jakieś nowe pokolenie próbujące zaistnieć szerzej, mające coś do powiedzenia innego niż było do tej pory, chcące napisać coś po swojemu, albo choćby zaistnieć na zasadzie podobnej daty urodzenia. Nie pojawiły się ani czasopisma roczników 90-tych, ani serie wydawnicze wspierające to pokolenie. A wydawać by się mogło, że twórcy urodzeni już w wolnej Polsce mogliby mieć coś swojego do powiedzenia. Być może niebawem pojawią się nowe, donośne głosy, gdyż w ostatnim „Akancie" Stefan Pastuszewski pisał: „młodzi Polacy nie utożsamiają się z Polską tak jak ich rodzice. Interesuje ich Europa i świat, a nie wzmacnianie polskiej gospodarki, o której wiedzą, że jest głównie podwykonawcą światowych, w pierwszym rzędzie niemieckich koncernów. Uważają nasz kraj za zaścianek". Więc można wyciągnąć wniosek, że pokolenie roczników 90-tych urodzone w wolnej Polsce, która jeszcze nie zaczęła należeć do Unii Europejskiej, będzie pamiętane jako takie ciche i spokojne pokolenie, na pewno nie do końca odkryte i opisane, sytuujące się pomiędzy rocznikami 80-tymi sprawniejszymi technicznie i bieglejszymi w zawiłościach rynku wydawniczego niż np. roczniki 70-te, a być może nadchodzącym pokoleniem Europejczyków (nie Polaków choć w Polsce urodzonych) i kosmopolitów, a może nawet emigrantów już nie z przyczyn politycznych i zarobkowych, ale świadomych uciekinierów z Europy gorszej prędkości.

Dodany do październikowego „Tygla Kultury" tomik „Strącasz mnie w ciało" był drugim wydanym przez Agnieszkę Tarnowską, poetkę urodzoną w 1992 roku, czyli już w wolnej Polsce, w roku afery lustracyjnej wywołanej przez Janusza Korwina-Mikkego, którą niegdyś mało się interesowałem bo zdałem sobie sprawę w liceum, że tak naprawdę w wolnej Polsce to będą liczyły się znajomości, albo Amway.

W „Strącasz mnie w ciało" nie rozgrywał się żaden dramat, poetka nawet nie wyhodowała sobie po nietzscheańsku ani źdźbełka afektu, stroniła od krzyku i nie epatowała odrzuceniem. Jej poezja była raczej spokojna i chyba nieco zbyt, bo np. w wierszu „rano" czytaliśmy o „kolonii obcych/koszmarów" gnieżdżących się gdzieś w puchu kołdry, którą mógłby podnieść „balonik z helem". Niestety były to obce koszmary i poetka nie zaryzykowała utraty spokoju ducha opisaniem ich. W wierszu „ostrożnie" będącym autotematycznym wierszem na temat pisania wierszy, poetka pytała „w jakie granice ująć/wyobraźnię/by nie rozsadziła empirii". Namysł nad pisaniem, w którym łączyło się doświadczenie i pomysły czerpane z wyobraźni nie poprowadził poetki do ciekawego wiersza, w którym mogła zaaranżować zastanawianie się oparte na przykładach w kolejnych strofach, żeby rozwinąć wiersz w coś na kształt „Radości pisania" Wisławy Szymborskiej. Niestety kroczenie w „ciężkim ciele" i bycie w końcu zagiętą „w barani róg/umazany farbą" było raczej uniknięciem odpowiedzi na zadane pytanie przez mnożenie jakichś mało intrygujących obrazów. Zastanawianie się w wierszu nad istotą poezji przerodziło się w niezbyt ciekawe wnioski. Poetka została swoim pytaniem postawiona w niezręcznej sytuacji i obezwładniona nim, gdyż niezbyt umiała na nie odpowiedzieć i po prostu została „zagnana w kozi róg". Na szczęście w tym utartym związku frazeologicznym zmieniła „kozę" na „barana" i jeszcze odwołała się do obrazu zagiętego rogu kartki, by - mimo wszystko - ukończyć wiersz. Poetka zawiesiła sobie wysoko poprzeczkę, ale zakończyła nieco zbyt nieciekawie.

W pierwszym tomiku pt. „Uliczanka" z 2021 roku Tarnowską interesowały sprawy społeczne, gdyż zajmowała się w nim losami ludzi bezdomnych (o czym można było przeczytać na jednym ze skrzydełek okładki drugiego tomiku), a w drugiej książce skupiła się bardziej na mikro-obserwacjach codzienności, sprawach osobistych, ciele i przyrodzie. Zwróciła większą uwagę na słowa, ale nie przydarzyły jej się jakieś zapamiętywalne na dłużej słowne wyczyny ekwilibrystyczne (takie porównanie oparte na dalekich językowych skojarzeniach jak „nasza przyjaźń/lekka jak kapok" na pewno wielu starszym od Tarnowskiej czytelnikom poezji kojarzyć się mogło głównie z poezją Romana Honeta), także wychylała się ku motywom religijnym. Do tego poetka w dwóch wierszach przywołała wyświechtany jak róża w poezji miłosnej motyw wieży Babel, często wykorzystywany w ponowoczesnej eseistyce humanistycznej jako symbol wielojęzyczności świata.

Jeśli chodziło o poezję roczników 90-tych ani tomik Fałtynowicza, ani poezja Panthery-Strzelczyk, ani poezja Tarnowskiej (piszę o znanych mi poetach z tego pokolenia), nie przynosiły rewolucji, ani jakiejś ewolucji, ale miały jedną cechę – lekkość pisania jako coś z dala od walki o kształt nowej literatury i krzyku rozpaczy. Być może w przypadku drugiej książki Tarnowskiej chodziło o to, że w pierwszej, nieznanej mi zaistniała w pewnym kręgu czytelników, została nominowana do Nagrody Poetyckiej Orfeusz, co pozwoliło jej napisać drugi, nieco słabszy. Tak bywało, że ktoś zauważony przez krytykę, czy konkursy kolejną książką rozczarowywał. Na pewno będzie lepiej jeśli poetka znowu oprze swą poezję o jakąś mocniej zarysowaną tematykę. Poza tym jeśli Ministerstwo Kultury i Załatwiania Sobie Stołków nie pozwoli uznanym poetom z roczników 60-tych na kontynuację „Brulionu" i „Nowego Nurtu", albo ktoś nie poprowadzi tego dalej, polski czytelnik będzie skazany na cofanie się i powtórki. A niebawem w Polsce, jeśli owi wspomniani przez Pastuszewskiego kosmopolici nie wprowadzą do literatury czegoś nowego czeka nas dychotomia, która powoli zarysowuje się w Krakowie - literatura profesorów i doktorów habilitowanych czytana głównie przez kolegów po fachu kontra poeci knajpiani. Czyli powrót do starej opozycji renesansowo-barokowej – akademia i sowizdrzałowie.

Mateusz Wabik

Agnieszka Tarnowska, Strącasz mnie w ciało, Łódź 2024

Mateusz Wabik

Epigramaty, piosenki i poezja lingwistyczna

Podczas lektury tomiku „Hilo" radomianina Adriana Szarego, który „dotychczas wydał dwadzieścia książek indywidualnych" przypomniała mi się wspierana przez trzydziestu laty przez „Lampę i Iskrę Bożą" poezja lubelskich sentymentalistów, która podobnie jak wiele wierszy Szarego była w formie anachroniczna i rymowana. Poezja rymowana z lat 90-tych nie spotkała jednak szerszego rozgłosu i poza wydawcą tomików nie była doceniona.

W swojej książce Hilo pisał i krótkie epigramaty dotyczące dzieciństwa, rymowanki o siostrze i bracie, które mogłyby być śpiewane przez jakieś niezbyt ciekawe popowe zespoły, krótkie wiersze lingwistyczne przypominające niekiedy teksty Roberta Tekielego, w których rozbijał słowo, smutne pieśni rymowane o śmierci bluesa, albo wiersze entuzjastyczne dotyczące pochwały czyjegoś, skromnego życia. Poeta także wspominał swoją babcię, wykpiwał uzależnienie od internetu, udowadniał, że Bóg istnieje, opisywał przez siebie prowadzone warsztaty literackie. Także w jego tomiku zdarzały się wiersze z mniejszą ilością rymów i bardziej do czytania niż śpiewania jak „Mewy", w którym to wierszu poeta przyznawał się do swoich fascynacji wegetarianizmem i podziwiał żyjące na wolności ptaki. Cały tomik zaś został podzielony na cztery części: „Dzieciństwo", "Młodość", „Dojrzałość" i „Starość".

Jako, że nigdy nie ceniłem rymowanej poezji współczesnej, tak i tomik „Hilo" czytałem raczej jako ciekawostkę podobną do książek z niezbyt udaną poezją konkretną, czy tomików różnych poetów z wierszami dla dzieci (np. „Tyle rzeczy niezwykłych" Juliana Kornhausera), czy piosenkami w stylu poezji śpiewanej (np. „Wiatr w ogrodzie. Piosenki" Jerzego Stanisława Fronczka), gdyż na co dzień nie czytałem takiej poezji często przeznaczonej do śpiewania, czy czytania na głos podczas spędu jakichś mało rozgarniętych amatorów poezji niezbyt lotnej i anachronicznej w formie, albo śpiewanej wśród amatorów szant, bo chyba do tego odnosił się tytuł tomiku „Hilo" oznaczający powtarzające się słowo w szantach. Jednakże można było zauważyć w tomiku Szarego sporą warsztatową sprawność, podejmowanie różnych tematów i chyba wspomniany wiersz „Mewa" był jednym z najciekawszych wierszy w „Hilo" i nawet bardziej znany autor nie powstydziłby się takiego tekstu. Do tego nie znalazłem w tomiku Szarego oczekiwanego przed lekturą książki śladów Radomia znanego mi z lat wakacji i zimowisk u dziadków w latach dzieciństwa.

Mateusz Wabik

Adrian Szary, Hilo, Nowa Ruda 2024

Andrzej Walter

Mowa nienawiści

Ten tom nie powinien w ogóle powstać. Jak można wydawać coś takiego? Jak można kalać wszelką polityczną poprawność, jak można naruszać nasze dobre samopoczucie, jak można pisać takie rzeczy.

No cóż, kiedy za pióro bądź edycję bierze się Tomek Sobieraj, albo Jacek Świerk, albo Walter wszystkiego można się spodziewać.

No to Walter Wam tu i teraz i natychmiast napisze, że to jeden z najlepszych tomów wydanych w Polsce w roku 2024, tyle że zostanie on totalnie pominięty i przemilczany. Będzie niczym żarzący się węgiel wyciągany z ogniska, który parzy ręce, och jakże niewinne, dziewicze dłonie wszystkich „sprawiedliwych".

„Żucie wewnętrzne" Jacka Świerka, bo o tym Tomie rozmawiamy, łamie wszelkie konwenanse współczesności począwszy od utraty wiary, porzucenia życia duchowego i intelektualnego aż po barbarzyństwo elit, totalne zgłupienie społeczeństwa i ten pokraczny jarmark świata, którzy często przedstawiają Wam niepokorni felietoniści, ale mówicie im, że to dziadersi i oszołomy.

Tak, mnie oszołomowi podoba się ten tom, zachwyca wręcz, umocnił jeszcze też i ugruntował szacunek dla Tomka Sobieraja, że zawłaszczył sobie Jacka Świerka do Krytyki Literackiej, niepokornej stajni wydawniczej Editions Sur Ner, jak wiadomo wietrzonej przez salony natychmiast po wpuszczeniu, czego jednak się z reguły nie czyni. Jak można i tak dalej.

„Krach na giełdzie charakterów wartościowych / (…) / zbankrutowała zasługa na życie wieczne" (samo życie wieczne wysłano do lamusa pojęć – przyp.aut.)
„bies posiadł 90 % akcji koncernu wolna wola" (…)

To tylko w ramach wstępu. Potem następuje swoisty poetycki Armagedon, jazda po bandzie uczuć i pojęć, walenie Prawdą w oczy, (a cóż to jest prawda?) słowem mowa nienawiści totalna, a ja śmiem nazywać to to … poezją. Przecież poezja to:

trzeba chodzić w masce
Maria Pawlikowska- Jasnorzewska

poszłam w masce zwinięta w pelerynę
ciemną
z oczami zwężonymi
w migocące sierpy
szczęście mnie nie poznało
i tańczyło ze mną
nie wiedząc że to jestem
je której nie cierpi
los też mnie nie poznał
i pomyślał sobie
czemuż nie mam dogodzić
tej obcej osobie

To bardzo piękny wiersz, szanowni Państwo. Jedynie świat jakby się obrócił w trochę inne miejsce i inny czas. Człowiek ma dziś inną mentalność. Innego używa języka, ma inne lęki i inne wzruszenia. Wyznania wyżej wymienionej poetki wydają się nieco … przebrzmiałe? Sami siebie zapytajcie…

Jacek Świerk nie uważa, że trzeba chodzić w masce.
„Dbaj o higienę: nie noś masek"
Uważa, że należy nam coś powiedzieć, coś ważnego i istotnego.

Środki Masowego Pokazu

Do prania mózgu
Potrzebny jest płyn do zmiękczania
Rozumu.
Proszek do prania
Wrogów po mordzie
Usuwa plamy na honorze.
Mózg należy roztrzepać, rozprostować,
Rozwiesić na balkonie,
A upał i smog zrobią swoje.

Dziś bym jeszcze tu dodał „zielony ład" albo co tam kto jeszcze chce, sądzę, iż pomysłów dziś nie zabraknie. Nawałnica idiotyzmów narasta. Sytuacja jest jak wiemy dynamiczna i rozwojowa. I te naiwne masy w to wszystko wierzą, z maniaka wartym uporem i pewnością, utrwalono to w nich naukowo i profesjonalnie, metodycznie, że tak to ujmę. Potem nie da się z kimś takim już nawiązać dialogu. Mówiąc jednym i tym samym językiem przestajemy siebie nawzajem rozumieć. To niestety przerażające, ale … prawdziwe.

I zapytacie mnie: skąd się wzięła owa „mowa nienawiści"? Otóż każda akcja wznieca reakcję. Na świecie nic nie dzieje się w próżni i bez przyczyny. Wielu dziś dziwi się skąd coraz więcej „prawicowych oszołomów" wygrywa wybory i skąd bunt wielu ludzkich mas. Otóż stąd, że ta lewicowa liberalność przekroczyła i przekracza wszędzie wszelkie granice, a zwłaszcza granice zdrowego rozsądku. 1984 urzeczywistnia się na naszych oczach. Narzucana nam jest … mowa (nawet ta zwyczajna – ministra i inne językowe koszmarki), manipuluje się językiem, wartościami, poglądami, nawet płcią i wmawia nam, że to normalne. Otóż nie jest normalne. To deformacja i dewiacja. Mowa nienawiści właśnie, tyle, że w wydaniu lewackim. Świat toczy dziś robak wojny światopoglądowej i nie chodzi tu tylko o bitwę o wiarę. To wojna o … życie duchowe (między innymi). Masy bez tego atrybutu są łatwe do zarządzania i zmanipulowania. Uwierzą we wszystko i co najważniejsze – kupią wszystko. Proste? Wydaj się dość proste. Tyle, że podlega to dziś totalnej negacji, przez … media i społeczeństwa. A ja Wam głoszę – do czasu.

Jacek Świerk głosi Wam to samo. Nie wiem gdzie kupicie ten tom, ale dla upartych nie ma dziś nic niemożliwego. W dobie mega komunikacji łatwo odszukać Tomka Sobieraja albo Jacka Świerka. Walter też jest dostępny. A na koniec, abym nie zasypał słowami „Żucia wewnętrznego" znowu wkroczę w cytat:

Na początek Tomasza Marka Sobieraja:

„W swojej najwyższej formie poezja jest filozofią, czyli rozmyślaniem o życiu, niekiedy również rozmową z Bogiem. Nie dziwi zatem, że arcytrudny postulat intelektualizmu spełniany jest rzadko, nie tylko zresztą w poezji, ale w całej literaturze i sztuce, i nie jest to, jak pewnie niektórzy naiwnie podejrzewają, kwestia braku mody na podejmowanie ponadprzeciętnych wyzwań, a jedynie konsekwencja braku możliwości, czyli innymi słowy impotencja. Jednak od reguł są wyjątki. Poezja Jacka Świerka, elitarna, ale nie hermetyczna, kontestująca, ale nie krytykancka, metafizyczna, ale nie nabożna, piętnująca ludzkie słabości, ale nie prześmiewcza, stanowi dowód na to, że można iść pod prąd literackich mód i nie zabiegać o względy tak zwanych krytyków, tym samym utrzymując niezależność, bez której nie może powstać istotna sztuka i literatura"

I na koniec:

„Jacek Świerk – powołany do żucia w 1980 roku – wydał dwa tomy wierszy. Jego utwory żuto w radiu oraz czasopismach i na portalach literackich. Był przeżuwany na angielski i portugalski. Sam przeżuwa wiersze z języka angielskiego dla Krytyki Literackiej. Rzeszowianin z pochodzenia od 2008 roku prowadzi żucie wewnętrzne na wsi Blizne na Podkarpaciu.

Krytyka Literacka jest niezależnym i niepoprawnym politycznie międzynarodowym kwartalnikiem non-profit ukazującym się od 2009 roku. (…) W ramach Biblioteki „Krytyki Literackiej" wydawane są książki autorów spoza literackiego mainstreamu, zarówno polsko- jak i anglojęzyczne."

Blichtr i sława
Jacek Świerk

Sprostytuowałem się ze szmatławcem.
Honorarium za wiersz
Starczyło na parę skarpet i gacie.

Spec wpierw rozłożył mi kartki.
Miłej lektury napisał redaktor.
Wielu z satysfakcją
Weszło, jak w masło, w moją prywatność.
A nie lepiej z wierszem do wychodka iść
(o ile długi i miękki papier)
I przy otwartych drzwiach podziwiać las,
I słuchać śpiewu ptaków?

Warto sięgnąć po tom Jacka Świerka „Żucie wewnętrzne". Na pewno to najbardziej niesamowity i autentycznie szczery tom poezji roku 2024, przy tym tom poezji bardzo, bardzo dobry. Jak dla mnie niemal tom roku 2024, a rok się prawie skończył, może dlatego tak długo zwlekałem, aby o nim napisać, ale trzeba pisać o takich tomach, trzeba wołać na puszczy, bić w bębny, wzniecać alarm, jeśli chcemy jeszcze kiedykolwiek i cokolwiek ocalić.

Andrzej Walter

Robert Rudiak

Wylęganie świata w konwencji Beaty Patrycji Klary-Stachowiak

Gorzowska poetka Beata Patrycja Klary-Stachowiak, to uznana już w regionie i kraju „poetycka firma", która każdym kolejnym tomem wierszy zaskakuje i poraża czytelników swoją oryginalnością i konceptualnymi eksperymentami, za co też często, bo już od debiutu wydawniczego w 2005 roku, jest nagradzana literackimi laurami. Kilkukrotnie uhonorowana różnymi nagrodami literackimi, dwukrotnie odebrała Lubuski Wawrzyn Literacki za tomy poezji – *Zabawa w chowanego* w 2011 roku i *Obiekty totemiczne* w 2015 r., za zbiory *Szczekanie głodnych psów* i *Martwia* była nominowana do tejże nagrody w 2011 i 2019 roku, podobnie jak do Nagrody Literackiej im. Andrzeja K. Waśkiewicza jej najnowsza książka *Lęgnia* w 2022 roku. W 2013 roku za tom poetycki *De-klaracje* była również nominowana do Nagrody Literackiej miasta stołecznego Warszawy, a zbiorek *Misterium Solitera* w 2015 r. otrzymała Nagrodę Otoczaka za najlepszą książkę poetycką roku,

Uważam, że gorzowska pisarka jest obecnie jedną z czołowych poetek w Polsce i na pewno najciekawszą w województwie lubuskim. Zresztą Gorzów Wielkopolski miał zawsze szczęście do interesujących i znanych poetów, to tu przed wojną pracował jako lekarz ekspresjonistyczny poeta niemiecki Gottfried Benn, po drugiej wojnie osiadła w mieście nad Wartą pierwsza romska poetka Bronisława Wajs-Papusza, podobnie jak Zdzisław Morawski, Irena Dowgielewicz, Kazimierz J. Furman, Kazimierz Jankowski – zapomniany już najlepszy polski poeta nurtu robotniczego oraz Marek Lobo Wojciechowski, również dwukrotny zdobywca Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.

Najnowszy zbiór prozy poetyckiej *Lęgnia* Beaty Patrycji Klary-Stachowiak to tom nadzwyczaj osobliwy, pełen językowych eksploracji i lingwistyczno-warsztatowych eksperiencji. Składają się nań 23 utwory zebrane w dwóch częściach, przedzielonych myślą Władysława Hasiora, ekscentrycznego, podhalańskiego artysty wizualnego, twórcy asamblaży, rzeźb, pomników i instalacji. Jego twierdzenie o wyższości rzeczy zepsutych nad innymi, nieprzypadkowo przywołane zostało przez gorzowską poetkę, bowiem też głównie na zdeformowanej materii lub fizycznych ułomnościach, dewiacjach, dziwactwach i wybrykach natury skupia ona swoją uwagę, przywołując m.in. Anatolija Moskwina, rosyjskiego profesora z Niżnego Nowogrodu, który wykopywał ciała zmarłych dziewczynek i robił z nich zmumifikowane lalki („Cudawiszcze") i Franka Lentiniego, amerykańskiego artystę cyrkowego, uważanego za dziwoląga, gdyż posiadał trzy nogi, cztery stopy i dwa penisy („Wynaturszcze"). Interesuje ją somatyczność w wymiarze zarówno żywych, jak i zmarłych, jak w impresji „Cudawiszcze", gdzie podmiot konkluduje:

Ciało, które gdy nic nie może, najlepiej zaświadcza o człowieku.

Tytułowa „lęgnia" – dla wyjaśnienia – to termin biologiczny oznaczający żeński organ płciowy u glonów i grzybów, natomiast „klujnik" to szuflady aparatu wylęgowego, w których składa się jej jaja w celu wylęgania się piskląt. *Lęgnię* otwiera właśnie miniatura zatytułowana „Klujnik", w której poetka opisuje swoją wieś w otoczeniu polnych roślin, traw i chwastów, a zarazem uwspółcześnia jej obraz dopytywaniem o dzieci z Michałowa, grupkę migrantów kurdyjskich i syryjskich, która przekroczyła nielegalnie granicę polsko-białoruską w 2021 roku i została przez straż graniczną z Michałowa na zasadzie push back odprawiona z powrotem na Białoruś. Stąd w „Klujniku" czytamy, że:

Moja wioska to małe domy, wyschnięte rzeki, siewne pola. Nie zna granic. Nie wie gdzie są dzieci z Michałowa. Dlatego pyta o nie gnidoszem błotnym, tymotką łąkową, drżączką polną.

Zresztą odwołań do aktualnych wydarzeń społeczno-politycznych w kraju jest więcej, bowiem autorka przywołuje na podstawie medialnych doniesień informacje o znalezieniu zwłok w podlaskim lesie syryjskiego uchodźcy o imieniu Issa, czyli Jezus („Zatrwian"), o wybuchu wojny na Ukrainie („Wici" i „Śmiertnia"), o nielegalnych imigrantach („Rodnia"), o wdowach ukraińskich z kilku zbombardowanych miast („Siedem saren"), o kurdyjskiej matce w Hajnówce („Lubow maja"), o sprzęcie wojskowym rozstawionym w przygranicznej wiosce ("Push back") oraz odwołań ekologicznych, gdy mówi o zanieczyszczonych plastikiem oceanach („Bliskość").

Kompozycje tematyczne miniatur Klary-Stachowiak stanowią często diapazon, w którym mieści się opis wsi i jej naturalnego otoczenia lub nawiązanie do rustykalnego życia, przemieszane z polnymi roślinami, trawami, chwastami lub światem fauny, na drugim planie prasłowiańskie demony i staropolskie terminy medyczne z dziedziny psychiatrii, do tego kulisy scen zwykle okraszone paletą zmiennych barw.

Wieś nie ma u autorki *Lęgni* jednoznacznego umiejscowienia, odwołuje się do wsi podlaskich i bieszczadzkich (Tykocin, Kruszyniany, Smolnik, Bohoniki, Sokółka) i przedwojennego Landsberga (Gorzowa Wlkp.), które ukazuje w kontekście retrospektywnym, wymieniając miejsca religijnych obrzędów i nekropolii różnych wyznań – katolików, prawosławnych, muzułmanów i judaizmu (kościoły, cerkwie, synagogi, meczety, cmentarze, kirkuty, mizary), znajdujących się na kresach. Wiejska osada obrazowana jest też często w konkretnej porze roku (jesień, zima, marzec, grudzień) lub dnia (poranek, świt, dzień, noc), w otoczeniu roślin (gnidosz, tymotka, drżączka, marzanka, turzyca, żyworódka, mięta, wiszary, widłozęb, bodziszek, tobołek polny), drzew (sosny, dęby, wierzby), owoców (oberżyna, kosztele) oraz grzybów (np. siedzuń), łąk, torfowisk, kniei i grądów, rzek i jezior lub w kręgu hodowlanych i przydomowych bądź leśnych i dziko żyjących zwierząt i ptaków.

Do tak skonstruowanego świata i inwentarza rekwizytów poetka wprowadza odrobinę magii ze starosłowiańskich wierzeń, jak płanetnika, duszyce i widma), które przywołuje wraz z dawną terminologią medyczną stosowaną onegdaj w psychiatrii, jak owileć, który stosowano na określenie szaleństwa, nocobłęd, który oznaczał lunatykowanie, nabłąkanie – obłąkanie, czy trwoga sercowa, która była atakiem paniki u ludzi chorych psychicznie, a których miejscowi nazywali zwykle wariatami, pomyleńcami czy wiejskimi głupkami. Stąd autorka, niczym wiedźma w anturażu ziół przywołuje duchy zmarłych albo jak szamanka wróży i antycypuje, jak w utworze „Wróżbienie":

Wychodzę naga z nieubranych snów. Gałęziami rozczesuję białe nitki strachu, jakbym w splocie warkoczy przeczuwała skon. (…) Przepowiadam zapachem ostrużyn z kredek i temperówki.

Często te staropolskie wyrazy (owileć, nocobłęd) gorzowska liryczka umieszcza w tytułach miniatur obok neologizmów (wynaturszcze, cudawiszcze) i terminów biologicznych (lęgnia, rodnia). Co ciekawe, wyraz „owileć" wywodzi się z mitologii Słowian, pochodzi od słowa „wiły", czyli kobiecych, wodnych demonów, które uwodziły mężczyzn, sprowadzając na nich szaleństwo. W języku staropolskim, jeszcze w XV wieku, termin „owileć" oznaczał „oszaleć" i stosowano go w medycynie, kiedy u chorych psychicznie rozpoznawano szaleństwo, obłęd, obłąkanie lub opętanie.

W miniaturce „Przypłotnica" autorka opowiada z kolei o starej kobiecie śpiącej w upalny dzień, co nasuwa podobieństwo do kobiecego, kusicielskiego demona (przypołudnicy, mamuny, żytniej rusałki), wabiącego na polach w śrežodze chłopów. Ale przypłotnica to też wiejska prostytutka, kobieta wyklęta z lokalnej społeczności, napiętnowana i szkalowana przez miejscowych.

Obok prasłowiańskich wierzeń do głosu dochodzą też ludowe zwyczaje, pogańskie obrzędy i zabobony, jak w obrazie zatytułowanym „Dobra nowina":

Od wczoraj psy roznoszą po wiosce dobrą nowinę. (...) Nadchodzi skowyt i krew. W domu obok szykuje się ślub. Młodej pannie nie wolno schylać się pod drzewem. Musi omijać głodną sukę, przecierać twarz żyworódkami.

W tekście „Przenikanie" magiczne zaklęcia i sny, nocne zjawy i duchy zmarłych występują na jednej płaszczyźnie, świat oniryczny infiltruje realny, a podmiot wyznaje:

Przed pierwszym pianiem koguta do głowy wchodzą drzewa. Jak opiekunowie otulają śpiące ciała. Za dnia las nigdy nie przestępuje progu domu. Ale nocami światy się mieszają.

A w utworze „Rodnia" dodaje:

Nadchodzi noc rozpraszania znaczeń.

W „Przychacie", która może być chwastem przydomowym, jak i terenem wokół chałupy, gdzie w jednym czasie wszystko się wydarza i toczy, trwa życie, które przenika śmierć, a obok siebie, niemal na równi, egzystują dwa światy – żywych i zmarłych, podmiot mówi:

Babka zmarła i dopiero wtedy została z nami na zawsze. Czas przestał się nią zajmować. On tylko doświadcza żywych kamieniami wyznaczając kolejne dni.

Drutem kolczastym sznurując przejścia i usta.

Topos wsi, wydawałoby się urokliwej i szczęśliwej, w myśl hasła Wyspiańskiego, „niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna" nie koreluje z wizją gorzowskiej poetki. Brak tu owej arkadyjskości, jeśli o niej napomyka, to wyłącznie w czasie przeszłym, przywołanym z dzieciństwa. Zaburza go zwykle ukazany w tle danej reminiscencji motyw wojny lub obraz uchodźców napływających zza wschodniej granicy. Wieś jednak pełni funkcję uniwersum, jest całym światem i życiem dla podmiotu, posiada własną magię i czar, tu bowiem wszystko się dzieje i wydarza, a zarazem na zawsze zatrzymuje w czasie, niczym w stopklatce, pozostaje niczym na wieczność zastygłe w ruchu. Uwagę więc skupia autorka *Lęgni* na przedmiotach i znaczeniach, na mało istotnych drobiazgach, jak w scenie „Porannik":

Czasem o życiu świadczy tylko dym nad dachem. (…) Żadna rzecz nie jest tym, czym się nam wydaje. Drzewo w śniegu nie jest tylko drzewem.

W tekście „Siewki" podmiot dopowie:

Tylko to znaczy, co już nie istnieje.

Czego zatem szuka Klary-Stachowiak w swojej lirycznej spowiedzi? Z pewnością poszukuje tożsamości, korzeni łączących ją zarówno z całym światem, jak i jednym miejscem, łączących świat realny z duchowym, świat żywych i zmarłych, szuka jedności z czasem przeszłym i obecnym, owego uniwersum, który stanowiłby pomost i jednię. Stąd szuka siebie w sobie, jak w Śmiertni", gdy mówi:

W dniu mgły deszczowej szukam w sobie dziecka.

Poetka odnajduje się zarazem w świecie słowiańskich mitów, pogańskich wierzeń i przesądów, tropi swoje jestestwo w różnorodnych wyznaniach religijnych, w przeróżnych zbiorowiskach i cmentarzyskach, w różnych czasoprzestrzeniach fizycznych i somnambulicznych. Sensu szuka w dekompozycji i destrukcji materii, w anihiliacji i regeneracji, dlatego stwierdza:

Skomlesz, a proces rozpadu sam się na nowo rodzi.

Na okładce książki gorzowskiej poetki Kinga Młynarska lapidarnie acz lirycznie napisała, że poezja Klary-Stachowiak, to „zdecydowanie coś więcej niż tylko słowa. Ten tom otula wilgotnym mchem, okadza wonią polnych ziół. Jest lirycznym zaklęciem. Wydobywa z cienia to, co przeczuwane i eksponuje nagie kości tego, co tak bardzo ludzkie. To wiersze o tym, co w nas i obok nas. Tak oto lęgnie się jednia".

Zbiorek poetyckich opowieści Beaty P. Klary-Stachowiak to liryka wielowarstwowa, mistyczne laboratorium, w którym jak pod lupą spotyka się słowo i wyobrażenie, duch i materia, doświadczone i przeczuwane, poznane i niezaznane, a poetka dokonuje swoistej wiwisekcji tego, co empiryczne, abstrakcyjne i eteryczne. W swojej beletrystycznej liryce jest przy tym bardzo precyzyjna, niemal pedantyczna, czuć tu kunszt poetyckiego rzemiosła i erudycyjność, jej obrazowanie jak magnes przyciąga i wchłania w feeryczną krainę rodni i lęgni, gdzie wszystko tworzy się i gaśnie, umiera i odradza na nowo.

Robert Rudiak

Beata Patrycja Klary-Stachowiak, Lęgnia, Wyd. Dlaczemu, Warszawa 2022, s. 54.

Artykuł *Wylęganie świata w konwencji Beaty Patrycji Klary-Stachowiak*, ukazał się w „Pegazie Lubuskim" 2023 nr 1 (92), s. 58-62 oraz ukaże się w „Formacie Literackim" 2023, nr 7.

Roman Warszewski

Młodość Matuzalema

Co za wigor! Co za tempo i energia! Mario Vargas Llosa w swej najnowszej książce „To dla pani ta cisza" (*Le dedico mi silencio*) zaprzecza swemu matuzalemowemu wiekowi (rocznik 1936). I zadziwia jeszcze czymś – niesamowitą znajomością peruwiańskiej muzyki kreolskiej – jej historii i niepowtarzalnego brzmienia. Widać, że temat ten musiał zgłębiać od lat, a może nawet od dziesięcioleci, a teraz jakże szeroko, w jakże barwny i przekonywujący sposób rozlał się on na kartach jego najnowszej powieści. A to kolejny problem, przed którym musiał stanąć autor: jak w sposób przekonujący napisać powieść o muzyce? Nieme medium jakim jest książka, przedsięwzięcie takie już niejako w przedbiegach skazuje na niepowodzenie. A jednak – NIE! MVLl w sposób bezbłędny wychodzi z tej zdawałoby się ślepej uliczki. Czytając „To dla pani ta cisza" prawie na każdej stronie wyraźnie słychać porywającą muzykę. Llosa po raz kolejny potwierdza, że jest jednym z najlepszych narratorów czasów współczesnych i pokazuje prawdziwe mistrzostwo swego pióra.

Paradoksalnie, mimo tych wszystkich zalet nie rokuję ostatniemu dziełu Vagasa Llosy zbyt dobrego przyjęcia. Temat powieści jest zbyt wąski, powiedziałbym – nazbyt specjalistyczny. Bo co ludzi na świecie obchodzi muzyka kreolska – na dodatek w jej peruwiańskim , nieco posępnym wariancie? To że autor przywykły do tego, iż jego książki odbijają się szerokim echem na całym świecie, podejmuje taki wąski temat, jest niewątpliwie dowodem dużej odwagi.

O czym książka opowiada? Narrator, Toni Azpilcueta tropi losy Lalo Molfino – fenomenalnego gitarzysty, którego jeden jedyny raz miał okazję posłuchać na żywo. Postanawia napisać jego biografię, co staje się doskonałym pretekstem do przedstawienia dziejów peruwiańskiej muzyki kreolskiej, a w szczególności walca peruwiańskiego (bo taki, jak się okazuje, także istnieje). „Cudowne palce Lala Molfino – czytamy – nie przypominały niczego co znał. Miał wrażenie, jakby muzyka ta przenikała przez jego ciało, wchodziła przez skórę i biegła żyłami razem z krwią. (…) Nie tu nie chodziło wyłącznie o zręczność, z jaką palce chłopaka z Chiclayo przebiegały po strunach, wydobywając z nich nowe tony. Było w tym coś więcej. Tu chodziło o mądrość, o skupienie, wyjątkową wirtuozerię, cud. I nie panowała tu wyłącznie głęboka cisza, istotne były reakcje słuchaczy. Po policzkach Tona Azpilcuety ciekły łzy, a jego dusza, rozwarta i łaknąca, wyrwała się, by stopić się w mocnym uścisku z innymi rodakami, z braćmi i siostrami, którzy byli świadkami tego muzycznego cudu. Nie tylko on zdradzał takie oznaki poruszenia. Inni też wyciągali chusteczki (…). Muzyka podziałała jak magnes na dusze wszystkich zebranych, do tego stopnia, że różnice klasowe, rasowe, intelektualne czy polityczne zeszły na drugi plan. Przez patio willi przelewała się elektryzująca fala braterstwa, zapanowała życzliwość i miłość. Inni podzielali jego uczucia, był tego pewien. Kiedy Lalo Molfino wstał z krzesła, bardzo wyprostowany, chudziutki, trzymał mocno gitarę i obojętnie słuchał owacji zgotowanej mu przez publiczność, Tonemu wydawało się, że w uśmiechach ludzi, ich błyszczących źrenicach, na zarumienionych policzkach dostrzega ewidentne objawy braterskiej miłości, miłości do ojczyzny."

Powstająca biografia gitarzysty (który wkrótce umiera w nie do końca jasnych okolicznościach) ulega wielu przeróbkom. Temat książki coraz bardziej pęcznieje, obejmuje coraz więcej dziedzin. Śledząc koleje losu muzyki kreolskiej w Peru, autor biografii Lala Molfino dochodzi do wniosku, że właśnie muzyka – muzyka kreolska, w jego jakże heterogenicznym i rozbitym wewnętrznie kraju, może odegrać (wszak to muzyka!) szczególną, dotąd niedocenianą rolę – rolę elementu scalającego jego rasowo, kulturowo i geograficznie rozerwany kraj. A może nie tylko kraj, może nawet cały kontynent? Cały świat?

Gdy „(…) Tono Azpilcueta zdał sobie sprawę, że praca nad książką dobiegła końca (…) przez całą resztę tygodnia czytał tych dwieście stron w Bibliotece Narodowej i choć naniósł nieco poprawek, nie znalazł nic istotnego, co należałoby zmienić. Raz za razem powtarzał sobie, że wreszcie zakończył pisanie i że w książce znalazło się wszystko, co chciał i powinien w niej zmieścić. Trochę mu się od tego kręciło w głowie, ale musiał to przyznać: esej o Lalo Molfino i Peru jest gotowy. Jego ciało wypełniało słodko–gorzkie uczucie, to nie było szczęście, ani nic podobnego, tylko ogromne zmęczenie, niezmierzona fatyga. Przypomniał sobie, że przez ten czas, który spędził pisząc, w ogóle nie pomyślał, że uda mu się doczekać takiej chwili jak ta."

I wszystko byłoby dobrze, jakby potem książka, pod ręką autora, nie ulegała dalszym przeróbkom i… udoskonaleniom! W rezultacie rozsądnie zakreślone pisarskie przedsięwzięcie doprowadzone zostało do absurdu; wydawcę książki pogrążyło w bankructwie, a jej autora – na pewien czas – zaprowadziło do szpitala dla psychicznie chorych. Wynikła z tego jakże pożyteczna (lecz nie zawsze dostrzegana nauka): gdy dzieło pisarskie (lub inne) usiłuje objąć wszystko i wszystkich, często przeradza się… we własną karykaturę, we własne zaprzeczenie. Wzbudza co najwyżej uśmiech pobłażania i politowania, a nie szacunek i uznanie.

Na pisarską twórczość Maria Vargasa Llosy składają się dwa różne nurty. Jeden bardzo poważny i drugi bardziej rozrywkowy, momentami wręcz krotochwilny. Do pierwszego na pewno należy słynna „Rozmowa w *Katedrze*", „Zielony Dom", „Miasto i psy", a z powieści, które postały już po przyznaniu literackiego Nobla, „Marzenie Celta". Do drugiego nurtu zaliczyć można powieści „Pantaleon i wizytantki, „Pochwała macochy" i „Zeszyty don Rigoberta". Najnowsza powieść „To dla pani ta cisza" wyjątkowo lokuje się na pograniczu obu tych nurtów. Bo z jednej strony, to książka pełna humoru i lekkości, z innej jednak porusza kwestie nad wyraz poważne. To rzecz o tym, jak ważna w twórczości jest dyscyplina, umiar, samoograniczenie, a nawet pewien ascetyzm. Bez nich najlepsze twórcze chęci i intencje momentalnie można sprowadzić do absurdu.

PS: Zastanawiam się, czy książka wydawana była w nadmiernym pośpiechu? Na stronie redakcyjnej jako rok wydania podano rok 2014. W innym miejscu nieprawidłowo zapisano inkaską nazwę Państwa Inków. (Powinno być Tahuantisuyu, a nie Tahyantinsuyu.) Mało tego. **Błędnie zapisany jest też oryginalny tytuł książki. Powinno być „Le dedico mi silencio", a jest „Lo dedico mi silencio".** Niby tylko jedna litera różnicy, ale w hiszpańskim znaczy ona bardzo wiele. Co na to redakcja?

Roman Warszewski

Mario Vargas Llosa, „To dla pani ta cisza", tłum. Tomasz Pindel, Kraków, Znak., 2024

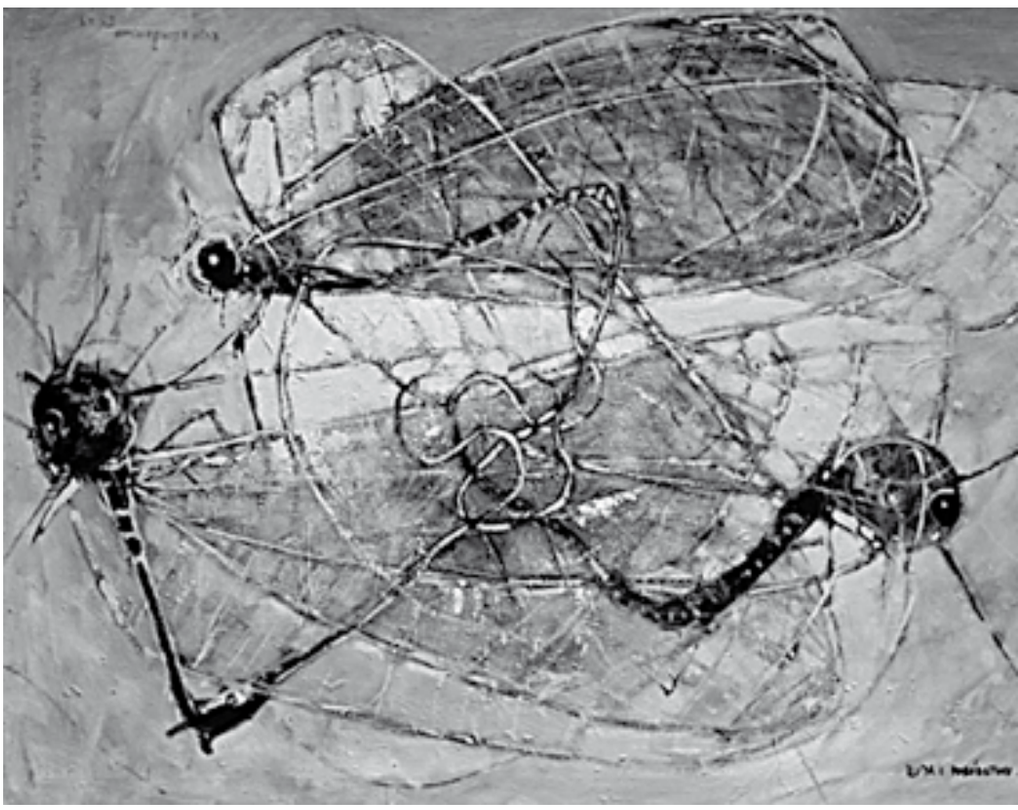

Andrzej Walter

Lekka przesada raz jeszcze

Adam Zagajewski wspominał w swojej „Lekkiej przesadzie", że na pytanie ojca „– Kim chcesz zostać synu?" odparł, iż poetą; „-Synu, no to już jest … lekka przesada".

Tak. Właśnie. Poezja jest lekką przesadą. Można być inżynierem, prawnikiem, mechanikiem, informatykiem, ale poetą? Dziwolągiem z krainy lekkoduchów?

Michał Wieczorek z Poznania jest prawnikiem. To jest dopiero lekka przesada, aby prawnik poezjował, ale czyni to nieźle, wydał już pięć tomów i nie przepycha się łokciami na salony i Parnasy. Poezjuje intymnie, dyskretnie, niemal sobie a muzom, ale warto zanurzyć się w tych wierszach i wczytać w refleksje tego poety.

„Dubler uczuć

Uśmiech dla twarzy obcych
oczy smutne do lustra

Słów potok dla uszu innych
cisza wibrująca we wnętrzu głęboko

Siła jak tren otulająca
i strach przed dniem następnym

Dwie twarze różne
i dusze podwójne

Dwie różne dłonie
i emocje odmienne

Tylko uczucia osamotnione
bez dublera na zewnątrz
smutkiem wypełnione
oczekują ciszy i spokoju poranka"

Wieczorek wyraził tu w prosty i oczywisty sposób naszą konieczność czynienia bardzo często dobrej miny do złej gry, naszą determinację w chronieniu swojej prywatności czy wreszcie tragizm losu, który każe nam wtapiać się w role, które społecznie wybraliśmy swoją drogą edukacji i właśnie tej jakże epokowej decyzji – Kim chcesz zostać synu? – prawnikiem. Synu, to już lekka przesada.

Kim jest bowiem prawnik w świecie, w którym prawo stało się hermafrodytą demokracji i jak monstrum, co wymyka się spod kontroli pochłania prawo naturalne, nasze emocje i uczucia, a już z pewnością zdrowy rozsądek. To już nie lekka przesada, ale wyrafinowana gra z człowieczeństwem. Ja nie chciałbym być dziś … prawnikiem. Wielu z kolei prawników, zapewne nie chciałoby być poetami. Pulsuje w nas wielu coraz silniej wzajemny mechanizm pogardy, a u jego zarania, genezy mieści się właśnie … lekka przesada. Czy chciałbym być poetą? Może ekonomistą? Biznesmenem? W Polsce? Po stokroć nie, i właściwie w takim świecie jak dziś za bardzo nie wiem kim bym chciał być, może jednak tym poetą?

Poezja Michała Wieczorka koi zmysły. Opisuje świat hedonistycznie, całą siłą pełni zachwytu pięknem i drobiazgami, a odniesienia duszy są bardzo zdystansowane i refleksyjne. Nie mają w sobie żadnej dosłowności, natręctwa radykalnych puent, za to snują się po myślach nieregularnie, lekko i dobrze się czyta ten świat poezji Wieczorka odsłaniając kolejne warstwy przemyśleń.

„Pustka czasu

Marzenie pustki czasu
słów braku
odłożenia kluczy od codzienności
obciążających kieszenie

Marzenie ciszy telefonu
tylko mojego spojrzenia
na krople deszczu
płynące po szybie

Bez wczoraj, bez dzisiaj
bez jutra niecierpliwego
na piasku ciepłym
podglądając mrówek codzienność
z wiatrem młodzieńczym
twarz otulającym"

Czy poeta nie powinien się zdecydować, czyż na pewno bez wczoraj skoro wiatr młodzieńczy jest tak kojący? Wytłumaczę jednak tutaj poetę. Człowiek ma taką perfidną skłonność do wypierania wspomnień złych, a zachowuje i pielęgnuje te dobre, te miłe i niejako deformujące obiektywny ogląd przeszłości, w przeszłości bowiem była młodość, a ona była bezkarna i niewinna, nie obciążona całym tym złem, które naszło jak wichry i burze naszego życia. Idealizujemy. I dobrze. To chyba dowód na to, że w człowieku zwycięża dobro, że zło jest tylko aktywnym czynnikiem z zewnątrz, nawet kiedy wypływa z nas, jego pochodzenie jest raczej spoza nas. Może warto w to wierzyć?

W poezji Wieczorka spełniło się to, czego życzył na okładce Czytelnikom, aby odnaleźli kilka słów dla siebie. To jedna z najważniejszych cech współczesnej poezji, odnaleźć w wierszu siebie i swoją rzeczywistość, przetransponować unikalność użytych przez poetę słów na swoje doświadczenie i poznanie, na swoją koncepcję ich użycia, na swoje … przeżycie?! Czytający poezję wtedy zbliża się do Autora na minimalną odległość, ta bliskość jest pomostem, jest budulcem przeżywania poezji i jej największej wartości – otuchy. W melancholii, przemijalności, w drodze unicestwień jest tyle piękna, ale i tyle bólu, że dobrze jest wiedzieć, że czujemy to wszyscy. Nasza droga „ku śmierci" nie jest jedyna i odosobniona, każdego spotyka ten los. Piękno się być może zdefraudowało, ale mądrość i dobro nie, tego właśnie dowodzi współczesne poezjowanie, w Michał Wieczorek odrobił zadanie domowe i wie, jak uwieść czytelnika.

Dobra ta poezja Wieczorka, prawnika poety, który sam tak określa swoje teksty:

„Słowa rozsypane na kartach tego tomu są rozmową, dialogiem jaki coraz częściej prowadzę sam ze sobą i nie raz aż sam jestem zdziwiony, ile sobie samemu mogę mieć do powiedzenia"

Czyżby funkcja terapeutyczna poezji? A niech sobie i taką będzie, skoro otrzymujemy teksty poprawne, intrygujące, pytające i nurtujące nas samych do własnych, prywatnych i intymnych refleksji i pytań, aż po kolejną rozmowę, tym razem już z samym sobą po takiej właśnie lekturze. Taka ma być dziś siła tej lektury, lektury poezji, której doświadczają jedynie ci, którzy po nią sięgają i wczytują się w teksty dobre i mądre. No niestety, w dzisiejszym świecie, gdzie wydać każdy może, trzeba jeszcze odsiać słowotoki bredni od tekstów naturalnych i normalnych, za co Państwa w imieniu kilku krytyków i akademików serdecznie przepraszam (jak aktywny członek środowiska), ale jak już dotrzecie to takich wierszy jak te Michała Wieczorka, zawsze warto sięgnąć po takie tomy poezji. Właśnie po to są. Ukoić, pomyśleć, zastanowić się, odszukiwać duszę i głębię duchowości w świecie barbarzyńców.

(…) ale być może to … lekka przesada

ANDRZEJ WALTER

Michał Wieczorek „Drugi brzeg". Wydawnictwo Literat Andrzej Chmielewski. Międzyrzecz 2024.

Stron 87, oprawa miękka, ISBN: 978-83-969924-3-7

Nominację do Nagrody im. Norwida w dziedzinie literatury za rok 2024 otrzymał Marek Wawrzkiewicz za książkę „Nie minęło" – Wydawnictwo Autorskie Andrzeja Dębkowskiego.

Miło nam poinformować, że wszystkie teksty zawarte w książce były wcześniej publikowane na łamach „Migotań".

Zbigniew Ikona-Kresowaty

JAK SZTUKĄ „SŁUŻYĆ" KULTURZE?

Sugestywny portret do twórczości artysty Marka Ostoi - Ostaszewskiego wykonał Zbyszek Ikona Kresowaty.
(z prawej strony obraz Marka Ostoi – Ostaszewskiego, w posiadaniu pracowni Zbyszka Kresowatego w Lądku – Zdroju.

W Kolejną rocznicę odejścia artysty, który SŁUŻYŁ KULTURZE całym sobą…

Służyć to znaczy otrzymać lub być prawdziwe powołanym do danej dziedziny życia, np. do kapłaństwa, etc… Poświęcić się z pasją kulturze, oddać dużą część swego życia na sensowną działalność. Warto pytać, kiedy zachodzi powołanie do Sztuki? -Otóż wpadła mi w ręce książka Henryka Kiereśa wydania w 1998 roku w **Instytucie Edukacji Narodowej** w Lublinie pt. **SŁUŻYĆ KULTURZE**. Autor podjął się napisania o najważniejszych sferach podejmowanych ostatnimi laty w Kulturze Polskiej i o profesjach artystycznych na przełomie ostatniej dekady, omawiając takie tematy jak:

Postmodernizm,
Ideologia polityki,
Zagłada – przemoc
– MANIPULACJA,
Źródła myślenia utopijnego,
Socjalizm czy personalizm?,
Wolność w sztuce,
Odpowiedzialność artysty wobec narodu,
Problem definicji sztuki,
Na czym polega problem estetyki?,
Spór o teorię sztuki,
Filozofia i humanistyka,
Uniwersytet.

– Zatem książka ukazuje tematycznie bardzo ważny wachlarz zagadnień, pewnie dziś już nieco zdezaktualizowanych(?) – Wystarczy spojrzeć na w/w tematyki. Tym nie mniej warto przytoczyć niektóre sfery wobec dzisiejszej kultury, w różnych jej profesjach. To ogrom dyskusji i kopalnia ku wiedzy czasu. Powstał wolny rynek i jest pytanie, czy to służy kulturze? – Otóż to jest chyba pytanie zasadnicze. Duża część osób odpowie zapewne, tak to dobrze! – Tyle, że pole dla „Kultury" z dużej litery zaciera się, dzięki bardzo wolnemu rynkowi, Otóż tworzyć każdy może, a na tym polu dużo śmieci i odpadów. Nie da się temu zaprzeczyć, a tym samym zaradzić, jedynie trzeba brnąć jakoś przez duży gąszcz, banału i kiczu. Wszystko co zostało przez artystów przypadkowych stworzone jest zachwalane i podnoszone, głównie przez nich, do rangi artystycznej…

– Natomiast co jest potrzebne zawsze, żeby „dobrze" służyć Kulturze? – Czy to słowo: **SŁUŻEBNOŚĆ** ma dziś znaczenie?, – Czy to nie bardzo charytatywne określenie?. Jak to rozumieć? – Czy nie należałoby wziąć wzgląd na „talent", na jego edukacyję? – Do tworzenia jakiejkolwiek dobrej sztuki i ważnej potrzeba jednak wiedzy i dobrego rozeznania historii Sztuki oraz szczerość i determinacja. Natomiast sam odbiorca nie musi znać historii sztuki, choć dobrze jakby znał, a to niemożliwe… Sztuka, Kultura to przecież odbiór estetyczny. Samemu odbiorcy wystarczy trochę miłości lub upodobania do „piękna". Artyście, który chce mówić twórczo sensownie potrzebna jest wiedza i poczucie wyjątkowości – Natomiast, „mówić o pięknie trzeba odwagi" – powiada metaforycznie Tadeusz Różewicz. Zatem jak to jest z tą „służbą kulturze", co jest potrzebne do takiego działania?… Myślę dobre metaforyczne spojrzenie w siebie i czasem uderzenie się w piersi z zapytaniem: Po co ja to robię, dla kogo maluje, piszę, rzeźbię, etc.?

– Jerzy Nowosielski był malarzem i twórcą ikonnym, mawiał, że **„każda ikona spada z nieba",** to też metafora, mówiąca o powołaniu prawdziwym do pisania ikon, lub malowaniu obrazu, wychodzi na to, że artysta jest tylko narzędziem w pracy Najwyższego – bo tak przecież jest! – To Jemu trzeba oddać pierwsze pokłony. Najprawdopodobniej jest tak, że: służyć trzeba w czasie i miejscu „całym sobą" , czyli wpierw dzieciństwem, edukacją oraz przebywaniem w urokliwym otoczeniu i kochanym domu rodzinnym… ,choć nie zawsze, z tego wyrasta strzykwa sztuki, jak u twórcy i artysty którego przedstawiam na prawdziwy przykład, jak służyć KULTURZE. Artysta malarz wraz z swoim twórstwem dobijał się do wiedzy latami, choć trudny był to czas zmory komunistycznej. Jednakże po przez wiedzę, której łaknął, osiągnął pewne wtajemniczenia duchowe, co zadziałało w jego malarstwie, poza tym był osobą "wierzącą" inaczej. Wiele dała mu mitologia, również ta ze Starego i Nowego Testamentu, która uczy dobra i rozróżniania zła. Zatem po pewnym czasie zrozumiał cze-

go chce od SZTUKI, bo dobrze jak zna się choć trochę mitologię. Chciałbym przytoczyć sylwetkę takiego artysty, który mógłby posłużyć za wzorzec służebności KULTURZE, jako jej medium i twórca. Artysta ten przede wszystkim bardzo cenił uniwersalne powiedzenie Kamila Cypriana Norwida:

„Rozliczać nas będą dzieła… "

– Słowa zapisane przez Cypriana Kamila Norwida wciąż żywe i cenne. Twórcy wolnościowego i poety oraz malarza, którego poezję i grafikę bardzo cenił artysta malarz **Marek Ostoja Ostaszewski** – to bardzo oryginalny malarz, który odszedł na „wieczne wrzosowiska" **w dniu 07 sierpnia 2020 roku.** Urodzony w 1944 roku we Lwowie. Studiował na PWSSP (dziś ASP) we Wrocławiu na Wydziale Malarstwa, Grafiki i Rzeźby w pracowni prof. Alfonsa Mazurkiewicza. Dyplom uzyskał w 1974 roku u prof. Macieja Urbańca oraz u prof. Pauliny Pawlikowskiej. Od 1981 roku należał do ZPAP. Wiem dobrze co reprezentował, i jak traktował swoją profesję. Marka Ostoję – Ostaszewskiego poznałem przez poetkę „Nowej Fali" Mariannę Bocian – notabene, później od roku 1982 zostałem zarówno Jej, jak i Jego wieloletnim przyjacielem – Początkowo wydawał mi się niezrozumiałym, ale przyznam się, że później byłem zaintrygowany Jego wiedzą i zdumiony podbudową wiedzy mistycznej i empirycznej, początkowo pojęcie Jego malarstwa nastarczało nieco kłopotu myślowego, jednakże dobrze rozumieliśmy się. Odwiedzaliśmy się regularnie i toczyliśmy na swój sposób rozważania o zapleczu i pojemności sztuki, o prapoczątkach od wykresów malarstwa jaskiniowego i np. co się tyczyło pogaństwa, o Swarożycu z Góry Ślęży, o powstawaniu podłoża świętości… On wpierw zamieszkały w Środzie Śląskiej z okna domu patrzył non – stop na tę Górę. Jak mi oświadczył, zgłębiał wiedzę w ogromnej domowej bibliotece. Później sięgnął do innych cennych dzieł filozofii, w tym mitycznych rzymskiej i grackiej. Marek na swoje malarstwo, miał uzasadnienie – Były to bardzo eteryczne pojęcia, co zaiste zawsze wymykało się krytyce artystycznej, kiedy trzeba było pisać o Jego malarstwie komukolwiek…

– Po wielu różnych spotkaniach z artystą, u mnie lub u Niego w domowej pracowni, gdzie podglądałem jak maluje, zdążyłem nie tylko wypytać Go o to, jak te soczyste i kolorowe imaginacyjne znaki plastyczne przekładają się na język wizualny i duchowy sztuki, którą bardzo ambitnie uprawiał? – Na każdym obrazie wyraziste, czyste, żywo – kolorowe, klarowne znaki i ryty? – odpowiadał, że***: „to fascynacja filozofiami z nauk starych Kultur Dalekiego Wschodu, choć nie tylko. To fascynacja naturą w tym i duchową wiedzą… głównie , jak mawiał, maluję wszystko zobaczone na słońcu"***– Marek dobrze znał wiele cytatów filozofii magów i kapłanów wspomnianych sztuk wschodnich, ich nauki i dla jego pojęciowości nie były bez znaczenia. To pomieszczone jest w tłach Jego wszystkich obrazów… Artysta stworzył cykle obrazów: **ESCHATON (**gouache – 1984r.) tworzy w tym cyklu drogę wyjścia, może nawet takie biblijne Genesis z zaznaczeniem krzyża(?), kosmos ze schodami w górę w przestrzenie nadprzyrodzone, widzimy tu zarysy świętości koraliki planet(?), natomiast **LUX AETERNA (**oleje, 1986 – 1998 r.), to dojście do furty słońca, to wprost wygląd Nirwany w różnych chwilach czasu, to po prostu „*więcej słońca*", a być może to nawet w/g Goethego(?) – Jego poezję, jako wizjonera Marek brał do siebie, znał przecież „Fausta", wreszcie w cyklu **ATMAN** (oleje, 1998 – 2001r.) jest wielki metafizyczny kosmos wybuch(?), rzeczy w przestrzeni kosmosu, przedmiotów i symboli o różnych wyrysach – jest tu ruch i blask rzeczy, które dopasowują się dzięki pewnemu kodowi natury(?), siłą nadprzyrodzoną jest składnia metafizyczna jest ona czasem, zataczającym rozbłysk historii, widzimy tu na jednym z obrazów, wszystkowidzące oko egipskie(?) – A wszystko jest jedną wielką rozproszoną całością, która posiada swój kod i przylega do siebie, odtwarza się i musi trwać od przestrzeni do przestrzeni… Cykl **Om** (oleje, 2003r.) podobnie jak „Atman", czy „Lux Eterna" to spojrzenie na przestrzeń przysłoneczną, a nawet poza przestrzeń słoneczną, która daje życie i jego cykle… To w sumie około 500 obrazów olejnych, każdy numerowany, o innej treści wizualno – estetycznej, w bardzo żywych kolorach jakie odbierze tylko każdy wzrok ludzki.

Oczywiście obiekty – obrazy Ostaszewskiego można interpretować różnie – to sprawa odbioru estetycznego z uwzględnieniem własnego wnętrza, to niekończąca się dygresja do początku i końca świata… do jego kosmosu i czasu. **Służyć kulturze** sztuką to oznajmiać coś nowego i oryginalnego, dobudowywać pewne twierdzenia jako odrastające nowe cenne gałęzie… czasem podważać to czego nas już nauczono.

Natomiast jak się to ma do zagadnień z książki Henryka Kiereśa?

Krytyk i teoretyk Kultury przytacza pewien okres w Sztuce w jej profesjach, mówi o budzącej się Awangardzie, mówi o rzeczach, które dziś się zdewaluowały. Mówi o **POSMODERNIZMIE** nakreśla jego podstawy, ale zaraz mówi o **IDEOLOGII POLITYKI**, w co wchodzi: **zagłada, przemoc, manipulacja** – Przestrzega i mówi o źródłach myślenia utopijnego, czyli o **socjalizmie i personalizmie**. Ważna jednak jest **WOLNOŚĆ** W SZTUCE**,** gdzie pojawia się problem **DEFINICJI SZTUKI i estetyki**, co dziś, jak się wydaje, już nie jest tak ważne. **SPÓR O TEORIĘ SZTUKI** nie wchodzi w rachubę, raczej filozofia i humanistyka, chociaż pojęcia humanistyki na pewno przydałyby się dzisiejszej SZTUCE, tej z dużej litery pisanej. Dobrze wiemy, że każdy twórca, chce zostać zauważonym, ale musi on być pewnego rodzaju niepowtarzalnym magiem, tak żeby go nikt nie mógł zastąpić, ani skopiować. Powiedział mi kiedyś w rozmowie do mej książki **Adam Hanuszkiewicz**: „*wszystkie zawody można zastąpić innymi osobami, ale artysty nie da się zastąpić*" – Jest w tym wielka zasadnicza prawda. A żeby takim być trzeba przede wszystkim wielkiej pracy. Takim pracowitym artystą był artysta **Marek Ostoja – Ostaszewski.**

– Prace tego artysty są udokumentowane katalogami, są dziś w zbiorach prywatnych, w takich krajach, jak: w Niemczech, Francji, Kanadzie… W miastach: Lwów, Rzym, Berlin. Obrazy artysty znajdują się w zbiorach Muzeum Narodowego. Artysta wystawiał indywidualnie, już od roku 1967 – Zamek w Leśnicy (pod Wrocławiem), 1985 KIK Wrocław, 1988 Kraków – Teatr STU,1995 Brzeg BWA w Ratuszu, 1997 Jelenia Góra BWA, 2005/2006 Wrocław, Klub *Esencja*, 2015 – Jelenia Góra BWA – Wystawa retrospektywna. Odbył wywiady o naturze człowieka uduchowionego w TV niezależnej o naturze człowieka, także dla czasopism oraz do książki **„Między Logos a Mythos".**

Marek Ostoja Ostaszewski posiadał w sobie niezwykłe cenne medium konceptualno empiryczne, dużo czytał w tym filozofię, a później malował, potrzebował non – stop, jakby stałej konfrontacji i rozmowy z ugruntowanymi czynnikami mitycznymi, zarówno z Biblii, jak i z zapisami wielkich filozofów mitologii grackich i starorzymskich.

– Artysta malarz, który władał pędzlem i kolorami farb interesował się prastarą kulturą Majów. Cytował prawdy i zapisy o bycie człowieka wszech-uduchowionego, zaangażowanego w poszanowanie praw natury i wiary, w prawdy nadprzyrodzone, zapisywał je doznaniami oryginalnymi wyrysami, znakami, nabytymi z własnej wyobraźni, jak i doświadczeniami… Gdy spojrzeć głębiej w tła Jego obrazów odebranych sobie, ich zawartości wydobywanej latami na światło dzienne – powstaje pytanie, jak klasyfikować i odkrywać taką sztukę? – Przecież, po odejściu artysty, trwać będzie tzw. „czyściec" nad Jego osobą. Tak zawsze jest, kiedy odchodzi artysta jakiejkolwiek maści, tak się dzieje obecnie z tym artystą, gdyż już nie ma Go między nami. Notabene Marek nie wybierał kierunku twórczego dla swego malarstwa, to przyszło z czasem, właśnie z wiedzą, bo uzupełniał tę wiedzę książkami, bo Marek **SŁUŻYŁ KULTURZE I SZTUCE** całym sobą. Natomiast ja, jako przyjaciel i „świadek naoczny" mogę świadczyć… O tym mówi przede wszystkim dorobek, ilość prac artysty. Wspomnieć trzeba, że termin ten pochodzi od łacińskiego słowa conceptus, co oznacza myśl, koncepcję i wiedzę. Mimo, że jest to trend filozoficzny, jest to także trend kulturowy, który powstał w XX wieku, wpierw na zachodzie.

Artysta zawsze oświadczał dokładnie: (co cytuję powiększonymi literami)

„ Rzeczywiście, na studia w PWSSP we Wrocławiu przyszedłem przygotowany bardziej duchowo. Ale paradoksalnie, powiem to dopiero teraz, te prawie trzydzieści lat po uzyskaniu dyplomu wiem o tym. Wtedy ani nie wiedziałem KIM JESTEM, ani nie wiedziałem jak to będzie, tzn. nie znałem swoich możliwości. Wtedy, po pierwsze: wydawało mi się, że nie jestem godny być artystą malarzem „na służbie". Miałem bardzo wysokie wyobrażenie o „byciu artystą" innym, wyobrażenie zapożyczone od starożytnych. Uważałem, że to musi wynikać z powołania i że jest to rodzaj kapłaństwa, jak w pradawnym Egipcie. Miałem duże mniemanie o starożytnej Grecji oraz Egipcie. Przeczytałem wiele lektur domniemając, że to będzie potrzebne, wybierając klasę profesora Alfonsa Mazurkiewicza, wiedziałem o nim już wtedy wiele ciekawych rzeczy…"

„ … wiesz, miałem swoją wiedzę, nazwijmy ją intuicyjną. Jeżeli dziś to wspominam, wiem, o czym mówię. Jest w człowieku, oczywiście że nie w każdym, taka tajemnicza furteczka, która daje możność czerpania niezbitej pewności w dziedzinie tajemnicy i to bez czytania książek. Chociaż coś tam czasem trzeba przeczytać… Nieczytania nikomu bym nie polecał. Tu trzeba odwołać się do Platona. Co to jest owo platońskie „wspomnienie duszewne"? Nie każda dusza pamięta, że przyszła tu na Ziemię z innego wymiaru, gdzie było bardziej bosko, słonecznie. Prawo duszy określił Platon w takich słowach: „(…) Ta dusza, która nigdy prawdy, czyli Boga nie oglądała, nigdy do tej postaci nie przyjdzie, nie powróci do Ojczyzny. Wspomnienie duszy jest decydujące (…) – Inaczej mówiąc, dusza, która nie odzyska świadomości tego, skąd pochodzi, nie tak prędko powróci do swojej Ojczyzny… Stąd kapłani umieścili taki napis nad wejściem do świątyni doryckiej Apollona w Delfach".

– Mawiał także: ***„Jeżeli ktoś rozumie to co robi jako stosunek do Boga, to jest kwestia samoświadomości i nie chodzi tu o to, żeby malować krzyże, czy też inne sceny religijne. Przecież jest bardzo dużo kiczu nabożnego, czy tzw. religijnego. Natomiast sztuce dzisiaj brakuje szczególnie głębokości i samouświadomienia tego, co jest prawdziwe.***

– Obrazy Marka – Ostoi Ostaszewskiego obecnie można obejrzeć na stronach internetowych i na stronie artysty. Również prezentują się w GALERII ZBYSZKA KRESOWATEGO, na tym samym portalu.

Zbigniew Ikona – Kresowaty

Urszula Mikołajczyk

„Prawda"

mam wielki, gruby płaszcz.
jest tak duży, że kiedy go ubieram,
pokrywa mnie całą, łącznie z głową.
nazywa się katastrofizm.
...
ciemność wokół mnie pogrąża.
jest tak gorąca, gęsta i lepka.
nic nie widzę, ale słyszę - niebo wali się na mnie,
na pewno.
bicie serca - tak, ten dźwięk oznacza że się łamie,
przyspiesza - jest coraz bliżej...
ja nie chcę, nie chcę cię słyszeć...
zrzuć ze mnie ten płaszcz!
...
ach widzę szerokie rozległe niebo nad moją głową chmury płynące zmieniające kształty na wietrze ach jak piękny jest wiatr jak piękna jest zmiana jak bardzo kocham te drzewa gałązki tańczące tańczące tak drżące ach proszę nie zabieraj mi tego nie zabieraj mi nie bierz-
...
głuchość, bezdźwięczność;
i wszystko się kończy.
słyszę swój oddech jak przez taflę wody,
jest powolny, ale boleśnie płytki.
nic już więcej nie słyszę - nic już więcej nie myślę -
chcę zobaczyć coś więcej - chcę uwierzyć w coś więcej!
zrzuć ze mnie ten płaszcz!
....
ach widzę twoje oczy pełne szczęścia pełne szczęścia pełne śmiechu ach widzę twoje oczy pełne łez jak cudowna jest ta muzyka jak tu spokojnie jak cicho jak jasno kiedy tak oglądam i czytam w nich przepis na wieczność taką wielką i piękną ale nie idź nie odchodź nie odchodź-
...
nicość, która dławi i zabija.
istnieję;
i nie wiem skąd przyszłam ani dokąd podążam.
wszystko wokół jest takie opróżnione, opustoszałe,
a może po prostu: puste.
niebo wali się powoli, nieubłaganie,
tak, żebym widziała każdą sekundę swojego umierania;
będzie mnie przygniatać, aż kończyny moje zgniją...
zwiędną...
spuchną...
zsinieją.
poczekaj: skąd to wiesz? -
po prostu: wiem. przecież słyszę, jak niebo skrzypi i kruszy się,
i widzę, jak się wali: jak jego czarne, ciemne powierzchnie
pękają na kawałki, najpierw duże, potem coraz mniejsze,
które spadną wprost na moją twarz,
i będą się przebijać przez ciało, powoli, powoli-
poczekaj:
nie chcę wierzyć w te kłamstwa!
przecież nie widzę nieba przez ten płaszcz,
nie mogę tego wiedzieć:
zrzuć go ze mnie!
...
wcale nie spada, widzę wyraźnie jak trzyma się na swoim posłaniu, a ten dźwięk to śpiewanie ptaków na cześć rozpoczętej wiosny. słońce świeci i ulice są pełne, pełne ludzi pełnych historii, i w każdej parze oczu jest cały świat, więc nawet gdyby nikogo innego nie było, istniałabym, trzymając w sercu miliony niezwykłych tajemnic.
zrzuć ze mnie ten płaszcz, i rozszarp go na kawałki: już nigdy nie chcę stracić z oczu tej prawdy!

Karol Samsel

Wieczność (1)

"

Dowiodę, że literacki obraz wieczności jest tkaniną – co najwyżej – umiarkowanie rozciągliwą. „Umiarkowanie rozciągliwą", to znaczy taką, którą dałoby się rozciągnąć na długość około 300 stron, a zatem na długość jednego tomu *Primy,* niczym dobry stretch z możliwością delikatnego wyciągnięcia po wątku (nie) aż po konstrukcję… Nie jak lajkra, zatem – przyrzekam to: nie grożą nam „lajkrowany czas przedstawiony" ani uzgadnianie mowy pozornie zależnej pod względem jej nadarzającej się „przeciągliwości". Kończąc wprowadzenie, nadmieniam tylko: chciałbym osiągnąć coś w rodzaju tekstu gotowego do noszenia, powiedzmy, że literackiej wersji – modowego *prêt-à-porter*. Czynię tak, **także**, dlatego, że nigdy nie mogłem żądać od Biblii, ażeby stawała się podobnym *prêt-a-porter*: zazwyczaj niegotowa, sprzymierzała się z hermeneutyką, której nienawidzę.

W dwóch słowach: wieczność to umiejętność. Najczęściej: umiejętność zatrzymania przy sobie. Na dłużej, jak mówi tzw. miękka, filozoficzna teoria wieczności w rozumieniu Overbacha. Bądź na stałe, powiada tzw. twarda, realistyczno-społeczna teoria wieczności autorstwa Rosmera-Solnessa. Dlatego tak ważne jest sprecyzować, o jakiej wieczności po śmierci Primy – w ogóle – dyskutujemy ze sobą: czy o zdolności zatrzymania na dłużej – „przetrzymywania", jak mówimy się nieelegancko – czy też – zatrzymania na zawsze. Tak pojęta wieczność najprawdopodobniej będzie podstawą… biomechanicznej rewolucji mowy… Wiem, jak w to trudno uwierzyć, lecz, dzisiaj, to właśnie wieczność modeluje nasze narządy, zarówno te wykonawcze, jak i niewykonawcze. W tym chyba rzecz, że wieczność przekonuje nas nie jedynie jako zmysłowość drugiego rzędu – coś metasensualnego zatem, ale że przekonuje nas od fundamentu, nie od stropu: jako metaukład-dyrygent, orientujący wszystkie układy przypisywane nam tradycyjnie: ten słuchowy, mięśniowy, nerwowy, pokarmowy, ten fonacyjny… Wieczność zatem to coś, co zapewnia kompozycję wydolności wieloukładowej. Kompozycję wydolności, taką, jaką gwarantuje zdrowa mowa, nie tylko ludzka… KW… KWW…

W mojej rodzinie od lat prowadziliśmy badania na ten temat – ażeby nie fałszować wyników „generalizacjami", ograniczaliśmy się jednak wyłącznie do układu nerwowego. Największe zasługi w rozpoznaniach poczynił mój ojciec, nie bez przyczyny określany – „Freudem nowej Ziemi i nowego Nieba", ojciec i brat, właściwie, brat nazywany „nowym Ibsenem": obydwaj zajmowali się relacjami między nerwicą seksualną a wiecznością, a tu ściślej rozważali, czy – w wymiarze tzw. metafizyki krytycznej – wieczność może być doświadczeniem „ogólnonerwicowym". Stąd odbiegaliśmy właśnie do badania źródeł tekstowych takich, jak Biblia, najczęściej nazywając – za siostrą matki, Perulą i za jej studiami – literackość Biblii skrajnie nieczytelnym *neurotic neurotic*, co o wiele lepiej brzmiałoby w imiesłowowym polskim – „nerwicującym znerwicowanym".

Hiszpańscy badacze wieczności z KWW Salamanka razem z meksykańskimi oraz z indiańskimi z KWW Guanajuato podjęli się trudności opisywania sprzężenia instynktów wiecznych z „instynktami" z układu pokarmowego, uznając w końcu, dosyć trywialnie, że jedno wpływa na drugie, podobnie jak mowa wpływa na układ pokarmowy – całym swoim procesowaniem. Oczywiście, inaczej wpływa mowa na ciało aktora grającego szekspirowskiego Malvolia, inaczej zaś na ciało nauczycielki fonetyki esperanto, a jeszcze inaczej na „duszę pokarmową", na przykład ciało charyzmatyczki, która dopiero co finalizuje niewieczyste (ale wieloletnie) śluby milczenia. To w Guanajuto podobno powstało kilka lat temu Muzeum Biblii Pokarmowej – pierwsze muzeum ontogenetyczne, którego dyrektorem jest neo-Metys (tzw. Metys Niemadagaskarski). Mimo tego postępu – pokarmowa wieczność, digestive eternity, jest pojęciem równie nieprawdopodobnym i pobożnożyczeniowym, co – niegdyś – Proustowski Swann…

Byłoby dobrze, gdyby twórca literackiego obrazu wieczności umiał zrezygnować z obietnicy apokatastazy i wybrać wspomniane już tutaj *prêt-a-porterisme*. A żeby uniknąć nieporozumień, warto wyobrazić sobie coś bardzo namacalnego. Wyrazistego – autorem Apokalipsy jest Mark Twain. Albo też delikatniejszego – autorem Dziejów Apostolskich, ambitniejszych, ale i trudniejszych niżeli Apokalipsa, zostaje Mark Twain. Twain, Twain, Twain… No właśnie, to trochę jest wieczność – to życie, to mowa, w którym za wszystko odpowiedzialny jest oraz będzie Twain. Życie, w którym (1) Twain pisze *Fenomenologię ducha*, (2) Twain pisze *Krytykę czystego rozumu*, (3) i wszystko, co pisze Twain, jest Ja-Twain-mową i Ja-Twain-wiecznością, (4) i właśnie to jest oraz będzie Biblia. Twainowska wydaje mi się już sama propozycja podziału dwóch modeli wieczności, o której było nieco powiedziane może jeszcze z początku: otóż, wieczność powinniśmy dzielić nie na miękką, overbachowską oraz na twardą, rosmerowską i solnessowską, a na „wieczność w dobrach książęcych" oraz na „wieczność w dobrach królewskich", z tego zaś będą się brały książęce biologie oraz książęce religie i królewskie bioreligie. Powstanie też specjalny zawód tzw. epistokorekty, a także potrzeba zatrudnienia epistokorektora, a przynajmniej neokorektora, kiedy jedno pomiesza się z drugim i, przykładowo, jak gdyby po Herbertowsku: może aż chciałoby się rzec, elementy nauki „książęcej" przeniknął aż na sam dach tej „królewskiej" metanaukowości, zanieczyszczając realistyczne pojęcie wieczności.

Niestety – praktyki neokorektorskie powiązane zostały ze studiami nad wiecznością dopiero niecały wiek temu – istotną rolę odgrywali w rozwoju tej gałęzi wiedzy **Indianie**, tutaj przypominani na razie wyłącznie w kontekście zauważalnych osiągnięć obozu KWW Guanajuato (w swoim czasie poświęcę ich „wiecznologii" oraz „eternal learningowi" oddzielny rozdział: a nie bez powodu w mojej rodzinie mówiło się niekiedy „rób co do ciebie należy, uprzednio zadbaj tylko o to, by twoim eternal learnerem był… Indianin"). Trzeba wiedzieć (bo zanosiło się na to od dawna, nawet jeszcze: przed pozbyciem się Primy), że „reeleatyzm", bądź eleatyzm powtórny, stanie się wynalazkiem konkretnej rasy, a ta, tym razem, z pewnością okaże się nowinką, mało powiedzieć: będzie inna niż grecka, wyjdzie spoza Europy. To swoją drogą musi okazywać się, jakoś, zabawne dla czytelnika powieści podobnej do tej: ma albo będzie miał, powiedzmy, pod ręką bohatera, który jest KWW-Zenonem z Kition – a zatem jest indiańskim eleatą powtórnym, i otóż – jego wypowiedzi właśnie ma ów czytelnik skonfrontować z wypowiedziami narratora Całości *Primy*, który wyznaje tradycyjny eleatyzm tak, jak może go pojmować w 2024 roku, a więc czy nie po Grecku: jak tu nie pomieszać reelatyzmu bohaterów z eleatyzmem autora implikowanego całości, tym bardziej jeżeli użyjemy mowy pozornie zależnej zagłuszającej literacki opis wieczności może nawet przez całą długość kilkuset stron ciągu geometrycznego reeleackiej akcji i eleackiej narracji? To przecież trochę tak, jak gdyby styl didaskaliów Strindberga wprowadzić do epejsodionów Ajschylosa…

„Eleaci" to również określenie wysoko postawionych rodzin na kontynencie, który przywykliśmy z czasem anachronicznie nazywać europejskim. Najczęściej mówimy w ten sposób o bezpłodnych rodzinach szlacheckich, które – w obliczu braku potomków – rozpoczynają życie w sensie filozoficzno-literackim. Do tej pory byłem pewny, że doskonałymi modelkami do sportretowania będą dla mnie wyłącznie literatura, kultura i religia (dzisiaj zauważyłem, że najdoskonalszą z literackich modelek dawanych do sportretowania jest – wieczność), tymczasem – bądź co bądź – powoli staję się socjologiem osobliwości rodzin podobnego typu, a można nawet powiedzieć, że z perspektywy wskaźnika lekka eleofilia, którą reprezentujemy w tzw. rodzinach wiecznościowych Ziemi, reprezentuje odwrotność kazirodztwa, tak szeroko obecnego w warstwach wyższych oraz średnich, na przykład, w wiekach XVIII i XIX w wielu miejscach Europy-im-dalej-od-Paryża-i-Luksemburga. Aby było jasne, powiedzmy na koniec bardzo wyraźnie: historia tych rodzin nie istnieje w sensie formalnym. W sytuacjach publicznych, prezentacyjnych, „liczba" podobnych familii w III wieku przed naszą erą wynosi 234-240, a w CCCXXXIII wieku około 527 600. Co z tego, jeśli w sytuacjach prywatnych, gabinetowo-laboratoryjno-pracowianych jedna oraz druga liczba wynoszą re-zero, przenikają więc nieprzebadane do zdezorientowanej świadomości niedoszłego badacza problemu, przelatują, nawet niezdenominowane (bo i tego nie zdążyliśmy z nimi zrobić), przez palce…

Jakże łatwo w tym wszystkim o niepowagę, niepowagę, na przykład, żądania zbyt wielu gwarancji, coś chociażby, co winniśmy nazywać dokładnie, a nawet z rodzajem wstrzemięźliwego wzbronienia, znacznie precyzyjniej niż mówiąc, „tzw. Brama świętego Piotra", „Brama" zresztą, samo słowo – „Brama"… „Brama" przypomina truskawkowe oświadczenie mocy, truskawkowe oświecenie, jeśli tylko nie myślimy o niej co najmniej strukturalnie, a najlepiej by było połączyć symbolizm ze strukturalizmem, inaczej: zrobić symbolizm działaniem naukowym, a nie artystycznym, zrobić go tak, by miał, krótko mówiąc, własnego de Saussure'a, który zadziała tutaj jak Paul Verlaine, nie wiem, z odwagą Verlaine'a, przy pomocy jego Verlaine'owskich skrótów myślowych czy otrzeźwiających, metaumownych *quid pro quo*. Oczywiście, wieczność to orientacja, orientacja teoretyczno-badawcza, ale sama „Brama", czy to, co nazywamy „Bramą", to nie może być Verne, który idzie do kuchni zalać herbaty i wraca, z herbatą, Verlainem: jak gdyby wracał środkiem transportu, z którym się *overidentified*, „wytożsamił": otóż, jeśli do tego doprowadzimy, otrzymamy wieczność pod postacią skansenu intelektualnego i metafizycznego: będziemy mogli mówić o *skansen*owej pseu-→

dosubstancjalności i – a tego właśnie bał się Witkacy – zrównamy istnienie wpierw z jego ontologiczną „kanonizacją" (biologia będzie w tym wypadku przypominała „poczet" gatunków), następnie z „beatyfikacją" (chemia zderzy się z wieloma nadegzemplarzami reakcji, a fizyka – z nadegzemplarzami zjawisk): wieczność, tymczasem, należałoby opisywać, jak myślę, bez angażowania czynników ludzkich, sama jakakolwiek możliwość personalności, jakakolwiek przedpersonalność, nawet podejrzenie antyosobowej mgły ponad nami albo pod nami, winna być szczelną granicą mówienia o czymkolwiek… Niestety, mówimy tu o cenzurze naturalnej – gdzie pada cień podejrzenia ontologicznego, uczestnictwo się kończy, dyskusja się kończy.

Chyba to Maria Bruno Dunin jako pierwszy, wszechstronny profesor elektro- oraz termodynamiki ruchu wiecznego (zwany również Berestajką Duninem) zasygnalizował, pierwszy, do wiadomości wszystkim na Ziemi, że wieczność powinna tak naprawdę może przypominać Włochy bez Włochów, Włochy bez ludzi – bez większości i bez mniejszości narodowych, albo i sentymentalizm bez sentymentalistów. Korektę tego obrazu wkrótce przyniósł niejaki Bisping-Rozciechowicz, chyba Gabriel Bisping-Rozciechowicz – powiedział coś takiego, mniej więcej, „połączmy może: późniejsze z wcześniejszym, przeszłe z teraźniejszym, byłe z niebyłym, ale niechaj będzie, że przy pomocy tzw. aktualnego, czyli postsentymentalizm wypełnijmy sentymentalistami – Włochy wypełnijmy Celtami, którzy zamieszkiwali te tereny jeszcze przed nadejściem tamtych – to jedyne uniknięcie pułapki (nieporozumień) apokatastazy, która jest niczym więcej niż: farmą gotowych wytworów, szekspirowskim „jak wam się podoba", Edenem minus, ale udającym Eden plus, rzadko z powodzeniem (w ostatnim czasie).

Jednym słowem, niechajże Foucault opracuje *Kurs językoznawstwa ogólnego* – i to będzie nasza wieczność w sensie intelektualnym, emocjonalno-duchowo-intelektualnym – wszelako: wieczność w rozumieniu wieczności małej, wieczności „w dobrach książęcych", wieczności jako – powiedziałem to już, a teraz powtarzam jeszcze raz, nade wszystko dla utrwalenia – orientacji teoretyczno-badawczej. Jest jednak jeszcze wieczność „w dobrach królewskich", niekiedy nazywana przez nieżyczliwych „kiczem w strukturach czasu", „kiczem podrzuconym *(déposer)* strukturom czasu", zaś jeszcze inaczej – zupełnie inaczej – „grafomańską interpretacją czasu" (w znaczeniu, w jakim „grafomański" pozostaje, przykładowo, Bergson w stosunku do świętego Augustyna, albo Nietzsche w stosunku do Orygenesa, a nawet – sięgając wstecz jeszcze dalej – do Sekstusa Empiryka). Do meritum: emanacją owej wieczności wielkiej byłby Kurs językoznawstwa ogólnego de Saussure'a w formie jednej z ksiąg Starego Testamentu, nawet występująca w zastępstwie Księgi Psalmów,

Jednym słowem, niechajże Foucault opracuje *Kurs językoznawstwa ogólnego* – i to będzie nasza wieczność w sensie intelektualnym, emocjonalno-duchowo-intelektualnym – wszelako: wieczność w rozumieniu wieczności małej, wieczności „w dobrach książęcych", wieczności jako – powiedziałem to już, a teraz powtarzam jeszcze raz, nade wszystko dla utrwalenia – orientacji teoretyczno-badawczej. Jest jednak jeszcze wieczność „w dobrach królewskich", niekiedy nazywana przez nieżyczliwych „kiczem w strukturach czasu", „kiczem podrzuconym *(déposer)* strukturom czasu", zaś jeszcze inaczej – zupełnie inaczej – „grafomańską interpretacją czasu" (w znaczeniu, w jakim „grafomański" pozostaje, przykładowo, Bergson w stosunku do świętego Augustyna, albo Nietzsche w stosunku do Orygenesa, a nawet – sięgając wstecz jeszcze dalej – do Sekstusa Empiryka). Do meritum: emanacją owej wieczności wielkiej byłby *Kurs językoznawstwa ogólnego* de Saussure'a w formie jednej z ksiąg Starego Testamentu, nawet występującej w zastępstwie Księgi Psalmów, lub też, *Kurs językoznawstwa ogólnego* Foucaulta jako jedna z ksiąg Nowego Testamentu, nawet – Apokalipsa, choć trzeba byłoby zmierzyć się z kilkoma głosami przeciwko idei, aby Biblię Starego i Nowego Testamentu zamykać, zawierać *(encompass)* gatunkiem podręcznikowym, kursowym, dydaktycznym (bo to trochę tak, jak gdyby Księgą Sędziów zwierać całe siedmiotomowe arcydzieło Prousta, ale w sensie zupełnie dosłownym, tak by występowało w zastępstwie

ostatniego tomu *Czas odnaleziony*, albo też: robić ze Swanna wspomnianego już Sekstusa Empiryka, mieszać Sekstusa ze sprawą Alfreda Dreyfusa, i tak dalej…).

Wieczność to, trochę, sprawa Dreyfusa pojęta jako spór metafizyczny. Tak uważała siostra mojej matki, Perula Blackened-Town, zwana także Perulą Branicką ze względu na swoje nie do końca jasne pochodzenie (przodkowie Peruli spiskowali ponoć z magnaterią Merkurego na pewnym etapie nieopisanych niestety przemian planety, dziś już całkowicie zanonimizowanych), ale nie tylko o Peruli moglibyśmy tutaj mówić nieco dłużej. Indianie, oczywiście, uważali inaczej – całe the blackened-townerie movement uznając za „bzdurę niewartą ich czerwonoskórego czasu". De Saussure'a nazywali, chociażby, prochem biologicznym, czy pomysłowo, i nie mniej pogardliwie, cętką udającą, bez cienia powodzenia, metafizycznego kocura („a brush pretending to be the metaphysical tomcat, without a trace of success"). Formalnie współpracę z KWW Guanajuato zakończyliśmy w chwili, w której okręg zasugerował, że konieczny jest błyskawiczny awans ikonograficzny całej problematyki, bo wieczność to – w najczystszym tego słowa znaczeniu – metafizyczny spór o Góry Czarne (czyli the purest argument, jak ujmowali – or, the Argument, czyli mówiąc wprost – the Argument of all Arguments).

Pożegnaliśmy tę perspektywę z pewnym trudem, chociaż wykazując się istotną tutaj pomysłowością: wykorzystaliśmy tezę o tzw. stacjonarności Ziemi, którą niejaki Euzebiusz Petrycy-Pérez skomplikował tezę ogólniejszą o „stacjonarności Wszechświata" – ta druga powiada, że pomimo zmian lokalnych i globalnych Wszechświat pozostaje – odwiecznie i niezmiennie ten sam, taki sam. Teza Petrycego głosiła to samo, ale o Ziemi, nazywając to nieco nienaturalnie „fortuned, but misfortuned (?) earthiness" – pomimo zmian lokalnych i globalnych nic w sensie metafizycznym nie zagraża tzw. odwieczności Ziemi. W podobnej sytuacji postrzegać swoje zadanie inaczej, czyli albo przez pryzmat sprawy Dreyfusa, albo przez pryzmat sporu o Góry Czarne – to nic paraliżującego. Otacza nas wielki spokój, ten natomiast pozwala przyjąć wszystko – naprawdę wszystko, i to jest wieczność, i to jest apokatastaza intelektualizmu – dla przykładu, przyjąć: indiańską wersję *Krytyki władzy* sądzenia lub: brazylijską wersję Dziejów Apostolskich, bo wieczność jest to rodzaj – jakby sprawę całą wyrazić… – intelektualnego i duchowego metysażu, jest to tym samym figura podniecającego pomieszania, za które nie odpowiadamy: stacjonarność, „stationarność" Ziemi – bo to do niej wypadnie nam powrócić na koniec – jest w takiej sytuacji przede wszystkim całkowitą wolnością i to z niej dopiero wykiełkuje spokój – wolność tę można wypowiedzieć na wiele sposobów, chociażby: językiem paradoksu Stendhala oraz Biblii (i opakowania): „Zdanie 1: Stendhal to jedynie opakowanie, w którym przechowuję Biblię. Zdanie 2: Biblia to jedynie opakowanie, w którym przechowuję Stendhala". I dalej, otóż: „Zdanie 3: 1 »uwielbia« 2 tak, jak roślina »uwielbia« światło. Zdanie 4 (lub Komentarz): wcale nie idzie o Biblię ani o to, czy zostanie uszanowana, kiedy zostanie zredukowana do opakowania przechowującego cały dorobek Stendhala, idzie o pojęcie metafizyczne, zaś – Biblia nim-nie-jest – pojęcia metafizyczne, implikowane już przez zdanie 1., to »to, co opakowane« i »to, co przechowujące«". Zatem zdanie 5 brzmi: „Stacjonarność oznacza, że »to-co-opakowane« i »to-co-przechowujące«" dzielą wspólny ontologiczny korytarz, ale: postrzegają go szczególnie – jako tunel, nie tyle – z którego nie mogą się wydostać, ale którego nie mogą opuścić bez podania jakiegoś ważnego powodu…

Wieczność musi mieć własną strukturę, to pewne (myślę zaś tutaj zarówno o infrastrukturze, jak i o mikrostrukturze). Na przykład, mogłaby przypominać Włochy, ale tylko pod warunkiem, że izomerii, izografii nie pokpi się tu eschatologią, nie wspominając już o historiozofii. Dlatego ja nie bałbym się *Fenomenologii ducha* w wykonaniu Indianina, być może nawet chętniej przeczytałbym taką odmniejszościową *Fenomenologię*, spisaną przez kogoś z tzw. tubylczych ludów Kanady, Indianina neokanadyjskiego więc, dla przykładu, aniżeli – z mozołem szczytywałbym trudną *Fenomenologię* Niemca. Jest jeszcze jeden problem: profesjonalnie postawiona problematyka wieczności (profesjonalnie, jednakże pozaformalnie) zdominowana została przez refleksją starożytniczą, platoński *Timajos* będzie tu końcem, niestety, krótkiej drogi, a nie – jak życzylibyśmy sobie tego my – początkiem długiej… Trochę to tak, jakby wprowadzić na scenę literacką Szekspira, ale zdusić następnie wszystko ciszą nieobecności teoretycznej, więc, na przykład, nie wprowadzać Ibsena, by Szekspira doświetlił – bo z całym szacunkiem dla świętego Augustyna, Ibsenem nie jest, przynajmniej jako autor teorii wieczności (bioteoretyczny Augustyn był takim samym atrapowcem jak Augustyn biopraktyczny, augustynizm był po trosze skałą, która roztrzaskała całorelacjonistyczne ambicje Primy, zwłaszcza te na tle religijnym, nie tylko na Ziemi, nie tylko na Marsie…).

Pamiętam momenty, w których byłem zdecydowany nazwać – Rzymem czyste akty umysłowe, Mediolanem zaś tradycyjne akty umysłowe (powiedzmy, że tradycyjne). Po jakimś czasie uzmysławiałem sobie, że to niemożliwe, moja usilność, w każdym bądź razie, moja!, nie będzie tutaj miała niczego wspólnego z sukcesem, zsukcesem!, nie pracuje na rzecz jakiegokolwiek – mistycznego czy też metamądrościowego – powodzenia. W takich chwilach zwłaszcza myślałem, że wszystko może być sprawą zupełnie nietypowego żartu: myślimy wszyscy – „czas jest subretką wieczności" – a może jest odwrotnie, bo to „wieczność jest subretką czasu", bo to co od wieków braliśmy za muzę reprezentuje subretyzm – więc na tym właśnie inteligencja subretki polegałaby – kamuflowałaby swój subretyzm (a więc tak!). Wyjaśnię: subretka to sprytna pokojówka, postać występująca m.in. w operach komicznych, na Marsie uzyskiwaliśmy ją przy pomocy przesuniętego stosu elektrycznego wspomagającego reakcję – powstawała ze wzbogaconych równań Maxwella niekiedy tak silna, że mogłaby zastąpić Wilhelma Meistra albo Hansa Castorpa, ponoć na Wenus to subretka („podrasowana" subretka) została bohaterką ichniejszej wersji *Jądra ciemności*; powstało – co najmniej – czternaście-siedemnaście studiów poświęconych tzw. subretkowości Kurtza z prowokacyjnym *Une Kurtz, une Soubrette*. *Studium o duszy na czele*. Mam także wrażenie, że miałem przez chwilę do czynienia z… „Subretką" Gombrowicza, osobliwym owocem paragenezy, przeprowadzonej, chociaż niestarannej, pewno na Merkurym: jedynie tam Gombrowicz przyjmował się na stałe, przynajmniej przez jakiś czas…

Po tym wszystkim, co powiedzieliśmy do tej pory, zatrzymajmy się, proszę, znów przy literaturze, wszakże – ani jednego słowa nie powiedzieliśmy jeszcze nawet o naturze sporów mieszanych, autotematyczno-metafizycznych więc, albo i też, przedłużając ten sam przykład (właściwie), metafizyczno-metaliterackich. No a „cielęcinowcy", chociażby, owi twierdzą, że literatura jest młodością oraz świeżością, a zatem – stanowi a veal of eternity, cielęcinę wieczności, tak mogłaby twierdzić nowa Dickinson albo nowy Hölderlin, by rozstrzygnąć sprawę najwyrazistszym nazwiskiem… Są jednak tacy, którzy chcieliby tworzyć salon mistrzowski, dla których technika będzie zawsze synonimiczna z wiekiem i stopniem. Literatura jest wołowiną wieczności, powiedzą. Są wreszcie niezdecydowani albo całkiem przesubtelnieni, są wierni swoim genologicznym intuicjom albo przesądom: jedni tutaj powiadają więc, że poemat może być tylko wołowiną wieczności i niczym więcej, drudzy – wręcz przeciwnie – gardło stracą, zakrzykując, że – cielęciną, *nec plus ultra*. Podobnie w swoim zabawnym szaleństwie podzielą się ci, którzy „sławią dramat" – chociaż z dwóch przeciwstawnych pozycji – a także ci, którzy „wysławią powieść", choćby i pod postacią współczesnych jej nowelizacji – peripowieści, polipowieści, szkicu z elementami bioakcji, czegokolwiek...

Być może właśnie z powodu spisywania *Primy* – najbardziej cenię sobie tych ostatnich, wołowinowych literatów, pozwalających sobie nazywać cielęcina, określać cielęcina, „skreślać" cielęciną przede wszystkim, jedynie to, co dla nich specjalne. Z drugiej strony, wierzę, bardzo transcendentalnie, że cała literatura jest wołowiną wieczności, ona obrasta cielęciną wyłącznie raz na jakiś czas, po prostu, w rodzaju jakiegoś romantycznego cyklu, schellingiańskiego cyklu, niczym genialnym, ale surowym wykwitem, okwiatem-okrywą, cudowną, bowiem prowizoryczną – życzyłbym sobie jedynie takich, „przygotowawczych" Odysei, lub Kwiatów zła – może tak właśnie należałoby pomyśleć nową historię filozofii i historię literatury? Jako pompę metafizyczno-autotematyczną, która nie rozumie w sensie towarzyskim, ale i w sensie inteligibilnym, pojęcia „historii" oraz zabiera się do niego jak zupełny kompromitacjonista – jak do „wielkości" podawanej w paskalach albo milibarach. Paski, paski zamiast faktów: może mogłyby być wersami, gdyby z taką intencją zostały w odpowiednim do tego czasie stworzone. I dwa tomy poetyckie: „Sociabilité de la pompe / Towarzyskość pompy", a także „Intelligibilité de la pompe / Inteligibilność pompy", nimi wypadałoby nam zastąpić tak Parmenidesa, tak Hegla, jak i może Karola Samsela, autora Primy (?)…

Mnie interesowałoby wyłącznie jedno – czy przy pomocy pompy metafizyczno-autotematycznej dałoby się stworzyć wieczność w sensie ogólnym? A może jeszcze to wszystko okazałoby się możliwe już na gruncie samej literatury, innymi słowy, z pomocą „pompy mniejszej", metafizyczno-metaliterackiej? No a co z metawiecznością? A z meta-Bogiem? Pojęcie meta-Boga będzie szalone już z samej perspektywy wysłowienia, wszak stojąc tutaj i mówiąc, z żadnym „repozytorium w odwodzie" *(sans aucun référentiel en réserve)* nie byłbym pewny, czy to, czym mówię poprzez tekst, jest wieczne (będąc / nie będąc, *per viam*, mną). Trzeba by chyba całej książki w rodzaju „Anti-Samsel. Durchgehenheit", albo „Anti-Samsel. Permeability", aby zrozumieć cokolwiek… Może należałoby – w obliczu kłopotów, w tej sytuacji – mówić tylko o studionarności Ziemi? No i przy zgodzie ogółu – o ontologicznej studionarności Wszechświata? I co w związku z tym *in partibus*? „Studionaryzować", „studionować" całą literaturę, o której powzięliśmy uprzednio błędne mniemanie, że aere… czyli że… „stacjonowała"…? A co jeśli granice moich stacjonatów (tego, co brałem za stacjonaty w każdym razie, przynajmniej; bardzo mylnie, gdyż – było studionatami) wyznaczają granice mojego świata?

Karol Samsel

Tekst Wieczność (1) jest fragmentem powieści Karola Samsela Prima (w przygotowaniu).

Szymon Florczyk

wyznanie

nie wierzę w raje, bogów, posłańców
do ludzkości, narodów, do mnie.
nic także nie wiem (byłoby pysznie)
o kształcie świata zatoczonym dokoła
paru tragedii z ludzkiej przeszłości,
choć racja – poruszającej.

do tego trzeba by sporo
wiary ogólnej albo ważkich powodów, albo
nieważkich przemyśleń – a ja przybity
do konsekwentnej codzienności, do drzewa
wiadomości dobrego, częściej złego.

a drzewo się rozgałęzia wciąż bardziej
i mniej na nim owoców czystej wiedzy.
katedra zmieszanego światła z witraży
po którym stąpam: od wiary w następny krok
do przebłysku, że to wiara tylko, i znów.

nie wierzę w raje, bogów, posłańców,
bo dość trzeba wysiłku, by uwierzyć
w ciebie i mnie.

nie my

piszę o sobie czy piszę osobie
gdzieś w prostopadłym świecie
odpakowane leżą moje metafory
i krzyczą w ostrzejszym słońcu

może nie umie pisać i czytać
więc tylko kreśli wiersz doskonały
nie szatkowany ramą nie powgniatany w zgłoski
krążąc w żyłach burzy się
kiedyś po prostu spłynie
rzeką trzeciego świata

choć to ja pokażę kwit na cierpienie

przypisy

czy to ja tworzę
czy jestem tworzonym
dziełem sztuki
na ile
waszym
światłem przysposobionym
w pryzmacie skóry

granicy której
nie widzę
nie poznaję

Nie wystarczy zobaczyć, że ogród jest piękny,
trzeba wmawiać sobie, że mieszkają w nim wróżki?

– Douglas Adams, „Autostopem przez Galaktykę"

przepis

zatem dobrze więc jestem
kruchy jak ciastko w palcach łakomczucha
bezświadomego tańca panoptikum zgęstkiem
w dzikim tłumie spoglądam z jego gorącego brzucha
co nawet czułość każe tłoczyć w akty mięsne

trochę wzgardzonych robaczkowych ruchów taśmociągu
na którym się szamocze marionetka w skórnej szmacie
parę rozedmań balonika co przybiera kształty kotków
w rękach iluzjonisty u helisy na etacie

tyle wystarczy by ewolucji kleksem być

i wierszem

rigor mortis

co gdyby zmarli jeszcze przez chwilę myśleli
o tym co stało się z nimi i co się stanie

gdyby powoli zyskiwali świadomość
procesów które zaczynają trawić im ciała

gdyby patrzyli śmierci w plecy
nie mogąc uderzyć jako pierwsi

gdyby bez metaforycznych butów tkwili
do kolan a potem do pasa w niepojętej pustce

można być pewnym że taki stan nie jest możliwy

Szymon Florczyk (ur. 1986) – od zawsze mieszka i pracuje w Krakowie. Autor zbioru wierszy „Ciało i zgłoska" (MaMiKo, 2024) oraz ilustracji do zbioru haiku Doroty Czerwińskiej „nieboziemia" (LSW, 2024). Publikował wiersze m.in. w Toposie, Odrze, eleWatorze, Migotaniach, Akancie, Helikopterze, Obszarach Przepisanych, Suburbiach, Post Scriptum, Wytrychu, na stronie Wydawnictwa J, w antologiach. Wyróżniony w ogólnopolskich konkursach poetyckich „Struna Orficka" (edycja XIII) i „Erotyk na krechę" (edycja V). Jako amator próbuje sił również w muzyce z pogranicza rocka i klasyki.

Małgorzata Dorna – Wendrychowska

Żywioł wody, powietrza, ognia i ziemi - rozważania o wątkach archetypicznych w twórczości Tadeusza Sobkowiaka

„Kiedy przybyli do źródła, napotkali jedynie samych siebie. Wiedzieli jedno - są w domu." Sekwencję swych osobistych refleksji („nieosobista" krytyka sztuki nie istnieje!) na temat prac Tadeusza Sobkowiaka otwieram myślą artysty, zapisaną na stronie internetowego portalu, myślą którą można potraktować jako rodzaj credo, kwintesencję przekonań, manifestację wiary (lub żeby nie łączyć tego z żadną ideologią, religią) uwierzeń.

Oto „Zapomniany sen indiańskiej księżniczki", kompozycja statyczna, w niewielkim formacie, o bogatej fakturze, utrzymana w specyficznych, przechodzących w ledwie zasugerowane fiolety – ciepłych, stonowanych i mimo wszystko, dość wyrazistych błękitach. Sen zatrzymany w bezruchu. Oto z dna charakterystycznie wygiętego canoe, ułatwiającego bezszelestne poruszanie się w majestatycznej, wszechogarniającej ciszy – wyrastają pradawne formy: ryby, pióra, wizerunek wielkiego ptaka z oranżowym dziobem, ptaka symbolizującego mądrość i wiedzę tajemną. Pojawia się także postać śniącej księżniczki, postać zamknięta (jak w sarkofagu) w geometrycznej strukturze, naznaczonego świetlistym obrysem - pióra.

Światło sączy się zewsząd, nie tylko z ogromnej, hipnotyzującej swą mocą tarczy rozbielonego księżyca. Jasne linie, zarysowania, obecność ożywczego ognia – wszystko to sugeruje tymczasowość zapisu, jego momentalność wobec wiecznego trwania indiańskich wyobrażeń i wierzeń, prehistorycznych śladów bliskiej Naturze wspólnoty. Przestylizowany profil księżniczki wydaje się tu równie znaczący, jak wizerunki ptaków, ryb i potraktowanych umownie – piór. Wobec emanującej światłem przestrzeni „onirycznych ogrodów" wszystko to, co obdarzone atrybutem życia i ognia – okazuje się równie istotne. Można zatem powiedzieć, ze artysta ulęgający przeczuciom – otwiera jednym obrazem (jednym artystycznym gestem) całą kosmologię onirycznego, śniącego Wszechświata. Skoro księżniczka zanurza się w niezbadane, senne widziadła – czyni to także Kosmos, którego ona (owa indiańska księżniczka) pozostaje cząstką.

Wpatrując się w canoe z zapisanym wizerunkiem śniącej, której towarzyszą ptaki i ryby oraz ryby ptakopodobne – dostrzega się coś jeszcze. Oto nakładanie się wizerunków ptaków i ryb – staje się tylko wówczas „nonsensem" jeżeli zapomnieć o znaczeniu metaforyki żywiołów, o której pisze Gaston Bachelard. Dla umysłu śniącego, podobnie jak dla umysłu dziecka i człowieka pierwotnego nie istnieje granica między żywiołem powierza i wody – w przeciwieństwie do umysłu, któremu wpojono złudne „przekonanie o stałości form."[1]

Sięgając do Źródła Wszechrzeczy, w tym także do wyobraźni archetypicznej, pierwotnej – Bachelard stwierdza: „Między pływaniem i lataniem zachodzi oczywista identyczność mechanizmów. Ptak i ryba żyją, jak pisze Bachelard „w przestrzeni trójwymiarowej", podczas gdy my jego znaniem „unosimy się na powierzchni".[2]

Należy w tym miejscu podkreślić, że popularyzatorzy dzisiejszego stanu wiedzy na temat osiągnięć fizyki kwantowej[3] zapewne użyliby terminu „wielowymiarowej hipersfery", którą dane nam przeczuć tylko w jakimś nagłym błysku świadomości. Rzeczywistość, w której żyjemy zawiera w sobie znacznie więcej wymiarów, nakładających się na siebie w obrębie tej samej przestrzeni. I tak na przykład znawcy wielowymiarowej rzeczywistości sytuują wobec siebie blisko ryby i ssaki, poruszające się „bez nóg", pamiętając że ptaki to istoty uskrzydlone, skrzydlate, jakże rzadko „chodzące po ziemi". Powtórzyć zatem należy, że kwantowa rzeczywistość zawiera w sobie więcej (zapewne mimo owej wielości - skończenie wiele) wymiarów podczas gdy my żyjemy w „pułapce przekonań" i jak chciał tego Bachelard „zaledwie na powierzchni."[4] Ruchy ryby okazują się płynne i łagodne, podobnie jak ruchy ptaka, który zdaje się „płynąć w powietrzu", wiadomo też, że malarze sięgający do praźródeł wyobraźni pozostawili liczne pejzaże, „na których wśród liści drzew mieszkają ryby".[5]

Nieprzypadkowo już w latach osiemdziesiątych minionego stulecia, Tadeusz Sobkowiak czyni (przytaczane po wielekroć) wyznanie: „Obraz winien promieniować owym światłem wewnętrznym, tym które oświeca, które uzmysławia nam całą strukturę wszechświata. Obraz winien być zjawiskiem jako kolejne wcielenie świadomości bóstwa i energii, ma być tym, co można przeżyć tylko za pomocą intuicji." Zatem moment kreowania dzieła to równocześnie chwila iluminacji, olśnienia, dostrzegania i przeczuwania tego, czego rozumowo, czyli „chłodnym okiem", bez emocji – nie sposób dopatrzeć się, dociec.

Oto „Miłosna wymiana" – kompozycja z dominantą świetlistej bieli i równie rozświetlonych błękitów, wydająca się syntetycznym ujęciem filozofii sztuki, odwołującej się do magii, archetypów, pradawnych symboli i wierzeń. Powraca tu odwieczny motyw księżyca i słońca, pary kochanków wpół siedzących, wpół leżących na przeciwległych krańcach symetrycznie wygiętego canoe. Ich dłonie dotykają się zaledwie palcami, pozornie spokojnie, rozważnie, w istocie w symbolicznym geście wielkiej czułości, ekstatycznego, miłosnego uniesienia. Cała scena, zawieszona w „baśniowej" przestrzeni rozbłyskującego bielą nieba okazuje się zapisem magicznego rytuału, utrwalonego przed wiekami gdzieś w gwiazdach, poza konkretnym miejscem i czasem. Badaczom archetypów (począwszy od C. G. Junga, przez G. Bachelarda, a na M. Eliade skończywszy) archetyp kojarzył się z pradawnym rytuałem przeniesionym ze sfery „sacrum" do sfery „profanum", z „boskim modelem", z „niebiańskim prototypem", z modelem mitycznym i mistycznym zarazem. Zastrzec jednak należy, że podczas gdy dla Junga archetypy były „strukturami kolektywnej nieświadomości" dla Eliade stają się „wzorcem objawionym w micie, który jest aktualizowany na nowo w rytuale" i jak podkreślał ten urodzony w Bukareszcie filozof, konkretyzując swą myśl: zjawisko to dotyczyło głównie „paradygmatów i rytuałów".[6]

Nieco inaczej ma się rzecz w przypadku archetypu ognia, łączącego w poetyckim obrazowaniu Bachelarda „wartości przeciwne", co nie znaczy, że pradawny kult ognia nie powtarza się w rytuałach i obrzędach magicznych. Jednakże dla francuskiego teoretyka, autora „Wyobraźni poetyckiej" – ogień przynależny jest Bogom zarówno „opiekuńczym" jak i „straszliwym". „Wypełza z głębin substancji i zjawia się jako miłość. Wpełza w materie i ukrywa się utajony jak nienawiść i zemsta. (…) Rozświetla raj. Pali w piekle. Jest rozkoszą i torturą."[7] Owa dwoistość (dwuznaczność) metafory ognia uwidoczniona została w kilku kompozycjach Tadeusza Sobkowiaka, malowanych w ciągu ostatnich lat.

Oto praca zatytułowana „Przywoływanie przodków - Jurta szamana" (gdzie we wnętrzu krytej skórami jurty płonie magiczny ogień) oraz kompozycja przynależna do cyklu „Obrazów Majestatu", kompozycja której wiodącym motywem okazuje się dziwny stwór, przypominający salamandrę ogromną, zwaną też „jaszczurem ognistym", salamandrę – zrodzoną z ognia lub doświadczającą przemiany i oczyszczenia w płomieniach. Niekiedy archetyp płomieni zestawiony zostaje z archetypem drzewa, które (rosnąc koroną ku górze oraz misterną koroną korzeni w głąb) łączy w sobie żywioł nieba, powietrza i ziemi.

Takie dorodne drzewo pojawia się jako główny motyw kompozycji w czerwieniach i złocie „Kapela na drzewie", w której na gałęziach obok wizerunków ryb znajdują się także wizerunki ptaków. Wszechobecne płomienie ogarniają pień i rozsunięte, odchylone konary, tak jakby drzewo (symbol witalizmu, trwania i mocy) zapragnęło oddawać cześć ogromnej, złocistej tarczy, będącej uosobieniem Bogów lunarnych

1 Gaston Bachelard, Wyobraźnia poetycka, PIW, Warszawa 1975, s. 91

2 Gaston Bachelard, Wyobraźnia poetycka, op. cit., s. 91

3 Danuta Adamska-Rutkowska, autorka słynnego pięcioksięgu, całość dostępna na Chomikuj.pl Daridea Tom IV, file:///D:/Pobierane%20z%20neta/Adamska-Rutkowska%20-%20%C5%9Awiadomo%C5%9B%C4%87%20fenomenem%20fizyki%20cz.4_2024.pdf (dostęp: 24 IX 2024)

4 Gaston Bachelard, Wyobraźnia poetycka, op. cit., s. 91

5 Tamże, s. 91

6 Za: Próba labiryntu, Rozmowy z Claude-Henri Rocquetem, przekład Krzysztof Środa, Warszawa 1992, s. 177

7 Gaston Bachelard, Wyobraźnia poetycka, op. cit., s. 29

i solarnych zarazem. Obowiązuje tu (jak we wszystkich pracach artysty) pradawna, archetypiczna receptura kolorów, której malarz konsekwentnie przestrzega, barw tworzonych w oparciu o glinki, wapienie i barwniki roślinne, receptura obejmująca świecące biele i głębokie czernie, sienę paloną, ugier jasny ze śladowymi ilościami błękitów, fioletów i złota. Podobnie jak w malarstwie i reliefach naskalnych mamy tu do czynienia z płaskim zapisem postaci i instrumentów muzycznych. „Są takie momenty w życiu Twórcy, kiedy z obsesyjną wręcz zaciętością musi penetrować jakieś, tylko jemu znane tereny. (…) Najważniejsza jest osobista pasja w rozwiązaniu oraz w nasyceniu się badanym tematem." – wyznaje na swej stronie, na Facebooku malarz.

W całej twórczości Tadeusza Sobkowiaka powraca kult słońca i kult księżyca, a także kult (postrzeganego w sposób niejednoznaczny) ognia, wody, powierza i ziemi, powracają też rytuały magiczne, tańce szamańskie, obrzędy funeralne oraz inicjacyjne z tymi, jakże odmiennymi formami pradawnych kultów - związane.

Oto panoramiczna, wielkoformatowa kompozycja „Przypływ zagubionych dusz", kompozycja umożliwiająca syntetyczne spojrzenie na wielość dróg, wielość i różnorodność mitów, utrwalonych w różnych kulturach, zawsze jednak wiodących do Źródła. Wszak to właśnie spoglądając w głąb Źródła – spotykamy w nim siebie, siebie doświadczających wielości ledwie przeczuwanych, nie w pełni uświadomionych prabytów i prawcieleń.

Tak, więc dane nam widzieć symboliczne wyobrażenie różnych form metempsychozy, z zastrzeżeniem jednak, że w owej domniemanej wielości – mamy prawo „nie odrobić lekcji", doświadczając „koliska wiecznych powrotów", mistycznego „zagubienia". Dusze błąkają się zatem we Wszechświecie, przemierzając materię Wszechbytu, unoszone falami przypływu na łodziach, symbolizujących pradawne kręgi kulturowe. Oto cztery łodzie, z mrocznymi sylwetami „przewoźników" lub duchów towarzyszących. Na każdej, inaczej niż tlące się „ogniki na bagnach" – pojawiają się oranżowe płomienie, kojarzące się ze składaniem ofiar całopalnych. Na jednej z łodzi, utrwalona zostaje czarna, smukła sylwetka nagiej i pięknej dziewczyny, tajemniczej kapłanki, trzymającej płomienie w znieruchomiałych, wzniesionych ku górze - dłoniach. Na innej żywioł ognia zostaje ujarzmiony obecnością innego żywiołu -wody, wody odbijającej refleksy światła księżyca, słońca i płomieni.

Przestrzeń zapisana w formie fresku lub fryzu, cyklu dopełniających się wzajem obrazów lub rytów naskalnych, być może w formie dekoracyjnych pasów zdobiących popielnice (z czasów, gdy zmarłych grzebano we wnętrzu kurhanów, kromlechów) intryguje charakterystyczną dla malarstwa Tadeusza Sobkowiaka - symboliką barw.

Dominują świetliste, ciepłe szarości i biele, szarości naznaczone różnymi odcieniami bieli i złota, bladymi refleksami księżyca i słońca, mocnym oranżem płomieni, roznieconych we wnętrzach łodzi lub poza. Lunarne dusze żeglują przy pełni księżyca, pod bezgwiezdnym niebem, naznaczone złotym i białym obrysem – dążą spokojnie do Źródła, unoszone falami przypływu. Niekiedy doświadczają przemiany i wówczas na nocnym niebie, pod nieboskłonem uroczystej ciszy pojawiają się, świecące czystą bielą, stylizowane profile ptaków, ptaków finezyjnych, niemal bezcielesnych, skrywających w swych wnętrzach mistyczną Tajemnicą wiecznej metamorfozy. Nasuwa się tutaj skojarzenie z lejtmotywem rozważań Hansa Georga Gadamera na temat sensu i piękna dzieła sztuki: „Wszystko to, co symboliczne, a zwłaszcza symboliczność sztuki, polega na niekończącej się grze odsyłania i skrywania. Dzieło sztuki (…) nie jest tylko nośnikiem sensu. Sens dzieła sztuki polega raczej na tym, że jest ono tutaj oto."[8] Wystarcza zatem obecność. Obecność intensywna, znacząca. Wystarcza fakt, że „nosimy obraz pod powiekami", że pamiętamy kolorystykę i formę, że dane nam doświadczać emocjonalnej, intuicyjnej potrzeby „odczytywania" dzieła po wielekroć, a także jednorazowo, na uderzenie, „tutaj i teraz".

Oto praca dedykowana „Motylom roztrzaskanym", stanowiąca ulotny, poetycki zapis koncertu w leśnej gęstwinie. Motyle (istoty skrzydlate, występujące w mitologii pradawnych Azteków jako bóstwa ziemi, rolnictwa i śmierci) kojarzą się tutaj także z mitologią plemion Etrusków, zasiedlających w czasach prehistorycznych (od połowy II tysiąclecia przed nasza erą) Półwysep Apeniński. Motyl jako istota duchowa, „uduchowiona" pojawia się także w mitologii Greków i Rzymian, dokąd trafiła z wierzeń pradawnych Italików. Natomiast motyw, grającego na piszczałce Fauna to dalekie nawiązanie do wyobrażenia staroitalskiego Boga płodności i lasów, opiekuna pasterzy, utożsamianego z greckim wyobrażeniem Pana.

Wizerunek Fauna w analizowanej wizji okazuje się jednak dość specyficzny, łączy on bowiem cechy, żyjącego we wspólnocie plemiennej indiańskiego maga lub wojownika z wyobrażeniem Buszmena oraz odwiecznego, leśnego stwora, koncertującego na instrumencie przypominającym celtyckie banjo. Obok, grający na piszczałce motyl, istota uskrzydlona, dla współczesnego nam Europejczyka „fantastyczna" lub „egzotyczna", przynależna zapewne sferze naszych wyobrażeń o pradawnych mieszkańcach dżungli.

8 Gadamer, Aktualność piękna, https://www.academia.edu/29156242/Gadamer_H_Aktualnosc_Piekna_pdf (dostęp: 29 IX 2024)

U góry kopuła złocistych, połamanych, pokazanych fragmentarycznie skrzydeł, malowanych fakturalnie, impasto, skrzydeł symbolizujących ulotność i kruchość istnienia „roztrzaskanych motyli", które jeszcze w poezji romantycznej, czerpiącej bogato ze Źródła stanowiły uosobienie pokutujących dusz (ćmy spalające się w ogniu namiętności, czarne motyle nocy) lub wyobrażenie istot, radosnych, beztroskich, zwiastujących zmienność słonecznych pór roku. Dołem, w pasie bujnej, wysokiej roślinności, w gęstwie gdzie zieleniom towarzyszą błękity i iskierki żółci – szerokie źdźbła kojarzące się z tak lubianymi przez malarza – formami piór lub ustawionych pionowo liści. Całość kompozycji pulsująca, nasycona światłem, zwiastującym obecność Pana, Boga muzyki i tańca – przekonuje patrzącego o znaczeniu momentalnych, ezoterycznych wizji i przeczuć w dążeniu do miejsca we Wszechświecie, ku któremu wiodą wszystkie drogi tych, którzy oddają się pasji tworzenia.

Oto obraz zatytułowany opisowo „Na kosmicznym niebie gwiazdy rosną". Pojawia się tutaj archetyp jelenia, antropozoomorfa i powtórzonego odbicia owego mistycznego stworzenia, zachowującego typowo pionową, „człowieczą" pozę, istoty zapisanej po przeciwnej stronie kompozycji, niby w lustrzanym odbiciu.

Najdawniejsze, znane wizerunki jeleni utrwalono już w malarstwie naskalnym epoki paleolitu (motyw płynących jeleni w jaskini Lascaux) a ich kruche, finezyjne sylwetki, wyglądające jakby płynęły w chmurze (nie w stadzie) - wydają się raczej przynależne żywiołowi powietrza i nieba, niż ziemi. W pracy Tadeusza Sobkowiaka mamy jednak do czynienia czymś więcej, ze spotkaniem – jelenie siedzą upozowane na wprost siebie, tak jakby pragnęły nawiązać rozmowę, to doświadczenie spotkania, pod „kosmicznym niebem", na którym „gwiazdy rosną" i sypie się srebrny pył.

Jak twierdził Emmanuel Levinas mimo, że „rozmowa jest wyjściem ku Nieskończoności", to jednak rytualna rozmowa, która dokonuje się „twarzą w twarz" posiada głębsze i bardziej uniwersalne znaczenie, gdyż nie walczy się z Bogiem bez twarzy, lecz odpowiada „na ekspresję, na objawienie". [9] Spotkanie „z Innym" to przede wszystkim spotkanie z „epifanią twarzy", która nie stanowi prostej negacji „Ja". Jak bowiem podkreśla autor przywołanego tutaj traktatu – „W tej relacji (między Innym a mną), Inny pozostaje nieskończenie transcendentny, również nieskończenie obcy, ale to właśnie jego twarz – która jest obecna nie będąc jednocześnie żadną treściową zawartością – wzywa rozmówcę, odrywa go od Świata."[10] Podążając tym tropem – można stwierdzić, że w malarstwie Tadeusza Sobkowiaka, w owym spotkaniu „pod kosmicznym niebem" dwóch „stworów" - nie mamy do czynienia z prostym zwierciadlanym odbiciem, a raczej z odwiecznym dyskursem istot, z których jedna, doświadczając „epifanii" stanowi emanację Ducha Wszechświata, Absolutu.

Nieprzypadkowo zatem jeden z jeleni (o typowo kobiecych cechach) okazuje się nieco mniejszy, odmiennie upozowany, unosząc w teatralnym geście naczynie, z którego sypie gwiazdami, trzymając z uwagą fragment księżyca. Drugi, wyposażony w rodzaj torby podróżnej, tak jakby był wędrowcem (uosobieniem pierwiastka męskiego) pośród gwiezdnych pól i łąk, wpatruje się w przestrzeń, iskrząc bielą spod kopyt. Pomiędzy, w jasnej poświacie niewielki ptaszek (być może księżycowy słowik) wsparty na graficznej, niemal koronkowej, misternej w rysunku gałązce - przydaje swoimi trelami poetyckiego uroku owemu Kosmicznemu spotkaniu.

W licznych kompozycjach malarskich Tadeusza Sobkowiaka antropomorfizm pojawia się jako metoda pokazania tego, co nieuchwytne, tajemnicze, co nadaje „dziwnym istotom", funkcjonującym na pograniczu dwóch światów (świata cywilizacji i natury) walor „kosmicznego piękna". Piękno to, przynależne sferze działań sił „nieziemskich", transcendentnych – nadaje uniwersalnego charakteru, temu co ledwie przeczuwalne, a co zobaczyć można w olśnieniu, w zachwyceniu, czy jak mawiał mistrz ze Stratfordu „przed oczyma duszy". Oto „Zapładniacze planet", kompozycja wyważona, powściągliwa, zmierzająca ku ewidentnej ascezie w doborze środków ekspresji, utrzymana w tonacji bieli, czerwieni, złota i ochry. Symetrycznie, po obu stronach płasko malowanej planety stoją tytułowi „zapładniacze", o ptasich głowach i smukłych, „ludzkich" sylwetkach, owiniętych bielą jak świetlistą materią całunu. Ich dłonie, dotykające powierzchni planety tworzą sieć o delikatnej, ulotnej strukturze, z której być może wyłonią się nowe, nieznane jeszcze istoty. Białe linie płynnej, organicznej „sieci" kojarzyć się mogą z rodzajem pępowiny, towarzyszącej narodzinom Nowego.

Można zatem stwierdzić, że artysta tworzy rodzaj własnej mitologii, swoisty zbiór zapisanych w podświadomości archetypów i symboli. Kompozycją ilustrującą tego rodzaju poszukiwania okazuje się praca, zatytułowana „Trzy Parki w błękicie". Oto Boginki przędące nić żywota, znane z kultury Śródziemnomorskiej, z mitologii Greków (Mojry) i Rzymian (Parki). W malarstwie Tadeusza Sobkowiaka tytułowe Parki przypominają wielkie owady, o odsłoniętej strukturze korpusów i skrzydeł, co nadaje im nie tylko postać dekoracyjnego ornamentu, ale także walor kruchości, delikatności, ulotności istnienia.

Z płasko malowanych form, prowokujących skojarzenia z onirycznymi, surrealnymi wizjami – wyłania się koło księżyca, podpowiadające że Parki to motyle nocy, równie tajemnicze i niezwykłe jak ćmy, których bezcielesność tak bardzo intrygowała poetów romantycznych.

Ich wypełnione powietrzem odwłoki sugerują bliską relację ze szlachetnym wizerunkiem pszczoły lub osy, co pozwala na wielość odczytań. Parki jawią się zatem jako istoty z pogranicza, dotykające granicy nocy i dnia, istoty metaforyczne i metafizyczne zarazem. Obdarzone „ludzkimi" spojrzeniami, wpatrują się uporczywie w wysrebrzoną, wyzłoconą otchłań. Kompozycja emanująca wewnętrznym światłem, utrzymana w złamanych fioletach, w przygaszonych błękitach i stonowanych, ciepłych bielach, od szarości aż po pastelowe ugry i złoto – zapisuje się w podświadomości odbiorcy, wskazując na mistyczny kontakt z Duchem Wszechbytu.

Duch ten pozostaje nieznany, nieodgadniony, wszechobecny, pozbawiony (przypisywanej mu przez „mieszkańców masowej wyobraźni") intencji. Jego istotą może stać się świetlisty ślad wiecznej obecności, emanującej życzliwością i pięknem. Wydaje się, że dążenie do zapisania owych kosmicznych i archetypicznych śladów „Ducha" decyduje o rozpoznawalności twórczej mitologii artysty. Oto zbiór kompozycji (celowo rezygnuję tutaj z terminu „cykl", stanowiącego sekwencję malarskich wizji, uporządkowanych w czasie) zbiór z zapisanym śladem nienazwanej Obecności. Przeczuwa się ją „na błysk", w uniesieniu i ona to wyzwala potrzebę rytualnych, zapisanych w podświadomości zachowań. Zapewne dlatego w kręgach, organizowanych wokół owej „nienazwanej Obecności" - spotykają się nie tylko istoty człekokształtne, kosmiczne, surrealnie zdeformowane, ale także „dwunożne" - żurawie, symbolizujące długie, szczęśliwe życie w świecie Natury, baśni i przypowieści. One to również pozostają wierne jakiemuś wewnętrznemu imperatywowi celebrowania podświadomych, intuicyjnych zachowań. One także ulegają potrzebie tworzenia magicznych kręgów, pojawiających się w licznych i stylistycznie różnorodnych - kompozycjach malarskich artysty. W kręgu, podobnie jak we wnętrzu labiryntu, który w sztuce prehistorycznej przyjmował był formę spirali lub koła – czas (przynależny sferze sacrum) ulega zatrzymaniu, swoistemu „zawieszeniu". To czas rytualnych spotkań, modłów i tańca, czas przynależny sferze archetypicznych, zapisanych w podświadomości oddziaływań żywiołów zrodzonych z Natury oraz wywodzących się z niej istot, wspólnych dla różnych (bywa, że terytorialnie odległych) kultur: Boginek, Bóstw i Bogów.

Oto obraz „Złoty płomień na niebie", kompozycja w której granica między żywiołem powietrza i ziemi ulega celowemu zatarciu. Obłok bezcielesnych „dwunogów" wznosi się bowiem w przestworzach z właściwą sobie lekkością, zwiewnością charakterystyczną dla istot tajemniczych, niezwykłych, przynależnych „światom równoległym". Podobnie dzieje się w pracy „Studnia przodków".

W kręgu zgromadzonych wokół tytułowej, emanującej bielą „studni" spotkać można nie tylko mityczne, humanoidalne stwory, ale także wizerunki androidów, „kosmitów", istot „totemicznych", sugerujących związki z duchami tych co odeszli. Na pierwszym planie (niezależnie od tak lubianego przez malarza symultanizmu, elementów lunarnych i solarnych) znieruchomiały, monumentalny wizerunek indiańskiego Wielkiego Ptaka (oranżowy dziób i takież, oranżowe oko) strażnika reliktów czasów minionych – podkreśla wagę owego spotkania. Nieco inaczej potraktowany został rytualny krąg w dwóch, podobnych tematycznie, ale odmiennych stylistycznie, szkicowych, rysowanych finezyjną kreską pracach, zatytułowanych: „Źródło" i „Mgławica".

W kompozycji nazwanej „Źródło" mocno rozbielone światło organizuje całość, prześwietla ulotne, zwiewne sylwetki zgromadzonych istot, istot przybyłych lub może „przywianych" z odległych kosmicznych, archetypicznych przestrzeni. Niektóre z owych istot, naznaczone zaledwie białym, delikatnym konturem – sugerują przynależność do sfery myśli i odczuć, mglistych wspomnień, doznań wielce niepewnych, ledwie zasugerowanych. Otwartość kompozycji każe domyślać się, że tytułowe Źródło nadal bije i wabi, nadal przyciąga i woła. Spełniają się słowa Tadeusza Sobkowiaka, owo zaproszenie, przypominające magiczne wezwanie, znane z literatury pięknej, wezwanie przywodzące na myśl skojarzenia ze słowami wypowiedzianymi przez Rachel w końcówce aktu realistycznego „Wesela". Słowa malarza, skierowane do duchów i zjaw brzmią równie sugestywnie: „Zapraszam Was, ptaki w drzew koronie, lasy skrzatów pełne, chmury srebrzyste pod luną i słońcem, rozległe oceany, gdzie ryby na muszlach wysiadują czas. Zapraszam duchy zbóż, południce, opiekunki ognisk i dzikich zwierząt. Zapraszam, bo baśń ta o Was się toczy!"

Inaczej jawi się zapis czasu w przypadku „Mgławicy". Tutaj kompozycja utrzymana w ciemnym błękicie i czerni, z niewielkim dodatkiem żółci okazuje się bardziej statyczna

9 Za: Bartłomiej K. Krzych, Epifania twarzy u Emmanuela Levinasa. Lektura całości i nieskończoności, Lublin 2017, s. 131

10 Tamże, s 131

i dosłowna zarazem. Sylwetki istot siedzących i stojących, sylwetki z białym lub złotym obrysem trwają w bezruchu oraz, co okazuje się interesujące – sylwetki te rzucają (bardzo umowne) cienie. Są to zaledwie cienie konturów, tak jakby istoty, pozbawione zupełnie cielesności pochodziły z innego wymiaru. Delikatne i płynne zarysowania powierzchni obrazu sugerują związek z malarstwem naskalnym, podobnie jak utrwalone, celowo schematyczne, rozpoznawalne elementy lunarne i solarne.

Bywa, że Źródłem, wokół którego gromadzi się krąg okazują się nie tyle kosmiczne przestrzenie, co stół w podniebnym kasynie. Takie wyobrażenie niesie w sobie zarówno pierwiastek surrealizmu jak i przekornego humoru. Oto „Kosmiczna ruletka", kompozycja w czerni i bieli, z niewielką dozą złota. Ruletka to w istocie nie tyle gra i przejaw zamiłowania do hazardu, ile rodzaj zabawy, a jak pisał w drugiej połowie XX wieku historyk i antropolog, kulturoznawca, Johan Huizinga: „Podczas, gdy można zaprzeczyć pięknu, prawdzie, dobru, a nawet Bogu, nie sposób zanegować znaczenia zabawy".[11] W historii literatury „ruletka" to nie tylko gra i zabawa, to gra ekstremalna, a termin „rosyjska ruletka" zapisał się nieprzypadkowo w rodzimej kulturze i sztuce jako rodzaj ostatecznego wyzwania, rzuconego Losowi. W kompozycji Tadeusza Sobkowiaka w „kosmiczną ruletkę" grają istoty przynależne różnym kręgom kulturowym i czasom, istoty humanoidalne, o dziwacznie, karykaturalnie zdeformowanych twarzach, istoty zasępione i mroczne, poważne, rozumiejące znaczenie owej gry, podejmowanej przeciwko lub może tylko na przekór - Losowi.

Jak bowiem pisał, przywoływany tutaj wcześniej H. G. Gadamer: „Gra jest czynnością komunikowania i właściwie nie ma dystansu między tym, kto gra i tym, kto się grze przygląda. Widz jest najwyraźniej czymś więcej niż tylko obserwatorem, który patrzy jedynie na to, co się przed jego oczami dzieje, jest kimś, kto w grze „uczestniczy", jest jej częścią."[12]

W „kosmiczna ruletkę" gramy zatem wszyscy, zmagając się ze sobą, rywalizując, prowadząc wojny i wiodąc potyczki, niszcząc Naturę, odbierając prawo do życia zwierzętom.

Osobny motyw twórczości Tadeusza Sobkowiaka (nie tyle malarstwa i rysunku, co instalacji i działań przestrzennych) to klasycznie pojmowany, pokazywany w różnych konfiguracjach, kontekstach - labirynt. Labirynt pojawia się „Na całym świecie, w czasie i przestrzeni, wśród społeczności pierwotnych, w kulturach przeszłości i teraźniejszości."[13] Kojarzył się z rytuałem przejścia i odrodzenia i jak stwierdza współczesna badaczka socjologii i historii sztuki, Barbara Lewicka „Rywalizacja z labiryntem jest grą nierówną, aczkolwiek nie skazaną na niepowodzenie, raczej wymuszającą mozolne zmagania, walkę z nieprzychylną strukturą, ale przede wszystkim z samym sobą."[14]

Bywa, że w sercu labiryntu (tak dzieje się na wystawie w Muzeum Pierwszych Piastów w Lednicy) nie zapisuje śladu swej obecności mitologiczny Minotaur, a symbol nieokiełznanej i niepoznawalnej do końca Natury – wiekowe, monumentalne, rozłożyste drzewo. Ku niemu prowadzi dróg wiele, trudnych do pokonania i zapewne niebezpiecznych, pokrętnych. Tutaj w utrwalonej na czarnej tkaninie instalacji - korzenie drzewa, zapewne obiektu pradawnego kultu – rozrastają się w majestatycznej ciszy, pilnie strzeżonej przez dwa, malowane na czarnej materii, uroczyste, majestatyczne Ptaszyska.

Motyw istot uskrzydlonych, skrzydlatych kojarzyć się także może nie tylko z owymi Ptaszyskami, ale i z tematem polatujących żurawi, z wątkiem obecnym w licznych rysunkach i kompozycjach malarskich. Wizerunki tańczących (w słońcu lub w mroku) żurawi, unoszących się w przestworzach, albo potraktowanych syntetycznie, zaledwie na prawach abstrakcyjnego wyobrażenia skrzydeł lub odizolowanych, pojedynczych piór – to także jeden ze szczególnie preferowanych przez artystę tematów. Temat ten stanowi dominujący wątek dwóch malarskich kompozycji, zatytułowanych: „Awers – w świetle mrocznego poranka" oraz „Rewers – popołudnie". Obie prace (podobnie jak tytułowy awers i rewers) uzupełniają się, dopełniają się wzajem, na obu wizerunki żurawi, potraktowane szkicowo, umownie – epatują przestylizowanymi, lekkimi formami. To właśnie dzięki owej stylizacji, oszczędnemu doborowi środków ekspresji – stado tańczących żurawi odbiera się jako rodzaj graficznego ornamentu, fryzu, kojarzącego się z prostym sposobem zapisywana sylwetek wojowników w malarstwie naskalnym. Warto tutaj przypomnieć, że licznych mitologiach i wierzeniach taniec żurawi symbolizował początek roku. Starożytni Grecy przedstawiali żurawia jako atrybut Apollina (boga wiosny) lub Demeter (bogini urodzaju). W kulturach Dalekiego Wschodu żuraw, symbolizujący długowieczność i nieśmiertelność – odprowadzał (jak mitologiczny Charon) dusze do krainy umarłych.

W świetle mrocznego poranka spotykają się zatem ptaki o ciemnych, niemal czarnych sylwetkach, wydłużonych, potraktowanych graficznie, ptaki znieruchomiałe w smudze złotego światła, jakby same zauroczone harmonią nadwodnego lub łąkowego, zawsze jednak naznaczonego piętnem poetyckiej, „romantycznej" tajemniczości – pejzażu. To pejzaż wyobrażony, zapisany w sferze emocji, osobistych doznań i przeżyć, celowo przeestetyzowany, umowny i właśnie ową umowność sugeruje metafizyczna, „duchowa" obecność „żurawi nieobecnych", tych które zdążyły już odejść. Pozostał po nich ślad: biały, wyrazisty obrys, kontur tak zwiewny jak sama istota lotu. W popołudniowej ciszy, w mocno rozświetlonej przestrzeni – spotykają się białe żurawie. To tytułowy „Rewers" niby podobnej kompozycji, jednak o nieco odmiennym przesłaniu. W mitologiach dalekiego Wschodu białe żurawie, uznawane za istoty przynależne sferze sacrum – otaczało się szczególnym kultem, a (jak głosi legenda) obserwowana przez buddyjskich mnichów walka żurawia z wężem stała się inspiracją dla powstania kanonu symbolicznych gestów i ruchów charakterystycznych dla Kung-Fu.

Poświęcając czas na studiowanie wybranych prac Tadeusza Sobkowiaka, angażując się emocjonalnie, psychicznie, ulegając urodzie wizji zapisanych na papierach i płótnach – zaczynam wierzyć malarzowi, że terminem, którym można by zbiór ten zdefiniować w sposób prosty i jednoznaczny okazuje się „Pando". „Pando - żywy organizm pochodzący z jednego źródła. Wychodzi na to, że również jestem źródłem prac, które mają wspólne cechy genetyczne. (cokolwiek to znaczy)." – stwierdza z właściwą sobie ironią i dystansem artysta. Pando – żywy organizm, powstały przed tysiącami lat na konającej, niszczonej przez człowieka planecie. Organizm równie bezinteresowny, „natchniony" jak sztuka, obecny jeszcze niby memento, przesłanie, niby „list otwarty" do Ziemian. Wagę owego listu, owego przesłania doceniają poeci, artyści. Dzieła ich zapisują się w naszej pamięci, w naszej podświadomości jako mocne, donośne głosy wołające w obronie Natury, planety i wszystkiego co obdarzone uniwersalnym atrybutem piękna i życia – trwa jeszcze.

Wierzę lub może inaczej „wiem", że jest to wspólne przesłanie poetki Agaty Widzowskiej i Tadeusza Sobkowiaka, twórców projektu „Pando". Wierzę, bowiem wszystko, cokolwiek czynimy z emocją, w natchnieniu, w uniesieniu – otwiera przed nami wrota Kosmicznych, utajonych przestrzeni, ku którym powinniśmy zmierzać. Oto wiersz Agaty Widzowskiej „Drzewa", tekst doskonały literacko, przejmujący i ważny, prowadzący traktem coraz węższym, niebezpiecznym i stromym, ową drogą, po Nowidowemu wytyczoną. Drogą której jeszcze macamy, mimo że „przed wiekami zrobiona", drogą ponad krawędzią otchłani, u Źródła, gdzie spotykają się „Panny żałobne (...) podnosząc ramiona ze snopami wonnemi, które wiatr w górze rozrywa", a także Panny „w konchy zbierając łzę, co się z twarzy odrywa", przy głośnym wtórze toporów „pobłękitniałych od nieba".

Oto tekst pióra Agaty Widzowskiej, tekst nie wymagający (jak poezja Norwida) „szkolnego" komentarza:

Drzewa

W świecie gdzie wszyscy kłamią
drzewa wyginają się w stronę prawdy
im bardziej krzywe tym bardziej
wiarygodne i szczere
każda ich cząstka ujawnia
bliznowatość dziejów
podległość naturalnym żywiołom
i żywotom ludzkim
drzewa nie chowają słabości za suknią z liści
nie pudrują noska pszczelim pyłkiem
pochylenia świadczą o odebranych
ciosach a w dziuplach
aż roi się od dobrych wspomnień
bo złe od razu próchnieją
tylko czasami porywa je ptak lecący za morze
w dziedzictwie korzeni nie ma
miejsca na chciwość
miłe drzewa nie wywołują wojen
uważają że miejsca starczy dla
wszystkich a wodą można się dzielić
patrzą z góry bez wywyższania i rozumieją
człowiek udaje silnego choć
słoje w nim splątane
myśli nie owocują

gdybym była człowiekiem
zaufałabym drzewom
gdybym była drzewem nie
wierzyłabym ludziom
nawet ich chleb jest koniem trojańskim.[15]

Małgorzata Dorna Wendrychowska

11 J. Huizinga, Homo ludens, Zabawa jako źródło kultury , Warszawa 1967, s. 14

12 Gadamer, Aktualność piękna, https://www.academia.edu/29156242/Gadamer_H_Aktualnosc_Piekna_pdf (dostęp: 29 IX 2024)

13 Krzysztof Kowalski i Zygmunt Krzak za: Barbara Lewicka, Labirynt od starożytności do ponowoczesności – figura uniwersalna", https://rebus.us.edu.pl/bitstream/20.500.12128/8864/1/Lewicka_od_starozytnosci_do_ponowoczesnosci.pdf (Dostęp: 26 września, 2024)

14 Barbara Lewicka, op. cit., s. 40

15 Tekst, otwierający cały projekt „Pando" pochodzi z tomu wierszy Agaty Widzowskiej, wydanego przez Bibliotekę Rewirów, w 2003

Edyta Kulczak

zazdrość kosmosu o swe tajemnice i rady babci jak to przełamać

dni są bardzo długie a skala wydarzeń mała
na niewidzenie podobno jest taki trik
robi się ciasną przestrzeń z palca wskazującego
i kciuka patrzy jakby się pokazywało i aprobowało
wtedy dziewczyna wydaje się na przykład
ładna a szczyt w oddali wyraźny
przybliżanie oka na żywo rozmazuje
rzeczywistość zaczyna drgać
rozpływa się pewność w drganiu
tak skonstruowano materię i perspektywę
by nie zobaczyć za dużo

* * *

w geometrii poruszać się łatwo
nie musisz nic wynajdywać lecz odkrywać
warstwę po warstwie oczywistości które
ktoś wcześniej warstwę po warstwie ułożył
za punkt wyjścia obierasz okno
na drzwi nie jesteś gotowy – zbyt otwarte
deklaracje przerażają nas ludzi
okno i w dodatku poszatkowane żaluzjami
doskonale porcjuje rzeczywistość

* * *

przez żaluzje rozwijasz wstęgą wyobrażenie
o wielkości upadają na łeb czarodziejskie
dziecięce lizaki nadgryzione przez czas
urosły w całkiem okazałe domy dobrze
się ukorzeniły – właściwie ich dawną postać
dekonspiruje tylko kolor
by dociągnąć nocy jednym pociągnięciem
można zmniejszyć pole widzenia wtedy
rozpuścisz się w szarości potem w ciemności
dziury załata widok prawdziwych gwiazd

* * *

zbudowałeś klatki szklane labirynty
oplotłeś w kokony lin światy
niebo zasłoniły ciasne kształty domów
prawda o nich – czas i rdza
umiałeś nawet je nazwać
jak płatki śniegu jak motyle
doskonała proporcja fraktalna symetria
w nadawaniu nazw jesteś dobry
w przyklejaniu etykietek z wartości
w wyolbrzymianiu możliwości -
by potem przez szczerby (Bogu dzięki
za tę niedoskonałość) oglądać czasem prawdę

Portret Edyty Kulczak wykonał Zbyszek – Ikona Kresowaty

* * *

przejście od ruchomych glonów na dnie morza
albo na pustyni do cywilizacji nie jest długie
dopasujesz części do części
wypełnisz otwory materią lub ideą
potem wybudujesz gmachy
gdy dobrze wypolerujesz ściany
będą odbijały promienie słońca w nieskończoność
przy nich staniesz jak pionek
tak wyrosły starożytne piramidy
zostały do dziś

* * *

ulica – laboratorium zachowań w maskach
i świateł z dreszczowca
musisz zachować realną odległość
lub skryć się pod daszkiem sanktuarium
a ślady a inne oddechy
zmuszają cię do strojenia się w mgliste kolory
podobnych sobie pijesz to samo piwo
dzieci jedzą te same lody monitor
nie uwiera bez niego czujesz się nagi
jak kiedyś bez spodni jak kiedyś wcześniej bez kapelusza
świecisz gołymi łydkami białymi zębami
jesteś uczciwy wobec okoliczności
a ciągle słyszysz alert

* * *

upchnięty w klatce jak w urnie
za życia stoisz na baczność
potem też na baczność
budżet granice powietrze
przyciskają twój oddech
gdy wyskoczysz spali cię
fala uderzeniowa wyblakłych spojrzeń
od razu oznaczą czerwienią
twoje drzwi wyskrobią
znak który będzie brzydził wszystkich

jeśli masz siłę idąc na stos
zatańczysz tango

W numerze prezentujemy prace Tadeusza Sobkowiaka

gazeta literacka

Migotania

www.migotania.pl

ISSN 2083-2494

numer 4 (85) 2024

Redakcja:
Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**
Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska (Warszawa)**,
Zbigniew Kresowaty (Lądek Zdrój)
Roman Warszewski (Gdynia),
Małgorzata Dorna (Wendrychowska),
(Piła - Sopot)

Stale współpracują:
Anna Frajlich (Nowy Jork),
Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),
Leszek Szaruga (Warszawa),
Olga Śmiechowicz (Łódź),
Marek Wawrzkiewicz (Warszawa),
Krystyna Śmiechowicz (Łódź),
Aleksandra Naróg,
Urszula M. Benka,
Andrzej Walter,
Mateusz Wabik,
Jerzy Lengauer,
Marian Lech Bednarek
Andrzej Wołosewicz

Dział fotografiki: **Sybilka Storie**

Dział tekstów, redakcja i korekta:
Agata Foltyn

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:
Baltox Artur Rakowski

Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,
ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
tel. 601-840-302
joa@migotania.pl,
joalike@gmail.com

Fundacja ŚwiatłoLiteratury

Migotania.

Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e–mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:
joa@migotania.pl

WOJEWÓDZTWO POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej „Migotania":

Przekazując materiały do redakcji Pisma:

- autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
- autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
- autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
- autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
- autor zezwala redakcji na dokonywania skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań" zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety
Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
   Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
   "Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przesłanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

WYPRASOWANIE

Wspomnienie o Leszku Szarudze

Kazimierz Brakoniecki

Leszek Szaruga, z archiwum Migotań

15 X 2024 roku zmarł w Warszawie w sile twórczego wieku Leszek Szaruga. Wiosną skończył 78 lat. Od dawna zwycięsko pokonywał aktywnym życiem chorobę serca. Umarł nagle, na pomoc, która przyszła późnym rankiem, było już za późno.

Poznałem Leszka – który z latami stał się, mimo że rzadko się widywaliśmy, jeżeli nie przyjacielem, to dobrym, bliskim kolegą i mentorem – pod koniec lat 80. pamiętnego stulecia, ale właściwy początek znajomości przypadł na wiosnę 1991 roku w Berlinie (wtedy już zjednoczonym). Olsztyniacy, historyk Robert Traba i ja poeta, zostaliśmy zaproszeni przez tutejszy Instytut Polski na spotkanie jako liderzy olsztyńskiego stowarzyszenia Wspólnota Kulturowa „Borussia". Spotkanie poprowadził wzorowo i brawurowo właśnie Leszek Szaruga, krótka znajomość została odnowiona i wzmocniona, a tematem tej i wieczornej przyjacielskiej wizyty w mieszkanku poety i tłumacza stał się cały wachlarz polsko-niemieckich relacji, odkryć, zakłamań, kompleksów, resentymentów, zamierzeń w kontekście transformacji ustrojowej, kulturowej, społeczno-politycznej w Europie Środkowo-Wschodniej, a więc i na Warmii i Mazurach. Wiele spraw nas połączyło: literatura, polityka, historia, splot tematyczny typowy dla ziem niemiecko-polskich, małe ojczyzny i wielokulturowość… Lubiłem Leszka słuchać, czytać, cieszyć z jego obecności, patrzeć na jego charakterystyczny uśmiech, kie-

dy słuchał czyjejś wypowiedzi, zanim sam ruszył do dyskusji z papierosem w ręku…

Zaprosiłem Leszka do współpracy z naszym periodykiem „Borussia. Kultura, historia, literatura" (który nigdy nie stał się kwartalnikiem), którego ideową zawartość i formę (dostosowaną do naszych „obszarów" tematycznych) zapożyczyłem z „Res Publiki" i paryskiej „Kultury", w której pod pseudonimem Szaruga współpracował i publikował od 1979 roku. Od tej pory spotykaliśmy się dosyć często w Szczecinie (po doktoracie został wykładowcą na tym uniwersytecie) Warszawie (gdzie mieszkał i nauczał) i Olsztynie. Zawsze mogłem liczyć na uwagę i talent Leszka, na jego znakomite teksty. Uważam zresztą, że ten długi i płodny okres w jego oryginalnym, pracowitym, twórczym życiu, który zaczął się od przełomowego 1989 roku, a zakończył się śmiercią, zapisał się najlepszymi dokonaniami literackimi w jego bogatym dorobku. Poza wielokierunkową i wielogatunkową działalnością literacką, naukową, publicystyczną Leszek cieszył się życiem i potrafił korzystać z uroków życia.

Jego wiersze z okresu aktywnej opozycji (przed i po stanie wojennym) uznać teraz można spokojnie za przejaw folkloru literackiego i towarzyskiego z okresu „podziemnych lat 80.". Kiedy, po zwycięstwie demokracji, zakończyły się zobowiązania etyczne i ideowe, Szaruga ruszył na podbój wolnej poezji jako wolny poeta, śmiały historyk literatury, oryginalny krytyk literacki. Przykładowo ostatnie jego tomy poezji mianowano do ważnych literackich nagród, np. do Nike czy Orfeusza. Jeżeli chodzi o prozę, w dużym stopniu autobiograficzną, jak np. „Dane elementarne" czy Podróż mego życia", przyniosła świetne społeczno-polityczne wiwisekcje i generacyjne portrety ludzi ze skomplikowanych czasów PRL.

Powołanie literackie u Leszka Szarugi pojawiło się wraz z silnym zainteresowaniem sprawami politycznymi. Fascynacja polityką i literaturą okazała się głęboka i długotrwała, co autentycznie wpłynęło na jego twórczość: na tę bojową i okazjonalną (publicystyka czy felietonistyka), lecz i ściśle literacką. Polemiczny temperament Leszka (w dużym i w małym utworze publicystycznym) zawsze był rozpoznawalny, jak i jego poetycka niecierpliwość, poszerzanie horyzontów formalnych, nienasycenie nowymi sposobami wypowiedzi…

Leszek Szaruga do końca zachował poglądy postępowe (wolnościowo socjaldemokratyczne), zdecydowanie walczył z PiS-em (odmianą PZPR), endeckim szowinizmem, narodowym katolicyzmem, interesował się tematyką niemiecką i coraz częściej wschodniosłowiańską; dużo pisał, tłumaczył, redagował do ostatnich dni, pozostając człowiekiem otwartym, chłonnym, nie bojącym się życia i jego wyzwań, pięknie inteligentnym, rozkosznie dowcipnym. Leszek był świetnym obserwatorem, czujnym komentatorem, miał absolutny słuch polityczny i wyrazisty smak literacki. Strasznie go lubiłem czytać i słuchać. To jeden z naszych pozytywnych i niezłomnych bohaterów polskiej odpowiedzialnej za słowo i czyny literackiej kultury obywatelskiej. Żegnaj Przyjacielu!

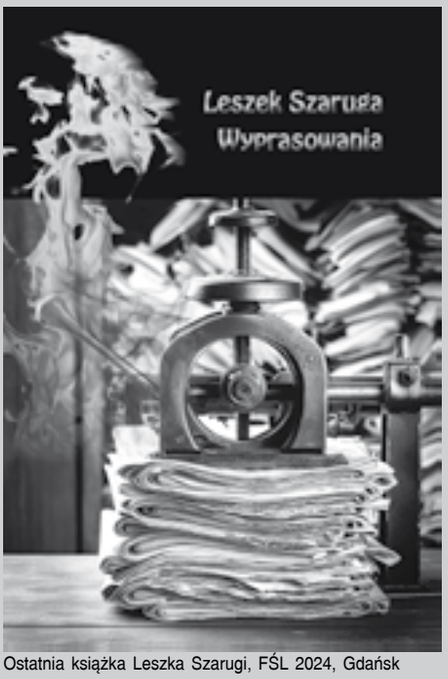

Ostatnia książka Leszka Szarugi, FŚL 2024, Gdańsk

Leszek Szaruga (Witold Wirpsza, 1946-2024) – poeta, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz (z niemieckiego, rosyjskiego, ukraińskiego), redaktor (w PRL opozycyjny „Puls", po zmianie władzy „Nowaja Polsza", „Przegląd Polityczny", „Kwartalnik Artystyczny Kujawy i Pomorze")), publicysta, felietonista, animator życia literackiego.

Kazimierz Brakoniecki

Antoni Pawlak

Pozawiązywać za sobą wszystkie kokardki

Telefon jest zwiastunem śmierci. A w każdym razie bywa. Tego dnia zadzwonił niepokojąco ostro. Kiedy odebrałem w słuchawce usłyszałem ponury głos Iwony.

– Antku, Leszek umarł…

Zatkało mnie. Dlaczego Leszek? – pomyślałem. Jakby odpowiedź na to pytanie mogła cokolwiek zmienić.

Leszek Szaruga nie żyje. Człowiek co najmniej niebanalny. Utalentowany, wszechstronny i pracowity. Był interesującym poetą, prozaikiem, eseistą, felietonistą, historykiem literatury, krytykiem literackim i wykładowcą uniwersyteckim. A także tłumaczem poezji z niemieckiego, rosyjskiego i ukraińskiego.

Literaturą nasiąkał od dziecka. Dosłownie. Był synem bardzo twórczych rodziców. Jego matka, Maria Kurecka była tłumaczką literatury angielskiej, francuskiej i niemieckiej. Natomiast jego ojciec, Witold Wirpsza był poetą, prozaikiem, eseistą, krytykiem i też tłumaczem literatury niemieckiej.

Wirpszowie prowadzili dom otwarty. Przez ich warszawskie mieszkanie przewijała się praktycznie cała czołówka polskiej literatury. Wśród tego tłumu kręcił się mały Leszek, czyli wtedy jeszcze Olek.

Szaruga studiował filozofię na Uniwersytecie Warszawskim, ale studiów nie ukończył, bo po wydarzeniach marcowych 1968 roku władze rozwiązały Wydział Filozofii. A sam Leszek na parę miesięcy powędrował do więzienia. Po wyjściu zaczął studiować filologię polską.

To właśnie wtedy, po wyjściu z więzienia, Aleksander Wirpsza stał się Leszkiem Szarugą. Dlaczego akurat Szaruga? Wedle Wielkiego Słownika Języka Polskiego szaruga to „nieprzyjemna, deszczowa i wietrzna pogoda, kiedy jest szaro na dworze". A on nie był ani nieprzyjemny, ani szary. Wręcz odwrotnie.

W roku 1970 jego rodzice wyjechali na stypendium do Austrii i zdecydowali się na azyl w Berlinie Zachodnim. Leszek został w Warszawie sam.

Od połowy lat siedemdziesiątych współpracował z nienależnymi i emigracyjnymi pismami literackimi.

Pod koniec lat siedemdziesiątych w łódzkim mieszkaniu Bierezinów zorganizowaliśmy kolegium redakcyjne „Pulsu". Planowaliśmy kolejny numer pisma.

– Słuchajcie, a może by jakiś esej o Mrożku? – zaproponował Leszek.

– To napisz – trochę na odczep rzucił Jacek Bierezin.

Następnego dnia Leszek przyniósł esej. Na jakieś osiem stron maszynopisu. Siedział całą noc i napisał.

W latach osiemdziesiątych mieszkał w Berlinie Zachodnim. Wynajął mieszkanie w dzielnicy Neukölln na Silbersteinstraße. Maleńkie, wilgotne i ciemne, na parterze oficyny. Z ubikacją na półpiętrze, bez ciepłej wody, z nieogrzewaną kuchnią. Na pozór bieda z nędzą. Ale jemu to nie przeszkadzało. Żył tam wśród książek i notatek. Czytał, przyjmował gości – zarówno miejscowych, jak i tych z kraju – chodził na kurs niemieckiego. Ale przede wszystkim pisał. To chyba jedyny z moich znajomych, który na emigracji żył z pisania.

Często bywałem tam u niego. Po kilka dni. Albo, kiedy akurat był w Warszawie u Joanny, pożyczał mi klucz i mieszkałem tam sam.

Koniec stanu wojennego, koniec
represyjnego systemu i powrót do kraju był
kolejną wielką zmianą w życiu Leszka.
Dziś, gdy już jest po wszystkim,
Zaczynamy normalne życie.
Zabitych policzą historycy.
W przybliżeniu fakty będą się zgadzać
Z rzeczywistością.

(„Po wszystkim")

Po powrocie do Polski w 2003 był wykładowcą Uniwersytetu Szczecińskiego, Częstochowskiej WSP, Uniwersytetu Warszawskiego. Studenci go uwielbiali, bo mało kto tak zajmująco mówił o literaturze, o poezji.

Wydał niesłychaną liczbę książek. Dostał kilka ważnych nagród literackich, między innymi prestiżową Nagrodę Kościelskich (1986) i nagrodę literacką paryskiej „Kultury" (1999).

Ale oprócz tego Leszek był mądrym, ciepłym człowiekiem. I oddanym przyjacielem. Także moim.

Od mniej więcej drugiej połowy lat siedemdziesiątych spotykaliśmy się w miarę regularnie. Praktycznie co tydzień. To znaczy ja wpadałem na ulicę Batumi do Szarugów, do Joanny i Leszka. Utarł się zwyczaj, że te spotkania odbywały się w poniedziałki. Dlaczego w poniedziałki? Nie pamiętam, ale musiał być jakiś powód. Gadaliśmy, przekomarzaliśmy się i – oczywiście – piliśmy wódkę.

Częstymi współuczestnikami naszych nasiadówek była Iwona Smolka (krytyk literacki), Joasia Szwedowska (redaktor od kultury II Programu Polskiego Radia) i Ryś Przybylski (wybitny eseista, tłumacz, historyk literatury polskiej i rosyjskiej, profesor IBL).

Na tych spotkaniach Leszek nie był poważnym twórcą. Był rozluźniony, pełen werwy i humoru.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych wyjechałem do Gdańska i siłą rzeczy nasze kontakty się rozluźniły.

Podczas jednego z takich spotkań piliśmy wódeczkę w myśl wskazań Janusza Głowackiego – po każdym litrze robić piętnaście minut przerwy dla zdrowia.

– Wiesz Szarug, to niesamowite – powiedziałem ostrożnie odstawiając kieliszek – że papież przybrał imię John Paul II. To w hołdzie dla Beatlesów, dla Lennona i McCartneya…

– Ochujałeś Pawlak? – obruszył się Leszek. – On przyjął imię Jean Paul II na część Sartre'a. To co, wypijemy?

Wypiliśmy. Ale Leszek nie mógł ot tak porzucić tematu. Spojrzał na żonę.

– Joaśka, słyszałaś co Pawlak powiedział? Co on bredził?

Joasia spojrzała na nas z politowaniem.

– Chłopcy – powiedziała – chyba już starczy tej wódki na dziś?

Miał dystans do siebie. Nie obrażał się. Kiedyś podczas jego wieczoru autorskiego nagle wstał młody, dość gniewny poeta z Gdańska.

– Dość już tej szarugi w poezji polskiej! – krzyknął i usiadł.

Leszka to niebywale ubawiło.

W latach osiemdziesiątych byłem na jakimś niewielkim przyjtku u Maćka Zembatego.

– Antku – powiedział gospodarz biorąc do rąk gitarę – napisałem muzykę do twojego wiersza. Posłuchaj.

Gdy tak siedzimy nad bimbrem,
Ojczyzna nam umiera,
siedzą w celach koledzy,
Wolno się kręci powielacz.

Drukujemy ulotki,
O tym że jeszcze żyjemy.
Grozi nam za to wyrok,
Dziesięciu lat więzienia!

Kiedy skończył zaprotestowałem.

– Maćku, ale to nie jest mój wiersz. To wiersz Leszka Szarugi…

Maciek tylko wzruszył ramionami.

W 2014 roku zostaliśmy wraz z Leszkiem uznani za zmarłych. Przynajmniej w jakimś sensie. Bowiem zgodnie z art. 36 „Ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych" wyłączne autora prawa do utworów literackich wygasają „z upływem lat siedemdziesięciu od śmierci twórcy". A tu w 2014 roku krakowski IPN wydał antologię „Poezja stanu wojennego" w opracowaniu pani Anny Skoczek. W antologii było dziesięć moich wierszy i siedem Szarugi.

W przedmowie do książki autorka pisała, że poeci prezentowani w antologii „z radością odnosili się do projektu, wszyscy też deklarowali wykorzystanie utworu *pro publico bono*, zapewniając, że nadal stanowicie Państwo wspólnotę, która zrozumie ideę wydania tych wierszy".

Być może poeci przyjęli ten projekt z radością. Ale chyba nie wszyscy, bo ani IPN, ani pani Skoczek nie skontaktowali się w sprawie wykorzystania wierszy ani ze mną, ani z Leszkiem.

Zaprotestowaliśmy wobec tej kradzieży praw autorskich. Ale zarówno pani Skoczek jak i krakowski IPN nas olali.

Lubił prowokować. Każda udana prowokacja sprawiała mu satysfakcję. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych w kilku pismach drugiego obiegu zaczęły ukazywać się interesujące analizy polityczne podpisane Jadwiga Kwiatkowska. Jej teksty w redakcjach pojawiały się nagle i jakby znikąd. Redaktorzy niezależnych periodyków, rwąc sobie włosy z głowy, pytali zdołowani; "Kto to jest, do cholery, Jadwiga Kwiatkowska?". Nikt nigdy nie wpadł na to, że autorem tych tekstów był Leszek. A on cieszył się z tego jak dziecko.

Pod koniec lat osiemdziesiątych Leszek obronił pracę doktorską „Walka o godność. Poezja polska w latach 1939–1988. Zarys głównych problemów". Wydał ją potem jako książkę w Berlinie Zachodnim. Dlaczego w Berlinie? Przecież właśnie dla nas to bardzo ważna książka.

W niedawnej rozmowie z Justyną Dąbrowską dla „Tygodnika Powszechnego" Leszek mówił o śmierci: „Wiem, że każdemu gdzieś ten temat w tyle głowy siedzi. Pytanie, co z tym robić? Ja akurat się nie boję. Jakby to miało być teraz, to może ciut za wcześnie, bo jeszcze mam parę rzeczy do zrobienia. Ale chciałbym odwlec nie dlatego, że się boję, tylko żeby pozamykać to, co zacząłem. Moja mama mówiła, że trzeba pozawiązywać za sobą wszystkie kokardki. Bardzo mi się to podobało".

Będzie nam Leszka brakowało. Jego humoru, jego ciepła, mądrości. I poezji.

zaczyna się na dobre
a kończy na złe
albo
na odwrót
jak kto chce.

(„Zaczyna się")

Antoni Pawlak

FELIETON

Małgorzata Dorna - Wendrychowska

Starość w salonie sztuki - zapiski na kawiarnianej serwetce, cz. I

Codziennie umieramy wobec siebie (parafraza myśli T. S. Eliota)

Nosimy w sobie (zarówno w głowach jak i w sercach) jakieś, być może mocno „podrasowane" wyobrażenie samych siebie. O poranku stajemy przed lustrem i widzimy tyle, ile widzieć sobie życzymy. Znajduje się bowiem to tylko, co pragnie się znaleźć.

Nie szukam w zwierciadlanym odbiciu śladów tamtej dziewczyny sprzed kilku dziesiątków lat, prowokacyjnie przebranej w stylu hippie, zakochanej w filmie Formana „Hair", nie poszukuję też wizerunku kobiety dojrzałej, spokojnej, prawdziwej sopockiej „Lady" o słabości do malowniczo powyginanych kapeluszy. Oswajam starość powoli, z delikatnym zażenowaniem, i mimo wszystko – życzliwie. Jak mawiał znawca natury ludzkiej, T. S. Eliot „Łyżeczkami kawy odmierzyłem życie." Pozwolę sobie doprecyzować tę myśl: Łyżeczkami kawy odmierzam życie, bo ono nadal, czy pragnę tego, czy nie - trwa i (jak wynika z rytmu, publikowanych na FB rozważań) całkiem nieźle sobie radzi z tym trwaniem.

W potocznym rozumieniu – starość to czas refleksji, przemyśleń, powrotów. Powrotów do miejsc nieobecnych i do ludzi, których już nie ma. Oto sopocka ulica malarzy, po prawej, tuż przed wejściem na drewniany mostek, przerzucony ponad wilgotnym, ocienionym wąwozem, między koronami zrudziałych, wiekowych kasztanów – biblioteka. Na parterze wypożyczalnia dla dorosłych, na piętrze – czytelnia naukowa, do której zaglądam rzadziej. Jeszcze w czasie studiów filologicznych pojęłam, że wszelkie „teoretyczno – historyczne" mądrości to literatura „second hand". Wolę czerpać garściami „ze źródła", bez pośredników, wchodzić w wyimaginowane światy do końca, do ostatka, do kresu, a może dalej, niż kres. „Tylko ci, którzy ryzykują pójście za daleko dowiedzą się jak daleko można dojść." – zdanie to, przypisywane Eliotowi pobrzmiewa mi nadal przekornie. Zawsze fascynowało mnie życie na ekstremach, zawsze pracowałam na wizerunek krytyka - skandalisty. Powszechny dzisiaj termin „krytyczki" pozostaje w rażącej sprzeczności z moim prywatnym poczuciem estetyki!

Tak, więc schyłek minionego stulecia. Spokojnie przechodzę przez mostek, przez poszarzałe deski, niektóre już wyszczerbione, śliskie po deszczu, ruchome.

Przejmujący, wczesnojesienny chłodek i mgiełka. Za mostkiem rozległa kałuża, dalej wille sopockich artystów, po prawej dawna siedziba gdańskiej uczelni plastycznej, pawilon rzeźby i (odbudowana po niedawnym pożarze) część mieszkalna. Wchodzę na piętro, do pracowni Józefy Wnukowej, drobnej, energicznej kobiety, o oczach rozbawionej, rozdokazywanej dziewczyny.

Jedna ściana zabudowana piętrowo, stelażem na którym ustawiono rzędy namalowanych obrazów, drzwi balkonowe uchylone lekko na zarośnięty ogród, ku któremu zlatują się ptaki. Zimą mewy i kruki, i wrony – nieświadome swej roli, bohaterki i bohaterowie obrazów z cyklu „Ptaki stanu wojennego". Malarka wygłasza tyrady, opowiada o swej miłości do prozy Conrada i natychmiast dodaje, żeby o tym nie pisać, nikt bowiem nie ma prawa by dowartościowywać swe prace nazwiskiem wielkiego pisarza.

Opowiada zatem nerwowo, tak jakby obawiała się mego zniecierpliwienia, o rejsie „szlakiem conradowskim", o metodycznie prowadzonym dzienniku, ze szkicami do nowych obrazów, o czasie zatrzymanym w upale, o ludzkich dramatach rozgrywających się w ciszy, pod niebem „mórz południowych". Po owym pierwszym spotkaniu, trwającym ponad osiem godzin, z przerwą na wspólny posiłek (czarny chleb z miodem i mocna, gorzka herbata podana w kuchni) zapisują się w moich myślach obrazy. Przed oczami przesuwają mi się dalekie, majestatyczne profile fiordów, surowych skał, malowanych na plenerach w Norwegii i jakże odległe, egzotyczne pejzaże Południa. Dwie kompozycje malarskie zapadają w pamięć na zawsze. Oto utrzymane w fioletach, szarościach i stonowanych błękitach „Opłakiwanie przyjaciela". Wielka mewa, tuląca na pustej plaży drugą, znieruchomiałą nagle na (jeszcze złotawym, z refleksami bladego słońca) piasku. Pamiętam też cykl „conradowskich" pejzaży. Eksperymenty z kolorem i formą. Jako przedwojenna sprinterka - Wnukowa postawiła sobie poprzeczkę wysoko! Pragnęła namalować upał, nasycone, tropikalne, gęste i parne powietrze, opowiadała jak na podłożu z tempery mozolnie nakłada się kolejne warstwy laserunków, jak trzeba całymi godzinami zmagać się (niekiedy daremnie) z tworzywem, z zapadającym szybko chłodnym, jesiennym zmierzchem. Zdradzała tajniki warsztatu, wiedząc że i tak nie nauczy mnie dobrze malować. Nauczyła mnie jednak wiele! Pokazała jak oswajać samotność, jak podtrzymywać w sercu owe iskierki nadziei, bez których nie sposób żyć. Przekonała, że:

Codziennie umieramy wobec siebie i odradzamy się o brzasku na nowo.

Starość w salonie sztuki

Jako osoba „leciwa" (nie mylić z lataniem, podlatywaniem, polatywaniem w podskokach) leciwa czyli nieco już „posunięta w latach", nadal jeszcze sopocka Lady, w wiosennym kapeluszu i „pretensjach" skrojonych na miarę – pozwalam sobie na kokieteryjną krytykę starości. Krytykę niby zgodną z metryką, ale kto by tam się drobiazgami zajmował!

Krytykę literacką, zapisaną już nie tylko przy użyciu eleganckich eufemizmów, krytykę co to krytykować lubi i potrafi. Co prawda dobrze wychowana starsza pani nie mówi jakby waliła pałą między oczy, nie pisze brutalnie, bez znieczulenia. Z wiekiem człowiek nabiera ogłady!? W niebieskim zeszycie lub na kratkowanym papierze bloku listowego, co to „z makulatury", długopisem marki „Zenit" udającym bezczelnie „Parkera" – wypisywałam w minionej epoce tylko okruchy, przebłyski (młodzieńczo irracjonalnych, prowokacyjnych, niecierpliwych) myśli. Myśli obrazoburczych, nieprzemyślanych, a jakże! Dzisiaj daję sobie prawo do ozdobnych monologów. Na więcej pozwolić sobie jeszcze nie wypada. Po osiemdziesiątce wolno już wszystko. Siedemdziesiątka trzyma mnie jeszcze w ryzach uprzejmości.

Młodość cieszy się niecierpliwością, rozdokazywaniem, pośpiechem. Starość „powinna być" refleksyjna i z konieczności – powolna. Bywa także, że owo „powolna" nie oznacza tempa, a poddanie się woli oczekiwań innych, pułapce dobrego tonu, konwencji uległości, milczenia. Doświadczało się wolności nad miarę, popełniało z wdziękiem gafy i błędy, a teraz nadchodzi czas tego wszystkiego, co po. Czas bycia „po – wolnym" lub może raczej (teoretycznie) „passe". Nie cieszcie się jednak przedwcześnie! Krytyka wraca „na salony", nawet jeżeli „salonem" okazuje się nieco zagracony pokój w mrocznej, poniemieckiej kamienicy jakich aż nadto w tym mieście. Salon to miejsce umowne. Ten, stworzony z wyobraźni i potrzeby spotkań z duchami wygląda trochę jak gabinet osobliwości, trochę jak antykwariat lub jak pachnąca kurzem, zastawiona fragmentami starych dekoracji, zasypana papierzyskami i rekwizytami – scena.

Że co? Że jak to mawiają „po ptakach". Ale ptak, paradoksalnie – ciągle jeszcze symbol nieskrępowanej swobody, prowokacyjnej, szalonej wolności. I jak tu ptaków nie kochać? „Kochajcie do jasnej cholery!"

Mistrzowie felietonu i literackiej mistyfikacji (Rozmowa Słojewskiego z Hamiltonem)

W latach siedemdziesiątych minionego stulecia lekturę „Polityki" zaczynało się od strony ostatniej, od cyklu „Perswazje", podpisywanego enigmatycznie nazwiskiem (chyba nazwiskiem!) „Hamilton". Tajemnicą poliszynela był fakt, że pseudonim ten należał do znanego dziennikarza Jana Zbigniewa Słojewskiego, który niekiedy komentował postawę Hamiltona. Tak, więc dziennikarz i eseista przydawał (swym niby obiektywnym) komentarzem wiarygodności, stworzonemu przez siebie bohaterowi. „Ma bzika na punkcie maksymalnej kondensacji i krótkości, toteż wiele jego felietonów to są właściwie zbiory aforyzmów." – pisał Słojewski (udając krytyka, teoretyka literatury) w tomiku „Maleńka złota szubienica" – „Hamilton lubi wyrażenia skłócone ze sobą, z różnych parafii, z których robi jedną formułę (...) I on sam jest też trochę, taki jak jego paradoksalne formuły. Racjonalista, ale ze świadomością, że wszystkiego zrozumieć nie można, z szacunkiem dla spraw niedocieczonych, dla Tajemnicy. Wolnomyśliciel i ateista tak zafascynowany teologią, że daj Boże ludziom wierzącym."

Oto fragment zapamiętanego tekstu, który gdy miałam chyba z piętnaście lat zrobił na mnie (dzisiaj powiedziałoby się

„niesamowite" lub „mega") wrażenie, ujawniając tajniki felietonu: Humanista jedzie tramwajem, przemierza centrum Warszawy. Jest nieco zaspany, wiadomo chłodny, wczesny poranek, czas niezbyt pogodny, mimo że lato. Widzi jak robotnicy ustawiają ogromny napis „Zbliża się dzień…"

Bolesne „przebudzenie" następuje natychmiast, podobnie jak skojarzenia z Dniem Apokalipsy i „Dies irae" Kasprowicza. Humanista traci chęć do życia, oczekuje najgorszego, zdziwiony, że w redakcji, w której pracuje wszystko toczy się w zwykłym tempie i raczej „normalnie". Wiadomo w obliczu Apokalipsy – drobne, ludzkie radości również tracą sens. Wracając z pracy jedzie znowu tramwajem. I oto napis jest już zmontowany: „Zbliża się Dzień Stoczniowca i Metalowca". Humanista oddycha z ulgą – „Jeszcze nie dzisiaj!"

Co zatem jest istotą felietonu? Lekkość pióra, rozpoznawalny styl, autoironia i dowcip oraz to „coś", co sprawia, że adresowany do szerokiego grona odbiorców – tekst się „nie starzeje".

I jeszcze jedna istotna cecha: pretekstem do napisania felietonu okazuje się zwykle banalne, oczywiste zdarzenie, które pokazane „oczami felietonisty" nagle staje się wyjątkowe, niezwykłe.

W całym cyklu felietonów z lat siedemdziesiątych Hamilton przyjmuje maskę „starego tetryka", takiego co to gderliwy, zrzędliwy i jednocześnie groteskowy, maskę zabawnego, budzącego politowanie „sklerotyka", co to pamięta bitwę pod Verdun, swoje osobiste relacje i koneksje ze sławnymi postaciami epoki międzywojennej. Wykorzystuje plotki, ploteczki, pomówienia, anegdoty.

W 1972 na łamach „Tekstów" (nr 6) poeta Stanisław Barańczak publikuje esej, w którym zastanawia się nad istotą felietonu. Rozważania o tyle znaczące, że współcześnie mianem „felietonu" błędnie określa się żartobliwą, ironiczną recenzję lub nudnawą relację z jakiegoś wydarzenia, „okraszoną" komentarzami polityków.

Pomysł Słojewskiego na kreację literacką Hamiltona jak pisze Barańczak okazał się intrygujący, niemal obrazoburczy, również dlatego, że niemal od początku „obraz autora" był dwuznaczny: „wiarygodny i pełnokrwisty, ale demaskowany subtelnie jako literacka fikcja". Demaskowany nie tylko przez „teoretyka i historyka literatury" Słojewskiego, ale również przez przewrotnego Hamiltona. Przez „samego" Hamiltona, TAKŻE!

Okiem zapomnianego poety-satyryka
(czasy PRL-u w krzywym zwierciadle)

„Postanowiłem dać anons taki do dziennika odpowiednio duży, by uwagę skupiał: Chcę zostać porządnym człowiekiem – poszukuję wspólnika! Sam się nie będę wygłupiał!"

Marian Załucki

Teksty Mariana Załuskiego robiły wyjątkową karierę w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych minionego stulecia, szczególnie te recytowane przez autora w specyficzny, jakby trochę nieśmiały, z wyraźną tendencją do lekkiego zacinania się lub może celowego jąkania – sposób. Ich twórca, człowiek drobnej postury, zawsze nienagannie odziany w garnitur robił wrażenie osoby kruchej i zagubionej, przypadkiem pojawiającej się na scenie: „Ja tutaj tylko na chwilę. Pięć minut i tyle. Powiem i już mnie nie ma. Albo nie powiem. Trema." Wystarczyło jednak tylko owe „pięć minut", żeby z chirurgiczną precyzją, z niezwykłą elegancją i finezją demaskować nasze narodowe cechy, odkrywać absurdy życia w PRL-u, pokpiwać sobie i delikatnie wyśmiewać. Załuski umiał śmiać się nie tylko z innych, ale także z siebie samego. Kiedy na scenie musiał pojawić się z laseczką – napisał tekst, opublikowany na łamach „Przekroju" w maju 1979, tuż po śmierci autora: „Przepraszam, że ja z laską, każdy szanse ma lepsze, kiedy się czasem w życiu czymś lub kimś podeprze."

I jeszcze nie opublikowany za życia, swoisty „Testament" poety: „Jakby to było cudownie, być aż takim artystą, co porywa widownię. (…) Potem wpada z rewolwerem i z hukiem: Oddać: szmal, biżuterię i kartki na cukier". Osobowość Załuskiego, jego talent aktorski i literacki, owo doskonale zagrane roztargnienie (występował trzymając w dłoni mały kajecik wydawało się, że mógłby zapomnieć tekstu) – wszystko to sprawiało, że popularne „Podwieczorki przy mikrofonie", w których brał udział – urastały do rangi wyczekiwanych z niecierpliwością spektakli. Pamiętam kiedyś (starzy ludzie mają dobrą pamięć i bywa ona przekleństwem w czasach dominacji pop-kultury) gdy jako ośmiolatkę mama zabrała mnie do sopockiego Grand Hotelu na „Podwieczorek". Wróciłam oszołomiona, z wypiekami na twarzy, zakochana po czubek nosa w Panu Załuskim i nigdy nie zapomnę Jego tekstu o kobiecie, którą tak bardzo pragnęłam wówczas być, kiedy to z okazji celebrowanego w PRL-u Święta Kobiet proponował by „raz zastanowić się nad kobietą: po męsku, bez zastanowienia!" I dalej stwierdzał z właściwą sobie nieśmiałością, że wybór to „różnolitość" niemal jak w ciastkarni: „są babki miękkie, są babki twarde, są babki z kremem (Elizabeth Arden), są babki wierne (na kruchym spodzie!), są babki starsze (za to na miodzie), babki łagodne (czyli bez pianki), są Katarzynki i są Stefanki, są bezy (bez mężów) oraz małżonki, czyli – domowe napoleonki." Bywa, że miło pomyśleć o sobie jako o kobiecie, pomyśleć bez okazji, bez konieczności odgrywania ról i nakładania masek, bez konieczności mówienia „tekstem". Prawo do mówienia „tekstem" należy pozostawić utalentowanym poetom.

Małgorzata Dorna - Wendrychowska

Katarzyna Korczak

Z ALBUMÓW, ZAPISKÓW I OPOWIEŚCI RODZINNYCH

BYŁO NAM DOBRZE DOPÓKI MAMUSIA ŻYŁA cz.2

(…) *życie przelewa się w życie i nigdy nic nie umiera bez śladu.* (…)
Andrzej Strug *W twardej służbie*

Pośród przybyszów z różnych stron Polski i świata po drugiej wojnie światowej na Wybrzeże dotarła moja babcia, Halina z Jaroszewiczów Gałązkowa, prawnuczka Stanisława Moniuszki po kądzieli. Po Powstaniu Warszawskim, wraz z mężem, moim dziadkiem, Mieczysławem, z córkami - Hanną, moją mamą i Barbarą, zamieszkała w Sopocie. Rodzicami Haliny byli: Aleksandra, z domu Nawroczyńska i Józef Jaroszewicz. Mama Aleksandry, Elżbieta Nawroczyńska, z domu Moniuszko, rysowniczka, malarka, drzeworytniczka, była najstarszą córką Stanisława Moniuszki, twórcy polskiej opery narodowej. Józef Jaroszewicz, ojciec Aleksandry, był wnukiem Karola Druziewicza - żołnierza Wojsk Polskich w 1861 roku, bibliotekarza i emisariusza księcia Adama Czartoryskiego. Halina uratowała z zawieruchy dziejów i przekazała nam zdjęcia, zapiski, relacje. Zbudowałam z materiału opowieść prawdziwą. Narratorami są przodkowie ze strony mamy. Postaci, związanych z historią Polski, jest więcej. Publikujemy część drugą tekstu, ostatnią.

ROZDZIAŁ TRZECI

Aleksandra z Nawroczyńskich i Józef Jaroszewiczowie, moi pradziadkowie, z prawej - matka Józefa, Seweryna z domu Druziewicz, Jaroszewiczowa. Małżonkowie przyjechali ze Zwierzyńca na wypoczynek do Sławinka do domu letniego Józefa. Oleńka była w ciąży z pierwszym dzieckiem – Ireną. Seweryna, wdowa, mieszkała na stałe w Lublinie. Sławinek, 1895 rok.
Fot. Jan Mieczkowski, syn
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

Sławinek pełnił rolę uzdrowiska. (…)"Znajdowały się tam dwa źródła – główne i drugie mniejsze, ocembrowane, zwane źródłem >>Kazimiery<<, z którego goście czerpali wodę tylko do picia. Nadto, z pod góry wypływało obfite źródło chłodnej i smacznej wody zwyczajnej. (…) ładna ta miejscowość zaopatrzoną została we wszystko, co może stanowić wygodę i przyjemność gości. Szlachetne usiłowania i prawdziwie obywatelskie poczucie obowiązku p. Stanisława Mędrkiewicza (właściciela Sławinka w latach 90. XIX wieku) sprawiły tyle, iż wówczas >>uzdrowisko<< posiadało prawdziwe łazienki kąpielowe o 16 gabinetach, po 8 z jednej i z drugiej strony korytarza, z 5 wannami nowemi, po jednej lub dwie w gabinecie." (…) „przyczem stwierdzono, że wody sławinkowskie pod względem zawartości żelaza nie ustępują sławnym wodom w Spaa i Pyrmont."(…)

Za https://ryneklubelski.pl/2014/04/zrodlach-uzdrowisku-slawinku/

LUBLIN

Aleksandra i Józef z Zofią, Haliną i Wandą Jaroszewiczowie opuścili Zwierzyniec. Zamieszkali w Lublinie. Starsze dzieci wyjechały z domu wcześniej. Wybuchła I wojna światowa. Irena ukończyła seminarium nauczycielskie, pracowała jako guwernantka w okolicznych ziemiańskich dworach, działała w konspiracji, odwiedzała rodziców i młodsze rodzeństwo w Lublinie. - Kazimierz, ukradł konia ze Sławinka, wziął mamy biżuterię i poszedł do legionów. Walczył. Ranny był. Odseparowany od rodziny. - relacjonowała w latach 80. babcia Halina.

Aleksandra, z córkami, wyjechała na letni wypoczynek do Sławinka. Tam, 29 lipca 1914 roku, umarła. Józef, za pomoc legionistom, zesłany został na Syberię. Dziewczynkami opiekowała się babcia Seweryna, z domu Druziewicz, Jaroszewiczowa.

NAPIŁA SIĘ ŹRÓDLANEJ WODY

Siostry Jaroszewicz, od lewej - Wanda, Zofia, Halina, nasza babcia (siedzi) - w szkolnych mundurkach. Lublin, po 1910 roku.
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

- Dzieci potrzebowały iść do szkół. W 1910 roku wyjechaliśmy do Lublina – opowiadała babcia Halina. - Ojciec pracował w browarze u pana Kijoka. Mieszkanie, obok zakładu, na Podwalu, dzierżawiliśmy od właściciela. W upalne lato 1914 roku, pod opieką mamy, Zosia, Irena, Wanda i ja pojechałyśmy na wakacje do Sławinka, gdzie ojciec miał swój dom letni. Była z nami pokojówka, która powiedziała, że zabierze nas do swojego ogrodu na wiśnie. Mamusia się zdenerwowała, zgrzała, napiła się wody źródlanej i 45 stopni gorączki dostała. Wujek z rodziny mojego ojca, Wacław Jasiński*, ordynator lubelskiego szpitala, przyjechał z kilkoma lekarzami powozem. Okazało się, że mamusia ma tyfus. Nikt nie szukał ratunku. Chcieli matkę zabrać do domu do Lublina, nie chciała. Zostałyśmy z mamusią w Sławinku. Zosia, Irena i Wanda też zachorowały, ja →

SYLWA

leżałam przytulona do niej i byłam zdrowa. Zemdlałam, jak mi powiedzieli, że mama nie żyje. Obudziłam się, zaproponowali mi, że ciocia** i tata poprowadzą mnie pod ręce. Grabarz cmentarza lubelskiego zostawił drugie miejsce dla Zosi, bo nie rokowała nadziei. Przeżyła.

- Ojciec chciał dzieciom mamę zastąpić. Zajęła się naszym wychowaniem babcia, mama taty, Seweryna z Druziewiczów, Jaroszewiczowa, wdowa. Zlikwidowała swoje małe mieszkanie – pokój z kuchnią - w Lublinie przy ulicy Niecałej, zamieszkaliśmy razem. Inteligentna kobieta, muzykalna, władała kilkoma językami, doskonale znała historię Polski, pedagog, pracowała po domach jako nauczycielka.

*[Wacław Jasiński to kolejny nasz powinowaty. Był mężem Kazimiery, z domu Jaroszewicz. Kazimiera była córką Stanisława Jaroszewicza (brata Józefa Jaroszewicza, ojca naszej babci Haliny i jej rodzeństwa) i Marii z Wyczółkowskich (z rodziny artysty malarza, Leona Wyczółkowskiego).

Wikipedia podaje: (…) „Wacław Stanisław Jasiński, (ur. 11 sierpnia 1899 w Godziszowie, zm. 17 maja 1936 w Wilnie) – polski profesor zwyczajny nauk medycznych, lekarz pediatra, major służby zdrowia Wojska Polskiego. W 1899 ukończył IV Gimnazjum w Warszawie w 1899, następnie medycynę na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim, gdzie uzyskał dyplom lekarza cum eximia laude w 1904. Od 1904 do 1911 specjalizację w szpitalu dziecięcym Anny Marii w Łodzi. Od 1911 do 1918 pracował w szpitalu dziecięcym w Lublinie, w od 1911 do 1921 również jako lekarz wojskowy w Szpitalu Okręgowym w Lublinie. Od 1921 do 1922 był asystentem w klinice pediatrycznej Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. W 1922 uzyskał w Lublinie tytuł doktora wszechnauk lekarskich. Od 1922 był w katedrze pediatrii Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. W 1922 był organizatorem tamtejszej kliniki pediatrycznej w Szpitalu Miejskim dla Dzieci, po czym podjął pracę w Szpitalu Wojskowym na Antokolu. Od 1931 do 1932 był dziekanem wileńskiego uniwersytetu. Uzyskał habilitację, a w 1933 został profesorem zwyczajnym. Działał w towarzystwach naukowych, w 1934 został prezesem wileńskiego Polskiego Towarzystwa Lekarskiego. Był członkiem honorowym lubelskich oddziałów Polskiego Towarzystwa Lekarskiego i Polskiego Towarzystwa Balneologicznego. Był redaktorem czasopisma „Pamiętnik Wileńskiego Towarzystwa Lekarskiego". Publikował w zakresie pediatrii ok. 65 prac. Działał na rzecz poprawy lecznictwa dzieci: zorganizował kolonię leczniczą im. Jędrzeja Śniadeckiego w Druskiennikach (przyjmował tam marszałka Józefa Piłsudskiego), współorganizował szczepienia ochronne przeciw gruźlicy (1924) i błonicy (1931). Został pochowany w kwaterze profesorskiej wileńskiego Cmentarzu Na Rossie." (…)]

**[Ciocia, która prowadziła Halinę z jej ojcem, z Józefem, podczas pogrzebu mamy, to Maria Richard, z domu Nawroczyńska, siostra zmarłej Aleksandry.]

POMOC LEGIONISTOM. ZESŁANIE

- Bardzo krótko byliśmy w Lublinie. Tworzyły się legiony – kontynuowała Halina. - Ojciec był za dużym patriotą, aby nie udzielać się. Należał do organizacji, nie pamiętam jakiej, zebrania odbywały się w domu, babcia uczestniczyła w tym. Myśmy sarpie darły do opatrywania lekarskiego. Dzieci nie mogły wiedzieć, po co to robią, babcia zakazywała o tym obcym mówić.

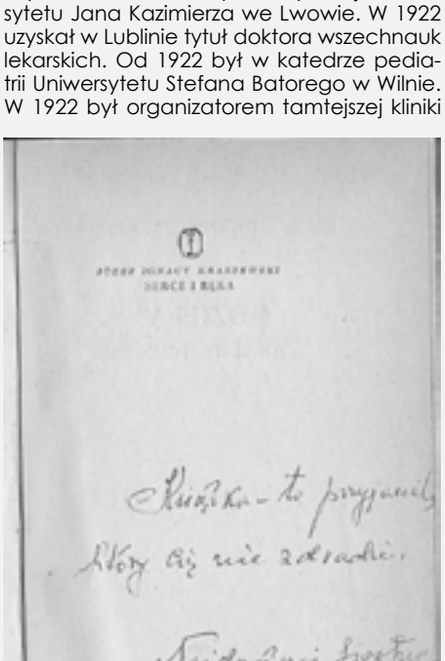

Irena Klimeszowa, z domu Jaroszewicz, z Domu Zasłużonego Nauczyciela w Mikuszowicach koło Bielska – Białej, przyjeżdżała do nas na Wybrzeże w odwiedziny. Podczas jednej z wizyt ofiarowała swojej siostrze, naszej babci - Halinie ,, powieść Serce i ręka Józefa Ignacego Kraszewskiego z dedykacją: „Książka – to przyjaciel, który Cię nie zdradzi. Sopot – czerwiec 1972".
Ze zbiorów rodzinnych Katarzyny i Tomasza Korczaków

Irena Jaroszewicz. Okolice Lublina. 1914 rok
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

- Był lipiec 1915 roku. Rozeszła się wiadomość, że na podwórzu browaru pana Kijoka carska żandarmeria spędziła jeńców wojennych - Austriaków, Węgrów i Polaków. Znajdowały się tam olbrzymie kadzie do zapasów. Jak ojciec stanął w oknie naszego mieszkania, zauważył, że większość żołnierzy jest w polskich mundurach legionowych. Rosjanie, z pikami, ich pilnowali. Ojciec, w nocy, z pomocą syna, Kazimierza, który był wtedy w domu na urlopie, wymacywał wśród spiętych jeńców gdzie jest legionowy mundur, czapka, wszystko to zabierał, w zamian zostawiał ubrania cywilne. W domu się te mundury niszczyło. W biurze pana Kijoka pracował urzędnik, nie powiem, jak się nazywał. Przez okno dyżurnego pokoju ujrzał, że Kazio się czołga z jakąś paczką, i doniósł, że tak się pomaga jeńcom.

Kazimierz Jaroszewicz, brat Haliny (z prawej). I Brygada Legionów Polskich. 1915 rok
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

- Carscy żandarmi zrobili u nas rewizję. Znaleźli Konstytucję 3 Maja. Babcię zastali w łóżku, udawała chorą, bo pod materacem miała karabiny dla młodzieży wstępującej do Legionów. Obudziłam się, zobaczyłam światło, w koszulinie przybiegłam: „Tatusiu!". Zdjęłam medalik, tacie na szyi powiesiłam, dałam mu książeczkę do nabożeństwa, powiedziałam, że znalazłam w ogrodzie. Zakuli ojca w kajdany i wyprowadzili. Bardzo dużo osób pod domem stało. Zamknęli go w więzieniu ogromnym na Zamku Królewskim w Lublinie.

- Wracałam ze szkoły, z teczką, zobaczyłam wagony towarowe. Naprzeciwko szli aresztowani, skuci po dwóch, pod konwojem policji, wśród nich, ojciec, w luźnym, samodziałowym mundurze. Przyłożył palce do ust,

Kazimiera z domu Jaroszewicz, żona prof. nauk medycznych Wacława Jasińskiego. 1914 rok
Fot. Tadeusz Jabłoński
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

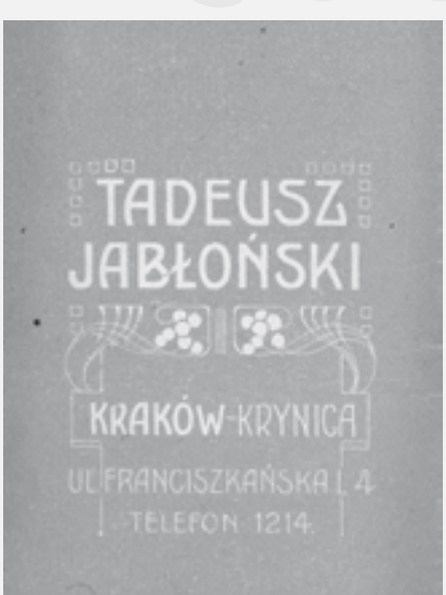

żebym się nie odzywała, nie podchodziła. Pobiegłam do babci. Tego dnia w Lublinie były także aresztowania młodych ludzi. Wszystkich wywieźli na Syberię.

LEŻĘ NA KAMIENIACH, KŁUJĄ MNIE... OJCIEC WRÓCIŁ

- Chodziłyśmy w Lublinie do szkoły prywatnej pani Czarneckiej. Z babcią odrabiałyśmy lekcje, sprawdzała nam wypracowania, uczyła po francusku, po niemiecku, dawała lekcje muzyki. Fortepian w domu był. Nie miałyśmy stałych środków do życia. Babcia pracowała po domach jako nauczycielka. Pomagał nam brat taty, wujek Kazimierz, sędzia, wcielili go do wojsk austriackich, jak każdego Polaka. Przywoził dla swojej mamy i dla nas pieniądze i zasiłek wojskowy w postaci cukru, mąki, kaszy i innych produktów żywnościowych. Dzięki niemu udało nam się przeżyć. Przez Polski Czerwony Krzyż przychodziły wiadomości o ojcu, że był w Tomsku, na Sachalinie, w Charkowie. Wybuchła rewolucja, wiedziałyśmy, że tata teraz chyba nie wróci.

Kazimierz Jaroszewicz, brat Józefa.
Fot. B. Henner
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

- Było święto Bożego Narodzenia, śnieżna zima, mróz, cieszyłam się tym śniegiem. Wieczorem położyłam się spać z gorączką 40 stopni Celsjusza. Przyjechał wujek, Wacław Jasiński, ordynator szpitala w Lublinie, z drugim lekarzem, Borsukiewiczem. Obydwaj mnie zbadali, stwierdzili, że jestem bardzo blisko zapalenia mózgu. Nie kładłam się, skuliłam na łóżku. Wpatrywałam się w poręcz, widziałam na niej człowieka siedzącego, z siwą brodą. Mówiłam: „Leżę na kamieniach, kłują mnie, strasznie mi zimno, boję się tych kamieni". Rano położyłam się, zasnęłam, stwierdzili, że nie mam gorączki. „Nie wiem, co się stało" – powiedział lekarz.

- Był 17 marca 1918 roku. Jeden dzwonek do drzwi. Suczka, Muszka, mieszana, nieduża, cichutko wącha i płacze, wącha i płacze, i prosi, żeby otworzyć. Usłyszałam głos taty: „To ja!". Stał w kożuchu, z brodą, przebrany za chłopa. Taki zmieniony! Rzucił mi się na szyję „To Irenka?!" – pyta. „Nie, tatusiu, Halinka". Strasznie się cieszyłam, między mną a ojcem była wielka miłość. Pies szczeka, skacze na niego, poznała po tylu

Jadzia Martini, przyjaciółka Haliny z lat szkolnych w Lublinie. Kontakt listowny utrzymywały do końca życia.
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

latach! Jak do nas trafiła? Tata znalazł ją, ze szczeniakami, na dachu jednego z budynków browaru, kazał znieść. Rzucili na nią worek, bała się, uciekała, gryzła, nie mogła się oswoić, w końcu przyszła i polizała tatę, powiedział: „Ta suczka jest moja". W drugi worek pozbierali szczeniaki, ojciec dał je ludziom, którzy chcą chować.

- Babcia zaczęła opowiadać o nas ojcu: „Były zdrowe, tylko Hala chorowała". Dowiedział się, co ze się mną wydarzyło w tamto Boże Narodzenie. „Mamo! To byłem ja! Ona mnie widziała! Ja miałem siwą brodę, chorowałem, leżałem na kamieniach, było mi zimno!"

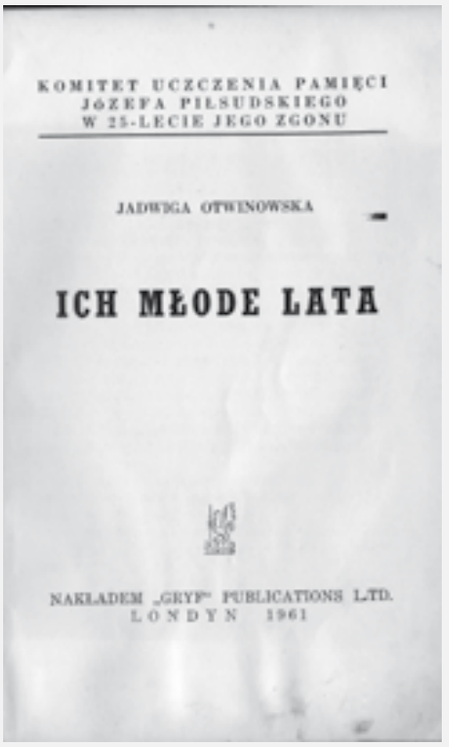

W 1961 roku Jadwiga Otwinowska, z domu Martini, pisarka emigracyjna, przysłała babci z Londynu do Sopotu swoją książkę *Ich młode lata*.
Ulotka Wydawnictwa „GRYF" PUBLIKATIONS LDT z fragmentami recenzji książki z polskiej prasy emigracyjnej.
Akcja powieści zaczyna się w Lublinie. Pierwowzorami dwóch postaci literackich byli Irena i Kazimierz - najstarsze rodzeństwo Haliny.

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

„ICH MŁODE LATA"
JADWIGI OTWINOWSKIEJ
Cena 9 zł.
GŁOSY PRASY:

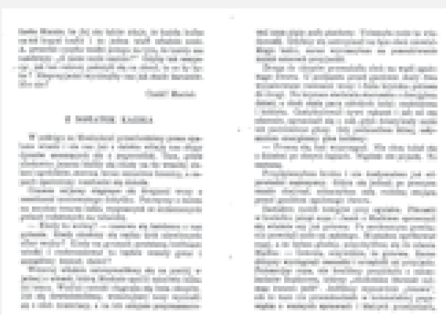

ŚMIERĆ BABCI SEWERYNY

- Bardzo krótko ojciec z nami był, bo zaproponowali mu objęcie stanowiska głównego księgowego w Ministerstwie Rolnictwa w Warszawie. Likwidacja mieszkania służbowego przy browarze. Wypatrzył i kupił pięciopokojowe mieszkanie przy ulicy Polnej w Lublinie, tam zamieszkałyśmy – ja, Zosia i Wanda z babcią.

- Ojciec ożenił się powtórnie z siostrą mamusi, wdową, Marią Richard, z domu Nawroczyńską. Sprzedał nasze mieszkanie. Pobudował z macochą domek sześciopokojowy

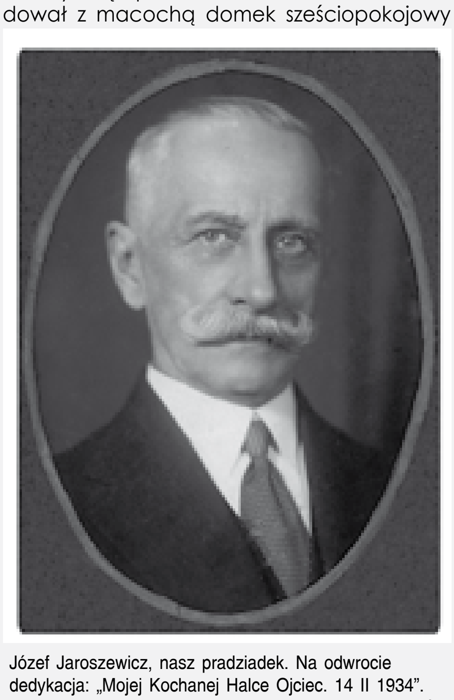

Józef Jaroszewicz, nasz pradziadek. Na odwrocie dedykacja: „Mojej Kochanej Halce Ojciec. 14 II 1934".
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

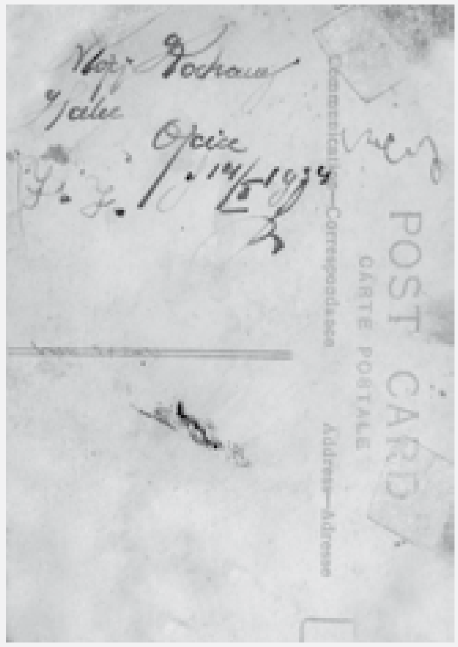

Na odwrocie zdjęcia dedykacja „Mojej kochanej Halce Ojciec. 14 II 1934.
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

w Zielonce pod Warszawą, dziesięć minut drogi koleją, przenieśli się tam, w Ministerstwie Rolnictwa pracował. My z babcią w dwóch pokojach zostałyśmy Lublinie.

- Babcia zachorowała, leżała sama. To ja wstawałam do niej, to Zosia, Wandzia była za mała. Zosia wchodziła na stół, zapalała gaz, zawsze wchodziła na stół. Zosia do mnie: „Hala, ja się boję, przyjdę do ciebie, mogę?" Ja: „Tak, ale w nogach mi się połóż, bo ja inaczej nie będę spać". Rano poszłyśmy do babci - nie żyła. Był 5 czerwiec 1919 roku. Telegram do wuja Kazimierza: „Co mam zrobić, wujku?" Przyszła odpowiedź: „Napiszę ci telegram, idź na pocztę, czekaj". Tata przyjechał, pochowaliśmy babcię na cmentarzu w Lublinie, parę kroków od grobu mamy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

EPIZOD SPOTKANIA KAROLOSTWA DRUZIEWICZÓW Z ADAMEM MICKIEWICZEM W PARYŻU*

JEJ WNUCZKA Z ORYGINAŁU PRZEPISAŁA

Pisze ten wstęp Irena Irena Klimeszowa z domu Jaroszewicz (prawnuczka wyżej wymienionych) w Mikuszowicach 22 listopada 1980 roku w Domu Zasłużonego Nauczyciela.

Od czasu Powstania Kościuszkowskiego naród polski nie mógł pogodzić się z niewolą. Przede wszystkim o zrywie wolnościowym myśleli Polacy z zaboru rosyjskiego, gdzie ucisk caratu był dotkliwszy od ucisku pozostałych zaborców – Austria, Prusy.

Młodzież z Podchorążówki Warszawskiej organizowała zamach na Wielkiego Księcia Konstantego, który był tyranem dla oficerów polskich, prześladując ich podczas defilad, ćwiczeń, prezentacji wojskowej, wskutek czego wielu oficerów, znieważonych publicznym policzkiem Konstantego, popełniło samobójstwo.

W konspiracji było uzgodnione, że 29 listopada 1830 roku, na skutek sygnału palącego się na Solcu browaru (młyna), będzie rozpoczęcie akcji. Po nierównej walce najpiękniejszej młodzieży wychowanej przez romantyków z wojskiem carskim – Powstanie upada w 1831 roku. Zaangażowani politycznie i militarnie, zmuszeni byli opuścić kraj i udać się na emigrację. Jedni szli z Joachimem Lelewelem do

Karolina Druziewicz, z domu Matkowska, nasza pra pra pra babcia, w żałobie narodowej po upadku Powstania Listopadowego. Portret rysunkowy.
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

Anglii, a ogromna większość pociągnęła do Paryża, gdzie Książe Adam w hotelu Lambert miał swoją siedzibę, biuro, punkt kontaktowy. Tych dwóch wodzów, o odmiennych orientacjach politycznych, spowodowało rozbicie emigrantów.

Lelewel widział Polskę ludową, demokratyczną czyli Rzeczpospolitą, a książę Czartoryski był kandydatem na króla Polski monarchistycznej. Tak rozbici emigranci prowadzili spory między sobą o kształt Polski, która z mapy Europy była skreślona, a więc spory te były mocno przedwczesne, bardzo szkodliwe dla współżycia wygnańców.

Adam Mickiewicz dla pokrzepienia ducha narodu pisze Epos Narodowy >>Pan Tadeusz<< i w >>Epilogu<< ubolewa nad swarami emigracji.

Epizod spotkania Pradziadków Karola i Karoliny, z domu Matkowskiej, Druziewiczów z Adamem Mickiewiczem, ich córka, a nasza Babcia, mama Ojca – Seweryna z Druziewiczów Jaroszewiczowa, opisała na podstawie relacji i licznej korespondencji posiadanej w rodzinie. Wspomnienia te, dosłownie z oryginału, Jej wnuczka z Jaroszewiczów, Irena Klimeszowa, przepisała.

ŻOŁNIERZ 1831 ROKU, BIBLIOTEKARZ, KURIER

Nasi pradziadowie: Karol Druziewicz, żołnierz wojsk polskich z 1831 roku i Karolina z Matkowskich - dzierżawili majątek Izabelin, obok Sieniawy, siedziby książąt Czartoryskich. Izabelin należał do ordynacji Książąt Czartoryskich.

*Stosunki księcia Adama i naszego Pradziada** były tak bliskie i serdecznie, że nieomal rodzinne. Pradziadek był mężem zaufania Księcia, przyjacielem, doradcą, burgrabią, a w końcu mianował go Książę bibliotekarzem ogromnego księgozbioru w Puławach, również siedziby Książąt Czartoryskich.*

Karol Druziewicz, nie tylko był bibliotekarzem w Puławach, ale był kurierem, to jest łącznikiem Księcia Czartoryskiego z krajem, przewożąc tajną korespondencję w obie strony, która informowała o sprawach politycznych, również Hotel Lambert i kraj. Podróże naszego pradziadka, wspaniałego konspiratora, były bardzo częste, ale na wielką prośbę jego ukochanej żony, prawdziwej matrony, zaskakującej niebywałą inteligencją, świetnie orientującej się w sytuacji politycznej, miała opinię fenomenu intelektualnego, pradziadkowie wyjechali razem do Paryża, pradziadek

w swojej misji politycznej, a prababka z marzeniem spotkania z Adamem Mickiewiczem. Byli gośćmi Karolostwa Sienkiewiczów, w którym to domu przyjmowano często Adama Mickiewicza.

*O roli Pradziadka w życiu Książąt Czartoryskich znajduje się ślad w dramacie Stanisława Wyspiańskiego pt. >>Lelewel<<. To ostatnie stanowisko uprzednio zajmował Karol Sienkiewicz***, który emigrował razem z księciem do Paryża, przekazując bibliotekę Pradziadkowi.*

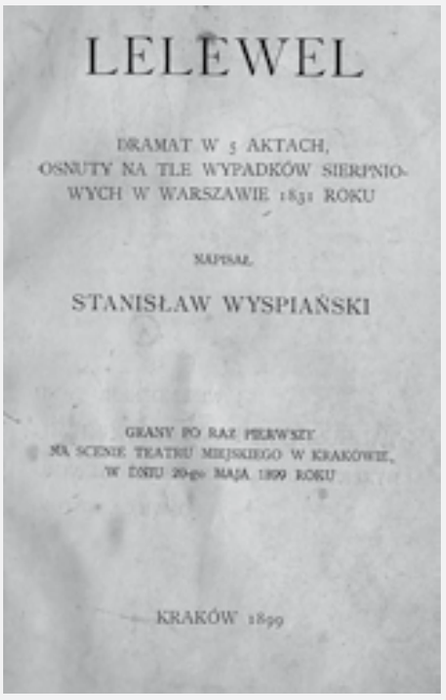

LELEWEL

DRAMAT W 5 AKTACH,
OSNUTY NA TLE WYPADKÓW SIERPNIOWYCH W WARSZAWIE 1831 ROKU

NAPISAŁ

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

GRANY PO RAZ PIERWSZY
NA SCENIE TEATRU MIEJSKIEGO W KRAKOWIE,
W DNIU 20-go MAJA 1899 ROKU

KRAKÓW 1899

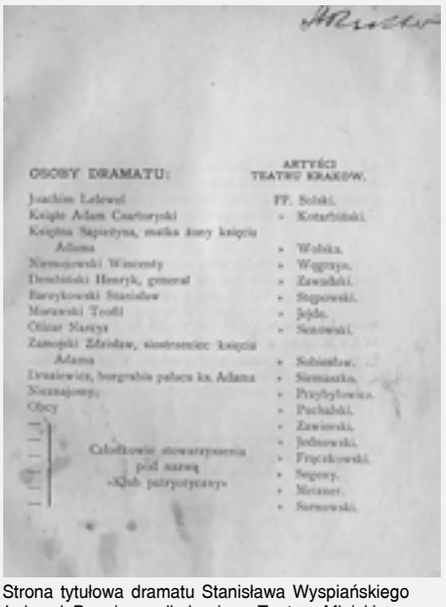

OSOBY DRAMATU: | ARTYŚCI TEATRU KRAKOW.

Joachim Lelewel — PP. Solski.
Książe Adam Czartoryski — » Kotarbiński.
Księżna Sapieżyna, matka żony księcia Adama — » Wolska.
Niemojowski Wincenty — » Węgrzyn.
Dembiński Henryk, generał — » Zawadzki.
Barzykowski Stanisław — » Stępowski.
Morawski Teofil — » Jejde.
Olizar Narcyz — » Senowski.
Zamojski Zdzisław, siostrzeniec księcia Adama — » Sobiesław.
Druziewicz, burgrabia pałacu ks. Adama — » Siemaszko.
Nieznajomy, — » Przybyłowicz.
Obcy — » Puchalski.
— » Zawierski.
— » Jednowski.
— » Frączkowski.
— » Segery.
— » Meizner.
— » Sarnowski.

Członkowie stowarzyszenia pod nazwą «Klub patryotyczny»

Strona tytułowa dramatu Stanisława Wyspiańskiego *Lelewel*. Premiera odbyła się w Teatrze Miejskim w Krakowie 20 maja 1899 roku
Domena publiczna
W roli Karola Druziewicza wystąpił Antoni Józef Siemaszko, polski aktor teatralny i filmowy, reżyser teatralny, kapitan Legionów Polskich.
Domena publiczna

W roku 1854 Państwo Druziewiczowie wybrali się w podróż, której głównym celem było widzenie się z Księciem Adamem Czartoryskim w Paryżu w hotelu Lambert. Wycieczka ta była urozmaicona miłym epizodem, jaki w umyśle państwa Druziewiczów na długo pozostanie wspomnieniem. (...) Pośród domów polskich odnaleźli dawnych swoich znajomych, Karolów Sienkiewiczów, którzy z przyjazną dłonią i chętnym sercem zwracali się do ziomków swych , których los, dla jakichkolwiek, powodów przywiódł do wielkiej stolicy świata. Pan Karol Sienkiewicz, dawniejszy zawiadowca biblioteki Książąt Czartoryskich w Puławach, po stłumieniu Powstania w roku 1830/31 przeniósł się do Paryża, gdzie gorliwie zajmował się sprawami emigracji, a nawet przez kilka lat był kierownikiem czasopisma „Kronika Emigracji" i odznaczył się w literaturze kilkoma historycznymi utworami.

Państwo Sienkiewicz uprzejmie i serdecznie przywitali na obczyźnie swych znajomych, państwa Druziewiczów, napawając się dźwiękami polskiej mowy i polskimi obyczajami, oddychając atmosferą ojczystą, jakiej czysty powiew wnieśli im ze sobą mili goście.

Panowie pogrążyli się w pogawędce i we wspomnieniach przeszłości, która ciemniejsze lub jaśniejsze nasuwała im obrazy. Panie, po wymianie pierwszych słów powitania, porzuciły wykwintne, a puste konwenanse francuskie, i przeszły do swojskiej mowy, i swojskiej, ujmującej, szczerości, której wynikiem był fakt pozostawiający głębokie wrażenie w duszy wysoko rozwiniętej i niezwykle uposażonej Pani Druziewiczowej.

Pragnąc korzystać jak najwięcej ze swojej podróży, wyraziła ona w pogawędce z gospodynią, Świętosławą Sienkiewiczową, życzenia – jak gorąco pragnęłaby poznać Adama Mickiewicza, jak chętnie niosłaby swój skromny hołd poecie, jakiej że radości doznałaby na widok wieszcza, który nawet wśród obcych umiał zająć wybitne stanowisko, umiał rozgrzać serca milionów i iskrą swego geniuszu porwać ich i nie zatracić swej polskości, zostać zawsze naszą chlubą, naszą sławą rodzimą.

Pani Sienkiewiczowa podzielała uniesienie swojej rodaczki, wyraziła jednak trudności widzenia Mickiewicza, który nie lubił być przedmiotem obserwacji ciekawych i nieraz płytkich badań. Dlatego unikał ostentacyjnych zebrań,

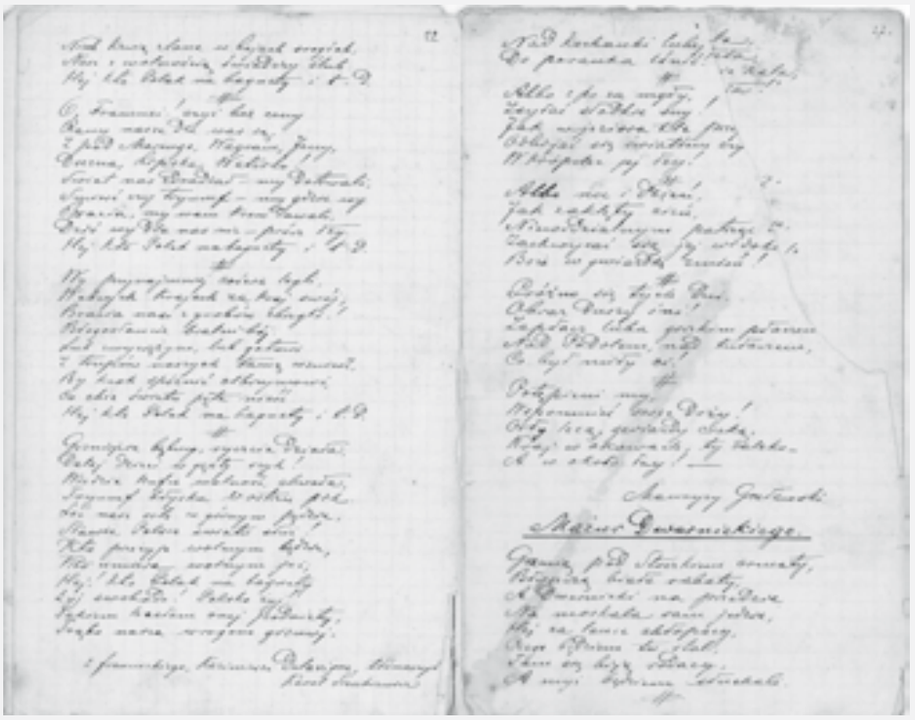

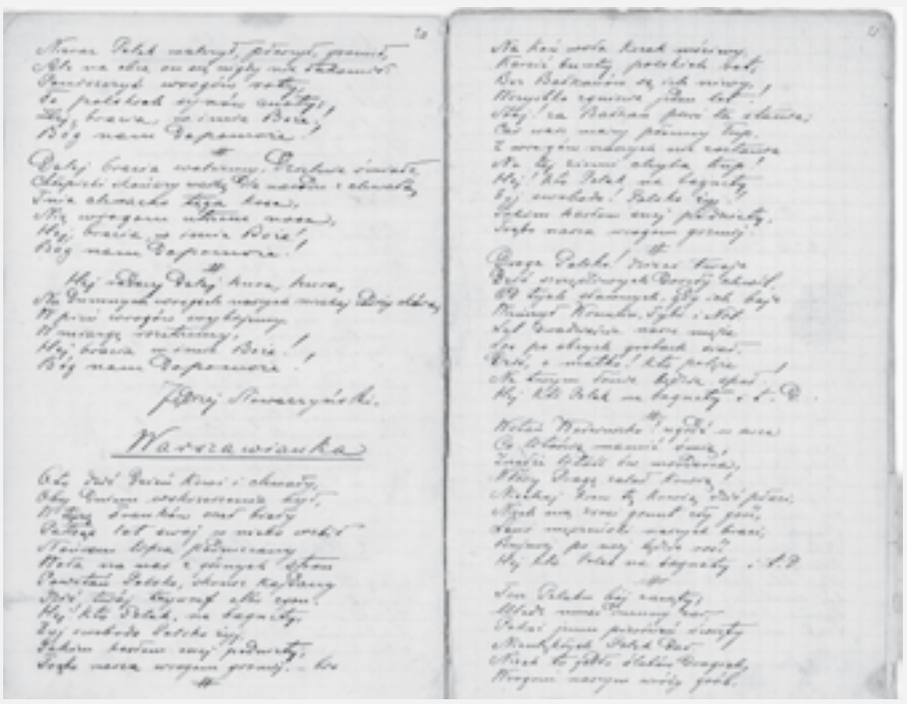

Zbiór polskich pieśni patriotycznych z drugiej połowy XIX wieku. Czterdziesto dwu stronicowy zeszyt bez okładki przywiozła ze Sławuty do Gdańska Jadwiga, z domu Stebłowska, Nossek nasza prababcia ze strony ojca. Na stronach 20 – 21 *Warszawianka*.
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

→

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

poprzestając na bliższych i zażylszych stosunkach, do których zaliczał też dom Państwa Sienkiewiczów.

** Główna część zbioru Biblioteki Czartoryskich w Puławach, uratowana po Powstaniu Listopadowym, złożona została w pałacu w Sieniawie. Czartoryscy pragnęli jak najszybciej wyrównać straty biblioteki poniesione na skutek pospiesznego opuszczenia Puław i zniszczeń poczynionych przez Rosjan, spowodowanych wywozem części księgozbioru do Petersburga. Karol Druziewicz, z polecenia księcia Władysława Czartoryskiego, penetrował w tym celu bogate księgozbiory klasztorne, jego działania przyczyniły się do dokonania cennych zakupów. Zachowały się korespondencje pomiędzy Karolem Druziewiczem, a, tak zwanymi, książkołapami, z których wynika, że Czartoryscy godziwie za książki duchownym płacili.

Za: Janusz Nowak „Erwin Redel, antykwariusz przeworski i jego penetracje bibliotek klasztornych 1871 – 1875. Przyczynek do dziejów >>książkołapstwa<< w Galicji".

***[Karol Sienkiewicz – bibliotekarz, współpracownik Adama Jerzego Czartoryskiego, poeta, tłumacz, historyk, wydawca, publicysta, działacz społeczno-polityczny i współtwórca Biblioteki Polskiej w Paryżu. (…) Brat dziadka Henryka Sienkiewicza, autora Trylogii. Przetłumaczył słowa pieśni La Varsovienne narodowego poety Francji Casimira François Delavigne'a, napisaną pod wpływem wydarzeń powstania listopadowego. Muzykę skomponował Karol Kurpiński. Tak powstała *Warszawianka 1831*, polska pieśń patriotyczna, hymniczna, którą Stanisława Wyspiański upamiętnił w dramacie *Warszawianka*.]

MĘŻCZYZNA O PIĘKNYM WYNIOSŁYM CZOLE (…) O OCZACH ŚWIECĄCYCH ROZUMEM (…)

Pani Druziewicz westchnęła, żal jej było, że nie zobaczy tego, który był główną atrakcją, co ją przywiodła do Paryża, żal kilku chwil, które mogłaby spędzić w jego towarzystwie, żal tych słów pięknych i jasnych, co mogłyby z jego ust paść w jej serce. Pożegnała uprzejmą gospodynię i, z uczuciem pewnego zawodu, wybrała się błądzić po ulicach Paryża i zwiedzać jego osobliwości. Mijała wykwintne i strojne tłumy obojętnie, nie przyciągał jej przepych i zbytek, nie olśniewały czarodziejskie widoki wielkiego miasta. Cicha i skromna, w swym prostym stroju, nie zachowała nawet koniecznej sztywności wywołanej twardym uciskiem sznurówki. Nawet w Paryżu w karby mody ująć się nie dała.

Dzień następny Państwo Druziewiczowie mieli spędzić w gościnnym domu Państwa Sienkiewiczów, gdzie gospodarstwo umyślili przyjąć ich polskim obiadem. O oznaczonej porze małe gronko zasiadło do uczty w nastroju swobodnym i serdecznym, gospodyni jednak co chwilę spoglądała na zegar i nie spieszyła się z rozpoczęciem obiadu, jakby kogoś jeszcze oczekiwała. Wkrótce jednak podano zupę, której nie zdążono jeszcze spożyć, gdy drzwi otworzyły się z hałasem i stanął w nich mężczyzna o pięknym wyniosłym czole, o bujnych odrzuconych w tył włosach, o oczach świecących rozumem i poważnym spojrzeniu. Wesołym głosem zawołał: >>Darujcie państwo, że się spóźniłem, może by już przyjść nie wypadało, ale nie mogłem sobie odmówić przyjemności widzenia rodaków, a zwłaszcza rodaczki, która po Paryżu bez sznurówki chodzi<<.

Pani Druziewicz w jednej chwili odgadła Mickiewicza, którego znała tylko z portretów i cała rozradowana zbliżyła się do przybyłego, by go poznać i przywitać.

Niespodzianka, przygotowana przez gospodynię, sprawiła jej ogromne zadowolenie, toteż w kilka minut potem całe towarzystwo wiodło ożywioną rozmowę w języku polskim, poruszając wszystkie tematy i wszystkie kwestie nas obchodzące. Mickiewicz zajął miejsce obok pani Druziewicz i wypytywał ją z zainteresowaniem o obecne położenie kraju, o stan umysłów i poglądy ogólne, o warunki społeczne, o usposobienie naszej arystokracji, o jej działalność i zamiary, o wszystkie potrzeby biednych, zgnębionych Rodaków, którym duchem był bliski, a ona z ożywieniem, ze znajomością rzeczy i przejęciem – odpowiadała mu jasno i prosto, rozwijała swe zapatrywania, wydawała sąd dojrzały, cechujący jej wyższą inteligencję. Może podziałał na nią widok poety, może siła jego umysłu przeniknęła ją, może upoiła się czarem poezji, który od niego wiał. Rozmowa ich przedłużała się, wreszcie stała się ogólną, gwarną, a obiad miał się ku końcowi. Polskie natury, pod wpływem ciepła, serdecznie tajały, jakaś rzewność ogarnęła wszystkich.

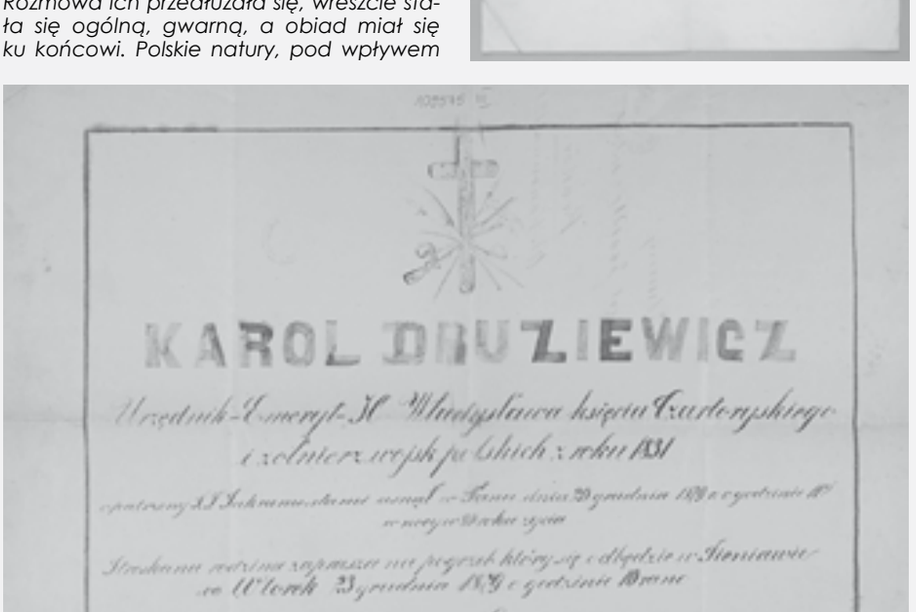

KAROL DRUZIEWICZ

Urzędnik-Emeryt-K. Władysława księcia Czartoryskiego
żołnierz wojsk polskich z roku 1831

opatrzony Ś.Ś. Sakramentami zmarł w Panu dnia 20 grudnia 1879 o godzinie 11
w nocy w 80 roku życia

Stroskana rodzina zaprasza na pogrzeb który odbędzie się w Sieniawie
we Wtorek 23 grudnia 1879 o godzinie 10 rano

Sieniawa 21 grudnia 1879

Nekrolog Karola Druziewicza wysłany przez rodzinę z Sieniawy do Karola Jazłowskiego do Krakowa. „Karol Druziewicz, urzędnik emeryt Władysława księcia Czartoryskiego i żołnierz wojsk polskich z roku 1831 opatrzony sakramentami świętymi usnął w Panu dnia 20 grudnia 1879 r. o godzinie 11 tej w nocy w 80 roku życia. Stroskana Rodzina zaprasza na pogrzeb, który odbędzie się w Sieniawie we wtorek 23 grudnia o godzinie 10 rano. Sieniawa 21 grudnia 1879 r."

Dziewiętnastoletnia podówczas córka Adama Mickiewicza, dzisiejsza Pani Gorecka, oddaliła się na chwilę od towarzystwa, by w sąsiednim salonie przejrzeć albumy i książki, ale ojciec odwołał ją stamtąd, mówiąc z wymówką: >>Maryniu, jak możesz poświęcać chwile tak przyjemne na czytanie książki, korzystaj z obecności rodaków, bo takich nieprędko spotkamy<<". Następnie, dziękując wszystkim za miłe urozmaicenie czasu, wyraził pani Druziewicz swoje dla niej uznanie, rad, że w kobiecie Polce znalazł tyle zasobów umysłu i serca, które wymagania jego zadowoliły.

Gdy po obiedzie przeszli do salonu na wety gospodyni zapragnęła uraczyć gości muzyką i w tym celu poprosiła Panią Druziewiczową o zaśpiewanie jakiejś swojskiej piosenki. Ta, pod wpływem podniecenia duchowego, nie mogła oprzeć się chęci wyrażenia poecie tego uwielbienia, które wszyscy mieli dla niego. Zaśpiewała mu wiersz Bohdana Zaleskiego, w którym tenże, pomijając własne zasługi, oddaje cześć wielkiemu geniuszowi Narodu.

Mickiewicz niechętnie przyjął ten hołd, który wydał mu się czczym i źle zastosowanym komplementem. Skłonił się zimno, spochmurniał, lecz wnet pani Druziewiczowa, wiedziona kobiecą intuicją, zmieniła taktykę i z jej ust wypłynęły wesołe, skoczne tony krakowiaka: >>Miły Stachu, posłuchajcie, oj dana, oj dana…<<

Śpiew ten inaczej podziałał na poetę, widocznie przemówił do jego duszy, widocznie potrącił struny serdeczne, bo oto zbliżył się, wzruszony, do fortepianu, ucałował rękę grającej i zostawił na niej dwie wielkie łzy. Ze wspomnieniem tej chwili, sercem pełnym radości, uradowana czystą łzą poety, Pani Druziewicz opuściła Paryż i wróciła do wiejskiego swego zakątka.

*Tekst Irena z Jaroszewiczów Klimeszowa w latach 80. XX wieku przekazała w maszynopisie Halinie z Jaroszewiczów Gałązkowej, duo voto Jankowskiej, mojej babci, i Zofii z Jaroszewiczów, Haraźnej, duo voto Modzelewskiej. Jego treść przytaczam w całości.

Katarzyna Korczak
Lipiec 2014 rok

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Katarzyna Korczak

Było nam dobrze dopóki mamusia żyła

Z albumów, zapisków i opowieści rodzinnych. cz. 2.

Aleksandra z Nawroczyńskich Jaroszewicz, moja prababcia. Warszawa. 1894.
Fot. Jan Mieczkowski, syn.
Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

Fundacja ŚwiatłoLiteratury
Migotania

1 Состоялось въ Варшавѣ, въ Приходѣ Святаго Іоанна, двадцать четвертаго Декабря (пятаго Января) тысяча восемьсотъ девяносто четвертаго (пятаго) года, въ два часа пополудни. — Объявляемъ, что въ присутствіи свидѣтелей: Юрія Рихарда фотографа, и Владислава Фронцкевича бывшаго чиновника совершеннолѣтнихъ въ Варшавѣ жительствующихъ, сего числа заключенъ религіозный брачный союзъ между: Іосифомъ Карломъ Маріаномъ (трехъ именъ) Ярошевичемъ (Józefem Karolem Maryanem Jaroszewiczem) холостымъ, бухгалтеромъ, двадцати шести лѣтъ отъ роду, родившимся въ Австрійской Галиціи Ярославскаго Уѣзда въ приходѣ [illegible] Люблинской Губерніи, Замосьскаго Уѣзда, въ приходѣ Щебрешинъ, сыномъ законныхъ супруговъ покойнаго Іосифа Ярошевича (Józefa Jaroszewicza) и находящейся въ живыхъ Северины урожденной Друзевичъ (Seweryny z domu Druziewicz); — и Александрою Владиславою (двухъ именъ) Навроцинскою (Aleksandrą Władysławą Nawroczyńską) дѣвицею, имѣющею двадцать оконченныхъ лѣтъ отъ роду, родившеюся и проживающею въ здѣшнемъ Приходѣ, по улицѣ Старе Място подъ нумеромъ сорокъ третьимъ, дочерью Чиновника Владислава Навроцинскаго (Władysława Nawroczyńskiego) и Елисаветы урожденной Монюшко (Elżbiety z Moniuszków) уже покойной. — Браку сему предшествовали три оглашенія опубликованныя въ Приходскихъ Костелахъ: въ здѣшнемъ: восемнадцатаго (тридцатаго) Сентября, двадцать пятаго Сентября (седьмого Октября) и второго (четырнадцатаго) Октября, въ приходѣ Щебрешинъ тридцатаго Октября (одиннадцатаго Ноября), шестого (восемнадцатаго) и тринадцатаго (двадцать пятаго) Ноября тысяча восемьсотъ девяносто четвертаго года и разрѣшеніе Варшавской Архіепархіальной Генеральной Консисторіи отъ запрещеннаго времени послѣдовавшее девятнадцатаго (тридцать перваго) Декабря тысяча восемьсотъ девяносто четвертаго года за нумеромъ пять тысячъ сто двадцать два; и разрѣшеніе присутствующаго лично при составленіи сего акта отца невѣсты Владислава Навроцинскаго заявленное словесно. Препятствій къ совершенію брака не послѣдовало. Новобрачные объявили, что предбрачнаго договора они не заключили. Религіозный обрядъ бракосочетанія совершенъ Нами нижеподписавшимся исправляющимъ обязанности Настоятеля Прихода Святаго Іоанна въ Варшавѣ. Актъ сей новобрачнымъ и свидѣтелямъ прочитанъ, ими и Нами подписанъ.

[illegible] СТК

Józef Jaroszewicz   Aleksandra Nawroczyńska   W. Nawroczyński   [illegible]
Jerzy Richard   W. Frączkiewicz

Akt ślubu moich pradziadków ze strony mamy: Aleksandry z Nawroczyńskich, córki Elżbiety z Moniuszków, i Józefa Mariana Jaroszewicza, sporządzony 4 grudnia 1894 roku w kościele św. Jana w Warszawie. Źródło: Archiwum Państwowe

ARCHIWUM PAŃSTWOWE W WARSZAWIE

Fundacja ŚwiatłoLiteratury Migotania

Tadeusz Sobkowiak

Fundacja ŚwiatłoLiteratury

Migotania

Książki Fundacji Światło Literatury wciąż do nabycia

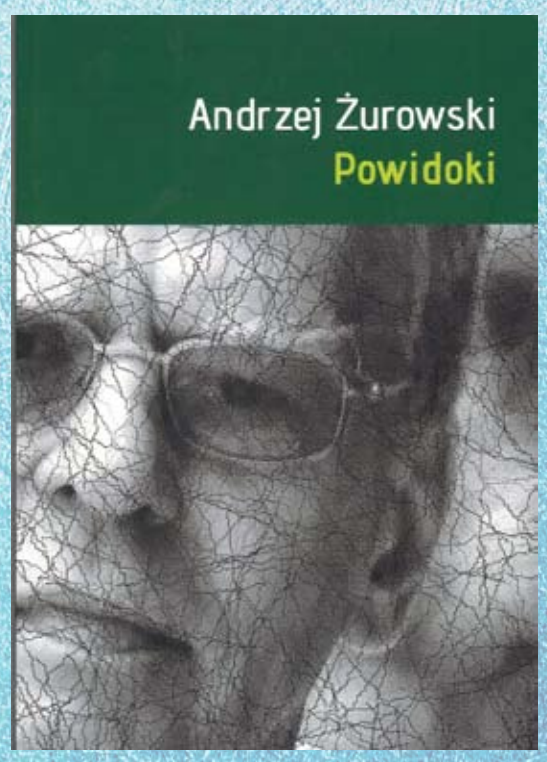

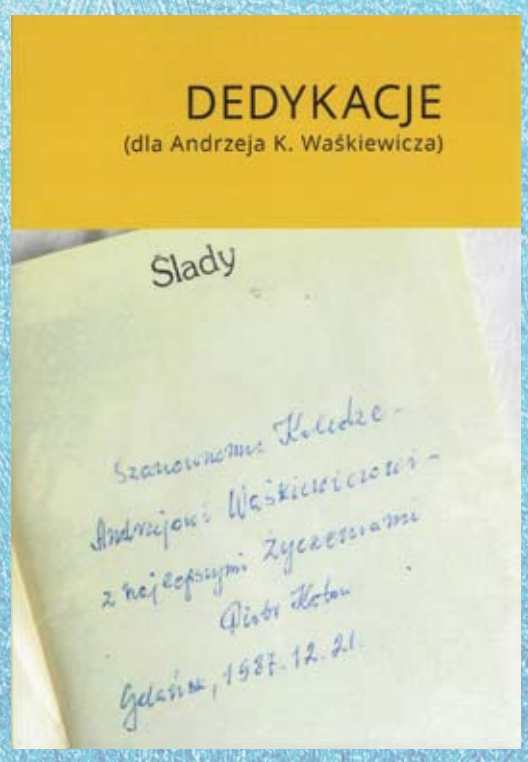

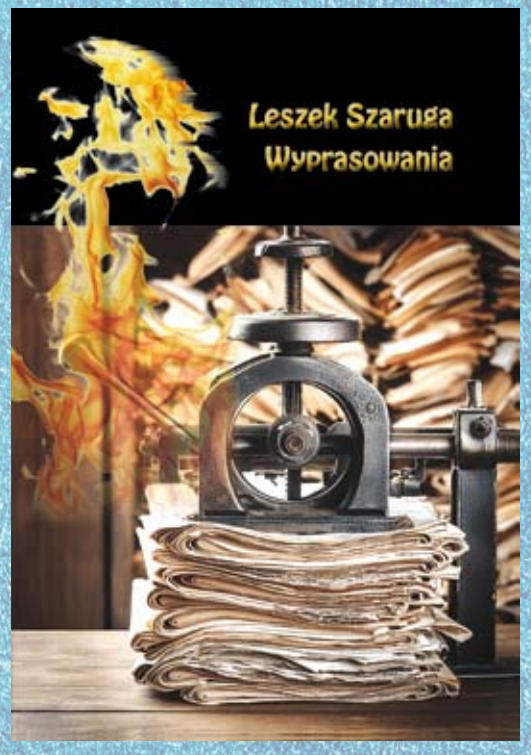

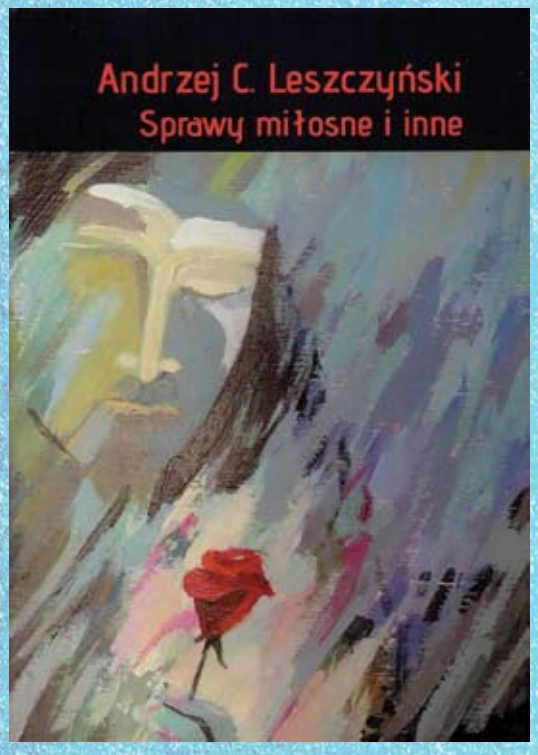

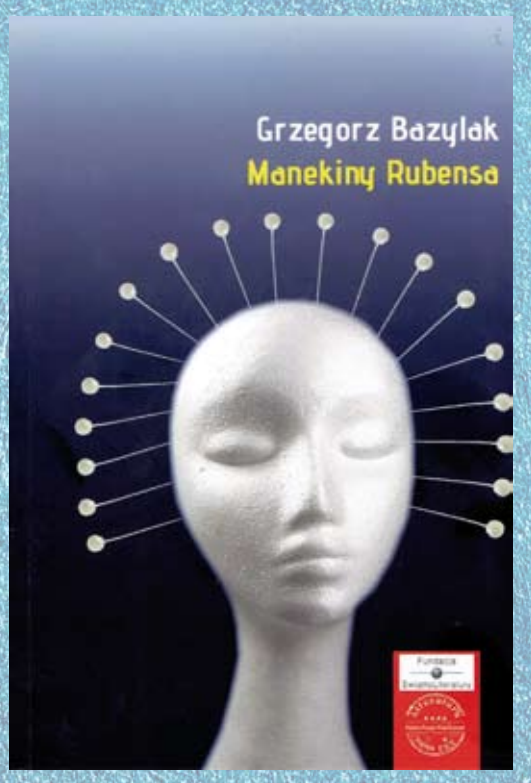

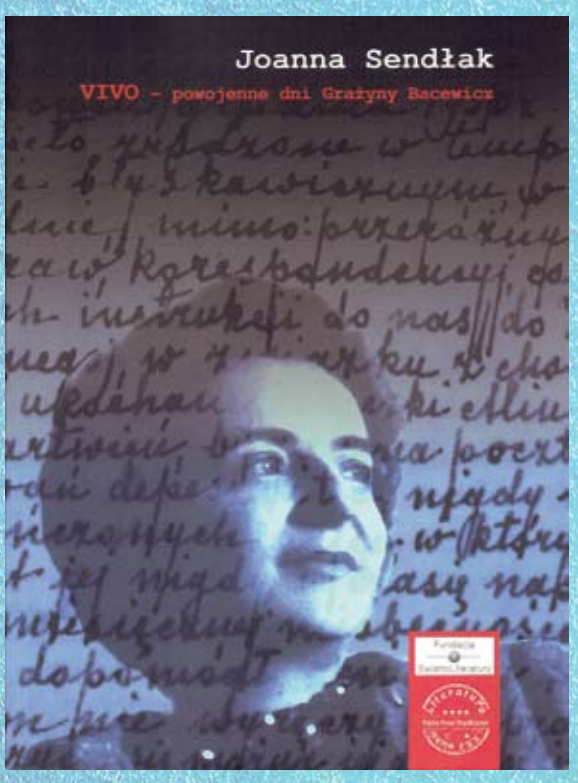

WYDAJ KSIĄŻKĘ

Fundacja Światło Literatury poleca swoje wydawnictwo. Poza tym, że wydajemy od 21 lat Pismo literackie „Migotania", to również od kilku lat zajmujemy się publikacją książek literackich. Specjalizujemy się w książkach tzw. niszowych, czyli poetyckich, eseistycznych a też wysokiej jakości prozatorskich. Każdą nową książkę traktujemy indywidualnie, zarówno pod względem estetycznym, jak i kosztowym.

Wszelkie pytania prosimy kierować na:
joa@migotania.pl, ewentualnie przez telefon: 601-840-302.
ZAPRASZAMY.

Fundacja ŚwiatłoLiteratury

Migotania